

**Karol May**

**Skarb Inków**

## Espada

- Corrida de toros, corrida de toros! - rozlegało się z ust nawoły-waczy, którzy przystrojeni barwnymi szarfami i kokardami ciągnęli ulicami Buenos Aires.

Corrida de toros był to temat, który omawiano szczegółowo we wszystkich gazetach miasta, corrida de toros była przedmiotem roz-mów we wszystkich lokalach publicznych i prywatnych mieszkaniach. Corrida de toros, walka byków, to słowa, które budzą entuzjazm każdego Hiszpana i tych, którzy w żyłach mają choć kroplę hiszpafi-skiej krwi. Miłośnik coiridy nic sobie nie robi z zastrzeżeń przeciw-ników jego ulubionego widowiska, którzy udowadniają, że jest ono naganne nie tylko ze względów moralnych, ale i rozmaitych innych. Pędzi do cyrku, by wrzeszczeć triumfalnie na całe gardło na widok dręczonych zwierząt i szaleje z zachwytu, kiedy potężny byk rozpruwa brzuch konia albo nadziewa na rogi toreadora.

- Tak, corrida de toros! Jakże długo nie widziano już w Buenos Aires walki byków; jak dawno nie słyszano na Plaza de toros rżenia koni, ryku byków, okrzyków walczących oraz radosnych wybuchów publi-czności! Minęło już wiele lat od ostatniej walki byków. Awinę pono-siły te parszywe stosunki polityczne w kraju.

Wojna, w którą Lopez, dyktator Paragwaju, wciągnął konfederację argentyfiską, kosztowała dotąd tę ostatnią czterdzieści milionów pe-so i pięćdziesiąt tysięcy istnień ludzkich, nie licząc dwustu tysięcy ofiar, które pochłonęła przywleczona wraz z wojną cholera. Wtedy nie było co myśleć o widowiskach. Armia argentyńska wciąż przegry-wała z Lopezem, ale w ubiegłym tygodniu odniosła znaczne zwycię-stwo. Świętowano je w Buenos Aires iluminacjami i uroczystymi pochodami i, by żaskarbić sobie przychylność ludzi, nowo wybrany prezydent Sarmiento skorzystał z okazji i dał zezwolenie na walkę byków.

Chociaż na przygotowania pozostało niewiele czasu, sprzyjające okoliczności wskazywały, że ta corrida de toros będzie niezwykle emocjonująca. Buenos Aires posiadało bowiem licznych toreadorów, którzy wyrobili sobie nazwisko i żaden z nich dotychczas nie doznał porażki. Przepelnieni wzajemną zawiścią, aż się palili do walki, aby pokaza~, który z nich jest najlepszy. Ale oto zgłosił się jakiś obcy Hiszpan z Madrytu, który od kilku dni przebywał w hotelu „Labastie” i poprosił, aby wolno mu było ubiegać się o nagrodę. Kiedy wymienił swoje nazwisko, panowie z komitetu organizacyjnego bardzo chętnie udzielili mu zezwolenia, był to w końcu nie byle kto, tylko senior Crusada, słynny w całym krblestwie Hiszpanii espada:

Wiadomość o tym wprawiła mieszkaficów miasta w podniecenie, ale wkrótce okazało się, że to jeszcze nie wszystko. Zgłosiło się mianowicie jeszcze dwóch seniores, których chęć przystąpienia do walki wzmogła podniecenie. Jeden z nich był właścicielem wielkich stad bydła. Przed laty, nie bacząc na koszty, sprowadził wiele północ-noamerykafiskich bizonów, by spróbować skrzyżowania ich z rodzimą rasą byków. Te potężne zwierzęta okazały się jednak tak dzikie i ; nieposkromione, że właściciel postanowił je zastrzelić. Zapropono-wał, że najsilniejszego spośród nich dostarczy za darmo na walkę. Drugi senior był właścicielem hacjendy w okolicy San Nicolas. Jego peoni, chcąc złapa~ jaguara, który przetrzebił mu stada owiec, założyli 6 wnyki i tak im się poszczęściło, że złapali drapieżnika nawet nie zranionego. Nie zabito jaguara, chcąc go sprzedać, a teraz hacjendero oświadczył, że sprowadzi tu zwierzę, by sprezentować go komitetowi. Nietrudno sobie wyobrazić, że obecność słynnego toreadora oraz perspektywa walki z bizonem i jaguarem były ogromnie ważne nie tylko dla publiczności, ale przede wszystkim dla tutejszych toreado-rów. Toreadorzy albo toreros - słowo to pochodzi od toro, byk - dzielą się na poszczególne grupy, z których każda ma do wykonania własne zadanie. 'Idk więc są to picadores, którzy drażnią byka oszcze-pami, pozostając na koniach. Następnie banderilleros, którzy - jeśli picador znajdzie się w niebezpieczeństwie-mają za zadanie odwró-cie od niego uwagę byka za pomocą kolorowych szarf i skierować ją na siebie, a potem wbić mu w kark cienkie pręty zaopatrzone w zakrzywione haki,

banderillos. Wreszcie espada.~, właściwi zawodnicy, którzy muszą dobić byka mieczem. Nazwa ta pochodzi od słowa espada, miecz: Espados nazywają się inaczej ynatadores, od słowa matar, zabijać i obowiązkiem ich jest zadać bykowi cios ostateczny; jeśli nie został trafiony śmiertelnie, ale już padł. Jak wspomniano, nawoływacze przemierzali ulice Buenos Aires, by ogłosić, że jutro odbędą się walki byków. Było to wieczorem. Kto mógł, zamykał swój sklep, by udać się do kawiarni lub do confiterii i tam porozmawiać o wydarzeniach dnia. Confiterias to lokale, w których spożywa się jedynie lody i ciastka.

„Cafe de Paris”, uznana za najwytworniejszą kawiarnię w Buenos Aires, była tak przepełniona gośćmi, że trudno byłoby w niej znaleźć wolne miejsce. Panowało tam duże ożywienie, zwłaszcza przyjednym stoliku, do którego wciąż zwracały się oczy obecnych, gdyż siedzieli przy nim trzej argentyńscy espadas, którzy nazajutrz mieli udowodnić swą odwagę. Choć wobec siebie pełni zawiści, byli zgodni w twierdzeniu, że komitet popełnił niewybaczalny błąd, dopuszczając do walki Hiszpana. Postanowili uczynić wszystko, by odebrać mu dotychczasową sławę. Jeden z nich, który najwięcej się chełpił, oświadczył, że już pierwszym ciosem powali południowoamerykańskiego bizona. Za-propnował nawet obecnym, by poszli z nim o zakład, że słowa dotrzy-ma.

Obok, przy innym stoliku, siedziało czterech wytwornie ubranych panów. Zwłaszcza jeden rzucał się w oczy. Był olbrzymem i choć mógł mieć niewiele ponad pięćdziesiątkę, jego gęsta długa broda była biała jak śnieg. Włosy miał również siwe. Mocno opalona twarz wskazywała, że to gaucho lub w ogóle człowiek, który przebywa tylko na wolnym powietrzu, na pampasach lub nawet w dzikich ostępach, lecz eleganc-kię, uszyte wedle najnowszej paryskiej mody ubranie świadczyło ó czymś. wręcz przeciwnym. ‘I~zej jego współbiednicy byli również mocno opaleni. Jeden z nich zwrócił się do niego ze słowami:

- Słyszałeś tego samochwałę, Carlosie?  
Brodacz tylko skinął głową.

- I co ty na to?

Zapytany wzruszył ramionami, a po jego poważnej twarzy prze-mknął lekceważący uśmiezek.

- Jestem całkowicie twojego zdania - ciągnął tamten. - Trzeba mieć nie byle jakie umiejętności, by tutejszego toro dobić mieczem, zanim osłabnie. A ty wiesz lepiej od nas, co to znaczy bizon północno-amerykański, bo przecież przebywałeś tam dwa lata i polowałeś na bizona. ‘I~n espada nie będzie chyba w stanie dotrzy-ma~ obietnicy.

- I ja tak sądzę. Bizona nie zabija się słowami.

Powiedział to głośniejszym głosem, niż zamierzał. Espada to usłyszał, zerwał się, podszedł i rzekł niemal rozkazującym tonem:

- Senior, czy zechce mi pan zdradzić, jak się nazywa?

Siwobrody zmierzył go wzrokiem nad wyraz obojętnym i odparł:

- Czemu nie; jeśli przedtem poznam pafiskie nazwisko.

- Moje nazwisko jest szeroko znane, jestem Antonio Perillo.

Na te słowa oczy olbrzyma na chwilę zabłyśły, ale zaraz przymknął powieki i rzekł takim samym tonem jak przedtem.

- Nazywam się Hammer.

- Czy to niemieckie nazwisko?

-Tak.

- Czy jest pań Niemcem?

- Owszem. .

- Więc niech pan trzyma język za zębami, kiedy idzie o tutejsze sprawy. Jestem porteno, rozumie pan?

Wypowiedział to słowo z naciskiem i spojrzął przy tym dumnie z góry na tamtego. Porcenos-tak nazywają siebierodowici mieszkańcy kraju. Jeśli espada sądził, że tym słowem wywrze wrażenie, to się pomylił, gdyż olbrzym jakby nie wiedział, co to słowo oznacza i espada ciągnął coraz gniewniej.

- Wyraził się pan o mnie z lekceważeniem. Czy zechce pan cofnąć te słowa?

- Nie. Powiedziałem, że bizona nie zabija się słowami, a ponieważ jestem Niemcem, zawsze wiem, co mdwie.

-Caramba! To niesłychane! Ja, najszlachetniejszy espada w tym kraju, mam pozwolić, by szydził ze mnie Niemiec! Co pan na to powie, jeśli wyzwę pana na szpady?

- Nic, ponieważ nie warto o tym mówić - odparł Hammer, odchylając się na krzesło i rzucając na espadę spojrzenie, które bynajmniej nie wyrażało obawy.

To wzburzyło tamtego jeszcze bardziej. Z błyszczącymi od gniewu oczami podszedł o krok bliżej, podniósł ramię jakby do uderzenia i zawołał:

- Co, nie chce pan cofnąć swej obelgi i dać mi satysfakcji?

- Nie.

- Dobrze, więc naznaczę pana jako pozbawionego czci tchórza.

Ma pan! .

Chciał uderzyć Niemca pięścią w twarz, ale ten zapobiegł uderzeniu, szybko się zerwał, wziął espadę za ramiona i cisnął nim o ścianę, aż zadudniło.

Wszyscy goście zerwali się z miejsc, by zobaczyć, co się teraz stanie.

Espada ubrany był według francuskiej mody, a więc należało się spodziewać, że nie ma przy sobie broni. On jednak szybko się zerwał, sięgnął pod surdut, wyciągnął długi nóż i z rykiem wściekłości rzucił się na Niemca. 'I-n nie cofnął się ani o cal, chwycił szybkim ruchem rękę trzymającą nóż i tak silnie przycisnął espadę, że ten z okrzykiem bólu upuścił broń. Potem rozkazał groźnie:

- Daj spokój, Perillo! Nie ze mną w ten sposób. Znajdujemy się w Buenos Aires, a nie w Salina del Condor. Zrozumiano?

Przy tych słowach przeszył przeciwnika tak ostrym wzrokiem, jak gdyby chciał zajrzeć w głąb jego serca. Peńllo cofnął się i z przerażeniem spoglądał na mówiącego. Zbladł jak płótno, oczy mu migotały niepewnie, a głos drżał, kiedy powiedział;

- Salina del Condor? Nie wiem, co to znaczy.

- Wiesz aż nazbyt dobrze, widzę to po tobie. ‘

- Nie wiem, o czym pan mówi: Nie chcę mieć z panem nic do czynienia. .

- Masz po temu wszelkie powody, Peńllo!

Sięgnął do kieszeni, rzucił na stół kilka papierowych peso, by zapłacić za konsumpcję, zdjął kapelusz z haka i poszedł do drzwi. Nikt nie odważył się go zatrzymać. Kiedy wstał, wszyscy ujrzeli, że z tym goliatem lepiej nie zaczynać. Jego trzech towarzysze poszli za-nim.

Kiedy drzwi się na nimi zamknęły; espada znów nabrał odwagi. Zwrócił się do swoich towarzyszy, by załagodzić porażkę, ponieważ jeden z nich zawołał szyderczo:

- Co za hafiba, Perillo! On cię przewróci!

- Biegnij więc za nim i oddaj mu! Z takim olbrzymem nikt nie wygra!

- Możliwe. Ale mówił do ciebie „ty”. A ty pozwoliłeś na to, sam mówiąc mu „pan”.

- Wcale tego nie zauważyłem.

- A co znaczy to Salina del Condor? Co on miał na myśli?

- Skąd mam wiedzieć? Ten Niemiec cierpi na jakieś urojenia.  
Przecież wiecie, że wszyscy Niemcy są trąceni. Dajmy temu spokój. Zapewne nie skończono by z tym tematem, ale właśnie wszedł ktoś, kto przyciągnął oczy wszystkich. Był to gaucho, tak mały i cherlawy, jakiego żaden z obecnych jeszcze w życiu nie widział. Człowieczek ten miał na sobie białe, szerokie spodnie, sięgające do kolan i czerwoną bawełnianą c~iripa. Jest to koc, który mieszkańcy pampasów owijają na ukos dookoła bioder, podciągają z przodu i z tyłu, a potem okręcają wokół ciała w talii. Rękawy koszuli, równie śnieżnobiałej jak spodnie, mały człowieczek zakasał za łokcie, tak, że przedramiona miał odkryte. Nad pasem przewiązana była czerwona szarfa, której końce zwisały po bokach. Równie czerwone poncho okrywało górną połowę ciała. Na nogach miał buty, jakie zwykli nosić gaucho. Aby wykonać takie buty to, podczas zarzynania konia ściąga się skórę z jego pęciny, ale się jej nie wyprawia, tylko ciepłą wkłada do wrzątku, by łatwiej było zeszkrobać sierść. Kiedy skóra jest jeszcze mokra, wciąga się ją na nogi jak pończochy i czeka, aż wyschnie i w ten sposób otrzymuje się odporne na niepogodę obuwie, którego co prawda nigdy już nie można zdjąć. Nosi się je tak długo, aż spadną z nóg. Oczywiście osłonięte są tylko podudzia i wierzchy stóp. Palce natomiast wystają, podszwa także jest bosa. Gaucho, który nosi takie obuwie, chodzi więc boso, jeśli w ogóle chodzi. Najczęściej bowiem porusza się tylko wówczas, kiedy jest we własnej ~ chacie, poza tym zawsze siedzi na koniu. Falce nóg muszą być bose ze względu na strzemiona, bo te są tak tnałe, że wchodzi do nich tylko duży palec. Za to ostrogi, które gaucho zwykle nosi, są ogromne. Ten mały mężczyzna miał na głowie szary filcowy kapelusz, z którego zwisał chwościk, a pod nim jedwabną, czerwoną chustkę. Chustkę nosi gaucho pod kapeluszem, by chronić kark przed żarem słonecznym. Chustka daje również ochłodę podczas jazdy konnej, bo wiatr wydyma ją i chłodzi kark. U pasa pod szarfą przybysz miał długi nóż i pistolet, a na ramieniu podwójną flintę, która była niewiele krótsza od niego samego. W rękach trzymał dwie książki. .

Ta ostatnia okoliczność zwróciła szczególną uwagę. Gaucho z książkami! 'l~go jeszcze nigdy nie widziano. W dodatku był on gładko ogolony, co także wydało się dziwne. Mężczyzna zatrzymał się na chwilę przy drzwiach i pozdrowił wszystkich głośnym buenos, odszedł do stolika, który właśnie się zwolnił, usiadł, otworzył. Potem p obie l~siążki i zaczął gorliwie je studiować. Były to dwa traktaty Królewskiej Akademii Nauk w Berlinie Daltona i Weissa.

Panujący hałas ucichł. Mały zaskoczył zebranych, nie wiedzieli, co o nim sądzić. Ale jego to nic nie obchodziło. Nawet tego nie zauważył;

był pogrążony w czytaniu i wcale mu nie przeszkadzało, kiedy znów odniosły się głosy i rozpoczęto na nowo rozmowy o walce byków.

Tylko kiedy kelner, równie mały jak obcy przybysz, podszedł i zapytał, co mu podać, gość spojrzał i najczystszym hiszpańskim zapytał:

-Czy mogę dostać piwo? Mam na myśli cerevisia, jak to się nazywa po łacinie.

-Tak, senior. Mamy piwo, sześć peso butelka.

- Proszę mi przynieść butelkę ampulla, czyli po łacinie lagoena.

Kelner spojrzał na niego ze zdziwieniem, przyniósł butelkę oraz szklanę i nalał do pełna. Gość jednak nie pił, nie odrywał się od książek. Przeszono się więc nim interesować, zwykłym jedyną osobą - Antonia Perilly. Ten nie spuszczał z niego oka, wydawało się, że nawet w myślach się nim zajmuje. Wreszcie wstał, podszedł, uklonił się i rzekł uprzejmie:

- Przepraszam, senior! My chyba się znamy?

Mały gaucho oderwał się od swojej lektury, wstał i odparł równie uprzejmie:

- Bardzo mi przykro, senior, ale muszę stwierdzić, że pan się myli. Nie znam pana.  
- Wobec tego musi pan mieć powód, aby temu zaprzeczyć. Jestem przekonany, że spotkaliśmy się nad rzeką.  
- Nie, bo wcale tam nie byłem. Jestem dopiero od tygodnia w tym kraju i przez ten czas nie ruszałem się ani na krok z Buenos Aires.  
- Czy wolno zapytać, gdzie pan mieszka?  
- W Jóterbogk, które pisze się także Jiiterbog lub Jóterboch.  
Dotąd pozostaje nie rozstrzygnięte, jak właściwie należy pisać tę nazwę. Ja zdecydowałem się na Jóterbogh:

- Ta miejscowość w ogóle nie jest mi znana. Czy byłby pan łaskaw powiedzieć mi swoje nazwisko?  
- Chętnie. Nazywam się Morgenstern, doktor Morgenstern.  
- A kim pan jest?  
- Jestem uczonym.  
- A czym się pan zajmuje?  
- Zoologią, senior. Obecnie przybyłem do Argentyny, by odszukać glyptodonta, megatheum i mastodonta.  
- Nie rozumiem, co pan mówi. Nigdy tych słów nie słyszałem.  
- To pancernik olbrzym, leniwiec olbrzym i słofi olbrzym.

Espadzie wydłużyła się mina, spojrział na małego człowieczka ba-dawczo, następnie zapytał:

- A gdzie zamierza pan szukać tych zwierząt?  
- Oczywiście na pampasach, niestety, nie mogę jeszcze dokładnie stwierdzić, czy żyły one w dyluwium czy wcześniej.  
- Dyluwium? Rozumiem, senior! Używa pan niezrozumiałego języka, aby podkreślić, że jestem natrętny.  
- Ten język wcale nie jest taki niezrozumiały. Niech pan zajrzy do obu tych książek. Ich autorzy są znawcami dyluwium! Weiss i Dalton, na pewno pan o nich słyszał i...  
- Nie, nie słyszałem - przerwał mu toreador. - Nie znam tych panów. Ale co się tyczy pana, to w dalszym ciągu twierdzą, że pana znam, i to lepiej, niż się panu zdaje. Niech się pan przyzna, że strój, jaki pan ma na sobie, to przebranie.  
- Przebranie? Jeśli mam być szczerzy, to ostatnio rzadko chodzę ubrany jak gauczo.  
- Ale jeździ pan konno wspaniale, widziałem.  
- Myli się pan, senior. Co prawda raz jeden miałem okazję dosiąść 13 konia, po łacinie equus, ale to, co łacinnik określa jako equo vehi, mianowicie sztuka jeździecka, pozostało dla mnie prawie obce. Perillo pokręcił głową. Uśmiechnął się dyplomatycznie i rzekł z ukłonem:

- Nie będę się panu dłużej narzucał, senior, ponieważ każde pańskie słowo mówi mi, że pragnie pan pozostać nie rozpoznany. Zechce pan łaskawie wybaczyć moją natarczywość! Jestem przekonany, że nadejdzie dzień, kiedy zrzuci pan maskę! Wrócił do swego stolika. Czerwony gauczo pokręcił głową, usiadł i mruknął:  
- Maską! Zrzucę maskę! 'I-n senior jest najwidoczniej bardzo roztargniony.  
Potem pochylił się nad swymi książkami. Ale wkrótce znów mu przeszkadzono, bo kelner, który stał w pobliżu i słyszał tę rozmowę, podszedł i rzekł:

- Senior, nie chce pan się napić? Szkoda piwa, nie powinno stać tak długo otwarte.  
Gauczo spojrział na niego, ujął szklanę, wypił łyk; potem rzekł zyczliwie:

- Dziękuję, senior. Należy się przyzwyczaić, że czasem pizy tym co konieczne, człowiek zapomina o przyjemnym. Ale picie, po łacinie bibere, jest nie tylko przyjemne, lecz też konieczne.

Chciał czytać dalej ale spostrzegł, że kelner jeszcze stoi, więc zapytał:

- Czy ma pan jeszcze jakąś uwagę, senior
- Jeśli pan pozwoli, tak. Mówił pan przedtem o Jóterbogh. Czyżby pan był Niemcem?
- Owszem, świadczy o tym moje nazwisko, Morgenstern. Gdybym był Rzymianinem, może po łacinie nazywałbym się Iubar.
- Ogromnie mnie to cieszy, senior. Czy mogę rozmawiać z panem po niemiecku
- Po niemiecku? Czy pan jest Niemcem?
- Oczywiście! Urodziłem się w Stralau pod Berlinem, a więc jestem pańskim rodakiem, doktorze. Bo przedtem usłyszałem, że jest pan doktorem.
- Ze Stralau! Kto by pomyślał! Sądziłem; że jest pan Argentyb-czykiem. A w jaki sposób trafił pan tutaj?
- Jestem człowiekiem wody, wie pan, łowienie ryb w Stralau i jezioro Rummelsburg. Człowiek zwyczajny wody i ona go ciągnie. ‘Ii~afiłem więc do Hamburga, a stamtąd do Ameryki Południowej.
- Czego pan tu szukał?
- Chciałem się wzbogacić.
- No i...?
- , - No właśnie! Nie tak łatwo się dorobić, jak sobie myślałem. Nadeszły marne czasy i wcale nie chcą się skoficzyć. Nie da się uciuć wymarzonych milionów.
- Czy ma pan krewnych w ojczyźnie?
- Nie. Gdybym kogoś miał, zostałbym w domu. Chciałem iść do wojska, bo zawsze miałem serce patrioty, ale byłem o dwa cale za niski, więc mnie nie wzięli. Tak mnie to rozeźliło, że pojechałem w obce strony, by sprawdzić, czy tam też okażą się niezdatny.
- Jak długo pan tu jest?
- Pię~ lat. -
- I co pan w tym czasie robił?
- Rozmaite rzeczy, które były uczciwe; ale do niczego nie doszed-łem. Teraz jestem kelnerem, ale tylko jako pomoc na dziś, bo spodzie-wają się dużo gości. Ostatnio pracowałem w porcie.
- Czy był pan już w głębi kraju? Pytam nie bez powodu:
- ‘Pak. Dwa razy dotarłem do ‘Iiicaman jako stajenny.
- Jeździ pan konno?
- No pewnie! ‘I-go człowiek się tu uczy szybciej, niż sobie pomyśli.
- Tó dobrze, bardzo dobrze! A teraz sprawa najważniejsza. Podo-bno tu w Argentynie jest bardzo dużo kości? ‘
- Całe masy!
- Znakomicie! Właśnie ich szukam.
- Kości? Po co?
- Interesuję się nimi.
- Tak? Co prawda nie wiem, co w tym interesującego, ale mogę pana pocieszyć. Jeśli potrzebuje pan ko~ci, to mogę panu dostarczyć całe ładunki.
- Kości mastodonta?
- A co to takiego?
- Ió słofi olbrzym.
- ‘I-go zwierza nie znam.
- j - Nic dziwnego, żył jeszcze przed potopem.
- No to już wyginał, jego kości też nie ma. ‘Iii po potopie zostały tylko kości bydła, koni i owiec.
- Pan mnie nie zrozumiał. Szukam kości przedpotopowych zwie-rząt, takich, które są w tutejszym Muzeum Przyrodniczym.
- Aha! Takie to tkwią w ziemi i trzeba je odkopywać. Widziałem je. W pampasach są wszędzie. I czegoś takiego pan szuka?

- Tak. Zamierzam też przyjąć na służbę kilku gauczo. Aby zrobić na nich sympatyczne wrażenie, ubrałem się tak jak oni. Przede wszy-stkirn potrzebny mi służący, na którym mógłbym polegać. Pan mi się podoba, ma pan uczciwą, a zarazem ~prytną twarz, i wydaje się pan być niegłupi, po łacinie stulticia. Czy ma pan ochotę?
- Czemu nie, jeśli będzie się pan ze mną dobrze obchodził.
- Więc niech pan przyjdzie do mnie jutro rano, to omówimy wszystko, co niezbędne. C~y zna pan bankiera Salida?
- Tak. Ma tu w pobliżu swój interes, ale mieszka w quinta pod rniastem.
- Ja także tam mieszkam, jestem jego gościem. A teraz niech mi pan pozwoli dalej czytać.
- Dobrze, niech pan czyta, panie doktorze. Jutro się stawię i myślę, że ubijemy dobry interes. Wydobędę dla pana z ziemi każdą kość, nawet największą.

## 16

'I~eść tej rozmowy widać dalej zajmowała Morgensterna, bo czytał teraz mniej uważnie niż przedtem i nie zapomniał o picciu. Kiedy już prawie opróżnił butelkę, Antonio Perillo wstał, by zapła-cić i wyjść. Jakiś czas potem wyszedł także Morgenstern. Zapłacił sześć peso. Wydaje się to bardzo drogo, ale piwo, przynajmniej to sprowadzane z Europy, uważano wówczas za napój luksusowy. Gdy Morgenstern opuścił kawiarnię, skręcił w ulicę w lewo, która prowadziła w kierunku quinty bankiera. Był zbyt zaabsorbowany swoi-mi myślami, by zwróci~ uwagę na dwie postacie, które stały naprzeciw oparte o słupy przy drzwiach. Byli to Antonio Perillo .i jeszcze jeden człowiek, który przedtem także znajdował się w kawiarni. 'I-n drugi był wyższy i mocniejszy od toreadora. Jego potężna budowa ciała zdradzała niezwykłą siłę, twarz ogorzała od słońca i wiatru wskazywała na to, że przebywał stale na pampasach i w górach. Ale ta twarz nie sprawiała dobrego wrażenia. Wąski, zakrzywiony nos przypominał dziób sępa. Spod zrośniętych brwi spoglądały kłujące oczy. Wąskie bezbarwne usta potęgowały przykre wrażenie. Ubrany był w strój noszony w tym kraju; a na głowie miał sombrero o szerokim rondzie. Kiedy w świetle padającym z okien kawiarni, obok których przechodził uczony, mężczyzna rozpoznał jego rysy, i szepnął do Perilla:

- Nie ma wątpliwości. To on; choćby nie wiem jak temu zaprze-czał.
- Tylko zgolił sobie brodę i ubrał się w strój gaucza. Ale tym nie zmyli ludzi takich jak my. Muszę się dowiedzieć, gdzie on mieszka. Idź za nim.
- A ty nie pójdziesz?
- Nie. Mógłby się odwrócić i poznać mnie. Tb zbudziłoby jego podejrzenie. Wejdę do kawiarni i poczekam, aż wrócisz.

Perillo wszedł do kawiarni, a drugi mężczyzna skradał się za Niemcem. Jak już powiedzieliśmy, ulica prowadziła prosto, ponieważ Buenos Aires jest bardzo regularnie zbudowane: Składa się z samych kwadratowych domów, wśród których ulice krzyżują się dokładn'~ pod kątem prostym, a plan miasta można przyrównać do szachownicy.

Pod względem krajobrazowym okolica jest nieciekawa. Nie ma tu żadnego urozmaicenia, ani wzniesień, ani dolin, ani lasów. Zaraz za miastem zaczynają się pampasy, a na horyzoncie niebo stapia się z ziemią tak, że nie widać linii granicznej. Port jest nędzny, a woda La

Platy ma brudny, gliniasty kolor, tak że nawet ona nie przydaje miastu uroku.

Buenos Aires zajmuje mniej więcej taką powierzchnię jak Paryż.

Możnawiec sobie wyobrazić,jakwszystko tujest rozległe. Są tu liczx~e piękne ulice i place, ale kiedy wychodzi się ze śródmieścia, napotyka



się prymitywnie sklecone składy, brzydkie chaty i wysypiska. Kilka podmiejskich ulic wygląda elegancko, ponieważ stoją tam wille bogatych mieszkańców. 'Taka willa nosi nazwę quinta.

W ludnym śródmieściu można spotkać dwu-, trzy-, a nawet cztero- piętrowe domy, ale poza tym są tam parterowe budynki, które nie wznoszą się w górę, lecz rozciągają w szerokość i w głąb. 'I budynki mają

płaskie dachy, pokryte dachówką, a nad dachami unoszą się małe wieżyczki wartownicze zwane miradores. Dachy są trochę ukośne, by woda deszczowa spływała na dziedziniec do znajdującego się tam zbiornika.

i

Uboży ludzie mają tylko jeden dziedziniec, lepsze domy mają ich

trzy, cztery, a nawet więcej. Gdy się stoi przed ażurową, wykonaną artystycznie z żelaza bramą takiego domu, widać przez kraty szereg ezystych, marmurowych dziedzińców, ozdobionych fontannami i liściami kwiatami.

Bo domy ludzi zamożnych zbudowane są z marmuru. i, ...; .., ..,

Kiedy pytamy, dlaczego w Buenos Aires są jedynie płaskie dachy,

to odpowiedź jest bardzo prosta. Przede wszystkim wysokie, strome dachy wymagają więcej materiału budowlanego i są konieczne tylko w tych okolicach, gdzie pada dużo deszczu, a w Buenos Aires jest niewiele opadów. Tak więc wysokie dachy i wykusze stanowiłyby zbyt duże powierzchnie dla pamperos, potężnych, niszczycielskich

...

18 huraganów, które wieją od strony Kordylierów. Wreszcie płaskie dachy mają tę dobrą stronę, że wieczorami można się po nich przechadzać, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jeśli ktoś myśli, że na ulicach Buenos Aires ujrzy dużo galopujących gauczo, to bardzo się myli. Odnosi się raczej wrażenie, że to miasto europejskie. Wszyscy ubierają się tutaj według francuskiej mody. Żyje tu także dość dużo Europejczyków. Połowę mieszkańców stanowią Argentyńczycy. Było tam wówczas (rok 1866) cztery tysiące Niemców, piętnaście tysięcy Francuzów, dwadzieścia tysięcy Hiszpanów, pięćdziesiąt tysięcy Włochów, poza tym wielu Anglików i jeszcze więcej Szwajcarów. 'Ta mieszanina narodowości spowodowała konieczność znajomości języków. Ludzi, którzy świetnie opanowali trzy, cztery, a nawet więcej języków, jest tu więcej niż w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku.

Co do nazwy miasta, to chyba jest ona całkiem słuszna. Buenos aires oznacza „dobre powietrze”, ale kiedy słońce rozgrzewa płaskie dachy nisko położonego miasta, trudno wytrzymać w dusznych, przytłaczających pomieszczeniach. Nie ma tu drzew, które by oczyszczały powietrze, w każdym razie nie ma takich, jakie my uważamy za prawdziwe. Nie rosną tu cytryny, pomarańcze, a tym bardziej drzewa podzwońnikowe. Dla jabłoni, śliw, wiśni i innych gatunków klimat jest tu zbyt upalny, a więc mamy tu winorośl, gruszki, brzoskwinie i morele i to w doskonałym gatunku. We wschodniej części kraju lasów nie ma w ogóle. Jedynie tu i ówdzie jakiś bogaty właściciel quinty tak gęsto obsadził ogród, w którym pobudował swój dom, że w pobliżu odczuwa się zbawienny chłód.

Jedną z najpiękniejszych była quinta bankiera Salida, bardzo gościnnego człowieka, który kochał sztukę i naukę. Korespondował z europejskimi przedstawicielami tych dziedzin. Ta okoliczność sprawiła, że polecono mu doktora Morgensterna, który znalazł u niego

gościnne przyjęcie. Quinta położona była na południowym krańcu miasta, tak, że uczonek miał przed sobą daleką drogę. Antonio Perillo

19

musiał długo czekać na powrót swego kamrata. W kawiarni było dużo gości, ponieważ jutrzejsze walki byków stanowiły ważny temat rozmów. Perillo nie znał tu nikogo, również jego nikt nie znał. Rozmawiano o Crusadzie, obcym toreadorze, i wyrażano przekonanie, że żaden espada mu nie dorównuje. Ogromnie zarytowało to Perilla, ale nie zdradzał, że jest jednym z nich. Oczywiście mówiono także o jaguarze i dzikim bizonie. Sądono, że toreadorzy będą mieli trudne zadanie.

- 'Pak czy owak poleje się krew - rzekł jeden z gości - i to krew ludzka. Nie chcę mówić o bizonie, bo jeszcze takiego zwiędzenia nie widziałem, ale jaguar to groźny przeciwnik. Jest ogromnie żywotny i nie polegnie od pierwszego ciosu.

Wówczas Perillo wtrącił się do rozmowy:

- Jaguar to tchórz! Zobowiązuję się pójść na niego tylko z nożem w rękę:

- I zostać przez niego rozszarpanym - roześmiał się tamten.

''''

- Mówię poważnie. Nigdy jeszcze nie słyszeliście; że jaguar umyka

i 1j.. :

na widok człowieka, i że niektórzy gauczowie potrafią schwytać go na lasso?

Wtedy odezwał się stary, ogorzały od słońca człowiek, który siedział j :i: .

samotnie i dotąd nie brał udziału w rozmowie.

3' : .

- Ma pan rację, senior. Jaguar ucieka przed człowiekiem i gauczo chwytają go na lasso. Ale jakiego jaguara? Rzecznego.

- Czy istnieją inne jaguary?

- Nie ma kilku gatunków jaguarów. Jaguar to jaguar, ale niech pan porówna takiego, który żyje nad rzeką; z takim, który przemierza pampasy albo mieszka w rozpadlinach górskich:

Rzeka dostarcza obfitości pożywienia. Żyją tam tysiące wodnych świń, którymi jaguar się nasyci. Polowanie na te głupie zwierzęta to dla niego igraszka, więc

staje się leniwy i tchórzliwy. Kiedy ujrzy człowieka, kuli ogon pod siebie i ucieka. Natomiast jaguar z pampasów nie ma łatwego życia.

Musi walczyć z bydłem, z kofimi, a jeśli chce złapać owcę, to

20

i z pastuchem, a ten na pewno nie jest tchórzem. A jeśli jaguar żyje w górach, musi polować na dzikie lamy, które są szybsze od niego i nie dają się łatwo złapać. Wtedy jest głodny, a głód rozwściecza. Taki górski jaguar napada w biały dzień na uzbrojonych ludzi. 'Idk, senior, przedstawia się sprawa, którą chciałem sprostować.

Wtedy Antonio Perillo rzekł szyderczo:

- Widać ma pan duże doświadczenie. Czy przekroczył pan już kiedykolwiek granice tego miasta?

- Czasami tak.

- Dokąd pan dotarł?

- Do Boliwii, a także do Peru. Byłem również w Gran Chaco.

- U dzikich Indian?

- 'Tak.

- I ci Indianie nie pożarli pana, tak jak jaguar pożera Świnie wodne?

- Albo nie byłem dla nich dość tłusty, albo nie ważyli się do mnie zbliżyć, senior. Chyba chodziło o to ostatnie, bo przez całe życie byłem człowiekiem, który nie da się tak łatwo pożreć. I nawet

teraz, kiedy jestem stary, mam dość krzdpy w rękę, by temu, który by ze mnie kpił, dać po bezczelnym pysku. Proszę to sobie zapamiętać, senior!

- Po co od razu taka gorączka, panie! Nie miałem nic złego na myśli - złagodniał Perillo, ponieważ pamiętał scenę w „Cafe de Paris”. - Chciałem tylko powiedzieć, że nie uważam jaguara za zwierzę niebezpieczne.
- Jest niebezpieczny dla każdego człowieka, prócz jednego.
- A kto to taki?
- Chyba pan wie. Przecież każdy o nim słyszał, a jego imię wskazuje na to, co powiedziałem.

- Czy ma pan na myśli brata Jaguara?

-Tak.

- Powiadają o nim co prawda, że na najdzikszego jaguara idzie bez broni, ale ja w to nie wierzę:

- A ja wierzę, bo widziałem to na własne oczy.

- Zetknął się pan z nim w Gran Ghaco?

- Byłem tam z nim. Jest naszym przywódcą.

Ledwo stary wyrzekł te słowa, rozległy się okrzyki zdumienia i zachwytu. Zrywano się z miejsc, by podbiec do jego stolika i uściskać mu dłoni. Chciano zsunąć stoliki; by posłuchać o słynnym człowieku, którego imię i czyny były na ustach wszystkich. Stary jednak obronił się słowami: ^

- Brat Jaguar nie chce, aby o nim mówić. Po prostu tego zakazał, więc nie bierzcie mi za złe; seniores, mojej odmowy.

- Jak on właściwie wygląda? - zapytał Perillo.

- Jak każdy inny człowiek.

- Ile ma lat?

- Może pięćdziesiąt.

- Czy to tubylec?

- Nie miałem w rękę jego świadectwa urodzenia, senior.

- Czy możemy się dowiedzieć, co on robi? Raz mówią, że jest yerbatero, raz nazywają go poszukiwaczem złota, raz sendadorem, który przeprowadza karawany przez Andy. Słyszałem nawet, że należy do partii politycznej i raz temu, raz owemu buntownikowi służy swym karabinem.

Stary odrzekł:

- Nie mogę powiedzieć, kim on właściwie jest. Tb po prostu człowiek wyjątkowy, jakich niewielu. Nigdy nie służył żadnemu bun-townikowi i nigdy służyć nie będzie. Jest przyjacielem wszystkich ludzi dobrych i wrogiem wszystkich ludzi złych. Jeśli nie należy pan do tych pierwszych, to niech się pan strzeże, aby go nie spotkać.

- Staje się pan coraz bardziej ostry i napastliwy, przyjacielu! ‘Tak

!’.

bardzo pana rozgniewało, że nazwałem jaguara tchórzliwym stworzeniem?

- Nie to. Ale kiedy pan twierdził, że pójdzie na niego tylko z nożem w rękę, powiedziałem sobie, że jest pan albo blagierem, albo

22 człowiekiem bez pojęcia, a takich nie znoszę. Jaguar, którego jutro ujrzymy, prawdopodobnie żył nad brzegiem rzeki, ale może także pochodzić z pampasów. Zobaczymy, jak się zachowa. Co do mnie, to wcale nie jestem ciekaw. Raczej wolałbym wiedzieć, czy jakiś espada odważy się pójść na bizona.

- Wszyscy się odważą, zapewniam pana!

- Zobaczymy. Taki bizon, kiedy się go rozdrażni, jest niebezpieczny. Wiem to od brata Jaguara, który zastrzelił ich setki.
- Może na pampasach? - roześmiał się Perillo.
- Nie, na preriaeh Ameryki Północnej, gdzie dawniej polował.
- Więc i tam był? Czyli on nie jest porteno, tylko obcy? Tb okoliczność, która mi się nie podoba.
- Nie sędzę, by brat Jaguar przejmował się tym, czy się panu coś podoba, czy też nie.
- Bo mnie nie zna. Gdyby dowiedział się mego nazwiska, uznałby za zaszczyt, mogąc mi uścisnąć rękę.
- 'Tak? Jak więc brzmi pana słynne nazwisko?
- Perillo.
- Ach! Więc jest pan może Antoniem Perillem, espada, który jutro także wystąpi?
- 'Idk, to ja.

Spojrzał na starego wzrokiem, który mówił, że spodziewa się usły-szeć pełne pochlebstwa słowa. Ale usłyszał coś zupełnie innego.

- Zb proszę mi powiedzieć, senior, po co walczy pan z bykami?
- Co za pytanie! Oczywiście by zabijać, by pokazać swój kunszt.
- Piękny mi kunszt! To żadne bohaterstwo dobijać nożem byka, uprzednio zaszczytowanego aż do osłabienia. Ja zabijam zwierzę, ponieważ potrzebuję jego mięsa, by utrzymać się przy życiu, ale zabijać dla żądzy sławy, a przedtem jeszcze drażnić zwierzę kłuciem i szczuć niemal do ostatniego tchnienia, to zajęcie rakarza. Powinien pan nazywać się nie espada, lecz całkiem inaczej - desollador! Byłoby to bardziej słusz-ne.

## 23

Perillo zerwał się z krzesła. Chciał się rzucić na starego. Na szczęście w tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł jego towarzysz. Pohamował się więc, usiadł z powrotem i tylko rzucił staremu:

- Chce pan mnie rozdrażnić, ale mnie pan nie obrazi, bo góruję nad nim.

- 'Tak właśnie powiedziała mucha do lwa, kiedy nad nim brzęczała.

Ale nadleciał ptak i ją połknął.

Perillo udał, że nie słyszy tych słów. Jego towarzysz przysiadł się do niego i szepnął:

- Znów kłótnia? Uważaj ! Nasze ciche rzemiosło wymaga ostrożności. Dziesięciu przyjaciół nie pomoże tyle, ile zaszkodzi jeden wróg.

- Milcz! 'I~n stary gaduła nie może nam zaszkodzić. Powiedz lepiej, czego się dowiedziałeś.

Mówili tak cicho, że reszta gości nie mogła nic usłyszeć. Mimo to

przybyły rozglądał się ostrożnie, a kiedy zobaczył, że nikt na niego nie

zwraca uwagi, rzekł;

- Tb na pewno on. I wiesz, gdzie mieszka? U bankiera Salida.

- Todos demonios! U Salida? Kto by przypuszczał! To dla nas bardzo niebezpieczne!

- Niestety! On mu, wszystko opowie. Czy jesteś pewien, że cię poznał?

- Mógłbym przysiąc. Dlaczego się maskuje?

- Musimy się zastanowić, jak zmusić go do milczenia.

- Hm! Rozumiem cię, cios nożem lub kula w łeb i to nie tracąc

s~ .. czasu. Jutro może być za późno. Nie wolno dopuścić, by poszedł na policję. Gdyby się można było dowiedzieć, jaki pokój zajmuje.

- Tb wiem. Czekałem, aż wejdzie do domu, i przelałem przez parkan do ogrodu. Na szczęście quinta nie ma dziedzińca ani murów, stoi pośrodku ogrodu, tak że można ją okrążyć. Kiedy zniknął za drzwiami, rozjaśniło się w pokoju na górze z tyłu domu.

-To mógł być ktoś inny.

- Nie, bo podszedł do otwartego okna, by je zamknąć. Widziałem li',;':,.'..',

24 go wyraźnie.

- Ile okien ma ten pokój?

- Dwa.

- Czy spuścił rolety?

- Nie.

- Czy w pobliżu jest jakaś drabina?

- O tym także, pomyślałem i rozejrzałem się. W kącie ogrodu rośnie drzewo, o które oparta jest drabina, dość długa, by sięgnąć okna.

- Hardzo dobrze! Niestety, nie możemy jeszcze teraz zabrać się do roboty. Jest za wcześnie, ulice są zaludnione i ktoś mógłby nas zobaczyć.

- 'Ii-zeba poczekać do północy. Ale może on jeszcze nie będzie o tej porze spał?

- Będzie spał, czy nie, obojętne. Nie może doczekać jutra. Jeśli nie będzie spał, dostanie kulę przez okno. A jeśli będzie spał, to wejdziemy do środka. Ale teraz chodźmy. Nie podoba mi się tu.

Perillo zapłacił za lody, i dwaj osobnicy, którzy z lekkim sercem byli gotowi zgładzić człowieka, by zapobiec ujawnieniu swoich dawnych zbrodni, odeszli.

Na ulicach i w lokalach panował większy ruch niż zazwyczaj. Mie-szkaniec Buenos Aires jest na ogół domatorem i wcześnie kładzie się spać, ale dziś wybiła godzinajedenasta, nim ostatni goścopuścił „Cafe de Paris”! Niemiecki kelner otrzymał swoją dniówkę i mógł odejść. Zatrzymał się przed drzwiami. Na ulicach było jeszcze ludno. Był początek grudnia, piękny ciepły wieczór. Kelner nie miał ochoty iść spać. Myślał o nowej posadzie. Z radości, że znalazł niemieckiego pracodawcę, nie odczuwał zmęczenia. Postanowił się przejść i mimo woli udał się w l-ierunku, gdzie zamieszkał doktor Morgenstern. Działanie ludzi często wynika z wewnętrznego instynktu, z którego oni sami nie zdają sobie sprawy: Tak więc ów Niemiec nagle znalazł się przed quintą i sam był tym zaskoczony.

## 25

Tiitaj, dalet~o od tuchu ulicznego śródmieścia, nie paliły się latar-

nie. Było ciemno, tylko gwiazdy migotały, tak, że widać było teren na odległość kilku kroków. Mężczyzna chciał już zawrócić, kiedy usłyszał szmer skradających się kroków. Wydało mu się to podejrzane. Czemu tak cicho idą? Kto ma czyste sumienie, stąpa głośno. Przycisnął się do parkanu i czekał.

Jakiś człowiek przeszedł środkiem ulicy, potem się zatrzymał. Dru-gi szedł za nim. Cicho rozmawiając zbliżyli się do parkanu i z wielką zręcznością go przesadzili.

„A więc to złodzieje!” - pomyślał Niemiec. - „Tylko co chcą ukraść? Owoce z ogrodu? A może zamierzają się włama~ do bogatego ban-kiera?” Postanowił ich śledzić, więc także cicho przesadził parkan. Po drugiej stronie trawnik zagłuszał kroki. Kiedy ujrzał w kącie jednego z mężczyzn, zatrzymał się, by go obserwować. Mężczyzna po chwili skręcił za róg i znikł z tyłu domu. Niemiec pochylił się i poczłogał za tamtym. Drab stał i spoglądał w oświetlone okna na pierwszym pię-trze. Zjawił się także i drugi, niósł drabinę, którą oparł o mur. Sięgała do okna na piętrze.

„Do czego zmierzali? Przecież nie będą się włamywać do oświetlo-nego mieszkania? Może to tylko żart. Wówczas głupotą byłoby wszczynać alarm”. Niemiec z uwagą obserwował ich. Jeden z nich

Ji,,: . .

wdrapał się na drabinę, którą drugi przytrzymał. Ten na górze zajął do środka, zszedł kilka szczebli niżej i szepnął coś kamratowi. Kelnerowi wydawało się, że trzyma on w ręku metalowy przedmiot. Usłyszał dwukrotny krótki szcęk, jakby odbezpieczano pistolet. 'I~raz się przeraził i szybko podszedł bliżej. Iamci dwaj jeszcze szeptali między sobą. Nie mogli go widzieć, bo poruszał się tuż przy ziemi.

Usłyszał słowa:

' - Siedzi i czyta.

- W jakiej pozycji?
- Lewym bokiem do okna.
- Czy widać twarz?

i,,:.

, 26

- ~'ak. Drugą stroną głowy oparł na rękę.
- Wobec tego strzelił mu w skroń. Ió niezawodne miejsce.

A więc chodziło o morderstwo! Kelner tak się przeraził, że przez chwilę nie mógł się ruszyć. Łotr znów wspiął się wyżej, skierował pistolet w stronę pokoju. I b kelnera z miejsca otrzeźwiło. Krzyknął głośno, skoczył ku drabinie, powalił na ziemię stojącego na dole draba, przewrócił drabinę, tak, że ten na górze, który właśnie naciskał kurek, spadł na dół w chwili, kiedy rozległ się strzał. Kelner rzucił się na niego, by go przytrzymać.

- Puść, ty draniu, bo cię zastrzelę - warknął morderca.

Padł strzał. Kelner poczuł przejmujący ból w lewym ramieniu. Tiafiło go i nie mógł dłużej trzymać złoczyficy, który zerwał się i szybko znikł w ciemnościach. Drugi łotr uciekł już wcześniej. Oba strzały zbudziły mieszkańców domu. Od razu zrobił się ruch. Jednocześnie w oświetlonym pokoju otworzyło się okno. Doktor wysunął głowę i zawołał:

- Co za łotr strzelał do mnie? Czemu nie dają mi spokojnie czytać? .

Wtedy kelner znów się przestraszył i odpowiedział:

- Ojej! Tb pana, doktorze, chcieli zamordować?
- Kto jest tam na dole? Jakiś znajomy głos.
- Tb ja, Fritz Kiesewetter, panie doktorze.
- Fritz Kiesewetter. Nie znam osobnika o tym nazwisku.
- Ależ tak! Dziś poznał mnie pan w „Cafe de Paris”. Obiecał mi pan wziąć na służbę z powodu tych przedpotopowych gnatów.
- Ach, kelner! Ale, człowieku, co panu przyszło do głowy, żeby do mnie strzelać?
- Co; niby ja? A to ci dopiero! To ja miałbym strzelać?
- A kto? A może nie jest pan sam?
- Jestem całkiem sam w ogrodzie.
- A czego pan tu chce?

- Uratować pana. A teraz, mimo, że mnie pan zawdzięcza życie, 27 to uważa mnie za skrytobójcę. Zabolało mnie to do głębi. Nie tylko doktor, ale także inni wzięli go za zbrodniarza. Nie pomogły żadne tłumaczenia i przekonywania. Uj ęto Fritza i wciągnię-to do domu, przy czym nie obeszło się bez silnych poszturchiwafi. Chciano wezwać policję, by go zabrała, ale poprosił, by go w pierw spokojnie wysłuchano. Doktor poparł jego prośbę, oświadczając:

- Nie zrobiłem nic złego temu młodemu człowiekowi, przeciwnie, chciałem go wziąć na służbę. Czy to powód, by mnie zastrzelić? Ma on szczerą twarz, a gdyby nawet był mordercą, to i tak ma prawo się broni~. Proszę więc, abyście mu udzielili zezwolenia na wygłoszenie mowy obroficznej, po łacinie defensio.

Fritz opowiedział przebieg zajścia i zażądał, by zbadano ślady. Ugodzono się i istotnie doszli do przekonania, że nie kłamię. Ujrzeni odciski stóp nie tylko w miejscu, gdzie mordercy przedostali się przez parkan, lecz znaleziono także miejsca, gdzie zeskoczyli z powrotem. Wreszcie za domem znaleziono kapelusz jednego z nich. Zgubił go najprawdopodobniej podczas ucieczki, albo podczas zmagani z Fritzem. Kelner krwawił. Zbadano jego ranę. Nie była groźna, kula tylko drasnęła ramię.

‘I~raz stwierdzono, że do ogrodu wtargnęło dwóch ludzi, by zabić niemieckiego doktora i tylko interwencja Fritza spowodowała, że kula przyjęła inny kierunek. Ale kim byli ci mordercy i z jakiego powodu chcieli zabić człowieka, który dopiero od tygodnia przebywał w tym kraju i z całą pewnością nikogo nie obraził?’

- Czy mógłby pan rozpoznać twarz przynajmniej jednego z nich?

- zapytał bankier.

- Nie całkiem, - odparł Fritz - ale widziałem z boku połowę twarzy tego, co stał z pistoletem na drabinie i wydało mi się, że był podobny do espady Antonia Perilla. ‘

To jeszcze bardziej zagmatwało sprawę. Perillo co prawda nie cieszył się dobrą opinią, ale nie uważano, by był zdolny do popełnienia morderstwa. I jaki by miał powód, by zabić doktora? Rozmawiał z nim Zg w kawiarni bardzo przyjaźnie. Co prawda należało wziąć pod uwagę, że wziął go za kogoś innego. Dlatego też bankier kazał zawiadomić policję. Zjawili się dwóch wyższych urzędników, ubranych w grana-towe mundury. Obejrzeliby ślady, rozważyli wszystkie fakty i wreszcie orzekli, że na razie trzeba się dyskretnie dowiedzieć, gdzie przebywał Perillo w czasie tego zajścia. W żadnym wypadku nie wolno wkroczyć przed walkami byków, ponieważ jest on niezbędny jako espada i jego aresztowanie wywarłoby bardzo złe wrażenie na publiczności. Co do Fritza Kiesewettera - nie ulegało wątpliwości, że uratował życie doktora. ‘I~n z miejsca wziął go do siebie na służbę i to na bardzo dobrych warunkach. Mógł od razu pozostać w quincie.

## Corrida de toros

Nazajutrz każdy usiłował zdobyć bilety na widowisko. Kasa była wprost obleżona. Bankier musiał postarać się o cztery bilety. ‘I~zy dla siebie, swojej żony i dla doktora, a czwarty dla młodego siostrzeczka, który bawił u niego z wizytą.

Małżonka bankiera była Niemką, której brat mieszkał w Limie,

**I,...**

stolicy Peru. Nazywał się Engelhardt i miał dwóch synów, którym kiedyś miał przyspaść spadek po bezdzielnym małżonkiem bankierem. Dlatego bankier pragnął, by jeden z braci zamieszkał u niego na dłuższy czas. Posłano więc do wujostwa młodszego syna Antona.

Szesnastoletni chłopiec odbył podróż morzem wokół przylądka Horn i miał bardzo przykrą przeprawę. Toteż postanowiono uniknąć powtórnej podróży morskiej i powrót do domu miał Anton odbyć przez

Andy. Należało tylko poczekać na odpowiednią okazję. Podróż przez Amerykę Południową jest niezwykle niebezpieczna, związana z licznymi niewygodami i nie każdemu poganiaczowi mułów można powierzyć pieczę nad takim młodym chłopcem.

i.,’,;: .

Walka byków miała się zacząć punktualnie o godzinie pierwszej

Plaza de toros, jak nazywał się cyrk, był już na dwie godziny wcześniej

tak wypełniony publicznością, że nie było wolnego miejsca. Tylko łoża

30 prezydenta i wyższych urzędników były jeszcze puste:

Na olbrzymich plakatach można było przeczytać program wypisanym wielkimi literami.

Koncertowały liczne kapele, służba miotłami i grabiami wygładzała piasek areny. Od czasu do

czasu na arenę wychodził odziany barwnie toreador i kroczył dumnie, by go podziwiano. Arena była oddzielona od widowni barierą z desek, dość mocną, by oprzeć się uderzeniom byka, ale niezbyt wysoką, po to, by toreador, który znalazł się niebezpiecznie blisko, mógł ją przeskoczyć. Z przodu były drzwi, przez które miały wybiec byki, przez tylne zaś jaguar. Powiadano, że ze względu na południowoamerykańskiego bizona trzeba było zastosować nadzwyczajne środki ostrożności. 'I-raz co prawda zwierzę było niewidoczne, ale dochodził jego ryk, z którego można było wywnioskować, że bizon nie da się pokonać bez walki. Miejsca tuż za drewnianą barierką były tafisze. 'I-m siedział Fritz Kiesewetter, któremu jego nowy pan podarował bilet wstępu. Miejsca położone wyżej były o wiele droższe i tam siedzieli ludzie zamożni, a wśród nich bankier ze swoim towarzystwem. Przypadek sprawił, że mężczyzna z siwą brodą, który wczoraj w „Cafe de Paris” przedstawił się jako Hammer, wraz ze swoim przyjacielem zajmowali miejsca obok. On siedział obok doktora Morgensterna, który usiłował swemu sąsiadowi młodemu Peruwiańczykowi, wytłumaczyć; jak naganne i niegodne są takie walki byków.

- Czy oglądał pan już kiedyś takie walki, młody człowieku? - zapytał. Anton Engelhardt zaprzeczył.
  - Więc muszę panu powiedzieć, że takie dręczenie zwierząt to nic nowego. Odbywało się ono już w starożytnej Grecji, zwłaszcza w Tesalii oraz w Rzymie za rządów cesarów. 'Ib byli poganie, więc można im wybaczyć. My natomiast jesteśmy chrześcijanami i powinniśmy zaniechać tych okrucieństw.
  - Ależ, senior, przecież pan także przyszedł, by to obejrzeć.
- 'Id uwaga chłopca wyraźnie zmieszana uczonego. Próbował się

31

ratować odpowiedzią:

- A czy walka by się nie odbyła, gdybym tu nie siedział?

- No nie.

- Wobec tego nie mogę mieć wyrzutów sumienia. Poza tym przybyłem tu, by prowadzić studia, więc mam podwójne usprawiedliwienie, po łacinie excusatio, bo jest to widowisko zoologiczne. Choć jakieś cenne znalezisko z dyluwium byłoby mi o wiele miłsze.

- Czy przed dyluwium też odbywały się takie walki? - zapytał

Anton, z trudem ukrywając figlarny uśmiech.

Doktor zerknął na niego uważnie i odparł:

- Tego pytania nie da się załatwić krótkim „tak” lub „nie”. Mówi się o człowieku z epoki przedlodowcowej, a nawet jeszcze starszej. Jeśli naprawdę istniał, to przy ówczesnym niskim stopniu moralności...

Przerwano im, ponieważ rozległa się grzmiąca muzyka. Prezydent wszedł do swojej loży i dał znak, że walki mogą się rozpocząć. Na widowni nagle zapadła taka cisza, że słychać było oddech sąsiada. Władca dał ponowny znak i muzyka zaczęła grać marsza. Otworzyły się drzwi i wpuszczono najpierw pikadorów. Wjechali na nędznych

!yi,'..

koniach, bo nie chciano cenniejszych narażać na rogi byka. Za nimi szli banderilleros i espados, by zrobić rundę wokół areny. Potem

!..

pikadorzy zajęli stanowiska pośrodku placu naprzeciwko drzwi, w których oczekiwano pojawienia się byków. Oni bowiem mieli być pierwszym obiektem ataku byków. Banderilleros i espados wycofali się za słupy do nisz, które w tym celu umieszczono. 'I-raz prezydent dał

!

znak po raz trzeci, otwarto przegrodę i byk wybiegł.



Był czarny, o ostrych; wygiętych do przodu rogach. Uwolniony nagle z ciasnej klatki, chciał nacieszyć się wolnością i nadbiegł wielkimi susami. Wtedy ujrzał pikadorów, stanął na chwilę, a potem rzucił się prosto na nich. Rozpierzchli się, on zaś podbiegł z boku do jednego

ś' z koni i rozpruł mu brzuch. Jeździec chciał zeskoczyć, ale zaczepił się o strzemień i padł razem z koniem. Wydawało się, że jest stracony, bo 32 byk już pochylił łeb, by mu wymierzyć drugi cios, ale w tej chwili nadbiegli z pomocą banderilleros. Z błyskawiczną szybkością zarzucili kolorowe jedwabne szarfy na łeb i oczy byka. 'I~n zatrzymał się, co uratowało' pikadora, podczas gdy jego koń ze zwisającymi trzewiami, parszając, czołgał się po ziemi i wreszcie z jękiem znieruchomiał. Wszystko to nastąpiło tak szybko, że trudno było rozróżnić poszczególne ruchy. Pikadorzy byli ubrani w dawne hiszpańskie stroje rycerskie, a banderilleros mieli na sobie współczesne ubrania, ozdobione wstęgami i galonami. Zaopatrzeni byli tylko w szarfy i kije z zakrzywionymi hakami.

Czarny byk potrząsał łbem, by uwolnić się od szarf, a kiedy mu się, to od razu nie udało, zaczął wściekle ryczeć. Było do przewidzenia, że jego następny atak będzie bardzo niebezpieczny. Wtedy za plecami banderilleros rozległ się donośny głos.

- Wyñoście się! Puście mnie!

Był to Crusada, espada z Meksyku. T~mci ~awahali się, gdyż ryzyko, jakie ów śmiałek podejmował, było zbyt wielkie, jednak na drugie władcze zawołanie cofnęli się. Aby rozdrażnić byka, Crusada przywdział czerwony aksamitny strój, oczywiście kroju hiszpańskiego. W lewej ręce trzymał muletę, kawałek błyszczącego jedwabiu, który zwisał z kija, a w prawej lśniący miecz. Stał w odległości dziesięciu kroków od byka. Była to ogromna odwaga, ponieważ zwierzę nie było jeszcze osłabione. Widać było, że espada od samego początku chce zdobyć przewagę nad tutejszymi toreadorami tym brawurowym atakiem.

Byk nareszcie uwolnił łeb i jego pierwsze spojrzenie padło na wroga, który wyzywająco wymachiwał muletą. Schylił łeb i popędził na niego, by go wziąć na rogi. Espada stał nieruchomo, aż kofice rogów znajdowały się w odległości dwóch cali od niego. Potem lekko odskoczył w bok i z zadziwiającą pewnością siebie wpakował miecz w kłęb pędzącego byka. Zwierzę przebiegło jeszcze kawałek, po czym padło martwe. Espada wyciągnął miecz z jego karku i wymachiwał nim

33

nad głową przy wtórze grzmiących oklasków zachwyconego tłumu.

Pokazał swój kunszt.

Nadeszli matadorzy, by ściągnąć z areny drgającego jeszcze konia, a prezydent dał znak, by wypuszczono następnego byka. Zranił on jednego banderillero i jednego espadę, a potem został pokonany przez Hiszpana. Następny byk rozplątał dwa konie i lekko zranił Antonia Perilla. Dotychczasowy zwycięzca jego także uśmiercił. Pokonał swoich miejscowych konkurentów i był oklaskiwany, a panie obrzucały go kwiatami i ehusteczkami. Perillo, zraniony w nogę, musiał się wycofać. Widać było, że jest wściekły.

'I~raz nastąpił główny punkt programu, mianowicie walka jaguara z bizonem. Zwycięzca miał na koniec podjąć walkę z toreadorami. Najpierw otworzono tylne drzwi, z których wybiegł jaguar. Nie zaszedł daleko, był bowiem na długim łąsie, którego drugi koniec uciepiony był do żelaznego haka. Zwierzę daremnie usiłowało się . uwolnić. Parszając ze złości, rzucił się na ziemię. Leżał tak, nie zważając na tłum widzów. Przez kilka dni głodował, a teraz poczuł świeżą krew. Było to niezwykle silne i niezbyt stare zwierzę. Otworzono przednie drzwi: 'Spodziewano się, że bizon gwałtownie się wyrwie, ale nie. Wyszedł powoli, jak gdyby świadomy tego, że

będą go podziwiać. Był prawdziwym olbrzymem, długości prawie trzy metry, bardzo dobrze odżywiony, tak że z pewnością ważył około trzech cetnarów. Po kilku krokach zatrzymał się, odrzucił długą szarfę z oczu i spojrzał na jaguara. Ludzie czekali w napięciu, co teraz nastąpi.

Jaguar się zerwał i zaczął ryczeć. Gdyby nawet chciał zaatakować, łąso i tak trzymałoby go na uwięzi. Bizon przekrzywił łeb na bok i spojrzał na niego jednym okiem. Najwidoczniej się zastanawiał, czy warto się zadawać z takim przeciwnikiem. Potem się odwrócił i powoli wykonał rundę wokół areny. Oczywiście po drugiej stronie musiał się zbliżyć do jaguara. Bizon pozwolił mu podejść bliżej, skulił się, gotów do skoku. Wtedy bizon pochylił łeb, pokazał rogi i potężny kark, i wydał ostrzegawczy pomruk. To wystarczyło. Jaguar się cofnął, a

5' .. .

34 bizon poszedł na niego, ale dla ostrożności tak; że mijając go, był odwrócony do niego przodem. Jaguar, wbrew wszelkim oczekiwaniom, leżał onieśmielony, najwidoczniej się bał. Podczas gdy trwało to osobliwe zawieszenie broni pomiędzy zwierzętami, uczoney objaśniał swemu młodemu sąsiadowi:

- Północnoamerykański bizon tworzy wraz z europejskim turem podgatunek byków, po łacinie bos. Ta odmiana charakteryzuje się wypukłą czaszką, szerokim czołem, krótkimi, okrągłymi, zakręconymi do góry rogami, kudłatą grzywą dokoła szyi i piersi, garbem i stosunkowo mało rozwiniętą przednią częścią ciała. Bizon ma grubszy łeb, gęstsza grzywę i krótsze rogi niż tur. Jest właściwie zwierzęciem towarzyskim, po łacinie congregabilis, i..:

Dalszych słów nie dało się usłyszeć, pochłonał je hałas i dzikie okrzyki ludzi, których nudziło pokojowe zachowanie się zwierząt i teraz domagali się, by poszczuć jaguara na bizona.

- Tirad los buscapies, tirad los buscapies, puście sztuczne ognie, puście sztuczne ognie! - wrzasnął jeden z widzów, a inni mu zawtórowali.

Prezydent dał znak, by spełniono życzenie. Wówczas towarzysz swego brodacza, który siedział po jego prawej stronie, zapytał:

- Czy sądzisz, że on da się rozdrażnić, Carlosie? On chyba bardziej boi się bizona niż fajerwerków. - Obawiam się nieszczęścia - odparł zapytany. - Czy niewidzisz, że zwierzę trzyma w paszczy łąso, na którym jest uwiązane? Jeśli je przegryzie, uwolni się i zaatakuje nie bizona, lecz ludzi. Rozciągnięte na piasku zwierzę gryzło łąso, czego cyrkowy sługa nie spostrzegł. Zapalono sztuczne ognie w bezpiecznym miejscu i rzucono je w stronę jaguara. Tańczył go, zwierzę się zerwało i wypuściło łąso z pyska. Rzemień był prawie przegryziony. Gdy iskry dotarły do prochu wybuchł ogień. Jaguar ryknął ze strachu i wykonał wielki skok, łąso się naprężyło i pękło w nadgrzonym miejscu. Drapieżnik był wolny.

Widzowie powitali to niespodziewane wydarzenie radosnymi okrzykami, przekonani, że jaguar wykorzysta swą wolność, by zaatakować bizona. Co prawda rzucił się do niego, ale odskoczył w bok, kiedy bizon pokazał mu rogi, zaczął biegać po arenie we wszystkie strony, potem skulił się, kierując wzrok na widownię dokładnie na-przeciwko siebie.

- Estad atento, uwaga! - zawołał siwobrody. - Zwierzę może przesadzić barierę!

- Por amor de Dios, na litość boską, chyba tego nie robi! - zawołał uczoney, słysząc te słowa. - Ta bestia spogląda na mnie, jak gdyby chciała mnie pożreć.

Zerwał się ze swego miejsca i uczynił ruch, jakby chciał uciec, co w

tym tłoku było niemożliwe. Bizon raptowny ruch ubranego na czerwono mężczyzny przyciągnął uwagę jaguara. Zwierzę podniosło tylną część ciała, wydało krótki, ochryply ryk i jednym wielkim susem skoczyło ku drewnianej barierce. Udało mu się dosięgnąć przednimi łapami górnej krawędzi i podciągnąć w górę.

Wówczas umilkły okrzyki. Zapadła tak głęboka cisza, że sły-  
było wyraźnie, jak zwierzę drapie szponami belki. Każdy widział, że  
jaguar upatrzył sobie czerwonego człowieka. Wszyscy w jego pobli-  
żu byli zagrożeni. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie spustoszenie  
spowodowałyby wśród tych stłoczonych ludzi szpony i kły drapieźni-  
ka. Ludzie byli przekonani, że jaguar za chwilę wykona następny skok. On jednak zawisł na  
barierce, ponieważ jego wzrok przyciągnęło coś innego; a tym czymś był siwobrody senior  
nażwiskiem Hammer.

~ 'Il;n bowiem, kiedy jaguar szykował się do skoku, zerwał się z  
miejsca i szarpnięciem ściągnął uczonemu poncho z ramienia i wyjął  
zza pasa nóż. 'Ii~zymając nóż w prawej ręce, owinał sobie poncho  
dookoła lewego ramienia i skoczył na oparcie swojego miejsca. Stało  
; " i , , , , - , , , , ' .  
się to w chwili; w której kiedy jaguar skoczył na barierę.

## 7

-Punto en boca - rozkazał donośnym głosem -ninguno mene-ase - cisza, niech nikt  
się nie rusza!

## 36

Potem skakał po kolejnych oparciach, a ludzie z przerażenia cho-wali się pod ławkami. Jeszcze  
jeden skok i Hammer stał na oparciu pierwszego rzędu, tak blisko jaguara, że mógł go dosięgnąć  
ręką. Zwierzę śledziło ruchy olbrzymiego Niemca płonącymi ślepiami, trwając w bezruchu  
wiedziało, że zostało zaatakowane. 'Ii~zymało się trzema łapami, otworzyło paszczę i podniosło  
przednią łapę do ciosu obronnego. Stali tak kilka sekund naprzeciw siebie, człowiek i zwie-rzę  
zatapiając w sobie wzrok. Potem Hammer ujął nóż w zęby, by uwolnić prawą rękę i uderzył  
jaguara pięścią w tylną część tułowia, tak że zwierzę nie mogło utrzymać równowagi. Jego tylne  
łapy ześlizgnęły się z bariery, usiłował trzymać się przednimi, parszkając z wściekłości. Otrzymał  
jednak tak potężny cios w pysk, że ześliznął się i spadł z powrotem na arenę.

Lecz IvTiemiec się tym nie zadowolił. Zeskoczył na arenę. Rozległy się okrzyki, albowiem ten  
odważny mężczyzna znalazł się tuż przed jaguarem, który z głośnym rykiem pochylił się do skoku.  
I teraz zaśzło coś, czego nikt nie uważał za możliwe. Hammer wyjął nóż z ust, wysunął do przodu  
lewą nogę i wyciągnął do zwierzęcia rękę owiniętą poncho. Czy sprawiło to pewne siebie  
zachowanie, czy też siła szeroko rozwartych szarych oczu, których nieruchome spojrzenie jaguar  
czuł na sobie, w każdym razie nie tylko zaniechał skoku, lecz powoli podciągnął tylne łapy, by się  
cofnąć. Odsuwał się powoli, a Niemiec szedł za nim krok za krokiem, ańi na chwilę nie  
spuszczając z niego wzroku.

Drapieжник skulił ogon pod siebie jak zbity pies i cofał się coraz prędzej, a wtedy z dalszego  
miejsca rozległo się wołanie:

-Que ynaravilla! Co za cud! 'I~n mężczyzna to brat Jaguar! To sam brat Jaguar!

Na d,źwięk tego słynnego imienia, rozległy się gromkie oklaski, jakie tutaj rzadko się zdarzały.

- Brat Jaguar! Brat Jaguar! - wołali wszyscy.

Ton nieopisany hałas jeszcze bardziej przestraszył drapieżnika.

## 37

Jeśli dotąd tylko się cofał, to teiaz zawrócił i pobiegł w stronę drzwi, przez które wszedł. Były  
zamknięte. Niemiec szedł za nim szybkim krokiem i rozkazał głosem, który sły-chać było nawet  
przez ten hałas.

- Aórid la puerta, presto, presto! -- Otwórzcie drzwi, szybko, szybko!

Zatrudniony w tym celu peon uruchomił ze swego bezpiecznego

stanowiska drzwi spustowe, a kiedy się otworzyły, jaguar skoczył do

` klatki, po czym drzwi natychmiast się zamknęły. Drapieżnik był unieszkodliwiony.

'I~raz rozległ się grzmiący aplauz, który nie miał końca. Brat Jaguar

~ wyszedł na środek areny, ukłonił się widzom i zbliżył do bariery, z której przedtem spędził jaguara, skoczył na nią i idąc po oparciach ławek, dotarł do swojego miejsca. 'Ikm zwrócił uczonemu jego poncho i nóż, po czym rzekł:

- Dziękuję, senior! I przepraszam, że nie zapytałem w pierw o pó-zwolenie, ale nie miałem czasu.

- Nic nie szkodzi, chociaż razem z poncho zerwał mi pan z głowy kapelusz i chustkę - odparł mały człowieczek. - Rozumiem, do czego potrzebny był panu nóż, ale proszę mi powiedzieć, czemu wziął pan ze sobą poncho?

- By ochronić ramię przed kłami i szponami jaguara.

- Senior, jest pan bohaterem, po łacinie heros. Ganił pan tębestię przed sobą jak kota. Ale co się teraz stanie z bizonem?

- Zaraz pan zobaczy, tylko proszę skierować uwagę na arenę.

Bizon rozciągnął się na piasku i leżał spokojnie jak wtedy, gdy brat

Jaguar wkroczył na arenę. Nie było już co myśleć o walce między nim

` a jaguarem. Toteż publiczność domagała się ponownego występu toreadorów, chciała, by zmierzyli się z bizonem. Krzyczeli tak głośno,

że trzeba było spełnić ich żądanie. Ale tym razem ukazał się tylko

Isa

jeden espada, mianowicie Crusada z iVladrytu, a dopiero po upływie

kilku minut zjawił się Antonio Perillo. Kulał wskutek zranienia, ale

i~~

za punkt honoru uznał, aby mimo rany wziąć udział w widowisku.

## 38

Pikadorzy otoczyli bizona. 'I~n leżał dalej, jakby ich w ogóle nie było. Wówczas jeden z nich cisnął w zwierzę oszczepem, który zanu-rzył się na kilka cali w jego garbie. Ponieważ bizon okazywał obojęt-ność, pikadorzy nie uznali za konieczne po ataku wycofać się i mocno się przeliczyli. Ledwie zwierzę poczuło ranę, zerwało się szybciej, niż można było przypuszczać przy takiej masywnej budowie i rzuciło się na napastnika. Zanim ten zdążył zawrócić konia, bizon już zatopił rogi w jego kłębach, podniósł go i z taką siłą cisnął na ziemię, że jeździec znalazł się pod koniem. Z taką samą szybkością bizon ruszył w bok, by zaatakować następnego pikadora. T~n zaczął uciekać, ale jego kofi był wolniejszy od bizona. Bizon nie zważając na innych picadores i banderilleros, którzy chcieli odwrócić jego uwagę kijami i oszczepami, dopędził konia i wbił mu jeden róg w bok, tak że zwierzę upadło, a jeździec wyleciał z siodła. Bizonowi chodziło raczej o czoło-wieka niż konia i zanim pikador zdołał się podnieść, już wisiał na rogach rozjuszzonej bestii, która cisnęła go w górę, chwyciła na rogi, znów cisnęła, po czym stratowała.

Człowiek ryczał, wzywając ratunku. Chciano mu przyjść z pomocą, lecz bizon nie zwracał uwagi na innych napastników i oszczepy, które zatapiały się w jego grubej skórze. Nie odstał pikadora, aż do chwili, gdy zostały po nim tylko bezkształtne zwłoki. Wtedy cofnął się i ryknął tak, że ryk jaguara wydawał się w porównaniu z nim dziecięcym kwileniem.

Ze wszystkich stron rozległy się oklaski i okrzyki pochwały. Kto miał jeszcze w ręku jakiś kwiat, rzucał go na arenę, a oklaski ogłuszały zgromadzonych.

Tymczasem kilku banderilleros wyciągnęło pierwszego pikadora spod jego konia. Chciał uciekać, ale nie mógł; ponieważ miał złamaną nogę. By go ocalić, trzeba było go wynieść. Ti~zech banderilleros podniosło go, by jak najszybciej z nim odejść, ale bizon był szybszy, popędził za nimi i to, co teraz nastąpiło, trwało krócej, niż umysł ludzki był w stanie sobie wyobrazić. Ujrzano, jak rozjuszony bizon

39

wpadł łbem na grupę i roztrącił ją, a następnie zaczął zadawać ciosy rogami na prawo i lewo. Rozległ się przeraźliwie ciężki tupot, jeden z banderilleros zdołał się uratować, dwóch pozostało na ziemi, także pikador był martwy. Jeden młody banderillero wyrwał pikadorowi oszczep z rąk i skoczył od tyłu na bizona. Chciał go ugodzić, lecz zwierzę przejrzało jego zamiar. Błyskawicznie się odwróciło i pochyliło łeb do ciosu. Oszczep ześliznął się po mocnym jak żelazo rogu i w następnej chwili odważny bojownik został wyrzucony w górę i zaraz potem padł pod kopyta zwycięzcy.

Bizon usiłował uwolnić się z tkwiących w nim oszczepów i z rykiem galopował po arenie. Tbreadorzy rozpiezchli się na wszystkie strony.

Kto nie mógł wybiec przez szybko otwarte drzwi, przeskakiwał barierę. By się ocalić zeskakiwali z koni, pozostawiając biedne zwierzęta na pastwę byka. Kilka koni uciekło przez barierę, ratując się w ten sposób. Wszystkiemu temu towarzyszył ryk rozentuzjzmowanego tłumu. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziano. Nikt nie żałował

, i . . . . .

ofiar, jakie padły. Wskutek odwagi, i potężnej siły zwierzęcia panował radosny nastrój. Ludziom nie wystarczały dotychczasowe zwycięstwa bizona, podniecony tłum wołał nieustannie: - Los espadas, tos espadas, fuera adelante los espadas, espadas, espadas, wychodcie, na-przód, espadas!

Jak wspomniano, ukazało się tylko dwóch espadas, Antonio Perillo i słynny Crusada z Madrytu, reszta od początku nie chciała się zmierzyć z bizonem. Crusada uciekł przez drzwi, Peiillo zaś, wskutek odniesionej rany niezdolny do szybkiego biegu, wdrapał się na drewnianą barierę. Siedział tam i kiedy go zawołano, odparł:

- Este bufalo es un demonio, el diablo debe combatir contra esta bestia, nosyo eso nó - ten bizon to demon, niech walczy z nim diabeł, ale nie ja!

~I

Nagrodzono go pogardliwym śmiechem, następnie wezwano Crusadę. 'I~n nie był ranny i musiał sobie uświadomić, że jeśli teraz okaże się tchórzem, koniec z jego sławą. Ale sam jeden nie mógł się waić

40 na zaatakowanie bizona, potrzeba mu było pomocników, których zadaniem byłoby w razie niebezpieczeństwa odwrócenie od niego uwagi zwierzęcia i skierowanie jej na siebie. Ti~zech banderilleros zgodziło się na to ryzykowne przedsięwzięcie, ale tylko za sówitą zapłatą. Gdy cała czwórka ukazała się na arenie, powitały ich gromkie brawa.

Bizon bynajmniej się nie uspokoił, krwawił z wielu niezbyt groźnych ran. Kiedy ujrzał nowych napastników, podniósł kudłaty łeb, zaczął walić kopytami i wydał wyzywający ryk.

- Jak sądzisz, co teraz będzie? ~ zapytał brat Jaguar swego sąsiada.

- 'I~n, który nie ucieknie, jest zgubiony - brzmiała odpowiedź.

- To zbrodnia posyłać ludzi na tego bizona.

- Myślisz, że jest nie do pokonania?

- Nie, ale tu może się z nim zmierzyć tylko jeden człowiek.
- Kim jest ten człowiek? Czy może mnie masz na-myśli?
- Może!

Crusada zbliżył się do bizona z boku, powolnym, nieśmiałym krokiem. 'I~zymał w lewej ręce kij z jedwabną chustką, a w prawej obnażony miecz. Jego wspaniała postać, odziana w bogato, zdobiony strój, jakby zapowiadała ponowne zwycięstwo. Podczas gdy banderilleros skradali się z drugiej strony, bizon, nie zważając na nich, skierował wzrok x~a Crusadę, w nim rozpoznając właściwego przeciwnika. Zwierzę było nie tylko silne i odważne, lecz także przebiegłe.

Wydawało się, że zna zamiary przeciwnika i nie pochylając łba, czekało na atak. Crusada podszedł na odległość pięciu kroków, a ponieważ mu się to udało, już poczuł się zwycięzcą. Widział tuż przed sobą szeroką pierś byka, cel, którego nie można przeoczyć. Podniósł więc kolorową mulętę, by odwrócić od siebie wzrok bizona i skierować na kij, po czym skoczył na zwierzę. Był to skok samobójczy. Byk nie zważał na mulętę, tylko na człowieka. Gdy uj rzał wymierzony w swoją , pierś miecz, pochylił łeb i przyjął cios pomiędzy rogi. Krótki, ledwie

41

dostrzegalny ruch łba i jeden róg tkwił głęboko w cieple espady. Byk podrzucił Crusadę do góry i w tył. Tizech banderilleros chcieli zająć bizona od tyłu, ten jednak zawrócił, by od nowa chwycić Crusadę, ujrzał ich i pochylił rogi. Wówczas tych trzech uciekło z . głośnym krzykiem. Bizon raz jeszcze wziął Crusadę na rogi i cisnął w górę.

- haya, quita, sogá! Que cobardia, que bajeza, que infamia - a fe, co za tchórzostwo, co za podłość, co za hafiba! - wołano ze wszy-stkich stron do banderill~ros, ponieważ haniebnie zostawili espadę bez pomocy.

Tb podziałało, wrócili i znowu zbliżyli się do bizona, ale nie mogli uratować Crusady, był już martwy. 'I~raz byk zwrócił na nich większą uwagę niż przedtem. Już miał przejść do ataku, lecz banderilleros zaczęli uciekać.

Wydawało się, że bizon dobrze wie, jak przeszkodzi~ im w ucieczce, gdyż popędził do drzwi, jak gdyby chciał odcią~ im drogę. Mogła ich ocalić tylko bariera, pobiegli, więc do niej. Byk to zobaczył i obrał ten sam kierunek. Pierwszy z banderilleros szczęśliwie dostał się na górę, drugi także, lecz trzeci nie był dość szybki, skoczył, chwycił się krawę-dzi bariery, lecz zanim mógł się podciągnąć, bizon już był za nim i trafił go rogiem w udo. Na szczęście cofnął róg, by zadać następny cios, dzięki temu mężczyzna się uwolnił i krwawiąc wprawdzie, zdołał wspiąć się na górę. Drugi cios byka trafił w barierę tak, że pękła belka. Zwierzę wiedziało, gdzie ma szukać wroga i ponownie uderzyło w barierę, na szczęście w miejscu, gdzie znajdował się wzmacniający filar. Filar zaczął drzeć pod nieustannymi, potężnymi ciosami. Barie-ra trzeszezała i gdyby bizon dalej w nią uderzał, pęciłaby, a wszyscy widzowie, znajdujący się za nią, byłiby narażeni na jego rogi.

Nic więc dziwnego, że po tej stronie cy~ku wybuchła panika, któ~'a bardzo szybko zaczęła się rozszerzać. Ludzie krzyczeli. Każdy, kto ii.: „,:’' czuł się zagrożony, pragnął się iatować. Wskakiwano na siedzenia i oparcia, by uciekać do tyłu, a tam nie było miejsca. Jeden człowiek przeskakiwał przez drugiego, wrzeszcząc i przeklinając popychano się

42

i tłoczono. Mogło dojść~ do strasznego nieszczęścia. Wówczas rozległ się donośny głos, który zagh~szył dzikie wrzaski:

- Quedad sentado! Zostańcie na miejscach, seniores! Nie ma niebezpieczeństwa. Biorę bizona na siebie!

Słowa te wykrzyknął brat Jaguar. Zdjął marynarkę, by mu nie przeszkadzała, znów wziął nóż i po raz drugi zaczął skakać po oparciach w dół aż do bariery, a stamtąd na arenę. Niebezpiecznie było nie po jego stronie, lecz po przeciwnej. Dla tego przebiegł przez arenę i zawołał tak, jak to czynią Indianie z Ameryki Północnej podczas polowania i wypraw wojennych. Jest to przeciągły, cienki dźwięk „hiiiiii”, przy czym Indianie bardzo szybko przebierają palcami tuż przy ustach. W ten sposób powstaje porywa-jący pisk, nie dający się opisać słowami.

Bizon pochodzący z północnych prerii znał to myśliwskie zawoła-nie, siyszał je często z ust polujących Indian. „Ihraz gdy je usłyszał, szybko się odwrócił, ujrzał brata Jaguara i zagroził sobą barierę, by czekać na nowego przeciwnika.

Lecz Hammer nie spieszył się z natarciem, z nożem w prawej ręce zatrzymał się pośrodku areny. Tam, gdzie przed paroma chwilami panowało dzikie zamieszanie, zapadła teraz głęboka cisza. Bizon wpatrywał się w brata Jaguara przebiegłym wzrokiem, ten zaś równie bacznie obserwował zwierzę. Wreszcie bizon ruszył powoli, krok za krokiem, jak gdyby wiedział, że teraz ma przed sobą o wiele groźniejszego przeciwnika. Hammer również posuwał się do przodu, tak samo powoli jak bizon. Tak zbliżali się do siebie coraz bardziej, wreszcie dzieliło ich tylko kilka metrów. Wtedy bizon ryknął gniewnie, podniósł łeb i zamierzał przejść do ataku. Wszyscy myśleli, że brat Jaguar cofnie się: On jednak, ku ogólnemu przerażeniu, nie uczynił tego, lecz pozostał na miejscu. Teraz bizon był tuż, tuż. Jego rogi musiały trafić człowieka, który jak gdyby zniechęcony pod wpływem nagłego przestraszenia. Brat Jaguar został ciśnięty do góry, na widowni rozległ się jednogłośny krzyk. Ale co to?

## 43

Brat Jaguar przeleciał w powietrzu, następnie stanął wyprostowany za wściekłym bizonem i trwał tak spokojnie, jak gdyby nie opuszczał swego poprzedniego miejsca! Bizon się odwrócił, znów na niego natarł, cisnął go do góry i przerzucił za siebie, po czym znów się odwrócił, by powtórzyć atak.

Toraz jednak ludzie spostrzegli, że cała ta przerażająco zuchwała gra była przez brata Jaguara zamierzona i została wykonana z wielką odwagą i zręcznością. Gdy byk unosił rogi, by zadać śmiertelny cios, zuchwały człowiek stawiał mu prawą stopę między rogami i pozwalał się podrzucać do góry, by wielkim susem zeskoczyć za nim na ziemię. Widzowie nie posiadali się ze zdumienia. Co za siła i zręczność w każdym ruchu Hammera! I b był pojedynek na śmierć i życie, a mimo to na jego ustach malował się uśmiech.

Im dłużej brat Jaguar pozostawał spokojny, tym większy niepokój okazywał bizon. To, że wciąż od nowa widział nieprzyjaciela za sobą nawet nie drażniętego, wprawiało go we wściekłość. Ryczał ze złości, jego ruchy stawały się coraz bardziej nerwowe, oczy podbiegły krwią, wskutek czego zmącił mu się wzrok. Już się zdarzało, że nie widział przeciwnika wyraźnie i rogami trafiał w próżnię. Na to tylko czekał brat Jaguar. Bizon znów go podrzucił w górę, a on znów stanął za nim, ale tym razem nie zatrzymał się, lecz skoczył szybko bokiem do przodu. Bizon, który właśnie się odwracał, odsłonił swój bok - odważny, sprężysty skok i Hammer siedział na jego grzbiecie. Nóż błysnął mu w dłoni, ostrze zatopiło się dokładnie w miejscu, gdzie ostatni krąg szyjny styka się z pierwszym kręgiem kręgosłupa. Bizon przez minutę stał nieruchomo, potem jego potężne cielsko przeszło drganie i nie wydając dźwięku, runął martwy. Brat Jaguar ześliznął się z grzbietu zwierzęcia, by wyciągnąć nóż z jego karku.

Wszyscy jakby oniemieli w oczekiwaniu, że bizon zaraz się zerwie i ponowi atak. Brat Jaguar dał znak swym towarzyszom, którzy siedzieli na widowni obok niego. Zręcznymi skokami przebyli tę samą

drogę, jaką przebył on, i przynieśli mu marynarkę. Hammer włożył ją

44 szybko i razem opuścili arenę przez drzwi przeznaczone dla publiczności.

'I~raz zbliżyli się liczni campeadores. Widzieli, że bizon leży powalony, podeszli więc ostrożnie, by go obejrzeć. Tbreadorzy, którzy czekali w bezpiecznym miejscu za barierą, poszli za ich przykładem. Widzowie trwali jeszcze w bezruchu, nie mogli się otrząsnąć z zaskoczenia, tylko prezydent zapytał ze swojej łóży:

-Esta el bufalo muerto -czy bizon jest martwy?

-Si, T ciestra mercec~ esta muerto -tak, Wasza Miłość, jest martwy

- odpowiedziano mu.

-Esta en verdal muerto, todo muerto - czy naprawdę nie żyje, jest całkiem martwy? - zapytał prezydent zaskoczony.

-Completamente difunto, indudablemente finado - całkiem martwy, bez wątpienia nie żyje. Por medio de un golpe de cuchillo en la nuca - zginął od ciosu nożem w grzbiet.

'I~ pytania i odpowiedzi przerwały zakłęty bezruch, w którym po-grażeni byli widzowie. Po długotrwałym milczeniu nastąpiły teraz ryki, brawa i tupot, sprawiało to wrażenie, że cyrk się wali.

- Gdzie jest brat Jaguar? Niech' tu przyjdzie! Niech przyjdzie brat

Jaguar! - rozlegały się tysiące głosów.

Ale brat Jaguar znikł.

Brat Jaguar

Brat Jaguar stał się bohaterem dnia. Imię jego było dziś na ustach ~ wszystkich, a później, gdy cyrk opustoszał, w iniejskach, gdzie znajdowało się dwóch lub więcej mężczyzn, stanowił on przedmiot rozmów i podziwu. Na próżno wielu pragnęło zobaczyć go jeszcze raz. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka.

Także w domu bankiera Salida mówiono o nim, przecież ocalił rodzinę przed śmiercią lub przynajmniej przed ciężkimi obrażeniami.

- Popełniłem ciężki, niewybaczalny grzech - rzekł doktor Mor-genstern. - Podziękował mi za poncho i nóż, a ja mu nawet nie powiedziałem dziękuję, po łacinie gratia, chociaż to właśnie na mnie ten kwizerczy jaguar skierował swój wzrok. Co on o mnie pomyśli! Wszedł służący i przyniósł wizytówkę, na której widniało nazwisko a "Karl Hammer. Bankier natychmiast udał się do poczekalni i był mile zaskoczony, kiedy rozpoznał w przybyszu brata Jaguara. Wyciągnął ~ do niego obie ręce i rzekł:

-To pans tak daremnie poszukuję! Proszę mi pozwoli~ uściskać dłoni i serdecznie powitać! Jak to miło, że daje nam pan sposobność wyrazić przynajmniej nasze głębokie wyrazy wdzięczności.

Przez poważne oblicze Hammera przeleciał uśmiech.

## 46

- Ale proszę ~ie sądzić, - rzekł wesoło - że po to do pana przyszedłem. Chodzi tu o interes, który mnie zmusza, aby na chwilę panu przeszkodzić.

Mówiąc te słowa wyjął portfel, a z niego papier, który podał bankierowi. 'I~n rzucił nań okiem i rzekł;

-Przekaz od mojego partnera z Cordoby. Suma ta będzie natychmiast do pafiskiej dyspozycji, chociaż mój bank jest dziś zamknięty z powodu walki byków.

-To nie takie pilne. Uważałem za stosowne przedstawić się panu i prosić o umożliwienie mi podjęcia tej kwoty w najbliższych dniach:

Ukłonił się i chciał odejść, lecz bankier ujął go za ramię i poprosił:



- Proszę jeszcze pozostać, senior! Nie mogę tak od razu pana p~ciE. Uratował pan nam życie, bardzo proszę, by pozwolił pan przedstawić swoją osobę mojej żonie.
- Bardzo proszę, aby pan tego zaniechał. Właśnie wdzięczność, o „, której pan mówi, zamyka przede mną pafiskie drzwi. Nie mogę w ~”” ~żadnym razie poczytywać sobie za zasługę czegoś, co należy przypisać przypadkowi.

Widać było, że skromność tego człowieka jest prawdziwa. Toteż Salido odparł:

- Senior, pafiskie zdanie na temat wagi tego, co pan uczynił, jest ‘.. zgoła inne niż moje, mimo to przyrzekam panu, że nie usłyszysz parrotodzie mnie ani od moich bliskich słowa podziękowania i mam nadzieję, że teraz zmieni pan swoją decyzję. ,

- Pod tym warunkiem gotów jestem przyjąć pafiską miłą propozycję.

Bankier zaprowadził go do pokoju, gdzie zgromadziła się rodzina i gdzie nagłe ukazanie się brata Jaguara wywołało wielką sensację i radość. Szczególnie zachwycony był Morgenstern, który początkowo nie mógł wyjść z podziwu, ale potem, wyciągając do Hammera dłoń, zawołał:

- Senior, jestem ogromnie rad, po łacinie gaudium albo laetitia, że mogę pana powitać, zwłaszcza, że uważam za swój obowiązek wyrazić panu wdzięczność za..:

- Dość! - przerwał mu bankier. - Senior Hammer zgodził się tu wejść~ tylko pod tym warunkiem, że nie będziemy mu mówili o wdzięczności. Proszę więc przynajmniej teraz nie wymierzać tego słowa.

- Ale skoro nie wolno mi dziękować, to o czym mam mówić?

- O czymkolwiek, na przykład o pańskich przedpotopowych zwierzętach.

Salido powiedział to żartem, lecz mały uczonek natychmiast skorzystał z okazji, by podjąć swój ulubiony temat i, aby nikt nie uprzedził go z pytaniem, dodał pośpiesznie:

- To istotnie bardzo słuszne! Senior Hammer, czy widział pan już kiedyś megatherium albo mastodonta?

- Wielokrotnie - odparł zapytany.

- Gdzie, gdzie?

- Na pampasach. Kto ma dobre oko na tego rodzaju znaleziska, nie musi długo szukać.

- Doprawdy? Czy pan ma takie oko?

- Co prawda nie chcę twierdzić, że tak, ale miałem okazję służyć uczonym panom jako przewodnik po pampasach.

- ‘Tak? Aie do tego, by dostrzec miejsce, które kryje w sobie przedlodowcowe rośliny i zwierzęta; trzeba spojrzenia wyszkolonego paleontologa. Skamieliny, pozostałości przedlodowcowej fauny i flo-ry, ~chowały się do naszych czasów w bardzo różnym stanie.

- Tak, to prawda - odparł Hammer z uśmiechem. - Chodzi tu o zwęglenie, wyługowanie, inkrustację, petryfikację, a wreszcie o odkształcenia.

Mały uczonek cofnął się o krok i spojrzał na olbrzyma zaskoczony.

- Senior, mówi pan jak profesor paleontologii! Tti moja ulubiona gałąź nauki. Mam zamiar napisać obszernie dzieło o zwierzętach, które istniały przed epoką jurajską.

## 48

- Istniała przedtem cała masa zwierząt, ponieważ z samej jury znane nam jest chyba z dziesięć tysięcy gatunków.

- Dziesięć tysięcy... - Mały uczonek z wrażenia na chwilę zanie-mówił. Potem ciągnął dalej - ... gatunków~! I pan to wie? Jakie to gatunki?

- Jamochłony, jeżowce, robaki, pierścieniowce, mięczaki, a w górnych warstwach nawet kręgowce, na przykład rekiny. Zwierzęta lądowe jednak pojawiły się dopiero w triasie. Owady i gady spotykamy w karbonie, permie, triasie, w jurze i kredzie.

- A ssaki? - zapytał uczony z ciekawością.  
- W górnym triasie spotykamy już torbacze, pierwsze ptaki zaś w górnej jurze. W trzeciorzędzie natomiast grają one przewodnią rolę, „:”. którą wcześniej grały gady.

- A człowiek?

- ‘I;n pojawia się dopiero we wczesnym dyluwium.

Wtedy profesor podskoczył z radości i zawołał:

- Kto by to pomyślał! I to tutaj, w Buenos Aires! Pan jest niczym profesor Giebel, który napisał słynny podręcznik o faunie przedlo-dowcowej. Proszę, niech pan usiadzie. Chciałbym zadać panu jeszcze kilka bardzo ważnych pytań z dziedziny paleontologii. Kiedy pojawia-ją się prawdziwe amonity, które w górnej jurze i dolnej kredzie ;~‘ osiągnęły najwyższy rozwbj, a w alpejskim triasiewystępowałyjedynie pojedynczo? I dlaczego nautilus i lingula zalicza pań’ do gatunków, które przetrwały i jak pan potrafi dowieść zróżnicowania w świecie zwierząt, skoro mówi się, że...

- halgame Dios - na litość boską! - przerwał mu bankier, zasłaniając oczy obiema rękami. -

Seniores, proszę nie zapominać, że znajdujecie się nie w przedpotopowej kredzie, lecz u mnie, który o tych sprawach nie ma zielonego pojęcia! Bądźcie więc tak dobrzy i zostawcie ten temat na później, choć może nawet jest on interesujący. Brat Jaguar zgodził się ze śmiechem. Ale mały uczony wcale nie był zadowolony, ie musi przerwać rozmowę. Zaczęto mówić o dzisiejszej 49 walce byków, przy czym doktor Morgenstern wygłosił kilka uwag na temat historii kultury. Mówił o rzymskich gladiatorach i przy okazji wyraził uznamie bratu Jaguarowi.

- Pan byłby w każdym razie doskonałym gladiatorem, zdolnym dokonać wielkich czynów. Ib doprawdy wielka szkoda, że nie żył pan w tamtych czasach.

- Dlaczego szkoda? - za^pytał Hammer rozbawiony.

- Bo napisano by o panu niezwykle pochlebnie w „Historii Oby-czajów Rzymu” Friedlandera i w „Rzymskiej Administracji Państwo-wej” Marquardta.

- Dziękuję, senior. Gdybym wtedy żył, .byłbym już od przeszło tysiąca lat martwy. Wolę żyć teraz niż być wspomnianym w książkach obu panów.

- Być może. Ale i tak nie uniknie pan wzmianki o sobic. W dziełach na temat walk byków b~ędzie pan wymieniony jako jeden z największych toreadorów. Jak się panu udało zabić jednym ciosem noża tego straszego bizona?

- Tb kwestia doświadczenia., Zabiłem już w ten sposób wiele bizonów.

- Myślałem, że tutaj, w Argentynie, nie ma bizonów. A może nauka się myli?

- Nie, nie myli się. Bizony, o których wspomniałem, pokonałem w Stanach Zjednoczonych.

- W Stanach Zjednoczonych? No to muszę pana od razu zapytać, czy zna pan w Kentucky słynną Jaskinię Mamutów?

- O tym przy innej okazji, drogi panie, przecież mamy nie rozma-wiać o sprawach przedlodowcowych.

- A więc nie wolno mówić o wdzięczności, którą jesteśmy panu winni, ani o skamieniałych zwierzętach. Więc zapytuję, o czym mamy mówiE? Bo ja jako Niemiec, jestem przyzwyczajony mówić...

- Pan jest Niemcem? - przerwał mu brat Jaguar.

- ‘Iak. Nazywam się Morgenstern, jestem uczniem i badam świat SU przedlodowcowy.

- Ja natomiast jestem laikiem i badam świat współczesny. Nazy-wam się Hammer, więc jesteśmy krajanami.

- Jak to, więc i pan jest Niemcem? Ja pochodzę z Jóterbogk. A pan, jeśli wolno zapytać?

- Urodziłem się w złotej Moguncji.

- Ach, w Moguncji, zbudowanej przez Drususa Moguntiacum!

Zamek położony jest po drugiej stronie. A ca pana przygnało do Ameryki Północnej?

- Żądza czynu!

- A do Ameryki Południowej?

- O tym wolę nie mówić.

Jego dotąd pogodna twarz po tych słowach bardzo spoważniała. 'Taktowny bankier zrozumiał, że dotknięto wrażliwego miejsca w sercu tego słynnego człowieka i nadał rozmowie inny kierunek, zapy-tując uprzejmie.

Wszędzie pana szukano. Z tego wnoszę, że nie mieszka pan w hotelu, bo tam pana nie zakwaterowano.

- Mamy przyjaciół w Buenos Aires i możemy u nich mieszkać bez ' skrępowania.

?

- Czy pozostanie pan tutaj dłuższy czas

'  
Nie, wkrótce udaję się w Andy:

- Którędy?

Przez 'Iicuman, prawdopodobnie do Peru.

Bankier nastawił uszu i zapytał szybko:

r

Czy dotrze pan też do Limy?

Y;iL.:

- Możliwe.

Mam bowiem ważny powód, że o to pytam, senior. Przebywa u mnie w gościnie siostrzeniec, który czeka na dogodną sposobno~ć, by przez Andy dotrzeć do Limy:

- Ile ma lat?

, .. - Szesnaście.

51

- Więc lepiej niech pozostanie tutaj.

- On musi wrócić. Już dawno by odjechał, gdybym znalazł dziel-nego i niezawodnego przewodnika, któremu mógłbym powierzyć chłopca. Zresztą jest on jak na swój wiek dobrze rozwinięty fizycznie i umysłowo.

- Ale niech pan weźmie pod uwagę niebezpieczefstwa, jakie czyhają podróżnika na tej drodze.

- Biorę to pod uwagę. Ale będą one tym mniejsze, im bardziej doświadczony i niezawodny jest podróżnik. Pan zamierza przejść przez Andy. Chciałbym zadać panu pytanie i dołączyć do tego prośbę.

Spojrzał na brata Jaguara wyczekująco i dodał:

- Oczywiście uprzejmoś~ tę opłacę tak sownie jak tylko pozwalają na to moje środki.

Hammer lekko potrząsnął głową i odpowiedział:

- Za tó nie da się zapłacić. Przemierzałem Gran Chaco jako zbieracz herbaty, Peru jako pószukiwacz złota, Andy jako myśliwy polujący na futra i Brazylię jako zbieracz kory chininy. Wszędzie towarzyszyli mi inoi kompani. Nie baliśmy się niebezpieczefstw, bo potrańmy sobie z nimi póradzić, dopóki jesteśmy sami. ObecnoŚE obcego, w dodatku młodego, niedoświadczonego towarzysza, pozba-wiłaby nas pewnoŚci siebie, tak, że moglibyśmy zawieŚć zaufanie, jakim nas obdarzono.

- Mówi pan jak człowiek przezorny i uczciwy, ale mój Antonio nie jest wcale taki niedoświadczony, jak pan myŚli. Jeździ kónno i doskonale strzela i już dwukrotnie przemierzył Andy w drodze do Boliwii, nie licząc podróży morskiej z Peru tutaj. Jest silny, wytrzyma-ty, przedsiębiorczy i niewymagający, nieobce mu są wyrzeczenia i trudy. A oto on! Niech pan na niego popatrzy i porozmawia z nim. Jego rodzice to Niemcy. Sądę, że ta ostatnia okolicznoś~

może zaważyć na pafiskiej decyzji. Chodź tu, Antonio! Ten senior chce się przedostać do Peru. Pojedziesz z nim?

- Z nikim nie pojechałbym tak chętnie jak z nim - odparł 52 radośnie.

Był to istotnie niezwykle silny i przystojny chłopiec. Jego opalona !'twarz miała charakterystyczne rysy wskazujące na umiejętność samo-dzielnego myślenia i działania. Włosy miał ciemne, ale błękit oczu i otwarte, szczere spojrzenie zdradzały prawego człowieka. Wydawało ~ię, że zarówno on sam jak i jego odpowiedź spodobały się bratu Jaguarowi, gdyż podał mu rękę, przyciągnął bliżej do siebie i piesz-czotliwie pogłaskał po głowie.

- A więc powiada pan, że chętnie by ze mną wyruszył? I nie boi się pan uciążliwości długiej jazdy konnej? - zapytał

- Tb mnie nie zniechęca, wprost przeciwnie, bardzo lubię podró-żowaE konno.

- A droga przez groźne Gran Chaco, jaguary i Indianie?

-Nie obawiam się. Umieć posługiwać się karabinem i nożem.

~ Ach tak! A więc jesteśmy bardzo odważni. A co poza tym ;~, . ' umiemy, zuchwały młody człowieku?

To pytanie wprawiło młodzieńca w lekkie zmieszanie, szybko jed-nak je pokonał i odparł:

- Wiem dobrze, senior, że chłopcy w moim wieku w Niemczech ;,f ' szybciej idą do przodu i łatwiej osiągają cele niż my tutaj, bo mają ! lepsze szkoły i lepszych nauczycieli. Ale ja uczę się w Instytucie Sztuki i Rzemiosła, ponieważ mam zostać następcą mego wuja. Poza tym ;4 . . ojciec zatrudnia niemieckiego nauczyciela i uczymy się obaj z bratem, a później będę studiował na niemieckim uniwersytecie. Jeśli pan zechce mnie przeegzaminować, bardzo chętnie panu odpowiem na wszystkie pytania.

- Ió mi się podoba, wcale nie mówi pan jak uczeń z ostatniej ławki. I jest pan Niemcem? Ale chyba tylko z pochodzenia?

- Nie, senior. Jestem Niemcem całym moim sercem. Nie urodzi-łem się tam, ale uważam Niemcy za swoją ojczyznę. Żeby być prawdzi-wym Niemcem, nie trzeba wcale tam mieszkać, ponieważ niemiecka ojczyzna jest wszędzie tam, gdzie słycać niemiecką mowę.

53

Mówił to szczerze, z całego serca.

Mały uczony zerwał się pełen zachwyty i rozpostarł ramiona.

- 'Tak, tam, gdzie słycać niemiecką mowę i niemieckie pieśni.

Sam jestem członkiem Niemieckiego lbwarzystwa Śpiewaczego w J6terbogh i ~piwam pierwszym basem.

Brat Jaguar skinął chłopcu życzliwie głową i rzekł:

- Sh~sznie! Starsi od pana ludzie odczuwają to samo, kiedy mowa jest o ojczyźnie. Widać jest pan dzielny chłopcem, więc zastanowię się, czy byłoby możliwe spełnienie życzenia pafiskiego wuja.

- Bardzo o to proszę, bardzo proszę! - zawołał chłopiec. -Będę posłuszny i do wszystkiego się zastosuję.

- Ja również bardzo o to proszę - rzekł bankier. - Wyświadczy mi pan wielką przysługę.

- To nie ode mnie zależy, lecz od moich towarzyszy - odparł brat Jaguar. - Porozmawiamy o tym.

Nie musiały się pan niepokoić o chłopca, bo z Santa Fó, skąd wyruszamy konno, będzie nas~dwudziestu czterech mężczyzn, z których żaden nie odczuwa strachu nawet przed najgorszym. Co prawda podróż przebiegałaby całkiem inaczej, niż pan sobie wyobraża.

Pomyślne przeprowadzenie pafiskiego siostrzeffi-ca przez Andy byłoby sprawą uboczną, ponieważw Gran Chaco mamy do spełnienia zadania, których nie da się odłożyć na potem.

- W Gran Chaco? - zapytał uczony. - Czy i tam tra iają się skamieliny, senior Hammer?

- Jeszcze jakie! I to więcej niż gdziekolwiek indziej! Na pampasach już wszędzie szukano, w Chaco natomiast nie, ponieważ żaden badacz tam się nie zapaści ze strachu przed Indianami. Znam miejsca, gdzie wystarczy trochę pokopać, a odkryje się wspaniałe znaleziska.
- Hurra! Wobec tego rezygnuję z pampasów i jadę także do Gran Chaco! Doprawdy, nie mogę pominąć takiej okazji, po łacinie *fiuctus*, a także *commodum*.
- Nie tak szybko, mój drogi! Z Buenos Aires do dzikiego Chaco nie dojedzie się tak łatwo jak z Jdterbogk do Berlina.

## 54

- Co tam! Jeśli Indianie dadzą mi nuty, to zaśpiewam im *pñma visu*, jak to się mówi po łacinie. Ale mam nadzieję, że mnie pan ze sobą zabierze,
- Ma pan nadzieję? - mruknął brat Jaguar z miną wyrażającą powątpiewanie. - Proszę, drogi senior Morgenstern, niech się pan ; ~stanowi, czy jest pan odpowiednią osobą na takie zuchwałę przed-  
~', ..': ~ię~ęcie?
- ‘ - Dla mastodonta czy glyptodonta zaryzykuję nawet własne życie.

‘ Chyba nie odmów pan prośbie rodaka.

- A jednak tak! Musi pan poniechać tej myśli.

Nie można było w żadnym razie brać Hammerowi za złe, że w swej niebezpiecznej wyprawie konnej chce mieć tylko niezawodnych ludzi. M ‘ . Widać było, że propozycja uczonego była mu bardzo nie na rękę.

Dlatego też gospodarz skierował rozmowę na inne tory. Goście pozostali na kolacji. Kiedy się żegnali, Salido był na tyle taktowny, że nie powtórzył swej prośby. Wiedział, że brat Jaguar przyjdzie tu jeszcze, by przedłożyć czek, a wtedy będzie mógł ponownie sprawę poruszyć. Doktor Morgenstern jednak nie był tak taktow-ny. Ujął Hammera za ramię i zapytał skromnie:

- A więc, senior, ile mam zakupić koni?
- Koni? A po co?
- No jak to, na naszą wyprawę. Przecież muszę mieć konie, inotyki, łopaty i inne narzędzia.
- I nic poza tym? - zapytał brat Jaguar niemal gniewnie:
- A co jeszcze?
- Pociąg towarowy. Czy myśli pan, że jeśli znajdzie pan słonia olbrzymia, on sam pobiegnie do Jóterbogk, by zostać tam członkiem Towarzystwa Śpiewaczego?

Z tymi słowami Hammer ruszył do drzwi, zostawiając małego uczonego. Bankier towarzyszył mu do wyjścia. Kiedy właśnie mieli się pożegnać, nadszedł policjant, który chciał przeprowadzić dochodzenie w sprawie wczorajszego napadu, i rzekł, że *espada Antonio Perillo 55* nie mógł być sprawcą, ponieważ mógł udowodnić, że jest niewinny, ma bowiem alibi nie do podważenia.

Panowie jeszcze jakiś czas rozmawiali o tej sprawie. Oświeślały ich przy tym jasno świece, które trzymał peon. Nie spostrzegli więc, że są obserwowani.

Przedtem policjant skręcił w ulicę, gdzie znajdowała się quinta, poszli za nim ukradkiem dwaj ludzie, tak cicho, że ich nie spostrzegł. Teraz stali po drugiej stronie. Był ciemny wieczór, ale nawet gdyby było widniej, trudno by ich było zauważyć, ponieważ przywarli do krzewów oleśńdrów, stanowiących ogrodzenie. Byli to obaj zbrodniarze, którzy chcieli zamordować doktora Morgensterna.

- ‘Tak sobie pomyślałem, że ten policjant pójdzie do bankiera - szepnął Antonio Perillo to towarzysza. - A więc nie na próżno czatowaliśmy przed jego domem. Chciałbym wiedzieć, co on ma do powiedzenia.
- Wiem to dokładnie - odparł ten drugi równie cicho. - Powie mu, że ty nie wchodzisz w rachubę jako sprawca, ponieważ jesteś... do licha! - przerwał nagłe. - A kto to jest ten drab?

- Jaki drab?

- Tan olbrzym, który stoi obok bankiera.

Blask świecy padł właśnie na twarz Hammera.

- Nie znasz go? - zapytał Antonio Perillo. - Ach; zapomniałem, że nie byłeś na walce byków. Ib brat Jaguar, ten łotr, który nas wszystkich skompromitował. El diablo se le leve - niech go diabli porw~,ą!

- Brat... Ja... gu... ar? - zapytał starszy rozciągając sylaby. - Więc to jest brat Jaguar? Naprawdę?

- Znasz go?

- Czy go znam! Ileż to lat marzyłem o tym, by się zetknąć z tym człowiekiem i wreszcie przypadek, a raczej szczęście sprawiło, że moje życzenie zostało spełnione. A teraz go widzę, a on mnie nie i oto dowiaduję się, że to ten... ten... ten! Co za nowina! Wprost nie mogę

w to uwierzyć!

Szeptał te słowa urywając i był jakby nieobecny duchem. Antonio Perillo nie rozumiał zachowania swego kompana, zapytał więc:

- Co się z tobą dzieje? Co ty gadasz? Kto to jest?

- Powiem ci, kto to jest, znasz przecież tę historię. 'I-go człowieka Indianie północnoamerykańscy nazywają Metana Mu.

- Nie rozumiem tych słów.

- Po angielsku nazywają go Lighming-hand.

- Po angielsku także nie rozumiem.

- Więc dowiedz się, że Meksykańczycy nazywają go El Maño relampagueando.

- Co takiego? Błyskająca Ręka? Czy to możliwe? - zapytał Antonio Perillo zaskoczony. - Więc to jest brat tamtego... tamtego... ktbrego ty wtedy...

- ~k, tamtego... tamtego... którego ja wtedy...! Przebywa tu już długo pod imieniem brata Jaguara, a więc zaraz potem przybył do ' Argentyny. Wykrył moje ślady i podążył za mną, by pomścić śmierć brata, ale nie napotkał mnie, tak jak ja go nigdy więcej nie widziałem.

- Więc to tak, nie ~oże być inaczej. No ta uważaj!

- 'Iak; będę uważał. Teraz już poznałem owo wielkie niebezpie-czefistwo, jakie od dawna na mnie czyhało, a ja nic o nim nie wiedzia-łem. Wyjdę mu naprzeciw na swój , sposób. On mnie szukał i. nie znalazł. A ja go znalazłem, nie szukając. Nie wymknie mi się.

- Chcesz go...?

- Tak.

- 'Iak samo jak jego brata?

- 'Tak samo. A może myślisz, że zostawię go przy życiu, by wpaść w jego ręce? Ale co on tu robi u tego bankiera, u którego mieszka ten mały czerwony, co to ubiera się jak gauczo, chociaż nim nie jest?

- Tb istotnie dziwna sprawa.

- Może są zaprzyjaźnieni? 'I~n karzeł i olbrzym? Muszą obaj zniknąć. Pomożesz mi? 57

- Po co pytasz! Rozumie się, że moja ręka, mój nóż i moje kule należą do ciebie. Jesteśmy spokrewnieni i mamy wspólne interesy.

-Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, gdzie mieszka ten brat Jaguar. Posłuchaj!

Policjant odszedł pierwszy. Powtórzył głośno ku radości Peñlla, że ten jest niewinny. Potem odszedł także brat Jaguar, wymieniwszy jeszcze z bankierem kilka uprzejmych słów.

- 2~ teraz za nim! - szepnął Peñllo. - Musimy się dowiedzieć, gdzie się zatrzymał. Nie spuszczać go z oczu!

## Nowa znajomość

Było to czternaście dni później, gdy przybywający z Rosario parowiec dobił do portu Santa F6. Przerzucino trap i pasażerowie pospiesznie zeszli na ląd. Na nabrzeżu przechadzało się sporo oficer6w, dla których przybycie obcych stanowiło pożądaną rozrywkę w tym nudnym miasteczku.

Jako ostatni na ląd zeszli dwaj drobni mężczyźni, ubrani w czerwone stroje gaucz6w i tak do siebie podobni; że trudno było ich rozr6żnić. Mieli także jednakow6 broń, strzelbę i dwa rewolwery, które wystawały zza pasa, oraz noże. Gdy oficerowie ujrzeli tych dw6ch, wydali się zaskoczeni. Jeden z nich, w randze kapitana, rzekł do koleg6w:

- A to kto? Nadchodzi coronel Glotino i to w przebraniu! Chce pozostać nie rozpoznany, czy też mamy mu zaszalutować?

- Poczekajmy, aż zwr6ci na nas uwagę - rzekł jeden z porucznik6w.

Obaj czerwoni powoli zbliżyli się w stronę oficer6w. Tamci trzasnęli obcasami i unieśli ręce, aby zaszalutować.

-Buenos manianas - dziefi dobry! - odpowiedział mały uczoney, bo to był on, przykładając średni palec prawej ręki do uda. Jego

59 towarzysz, Fritz Kiesewetter ze Stralau, zrobił to samo.

- Piękn6 pogodę dziś mamy, seniores. Prawda?

- Istotnie, panie pułkowniku - odparł kapitan. - Czy dobr6 miał pan pułkownik podr6ż? Zostanie pan dziś tutaj?

- Może. Szukam kwatery.

- Pozwoli pan pułkownik, że będę mu towarzyszył?

- Bardzo chętnie, ale nie jestem pułkownikiem.

- Rozkaz! Rozumiem. Misja dyplomatyczna, a może prywatna wojskowa inspekcja. W jakim charakterze mamy dziś pana powitać?

- Czy ma pan na myśli, jak mnie tytułować? Jestem zoologiem i nazywam się doktor Morgenstern z Jiiterbogk. ~

- Bardzo słusznie! Im bardziej obce i trudne do wym6wienia nazwisko, tym głębsze i nieprzeniknione jest incognito. A ten senior, wasza mił6ść?

-To Fritz Kiesewetter, In6j służ6c~.

- Tb jeszcze trudniejsze do wym6wienia. Pozwoltwasza mił6ść, że udamy się teraz do więzienia! ~ Grupa ruszyła, przodem szedł uczoney, po jego lewej stronie z szacunkiem o krok za nim szedł kapitan, z tyłu Fritz Kiesewetter z reszt6 oficer6w po obu stronach.

Więzienie w Santa F6 był to wielopiętrowy budynek z wież6, po-chodzący jeszcze z czas6w hiszpańskich. Okna, a nawet balkony były zabezpieczone zielonymi kratami. Przed frontonem budynku stało kilka armat. Żołnierze stali lub siedzieli przed drzwiami, a liczni więźniowie wyglądali przez zakratowane okna, ~ - Do licha! - rzekł uczoney po niemiecku do swego służ6cego.

- To przecieź więzienie: Czyżby mieli nas za zb6jc6w lub zł6dziej, po łacinie expilator i vulturius?

-Sk6dże-odparł Fritz:-Po takim eleganckim powitaniu chyba nas teraz nie zaaresztuj6. Ja myślę raczej, że mają wobec nas jak najlepsze zamiary. Wejdźmy tam. Jakoś sobie poradzimy. Nawet jeśli nas nie wypuszcz6, to i tak uciekniemy.

## 60

Żołnierze zaszalutowali regulaminowo i mężczyźni weszli. Obu Niemc6w wprowadzono przez wewnętrzny dziedzińiec i schody do kilku całkiem ładnie urz6dzonych pokoi. Na progu oficerowie się pożegnali. Kapitan rzekł przy tym:

- Zaraz załatwię posiłek i przyślę ordynansa. Dziś ja jestem komendantem, ponieważ pan major musiał udać się do Parany. Czy pan gułkownik, och, przepraszam, czy pan zoolog ma jakieś rozkazy?
  - Rozkazów nie, ale prośbę. Proszę się dowiedzieć, czy przybył przedwczoraj do Santa F6 jakiś yerbatero, który jednocześnie jest sendadorem, a zwą go bratem Jaguarem. Muszę wiedzieć, gdzie się zatrzymał.
  - Czy przybył statkiem, wasza miłość?
  - Tak. Z Buenos Aires, ‘
  - Wobec tego spodziewam się, że w ciągu pół godziny będę mógł służyć informacją. Zasalutował i odszedł, a wkr6tce potem zameldował się podoficer do osobistych posług. Przyni6sł mi6s6, chleb, owoce i wino bordeau, kt6rego w La Plata pije si6 duzo.
  - No, trzeba co6 przetrzacić, - rzekł Fritz - jednak co wojsko, to wojsko. Wciąz jeszcze jestem zły, że mnie odstawili. Przy moich zaletach na pewno szybko wspiąlbym si6 do g6ry i m6gl6bym szczerkać szabelk6. Bierzmy si6 do jedzenia, panie doktorze, nalej6 wina. Napełnił kieliszki. ~aj jedli i pili spokojnie, siedz6c obok siebie, z czego podoficer wywnioskował, że Fritz Kiesew6tter nie jest służ6cym, lecz takz6 wyzszym oficerem. Fritz zajadał z wesol6 min6, lecz doktorowi cała sprawa wydawała si6 niepokoj6ca.
  - Tytułuj6 mnie pułk6wnikiem. Jestem adeptem pokojowej na-uki, a nie ż6dnym argentyfiskim partyzantem. Wi6c co ma do mnie ten stopieñ wojskowy?
  - Tyle co piernik do wiatraka. Ale niech pana o to gł6wa nie boli.
- Mog6 mnie nazywać nawet generałem, a i tak pozostan6 tym, kim jestem i z ochot6 zjem to, co nam ordynans postawił na stole.

## 61

- Alez Fritz, wydaje si6, że bior6 mnie za 6ncera. Pomyłka ta, po łacinnie error, moze sprowadzić na nas przykrosci.

- Na razie sprowadziła nam smaczne śniadanie, czego wcale nie uważam za pomyłk6.

- Ale skutki, Fritz! Widać, że masz w charakterze wlaściwość

kt6r6 po łacinnie nazywa si6 levitas, czyli lekkomyślność.

- Ib chyba nie tak, panie doktorze. Czy Rzymianie odmawiali jedzenia, kiedy stawiano przed nimi straw6?

- S6dz6, że nie.

r’ ;;;.

- Totez żaden Rzymianin nie moze mnie nazwać levitas; jeśli usi6d6 tam, gdzie mnie chc6 nakarmić.

‘I-raz zgł6sił si6 kapitan i stan6wszy na baczność, zameldował:

- Brat Jaguar przybył tu wczoraj, a dziś rano wraz z dwudziestoma trzema dorosłymi m6żczyznami i jednym chłopcem wyruszył do La-

guna Porongos.

- Konno?

- Tak. Dwudziestu jego towarzyszy czekało na niego tutaj przez kilka dni.

- Muszę jechać za nim. Czy moze mi ~pan załatwić konie?

- Rozkaz, wasza miłość. Ile?

- Dwa jako rezerw6, a wi6c cztery.

- Czy maj6 być z pułku?



- Nie z pułku, nie umiem jeździć konno jak żołnierz.
- A więc z rekwizycji i - rzekł ońcer z porozumiewawczym uśmiechem. -  
Kiedy konie mają być gotowe, wasza miłość?
- Za godzinę.

Kapitan zsalutował i odszedł: Gdy zjawił się ordynans, by zabrać

, naczynia i przynieść papierosy, Morgenstern zapytał:

- Czy mogę otrzymać moje rzeczy, mój drogi? Ponieważ statek odpływa dopiero po południu, a ja nie wiedziałem, gdzie się zatrzymam, na razie zostawiłem bagaże na statku. Jest to tobołek, po łacinie sarcina, w którym znajdują się narzędzia i paczka owinięta w skórę, a

62

zawierająca książki.

- Zaraz wszystko zostanie przyniesione, senior coronel! -z tymi słowami podoficer wyszedł pospiesznie.

Po upływie kwadransa kapitan wrócił i zameldował, że konie gotowe.

- Ile kosztują? - zapytał Morgenstern.
- Oczywiście nic, wasza miłość~ - uśmiechnął się oficer.
- Ale ja chcę zapłacić.
- Zoolog nie musi płacić!
- Dlaczego?
- 'Isiki jest zwyczaj w tym kraju, senior.
- Dziwne! Kraj ten został ucywilizowany przez Hiszpanów, którzy swoją mowę i obyczaje odziedziczyli od Rzymian: Nigdzie nie czytałem, by u tych ostatnich uczeni otrzymywali konie za darmo. Później będę musiał dokładniej te sprawy przestudiować, chodzi tu bowiem o okres kulturowo-historyczny wielkiej wagi. Wydaje się, że Argentyna jest jedynym krajem, który zachował ten piękny zwyczaj. Jest także pod innym względem zachowawczy, gdyż na swoich pampasach ukrywa świadków, dowody dawno minionego życia. Nie będę tu mówił o mastodontach i megatherium, ale muszę jednak pana zapytać, czy miał pan także szczęście ujrzeć człowieka z trzeciorzędu?
- Z trzeciorzędu? = zapytał kapitan zmieszany. - Czy zechce wasza miłość rozkazać, kogo mam sobie wyobrazić jako osobę z trzeciorzędu?
- Ja nie rozkazuję tylko proszę. Już w starszych warstwach pliocenu znaleziono ślady ognia i narzędzi kamiennych. Później odkryto nawet szkielety ludzkie. A więc na pampasach istnieli podobno ludzie już w ~rednim pliocenie, którzy rzecz dziwna mieli przeborowany mostek, a w kręgosłupie trzymał kręgi zamiast dwunastu. Możliwe, że my po upływie tysiącleci będziemy mieli tylko jedenaście, dziesięć, albo jeszcze mniej kręgów, co by mnie wcale nie zdziwiło.
- 'Ió dowocizi, - rzekł Fritz bardzo poważnie po hiszpańsku - że jeszcze późniejszy człowiek wcale nie będzie miał kości.
- Całkiem możliwe - przyznał doktor. - 'Iransformacja żywych istot trwa nieprzemownie, choć nie można sobie wyobrazić przyszłych kształtów. Weźmy dla przykładu ząb niedźwiedzia jaskiniowego. Czy widział pan już taki ząb, panie kapitanie?
- Nie - odparł kapitan, który już zupełnie nie wiedział, co sądzić o „pułkowniku”.
- T~n ząb, mianowicie ząb trzonowy, jest w ten sposób...

Przerwano mu. Weszło kilku żołnierzy, przynieśli bagaż, który położyli na podłodze i odeszli.

Jeden toboł zawierał dwie motyki i dwie łopaty, a drugi pękł, tak że wypadło z niego kilka książek.

Kapitan ~achylił się służbiście, by je podnieść i położyć na stole. Przy tym wzrok jego padł na książkę pod tytułem "Nuwestros predecesores de los Pampas", czyli „Świat pietnotny na

pampasach”. A w środku widniało nazwisko Morgenstern, Jiiterbogk. Oficer szybko otworzył drugą, trzecią i czwartą książkę. Wszystkie były opatrzone tym samym nazwiskiem. Wtedy zapytał pospiesznie:

- Jak pan się przedtem~ nazwał - zoologiem?
- Jestem doktor Morgenstern z Jiiterbogk.
- Czy to pafiskie prawdziwe nazwisko?
- ~k jest.
- Może pan tego dowieść?
- Bardzo łatwo.
- W jaki sposób?
- Za pomocą mojego paszportu.
- Proszę go pokazać!

Brzmiało to raczej gniewnie. Uczony wyciągnął swój portfel z paszportem i podał oficerowi. Gdy ten zerknął na niego, zawołał od razu:

- Que yerro y que desvergüenza! Mas aun que semejanza! Sois bribones, sois embusteros - co za pomyłka i co za bezczelność! Ale także co za podobieństwo. Jesteście łotrami i oszustami!

## 64

- Łotrami? Oszustami? My? - zapytał Morgenstern. - Senior, zechce mi pan powiedzieć, jak doszedł do takiego wniosku, który jest całkowicie bezpodstawny, po łacinie inan~ter?
- Daj pan spokój ze swoją łaciną! Jak pan nas może okłamywać i podawać się za pułkownika Glotino, szwagra naszego generała Mi-tre?
- Czy ja coś takiego zrobiłem? -odgowiedział ostro Morgenstern.
- Jak pan śmie, mnie, obywatela niemieckiego, nazywać kłamcą?
- Milczeć! Czy pan wie, że mogę pana z miejsca aresztować?
- Może pan, ate potem nie będzie się pan mógł z tego wytluma-czyć, pociągnę pana do odpowiedzialności. .
- Okazano panu szacunek, dano panu jeść i pić, a moi żołnierze wyklócali się z gauczo, by załatwić panu konie. A teraz okazuje się, że jest pan zwykłym gringo, niemieckim mołem książkowym. Morgenstern wystąpił energiczniej, niż się tego można było po nim spodziewać. Fritz, który dotąd milczał, teraz także zabrał głos:
- Niech się pan pohamuje, bo może się pan przekonać, że niemie-cki uczony, którego nazwał pan gringo i mołem książkowym, nie jest wcale nic nie znaCzącym człowiekiem, jak pan widać sądzi. Nie ma tu chyba takiego, który mógłby się z nim mierzyć.
- Czy ma pan na myśli mnie? - zapytał kapitan ostro.
- Nie muszę mówić, kogo mam na myśli. I pana sprawa; do kogo pan moje słowa odniesie. Dziwię się pańskirn zarzutom. Pan nas zaprosił, bo wziął nas za kogoś innego: A my nie mieliśmy zamiaru pana oszukiwa~. Zapłacimy za to, co spożyliśmy. Cóż do okazanych nam oznak szacunku, to jesteśmy kwita. My także salutowaliśmy. A co do koni, to może je pan oddać ich właścicielom, kupimy sobie inne. Ile kosztuje jedzenie i wino, które nie jest prawdziwym bordeaux, tylko pochodzi z tutejszej wytwórni?

Wyjął sakiewkę, by zapłacić. Ale kapitan się wściekł.

- Co, mam przyjmować pieniądze od służącego? Czyś ty drabie oszalał? 65

Fritz podszedł do niego o krok:

- Drab? Ja drab! - zawołał groźnie. - Nazyw.vam się Fritz Kiese-wetter. Zrozumiano? A kto się do mnie zwraca przez „ty”, tego ja również „tykam”.
- Co za bezczelny typ! Człowieku, wpakuję cię do moich żołnierzy i postaram się, by twoje plecy przez cały rok miały piękny siwy kolor.

- Spróbuj tylko. Jestem poddanym króla Prus, którego ramię sięga dość daleko, by się za mną ująć i ukarać cię, jeśli się ważysz na mnie targnąć.

Słowa te rozпалиły gniew oficera do najwyższego stopnia. Pobiegł do drzwi; za którymi stał ordynans, i zawołał:

- Wejść! Wyrzucić mi natychmiast tego człowieka przed bramę i zbić tak mocno, jak to tylko możliwe: Im więcej dostanie, tym lepiej. , Na zewnątrz stali jeszcze żołnierze, którzy przynieśli bagaże. Za-trzymały ich donośne głosy, weszli więc szybko, by wykonać rozkaz. Mieli wielką ochotę wyrzucić obcego i wcale im nie przeszkadzało, że jeszcze przed kilkoma minutami uważali go za oficera. Fritz sięgnął po karabin, aby się bronić, ale rozsądek nakazał inu 4 nie strzelać. Zarzucił rzemień na ramię i rzekł:

- Zostawcie mnie, sam pójdę. Chodźmy, panie doktorze.

Mówiąc te słowa, podniósł tobołek z narzędziami, zarzucił na plecy i udał się do drzwi.

Nikt by nie uwierzył, że ten mały człowieczek z taką łatwością poradzi sobie ze sporym ciężarem. Jego groźna postawa wywarła wrażenie na żołnierzach. Cofnęli się przed nim i przepuścili do drzwi.

Wtedy kapitan ich ofuknął:

- Czy to nazywacie wyrzuceniem łotra? Natychmiast idźcie za nim, bo inaczej wsadzę was do paki! Posłuchali, kapitan natomiast zwrócił się do uczonego:

- Widzi pan, do czego to prowadzi, kiedy nie okazuje się oficerowi należytego szacunku. Co pan uczyni, jeśli każe pana aresztować?

- Zwróć się za pośrednictwem przedstawiciela mojego

66 monarchy do pańskiego prezydenta - odparł Morgenstern spokojnie. - Wówczas gan również zostanie aresztowany i dowie się, do czego prowadzi odmowa niemieckiemu poddanemu należnych mu względów.

- Przerzawia przez pana pycha. Sytuacja, w której się pani obecnie znajduje, wcale nie jest honorowa.

- A pańska jeszcze mniej. 'I-n, kto chce aresztować człowieka, którego przedtem nazywał pułkownikiem, powinien obawiać się kompromitacji. Są-ę, że skoficzyliśmy. Po leżące tu książki przyśle umyślnego. Do widzenia, senior.

Zwrócił się w stronę drzwi i poszedł, kapitan zaś ani myślał go zatrzymywać. Kiedy Morgenstern schodził ze schodów, usłyszał na dziedzińcu hałas, a kiedy tam dotarł, ujrzał gęsty kłęb żołnierzy, a w środku Fritza. Unieśli pięści i chcieli go bić, ale nie mieli odwagi, ponieważ Fritz wyciągnął rewolwer. 'I-k więc tylko mu wymyślali, popychali go, doprowadzając w ten sposób do bramy, gdzie się potknął i upadł ze swym tobołkiem. Wtedy go chwycili, wyrwali tobołek z ręki i zaczęli okładać pięściami. Fritz bronił się rękami i nogami, dzielnie rozdawał razy na lewo i prawo, aż Morgenstern nadszedł i kilku z nich odepchnął kolbą swej strzelby. ~

-Precz, łotry! =rozkazał. -Zapomnieliście, żejestem o~cerem!

Wasz kapitan zwariował, skoro odważył się napuścić was na towarzy- . sza koronela. Biegnijcie szybko do medico militar! Rozkazuję wam, abyście natychmiast zbadali kapitana i wzięli go na leczenie. 'T~n wybieg poskutkował. Zaskoczeni żołnierze cofnęli się i kilku istotnie pobiegło po lekarza. Fritz zerwał się, wymierzył jeszcze kilka mocnych kuksańców, podniósł tobołek, zarzucił na plecy i poszedł za doktorem, który szybkim krokiem oddalał się w stronę miasta. Gdy Fritz go dopędził, zaczął wymyślać.

- Nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z taką bandą. I to mają być żołnierze? Piękne bohaterstwo! 'T~zydniestu na jednego, który na dobitkę jest obładowany bagażem. . monarchy do pańskiego prezydenta - odparł Morgenstern spokoj--e, - Wówczas pan również zostanie aresztowany i dowie się, do ~=. ': czego prowadzi odmowa niemieckiemu poddanemu należnych mu ~ wzgiedów.

- Przemawia przez pana pycha. Sytuacja, w której się pari obecnie znajduje, wcale nie jest honorowa.

- A pafiska jeszcze mniej. 'I~n, kto chce aresztować człowieka, którego przedtem nazywał pułkownikiem, powinien obawiać się komproitacji. Sądzę, że skoficzyliśmy. Po leżące tu książki przy~lę umyślonego. Do widzenia, senior.

Zwrócił się w stronę drzwi i poszedł, kapitan zaś ani myślał go zatrzymywad. Kiedy Morgenstern schodził ze schodów, usłyszał na dziedzificu hałas, a kiedy tam dotarł, ujrzał gęsty kłęb żołnierzy, a w środku Fritza. Unieśli pięści i chcieli go bić; ale nie mieli odwagi, ponieważ Fritz wyciągnął rewolwer. 'Tak więc tylko mu wymyślali, popychali go, doprowadzając w ten sposób do bramy, gdzie się po~tknął i upadł ze swym tobołkiem. Wtedy go chwycili, wyrwali tobołek z ręki i zaczęli okładać pięściami. Fritz bronił się rękami i nogami, dzielnie rozdawał razy na lewo i prawo, aż Morgenstern nadszedł i kilku z nich odepchnął kolbą swej strzelby.

- Precz, łotry! - rozkazał. - Zapomnieliście, że jestem o~cerem!

Wasz kapitan zwariował, skoro odważył się napuścić was na towarzy- . sza koronela. Biegnijcie szybko do medico militar! Rozkazuję wam, abyście natychmiast zbadali kapitana i wzięli go na leczenie. Ton wybieg poskutkował. Zaskoczeni żołnierze cofnęli się i kilku istotnie pobiegło po lekarza. Fritz zerwał się, wymierzył jeszcze kilka . mocnych kuksańców, podniósł tobołek, zarzucił na plecy i poszedł za doktorem, który szybkim krokiem oddalał się w stronę miasta. Gdy Fritz go dopędził, zaczął wymyślać.

- Nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z taką bandą. I to mają być żołnierze? Piękne bohaterstwo! 'Ii'zydniestu na jednego, który na dobitkę jest obładowairy bagażem.

## 67

- Czy bardzo cię poturbowali? - zapytał jego pan zatroskany.

-Nie wiem, muszę sprawdzić, ale mam nadzieję, że nic mi nie jest.

- Bogu dzięki, że nie było aż tak źle. To doprawdy lekkomyślność narażać się na takie niebezpieczeństwo, po łacinie periculum. Poszu-kajmy teraz hotelu.

Szli szukając po mieście, aż doszli do domu, gdzie na drzwiach był szyld; „Posada por pasageros”. 'Pa posada wyglądała niezbyt zachęca-jąco i była nędzną, parterową lepianką. Wchodziło się do niej przez szerokie drzwi, a okna stanowiły dwa otwory, w których nie było szyb. Z dziedzifica obók dochodziło rżenie koni. Fritz skierował się do tej chałupy.

- Czy mamy tam wejść? - zapytał doktor z niepewną miną.

-Takf odparł Fritz.

- Wygląda jak spelunka.

- Nie szkodzi, oby nas tylko nie wyrzucili, tu są same spelunki. A więc jazda do tego pałacu! Kiedy weszli; ujrzeli, że wnętrze gospody składa się z jednej izby. Nie było tu krzesel ani stółów, tylko liczne hamaki i niskie zydle. Na jednym siedział oberżysta chudy, niechlujny człowiek, który wstał i z głębokim ukłonem zapytał, czego seniores sobie życzą. Fritz rzucił tobołek na podłogę i ódparł zamiast swego pana:

- Czy możecie nam załatwić cztery konie, dwa pod wierzch i dwa do bagażu?

- Wynająć?

- Nie, kupić.

- Dokąd chcecie jechać?

- Do Gran Chaco, do 'Ii~cuman, a może jeszcze dalej.
- Mam bardzo dobre konie na sprzedaż. Niech wasza miłość pofatyguje się za mną na dziedziniec.

'= Otworzył boczne drzwi prowadzące na dziedziniec. Obaj przybysze poszli za nim. W jednym hamaku leżał mężczyzna, który usłyszawszy o kupnie koni, zeskoczył i poszedł za nimi. Stało tam dwanaście 68 wymizerowanych, na wpół zagłodzonych szkap, o tak żalosnym wyglądzie, że nawet doktor, który w ogóle nie znał się x~a koniach, rzekł, kręcąc głową;

- I to mają być konie? Uważałbym te zwierzęta raczej za coś, co po łacinie nazywa się caper albo hirus.

- A co to znaczy? - zapytał oberżysta.

- ~p' r

- No to nie ma o czym mówić. Moje konie to nie capy.

Odwrócił się z dumą, by wrócić do izby. Stał tam mężczyzna z hamaka i z uwagą spoglądał na obu małych ludzi. Był ubrany na czerwono tak jak oni, ale nosił wysokie buty, których cholewy zakrywały kolana. 'li~arz miał całą zarośniętą, widać było tyll~o oczy i nos. Włosy pod kapeluszem sięgały pleców. Mimo to sprawiał wrażenie człowieka, którego nie należy się obawiać. Ukłonił się i rzekł:

Seniores, słyszałem, że chcecie się udać do Gran Chaco, więc może mógłbym służyć radą. Skąd przybywacie?

- Z Buenos Aires:

- Czy pan tam mieszka?

- Nie, jestem obcy w tym kraju.

- Obcy...?

- Jestem Niemcem.

- A kim pan jest? Proszę nie brać mi za złe moich pytafi, mam jak najlepsze intencje.

- Jestem uczonym zoologiem i chcę się udać do Gran Chaco; by wykopywać przedpotopowe zwierzęta.

- Ach! Może mastodonty?

, - Tj~ch też się spodziewam.

- A może megatheńum?

- Zna pan nazwy tych zwierząt?

- Oczywiście, jestem pańskim kolegą.

- Co? Pan także jest uczonym? - zapytał Morgenstern zdziwiony, gdyż mężczyzna ten wyglądał jak prawdziwy gaucho. - Czy jest pan 69 także zoologiem? -

- 'I~kże, gdyż studiowałem wszystko. Właściwie jestem lekarzem, chirurgiem, za pozwoleniem.

- A więc lekarzem!

-Tak. Pozwoli pan, że się przedstawię. Znają mnie tu wszyscy i tylko dlatego, że jest pan tu obcy, nie słyisał pan jeszcze mego nazwiska. Jestem doktor Parmesan Rui el Tberio de Sargunna y Castelguardiante.

-Bardzo mi miło. Aja nazywam się Morgenstern, a to mój służący Kiesewetter.

- Dwa piękne nazwiska, ale chyba wolno mi stwierdzić, że moje brzmi lepiej i łatwiej się wymawia. Pochodzę z,e starokastylijskiej rodzin~y szlacheckiej. Jak pan się zapatruje na amputację całej nogi, mianowicie w ten sposób, żeby najpierw odciąć części miękkie, a następnie wyjąć kość udową z miednicy?

- Kość udową, czyli os femońs? Z miednicy, czyli pelvis? Nie rozumiem pana, senior. Dlaczego nieszczęśnikowi trzeba amputować nogę? Czy jest ranny? A może ma gangrenę?

- Nie. Jest zdrow jak ryba.

- Więc po co amputować mu koficzyne?

- Po co? Cielo! Co za pytanie! Człowiek jest zdrow i wesół. Nic mu nie dolega, absolutnie nic. W ogóle nie mam na myśli nikogo konkretnego, tylko zastanawiam się nad takim przypadkiem, co bym zrobił, gdybym musiał amputować nogę. Czy uważa pan, że miałbym po temu należytą zręczność?
  - Owszem, senior. Ale mimo wszystko jestem szczerze rad, że to tylko pana rozważania tak na wszelki wypadek. Myślałem bowiem, że mam panu pomóc, trzymając nogę tego nieszczęślika.
  - To wcale nie jest konieczne, bo nie potrzebuję pomocy. Jestem tak zręczny, że pacjent w ogóle nie odczuwa. Dopiero gdy uzdrowiony opuszcza łożo, stwierdza, że ma tylko jedną nogę. I tak robię nie tylko z nogą, lecz z każdą kończyną. Powiadam panu, ciacham wszystko, co trzeba. Mężczyzna tak wymachiwał przy tym ramionami, że doktor prze-zornie zawołał:
  - O Boże! Jestem całkiem zdrowy. mnie nie musi pan niczego amputować.
  - Niestety! To wielka szkoda, że nie jest pan ranny ani nie ma pan próchnicy kości. Ucieszyłby się pan ogromnie z kunsztu, z jakim uwolniłbym pana od chorej kończyny. Narzędzia mam zawsze przy sobie. Co pan sądzi o wypiłowaniu stawu łokciowego? Czywidział pan już kiedyś taką operację?
  - Nie. I zapewniam pana, że moje łokcie są w całkowitym porządku.
  - Och, a nie szkodziłoby, gdyby były roztraskane kulą albo niesprawne z powodu zestarzałego zwłknięcia. Wypiłowałbym je i potem mógłby pan całkiem dobrze poruszać ramionami.
  - Nie wątpię, senior. Ale mimo to wolę się nie poddawać takiej operacji.
  - Tak więc jest pan człowiekiem uczonym, ale nie ma odwagi, by złożyć ofiarę na ołtarzu 'nauki. Wielka szkoda, bo ja ciacham wszystko.
  - Podziwiam pana zręczność, ale niestety nie mam czasu dłużej rozprawiać na ten temat. Poszukuję koni do swojej podróży, a że tu nie znalazłem nic odpowiedniego, muszę się dalej...
  - Niech się pan nie fatyguje - przerwał mu chirurg. ~ Jestem do pańskiej dyspozycji.
  - Pan? Czy pan wie może, gdzie mogę dostać mocne i wytrzymałe zwierzęta?
  - Nie tylko wiem, lecz sam zamierzam takie kupić.
  - ~ Gdzie?
  - Na małej stacji, położonej pół godziny drogi od miasta. Ale nie ma pośpiechu. Możemy to kupno załatwić dopiero jutro. Dowiedziały się, że estancjero wyjechał i wraca dopiero dziś wieczorem.
  - Więc muszę się rozejrzeć gdzie indziej, bo nie mam czasu do stracenia:
    - Dlaczego? Przedpotopowe szkielety przecież nie uciekną.
    - Nie, ale muszę dogonić grupę ludzi, którzy już wcześniej pojechali do Laguna Porongos. Chirurg nastawił uszu.
    - Co to za ludzie? Czy ma pan może na myśli brata Jaguara i jego towarzyszy?
    - Tak. Może go pan zna?
    - Owszem, tak dobrze jak siebie samego. Należę do jego ludzi.
- Mieliśmy się tu spotkać. Ale nagle zatrzymano mnie w Puerto Antonio i się spóźniłem. Oni już odjechali. Mogłem co prawda od razu kupić konia, by podążyć za nimi, ale w tym mieście nie ma nic przyzwoitego. Dlatego wolę poczekać do jutra rana, by kupić dobrego konia i nie ryzykować zwierzęcia, które pode mną padnie.
- Doktor Morgenstern miał lekkie uczucie grozy przed człowiekiem, który „ciacham wszystko, co popadnie”. Ale teraz był rad, że go spotkał, toteż rzekł:
- Czy sądzi pan, że uda się dogonić brata Jaguara?
  - Oczywiście. Znam dokładnie drogę, którą obrał.
  - Ogromnie mnie to cieszy. Czy pozwoli pan, po łacinie concessio, że się do niego przyłączę?
  - Bardzo chętnie, senior, gdyż obaj jesteśmy adeptami nauki, a więc kolegami. Cieszę się z góry, że może jednak będę miał okazję pokazać panu, że nie obawiam się dokonania nawet

najtrudniejszej amputacji. Może natkniemy się na wrogich Indian? Oczywiście przypuszczam, a nawet jestem pewien, że podczas walki niektórzy z nas doznają zmiężdżenia koficzyn. Wtedy pan zobaczy, co potrafię. Wszystko będzie tylko fruwać, bo doprawdy ciacham aż miło!

Wymachiwał przy tym rękami, by pokazać, jak będą fruwały kości jego potencjalnych pacjentów. Człowiek ten zdawał się namiętnie kochać swój krwawy zawód. Mimo to Morgenstern już nie czuł się zastraszony. Zaczął rozumieć, że ma do czynienia z chorobliwą, ale 72 całkiem niegroźną manią. Dlatego też odpowiedział:

- Jestem gotów poczekać na pana do jutra. Ale co poczniemy do tego czasu? Gdzie się zatrzymamy?
- Pożyczymy sobie kilka chabet od gospodarza i pojedziemy do estancji; skąd peon przyprowadzi je z powrotem. 'Tdm zjemy coś i wypijemy, zapalimy i prześpiemy się.
- Zgodna, ale ja nie palę.
- Dziwne. 'Iitaj wszyscy palą, mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy. Dlaczego pan nie pali?
- Boję się zatrucia nikotyną. Przecież nauka udowodniła, że od długotrwałego palenia można się nabawić katarakty, po łacinie amau-ro-sis.
- Ale to wówCzas, gdyby się nie paliło papierosów, tylko połykało je masami, a i wówczas dotarłyby do żołądka, a nie do oczu. Ja nie mógłbym żyć bez palenia. To pobudza nerwy, dodaje sił, mobilizuje człowieka i daje tak pewną rękę, że nawet najcięższe i najbardziej ryzykowne amputacje przeprowadzam z łatwością. Czy ma pan w Santa Fó coś do załatwienia, czy też możemy wkrótce wyruszyć? Morgenstern opowiedział mu pokrótce o przygodzie, jaka go tu spotkała i dodał, że czeka tylko na zwrot książek, a wtedy będzie gotów do podróży.
- Zaraz je panu przywiozę - rzekł „doktor” Parmesan.
- Pan? Nie mogę pana tym obarczać~.
- Czemu nie? Zapłaci mi pan dwa peso i chętnie to uczynię.

Nikomiu innemu tak niezawodnie nie wydadzą książek jak mnie. A więc ten człowiek o długim i pięknie brzmiącym starokastylij-skim nazwisku, który nazywał siebie „doktorem”, był gotów za dwa peso służyć za tragarza! Kiedy otrzymał od Morgensterna tę kwotę, odszedł i wkrótce przyniósł książki. Poteń znów wyszedł, by przynieść papier, tytofi i papierosy. Mówił prawdę, tutaj wszyscy palą. Na pampasach rzadko można spotkać człowieka, który nie miałby w ustach własnoręcznie skręconego papierosa.

## 73

Oberżysta zgodził się za niewielką opłatą wypożyczyć konie i peo-na. Jedno ze zwierząt objuczono bagażem Morgensterna, a mężczyźni dosiedli koni, by udać się do estancji. Kiedy jechali powoli przez wąskie uliczki, na widok chirurga gromadka dzieci natychmiast uciekła do najbliższego domu, wołając:

- El carnicero, el carnicero! Huic~ hiuc~ de la cvntrario os amputa
- rzeźnik, rzeźnik! Uciekajcie, uciekajcie, bo was zarżnie!

Okazało, że mężczyzna był znany także dzieciom i budził w nich lęk. Ale to go bynajmniej nie gniewało i rzekł z dumą:

- Czy pan słyszy, senior? Oni tu znają moją zręczność. Jestem sławny we wszystkich stanach La Platy.

Minęli więzienie, gdzie Morgenstern odgrywał przez krótki czas rolę pułkownika, potem cmentarz, liczne małe rancza, wreszcie mieli za sobą miasto. Po lewej stronie jeźdźcy ujrzeli rozległe jezioro Rio Salado, a przed nimi rozciągał się pagórkowaty step. Estancja, o której mówił „rzeźnik” położona była po prawej stronie jeziora. Była niewielka, a mimo to posiadała

liczne stada. Pasło się tutaj chyba tysiąc owiec. Po drugiej stronie pasło się kilkaset wołów, których pilnowało kilku gauczów, a w zagrodach był dość koni, by zaopatrzyć cały szwadron kawalerii.

Ten, kto jedzie konno przez pampasy spotyka trzy rodzaje osiedli. Pierwszy rodzaj to rancza, małe chaty, przeważnie lepianki kryte słomianymi albo trzciniowymi dachami. Często nie wystają one nawet ponad ziemię, tylko są wkopane na głębokość kilku stóp. Nie ma tu p mebli w rozumieniu europejskim. Hamak uważany jest tu za sprzęt luksusowy: Posiłek gotuje się na palenisku, zbudowanym również z gliny. Dym wydobywa się otworami, które można by określić jako drzwi i okna. Drzwi te jednak się nie zamykają, a w otworach okien-nych nie ma szyb ani ram. Szyby zastępuje się najwyżej kawałkami nasyczonego olejem papieru.

W takich ranczach mieszkają gauczowie, ubodzy ludzie, służący na hacjendach i estancjach.

~i:l',...

74

## X

f.....

Słowo „gaucho” pochodzi od Indian. Obie litery „a” i „u” nie tworzą podwójnego dźwięku; lecz wymawiane są oddzielnie, należy więc mówić „gau-cho”. Gauczowie należą przeważnie do warstwy Metysów, uważają się oni co prawda za białych i są z tego określenia bardzo dumni, ale pochodzą od Indian i Hiszpanów, którzy tu dawniej przybyli.

Gauczowie są dumni jak Hiszpanie, a z powodu odrębnego stylu życia cechuje ich ogromne umiłowanie wolności. Każdy uważa się za caballero i jest niezwykle uprzejmy wobec innych, pragnąc także, by i jego traktowano uprzejmie. Do największego biedaka, ba, nawet do żebraka należy się zwracać „wasza miłość”. Obcokrajowiec, który sądzi, że może patrzeć na gaucho z góry, bo jest bogatszy lub bardziej wykształcony, spotka się wkrótce z taką odprawą, że odechce mu się pychy. Na lekceważenie gaucho odpowiada najbardziej ordynarnymi słowami, a jeśli to nie pomaga, to nawet nożem. Kiedy zaś traktuje się go uprzejmie i uważa za równego sobie, zdobędzie się w nim wkrótce szczerego i oddanego przyjaciela. Szczególnie chwalebna jest jego uczciwość. Sam nigdy nie zamyka swojej chaty, ale pewne jest, że nikt go nie okradnie. Jeśli coś znajdzie, zwróci zawsze właścicielowi. Na przykład pewien gaucho, który był tak ubogi, że nie miał nawet żydła i używał końskiej czaszki jako krzesła, znalazł kiedyś na pampasach zegarek, który wysłiznął się cudzoziemskiemu podróżnikowi z kieszeni. Jeździł przez cały dzień od jednego sąsiada do drugiego, by się dowiedzieć, do kogo należy zegarek, a kiedy się już dowiedział, gdzie szukać obcego, jechał konno dwa dni, by mu zwrócić zgubę. Podróżnik ów chciał mu wręczyć w nagrodę pieniądze, a wtedy gaucho cisnął mu je pogardliwie pod nogi i zawrócił bez słowa.

Od najmłodszych lat gauczowie są przyzwyczajeni do koni. Są równie odważnymi jak niestrudzonymi jeźdźcami. Przypominają ludzi z Zachodu i Indian z Ameryki Północnej. Nie przyjdzie im nawet do głowy; aby odległość stu kroków pokonywać pieszo. Opuszczają swe rancza tylko na koniu. Dwuletnie dzieci pędzą na półdzikich

~  
koniach po pampasach. Także kobiety jeżdżą konno i to po męsku. Często spotyka się kobietę i mężczyznę na jednym koniu. Kobieta jest zwrócona twarzą do zadu konia i wcale się nie trzyma, tylko oparta jest plecami o plecy męża, a jednak nie spadnie nawet podczas największego galopu.

Gaucho ma jedną wadę. Jest całkowicie pozbawiony uczucia do swego konia. &z żadnych względów wbija swe ostrogi głęboko w kofiskie boki, zadaje mu rany, nie myśląc o tym, że



powoduje cierpienie biednego zwierzęcia. Toteż konie boją się swych panów i zachowują się jak szalone, kiedy właściciel je zagania, by złowić na łąso jednego z nich. Jeśli kofl pod nim padnie, zostawia go, często jeszcze żywego, na pastwę sępów i bierze sobie innego. Przy niezliczonych stadach w tym kraju kofl jest tak tani, że jego śmierć nie obchodzi właściciela. Stąd tyle wokół koflskich szkieletów. Bez przesady można powiedzieć, że bezkresne pampasy są usiane końskimi kośćmi.

1b niezwykle życie, brak jakichkolwiek szkół i innych możliwości kształcenia oraz stałe obcowanie z na wpół dzikimi zwierzętami sprawiają, że gaucom obce są wszelkie subtelniejsze uczucia. Dochodzi do tego smutna sytuacja polityczna. w kr'aju. Pewien historyk powiedział, że w stanach La Platy nie ma roku, w którym nie wybuchłoby jakieś powstanie. Tb prawda, że jak daleko sięga ludzka pamięć, zawsze jedna rewolucja następuje po drugiej. W ten sposób ludzie dziczeją. Gaucho, któremu nie odpowiada spokojne życie, zawsze będzie gotów przyłączyć się do pronunciamiento, buntu. Im częściej się to zdarza, tym bardziej wyrabia się w nim brak subordynacji. Skutek ' jest taki, że mieszkańcy rejonów, w których często wybuchają bunty, ;',,,,, coraz bardziej tracą pozytywne cechy charakteru. Stąd różnorodność opinii na temat mieszkańców pampasów.

Drugi rodzaj osiedli to hacjenda. Hacjendero uprawia rolę i jednocześnie trudni się hodowlą bydła, rzadko więc posiada duże stado.

'Ii~zeci rodzaj to estancje. Estancjero nie uprawia roli, hoduje tylko

bydło, by dostarczać je do rzeźni. Są estancjero, którzy posiadają wiele

fy:..., . 76

setek tysięcy sztuk bydła.

Zwierzęta te przebywają zarówno w lecie, jak i w zimie na wolnym powietrzu. Chociaż są pilnowane przez gauców, często zdarza się, że przekraczają granice i mieszają się ze stadami sąsiadów. By zapobiec stratom, wypala się zwierzętom znak, zarejestrowany w urzędzie. Tak więc każdy zna swoje stado i niekiedy zwraca prawowitemu właścicielowi zwierzę, które przybłąkało się do jego stada. Podczas sprzedaży konia lub wołu unieważnia się znak w ten sposób, że wypala się na jego miejscu nowy, ale jest to bolesny zabieg, któremu zwierzęta ze wszystkich sił się opierają.

Właśnie odbywało się takie cechowanie młodego bydła, kiedy jeźdźcy dotarli do estancji. Spora grupa gauców na koniach zganiała zwierzęta z pól, by następnie zapędzić je do przeznaczonego na ten cel korralu. Korral był to plac otoczony wysokim kolczastym żywopłotem z kaktusów.

Bydło dobrze wie, że kiedy się je zapędza do korralu, to czeka je coś niedobrego i mocno broni się przed tym. Tak było i tu. Zwierzęta usiłowały się wydostać, ale odważni jeźdźcy, trzymając wysoko uniesione łąso lub zataczając kręgi bolas, poskramiali je. Bolas jest to rodzaj pocisku składający się z trzech kul ołowianych lub żelaznych. Każda z tych kul wisi na mocnym rzemieniu, a końce rzemieni są związane. Gaucho bierze jedną kulę do ręki, a pozostałymi wymachuje kilkakrotnie nad głową, następnie ciska bolas w zwierzę, które chce złapać. Robi to z taką zręcznością, że bolas okręca się wokół tylnych nóg konia tak, że zwierzę pada.

Zwierzęta znają te pociski i boją się ich bardziej od łąso. Pragną przed nimi uciec i odruchowo biegną do domu. Raz też pędziły, a za nimi wrzeszczący gaucowie. Kiedy dotarli do otwartego korralu, wbiegły, a ogrodzenie natychmiast zamknęło.

Wówczas gaucowie ujrzeli czterech jeźdźców, podjechali więc do nich. Kiedy zarządca zobaczył chirurga, zawołał z wesołym śmiechem:

- Cielo, na Boga, to el carnicero, rzeźnik! Witajcie, senior! Czy zamierza pan u nas także ciachać? Wszyscy tu jesteśmy żywi i zdrowi. Więc niech pan nie wyciąga swoich instrumentów. Tb powitanie najwyraźniej zirytowało doktora Parmesana, ponie-waż odparł:

- Niech pan zostawi takie żarty, kiedy mówi pan do caballero! Jak pan śmie nazywa~ mnie carnicero! Wypraszam to sobie. Moi przod-kowie zamieszkiwali starokastylijskie zamki i pałace i walczyli zwy-cięsko z Mauratni, kiedy pafiskich przodłCów nie było jeszcze na świecie: Jestem don Parmesan Riu el Iberio de Sargunna y Castel-guardiante. Niech wasza miłość zapamięta to sobie!

- Dobrze, don Parmesań, zapamiętam . Zresztą wcale nie miałem p ,j p ę, ~p ę zamiaru pana obrażać. Przecież an wie ak ana cen i wi rosz mi wybaczyć, że z radości na pana widok wyraziłem się niewłaściwie.

-To już bardziej mi się podoba. Skrucha zawsze może liczyć na moje wyrozumiałe serce.

Przy tej sposobności zwracam panu uwagę,  
że podczas trepanacji czaszki nie stosuje się już trepana, lecz dłuto.

Należy...

#### 4

- Może o tym później - przerwał mu gauczo. - Pan wie, don i Parmesan, że chętnie paria słucham, ale w pana towarzystwie są seniores, wobec których bylibyśmy nieuprzejmi, gdybyśmy mówili o

uszkodzonych czaszkach. Czy wolno zapytać waszą miłość o ich nazwiska

- Ci seniores są moimi nowymi znajomymi, którzy chcą się dostać do Gran Chaco. Ib ludzie uczeni, dlatego też ich nazwiska są tak trudne do wymówienia, że nie potrafię ich panu pódac.

- Nazywam się Morgenstern, a mój towarzysz Kiesewetter - oświadczył uczony. - Przybyliśmy tu, by zakupić kilka koni. Spodzie-

#### I

wam się, że ma pan ich nadmiar, co po łacinie powiedziałyby się supersum albo, zależnie od okoliczności, zeliquus.

- Nasze konie nie są relikwiami i estancjero na pewno chętnie sprzeda panom kilka sztuk: Ale niestety wróci dopiero wieczorem.

Do tego czasu zechcą panowie być naszymi gośćmi. Mogą panowie popatrzeć na cechowanie naszego bydła.

- Bardzo chętnie! Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

- Wobec tego proszę pójść za mną. Najpierw każę panom wskazać ich pokoje. Pojechał przodem do domu i wprowadził przybyszów do środka.

Peon z Santa Fó dostał swoją należność i wrócił z kofimi do miasta. Właściciel estaneji był zapewne zamożnym ezłowikiem, mimo to urządzenie jego mieszkania nie dałoby się porównać nawet z umeb-lowaxiim domu niemieckiego robotnika. Ściany z gliny były puste. Na podłodze stał tylko stary stół, dwa jeszcze starsze krzesła i kilka niskich zydli. W rogu wisiała gitara. I to było w\$zystko. Zarządca poprosił, by usiedli, następnie udał się do kuchni i polecił, by przyniesiono mate, którą tam podaje się każdemu gościowi. Mate to herbata paragwajska, sporządzana z liści i łodyg. Ma postad ziarnistego proszku. Garść tego proszku wrzuca się do małej wydrążonej

tykwy i zalewa wrzątkiem. Herbaty się nie pije, tylko sączy z tykwy za pomocą cienkiej metalowej rurki zwanej bombilla. Ponieważ bombilla bardzo się nagrzewa, cudzoziemcy, nie przyzwyczajeni tego rodzaju picia, parzą sobie wargi i język, dopóki się nie nauczą ostrożności. .

'Paką mate zostali poeżestowani trzej goście. Chirurg sączył ostrożnie, także Fritz był już dość długo w tym kraju, więc wiedział, że trzeba uważać. Doktor natomiast złożył mate natychmiast należną jej danię, którą z reguły składa każdy cudzoziemiec. Bombilla była gorąca, on zaś pociągnął mocno, więc wessał za dużo gorącego płynu. Poparzył się, ale ponieważ uznał za niestosowne wypluć mate, potknął napój. Oczywiście poparzył sobie także przełyk i gardło, więc zawołał wykrzywiając się boleśnie:

- Ojej, moje wargi, moje gardło, mój przełyk, po łacinie labia, palatum i gluttus! To prawdziwie diabelski trunek, w sam raz nadający się do torturowania grzeszników w piekle. Dziękuję uprzejmie za taki

## 79

eliksir!

- Powiedziałem to samo, jak piłem to po raz pierwszy - rzekł Fritz. - Kiedy człowiek mocniej pociągnie, ma wrażenie, że w jego wnętrzu szaleje pożar, ale to nie trwa długo, człowiek się przyzwyczaja. Niech więc pan pije dalej, doktorze.

- Ani myślę. Mój przełyk to chyba jeden wielki bąbel:

Żadne namowy nie skłoniły go do dalszego picia. Obaj pozostali mężczyźni wkrótce opróżnili swoje calabazas, czyli tykwy, po czym zarządca poprosił ich, by asystowali przy cechowaniu bydła. Parmesan zdjął swoje czerwone poncho, chustkę i chiripę. Gdy Morgenstern zapytał go, dlaczego to robi, odparł:

- To wasza miłośniczka nie wie, że czerwony kolor drażni to na wpół dzikie bydło? Kto ma na sobie czerwone szaty, niech się nie waży zbliżać do toro.

- Tak pa~ sądzi? Ja wiem i zostało to potwierdzone naukowo, że tylko indyk reaguje na ten piękny kolor. Ale że i wół, po łacinie bos, też nie znosi czerwieni, o tym wprawdzie słyszałem, ale żaden zoolog nie potwierdził tego. Ponieważ jestem zoologiem, a tu mam doskonałą okazję, by zebrać materiał na ten temat, byłoby nieodpowiedzialne, gdybym zdjął swoją czarną odzież.

- Ale naraża się pan na niebezpieczeństwo!

- Kiedy w grę wchodzi rozwiązanie jakiegoś zadania, prawdziwy adept nauki nie może się zastanawiać, czy związane jest z tym jakieś niebezpieczeństwo. Pozostanę więc w moim ubraniu.

- Ja też - stwierdził Fritz. - Jestem sługą zoologa, więc nawet największe bydło nie może być dla mnie niczym innym tylko przedmiotem nauki.

Wyszli na dwór. Główne wejście do korralu było zamknięte, ale

!

obok można się było prześliznąć przez mały otwór. Goście skorzystali z tego przejścia. Zarządca pozostał za ogrodzeniem. Rodeo, czyli spędzanie stada do korralów, było w pełnym toku.

Większość bydła zatrwożona trzymała się w tylnej części ogrodzonego

placu, młode zwierzęta natomiast, które trzeba było cechować, biegały, popędzane przez gauczów, dookoła wolnej przestrzeni. Każde zwierzę, które trzeba było na cechować, należało schwytać i związać, by nie mogło się wyrwać. Do tego wyznaczono pięciu gauczów. Reszta zajęta była podsycaniem ognia, w którym rozżarzano stemple. Cechowanie miało następujący przebieg; wół przeznaczony do tego był odseparowany od reszty. Kiedy biegał po placu, pędził za nim gauczo, by zarzucić mu lasso na łeb. Pętla zaciągała się niezawodnie dookoła szyi, tamowała oddech i zwała

zwierzę z nbg. Natychmiast zjawiali się przy nim czterej inni gauczowie, by spętać mu nogi. Konie, których dosiadało tych pięciu jeźdźców i które miały u siodła przymo-cowane kofice łąso, dobrze wiedziały, co mają robić. Każdy ciągnął w odpowiednim kierunku, naprężając łąso, wskutek czego nogi wołu wyprostowywały się, a w tej samej chwili doskakiwał szósty gaucz, by rozżarzoną stęplem wycisnąć znak na lewym udzie zwierzęcia. Kiedy tego dokonano, uwalniało zwierzę, wół się zrywał, rycząc z bólu, przerażony biegał kilka razy dookoła, a potem wracał do stada, by się w nim ukryć.

Taki proces nie zawsze przebiegał bez zakłóceń. Czasami łąso nie okręciło się we właściwym miejscu, tak że zwierzę mogło się poruszać i bronić. Wtedy potrzebna była pomoc i podwójny wysiłek, a towarzyszyły temu wołania i krzyki oraz sceny, które dla Europejczyka były przerażające. Dręczony wół opierał się i ryczał. Inne mu wtórowały i parszając rozbiegały się, pędząc dookoła placu. Zdarzało się nawet, że jakiś oporny byk s~m nacierał i zaatakowany jeździec tylko dzięki największej zręczności ratować się z opresji.

- Tb doprawdy wspaniałe - rzekł Fritz po takim zdarzeniu do swego pana. - Ja także jeżdżę konno, ale taką zręcznością, jaka t~i jest potrzebna, na pewno nie mógłbym się wykazać. Jestem przeko-nany, że pierwsze lepsze bydlę by mnie wyrzuciło, pana chyba także, profesorze?
- Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć z matematyczną

## 81

dokładnością - rzekł rozważnie doktor. - Nie mam pod tym wzglę-dem doświadczenia, a jak mówi nauka, należy twierdzić tylko to, czego można dowieść. A poza tym o wiele mniej zależy mi na przeko-naniu się, czy zostanę strącony, niż na tym, czy prze~uwacz, którego nazywamy bydlęciem, istotnie ma tak wielką odrazę do czerwonego koloru, jak to powiedziano. Mam nadzieję, że mi pomożesz przepro-wadzić odpowiednie doświadczenie.

- Bardzo chętnie, jeśli tylko odbędzie się ono bez ryzyka połama-nia gnatów.

- Oczywiście!

- 'Tak? Tb niech pan sobie przypomni bizona podczas walki byków!

- To był bison americanus, a tu mamy do czynienia z zwykłym bydlęm argentyfiskim. Mam zamiar zrobić próbę, i to podwójną. Obaj jesteśmy ubrani na czerwono. Ja zbliżę się do byka, a ty postarasz się

podejść~ do krowy. W ten sposób dowiemy się nie tylko, czy bydlę w

ogóle nie znosi czerwonego koloru, ale rozwiążemy także szczególnie i bardzo ważny problem, u kogo ta niechęć jest większa, u osobników męskich czy żeńskich. ~

- Dobrze, ale jak trafię na tego gorszego f J ?

- 'I~go się nie obawiaj, ponieważ ja biorę byka na siebie, a każda cecha jest zawsze silniejsza u płci męskiej, niż u żeńskiej, która, jak

wiadomo, stanowi słabszą połowę. A więc jeste~ gotów?

- 'Tak, aby panu dogodzić zainteresuję się tym zoologicznym problemem.

- Nie jest to problem wyłącznie zoologiczny, lecz zoopsychologiczny.

- Na jedno wychodzi, czy bydlę przewróci mnie zoologicznie, czy zoopsychologicznie. Ani jedno, ani drugie nie należy do przyjemno-

ści, ale zrobię to dla pana.

- A więc zabieraj się do krowy, którą właśnie mają cechować.  
Doktor wskazał na zwierzę, które związane leżało na ziemi i  
~, 'w, : ' ., ;, - : : (

## 82

czekało na swoją kolej. Obaj Niemcy stali dotąd przy ogrodzeniu za gauczami, ktrzy podsycali ogiefi i dlatego chyba ich czerwony kolor nie zwrócił uwagi zwierząt. Fritz posłuchał swego pana i szybko podszedł do miejsca, ~ ~gdzie krowę właśrue uwolniono z pęt. Gdy gauczowie to ujrzeni, zawołali z kilku stXon:

-Arredo; arredo! Que demencia, que locura! -wracaj, wracaj! Co za szaleństwo, co za głupota!  
Fritz nie dał się powstrzymać i szedł dalej. Właśnie rozluźniło się, ostatnie lasso i krowa zeiwała się do ucieczki. Wtedy spostrzegła nieostrożnego Niemca. Rozdrażniona czerwienią jego stroju, pochyliła łeb do ataki~, leez przeżycie ostatniej chwili działało na nią jeszcze

onieśmielająco. Stała chwilę ze spuszczoneymi rogami potem odrzu-ciła łeb do tyłu i odbiegła.

- Całe szczęście! - zawołał gauczo. - Niech się pan szybko cofnie! Proszę pozostać przy ogrodzeniu. Czy pan nie wie, że zwierzę-ta nie znoszą czerwonego koloru?

- Nie wiedziałem na pewno i dlatego chciałem spróbować, czy to prawda - odparł Fritz cófając się powoli.

- Niech pan nie próbuje po raz drugi! Bo może się panu już tak nie poszczęścić!

W słowach gauczo brzmiała nie tylko troska o niego, lecz szczegól-ne niezadowolenie, że bez jego zgody odważył się zbliżyć do krowy, by ją drażnić. Fritz podszedł dumnie do Morgensterna i rzekł:

- Czy jest pan ze mnie zadowolony? Chyba próba była wystarcza-Ja~?

- Owszem - przyznał doktor. - Krowa chciała cię zaatakować, ale się rozmyśliła. Z tego można więc wywnioskować, że czerwony kolor jej się nie podoba, ale nie do tego stopnia, by ruszyła do prawdziwego ataku, po łacinie aggressio. Więc w wypadku rodzaju żefiskiego mamy do czynienia z niechęcią niewielkiego stopnia, a teraz aby porównać, spróbuję z rodzajem męskim. Podczas tej krótkiej rozmowy kilku gauczów weszło do środka stada, by znów pochwycićjedno zwierzę na lasso. Jałówka, którą sobie upatrzyli, trzymała się w pobliżu starego byka, który jako pierwszy wszedł do korralu. Dotąd zachowywał się spokojnie, ale teraz, kiedy rzemienie fruwały tak blisko niego, myślał, że to jego chcą schwytać, więc gwałtownie wybiegł ze stada i z rykiem pogalopował przez plac prosto do ognia. Znajdujący się tam gauczowie podnieśli ręce do góry i zaczęli krzyczeć, by go odpędzić. Zwierzę istotnie na chwilę się zatrzymało i patrzyło na nich wytrzeszczając ślepią. Jeden z gauczów wyjął żagiew z ognia i cisnął nią w głowę byka, ten-odwrócił się, ale już w półobrocie zatrzymał i wydał gniewny pomruk. Powodem tego był Morgenstern, który wysunął się do przodu i teraz stanął w odległości zaledwie czterech kroków od zwierzęcia.

- Lugar, lugar - na bok, na bok! - wołali gauczowie.

Byk nagłym skokiem rzucił się na małego uczonego. Na szczęście uczoney natychmiast usłuchał ostrzeżenia i szybko skręcił na prawo, bo tylko w ten sposób mógł ująć przed rogami byka, który szybko przebiegł z jego lewej strony, szybko się odwrócił, by znowu zaatakowad.

-Lugar, lugar! -wołali gauczowie od nowa.

Jeźdźcy przygalopowali, by odwrócić uwagę byka od Niemca i skierować ją na siebie.

Morgenstern znów szczęśliwie się wymknął, ale grożący mu koniec roga minął go zaledwie o trzy cale. 'I~raz dopiero uświadomił sobie, że grozi mu wielkie niebezpieczeństwo; a niepokój o własne życie podsunął mu nagle dziwaczny pomysł. Mógł się uratować tylko wów-czas, jeśli uda mu się umknąć niebezpiecznym rogom. Byk miał rogi z przodu, tak więc bezpieczny byłby tylko za nim. Tę myśl mały człowieczek natychmiast zamienił w działanie; skoczył na byka. 'I~n znowu się odwrócił i ujrzał, że jego przeciwnik nie stoi tam, gdzie stał, ale jest za nim. Znowu się odwrócił starając się go dosięgnąć, ale uczony był szybki i zrobił unik, by zostać za wrogiem. Powtarzało się to kilkakrotnie i tak szybko, że gauczowie nie mogli użyć lasso ani 84 bolas, bo mogło to zagrozić Niemcowi. Uczony poczuł, że długo tak nie da rady, bo się męczy. Czy nie było żadnego ratunku, czegoś, czego można by się uchwycić? Owszem było i to tuż przed nim! Chwycił się więc obiema rękami ogona byka. Dopóki tak wisiał, rogi nie mogły go dosięgnąć.

Gdy byk poczuł, że złapano go za miejsce, gdzie jeszcze nikt nie ważył się go chwycić, przez kilka sekund stał zaskoczony, czekając. Potem dał susa w bok, by strząsnąć przeciwnika, ale mu się to nie udało i dał za wygraną, jakby zrezygnował z walki. Wydał żałosny ryk i popędził do swego stada.

Gauczowie, którzy przed chwilą wrzeszczeli ńa całe gardło, by odpędzić zwierzę od uczonego, teraz na widok jaki mieli przed sobą, wybuchnęli gromkim śmiechem. Byk oszalał z przerażenia. Wykony-wał najdłuższe skoki na prawo i lewo, wyrzucając do góry tylną czę~ć ciała. Słychać było strach w jego ryku. Morgenstern trzymał się moc-no. Nie mógł się tak szybko poruszać, więc stracił grunt pod nogami, ópadł z sił, puścił ogon i wywinął kozła.

'I~raz śmiech gauczów przeszedł w taki ryk, że byk jeszcze bardziej się przeraził i jak strzała pomknął do swojego stada. Przepchał się do samego kąta i niewątpliwie poprzysiągł sobie, że jui nigdy nie zadrze z uczonym z Jdterbogk.

Morgenstern wyszedł cało z opresji. Wstał, pomacał swoje członki i powoli wrócił tam, gdzie uprzednio stał. Podeszli do niego gauczo-wie, wciąż jeszcze się zaśmiewając, by mu pogratulować. Główny peon rzekł jednak bardzo poważnie:

- Był pan w najwyższym stopniu nieostrożny. Wida~ nie zdaje pan sobie sprawy, że narażał własne życie. Jak panowie mogli ważyć się podejść w ten sposbb do bydła!
- Mb z powodu problemu zoopsychologicznego - odparł Morgen-stern.
- Nie rozumiem.
- Chciałem się przekonać, czy rzeczywiście czerwony kolor

## 85

doprowadza gatunek przeżuwaczy do takiego gniewu.

- Ach! I dlatego ryzykował pan życie? Mógł pan to mieć znacznie taniej. Wystarczyło nas zapytać, chętnie udzielilibyśmy panu informa-cji.
- Czy pan jest zoologiem?
- Nie, jestem gauczem.
- Wobec tego pańska odpowiedź by mi nie wystarczyła. 'Iiu muszą się wypowiedzieć znane autorytety.
- Senior, cho~ nie należę do autorytetów, to w każdym razie jestem caballero! - rzekł gaucho urażony. - Czy sądzi pan, że bym pana okłamał?
- Nie. Powiedziałby mi pan to, co pan uważa za prawdziwe. A , rzeczywistą prawdę może stwierdzić tylko fachowiec.
- Nie jestem uczonym i nie chcę pana posądzać, że chce mnie pan obrazić. Pan jest fachowcem i cieszę się, że pan własnym doświadcze-niem poznał prawdę, którą my znaliśmy

od dawna. Ale pana nie-ostrożność zagrażała także i nam. Pan chyba nie wie, co to jest estampeda?

- Nie.

- Estampeda to podniecone uciekające stado koni lub bydła, przełamujące wszelkie bariery. Wskutek pańskiej nieostrożności mogliśmy wszyscy zostać stratowani. Mam nadzieję, że przynajmniej pod tym względem przyzna mi pan rację i będzie uprzejmy zadbać o to, by nie narażać siebie ani nas na niebezpieczeństwo z powodu pafiskiego czerwonego stroju: Odwrócił się, a reszta gaulców poszła jego śladem. Czuli się obrażeni, że ich przywódca nie został uznany za autorytet. Przybysze zrozumieli aluzję i oddalili się przez szparę w korralu. Na zewnątrz, przed ogrodzeniem, Fritz rzekł:

- Muszę przyznać, że nasza wyprawa dobrze się zaczyna. Jeszcze nie mamy koni, a już pierwszego dnia dwukrotnie nas wyrzucono.

Jedno nas tylko pociesza, odnaleźliśmy naukową prawdę; nie tylko

, : . . . : . . . . . : . . . . .

„ 86

q:.; y~,.....

il ~‘I .,.’.

indyk indyczy się na widok czerwonego koloru.

- Thk - przyznał doktor. - Prześlę do Akademii Nauk traktat na ten temat. Dziś zostało, bezspornie udowodnione, że bydło czuje wstręt do czerwonego koloru.

- I to było obu płci.

- ‘idk, ale nie w tym samym stopniu. Rodzaj męski jest bardziej wrażliwy niż żeński:

- Ale skąd taki wstręt do czerwonego koloru?

- ‘Ii~udno to teraz powiedzieć, na razie stwierdziłem fakt. Powo- ‘dów należy poszukać. Być może czerwiefi załamuje się najsłabiej w słońcu. Promienie czerwone drgają w ciągu sekundy tylko pięćset bilionów razy.

- Czy byk to zauważył?

- Jeśli na przykład kolor fioletowy wykonuje w ciągu sekundy osiemset bilionów drgnień, daje to różnicę trzystu bilionów w porównaniu z czerwienią, a więc tak dużą, że nawet oko przeżuwacza jest w stanie to zauważyć. W każdym razie ten problem wymaga wyjaśnienia. Osiągnąłem na razie najbliższy cel, a przy tym zrobiłem odkrycie, ~ którym każdy właściciel menażerii będzie zachwycony.

- A jakie to odkrycie?

- Stwierdziłem, w jaki sposób można poskromić nawet najdziksze zwierzę. Po prostu należy się ucześcić jego ogona. Co prawda nie jest to zbyt wygodna pozycja, ale nie przeszkodzi poskramiaczowi posłuchać mojej rady.

- Aha! Ale ja wcale nie miałbym ochoty awiesić się ogona lwa czy węża olbrzymia...

Podczas rozmowy powoli ruszyli dalej i nie spostrzegli, że chirurg szedł za nimi. Teraz ich dopędził i rzekł:

- Seniores, gaulcowie są bardzo rozgniewani na nas. Ostrzegałem was, a wy nie zważaliście na moje słowa i naraziliście się na niebezpieczeństwo. Niestety byk dał się zastraszyć.

- Niestety? - zapytał Morgenstern zdziwiony.

## 87

- Tak, niestety. Gdyby się tak nie przestraszył, miałbym okazję pokazać panom swój kunszt.

- Jak to?

- Albo by was nadział na rogi, albo połamał kości. Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł dowiedzieć waszej miłości, że jestem mistrzem w leczeniu wszelkiego rodzaju ran i złamań.

Wyjmuję najdłuższe drzazgi bez najmniejszego śladu krwawienia. Jestem w każdej chwili gotów do natychmiastowej operacji.

By obejrzeć konie, które chcieli kupić, musieli pójść na pastwisko. Estancja riie należała do największych, ale mimo to było tu zaskakująco wiele stad.

Głównym zajęciem mieszkawców stanów La Plata jest produkcja bydła. Konia europejskiego sprowadził tu Mendoza w roku 1536, owce sprowadzono w 1550 z Peru, a bydło w 1553 z Brazylii. Podróżując konno po tym kraju wciąż spotyka się całe stada tych zwierząt. Owcom, ze względu na wełnę pozostawia się lepsze pastwiska, obchodzi się z nimi troskliwiej. Do koni i bydła przywiązuje się mniejszą wagę. Pozostają one pod nadzorem gauczów oraz psów i okazuje się im zainteresowanie dopiero wówczas, kiedy trzeba je cechować albo sprzedać. Za klacz płaci się najwyżej szesnaście peso, a za dobrego wierzchowca nie więcej niż sześćdziesiąt. Sztuka bydła rogatego, kosztuje wsaladero-przeważnie mniej niż pięćdziesiąt peso. Saladeros to duże rzeźnie, gdzie bydło masowo się zarzynano. Słowo saladero pochodzi od hiszpańskiego salar, czyli solid. Tam soli się skóry i wydobywa ogromne ilości łoju. Jedną z najsłynniejszych saladeros znajduje się na Fra Bentos, gdzie pozyskuje się ekstrakt mięsny. Gdy trzej mężczyźni przekonali się, że są tu całkiem inne konie niż w zajeździe w Santa Fe, wrócili do estancji. Tam skończono tymczasem cechowanie bydła, otworzono korral, a zwierzęta wybiegły rade, że zostały uwolnione. Dwie sztuki zatrzymano, by je zarznąć. Podróżnicy podeszli, by zobaczyć, jak to się odbywa.

Widok był najwyszczym stopniu ohydny. Krowy, przeczuwając, co je czeka, ryczały ze strachu. By rozgrzać ich krew, bo zdaniem gauczów mięso wówczas jest najsmaczniejsze, pędzono je dokoła korralu, a potem, w taki sam sposób jak podczas cechowania, z pomocą lassa przewracano na ziemię. Następnie podryzano im gardła, po czym ci brutalni ludzie rzucali się na drgające jeszcze zwierzęta i wycinali im długie kawałki parującego mięsa razem ze skórą. Śmiertelne rzeźnię zwierząt połączone z okrzykami gauczów było dla ucha cywilizowanych ludzi nie do wytrzymania. Morgenstern odszedł wraz z Fritzem:

Chirurg natomiast został i wyciągnął nóż, by uciąć sobie kawałek mięsa. Widowisko to było dla niego czymś zwyczajnym. Gauczo oderżnięte mięso nadziewa na patyk albo od razu na nóż i trzyma nad ogniem, następnie wkłada przypieczony koniec do ust, ddcina kęs nożem, po czym dalej piecze. To pieczone mięso jeszcze z krwią nazywa się asado. Jeśli znajduje się na nim skóra, stanowi to największy przysmak.

Wkrótce dokoła zapłonęły ogniska, przy których siedzieli gauczowie, by raczyć się ulubionym daniem. O obu Niemców nikt się nie troszczył. Chirurg natomiast towarzyszył gauczom przy posiłku i przy rozmowie, choć nie darzyli go oni wielkim szacunkiem. Ale jego duma z własnego kunsztu chirurgicznego była tak wielka, że tego nie spostrzegł.

Doktor Morgenstern byłby całkowicie opuszczony, gdyby zarządca nie uznał za swój obowiązek zatroszczyć się o niego. Poświęcił mu kilka kwadransów i nakazał, by przyniesiono mu posiłek oraz napoje. Wieczorem wrócił estancjero, który wyraził gotowość sprzedania im pięciu koni za obowiązującą tutaj cenę. Był zadowolony, że ma u siebie Europejczyków, z których jeden tak niedawno przybył z Euro-py, że mógł mu opowiedzieć o ostatnich wydarzeniach. Gauczowie siedzieli przy ogniskach; wciąż jeszcze jedli, gdyż potrafili zjadać na raz ogromne ilości, a przerwy wypełniali rubasznymi żartami, barwnymi opowieściami, patriotycznymi pieśniami, przy akompaniamentem gitary. Prawie każdy gauczo ma gitarę.

## 89

Gdy estancjero dowiedział się, co się stało w korralu, pokręcił głową, zdumiony, jak człowiek może odważyć się zadrzeć z bykiem, by się przekonać; czy zwierzę reaguje na czerwoną kolor, czy nie:



'I~raz podczas rozmowy coraz jaśniej zdawał sobie sprawę, że Morgenstern jest dziwakiem, ale zarazem dobrotliwym człowiekiem, zajęтым tylko swoją specjalnością, i że ma niewielkie pojęcie o co-dziennym życiu i jego wymaganiach. Stwierdził też, że pampasy i Gran Chaco to miejsca, które najmniej się dla niego nadają; i że podróży w dzień i w nocy narażony jest tam na liczne niebezpieczeństwa. Dlatego, gdy otrzymał odpowiedź na swoje pytanie, rzekł:

- Drogi senior, czy naprawdę pan sądzi, że osiągnie zamierzony cel, nie narażając życia w tej dzikiej krainie? Pan nie ma pojęcia, co pana czeka w Gran Chaco i w Kordyliarach.
  - Co do tego, to owszem, dobrze wiem, co mnie czeka - odparł uczoney. - Czytałem przecież książkę „Excursion au Rio Salado et dans le Chaco ; której autorem jest Amede Jacques.
  - Nie znam jej, ale wiem, że przeczytanie książki nie jest w stanie ustrzec nawet najbardziej uczonego człowieka przed wielkimi wyrzeczeniami i zagrożeniami. Czy pan sądzi, że może polegać na tym tak zwanym don Parmesanie?
  - Czemu nie? I b przecież uczoney człowiek.
  - T b błazen, nic więcej.
  - Ależ to sławny chirurg!
  - Gdzie tam! Chirurgia to tylko jego mania. Ten człowiek nie obciął nikomu nawet paznokcia, choć taska ze sobą worek narzędzi.
  - A więc to tylko jego mania? Coś takiego!
  - No cóż. Jest wielu ludzi, którzy mają podobne urojenia. Pozna-łem na przykład jednego takiego, który obnosi się z zamiarem szuka-nia kości zwierząt żyjących przed milionami lat. Gdyby Noe sądził, że te zwierzęta są coś warte, z pewnością wzięłyby je na swoją arkę.
  - Senior, to nie są urojenia, ten człowiek jest naprawdę bardzo mądry, to paleontolog, taki jak ja! - zawołał Morgenstern z 90 zachwytem. - Czy ten człowiek tutaj mieszka?
  - 'I~raz tak.
  - Gdzie? Gdzie? Czy mógłbym go poznać?
  - Poznać? Nie ma takiej potrzeby. Zna go pan od dawna, to pan sam.
  - Ja? - rzekł uczoney przeciągle, szeroko otwierając usta. - Pan mnie ma na myśli? Więc pana zdaniem cierpię na chorobliwą manię?
  - 'Tak jest. Proszę mi nie brać za złe, senior; ale tak jest naprawdę.
- Co panu po tych przedpotopowych jaszczurach?

- Jak to? 'Idki jeden jaszczur, po łacinie lacerta, może rozstawić moje imię.
- Nie rozumiem tego, ale cheę w to wierzyć. Tylko po co panu sława, której pan i tak nie doczeka, bo po drodze pan zginie? Jak słyszę, nie jest pan wcale przygotowany do podróży do Gran Chaco.
- Ależ tak! Mam broń, książki, motyki, łopaty. A konie, których potrzebuję, pan mi sprzeda. Poza tym będzie ze mną senior Parmesan, który zna Gran Chaco.
- Powiadam panu, że on go wcale nie zna i że dotarł najwyżej do granicy.
- Ale ten człowiek należy do towarzyszy brata Jaguara!
- Nie wierzę w to. Brat Jaguar nie potrzebuje wariatów.
- Więc po co by tak twierdził, gdyby tó nie była prawda?
- Powiem p~nu. Ten człowiek w dzień i w nocy marzy tylko o chirurgii. Szuka na lewo i prawo miejsc, gdzie mógłby znaleźć poła-mane kości. Pan mu powiedział, że udaje się do Gran Chaco, więc jest przekonany, że riie obejdzie się tam bez złamafi, kul i ran i dlatego ofiarował się jako towarzysz podróży. On panu nie pomoże w razie niebezpieczefistwa.

Estancjero miał jak najlepsze intencje. Morgenstern spoglądał w milczeniu i zadumie przed siebie. Wtedy odezwał się Fritz siedzący obok:

- Senior, niech pan nas nie straszy. Byłem już w Tlicuman, myślę, 91 że i teraz sobie poradzimy.
- Jak pan chce - odparł estancjero. - Ryzykuje pan własną skórą, nie moją. Mnie to nie będzie bolało, kiedy będą ją ściągać z pana. Ale życzę panu jak najlepiej.

Wstał i zapytał, czy ma przydzielić im miejsca do spania. W tej okolicy na ogół wszyscy wcześniej kładą się spać i wcześniej wstają. Obu - gościom dano miękkie posłania z futer i, zasnęli przy dźwiękach pieśni rozbrzmiewających z zewnątrz.

Kiedy się obudzili, właśnie wzeszło słońce. Gauczowie już wstali, choć poszli spać o wiele później. Chirurg nocował w jednym z ich małych ranczo. 'Także estancjero już wstał. W kotle na kuchni gotowała się mieszanka mięsa, kaczanów kukurydzy, mandioki, słoniny, kapusty i rzepy. Do tego była mate, której doktor nie tknął, aby się znów nie poparzyć.

Po posiłku udali się na pastwisko do koni. Estancjero mimo reprimendy otrzymanej od Fritza wcale nie okazał się chciwy, sam wyszukał cztery najlepsze konie i sprzedał je Morgensternowi za dwieście peso. Wobec chirurga nie był tak uprzejmy, widocznie nie darzył go sympatią. 'I~n musiał sam wybrać konia oraz więcej zapłacić, chociaż jego wybór nie był najlepszy. Proponowanie zapłaty za to, co spożyli, byłoby obrazą. Don Parmesan kupił od jednego z gauczów stare ~ siodło. Obu Niemcom gospodarz sprzedał dwa siodła na bagaż i dwa zwykłe. 'I~ dwa recado, składały się z kilku części, które nocą można było rozkładać i służyły wówczas jako posłanie. W końcu trzej podróżni wyruszyli w drogę.

- La enhora buena de la vuelta - szczęśliwej podróży! - wołał za nimi estancero. - 'Strzeżcie się Indian w Gran Chaco, oni strzelają ję zatrutymi strzałami. To o wiele groźniejsze niż kule. Słowa te były pełni uzasadnione. Indianie ołudniowoamerykań-

scy jeszcze dziś używają małych ostrych strzał, które wydmuchują z

rurek. 'Iłuczynę do strzał sporządzają z soku kulczyby i gatunku liany zwanej maracuri. Do tego soku dodają pieprzu, cebuli i innych nie 92 znanych nam ziół: Gotują to na gęstą miazgę, a trucizna zachowuje swe śmiertelne działanie przez całe lata, choć w stanie świeżym działa najskuteczniej. Niewielka ranka od takiej strzały powoduje niechybną śmierć człowieka i zwierzęcia, lecz tylko wtedy, gdy trucizna dostanie się do krwi. Głównym składnikiem tej trucizny jest kurara, alkaloid zawarty w korze rośliny o tej samej nazwie. Działa w ten sposób, że paraliżuje mięśnie piersi i hamuje krwiotok. O jej silnym działaniu świadczy fakt, że jaguar trafiony taką strzałą, której nawet nie poczuje; już po dwóch minutach pada martwy.

## Konno przez pampasy -

- Droga, jaką przemierzali doktor Morgenstern i jego towarzysze, prowadziła na północ pomiędzy Rio Salado i Rio Saladillo, a za nimi ciągnęły się gęste lasy. Po niespełna godzinie jeźdźcy dotarli do drewnianego mostu przerzuconego przez pierwszą rzekę, a potem do kolonii Esperanza, zamieszkaanej przeważnie przez Niemców. Ponieważ chcieli dogonić brata Jaguara, nie mieli czasu do stracenia, nie zatrzymali się więc tam, tylko pędzili dalej do Kordoby. Pędzili! 'Tak, można to nazwać pędem, gdyż chirurg jechał przodem ze zwykłą w tym kraju szybkością, a tamci musieli jechać za nim. W Argentynie jeździ się dyliżansem z szybkością przeciętnie dwudziestu kilometrów na godzinę, ale jeździec jest w stanie zrobić co najmniej pięć kilometrów więcej. Jak długo wytrzyma konna, o to nikt nie dba. Chirurg również ani myślał się tym przejmować. Nie zastanawiał się, że w okolicy, do której jechał, nie było możliwości wymiany umęczonego konia. Jego ostrogi wbijały się w ciało biednego zwierzęcia, a kiedy Niemcy prosili go, by nie był tak okrutny, śmiał się tylko i traktował konia jeszcze gorzej. Był dobrym i wytrzymałym jeźdźcą.

Fritz Kiesewetter także nieźle jeździł konno. Miał w tym kraju okazję przyzwyczaić się do siodła. Inaczej jednak wyglądała

94 sprawa z małym zoologiem. Co prawda nie okazywał twardości przed siodłem, ale miał minę, jak gdyby jego koń unosił się wysoko w przestworzach. Starał się jak mógł utrzymać równowagę i nieźle mu się to udawało, ale zaciśnięte usta świadczyły o tym, że niezbyt dobrze czuje się w tej

sytuacji. Co prawda koń jego szedł łagodnie, równym krokiem i jechano cwałem, mimo to uczonego paleontologa po godzinie jazdy był tak zmęczony, że zatrzymał konia i zawołał do swoich towarzyszy:

- Zatrzymajcie się. Mój koń nie może iść dalej. Boleją go nogi. Musi wypocząć.
- W porządku - rzekł Fritz przystając. - Mnie również przyda się kwadransik przerwy. Jeśli będziemy jechać w takim pędzie, to do wieczora dotrzemy do Chin, a tak daleko wcale nie mamy zamiaru. Chirurg jednak miał wątpliwości.
- Musimy dziś dostać się do Fort Tio, a to jeszcze sto kilometrów.

Tylko wówczas dojedziemy jutro wieczorem do Laguna Porongos. Ja jadę dalej.

- Z Bogiem - odparł Morgestern i zsiadając z konia usiadł na miękkiej trawie. - Jeśli chce pan zajeździć konia na śmierć, proszę bardzo. Skąd pan weźmie innego? Niech pan spojrzy, do jakiego stanu go pan doprowadził w ciągu tych dwóch godzin jazdy. Ma pokrwawione oba boki. Jest pan okrutny; po łacinie *atruvitas* lub *crudelitas*, a także *duritas* lub *immanitas*, a nawet *saevitas*.

- To moja sprawa, co z nim robię, bo ja za niego zapłaciłem, senior.

- Wcale nie zaprzeczamy - rzekł Fritz - chociaż moglibyśmy powiedzieć, że zapłacenie za konia wcale nie upoważnia pana do torturowania go.

Usiadł obok swego pana. Chirurg mruknął kilka niechętnych słów pod nosem, ale uznał, że lepiej ich posłuchać niż jechać dalej samemu, ale już po upływie pół godziny zaczął nalegać, by ruszyli dalej. Tym razem obaj Niemcy zgodzili się z nim.

'Iren, przez który jechali, był całkiem gładki, porośnięty jedynie 95 trawą. Nigdzie ani śladu krzewów ni drzew. Lasy i zarośla są tylko tam, gdzie jest woda. Kiedy tak jechali jakiś czas, usłyszeli za sobą okropny hałas. Obejrzelisi się i zobaczyli, że jedzie za nimi dyliżans utrzymujący łączność pocztową i pasażerską między Santa Fó a Kordobą. Podróż takim dyliżansem to coś zupełnie innego niż podróż po-cziwym nemieckim dyliżansem. Różnica jest taka jak między majowym zefirkiem a dzikim wichrem na pampasach.

Mówiło się i mówi o drogach w La Plata i nie należy przy tym mieć na myśli ubitych dróg.

'Iaktów czy też dobrze utrzymanych dróg tam nie ma, ponieważ brak zupełnie materiałów do ich budowy. Drewno jest rzadkością, a kamienia nigdzie nie uświadczy. Każdy podróżuje w obranym kierunku i dociera w końcu do celu, nie przejmując się tym, że musi czasem zboczyć o kilka kilometrów w prawo czy w lewo.

Ib, co określa się mianem traktu, składa się z szeregu węższych lub szerszych kolein, prowadzących przez pampasy. Raz trzeba jechać jakąś wyrwą, innym razem trzeba okrążyć bagnistą kałużę lub przeprawić się przez jeden z małych potoków o stromych brzegach, na których tu i ówdzie się natrafią. Potoki te nie wpadają do większych strumieni czy rzek, tylko koficzą się gdzieś w pampasach.

'I?dk samo złe jak drogi są tu stacje, gdzie zmienia się konie. Przeważnie są to ubogie rancza, pozbawione jakichkolwiek wygód.

Dyliżansy pochodzą chyba z epoki, kiedy człowiek jeszcze obcował z niedźwiedziem jaskiniowym. Są tak prymitywnie skonstruowane i tak niewygodne, że na ich widok podróżnika, który zmuszony jest podróżować nimi, ogarnia groza. Jedzie w takim dyliżansie przeważnie osiem osób, choć według naszych pojęć jest w nim miejsce dla czterech pasażerów. W dodatku ta ósemka musi trzymać przy sobie swój bagaż. Na zewnątrz za woźnicą są jeszcze dwa miejsca. Dach załadowany jest paczkami i innymi przedmiotami tak wysoko, że wydaje się, iż dyliżans nie utrzyma równowagi, i że już na początku się przewróci. A jednak czasem, jeszcze nadliczbowi podróżni sadowią się na górze.

Do takiego pojazdu zaprzęga się osiem koni. Cztery tuż przed

wozem, obok siebie, przed nimi dwa, a na początku jeden, na którym siedzi przewodnik. Na ósmym wierzchowcu siedzi peon, który ma za zadanie poganiać konie i podnosić spadające z góry przedmioty. Uprząż jest ogromnie nędzna. Każdy kofii pociągowy ma jeden pas skórzany dookoła tułowia, do niego przytwierdzone jest łąso, którym zwierzę jest połączone z pojazdem. Woźnica ma spiczasty kij, którym kłuje idące z tyłu konie i długi bat, którym pogania konie idące z przodu. Także jeździec jadący na przedzie i peon mają bity, nie brak więc im środków, by konie „łagodnie” zmuszać do pracy. Często jednego ze środkowych koni dosiada gauczo, również wymachujący bitem.

Ci czterej mężczyźni obsługujący dylżans w porównaniu z niemieckimi pocztynionami wyglądają jak zbójce, którym człowiek bałby się powierzyć nawet na chwilę swą własność, a cóż dopiero życie. Są to jednak poczciwi i rzetelni ludzie, którzy znają się na rzeczy i wykonują swoje obowiązki tak gorliwie, że aż dech zapiera. Proszę sobie wyobrazić, że powóz jest załadowany i pasażerowie już wsiedli. Jakoś się ulokowali i są przekonani, że zaraz wyruszą. I wyruszają, ponieważ mayoral, czyli woźnica, wydaje dźwięk podobny do ryku tygrysa i dżga konia z tyłu ostrym kijem, a jednocześnie porusza bitem, tak jakby chciał bić konie znajdujące się z przodu. Jeździec środkowy i ten z przodu oraz peon wrzeszczą również i tłuką zwierzęta bitemi. Konie ruszają, przeładowany wóz podskakuje, przechyla się na prawo i lewo i szarpnięty przez poganiane konie rusza - naprzód. Podczas gwałtownego szarpnięcia pasażerowie zderzają się głowami i spadają im kapelusze, a bagaż ich toczy się z kolan na stopy. Wyciągają ręce, by wzajemnie się przytrzymać, chwytają się za brody albo za łaticuszki od zegarka.

- Czego pan chce od mojej brody? - pyta jeden. ,
- A pan od mojego łaticuszka - mówi drugi.
- To niechący, przepraszam, wasza miłość!
- Również proszę o wybaczenie, senior. Nie chciałem uszkodzić

## 97

pańskiej brody.

Dylżans wylatuje ze stacji. Nagle z tyłu rozlega się trzask.

- ZatrzymajE, zatrzymać! - krzyczy peon. - ~Iayoral, koło San Jago musimy się zatrzymajE!  
Woźnica powstrzymuje konie i ryczy:

- Co mnie obchodzi twój San Jago! Muszę jechać, a nie modlić się. Nie przeszkadzaj mi.
- Spadła jedna skrzynka. Leży tam z tyłu.
- ‘Ri ją podnieś i wrzuc na górę.
- Chyba się rozbiła.
- To co ja na to poradzę? Czemu nie robią skrzyń z mocniejszego drewna? Co w niej jest~
- Zaraz zobaczę.

Zsiada i przynosi skrzynkę. Przykrywka pękła. Na niej widnieje adres profesora uniwersytetu w Kordobie. Zawiera butelki, z których kilka się stłukło. Wypływa z nich czerwony płyn, a miły zapach pieści nos peona.

- Słowo daję, to czerwone wino! - woła. - Stłukły się cztery butelki. Na szczęście tylko przy szybkach.
- Wyjmij je! Dla każdego z nas po jednej. Przecież nie pozwolę, by taki miód wypłynął na ziemię.

Wypijają resztki z butelek, następnie związują skrzynkę rzemie-niem i umocowują na dachu. Potem pojazd rusza dalej, przy czym pasażerowie znów na siebie wpadają:

- Przepraszam, wasza miłość! Tb moja noga!

- Och, przepraszam~, senior. Myśla~łem, że to moja, i chciałem ją wyciągnąć spomiędzy tych paczek. Gdzie pański kapelusz?

- Na pańskiej głowie, wasza miłość. Właśnie go pan włożył. A pański wypadł przez okno.

- Na Boga! Przez okno? Więc jest stracony. Skąd teraz wezmę

inny? `Taka podróż dyliżansem to okropność!

Na szczęście kapelusz nie jest stracony. Peon widział, jak wypadł 98 przez okno, zawrócił i nie zsiadając z konia podniósł go i oddał właścicielowi. Wrzucając go przez otwarte okno, zawołał:

- `I~zymajcie kapelusze albo je przywiążcie, seniores! Nie mamy czasu ich pilnować.

Po czym się oddalił, aby wrzaskiem i batem pogańić konie. Kiedy po drodze trafiają na wyschnięty strumyk lub mały potok, przejeżdża-ją je kłusem. Peon jednak zeskakuje z konia, by w korycie rzeki poszukać żwiru, jedynych kamieni, jakie są na pampasach. Wypełnia nimi kieszenie i pędzi za dyliżansem, by pogańić konie ciskając w nie żwirem, jeśli bicie nie pomaga.

Peon jest mistrzem w jeździectwie, ale chyba przewyższa go foryś, którego obowiązkiem jest wskazywanie kierunku. Musi rozglądać się w terenie i niezawodnym wzrokiem odkrywać miejsca; które należy omijać. Do tego potrzeba dużego doświadczenia, zwłaszcza gdy jedzie się galopem. Często, by ominąć takie niebezpieczne miejsca, trzeba wykonać nagły zwrot. Wtedy foryś ryczy jak opętany, mayoral wrzeszczy i bije konie, a jeździec środkowy i pędzący obok peon wrzeszczą równie donośnie. Pasażerowie, których ogarnia przerażenie, także zaczynają krzyczeć. Pojazd zostaje szarpnięty w właściwym kierunku, by zaraz potem znów polecieć w drugą stronę, co jest szczególnie niebezpieczne, ponieważ foryś każde odchylenie od linii prostej musi poprawić. Jeśli chce, by pojazd odchylił się o dziesięć stopni, to sam jedzie pod kątem trzydziestu stopni na odpowiednią stronę. Jeśli potem następuje równie duże i równie szybkie odchylenie na inną stronę, to musi szarpnąć konia na odległość paru metrów pod kątem sześćdziesięciu stopni, przy czym pasażerom przyglądającym się trwożnie tym manewrom włos się jeży na głowie.

W t'en sposób pokonuje się ze dwadzieścia pięć~ kilometrów na godzinę, ale tylko jeśli konie są wypoczęte, bo wskutek tej dzikiej gonitwy tak szybko słabną, że tempo jazdy się zmniejsza. Kiedy zbliżają się do przystanku, gdzie odbywa się zmiana koni, peon pędzi przodem, by zawiadomić ludzi. lbwarzystwa przewozowe 99 mają bowiem zawarte umowy z tymi estancjero, hacjendero i ranczero, których posiadłości znajdują się w pobliżu drogi. Jak tylko peon przybywa, zagania się konie do korralu, by je tam schwytać. Zatrzymuje się je i zakłada pasy. Zwierzęta wiedzą, jaki je czeka trud, i bronią się z całych sił. Umęczone drogą konie uwalnia się, a one rżąc z radości biegną przed siebie. Wypoczęte zwierzęta, które stają dęba, parskają i wierzgają, zaprzęga się do pojazdu i dziki galop zaczyna się od nowa.

W miesiącach, kiedy obficie rośnie trawa, konie są lepiej odżywiane i lepiej znoszą taki wysiłek. Gdy jednak trawy jest mało lub na pampasach panuje susza, biedne zwierzęta są tak wygłodzone, że z trudem ciągną pojazd. Gdy mają w dodatku pędzić galopem, nie mogą wytrzymać i padają. Ale to nic nie szkodzi. Zabiera się bowiem konie zapasowe. Zakłada się pas jednemu z nich, a konia, który padł, po prostu się zostawia. Żyje jeszcze, ale jest tak wyczerpany i osłabiony, że nie może wstać. Jego kończyny drgają kurczowo, oczy nabiegają krwią, ~ęzyk zwisa mu z otwartego pyska. Sępy, które masami żyją na pampasach i których nikt nie odpędza, bo uważane są tutaj za służbę sanitarną, zbliżają się i wyszarpują biednemu zwierzęciu kawałki ciała. Po kilku godzinach z konia pozostaje tylko szkielet: Dlatego niemal na każdym kroku spotyka się wyblakłe kości. Dla gaucho życie konia nie jest wiele warte. A gdyby ktoś chciał mu zwrócić uwagę na moralny aspekt takiego traktowania zwierząt, wybuchnąłby śmie-

chem i byłby bardzo zdziwiony, bo nie ma dla takich problemów najmniejszego zrozumienia.

‘Paki właśnie dylizans jechał teraz za trzema jeźdźcami. Jechał szybciej od nich i wkrótce ich dogonił. Mijając ich, peon zawołał:

- Dokąd to, seniores?

- Do Fort ‘I~o, wasza miłość - odparł chirurg.

- Będziemy tamtędy przejeżdżać. Czy ma y zamówić dla was , .....

kwaterę? 1

= Bardzo proszę, senior.

## 100

Szalona jazdą trwała nadal i wkrótce dylizans znikł z horyzontu.

- Coś podobnego! - rzekł Fritz kręcąc głową. - U nas w kraju takich ludzi z miejsca by ukarano. A tutaj tytułuje się ich „wasza miłość~”! Co pan powie na takie dręczenie zwierząt, panie doktorze?  
- Tylko tyle, że należałoby tych ludzi potraktować tak, jak oni traktują te biedne konie. Może wówczas odezwałoby się w nich to, co po łacinie nazywamy intelligentia albo perspicientia. Właściwie Morgenstern zarządził wypoczynek raczej ze względu na siebie niż na konie, te bowiem wcale jeszcze nie były zmęczone. Morgenstern nie miał pogodnej miny, gdyż jazda końna bardzo go męczyła, ale nie dał poznać tego po sobie. Po południu musieli zatrzymać się na dłużej, tak, że zapadał już wieczór, kiedy ujrzeni przed sobą Fort Tio. Nietrud~o było znaleźć drogę, ślad dylizansu był ‘ niezawodnym przewodnikiem.

Fortu nad argentyńską granicą z Indianami nie należy sobie wyobrażać jako fortecy takiej jak w Niernczach. Fort Tio był to teren otoczony gęstym kolczastym ogrodem kaktusów i rowem. Stało tam kilka rancz, służbę w nich pełniło około dwudziestu żołnierzy, kometantem ich zaś był porucznik. Gdy trzech mężczyzn wjechało na ten teren, porucznik wyszedł im na spotkanie.

- Witamy! - zawołał: - Cieszymy się, seniores, żeście do nas...

Urwał. Wzrok jego padł na chirurga. Wówczas wybuchną śmiechem i ciągnął dalej:

-El carnicero! Ach, znowu się widzimy! Jakie operacje przeprowadził pan od naszego ostatniego spotkania w Rosario? Było to powiedziane ironicznym tonem. “Don” Parmesan poczuł się obrażony i odparł ostro:

- Wolałbym, by moimi operacjami interesowali się wyłącznie ludzie, których operowałem lub będę operował. Czy mam któremuś z pafiskich podwładnych amputować nogę albo rękę? ‘

- Nie, senior, na szczęście wszyscy jesteśmy zdrowi.

- Więc nie mówmy o tych sprawach, chociaż mógłbym pana zapytać, co pan sądzi o usunięciu dolnej szczęki? Czy pacjent mógłby bez niej żyć?

- ‘I~go nie umiem powiedzieć. Wiem tylko, że ja bez swojej nie chciałbym żyć. Kim są ci seniores koło pana?

- 16 dwaj niemieccy uczeni, jeden z nich jest sługą drugiego.

Swoje nazwiska muszą sami podać. Mój język nie zdoła ich wypowiedzieć.

Morgenstern przedstawił siebie oraz Fritza i poprowadzono ich na ranczo, gdzie mieszkał porucznik. Parmesan przyłączył się do żołnierzy. Oficer spodziewał się ich, ponieważ peon istotnie uprzedził, że nadjeżdżają.

Żołnierze posiadali konie i bydło, które w ciągu dnia pasło się na wolnej przestrzeni, wieczorem zaś, zaganiano je na teren twierdzy. Bydło stanowiło zaopatrzenie załogi, a więc mięsa było w bród. Poda-no go gościom tak dużo, że nie mogli wszystkiego zjeść. Podczas rozmowy oficer szybko spostrzegł, kogo ma przed sobą. Człowiek, który konno wybrał się na pampasy, a cóż

dopiero do Gran Chaco, aby wykopywać kości, byłego zdaniem szaleńcem. Zrozumiał, że nie da się tu nic zrobić, więc zrezygnował z odradzania mu tego przedsięwzięcia i ciągnął dalej:

- W każdym razie pozostanie pan chyba tutaj, by czekać na towarzyszy, którzy do pana dołączą?  
- Nie. Mam tylko jednego towarzysza, seniora Parmesana, no i służącego. Tb jest właśnie Fritz Kiesewetter.

- Jak to? - zapytał oficer zdziwiony. - Więc nikt nie dowiedzie panu rzeczy niezbędnych w Gran Chaco?

- Nie. Tb, czego mi potrzeba, mam przy sobie.

- Pan się myli. Czym pan chce się tam odżywiać? Czy ma pan mąkę?

- Nie.

- A suszone mięso, słoninę?

- Nie.

Kawę, herbatę? Kakao, tytoń?

- Nie.

- A proch, zapałki i wszystkie inne drobiazgi, bez których cywili-zowany człowiek nie może się obejść? Odzież, obuwie, nożyczki i inne narzędzia?

- Odzież mam na sobie. A prochu mam pełen skórzany worek.

- Tb nie wystarczy. A co chce pan jeść i pić? Ma pan naczynie do gotowania?

- Nie jest mi potrzebne; bo nie będę gotował. Będę pił wodę i jadł mięso.

- Ale tego nie znajdzie pan wszędzie.

- Ależ tak. Woda jest wszędzie, a mięso upoluję.

- Czy jest pan dobrym strzelcem?

- Fritz strzela znakomicie.

- Więc muszę panu powiedzieć, że nie wszędzie jest woda. Po tamtej stronie Rio Salado dotrze pan do montes impenetrables sin aqua, do nieprzebytych, pozbawionych wody obszarów leśnych.

‘Tdm przez całe tygodnie nie natrafi pan nawet na jedną kroplę wody. A mięso? Jeśli nie jest pan dobrym myśliwym, zginie pan z głodu.

- Chyba nie. Czytałem, że setki traperów i kłusowników żyją z polowania na dzikie zwierzęta. Na pewno nie będziemy głodować.

- Ameryka Południowa to nie Ameryka Północna. Poza tym India-nie!

- Oni mi nic nie zrobią, bo i ja nie wyrządę im krzywdy.

- Myli się pan. Co jakiś czas musimy im składać daninę, nazywamy to dobrowolnym darem, a więc konie, bydło i owce, aby nie rabowali naszych stad. Mimo to często przekraczają granice i upr~owadzają setki sztuk. Uprawdają przy tym także ludzi, zabierają do Chaco, by tam żądać za nich okupu. Przychodzą w tym celu śmiało do naszych urzędów.

- Więc nie dawajcie im pieniędzy, tylko ich ukażcie.

- Nie możemy, senior. Gdybyśmy ukarali takiego posłańca, biali

103 jeńcy byliby straceni. A co by było, gdyby porwali pana?

- Mnie nie por,wą. Jestem bardzo przebiegły i ostrożny, po łacinie astutus i catus albo prudens.

- Możliwe. Nie zamierzam tego sprawdzać. Ale pańska odzież!

Jak długo pozostanie taka porządna? W dzikich ostępach bardzo szybko pozostaną z niej strzępy.

- Będę ją szanował. .

ř - A buty? Ma pan buty gauczów bez podeszew. Czy sądzi pan, że przejdzie pan boso po kolcach Gran Chaco?

- Przecież jadę konno.

- Koń może paść.

- Mamy konie zapasowe. O wszystkim pomyślałem. Zresztą nie będziemy sami. Ódnajdziemy przyjaciół.

- Kogo?
- Grupę brata Jaguara.
- Ach! Pan go zna? ‘
- Tak. Spotkaliśmy go w Buenos Aires. Pojechał przodem; ale go dogonimy. -
- Był tutaj. Jechał do Laguna Porongos, zamierzał pozostać tam dwa dni.
- Więc tam na pewno się z nim spotkamy. Jeśli jutro rano wyruszymy, to pod wieczór będziemy w Lagunie.
- Czy on wie, że chce pan wykopywać przedpotopowe zwierzęta?
- ‘Tak. Zapewniał mnie, że w Chaco można je znaleźć.
- I proponował, żeby pan tam do niego dołączył? - zapytał oficer nieufnie.
- Nie. Prosiłem, by mnie zabrał ze sobą, ale odmówił.
- Tak też sobie pomyślałem. Ma co innego do roboty niż szukać z panem starych kości. Więc pan po kryjomu za nim pojechał, a on o tym nic nie wie?
- ‘Tak, po kryjomu, po łacinie clandestinus, a także firtinus albo latito. 104
- Choć jest pan taki pewny w łacinie, to ostrzegam, niech pan nie będzie równie pewny miłego przyjęcia ze strony tego sławnego człowieka. Niech pan zawróci! Niech pan kopie na pampasach. To nie takie niebezpieczne jak podróż przez Chaco, gdzie za każdym drzewem może czaić się jaguar lub Indianin.
- Już panu powiedziałem, że nie boję się Indian, a gdyby mi się trafił jaguar, to odkryłem skuteczny sposób, by każdego drapieżnika, a więc i jaguara tak załatwić, że będzie uciekał z podwiniętym ogonem.
- Ciekaw jestem, jaki to sposób.
- To co prawda tajemnica, ale że pan mnie tak uprzejmie przyjął, więc ją panu zdradzę. Jeśli napadnie na pana dzikie zwierzę; należy uczepić się jego ogona, po łacinie cauda. Nawet najbardziej krwiożerna bestia z miejsca zacznie uciekać.

Porucznik otworzył usta, ale nie mógł wydobyć słowa, tylko w milczeniu spoglądał na uczonego.

- Pan się dziwi? - zapytał Morgenstern z uśmiechem. - Prawda, że pan się tego nie spodziewał?
  - Nie, doprawdy nie! - odparł oficer wybuchając gromkim śmiechem:
  - Niech się pan nie śmieje, to prawda.
  - Schwycić jaguara za ogon. Co za pomysł!
  - Bardzo dobry pomysł! A przy tym taki prosty jak jajo Kolumba.
- Kiedy trzymam zwierzę od tyłu, nie może mnie z przodu ugryźć.
- Ale jaguar błyskawicznie się odwróci i rozszarpie pana na strzępy.
  - Mówi nie ma! Będzie ze strachu ryczał i z miejsca czmychnie.
- Jestem tego pewien i wiem, że taka bestia jest o wiele mniej niebezpieczna niż niejeden człowiek, na przykład kapitan w Santa F~, który chciał nas zamknąć albo oddać na pastwę żołnierzy.

Porucznik nastawił uszu i zapytał:

- Kapitan w Santa F8? Kiedy to było?
- Wczoraj.

## 105

- Obecnie jest tam tylko jeden kapitan, mianowicie kapitan Pęllejo. I on chciał pana zamknąć?
  - ‘Tak.
  - Dlaczego?
  - Z powodu pomyłki, przy czym nie było tu naszej winy. Czy mam panu opowiedzieć?
  - Bardzo proszę! - odparł porucznik. Na jego twarzy malowało się ogromne napięcie.
- Uczony opowiedział mu przygodę. Podczas jego relacji twarz oficera coraz bardziej poważniała, wreszcie rzekł o wiele mniej uprzejmie:



- Przykro mi, senior. Kapitan Pellejo to mój bezpośredni zwierzchnik, muszę panu powiedzieć, że znajduje się on dziś w Fort Uchales, a jutro tu przybędzie. Na szczęście kiedy się tu zjawi, pan już zdąży odjechać. Niech pan się strzeże, aby go nie spotkać.

- - Proszę się o mnie nie martwić. Ja się nie boję.

- Czy ma pan powody, aby się go obawiać, czy nie, to nie moja sprawa. Jako jego podwładny jestem wobec niego odpowiedzialny za wszystko, co robię i jeśli się dowie, że przyjąłem pana tutaj, spadnie na ramię jego gniew. Miał pan tutaj przenocować, ale w tej sytuacji zmuszony jestem wskazać panu inne ranczo.

Wstał i wyszedł. Po chwili zamiast niego wszedł chirurg i oświadczył, że ma pokazać seniores ich miejsce na nocleg. . - Czy porucznik już nie wróci? - zapytał Morgenstern.

- Nie wcześniej, niż się pan stąd oddali, senior. Nagle bardzo się zmienił, wydaje się, że jest na pana zagniewany. Czy pan się z nim pokłócił?

- Nie, ale moje opowiadanie, czyli commemoratio albo oratio, widocznie mu się nie spodobało.

Kładźmy się spać, by wczesnym rankiem wyruszyć.

Chirurg zaprowadził ich do innego rancza, które mieszkańcy opuścili, by zwolnić im miejsce. Nikt się o nich nie zatroszczył. Świeczka 106 łojowa w małej tykwie oświetlała skromną chatę. Spali na sianie, ale tak mocno; jakby to był puch. Kiedy tylko się rozwidniło, wstali. Żołnierze jeszcze spali. Wzięli swoje konie, osiodłali je, otworzyli bramę i odjechali bez pożegnania.

Fritz znał dobrze drogę do Laguna Porongos, chirurg także tam już był. Tę też nie obawiali się, że zabłądzą.

Jazda konna dzisiaj już nie sprawiała małemu uczonemu takiej trudności jak wczoraj. Wytrzymał do południa, ale potem musieli wypocząć i to nie tylko ludzie, ale także konie, które puszczono na trawę. Wody nie znaleźli, lecz trawa była tak świeża i zielona, że zastąpiła koniom picie.

‘I~raz mężczyźni zgłodnieli. Okazało się, że wczorajsze ostrzeżenie porucznika nie było gołosłowne. Podczas całego przedpołudnia nie ujrzeni, poza kilkoma sępami, żadnego zwierzęcia, a tym bardziej takiego, które można by upolować i spożyć. Na szczęście chirurg miał ze sobą duży kawał mięsa, który przezornie zakupił u żołnierzy. Wspaniałomyślnie podzielił je na trzy równe porcje i dwie ofiarował towarzyszom podróży; co prawda za gotówkę. Okoliczność~ ta wskazywała, jakiego będą mieli kompana.

Rozpalono ognisko z wyschniętej trawy, by upiec mięso. Starczyło, by się nasycić. Potem znów ruszyli, rozglądając się uważnie, czy nie trafi się coś do upolowania. Fritz i chirurg trzymali strzelby w pogotowiu. Zaczęto się niepokoić o jedzenie, przecież nie chcieli wieczorem kłaść się o pustych żołądkach.

Popołudnie minęło, już miało się ku wieczorowi, a dotąd nic nie zdołali upolować. Znowu byli głodni. Nagle chirurg zawołał uradowany.

- Widziałem! Będziemy mieli co jeść!

- Co takiego? Co pan zobaczył? - zapytał uczonec.

- V'rzacza, pampasowego królika. Wykopiemy go.

- Gdzie?

‘Idm na lewo. Wszedł z nory, ale kiedy nas zobaczył, zaraz znikł.

V'uczacha jest większy od naszych dzikich królików, ale podobny do nich; dlatego nazywa się go królikiem pampasowym. Nie należy jednak do gatunku zajęcy, lecz do szynszyli. Spożywa się go tylko wówczas, kiedy nie ma już nic innego. Nora tego zwierzęcia to lekko uniesiony, otwarty pagórek. Spotyka się je tylko na terenach gliniastych. Przeważnie gnieździ się obok siebie kilka rodzin, dlatego nora głównym wejściem ma kilka innych, zamaskowanych.

Tak też było i tutaj. Ujrzeni kilka jamek, które były dokładnie

zatkane. Podczas gdy konie się pały, Morgenstern i chirurg rozkopy-

wali pagórek, a Fritz stał z wycelowaną strzelbą, gotów wystrzelić, gdyby któryś z vizcachas chciał wydostać się przez zatkana dziurę. Było to posunięcie całkowicie błędne. Każdy doświadczony myśliwy postąpiłby inaczej. Mimo to udało im się. W niespełna pięć minut łopaty zagłębiły się na kilka stóp w ziemi, a Fritz wystrzelił dwukrotnie, po czym wydał radosny okrzyk. Pozostali mężczyźni podnieśli wzrok i ujrzeli, że ustrzelił dwie sztuki. I b wystarczyło. Łopaty znów załadowano na konie, a także duże, tłuste szynszyle i ruszono dalej.

Wkrótce trawa stała się bardziej soczysta, a ziemia pulchniejsza. Na północy ukazały się pojedyncze drzewa, nieomylny znak, że już niedaleko jest Laguna Porongos. Nazwa ta oznacza jezioro lub bagno porośnięte dzikimi drzewami cytrynowymi. Jakie drzewa mieli teraz jeźdźcy przed sobą. Słońce właśnie zaszło za horyzont, gdy trzech mężczyzn ujrzeli przed sobą wodę laguny.

Ostatni kawałek jechali tropami tak wielu jeźdźców, że byli pewni, iż są to ślady grupy wjca Jaguara. Mieli wielką wchotę jechać dalej, ale szybko zapadł zmrvk, więc zdecydowali tu się zatrzymać i rozbić vbóz.

Zsiedli z koni i rozsiodłali je. SpętaIi im przednie nogi w ten sposób, że mogły się paść, ale robiły tylko małe kroki. Chodziło o to, by nie odeszły zbyt daleko. Konie na pampasach żyją w stadach, zawsze trzymają się razem, nie należało się więc obawiać, że się rozejdą w różne strony,

Potem zebrali suche drewno na ognisko. Dzikie drzewa cytrynowe dostarczały go w dowolnych ilościach. Gdy płomień zamigotał wesoło, ściągnięto skórę z obu szynszyli. Na dwa najbliższe dni mieli dość mięsa. Dziś znów przebyli ponad sto kilometrów, a więc byli tak zmęczeni, że mimo ostrego wiatru mocno zasnęli. Z rana okazało się, że konie pozostały w pobliżu: Upieczono i spożyto resztę mięsa, potem jeźdźcy ruszyli dalej. Znajdowali się po wschodniej stronie laguny, do której z północnego zachodu wpływa Rio Dulce: Nazwę tę nadano rzece, ponieważ w początkowym biegu ma smaczną słodką wodę. Ale gdy potem płynie przez słoną pustynię, zasala się tak bardzo, że jej woda w dalszym biegu jest nie do spożycia.

Wczorajszy ślad prowadził wzdłuż laguny, a potem skręcał. 'Tam się zatrzymali i także odpoczęli. Ziemia była zdeptana i widać było liczne wygasłe ogniska, trawa zaś była stratowana przez konie, ale trójka jeźdźców nie miała tyle doświadczenia, by się zorientować, kiedy wypoczywali tu ich poprzednicy.

Od tego miejsca trop prowadził w kierunku północno-wschodnim.

Chirurg się zatrzymał i rzekł niepewnie:

- Seniores, czy naprawdę sądzicie, że są to ślady ludzi brata Jaguara?

- 'Tak - odparł Fritz Kiesewetter. - Miał ze sobą dwudziestu~ czterech ludzi i mniej więcej tyle tu obozowało.

- To prawda. Ale brat Jaguar, miał jechać do Gran Chaco, które położone jest na północny zachód stąd, a ślad wskazuje na północny wschód.

- Miał on widać ważny powód, by zboczyć z właściwego kierunku.

- Hm! A więc wasza miłość proponuje, byśmy jechali tym śladem?

- 'Tak. Nie sądzę, bym się mylił. Brat Jaguar na pewno przyjechał do tej laguny. Mamy jeden trop przed nami, a więc jego. Znam się na tym, bo kiedyś czytałem opowieść o Indianach, w której było wiele napisane o śladach, tropach i stratowanej ziemi.

## 109

Pojechali więc w kierunku północno - wschodnim. Droga pro-wadziła przez równinę, na której nie widać było nic prócz nieba i trawy. Około południa znaleźli czyste źródło, gdzie obozowała gro-

mada, którą uważali za grupę brata Jaguara. Oni także zsiadli z koni, by wreszcie do woli się napić i wypocząć. Po godzinie ruszyli dalej. Doktor Morgenstern miał na łańcuszku od zegarka mały kompas. Spojrzawszy nań stwierdził, że ślad prowadzi coraz bardziej na wschód. Już nie na północny wschód, tylko po prostu wschód. To jeszcze bardziej zaniepokoiło chirurga. Pokręcił głową i rzekł:

- Jeśli pojedziemy w tamtą stronę, to nigdy nie dotrzemy do Gran Chaco: Jeśli się nie mylę, to zdamy w kierunku Rio Salado, gdzie położone jest Paso de la Canas, a może nawet Paso de Quebracho. Czy rzeczywiście mamy przed sobą brata Jaguara? Mam wielką ochotę zawrócić lub skrócić w lewo.
- Ja ~ pojedę tak,, jak prowadzi ślad - odparł Morgenstern. - Gdzie są ślady, tam też są i ludzie, a gdzie są ludzie, tam jest co jeść. 'Taka konkluzja wywarła dobre wrażenie na don Parmesanie, więc rzekł, kiwając głową:
- Tb prawda. Być może dziś będziemy musieli głodować, bo nie zauważyliśmy żadnego zwierzęcia prócz sępów, więc jedźmy tym tro-pem.

Pojechali. Późnym popołudniem chirurg wskazał ręką przed siebie i rzekł cicho, jak gdyby się obawiał, że zostanie usłyszany:

- Un averstruz, un ayestruz - struś, struś!

Pozostali mężczyźni spojrzeli w tamtą stronę i rzeczywiście ujrzeli strusia, który gorliwie dłubał dziobem w ziemi i nie spostrzegł jeźdźców, gdyż odwrócony był do nich tyłem.

- Będzie mięso, będzie mięso - ciągnął dalej don Parmesan. -

## **Zaspokoimy głód. ~**

- Ale dopiero wówczas, jeśli ustrzelimy ptaka - rzekł Fritz. - Słysza~em, że strusia bardzo trudno upolować.

- Powiedziano prawdę waszej miłości. On nam ucieknie.

Wówczas doktor rzekł z dumą:

- Senior, już wiem! Nauka przychodzi człowiekowi z pomocą w każdym jego kłopotcie. Powiada bowiem, że struś chowa głowę w piasek. Niech więc pan spowoduje, by schował głowę, wtedy nas nie zobaczy; a my go osiągniemy, jak Dawid ółistrów!

- Senior - oburzył się Parmesan - czy chce pan sobie stroić ze . mnie żarty?

- Ani mi to w głowie! Mówię serio!

- Więc niech pan sam tam pojedzie i poprosi go; by schował głowę w piasek.

-To prawdopodobnie odniosłoby wprost przeciwny skutek.

- I ja tak sądzę. Jak można go skłonić, by schował głowę?

-To pańskie zmartwienie, senior. Jeśli nie widzi pan możliwości zrealizowania mojego pomysłu, to umygam ręce, choć mocno żałuję, bo będziemy głpdować.

Parmesan chciał mu udzielić jeszcze ostrzejszej odpowiedzi, ale przeszkodził temu Fritz.

- Seniores, nie kłóćcie się. Myślę, że mam dobry pomysł. Senior Parmesan, czy sądzi pan...

- Don Parmesan - przerwał mu tamten dumnie.

- Dobrze. A więc don Parmesan, czy sądzi pan, że struś ucieknie przed koniem?

- Nie, zdarza się nawet, że strusie pasą się pośród koni.

-To świetnie! Zsiądę więc z konia i położę się ze strzelbą w trawie.

Panowie pojedą wielkim łukiem na prawo i na lewo, nacierając na strusia i postaracie się z~gonić go do mnie. Jeśli będziemy mieli szczęście, to może uda się nam go ustrzeli~.

Pomysł ten został zaakceptowany. Morgenstern pojechał na prawo, Parmesan na lewo, by spłoszyć ptaka i zmusić go do ucieczki w stronę Fritza. .

Strusia amerykańskiego, inaczej nandu, chwytą się za pomocą bolas. Ustrzelić go niełatwo, ponieważ myśliwy, by strzelić, musi zatrzymać konia, a wówczas szybki ptak jest już poza zasięgiem strzału.

By nie tracić czasu i możliwie szybko odciąć ptakowi drogę, obaj jeźdźcy poganiali konie. Nandu, całkowicie pochłonięty swoim zajęciem, kłuł dziobem ziemię, drapał silnymi nogami o trzech palcach i kręcił się dokoła własnej osi, nie zwracając uwagi na obu jeźdźców ani na spokojnie pasącego się konia.

- Coś xni się zdaje, że on chce złożyć jaja i buduje sobie gniazdo
- mruknął leżący w trawie Fritz.

'I~raz obaj jeźdźcy dotarli do nandu i skierowali na niego konie. Był tak zajęty, że zauważył ich dopiero wówczas; kiedy byli w odległości zaledwie stu metrów od niego. Wtedy dał ogromnego susa i pobiegł przed nimi w stronę, gdzie leżał Fritz. 'I~raz ujrzał konia, zatrzymał się, ale zaraz pobiegł dalej w obranym kierunku. Uznał bowiem, że kofi mu nie zagraża.

Fritzowi z radości serce żywiej zabiło. Oparł mocno łokcie o ziemię, by mieć dobrą podporę dla strzelby, wycelował i wystrzelił. Nandu skoczył do góry, zatoczył się kilka razy i upadł. Fritz zerwał się radośnie, ujął konia za uzdę i poprowadził do miejsca, gdzie pozostali jeźdźcy przybyli niemal rbnocześnie z nim.

- Cudownie, udało się! - zawołał don Parmesan, zeskoczył z a:... ' konia i podszedł do ptaka.
- ř Lecz nandu jeszcze nie był martwy. Ostatkiem sił uderzył chirurga dziobem tak mocno, że poszarpał mu poncho i wyrwał z ramienia kawałek ciała.

- O niebo, o piekło! - krzyknął ranny cofając się. - 'I~n diabeł jeszcze żyje! Zadał mi taką ranę, ie na pewno od niej umrę.

- Sam pan sobie winien, senior - odparł Fiitz. - Nie podchodzi się do tak silnego zwierzęcia, dopóki się nie przekona, że nie żyje. Przyłożył strusiuwi lufę, do głowy i wystrzelił. Potem zwrócił się do chirurga, by sprawdzić, czy fana jego jest ciężka, ale nie była. Mięsiefl co prawda mocno krwawił, ale wyszarpany był tylko kawałek ciała 112 wielkości orzecha włoskiego, ptak miał go jeszcze w dziobie. Fritz wyjął go, podał chirurgowi i rzekł:

- Ma pan tu brakujący kawałek, senior. Wasza miłość jest tak słynnyxn i zręcznym chirurgiem, że bez trudu wstawi sobie z powrotem ten kawałek wołowiny.

- Wołowiny? - rozgniewał się don Parmesan, tamując krew. - Mam nadzieję, że cofnie pan to słowo, inaczej będę się musiał poje-dynkować z waszą miłością.

- Dobrze, cofam to słowo i proszę o wybaczenie. Czy ten kawałek przyrośnie?

- Wstawienie tego, to drobnostka, ale muszę mieć dwie ręce. Czy pan mi pomoże?

- Chętnie.

- Więc niech pan wci~nie ten kawałek mocno w ramię, dokładnie w poprzednie miejsce, a następnie proszę mi owinać jak najmocniej szarfę dokoła ramienia.

Morgenstern również im pomagał i mała rana wkrótce była opa-trzona. Teraz spokojnie obejrzeni ptaka. Była to samiczka długości około półtora metra i wagi około sześćdziesięciu funtów.

Załadowano ją na konia, po czym uszczęśliwieni myśliwi ruszyli dalej. Kiedy mijali miejsce, gdzie najpierw ujrzeni nandu, stwierdzili, że ptak istotnie miał zamiar wykopać dołek w kształcie miski, by złożyć jajka. Po krótkiej przerwie trop poprowadził trzech podróżnych jeszcze bardziej na północny wschód, a zaraz potem prosto na północ.

- No i co, czy wasza miłość jest teraz zadowolony? - zapytał Fritz chirurga. -Znajdujemy się na linii, która prowadzi prosto do Chaco.

- 'Iiz jest gorzej niż przedtem - odparł Parmesan niechętnie, ponieważ dokuczało mu ramię. - W ten sposób dojedziemy do Monte de los Palos Negros, a słyszałem, że tam lasy są wprost nie do przebycia. Gdybyśmy się trzymali bardziej na lewo, mielibyśmy przed sobą, aż do Rio Salado i dalej, całą czas otwartą przestrzeffi.

- Czy pan naprawdę już tędy jechał?

113

~ - y~ątpi pan?

Pytanie to miało brzmieć niechętnie i z naganą, ale głos chirurga był tak niepewny, że paść powinno raczej uczciwe słowo „nie”. Wkrótce trzej zgłodniaли jeźdźcy ujrzeli coś, co ich wprowadziło w zachwyt. Przed sobą, nieco na prawo od obranego kierunku, zauważyli gromadkę małych, pasących się jeleni pampasowych. Nie porozumiewając się nawet między sobą, wszyscy trzej skierowali konie na prawo i popędzili do zwierząt, nie wiedząc, że ustrzelenie tych pędzących jak wiatr jelenków jest, niemożliwe.

Przewodnik stada dostrzegł niebezpieczeństwo i popędził ze swoją, gromadką, nawet niezbyt szybko, ponieważ wiedział, że koń go nie dogoni. Przez jakiś czas odległość między myśliwymi a stadem się nie zmniejszała, ale kiedy ludzie zaczęli poganiać konie, przewodnik także zwiększył tempo, a rodzina biegła za nim z pełną gracji lekkością, pozostawiając myśliwych daleko w tyle.

, Mimo to oni dalej pędzili za stadem, aż rta horyzoncie ukazało się ciemne pasmo lasu, do którego jelenie zdążyły. Wkrótce gromadka znikła wśród drzew. Jeźdźcy zatrzymali się na skraju lasu, gdzieś woda.

- Umknęło nam pieczone - westchnął Parmesan. - Jeleni mostek to co~ ó wiele lepszego niż kawałek łykowatego strusiego mięsa. Czy panowie już kiedyś je próbowali?

- Ja nie - odparł doktor. - Jaki ma smak?

- Jak podeszwa. Nie można ugryźć i trzeba w całości połykać.

Tylko głód wypycha coś takiego do gardła.

- Czy nie można go zmiękczyć, dusząc w maśle, po łacinie buty-rum? Musimy upiec ptaka w jego własnym tłuszczu.

- 'Tuszczu? Strusi tłuszcz? Czy pan naprawdę sądzi, że struś ma choć odrobinę tłuszczu

- Tak, tak sądzę. Nauka dowodzi, że każde zwierzę zawiera tłuszcz, a że struś jest zwierzęciem, to nie wątpię, że znajdziemy w nim przynajmniej ślad tłuszczu.

## 114

- Nawet jeśli pan upiecze tego olbrzyma w takiej odrobinie tłuszczu, to i tak pozostanie on twardy jak oparcie wyplatanej krzesła. Ale dość o tym. Zgubiliśmy nasz trop, musimy go poszukać.

- Już na to za późno - rzekł Fritz. - Zaraz zrobi się ciemno, tutaj mamy trawę dla koni, a na skraju lasu wodę dla siebie i zwierząt. Jutro rano zaczniemy szukać tropu.

'I~n poczciwy mały człowiek nie pomyślał o tym, że zdeptana trawa w ciągu nocy wyprostuje się, i że rano już nic nie dojrzą. Dojechali do samego lasu, tam zsiadli z koni, uwolnili je od siodła i upręży. Las był: bardzo gęsty. W tym miejscu rosły quebracho, wysokie kaktusy, mistole,

chanary, vinale i inne rośliny strączkowe. Spomiędzy drzew tryskało z ziemi źródło i tworzyło dalej małą, czystą sadzawkę. 'I~m podróżnicy rozbili obóz. Drzewa na ognisko było w bród.

Wkrótce cała trójka zabrała się do przyrządzania pieczonego. d Niemożliwością byłoby oskubać strusia, więc ściągnięto z niego skórę razem z upierzeniem, potem go po~wiartowano. W żołądku znajdowały się resztki roślin, piasek, kamyki, rogowy trzonek noża i ostroga z kółkiem wielkości monety. Struś połyka wszystko, co tylko napotka. Mięso jego nie wyglądało najgorzej i dało się całkiem dobrze podzielić. Podczas dalszego krajania okazało się, że ptak miał powód do budowania gniazda. Znaleźli jaja, jedne wielkości grochu, inne wielkości pięści mężczyzny.

Większe jaja włożyli do popiołu, by się upiekły. Całkiem nieźle smakowały. Kawałki piersi, jako najdelikatniejsze części, spróbowali upiec jak asadw z wołu~ Kiedy Fritz wziął pierwszy kęs do ust i pożył trochę, wypluł i powiedział do swego pana:

- Fe, to istna zelówka, bez smaku, łykowane, nie do pogryzienia.

Niech pan spróbuje!

. 1b samo stwierdził uczony. Mięso było tak twarde, że mimo głodu nie dało się go jeść.

- Spróbujmy je utłuc - rzekł Fritz.

Położył kawałek na ziemi i tłukł kolbą strzelby, by je zmiękczyć. Wydawało się istotnie miększe, lecz w ogniu stwardniało jeszcze bardziej niż poprzedni kawałek.

- Przyroda popełniła błąd w obliczeniach - narzekał Fritz. - Kuropatwy i kwiczoły są takie delikatne, ale małe, natomiast ptaszy-ska odpowiedniej wielkości są niejadalne. Szkoda tylko prochu, który - na niego zużyłem. Gdybym wiedział, że struś ma taką twardą naturę, nie brałbym jego śmierci na swoje sumienie. No i co będziemy jedli? Za Fritzem coś zaszeleściło.

Odwrócił się i ujrzał na najbliższym drzewie długie zwierzę podobne do jaszczurki.

- Cicho - szepnął. - Nie ruszajcie się. Jeśli się uda, będziemy mieli pieczone.

Znow naładował strzelbę, wziął ją do rąk i powoli przesunął do przodu. Ognisko stanowiło dla zwierzęcia niezwykle widok. Siedziało na pniu drzewa, wyciągnięte jak wąż, wpięte łapami w korę i jasnymi oczami wpatrywało się w płomień. Fritz energicznie uniósł strzelbę, wystrzelił, ale zwierzę znikło.

- Co to było? - zapytał Morgenstern, który tak samo jak chirurg siedział oparty bokiem o drzewo.

- Iguana - odparł Fritz:

- Iguana? - zawołał Parmesan zrywając się. - Iguana! 1b naj-większy przysmak, jaki istnieje. Czy pan trafił, senior? Mam nadzieję, że tak.

- Nie wiem. Zobaczmy.

f;^'

Wstał, by podejść do drzewa.

- Niech pan uważa - ostrzegł go chirurg. - Iguana okropnie gryzie. Jeśli jest jeszcze żywa, nie wolno jej dotykać. Gdy Fritz podszedł do drzewa, wydał radosny okrzyk. 'Trafił zwierzę. Leżało na ziemi i nie ruszało się. Mimo to Niemiec był ostrożny i dla pewności uderzył je kilkakrotnie kolbą w głowę: Don Parmesan przybiegł, by pomóc przenieść iguanę do ogniska. Iguana, zwana także leguana, to duże południowoamerykańskie zwierzę z rodziny jaszczurek o szerokim łbie, ostrych zębach, dużym kolczastym grzebieniu na grzbiecie i bardzo długim ogonie. Ma 116 niezwykle silne nogi o bardzo długich palcach, pod gardłem ma zwisający worek. Iguany wspaniale pływają i ogromnie szybko wspinają się na drzewa. Żywią się jajami ptaków, owadami, młodymi pędami drzew, soczystymi liśćmi i pąkami. Bronią się odważnie i mocno gryzą. Zwykła iguana ma półtora metra długości, przy tym sam ogon ma metr. Bardzo chętnie się na nią poluje ze względu na szczególnie smaczne, delikatne i lekkostrawne mięso.

To wyjątkowo brzydkie zwierzę, toteż Morgenstern zawołał na jego widok:

- Ale czy naprawdę chcecie jeść to paskudztwo?

- Oczywiście - odparł don Parmesan. - Nie ma nic delikatniejszego niż mięso iguany, upieczone ze skórą i z łuską. Nie wiedział pan o tym? '

- Też mi pytanie! Nauka powiada, że iguana ma mięso, i że to mięso, zgodnie z doświadczeniem, jest jadalne. Ale ja dziękuję za taką pieczęć. Wolałbym już razem z Chińczykami jeść smażone dżdżownice, niż wbijać zęby w taką jaszczurkę.

- Wasza miłość na pewno jej nie zostawi. Ja sobie od razu utnę kawałek.

## **Wyjął nóż, by to uczynić. Lecz Fritz podniósł rękę i rzekł**

- Wolnego, senior! Kto ustrzelił iguanę?

- Oczywiście pan.

- No właśnie, ja. A więc to moja własność. Kto chce kawałek, musi ode mnie odkupić.

- Odkupić? Skąd taki śmieszny pomysł?

- Dokładnie stąd, co i pomysł waszej miłości, kiedy kazał mi pan ~płacić za pafiską wołowinę. Moja iguana jest o wiele smaczniejsza niż pafiska wołowina. U mnie funt iguany kosztuje dziś wieczorem pięćdziesiąt peso.
- Ależ, senior? Czy pan stroi sobie żarty?
- Mówię całkiem poważnie. Kto bierze pieniądze od towarzyszy, nie powinien się spodziewać, że będą oni hojniejsi od niego.

## 117

Odciał spory kawałek mięsa, nasadził na zaostrzoną gałązkę i trzymał nad ogniem. Po chwili rozszedł się delikatny, smakowity zapach pieczenia.

-Nieźle! -rzekł Morgenstern.-Jeśli tajaszczurka taksmakuje

jak pachnie, to można nabrać na nią apetytu.

Fritz nie odpowiedział i piekł dalej. On już jadał mięso iguany i wiedział, co będzie dalej. Kiedy mięso było już upieczone, dokoła rozszedł się cudowny zapach. Teraz Fritz pokroił mięso na drobne kawałki i zaczął jeść. Ten mały złośliwy spryciarz robił przy tyt~ takie

miny wyrażające zachwyty, że Parmesan nie mógł dłużej wytrzymać i zapytał:

- Senior, czy wasza miłość naprawdę nie podaruje mi ani kawał-ka? ,

- Nie.

- Nawet malutkiego? .

- Nie.

- A ile kosztuje kawałek, którym można się nasycić?

- Pan lubi dużo zjeść, a więc sto peso.

-Cuanto ca-restia! A ile zażąda pan za kawałek wielkości dziesięciu kęsów?

- Pana kęsy są bardzo duże. Dziesięć kęsów to będzie jakiś funt, a więc pięćdziesiąt peso.

- Cuanto costa eso - to bardzo drogo! Proszę wziąć pod uwagę, że jestem biedny i ranny.

- Biorę to pod uwagę~. Ranny powinien przestrzegać diety i przez

kilka dni nic nie jeść.

-Ib niemożliwe, kiedy się czuje zapach pieczonej iguany. Senior, niech pan sobie przypomni pobożnych i świątłych 'mężów! Zwrócę panu pieniądze - i wyjął sakiewkę z kieszeni.

- Niech pan to zostawi - rzekł Fritz. - Nic od pana nie wezmę.

'I~raz pan zrozumiał, jakie to niewłaściwe kazać płacić za kawałek mięsa kolegom, z którymi trzeba będzie dzielić troski, wyrzeczenia,

niebezpieczeństwa, a może nawet ponieść śmierć. Tb oczywiste, że nie postąpię tak jak pan.Ib, co każdy z nas posiada, jest także własnością pozostałych. Iguana to nasza wspólna własność. Niech pan sobie , odetnie tyle, ile pan zdoła zjeść.

Don Parmesan nie kazał się długo prosić. Szybko podszedł, schował sakiewkę i uciął sobie duży kawał mięsa. Fntz' także wziął jeszcze kawałek. Uczony przez chwilę im się przyglądał, potem zapytał:

- Fritz, czy to naprawdę takie dobre?

- Jeszcze ja'k!

- Wobec tego spróbuję. Po to tylko, aby móc powiedzieć, że kiedyś jadłem iguanę.

- Oczywiście, że trzeba spróbować. Bo co sobie pomyślą o panu w Jiiterbogku, był pan w Ameryce Południowej, a nie spróbował jaszczurki. Czy przyrządzić panu kawałek?

- 'I~k, proszę. ,

Fritz nadział kawał mięsa na patyk i upiekł. Morgenstern spróbo-wał, poezątkowo z wahaniem, potem śmieiej, pogryzł, uniósł brwi, połknął. Potem przysunął się bliżej, wyjął nóż i odkroił spory kawał, mówiąc:

- Kto by pomyślał! Taka jaszczurka zasługuje na to, by przenieść ją do wyższego gatunku zwierząt. Żadna ryba, żaden ptak ani ssak nie mają tak delikatnego mięsa. W dziele, które później opublikuję, podkreślę to szczególnie. Napiszę, że iguana jest wyjątkowo smaczna, po łacinie *sapidus*.

Cała trójka raczyła się jeszcze dość długo, a kiedy wieczorem skończyli ucztę, struś leżał nietknięty, a z iguany pozostał tylko ogon, który postanowili zachować na rano. Potem spętali konie, otulili się w koce i ułożyli do snu.

Kiedy obaj Niemcy obudzili się nazajutrz wczesnym rankiem, Par-mesan już rozniecił ognisko i zajął się ogonem iguany.

- Niech pań poczeka - powstrzymał go Fritz. - Ja podzielę, mamy równe prawa. 119  
'I~raz spostrzegł~, że w stawie ~są ryby i to bardzo dużo, i bardzo wielkie. Tylko jak je złowić? Nie mieli wędek ani sieci.

- Wiem, co zrobimy - rzekł Fritz. - Wypłoszymy je z wody naszymi poncho. Don Parmesan, czy pan mi pomoże? „Don” chętnie się zgodził, weszli więc do wody z poncho w rękach. Fritz trzymał za jeden koniec, chirurg za drugi. Staw nie był głęboki. Zanurzyli poncha głęboko w wodzie, aż do dna, i idąc do przodu poganiali ryby do brzegu. Udało im się. Kilka ryb od razu skoczyło na ląd. Kiedy powtórzyli tę czynność, mieli tyle ryb, że starczyłoby na dwa dni. - Podczas gdy zajmowali się połowem ryb, a potem zawijaniem ich w zielone liście, wzrok Morgensterna padł na miejsce, gdzie trawa była bardzo skąpa i rzadka. Miała też nie zieloną, lecz żółtą barwę. Co dziwniejsze, miejsce to było tak okrągłe, jakby zakreślone cyrklem, a na linii granicznej tego koła był piasek i nie rosło ani jedno źdźbło trawy. Dziwne było to małe piaszczyste miejsce w gliniastej glebie. Uczony wstał, podszedł do tego dziwnego koła, by mu się bliżej przyjrzeć. Wtedy zauważył, że było ono wybrzuszony jak przewrócona do góry dnem miska.

„Lekko sklezione i okrągłe” - pomyślał. - „Ió bardzo dziwne. d' :.,': . Czemu nie rośnie tutaj trawa? Ziemia tu jest tak samo gliniasta jak dokoła. Może pod tym znajdują się kamienie lub inne jałowe podłoże, tak że korzenie trawy nie mogą przeniknąć głębiej, a więc nie mają dość pożywienia.”

Wyjął nóż, by to zbadać, i zagłębił go w ziemię. Ostrze sięgnęło najwyżej na głębokość pięciu cali i natrafiło na twardy przedmiot.

Morgenstern spróbował w innych miejscach, z takim samym skut-kiem. Dziwny krąg miał bardzo twardy podkład, na którym znajdowa-ła się warstwa gliny grubości pięciu cali, a więc nie dająca trawie dość pożywienia, tak że rosła bardzo skąpo, była niska i ~niała niezdrową żółtą barwę. Musiało to mieć jakiś szczególny powód. I skąd ta wąska smuga piasku w jednym miejscu na obwodzie koła?

## 120

Jak okiem sięgnąć nie było tu piasku. Morgenstern pochylił się i zaczął grzebać nożem w piasku. Dwaj pozostali podróżnicy przyglądali mu się zdziwieni. 'I~raz Fritz podszedł i zapytał:

- Co pan znalazł, panie doktorze? Co pan robi tym nożem? Czy chce pan zamordować naszą kochaną matkę ziemię?



- Nie pleć głupstw - odparł Morgenstern. - Chodzi o poważną sprawę. Czy słyszałeś kiedyś o tak zwanych kołach czarownic?
- Bardzo często. Ió są koliste miejsca na łąkach, gdzie podczas nocy, więdźmy taficzyły zwariowane szkockie tańce.
- Nonsens! 'I~ kręgi pochodzą od rozmaitych gatunków grzybów, które rozmnażają się centryfugalnie. Jeśli się zniszczy grzyby, znikają też koła.
- Rozumiem. Czy znalazł pan tu takie koło?
- Tak, ale bardzo szczególnego rodzaju. Koła czarownic bowiem otoczone są gęstym kręgiem zieleni, podczas gdy tu jest inaczej. Rośnie tu trawa, a środek koła jest całkiem pusty. I skąd ten piasek?

Przecież nigdzie dokoła go się nie spotyka.

- Hm. Ió miejsce i mnie wydaje się bardzo dziwne. Może tu zakopano jakiś skarb? Wolałbym to, niż gdybyśmy mieli wygrzebać jakieś przedpotopowe zwierzę.
  - Przedpotopowe zwierzę? - zawołał Morgeństern, spoglądając na Fritza radośnie zaskoczony. - Fritz, może trafiłeś w dziesiątkę!
  - Ze znaleziskiem czy ze skarbem? ,
  - Z jednym i z drugim, bo jeśli znajdę tu mastodonta albo coś w tym rodzaju, będzie to dla mnie skarbem, a wtedy i ty nie odejdziesz z pustymi rękami.
  - Miło to słyszeć, rzekł głuchy, kiedy dostał po pysku. Ale takie miejsce w tej okolicy musi mieć jakiś powód. 'Il~ochę cierpliwości, a kiedy usuniemy piasek, myślę, że znajdziemy ów powód.
  - Ió samo i ja pomyślałem. Przynies łopaty i motyki. Musimy zaraz zacząć kopać.
- Fritz usłuchał, a kiedy obaj zaczęli kopać, podszedł don Parmesan 121 i gniewnie zaczął naglić do wyjazdu. Ale mina mu się natychmiast rozjaśniła, kiedy doktor rzekł:

- Jeśli znajdziemy tu megatherium lub podobne olbrzymie zwie-rzę, a pan nam pomoże, dam panu tysiąc peso.
  - Chętnie pomogę, nawet gdyby to miało pAtrwać tydziefi.
- Z miejsca wziął łopatę i zaczął kopać, bo tysiąc peso było dla niego sumą bardzo ponętną. '

Podczas gdy don razem z Fritzem wkopywali się w piasek, Morgen-stern wziął szufłę, by oczyści~ jedno miejsce o twardym podłożu z leżącej na nim warstwy gliny i rosnącej tam trawy. Odkrobał tę warstwę i odgarnął; ukazała się zwarta,.,gładka, podobna do szylkretu masa, która kiedy w nią uderzył wydała głuchy, pusty dźwięk.

- Eureka! Mam, znalazłem! 'Ib twarda jak pancierz masa! Mam! Mam!

- Co pan ma? - zapytał Fritz, spoglądając znad swej pracy.
  - Zwierzę olbrzyma. Tbglyptodont, z całą pewnością toglyptodont!
  - Kto by zrozumiał takie słowo! Jak by na to powiedziano w Stralau albo w Jiiterbogku?
  - Armadył olbrzymi albo pancernik olbrzymi. Istota przedlodow-cowa, Fritz!
  - A więc zginął podczas potopu i nędźnie utonął. Aż szkoda bestii.
- Duże to?

- Jak tapir lub nosorożec, półtora metra długości.
- A więc nie da się wziąć na ręce. Ale nic nie szkodzi, tak je wyciągniemy.
- Oczywiście, że wyciągniemy. Ale uważajcie, byście go nie uszko-dzili, bo to zmniejszyłoby wartość cennego znaleziska. Fritz kopał z chirurgiem dalej. Także doktor pracował gorliwie, zeskrobując wierzchnią warstwę gliny z pancerza przedlodowcowego zwierzęcia. Był rozpromieniony, policzki mu płonęły z podniecenia, ręce drżały. Był jak w gorączce. Robił przy tym swoim towarzysząm wykład na temat czasów prehistorycznych i istot, które wówczas żyły.

## 122

Fritz i don Parmesan wyrzucali piasek na prawo i lewo i sięgali coraz głębiej. Nagle piasek się obsunął, Fritz wydał okrzyk i znikł w dole. Jego towarzysz szybko odskoczył, bo inaczej też by się zapadł.

- Na litość boską, co się stało? - zawołał Morgenstern. - Chyba nic groźnego?

- On znikł - odparł Parmesan. - Ziemia osunęła się pod nim i przepadł.

Doktor ostrożnie podszedł do jamy i zawołał:

- Fritz, drogi Fritz, czy jeszcze żyjesz?

- Żyję i bardzo mi radośnie na duszy - rozległo się z dołu.

- Jak to się stało? Gdzie jesteś?

- Straciłem balast dziewiętnastu stuleci i wpadłem w dyluwium.

- Czy jesteś ranny?

- Nie. Ib pancerne zwierzę zachowuje się inteligentnie. Jest całkiem spokojne i wcale mnie nie uszkodziło.

- Więc wyłaź na górę. Mogą tam być niebezpieczne gazy.

- Wprost przeciwnie. 'Iii jest całkiem przytulnie. Niech pan tu zejdzie. Właśnie inam dwa wygodne miejsca do wynajęcia, dwa miej-sca w przedpotopowym świecie. Proszę na dół, moi panowie. Jego wesołe zachowanie rozwiało wszelkie niepokoje dóktora, a ponieważ pragnienie wiedzy było nie do poskromienia, ostrożnie zszedł do jamy. Droga prowadziła około trzech stóp pionowo w dół, a potem pod kątem rozwartym dalej do wttętrza. Fritz więc nie spadł pionowo, tylko pochyło. 'I-raz wołał ze ~rodka:

- No, jest pan. Widzę pańskie nogi. Znajduje się pan właśnie przed brzuchem tego olbrzyma. Niech pan siada, to wciągnę pana za nogi do siebie.

Morgenstern poczuł, że pochwyciono go za nogi i pociągnięto, ku swemu zdziwieniu znalazł się obok Fritza w małej niskiej jaskini. Otwór, przez ktbry wpadł, przepuszczał dość światła; tak że mógł się rozejrzeE. Jaskinia była jasna, owalna, mniej więcej wysokości dwóch łokci i tak duża, że trzy osoby mogły obok siebie wygodnie siedzieć.

## 123

Sufit wyglądał jak wnętrze talerza, ziemia w jaskini była gładka i częściowo pokryta piaskiem: W miejscu, gdzie piasek nie dotarł, widać było ubitą glinę.

Gdy Fritz miał już swego pana obok siebie, zaśmiał się i rzekł wesoło:

-Tak to człowiek może skoczyć ze świata ziemskiego w podziemny i z czasów współczesnych do przeszłych. Co pan powie na tę jaskinię mamutów?

- 'Iii nie ma mowy o żadnych mamutach. Znajdujemy się najprą-wdopodobniej we wnętrzu glyptodonta, a więc zwierzęcia, którego przedtem nazwałem armadillem olbrzymim.

- Czy te zwierzęta miały ciała z gliny?

- Oczywiście, że nie. Chyba zdajesz sobie sprawę, że ciało wraz z kośćmi z biegiem czasu zbutwiało, i że pozostał tylko niezniszczalny pancerz. I teraz właśnie w nim siedzimy.

- A więc w środku maszinerii?

- 'I-k. Dawniej sądzono mylnie, że te pancerze pokrywały megat-heriurn, bo na jego kości natrafiono w pobliżu takich znalezisk. Ale znawca nie pomyli gtyptodonta z megatherium, choć i ten ma spłasz-czoną czaszkę, a przy kości jarzmowej opuszczony wyrostek. Pancerz, który otaczał zwierzę' od szyi do ogona, tak, że tylko brzuch był odsłonięty, składał się z ośmiokątnych części kostnych tworzących jedną całą, mocno zespoloną pokrywę. Ogon tkwił w oddzielnej pancernej rurce, którą na pewno jeszcze znajdziemy. Musimy przede wszystkim odsłonić pancerz. Kiedy potem okaże się, gdzie jest częSE przednia, a gdzie tylna, wówczas bez trudu stwierdzimy, gdzie jest ogon.

Fritz potrząsnął głową i rzekł:

- Jeśli całe zwierzę tkwiło w pancerzu, tak że ,tylko brzuch miało odsłonięty, to gdzieś na dole musi być jakaś wklęsłość. Boki też musiały być opancerzone, a my tu mamy tylko u góry pancerz, a po ,, . . . obu stronach glinę.

## 124

- Dostała się tam wskutek nacisku. Jeśli ją usuniemy, ukążą się boki pancerza. Przyślę ci tu na dół chirurga. Obaj wyrzucicie glinę na zewnątrz, a ja na górze będę grabił, by odsłonić glyptodonta od zew-nątrz. Będziemy wspólnie pracowali, by zakoficzyć wszystko przed zmierzchem; po łacinie crepusculum.

Wydostał się z jaskini i posłał tam Parmesana z motyką i łopatą. Podczas gdy tamci na dole pilnie pracowali, on sam zaczął na górze rozgrzebywać ziemię, by odsłonić pancerz.

Robił to z takim entuzjazmem, że pot spływał mu po twarzy, bo myślał o sławie, jaką zdobędzie, jeśli uda mu się ustawić w swoim własnym mieszkaniu przedpotopowego olbrzyma. Był bowiem prze-konany, że chodzi o glyptodonta. Około południa odkrył, że pancerz nie tworzył rury tylko skorupę, która niby lekko sklepiona pokrywa przykrywała jaskinię, a opierała się na jej glinianych ścianach. Fritz i chirurg przebili swoimi narzędziami te ściany, a ponieważ uczony od zewnątrz im pomagał, wkrótce jedna strona pancerza, podobna do pancernejskiej pokrywy, była odsłonięta i Fritz wraz z chi~urgiem wyczoł-gali się na zewnątrz.

- A jednak pan się pomylił. Tb żaden pancernik, ponieważ boki tego zwierzęcia nie były opancerzone. Miało tylko pancerz na grzbie-cie.

Uczony był trochę rozczarowany. Zamyślony patrzył przed siebie. Potem nagle twarz mu się rozja~niła i z radosnym okrzykiem oświad-czył:

- Fritz, bardzo mi ulżyłeś. Już myślałem, że nasza praca poszła na marne, ale twoje słowa przekonują mnie o czymś wręcz przeciwnym. Masz rację. 'Zwierzę miało na grzbiecie okrągły pancerz, po łacinie clipeus. Jakie zwierzę ma jeszcze pancerz? Żółw! Po łacinie testudo. Tb znaczy, że odkryte przez nas zwierzę to armadill, to żółw o niezwy-kłych rozmiarach. Co za radość! Jaka sława mnie czeka, kiedy ta wiadomość dotrze do kręgów naukowych we wszystkich krajach. Wiadomość, że odkopałem skamieniałego żółwia olbrzyma!

## 125

- Jeśli to istotnie on.

- Na pewno. Zaraz to zbadam.

Przyniósł w kapeluszu wodę i garścią trawy wytarł kawałek pauce-rza.

- Widzisz - zawołał - że mam rację! 'Id masa to róg; mocny, gruby róg. Ta oblepiona płyta to nie pancerz glyptodonta, lecz pancerz żółwia olbrzyma, po łacinie Chelonia Midas.
- Byłbym bardzo rad, gdyby to znów nie okazało się pomyłką i ten poprzedni pancernik, a obecny żółw dla odmiany nie okaże się przed-potopową żabą. Ale czy żółw nie ma dwóch pancerzy?
- 'hak, jeden na grzbiecie, a drugi na brzuchu.
- Ale to zwierzę miało tylko jeden. Czyżby drugi rozbił albo przegrał w karty?
- Bez głupich żartów, Fritz! Pancerz brzuszny też na pewno się znajdzie. Całe wnętrze natomiast zbutwiało. W ten sposób powstała ~ama, którą mamy przed sobą. Dół w każdym razie jest z pancerza brzuszego. Zaraz go znajdziemy, kiedy usuniemy glebę, która tu się dostała.
- Tb mi już bardziej przemawia do rozumu. I wie pan co? Kiedy-śmy tam byli, zauważyłem, że uderzenie w dno jaskini brzmiało głu-cho.
- Głucho? Naprawdę? No więc widzisz, Fritz, że słusznie rozumu-ję. Stałeś na pancerzu brzuszny, i to właśnie brzmiało głucho, po łacinie cavus. Wykopiemy go:

- Ale nie teraz, dopiero po-obiedzie. Już południe i trzeba coś zjeść. Mamy ryby, które możemy upiec albo usmażyć. Mały uczony był tak uradowany swym znaleziskiem, że nie odczuwał głodu i chętnie zrezygnowałby z tej przerwy w pracy. Ani myślał pomóc przy przyrządzaniu ryb. Kopał i skrobał pancerz żółwia, stukał wefi, by posłucha~, jakie wydaje odgłosy, badał, czy dno pod nim rzeczywiście wydaje głuchy odgłos i dopiero kiedy ryby były gotowe, przyłączył się do towarzyszy. Podczas gdy tamci zajadali z apetytem, 126 on wziął tylko mały kawałek, a kiedy oni skoficzyli, zerwał się i rzeił:
  - Nie mogę jeść. Nie będę miał spokoju, póki nie znajdę pancerza brzuszego. Żołądek, po łacinie ventriculus albo stomachus, mam jakby zasznurowany. Nie mogę połykaE'
  - Tb bardzo niezdrowo - rzekł Fritz. - Człowiek musi jeść. Ja, kiedy się z czegoś cieszę, jexń dwa razy tyle.
  - Czy to nie cud? 'Takie znalezisko jest pó prostu wspaniałe i jedyne w swoim rodzaju. Człowiek cieszy się nieopisanie, ale jedno-cześnie się niepokoi, po łacinie cura. ,
  - 'I-go nie rozumiem. Mnie jeszcze żaden żółw nie zaniepokoił.
- O co się pan martwi?
- O różne rzeczy. Przede wszystkim o nazwę, jaką muszę mu nadać.
  - = Przecież już ma. Nazywa się żółw. A może to nie jest oficjalna nazwa?
  - To nazwa potoczna. Ja natomiast muszę mu nadać nazwę na-ukową, łacifiską.
  - I od tego boli pańa głowa? Więc panu pomogę. Zaraz znajdzie-my tę naukową nazwę. Jak będzie żółw po łacinie?
  - Testudo. Ale są gatunki określane naukowo jako Listudo, Emys, Chelydra, Tiyonichida, Sphargis i Chelonia. Chelonia Midas na przy-kład to żółw olbrzymi.
  - No to ma pan poszukiwaną nazwę. Przecież właśnie znaleźliśmy żółwia olbrzymia:
  - Słusznie. ĩAle nie mogę go tak nazwać, ponieważ Chelonia Midas to są żółwie żyjącejeszcze obecnie, nasz natomiast jest prehistoryczny i o wiele większy niż współczesne.
  - To prawda. Z niego to istny Goliat, prawdziwy gigant i...
  - Poczekaj! - przerwał mu uczony. - Mam, mam! Właśnie powiedziałeś. Jesteś dzielnym chłopcem, Fritz. Gigant i Chelonia! Ib tworzy znakomite zestawienie. Nazwę to olbrzymie zwierzę Giganto-chelonia. Może później, by uczcić mnie jako odkrywcę, dodadzą mu

## 127

także moje imię, czego z powodu właściwej mi skromności nie chcę dziś czynić. Tak, tak, ten prehistoryczny żółw olbrzym otrzyma nazwę Gigantochelonia. Zaraz zapiszę tę nazwę, a także ów ważny dziefi, w

którym odkryłem to niezwykle znalezisko.

Wyciągnął notes i wpisał nazwę. Lecz Fritz rzekł, potrząsając głową:

- Ci uczeni panowie to dziwne indywidua! Choć zwierzak ma piękną nazwę, to trzeba mu szukać dodatkowej. To zwierzę w każdym razie dostało się do dyluwium za czasów Noego, więc nazwałbym je po prostu żółwiem olbrzymem Noego. Nazwa byłaby dla wszystkich zrozumiała. Szkoda tylko, że nie rna już mięsa; ile zup żółwiowych można by z niego ugotować...
- 'lak, jeśli się pomyśli, jak daleko oba pancerze są od siebie oddalone, można sobie wyobrazić, jak silne i potężne było to zwierzę. Musiało mieć ogromną masę mięsa, po łacinie caro. Czyjuż skoficzy-liście jeść? Pospieszcie się! Musimy odkopać pancerz brzuszny. Wy rozkopujcie ziemię, ja dalej będę odstaniał górną skorupę. Fritz zszedł z don Parmesanem do jamy, by wykonać polecenie swego pana, podczas gdy Morgenstern robił swoje. Pracował z taką gorliwością, że sam stał się przedmiotem obsenwacji; co dla niego i jego towarzyszy mogło mieć fatalne skutki.

Na wschód od miejsca, gdzie cała trójka z taką pilnością pracowała, ukazała się bówiem gromada około pięćdziesięciu jeźdźców. Ich ce-lem najwidoczniej była woda w pobliżu znaleziska. ‘ Jednocześnie z południa ukazało się pięciu jeźdźców, ale byli jeszcze tak daleko, że wida~ ich było jako małe ruchome punkty.

Pierwsza gromada znajdowała się bliżej. Składała się z Indian, z którymi było dwóch białych. Czerwonoskórzy byli uzbrojeni w łuki i strzały, długie oszczepy i rurki do wydmuchiwania strzał. Tylko jeden z nich, widocznie przywódca, miał strzelbę. Obaj biali ubrani byli jak gauczowie i otuleni w poncho w biało-czerwone pasy. Jako brofi mieli noże, rewolwery i strzelby o podwójnych lufach. Jeden z nich był to

128

Antonio Perillo, toreador z Buenos Aires, drugi zaś owym starszym mężczyzną, który wraz z Perillem. obserwował brata Jaguara wieczorem pod quintą bankiera.

Jechali skrajem lasu. Gdy byli dostatecznie blisko, ujrzeni małego uczonego, który, odwrócony do nich tyłem, był zagłębiony w swej pracy. Obaj biali jechali z przywódcą przodem. Starszy z nich uniósł rękę, dając znak do zatrzymania i rzekł zwracając się do wodza:

-A to co? Nie jesteście sami?’Idm przy wodzie j est jakiś człowiek.  
Widzisz go? Rozkopuje ziemię:

Czerwonoskóry spojrział we wskazanym kierunku i odpowiedział łamanym, ale biegłym hiszpańskim:

- Biały u naszego źródła, koło naszej kryjówki! Odkrył ją i. teraz rozkopuje. i~aya! ~Vaprzód na niego!

Chciał popędzić swego konia, ale biały chwycił go za ramię i rzekł:

- Nie tak prędko. Najpienw go poobserwujemy. Nie może nam umknąć. Jest przecież sam.

- Czy jest sam, czy ma przy sobie jakichś ludzi, to dla mnie obojętne. Nazywają mnie „el Brerzo valiente”, „Odważne Ramię”. Jestem najwyższym wodzem wojowników i nie boję się żadnego wro-ga.

- Wiem. Ale najpierw musimy go obserwować. Musimy się do-wiedzieć, kim jest i skąd wie o naszym magazynie prochu. Zresztą on nie jest sam, ma towarzystwo, bo widzę pięć koni pasących się koło wody.

- Quedo - cicho! - zawołał Antonio Perillo. - On jest mały i ubrany na czerwono. Czy to możliwe? Jeśli mnie wzrok nie myli, to mamy ważny łup. Tb ów pułkownik, który w Buenos Aires podszywał się pod niemieckiego uczonego.

- Demonio! Czy to prawda? - zapytał starszy towarzysz Perilla.

- Mogę przysiąc. ‘I~raz mamy dowód, że się nie myliłem co do niego. W jaki sposób niewinny niemiecki mól książkowy trańłby do tajnego magazynu prochu, który założyliśmy dla naszych 129 czerwonoskórych sojuszników, aby w chwili ataku mieli potrzebną amunicję? To pułkownik Glotino, ten łotr, który skrada się wszędzie naszymi tropami. W Buenos Aires nie trafiła go nasza kula, ale tu go nie ominie.

Wyciągnął rewolwer z za pasa.

- Uspokój się! - mitygował go starszy. - Nie tak pochopnie. Nie wolno nam go zabić, bo musi nam powiedzieć, czego szuka w tej okolicy i skąd zna naszą kryjówkę. Jeśli go teraz załatwimy, pozbę-dziemy się go, ale jeśli zatrzymamy, to jako.zakładnik może nam przynieść wielką korzyść. A kto tam się zbliża? Czy to nie jeźdźcy? Wskazał kierunek południowy, gdzie pięć punkcików stawało się coraz wyraźniejszymi. Spojrzenia innych też się tam skierowały, a Antonio Perillo odparł:

- To nie może być nikt inny, tylko kapitan Pellejo, z którym mieliśmy się tutaj spotkać. Nasz podstęp zatem się udał. Otrzymał rozkaz objechania granicy. Tak więc mamy w ręku granice i wszystkie osiedla nad rzeką. W ten sposób przed naszymi czerwonoskórymi sojusznikami w chwili działania wszystkie bramy będą stały otworem. I on, na pewno on. Sądzę, że nie zostawimy jemu ujęcia tego tam draba; lecz sami to uczynimy, zanim on nadjedzie. Popatrzcie, ten łajdak opuszcza się do składu. To ostatnia chwila. Otoczmy to miejsce. Naprzód! Kilku niech pochwyci konie; wtedy ten łotr nam nie ujdzie. Gromada ruszyła szybko w stronę magazynu prochu, który doktor Morgenstern uważał za miejsce, gdzie zdomowiło się przedpotopowe zwierzę.

Fritz z chirurgiem rozkopali glinę, która tworzyła dno jaskini.

Każdemu uderzeniu towarzyszył głuchy odgłos, dowód, że pod tym dnem była pusta przestrzeń. Kiedy dokopali się na głębokość około jednej stopy, ku swemu zdziwieniu natrafili na mocne gałęzie ułożone obok siebie i stanowiące podpory glinianego dna. Wyciągnęli kilka z

nich i w ten sposób powstał wielki otwór, przez który mogli zajrzeć do środka. Zobaczyli jeszcze większą jaskinię niż górna. Stały w niej 130 lub leżały liczne małe beczki zawinięte w skórę nasyoną żywicą oraz podłużne, również zabezpieczone przed wilgocią paczki. Fritz ukląkł, by sięgnąć po jedną z nich. Była ciężka, tak że chirurg musiał mu pomóc. Kiedy ją wyciągnęli i otworzyli, oczom ich ukazała się znako-micie utrzymana broń.

- Co za niespodzianka! - zawołał. - To strzelby. Należy przypuszczać, że w beczkach jest proch i ołów! Panie doktorze, niech pan tu wejdzie. Znaleźliśmy coś dziwnego.

- Coś dziwnego? - zapytał Morgenstern. - Pancierz brzuszny Gigantochelonu jest czymś bardzo ważnym, ale nie dziwnym. Macie go?

- Pancierza niestety nie, ale zupełnie inny rodzaj uzbrojenia. Niech pan nas z łaski swojej zaszczyli swoją wizytą.

Morgenstern odłożył motykę i poszedł do swych towarzyszy.

W tej samej chwili Antonio Perillo rzekł:

- Popatrzcie, ten łotr zszedł do magazynu.

- Niech pan spojrzysz - powiedział Fritz. - Już przed potopem wymyślono proch i strzelby. 'Pakie odkrycie jest chyba ważniejsze od Gigantochelonii.

Mały uczonek miał niewyraźną minę. Otworzył usta i wytrzeszczył oczy.

- Strzelby? - wykrztusił. - Doprawdy strzelby! Jest niemal pewne, że ani w sylurze, ani wcześniej, ani też w epokach późniejszych nie znano broni palnej. Jeśli ta broń znajduje się pod pancierzem Gigantochelonii, to schowały ją tutaj jakieś indywidualne ludzkie z dawnych czasów. Ludzie ci nie wiedzieli nic o paleozoologii, bo inaczej zdawaliby sobie sprawę, że umieścili swoją broń w miejscu, którego znaczenie dla prehistorycznych stosunków...

Nie dokoczył zdania. Zbliżający się tętent kopyt kofskich przeniósł go z prehistorii do współczesności. Rozległy się głośne okrzyki, a kiedy Morgenstern wysunął głowę z jamy, by zobaczyć, co się dzieje, ujrzał, że wielu Indian pochwyciło za broń, którą on i jego towarzysze

131

pozostawili. Dwóch białych skierowało na niego rewolwery, a jeden z nich zawołał rozkazującym tonem:

- Niech pan wychodzi z tej nory wraz ze swymi towarzyszami.

Musimy z wami pogadać!

- Antonio Perillo! - zawołał uczonek, który rozpoznał tego mówiącego.

- 'Tak, to ja. Niech pan posłucha i szybko wychodzi, inaczej będziemy zmuszeni do gwałtownego działania.
- Wcale to nie jest potrzebne. Mam czyste sumienie i mogę stanąć przed każdym z odsłoniętym czołem.

Wyszedł z jamy wraz z towarzyszami. Gdy Perillo ujrzał chirurga, zawołał zdziwiony:

- Carnicero! Senior; co pan robi w tym towarzystwie?
- Prowadzę panów do Gran Chaco - odparł chirurg.
- Po co?
- By wykopywać zwierzęta.
- Zwierzęta? Wykopywać? Jakie znów zwierzęta?
- Prehistoryczne.
- I pan w to wierzy? Senior Parmesan, dotąd znałem pana jako człowieka, który ma swoje dziwactwa, ale nie jest groźny i nie zajmuje się polityką. Dziś jednak muszę zmienić zdanie.
- Polityką? A cóż mnie ona obchodzi? Jestem chirurgiem i wy-starcza mi moja nauka. Przecież pan wie, że żadna operacja, żadne cięcie nie jest dla mnie zbyt trudne, wszystko ciacham.
- Tym razem mam na myśli nie skalpel, tylko prawdziwy miecz.

Przecież pan wie, że pana współtowarzysze to podejrzani politycznie i bardzo niebezpieczni ludzie.

- Niebezpieczni ludzie? I b nieprawda. Ci panowie to uczeni z Niemiec. Chcą wykopywać zwierzęta olbrzymy i nie mają nic wspól-nego z polityką.

- Jeśli jes~ pan o tym przekonany, to znaczy, że oni pana wprowadzili w błąd. My wiemy lepiej, jak jest naprawdę. Na szczęście

132 przestali, już grać swoją rolę, bo przyłapaliśmy ich na kradzieży.

- Na kradzieży? - oburzył się Fritz. - Nie jesteśmy złodziejami, ale my możemy was oskarżyć o zbrodnię o wiele gorszą od kradzieży.
  - Ach, tak - roześmiał się Perillo szyderczo. - Jaką zbrodnię ma pan na myśli?
  - Morderstwo. Próbował pan w Buenos Aires zastrzeli~ mojego pana.
  - 'Tak? Nie może pan tego dowieść, my natomiast dowiedziemy wam, że wdaliście się w sprawy, wskutek których wasze głowy znalazły się w największym niębezpieczefistwie. Oświadczam, że obaj jesteście naszymi więźniami.
  - Nie macie prawa. A może jest pan z policji?
  - To nie pana interes! Zresztą wasza sprawa nie podlega sądowi cywilnemu tylko wojennemu. Zgodnie z tym zostaniecie rozstrzelani. Właśnie nadjeżdża oficer, który was przesłucha. Wskazał na pięciu jeźdźców, którzy przybyli na plac. Czterech kawalerzystów pod rozkazami kapitana, który w Santa Fó gościł Morgensterna i Fritza, a potem kazał ich wyrzucić. 'I-raz zeskoczył z konia, skinął Indianom, uściskał rękę toreadorowi jak staremu przy-jacielowi, następnie grzecznie się kłaniając, rzekł tonem pełnym czci:
  - To dla mnie wielki zaszczyt znów widzieć el gambusino maestro, najstynniejszego poszukiwacza złota. Jak pan widzi, dotrzymałem słowa i stawiłem się na czas. Ale kogóż u pana widzę? To ten dziwny Niemiec, którego ze względu na wielkie podobieństw wziąłem za pułkownika Glotino...
  - Wziął pan? Tylko wziął? - przerwał mu tamten, który dotąd się nie odzywał. - Niech pana nie myli przebranie! Tb naprawdę on. Gdzie pan go widział?
- Kapitan Pellejo opowiedział zwięźle o spotkaniu w Santa Fó, po czym gambusino rzekł, wzruszając ramionami:

- Oto dowód, że mamy do czynienia z prawdziwym Glotinem.

W Buenos Aires mieszkał on u bankiera Salidą, który jest znany jako 133 zwolennik generała Mitre. W Santa Fó udał się do więzienia, by szpiegować jego załogę, a potem jedzie prosto tutaj, by opróżnić nasz skład. Musi nam powiedzieć, kto mu zdradził to miejsce.

- Nikt mi nic nie zdradził - rzekł mały uczonec. - Nazywam się Morgenstern i jestem z Niemiec. Udajemy się do Gran Chaco, by wykopywać prehistoryczne zwierzęta, a tutaj, gdzie rozbiliśmy obóz, odkryłem przypadkowo, pQ łacinie fortuito, pancerz grzbietowy przedpotopowego żółwia olbrzyma, którego nazwałem Gigantochelonia.
- Pancerz żółwia? Gdzie?
- No tutaj - odparł Morgenstern wskazując na mniemany pancerz. - Chyba pan nie zaprzeczy, że mamy tu do czynienia z pancerzem grzbietowym żółwia olbrzyma!
- Niech pan nie robi z nas wariatów! - ofuknął go gambusino. - Pan dobrze wie, w jaki sposób zakłada się tego rodzaju tajne magazyny i chroni broń i proch przed wilgocią, okrywając kryjówkę pokrywą z gliny przesyconą żywicą. Czy pan uważa nas za takich głupców, którzy uwierzą, że pokrywę wziął pan za pancerz żółwia?
- Ależ to prawda, senior! Mylicie się bardzo, przypuszczając, że chodzi tu o przesyconą żywicą pokrywę z gliny. Jestem znawcą i zapewniam pana, że mamy tu do czynienia z pozostałością jedynej w swoim rodzaju paleozoologicznej stworzenia. Może mi pan wierzyć.
- Niech się pan nie maskuje w tak śmieszny sposób! Panie kapi-tanie, proszę się zająć tymi rzekomymi Niemcami. Carnicero nie jest groźny, puścimy go wolno, bo by nam tylko zawadzał. Niech zabierze swego konia; broń i jedzie, dokąd zechce.

Chirurg był z tej decyzji ogromnie zadowolony. Szybko osiodłał konia, wziął swoją strzelbę i zamierzał odjechać. Ale dokąd?

- Co za historia! - mruknął przed siebie. - 'I~n niemiecki poszukiwacz starych kości miałby być pułkownikiem Głotinem? To niemożliwe. On przecież naprawdę sądził, że ta kryjówka broni jest

134 legowiskiem przedpotopowego zwierza. 'I~n draby, które nas zaskoczyły, chcą połączyć się z Indianami, by powstać przeciwko rządowi. Powiedzieli, że zabiorą tego Niemca. A, to przecież dobry człowiek i pragnę go uratować. Spróbuję odszukać brata Jaguara.

## Ostatni Inka

Mniej więcej dwadzieścia kilometrów od miejsca, gdzie rozegrało się opisane uprzednio wydarzenie, po drugiej stronie Rio Salado położona jest Laguna Tostado. Wspomniana już Monte impenetrable, czyli nieprzenikniona góra, rozciąga się wzdłuż Rio Salado w kierunku północno-zachodnim i tylko tam można ją przebyć, bo wskutek nieznanych przyczyn właśnie tam powstały naturalne przejścia. Tędy właśnie Indianie Chaco podejmują swe grabieżcze wyprawy na zamieszkałe tereny.

Po południu tego samego dnia dwóch mężczyzn szło powoli skrajem lasu, rozglądając się bacznie. Jeden z nich, idący przodem, był bardzo starym człowiekiem o twarzy poranej zmarszczkami. Wyglądał, jakby się składał z samej skóry i kości, lecz ruchy jego były silne i tak pewne, że można by go uznać za znacznie młodszego, niż był w istocie. Odzież jego składała się ze spodni z miękkiej skóry i takiej samej koszuli, przewiązanej na biodrach wąskim paskiem, w którym tkwił nóż. Na nogach miał niskie, podobne do sandałów buty, widać było, że są własnej roboty, przez ramię przerzucony rzemień z dużym rogiem pełnym prochu, skórzany worek ołowiu i żelazną kulę. Był bez kapelusza, gęste, długie, lśniące jak srebro włosy zwiślały mu jak grzywa do pasa. Nie miał brody. Na plecach niósł torbę myśliwską, zrobioną ze skóry srebrnego lwa, a w ręku mocną strzelbę o jednej lufie.

Drugi mężczyzna był ubrany i uzbrojony tak samo, miał na plecach taką samą torbę, włosy także sięgały mu do pasa, ale pod jednym względem różnił się ogromnie od swego towarzysza. Był



zaledwie osiemnastoletnim, niezbyt wysokim, ale mocnym i krępy młodziemcem o ruchach niezwykle zręcznych. Włosy miał kruczoczarne, twarz świeżą, lekko zarysowaną wskutek wędrówki. Należało sądzić, że podobnie jak starzec, jest Indianinem, chociaż pewne cechy pozwalały wnioskować inaczej. Jego ciemne oczy nie były ukośne, kości policzkowe nie były wystające, usta delikatne, a mały nos nie był zadarty jak nosy Indian południowoamerykańskich. Miał raczej szlachetny kształt, był wąski i lekko garbaty. Tiwarz, nawet opalona, miała barwę jaśniejszą od twarzy Indianina.

Szli obaj pomiędzy wodą laguny a skrajem lasu, badając go bystrym wzrokiem. Nagle młodzieniec podniósł rękę i odezwał się w dialekcie keczua:

- Popatrz Anciano, tam chyba jest to drzewo. Wiem dokładnie, że jeden ombu był tej wielkości. Po języku, jakim posługiwał się młodzieniec, należało sądzić, że nie pochodził z tych okolic. Ombu Phytolacca diocea to potężne drzewo, którego liście są bardzo podobne do morwy. Na uwagę zasługuje jego gruby pień, objętości potężnego dębu, który ku dołowi rozszerza się i rozdziela w potężne korzenie, by potem zagłębić się w ziemi. Na tych korzeniach można wygodnie usiąść w cieniu rozłożystych gałęzi. Lecz potężny pień jest tak kruchy, że pęka jak huba, kiedy się w niego uderzy. Dlatego z ombu nie ma żadnego pożytku, jego drewno nie nadaje się nawet na opał. Uważa się, że rośnie tylko po to, aby dawać cień.

- Chyba masz rację, panie! - odparł stary w tym samym dialekcie.

- Ombu, pod którym zakopaliśmy nasze rzeczy, zanim udaliśmy się w okolice Hiszpanów, miało taki sam kształt. Zobaczmy!

## 137

Stary nazywał młodzieńca „panem”. Wśród Indian nie ma takiego zwyczaju. Tych dwóch mężczyzn łączył jakiś dziwny stosunek. Skierowali się do ombu, zatrzymali, odłożyli swoje torby i strzelby. Potem stary zbadał ziemię. Wskazując na jedno miejsce słabo porośnięte trawą, rzekł:

- Dobrze przypuszczałeś, panie. Jesteśmy na miejscu. Ponieważ wtedy rozkopaliśmy poszycie, trawie zabrakło pożywienia. Poszukam więc. Miejmy nadzieję, że nikt tego miejsca nie odkrył. Ukląkł i wyciągnął nóż, by rozkopać ziemię. Młodzieniec chciał zrobić to samo, lecz stary poprosił:

- Zostaw to, panie. Ty jesteś stworzony do władania, a nie do pracy poddanego:

- A jednak ci pomogę, drogi Anciano. Wiesz, że chętnie to czynię, ponieważ ty jesteś stary, a ja młody.

Lecz Anciano łagodnie odsunął go i odparł:

- Stary? Jeszcze nie jestem stary. Mam dopiero jeden rok ponad setkę, moi przodkowie dożywali bardziej sędziwego wieku.

Stary gorliwie kopał i ciągnął dalej:

- ‘Idk, dużo ponad sto lat! Mój ajciec dożył stu dziesięciu, dziadek stu jedenastu, a jego ojciec nawet stu dwudziestu lat. I to jego ojciec ocalił twoich przodków z rąk Hiszpanów, kiedy zamordowali wielkiego Inkę Atahualpę i chcieli wytępić całą jego rodzinę. ‘Iiwój boski przodek nazywał się Hąkaropora i to samo imię nadano tobie. Był on najmłodszym synem Atahualpy i urodził się bardzo daleko stąd, tak, że ten morderca Pizarro nie wiedział o jego istnieniu. Nasze wielkie miasteczko zniszczono ogniem i mieczem, podstępem, oszustwem i zdradą. Uważa się, że Inkowie wymarli, ale żyjesz ty, ostatni z synów Słowica, i nadejdzie dzień, kiedy ukarzesz Hiszpanów i odzyskasz swoje państwo.

Haukaropora rozciągnął się na trawie i z głową opartą na rękę słuchał słów starego. ‘Iiwarz jego przybrała smutny, melancholijny wyraz. Kiedy Anciano umilkł, westchnął i rzekł:

- Często mi o tym opowiadałeś, ale ja w to nie wierzę. Wierzę we wszystko, co mówisz, ale w to nie.

- Jak to? Nie wierzysz, że jesteś Inką, synem Słońca? - zapytał stary ze zdumieniem.

- W to wierzę, bo tego dowiodłeś, i ja sam czuję w sobie coś niewysłowionego; co mi mówi, że nie jestem taki jak inni. Ale, że odzyskam pafistwo moich przodków, w to nie wierzę.

Wtedy starzec wyprostował się i rzekł uroczyście:

- Powinieneś w to wierzyć, musisz, bo istnieje sprawiedliwość, która karze wszelki grzech, wszelką zbrodnię i zwraca niewinnemu to, co mu zabrano. Ty odbudujesz pafistwo twoich ojców, powiadam ci, a słowa moje są jak przysięga. Nikt nie ma pojęcia, kim jesteś, bo trzymamy to w tajemnicy. 'Tylko wówczas, kiedy jesteśmy sami, posługujemy się mową naszych przodków, a ja nazywam cię panem. W obecności innych jestem ubogim Indianinem, a ty moim wnukiem. Ale nadejdzie godzina, kiedy odślonimy tajemnicę. .

-To nic nie da! Miałem ochotę poznać kraje i miasta Hiszpanów

więc wyciągnąłeś mnie z mojej samotni i poprowadziłeś za Zachód. Widziałem te miasta, te pampasy i ich mieszkaficów, a teraz kiedy wracamy, wiem, że nasze nadzieje nigdy się nie ziszczą.

- Nigdy? Dlaczego?

- Bo oni są zbyt potężni i podstępni; a my nie posiadamy środków, by rozpocząć z nimi zwycięską walkę.

- Potężni i podstępni - zaśmiał się starzec ochryple. - Oni zużywają siły, by się nawzajem rozszarpywać. Ich podstęp to tylko przewrotność, która niszczy własnego pana. Czyż w tym kraju nie wybuchają bez przerwy bunty? Poczekamy jeszcze trochę, a zatęsknią za zbawcą, i ty nim będziesz, o panie!

- Skąd wezmę żołnierzy, by zwyciężyć?

- Wszyscy ~zerwonoskórzy będą z tobą!

- A skąd wezmę pieniądze, które musi mieć dowódca bojowni-ków? Ludy nasze są ubogie. 139

- Przecież jesteś bogaty, bogaty jak nikt inny!

- Ja? - zapytał młodzieniec zdziwiony.

- 'Idk, ogromnie bogaty- odparł starzec, uderzając płaską dłonią w swoją torbę ze srebrnego lwa i ciągnął dalej. - Noszę tutaj testa-ment Inki, którego jedynym prawnym spadkobiercą jesteś ty. Od śmierci twego ojca noszę go przy sobie i we właściwym czasie go otworzę. Ale popatrz panie, jama już otwarta i widać naszą brofi.

Rozkopał ziemię i wyjął przedmioty, które leżały w jamie: dwa skórzane kołczany pełne strzał, dwa długie oszczepy i dwa łuki, z których jeden sporządzony był z całkiem przezroczystego rogu. Wre-szcie wydobył maczugę o czarnej barwie. Wyglądała jak wykonana z polerowanego żelaza. Podzielili się oszczepami, kołczanami i łukami. Młodemu Ince przypadł w udzi~le łuk z rogu prawie dwumetrowej długości. Do tego dostał maczugę, którą zawiesił sobie z lewej strony u pasa, tam gdzie nosi się strzelbę. Sposób, w jaki obchodził się z maczugą, wskazywał, że jest ciężka.

Starzec wstał, skinął młodzieficowi głową i rzekł z powagą:

- 'I~n łuk i humanczuay to jedyne przedmioty, które od synów

Słofica przeszły na ciebie. Kochaj je i szanuj, o panie! Sądziłeś przed-tem, że jesteś ubogi, dlatego chcę ci powiedzieć coś, co dotąd prze-milczałem. W wojskach synów Słofica każdy wódz poza inną bronią miał także ciężką kołczastą maczugę zwaną humanczuay. Zwykli wojownicy mieli topory z brązu, maczugi wodzów były ze srebra, ale maczuga Inki była ze szczerzego złota. 'Td maczuga, którą masz u pasa, była bronią Inki, jest więc ze szczerzego złota.

- Ze złota? - zapytał młodzieniec nieufnie, biorąc do ręki ma-czugę i przyglądając się jej uważnie. - Jest ciężka jak żelazo.

- Bo jest pokryta cienką warstwą laku. Nie wolno ci pokazywać, że masz lśniąca złotą brofi. Później będzie w twojej silnej ręce świeciła przed twoimi wojownikami. Została ocalona podczas ucieczki twego przodka.

- Jeśli nawet jest ze złota - rzekł młodzieniec kręcąc głową - ta

140 maczuga już nie jest groźna dla żadnego wroga. Mają oni teraz inną brofi niż wtedy. Co znaczy tysiacy maczug wobec pięćdziesięciu strzelb lub jednej jedynej a.rmaty? Od czasu, kiedy kupiłeś w Montevideo te dwie strzelby, wiem, jak słaba jest nasza dotychczasowa broń.

- Nie sądzę. Wybuch prochu zdradza wrogowi twoją obecność, strzała natomiast jest milcząca.

Uśmiercisz nią wielu, nim wróg spo-strzeże, gdzie jesteś. 'Il;raz jednak chodź, byśmy do wieczora dotarli do wody, gdzie będziemy mogli ugasić pragnienie.

Zanim przed kilku miesiącami opuścili dzikie ostępy, zakopali tutaj, oprócz noży, całą swoją brofi, którą teraz wydobyli. Ponieważ teraz nie uważali za konieczne zakopywać dołu, zostawili go i podjęli

dańszą wędrówkę. Nie mieli koni, wracali pieszo do swej dalekiej ojczyzny. Opuścili lagunę i szli dalej akrajem lasu. Dźwigali duże ciężary, ale to nie miało wpływ na snvk~::~: 'ich kroków. Przeszło stuletni starzec szedł raźno jak trzydziestolatek obok swego towarzy-

sza, który nazywał go Anciano, co po hiszpańsku oznacza „wiekowy” „starzec”. Jest rzeczą znaną, że wśród Indian z Kordylierów często można spotkać ludzi mających przeszło sto lat.

Thm, któredy obaj teraz szli, las cofał się tak, że pośrodku utworzył się szeroki pas porośły trawą. Jeden z prześwitów zdawał się prowa-dzić na północ, poszli więc w tym kierunku.

Nie uszli daleko, gdy Inka, który miał wzrok bardziej wyostrzony niż starzec, schwycił swego towarzysza za ramię i szyUko odciągnął pod drzewa.

- Co jest! Co się dzieje? - zapytał Anciano. - Czy coś zobaczy-łeś? Może jakieś zwierzę, które ustrzelimy, by mieć świeże mięso?

- Nie jedno zwierzę, lecz wiele - odparł młodzieniec. - W prześwicie zobaczyłem tuż przed nami konie i ludzi.

- Kto tQ może być? Czego tu szukają? Czy jest ich dużo?

- Nie mogę ci odpowiedzieć, bo widziałem ich tylko przez chwilę, a potem się ukryłem.

-Mądrze zrobiłeś panie. Znajdujemy się na obszarze Abiponów,

## 141

należy więc zachować wielką ostrożność. Co oni robili? Czy~jechali przed nami, czy w naszym kierunku?

- Nie jechali, tylko obozowali.

- Wobec tego podczołgam się tam, by ich obserwować.

- Pozwól mnie to zrobić, drogi Anciano! To zbyt niebezpieczne dla ciebie. Jesteś taki stary.

- Nie jestem za stary, ty natomiast jesteś za młody. Jakże mógł-bym, panie, wystawiać cię na takie niebezpieczeństwo.

- Więc chodźmy obaj !

- Nie. Jeden wystarczy.

Przez chwilę się sprzeczali, ponieważ każdy chciał wziąć ryzyko na siebie, lecz stary przeforsował swoją wolę i oddalił się. 'l~wało chyba pół godziny, nim wrócił i powiedział:

- Tb istotnie Abiponi. Naliczyłem pięćdziesiąt koni i tyle samo ludzi.

?

- Skąd mogą mieć konie

- Oczywiście ukradli.
  - Jaką mieli broń?
  - Oszczepy, łuki, strzały i rury do dmuchania.
  - A więc mają zatrute strzały i trzeba się ich wystrzegać. Co zrobimy? Czy możemy ich wyminąć?
  - Nie. Przejście jest zbyt wąskie.
  - Więc przeczołgamy się po~ drzewami obok nich.
  - Nie da rady. Las jest nie do przebycia. Pnącza tworzą zbitą masę, przez którą człowiek się nie przedrze. Już teraz skrajem lasu nie mogłem się podczołgać na tyle, by móc dokładnie policzyć ludzi.
  - Więc nie możemy iść naprzód?
  - Nie. Musimy się cofnąć i poszukać innego przejścia. Chodź, panie!
- Zawrócili, aż znów dotarli do trawiastego pasa nad rzeką i ruszyli w poprzednim kierunku wzdłuż lasu, który łukiem skręcał na północ. Minęło południe, słońce chyliło się ku zachodniemu horyzontowi.

;

142

Kiedy przecinali otwartą prerię, ujrzeli nagle na południu samotnego jeźdźcę, który zbliżał się galopem. Jednocześnie spostrzegł przed sobą w trawie ciemną linię, szeroki ślad, prowadzący na północ. Jeździec najwyraźniej jechał tym śladem. Zatrzymali się.

- Co zrobimy? - zapytał Inka. - Czy mu umkniemy?
  - To niemożliwe - odparł starzec. - On jest szybszy i dogonias.
- Zresztą nie musimy się obawiać pojedynczego człowieka.

- Nawet jeśli należy do Abiponów?
- Nawet wówczas, bo zanim ich sprowadzi, my będziemy już daleko. Zresztą zdaje mi się, że to biały.

Jeździec oczywiście też ich zobaczył i jechał w ich kierunku. Zatrzymał konia, pozdrowił ich i zapytał po hiszpańsku:

- Czy wolno mi zapytać, seniores, skąd idziecie?
- Idziemy z Parany - odparł Anciano uprzejmie w tym samym JęzS'ku.
- A dokąd zmierzacie? ‘
- Przez Gran Chaco w góry.
- Kim jesteście? .
- Jesteśmy Indianami, nie należymy do żadnej partii i żyjemy w pokoju z białymi.
- Tb mnie cieszy. Nazywam się doktor Parmesan Rui el Iberia de Sargunna y Castelguardiante.
- Bardzo długie i chyba bardzo szlachetne nazwisko, prawda, señior?
- ‘Tak. Pochodzę z Kastylii, gdzie moi przodkowie zamieszkiwali pałace i zamki. Ale ponieważ panowie chcą jechać w góry, przychodzi mi na myśl, czy nie należycie przypadkiem do ludzi brata Jaguara?
- Brat Jagttar? Czy ten słynny człowiek jest tutaj?
- Tak. Szukam go. Sądzę, że ślad, który widzicie przed sobą jest jego. A więc nie należycie do niego?
- Nie, ale bardzo byśmy się cieszyli, gdybyśmy mogli się z nim spotkać. Na pewno by pozwolił, abyśmy się do niego przyłączyli.

**143**

A więc sądzi pan, że to jego ślad?

- Tak. Już raz na niego trafiłem, ale nie poszedłem za nim, bo zatrzymaliśmy się przy pewnym prehistorycznym zwierzęciu. Potem już nie odnalazłem tego śladu. Później dotarłem do miejsca, gdzie 'brat Jaguar się zatrzymał i odtąd jego ślad znów jest widoczny.

- Czy pozwoli pan, że za nim pójdziemy?

- Chętnie, jeśli panowie nie będą zbyt powolni, bo bardzo się spieszę.

- My idziemy szybko.

- A więc chodźmy.

Pojechał dość prędko dalej, oni zaś byli tak dobrymi piechurami, że bez trudu nadążali za nim. Don Parmesan rzekł; przyglądając się im dokładniej.

- Panowie znają już moje nazwisko. Czy wolno mi zapytać, jak mam się do was zwracać?

- Nazywam się Anciano, a imię mojego wnuka brzmi Haukaro-pora. Jeśli dla kogoś to imię jest zbyt długie, mówi tylko Hauka.

- Więc i ja będę tak mówił, w ten sposób amputuję trzy ostatnie sylaby, a ja bardzo lubię takie operacje. Jestem bowiem chirurgiem. Co pan sądzi o usunięciu rzepki? Czy uważa pan, że pacjent mógłby potem chodzić?

- Chyba nie, senior.

- Chyba nie? Ależ tak, senior Anciano. 'Ii~zeba tylko właściwie

## **F. ...**

wykonać operację: Mnie by się na pewno udało, bo jak wiadomo, ja wszystko ciacham.

Starzec odgarnął z czoła długie włosy i spojrzał na Parmesana

## **E**

trochę zmieszany, ponieważ niewiedział, co sądzić o jego wypowiedzi.

Ten spostrzegł to i zapytał:

- Może pan mi nie wierzy? Och, dokonywałem takich operacji, przy których istną rozkoszą było słuchanie zgrzytu piłowania kości. A f~ co pan sądzi o szpotawej stopie? Czy operacja może tu pomóc?

- Niestety, nie wiem, senior.

## **144**

- Nie senior, lecz don! Do takiego szlachcica jak ja należy się zwracać „don”. Proszę więc mówić, „don Parmesan”. Wydaje się, że wasza miłość zna brata Jaguara?

-Tak.

- Bardzo się cieszę. Czy sądzi pan, że on zechce ocalić dwóch niemieckich seniores?

- Niemieckich seniores? A cóż to za jedni? Nic o nich nie wiem.

- Widać z pana wiadomościami z geografii nie jest najlepiej, senior Aneiano. Niemcy to kraj po drugiej stronie morza, na... zachód od Hiszpanii, na... północ od Rosji, na... wschód od Anglii, na... południe od Włoch. 'Pakie są jego granice. Ludzie tamtejsi mają bzika na punkcie wykopywania przedpotopowych zwierząt. Przy takim za-jęciu przyłapali nas Abiponi.

- Abiponi? Gdzie to było?

- Po tamtej stronie Rio Salado, ale po tej stronie Laguna Poron-gos.

- Tb tam także byli Abiponi? Dziwne. Ilu?

- Może z pię~dziesięciu.

- Akurat tylu, ilu widzieliśmy.

- Gdzie?

- 'Pam za nami, w lesie.

- To zły znak.: Może te łajdaki planują napad? Bardzo by~n chciał odnaleźć brata Jaguara; aby uratował Niernca i jego sługę. Opowiedział im ową przygodę: Dotarli przy tym do lasu i trop, którym podążali, doprowadził ich nad małą zatoczkę, gdzie się zatrzy-mali, ponieważ pasło się tu około dwudziestu koni i tyluż mężczyzn Ieżało grupkami dokoła. Byli dobrze uzbrojeni i wszyscy ubrani w skóry. Kiedy ujrzeli przybyszów, zerwali się i jeden z nich, olbrzymiej postury i o gęstej siwej brodzie, podszedł do nich.

- Tb brat Jaguar - szepnął Anciano do chirurga.

Mężczyzna, o ktbrym mowa, wyglądał teraz inaczej niż w Buenos Aires. 'Pam nosił piękne ubranie francuskiego kroju, tu odziany był 14S w skórę, a na nogach miał długie buty. Początkowo nie zwrócił uwagi na chirurga, tylko podszedł do jego towarzyszy i zawołał wyraźnie ucieszony, wyciągając do nich ręce:

- Anciano! Hauka! Wy tutaj, w Chaco! Co was skłoniło, by zejść z waszych gór, co was sprowadza właśnie dziś w to miejsce?

Uścisnęli mu dłoń i Anciano odpowiedział:

- O tym później, senior. Są rzeczy ważniejsze do omówienia.

Powinien pan uratować dwóch uwięzionych mężczyzn.

- Co? Uratować dwóch więźniów? Kim są ci ludzie?

- Don Parmesan panu powie.

Brat Jaguar zwrócił się teraz do chirurga. 'Iiochę niechętnie zmru-żył oczy, mówiąc do niego:

- Don Parmesan? Słyszałem to nazwisko i sądzę, że już pana widziałem. Czy nie nazywają pana el carnicero?

- 'Tak jest - odparł Parmesan - ale nie życzę sobie, by mnie tak nazywano. Jestem doktor Parmesan ~ui el Iberio de Sargunna y Cast...

- Już dobrze - przerwał mu brat Jaguar. - Niech pan mi powie, kim są ci mężczyźni, którzy potrzebują mojej pomocy.

- Tb są dwaj niemieccy seniores.

- Niemcy? Czy to możliwe?

- 'Tak. Chcieli pójść za panem, by w Gran Chaco odkopywać stare zwierzęta.

- Stare zwierzęta? Czy ma pan na myśli zwierzęta kopalne? - zapytał olbrzym, niechętnie unosząc brwi.

- 'Iak, kopalne, zgadza się. Gigantochelonia.

- 'Ii;j nazwy jeszcze nie słyszałem; moja łacina podpowiada mi, że prawdopodobnie chodzi o żółwia olbrzymia.

- Słusznie; senior! Właśnie przyłapano nas przy pancerzu żółwia.

- Jak nazywają się ci Niemcy?

i

- Któ by mógł zapamiętać te nazwiska! Jeden tó doktor, a drugi jego sługa. 146

- Doktor Morgenstern?

-Tak, tak to brzmiało.

- I Fritz Kiesewetter?

- Słusznie, bardzo słusznie! Kiese...Kiese...

- Co za ludzie! A więc popędzili za mną aż tu z Buenos Aires!

- No nie, pojechali parowcem, a potem z Santa Fó konno. ,Ii;n doktor Mor...Mor... jak on się tam nazywa, to bardzo miły senior, ale ma swoje dziwactwa. Interesują go tylko te zwierzęce kości i nie chce o niczym innym ~t6wi~. O chirurgii na przykład nawet nie słucha, a przecież to najważniejsza sprawa pod słońcem. Co by pan powiedział 0 operacji raka języka wraz polipem w nosie? Tb przecież byłoby...

- Dajmy spokój z rakiem i polipem - przerwał mu brat Jaguar.

- Niech mi pan opowie, co się stało!

Podczas gdy chirurg opowiadał, podeszli do nich towarzysze brata Jaguara, by posłuchać. Byli to sami silni ludzie, którzy na pewno niejedno przeżyli i których nie odstraszało żadne niebezpieczeństwo i żaden wysiłek. Ci trzej, którzy byli z nim w Buenos Aires, także znajdowali się tutaj. Oni także sprawiali całkiem inne wrażenie niż wówczas, kiedy mieli na sobie europejskie ubrania. Gdy don Parme-san skończył swoją opowieść, początkowo zapanowała głęboka cisza. Nikt nie chciał przemówić, dopóki nie odezwie się przywódca. 'Ihn zaś przez chwilę patrzył przed siebie zamyślony, a potem zapytał, zwracając się do jednego ze swych towarzyszy:

- Co ty na to, Geronimo? Czy już się zastanowiłeś?

Ów Geronimo był niezbyt wysokim, ale barczystym mężczyzną o gęstej brodzie i wydatnym jastrzębim nosie. Mógłby uchodzić za wzór przywódcy rozbójników, ale był człowiekiem uczciwym i ulubieńcem brata Jaguara. Wzruszył z lekka ramionami i rzekł:

- Przede wszystkim to zależy, czy twoim zdaniem mamy zostawić tych ludzi swojemu losowi, czy nie.

- Należy wydostać ich z pułapki, w którą wpadli. To moi rodacy.

'I~mu doktorowi chyba pięćdziesiąt razy powtarzałem, że go nie

147

wezmę ze sobą, i nie miałem pojęcia, że on jednak za mną podąży:

Mała kara by mu nie zaszkodziła, ale muszę go uwolnić, bo inaczej jego podobieństwo do pułkownika, którego nigdy nie widziałem, może się okazać jego zgubą.

- Nie wiadomo, czy Abiponi jeszcze tam są. Jeśli tak, to po prostu należy tam pojechać.

- Chyba już ich tam nie ma—wtrącił stary Anciano. - Panowie mi wybaczą moją uwagę.

Ale mam po temu powody.

Opowiedział o Abiponach, których widział i opisał miejsce, gdzie się do nich podkradł.

- C b li z nimi biali ludzie - zapytał brat Jaguar. zy y ?

- Nie.

- Mimo to jestem przekonany, że obie te grupy Indian stanowią jedną całość. Chodzi tu prawdopodobnie o pronunciamiento, czyli bunt. Chcą zbuntować Abiponów. Urządzono kryjówkę, by ich odpo-wiednio dozbroić. Dach ochronny tego magazynu doktor wziął za pancerz grzbietowy owego cudownego zółwia olbrzyma: Nawet jeśli oni się przekonają, że doktor nie jest pułkownikiem, to zobaczył i

usłyszał tyle, że uznają, iż trzeba go się pozbyć. Ixtaj w tym kraju życie

ludzkie nic nie znaczy, a życie cudzoziemca szczególnie. I Antonio

~9

Perillo był z nimi?'I~n toreador i wyjątkowy łotr jest więc zamieszany w ten bunt. Mam z nim do pogadania. Kapitan Pellejo to zdrajca. A ten trzeci? Kto to był? Jak go nazywano?

-Nie wiem, jaksię nazywa, nie wymawiano jego imienia-odparł chirurg. i"...: ,..

- Niech więc pan go opisz.

- Był wysoki i silny, choć nie taki jak pan, bracie Jaguarze.

Ei=,::.

- stary czy młody?

- Starszy niż pozostali.

- Jaką rolę odgrywał?

- Wyglądało na to, że jest z nich najwytworniejszy. Mówił tak, jak gdyby miał prawo do wydawania rozkazów.

## 148

- A kim był ? Oficerem, estancjerem, gauczem? 'I-go nie mógł pan zgadnąć?
- Nie. Wyglądał jak ktoś, kto stał się pozadomem, jak yerbartero, cascerillero czy gambusino... Urwał i zastanawiał się, jakby przypomniał sobie coś ważnego.
- Dlaczego pan urwał? Chciał pan powiedzieć gambusino?
- 'Pak, tak, gambusino. Teraz sobie przypominam, że kapitan nazwał go największym gambusino.
- Największy gambusino! -wpadł mu słowo Geronimo. -Czy nie był to Benito Pajaro, którego nazywają el gambusino maestro?
- Możliwe - odparł brat Jaguar. - Nigdy jeszcze nie zetknąłem się z tym człowiekiem, ale słyszałem, że jest wysoki i silny. Tok czy owak dowiemy się, z kim mamy do czynienia, bo postanowiłem po-mieszać szyki tym seniores. Chcą zbuntować się przeciwko generałowi Mitre, którego szanuję i cenię. Już z tego powodu pragnę z nimi pogadać. W dodatku napadli na moich rodaków. Mam nadzieję, że nie opuścicie mnie.
- Nie, nie! - zawołali wszyscy zgodnym chórem.
- Więc powiem wam, jak to sobie wyobrażam. Obie gromady stanowią jedno. Indianie, którzy uwieźli Niemców, dołączą do drugiej grupy i to najprawdopodobniej jeszcze dziś. Wszyscy będą obozować w rtiiejacu, gdzie nasz senior Anciano obserwował czerwono-skórych. Więźniowie oczywiście będą z nimi. Ruszymy teraz i przybędziemy tam wieczorem. Mimo ciemności znajdziemy przejście w lesie; ich ogniska wskażą nam drogę. Jeszcze nie wiem, co zrobimy, by uwolnić więźniów. Ale kiedy się do nich doczołgam i popatrzę, będę wiedział, jak mamy działać. A więc dalej, na konie!

## Uwolnienie pośród nocy

Słońce dotykało już horyzontu, kiedy mężczyźni siodłali konie. Anciano i Hauka przybyli pieszo, musieli więc usiąść z tyłu za dwoma jeźdźcami. Anton, siostrzeniec bankiera, z miejsca poczuł sympatię do młodego Inki, podszedł do niego i powiedział:

' - Senior, bądź pan musiał jechać z ktbryms z nas. Czy mogę panu zaproponować miejsce na moim koniu?

Przez poważną twarz Inki; na której zazwyczaj malował się właściwy Indianom z północy dziwny smutek, teraz pojawił się uśmiech życzliwy i pełen wdzięczności.

- Będę dla pana ciężarem, senior, lecz przyjmuję propozycję.

Może okaże się w jakiś sposób przydatny. Nazywam się Hauka, a jak ja mogę się do pana zwracać?

- Ja jestem Antonio. Nie będzie pan dla mnie ciężarem, przeciwnie, cieszę się, że mogę jechać z panem. Na pewno jeździ pan lepiej na koniu ode mnie, dlatego też proszę pozostawić mi siodło. Wsiadł na konia, Hauka zaś wskoczył żwawo za nim, Anciano towarzyszył drugiemu jeźdźcy. Jechali skrajem lasu, dokładnie tą samą drogą, którą przyszli obaj Indianie. Słońce zaszło za horyzontem i po krótkim zmierzchu zapadł wieczór.

## 150

Stary Anciano jechał ze swym towarzyszem przed bratem Jaguarem. Za nim jechał Anton Engelhardt z młodą Inką i Geronimo; ulubiecem brata Jaguara. Starano się jechać jak najszybciej, a ponieważ ziemia była miękka i porośnięta trawą, stukot kopyt kofiskich nie niósł się daleko. Słychać było tylko od czasu do czasu parskanie konia. Jechali tak jakiś czas, wreszcie Anciano zatrzymał się i rzekł słumionym głosem do Inki, po hiszpańsku, tak, żeby wszyscy mogli go zrozumieć.



- Sądzę, że zaraz dotrzemy do prześwitu. Jak sądzisz, mój synu?
- Właśnie chciałem ci to powiedzieć, ojczu - odparł Inka. -

Mimo ciemności widzę po lewej stronie drzewo laurelii, które spostrzegłem, kiedy wychodziliśmy z lasu.

- A więc zejdźmy z koni i odprowadźmy je. Ich parskanie mogłoby zdradzić naszą obecność. Nie wiemy, czy druga grupa, w której są więźniowie, jest już na miejscu, czy też dopiero nadjedzie.

Słowa te dowodziły, że stary Indianin był bardzo ostrożny, a ponieważ brat Jaguar się nie sprzeciwił, cofnęli się nieco, po czym zsiadli z koni, by przywiązać je do rosnących na skraju lasu drzew. Podczas tej czynności rozległ się cichy, ale wyraźny głos młodego Indianina:

- Cicho, seniores, coś słyszę.

Nikt się nie poruszał. Inka leżał z uchem mocno przyciśniętym do ziemi.

- Nadjeżdżają - rzekł. - 'I zebra przypilnować, aby nasze konie nie parsknęły. Każdy z nich podszedł do swego konia, by zasłonić mu dłonią nozdrza. Najpierw usłyszeli stłumiony przez trawę tętent kopyt końskich, potem głosy ludzi. Przybywali z prawej strony, od rzeki i jechali w kierunku lasu.

- Czy dobrze nas prowadzisz, Odważne Ramię? - zapytał ktoś.
- Tb żadna przyjemność szukać nocą wąskiego przejścia w lesie.
- To był Antonio Perillo - szepnął brat Jaguar do Geronima. - Znam jego głos. ~ 151
- Znam każdy ślad kopyt końskich w tej okolicy - odparł drugi mężczyzna łamanym, ale wyraźnym hiszpańskim. - Jesteśmy na właściwej ścieżce. Wysoka laurelia rośnie tam, gdzie jest przejście w

lesie. Powinniśmy zaraz je zobaczyć. Teraz jeźdźcy byli tak blisko, że mimo ciemności mogli rozpoznać las.

- 'Pam jest laurelia - zawołał ktoś - Widzicie, wskazałem wam dobry kierunek. Jeszcze kilka kroków w prawo i trafimy na przejście. Pojechali we wskazanym kierunku, potem nie było już nic słychać.

- Jak to dobrze, że nie zatrzymaliśmy się przy laurelii - rzekł Geronimo. - Przyłapałoby nas. Co robimy?

- Poczekamy! - odparł brat Jaguar. - Nie możemy nic zrobić, dopóki obie grupy się nie połączą i póki nie rozbiją obozu. Poznałeś

ten drugi głos?

- Zdawało mi się, jak gdybym go już kiedyś słyszał, ale nie wiem,

c

gdzie, ani do kogo należy.

- Więc ci powiem. 'I n, który rozmawiał z Antoniem Perillem i tak dokładnie zna drogę, to el Brazo valiente, Odważne Ramię, wódz Abiponów.

~ Caramba! Prawda, teraz sobie przypominam. To był Odważne Ramię. Przecież już kilkakrotnie z nim rozmawialiśmy. A więc to on ujął Niemców! Dobrowolnie ich nie odda.

- Nie. Dawniej byłem z nim zaprzyjaźniony, wtedy dla mnie by ich uwolnił, ale teraz za nic w świecie tego nie zrobi.

- Więc go zmusimy!

- Z początku nie będziemy nikogo zmuszać, nie zastosujemy przemocy. Po co przelewać krew, jeśli przebiegłość pewniej i bez żadnych strat może doprowadzić do celu.

- Więc sądzisz, że uprowadzimy ich potajemnie?

- W każdym razie spróbujemy. Wszystko zależy od miejsca i od sposobu, w jaki obozują.

- A jeśli się nam uda, to co wtedy?

- Tb pojedziemy spokojnie dalej.
- Ach, tak? Anie pomyślałeś o buncie, który zamierzają wznieść?
- Właściwie nas to nic nie obchodzi.
- A jednak! Jesteśmy dobrymi i wiernymi poddanymi naszego prezydenta. I mamy się teraz spokojnie przyglądać, jak go usuną z urzędu, a może nawet zamordują?
- Do tego nie dojdzie. Nie wiem co prawda, kto stoi na czele tego buntu, ale w każdym razie nie jest to typ, który by chciał zmierzyć się z Mi'tre.
- Tb nawet bardzo prawdopodobne, ale zakładając, że bunt zostanie stłumiony, jedno jest pewne; będzie to kosztowało życie i dobytek wielu ludzi. A więc nie możemy po cichu się ulotnić, musimy dać tym łotrom nauczkę.
- Ale chyba nie przy użyciu broni?
- Owszem, kilku zastrzelimy.
- Nie. Tego nie zrobię. Jeśli to nie jest konieczne, nie zabiję żadnego człowieka. ‘
- Znow te twoje pojęcia i wyobrażenia z Północy. Żal ci tych czerwonych ludzi, którzy muszą tak nędźnie ginąć. Może masz i rację, bo naprawdę ich szkoda, są dzielni i odważni. Ale nasi południowi Indianie nie posiadają tych zalet, są tchórzliwi i podstępni, wypadają z lasów, by w nocy kraść i mordować śpiących. A kiedy natrafią na opór albo zostaną zaatakowani, uciekają gdzie pieprz rośnie. Ludzie, którzy strzelają zatrutymi strzałami, nie zasługują na szacunek ani na współczucie. Aż mnie ręce świerzbią, by im pokazać, co znaczy wrogość brata Jaguara i jego ludzi.
- Niech cię ręce świerzbią. Dziś wystarczy nam, jeśli uwolnimy obu niewinnych ludzi. Kiedy tego dokonamy, zobaczymy, co robić dalej.
- Ilu ludzi weźmiesz ze sobą?
- Na razie tylko ciebie. Inni tu pozostaną. Im mniej nas będzie, tym łatwiej się ukryjemy. 153

Chociaż rozmowę prowadzono głośno i wszyscy usłyszeli ostatnie słowa, nikt się nie sprzeciwił. Grupa nie miała przywódcy i wszyscy

, posiadali równe prawa, lecz osobowość olbrzymia, który przewyższał wszystkich nie tylko fizycznie, ale też umysłowo, sprawiała, że każdy w duchu uznawał go za wodza, którego należy słuchać.

Tak więc ludzie milczeniem wyrazili aprobatę dla jego słów, ale

jeden się sprzeciwił, mianowicie stary Anciano.

- Senior, czemu chce pan iść sam? Proszę zabrać ze sobą mnie i mojego wnuka! Przecież pan nas zna i wie, że nie będziemy zawadzać.

Brat Jaguar milczał przez chwilę, zastanawiając się, wreszcie

rzekł:

i

-Tak, znam was. Potraficie podejść dziką lamę i złować kondora niemal w jego gnieździe. Co prawda nigdy nie widziałem, czy potrań-

cie zbliżyć się niepostrzeżenie do człowieka, ale teraz jest noc, a

Abiponi nie są tacy bystrzy jak Siuksowie, Apacze czy Komancze z

Ameryki Północnej. Poza tym wiecie, gdzie ci ludzie obozują. Więc

zabierzemy was. Przygotujcie się.

- Czy mamy wziąć ze sobą strzelby, czy też oszczepy i strzały?  
- 'Ij~lko noże. Nie będziemy strzelali, a jeśli nas zaatakują, do obrony wystarczą noże.

Obaj Indianie odłożyli broń i torby.

- A wasze długie włosy? - rzekł brat Jaguar. - Będziemy się czołgali wśród krzaków, kolców i pnączy. Będziecie się zaczepiali.

Zamiast odpowiedzi Anciano przerzucił swoje długie włosy do przodu, jedną połowę na prawą stronę, drugą na lewą i zawiązał pod

brodą w supeł. Inka zrobił to samo, po czym wyruszyli.

Anciano szedł przodem. Gdy doszli do laurelii, skręcili w lewo, gdzie przesieka dzieliła las. Idąc w ciemności, Inka szepnął bratu

### **Jaguarowi: ‘**

- Senior; czy sądzi pan, że uda nam się uwolnić tych więźniów?
- Tak, jeśli nie podstępem, to siłą.
- Wobec tego musimy zabrać coś jeszcze.

### **~ 154**

;

- Konie.

-Tak sobie pomyślałem, że to powiesz, ty mały przebiegły boha-terze. Potrzeba nam czterech koni:

-‘Iak. Dla obu pafiskich rodaków, dla Anciana i dla mnie. Niech pan z Geronimem przyprowadzi ludzi, a ja z Ancianem weźmiemy konie.

- Nie tak szybko! Jeszcze nie możemy robić takiego podziału.

Musimy dostosować się do okoliczności, jakie zaistnieją. Ostrożnie szli dalej. Po chwili ujrzeli przed sobą światła. ‘I~raz musieli być jeszcze bardziej ostrożni; trzymali się więc skraju przesieki i pozostawali niewidoczni w cieniu drzew.

W miejscu, skąd dochodziło światło, wąskie przejście rozszerzało się i tworzyło rodzaj małej leśnej polany otoczonej gęsto rosnącymi drzewami i krzewami. Przy wejściu na nią, w głębi z prawej strony pały się konie. Z przodu z lewej obozowali ludzie przy kilku ogniskach, ponieważ zrobiło się chłodno. Różnica pomiędzy temperaturą dnia i nocy wynosi w tej okolicy często dziesięć, a nawet ponad dwadzieścia stopni Celsjusza.

Czterej skradający się mężczyźni przywarli do ziemi i przyczołgali się bliżej, na przodzie był brat Jaguar. Ich odzież wygarbowana na ciemno przez słońce, wiatr i deszcz nie różniła się barwą od otoczenia. Tylko długie siwe włosy starego mogłyby go zdradzić, gdyby w Ameryce Północnej tropił tamtejszych Indian lub białych myśliwych. Lecz ludzie, z którymi miał tutaj do czynienia, nie mieli tak wyostrzonego wzroku.

Dotarli do wgłębienia. Najbliżej pasący się kofi znajdował się zaledwie o sześć kroków od brata Jaguara, machał ogonem i strzygł uszami, ale nie dawał ostrzegawczego znaku, że dzieje się coś podejrzanego. .

- Głupie stworzenie - szepnął brat Jaguar swemu towarzyszowi do ucha. - Kofi Komanczów parskłoby tak głośno i tak warząnie by

cię cofał, że na pewno by nas wykryli. Ale te draby nawet nie widzą, że kofi porusza ogonem i strzyże uszami, zdradzając w ten sposób, że dzieje się coś niezwykłego. Na pewno wszystko pójdzie gładko.

- Ja też tak myślę - odparł Geronimo. - Widzisz, jak wygląda sytuacja?

- Pewnie! Ogniska płoną tak jasno, że nad każdym można by upiec byka.

Zgromadziło się chyba ze stu Abiponów. Uzbrojeni byli częściowo

w rury do dmuchania, oszczypki, łuki, strzały, częściowo zaś w strzelby.

Te ostatnie pochodziły na pewno z kryjówki, gdzie doktor Morgestern szukał słynnego żółwia olbrzymia. Płonęło sześć ognisk. Przy jednym obozowali biali i jeden Indianin, przy dalszych pięciu reszta czerwonoskórych. Pierwsi siedzieli tak, że widać było twarze Indiani-

na, Antonia Perilla, kapitana Pelleja i dwóch żołnierzy. Inni dwaj żołnierze siedzieli tyłem do nashczujących. Gambusino nie siedział,

lecz się położył z kapeluszem nasuniętym na twarz, by nie raził go blask ogniska. Ci, którzy należeli do grupy już wcześniej tu obozują-

cej, najwidoczniej już zjedli, nowo przybyli natomiast z trudem żuli przywiezione ze sobą twarde, suszone mięso. Rozmawiali przy tym tak głośno, że byłoby słyszeć każde słowo, gdyby nie mówili wszysej jednocześnie.

Widk się złożyło, że ognisko, przy którym siedzieli biali, było położone

bliżej krawędzi przesieki i to nie bez powodu. Na krawędzi bowiem rosły obok siebie dwa mocne drzewa, do których przywiązano

doktora Morgersterna i jego służącego, i to tak, że wprawdzie stali wyprostowani, ale nie mogli poruszać ani rękami, ani nógami.

Gdy brat Jaguar ogarnął wzrokiem sytuację, dał znak ręką swym

## F

tówaryszom, by wcisnęli się głębiej w zarośla, odwrócił się do nich i

rzekł:

- Uda się, ci ludzie nie mają pojęcia, że ktoś może znajdować się

## 5

w pobliżu. Wystarczyłoby nas dwóch, by uwolnić więźniów, ale do-brze; że przyłączyli się do nas Anciano i Hauka. Czy macie krzesiwo?

156 4:~^; .:

'fiJ:~'. ;,;

## S.~. .;

- ~k, takie jakie używa się u nas.

- Wystarczy. Teraz posłuchajcie! Chcę przestraszyć tych ludzi i wprowadzić zamieszanie.

Zostawiliście wszystko, ale widzę, że ty, Anciano, zabrałeś róg z prochem. Czy jest pusty?

- Nie, senior, pełen.

- To dobrze: Wy zawróćcie i kiedy wyjdziecie z zasięgu światła, przejdziecie na drugą stronę i przeczołgacie się znów do przesieki. Anciano, widzisz tę wysoką zeszlóroczną trawę? Jest tak sucha, że będzie się paliła jak papier. Kiedy dotrzesz dość blisko, posypiesz trawę cienką strużką prochu. Potem weźmiesz krzesiwo, podpalisz trawę i szybko pobiegiesz do Hauki. On tymczasem zbierze i przy-niesie cztery siodła, co nie sprawi mu trudności, bo wszystkie leżą tam bez nadzoru. Kiedy ty rozpalisz ogiefi, musisz się odwrócić plecami do wrogów, by...
- Wiem, senior-przerwał mu stary. -Nie popełnię błędu. Kiedy mały płomyk dotrze do prochu, .ędę już tak daleko, że mnie nie zobaczą, a więc nie będą wiedzieli, skąd ten ogiefi, który nagle zapło-nie. Popędzą, by go ugasić. Rozumiem pafiski plan, senior.
- Ib dobrze. Podczas gdy ty będziesz sypał proch, Hauka weźmie siodła, a Geronimo zajmie się kofimi. Ja tymczasem zakradnę się do drzew. Kiedy twój proch roznieci ogiefi i sucha trawa zacznie się palić, oni pobiegną, by gasić płomienie. Wykorzystam tę chwilę zamieszania, by odciąć obu więźniów. Przybiegniemy tu, każdy z nas weźmie siodło i konia i...
- A dwóch weźmie pakunki, które tam leżą - wpadł mu w słowo młody Inka.
- Jakie pakunki? Po co? - zapytał brat Jaguar.
- Kiedy człowiek, którego nazywacie carnicero, opowiadał o uwię-zieniu swych towarzyszy, powiedział także, że ten uczoney ma ze sobą książki i inne rzeczy. Tam leżą dwa pakunki, sądę, że to o nich była mowa, bo initych nie widać. Jeśli go uwolnimy, niech także zachowa 157 swoją własność.
- Jeśli wystarczy nam czasu, nie mam nic przeciwko temu, choć uważam,, że to niemądrze ciągnąć ze sobą do Gran Chaco książki i podobne rzeczy. No, teraz każdy wie, co do niego należy, a więc bierzmy się do roboty!

Znów się odwrócił i poczołgał skrajem przesieki. Nie było to zadanie łatwe, ponieważ tak się zbliżył do ogniska, że musiał :- aby nie zdradził go odblask - wcisnąć się w zarośla, które były bardzo gęste, więc tylko powoli mógł się posuwać naprzód. Wreszcie dotarł do celu~ Leżał teraz za drzewami, do których przywiązani byli doktor Morgenstern z Fritzem, i słyszał, o czym mówiono przy ognisku. Dotyczyło to dzisiejszych wydarzeń:

- Właściwie to był błąd, że puściliśmy wolno carnicera - rzekł kapitan Pellejo. - On później wszystko rozgada.
  - A cóż to szkodzi? - odparł Antonio Perillo. - Po pierwsze, nie wiadomo, czy mu uwierzą, a jeśli nawet, to nic sobie z tego nie robię, bo zyskam sławę jako ten, który unieszkodliwił coronela Glotina.
  - Owszem, jeśli nam się powiedzie, a jeśli nie, to wówczas to, co pan nazywa sławą, stanie się naszą hafibą.
  - Musi się udać, proszę wziąć pod uwagę, że nasz tu obecny czerwonoskóry przyjaciel, który zyskał honorowe imię Odważne Ra-m~ę, przyrzekł nam tysiące Abiponów do pomocy.
  - Obiecałem i przyprowadzę ich - oświadczył wbdz -jeśli i wy spełnicie warunki, jakie ja wam postawiłem.
  - Spełnimy je.
  - Pokażecie mi wszystkie kryjówki z bronią jakie urządziliście i oddacie nam całą ich zawartość.
  - Zgoda.
  - I udzielicie mi poparcia w walce przeciwko naszemu śmiertel-nemu wrogowi, szczepowi Camba, wycofując swoich żołnierzy znad granicy i spotkacie się z nami nad jezibrem.
  - Oczywiście. Już posłałem kilku moich ludzi aż do El Bracho, by 158 zwołali wszystkie stojące do dyspozycji siły.
  - Wobec tego uderzymy. Camba są przyjaciółmi białego regenta.
- Wiedzą, że jesteście ich wrogami i wciąż przyczyniają nam szkód.

Kiedy ich -pokonamy i wszystko im zabierzemy, będziemy bogaci. Wszystkie inne szczepy przyłączą się do nas i wtedy będę miał tylu wojowników, że biały regent zadrzy przede mną.

Rozmowa urwała się na jakiś czas.

To, co usłyszał brat Jaguar, było dla niego, doświadczonego znawcy stosunków panujących w tym kraju, ogromnie ważne. Chętnie by się dowiedział czego~ więcej, ale nie miał czasu dłużej się przysłuchiwać, zwłaszcza że nie wiedział, jak długo ta przerwa w rozmowie potrwa. Chciałby też ujrzeć twarz mężczyzny, ktbry leżał wyciągnięty przy ognisku. Prawdopodobnie był to słynny poszukiwacz złota, którego nazywano el gambusino maestro. Wszyscy go znali, tylko on nigdy się z nim nie zetknął. Ale nie mógł czekać, aż ten człowiek wstanie lub przynajmniej zdejmie kapelusz z twarzy. Każdej chwili Anciano mógł tam, po drugiej stronie zapalić proch, a wtedy obaj więźniowie mo-gliby popełnićjakieś głupstwo, jeśli ich przedtem nie uprzedzi. Tbteż brat Jaguar przysunął się możliwie najbliżej obu drzew, podniósł się za zaroślami, które go osłaniały i rzekł przytłumionym głosem po niemiecku:

- Panie doktorze, niech pan się nie rusza. Za panem stoi wybaw-ca.  
Zagadnięty nie porafił wytrwać w bezruchu w takiej sytuacji.

Drgnął i trochę odwrócił głowę. Także Fritz zrobił lekki ruch.

- Bądźcie cicho! Stójcie prosto, nie ruszajcie się i nie odwracajcie głowy! - ciągnął brat Jaguar. -  
Odpowiadajcie mi tylko „tak” lub „nie”. Na „nie” poruszycie lekko lewym ramieniem, a na „tak” pra-wym. Jestem Karl Hammer, brat Jaguar, którego poznaliście u ban-kiera Salida w~Buenos Aires. Czy rozumiecie, co mówię? Obaj mężczyźni poruszyli prawym rarnieniem.  
- Czy jesteście tak mocno związani, że uwierają was rzemienie?

159

f.:;i.:, :.:;..

~f':x.:; .

Ruch lewym ramieniem, a więc „nie”.

- Wobec tego wasz krwiobieg nie jest zahamowany i będziecie się mogli bez trudu porusza~, kiedy was odetnę? Ruch prawym ramieniem.

- ‘~O dobrze. ‘I~zymam nóż w rękę. Mój towarzysz na skraju przesieki roznieci ogiefi i wysoka, sucha trawa natychmiast zapłonie. Ludzie przerażeni popędzą, by gasić ogiefi i przez kilka chwil nikt nie będzie na was zwracał uwagi. W powstałym rozgardiaszu odetnę was i wezmę za rękę. Skoczmy na prawo, tam; gdzie teraz stoją obok siebie cztery konie. Niedaleko stąd zobaczycie cztery siodła, każdy weźmie jedno i...

Nie mógł mówić dalej, ponieważ ujrzał, że tam, gdzie posłał starego Anciana, zabłysnął mały płomyk, który szybko przesuwał się naprzód. Rozległ się donośny syk i w tej samej chwili wystrzeliła w górę, prosta jak świeca, ściana ognia.

Najpierw przez chwilę panowało pełne przerażenia milczenie. Po-tem wszyscy czerwonoskórzy i biali zerwali się z hałasem, jedynie wódz zachował spokój.

- Zduście ogiefi waszymi poncho! - zawołał głośno.

Wszyscy pospieszyli, by wykonać polecenie, ale niełatwo było osiągnąć pożądany skutek, gdyż stara, wysuszona trawa paliła się jak papier, a kiedywjednym miejscu ugaszono ogień, natychmiast unosił się w innym. Konie parskały niespokojnie, nikt nie zwracał na nie uwagi; nikt też nie pilnował więźniów.

Gdy rozległ się pierwszy okrzyk, brat Jaguar doskoczył, odciął obu więźniów i chwytając ich za ręce pociągnął pospiesznie tam, gdzie stały konie. Geronimo ukazał się za końmi i zawołał:

- Powiązałem konie, zabieram je wszystkie. Przynieście siodła.

Skoczył na jednego z koni i popędził naprzód: Brat Jaguar podniósł z ziemi dwa siodła z uprzężą.

- Moje książki, moje książki! - zawołał doktor, chwytając paku-nek. 160

- I motyki, i łopaty - dodał Fritz, przerzucając sobie przez plecy drugi pakunek.

Anciano wziął jedno siodło, młody Inka drugie. Kiedy brat Jaguar to zobaczył, rzekł:

- No dobrze, mamy cztery siodła, więcej nam nie potrzeba. Taraz dalej, biegiem za mną! Spojrzał za siebie na obóz. 'Tam dzielnie walczone z ogniem i nikt nie spostrzegł, co tymczasem wydarzyło się po drugiej stronie. Zbie-gowie jeszcze niezbyt się oddalili, gdy dobiegł do nich potężny bas od strony obozu:

- Tormenta! Gdzie są więźniowie? Uciekli!

Na dźwięk tego głosu brat Jaguar zatrzymał się i nash~chiwał. Inni też się zatrzymali.

- Uciekli! - rozległ się ten sam głos po kilku sekundach. - Uwolniono ich, odcięto!

- Co to za głos - rzekł brat Jaguar. - Chyba go znam. Przecież to...

Nie dokończył zdania, gdyż od strony obozu znów się rozległo:

- Ogień ugaszony. Do broni! Mogą być tam na lewo, bó tam się paliło. Do lasu nie mogli wejść, jest zbyt gęsty. Naprzód, za nimi! Dwunastu pozostanie przy koniach. Reszta za mną! W obozie panowało takie zamieszanie, że nie można było rozróż-nić poszczególnych osób.

- Dalej, dalej - popędzał Geronimo. - Czemu się zatrzymujesz, Carlosie?

Mówiąc to, musiał się sam zatrzymać, bo jeden z powiązanych koni nie chciał go słuchać.

- 'I~n głos, ten głos! - rzekł brat Jaguar. - 'Il;n głos przesywa mnie...

- Ach, co tam głos! Niech sobie wrzeszczy; co chce. Musimy uciekać, bo nas dogonią.

- Ale ja muszę go zobaczyć, muszę...

161

r.' .

'I~n, zawsze tak rozważny mężczyzna chciał odłożyć oba siodła, ale Geronimo ofuknął go surowo, chyba po raz pierwszy, odkąd go znał. . - Co ty sobie myślisz! Chyba oszałałeś! Chcesz narażać swoje życie, to proszę bardzo, ale nie narażaj nas. Ponownie popędził-konia i teraz zwierzę go usłuchało, choć z dużym oporem.

- On ma rację - rzekł brat Jaguar, jakby budząc się z głębokiego zamyślenia. - Tb chyba złudzenie, ale muszę tę sprawę zbadać. A teraz pospieszmy się.

Pognał jak strzała, tak, że pozostali ~ledwie mogli za nim nadążyć. 'I~raz ciemnośE wydawała im się jeszcze głębsza niż przedtem. Mały uczoney chwycił ciężką paczkę z książkami. Dyszał pod jej ciężarem, wreszcie rzucił swój bagaż na ziemię i zawołał:

- Fritz, już nie mogę. Tb jest za ciężkie. Zamiefirmy się, daj mi narzędzia!

- Dobrze - odparł Fritz. - Ma pan tu klucze do prehistorii, a ja wezmę drukowaną mądrość. Ałe teraz nogi za pas, bo oni są tuż za nami.

Pędzili dalej, na ile tylko pozwalały im siły, jednak nie doś~ prędko, bo gdy dotarli do przesieki, pierwsi przesładowcy byli blisko nich. Rozległ się strzał, potem jeszcze jeden, ale na szczęście były chybio-ne.

Widzieli, że Anciano i Inka zawrócili w prawo, pojechali więc w tym kierunku. Ale po chwili doskoczył do nich jeden z wrogów i głębokim basem zawołał:

- Stać, łajdaki, bo będę strzelał!

- Tb gambusino! - zawołał doktor. - Jestem zgubiony.

- Jeszcze nie! - odparł Fritz. - Niech pan ucieka. Ja pana uratuję. Rzucę mu pod nogi przeszkodę, którą będzie musiał prze-

. . . . . :-

skoczyć.

Zatrzymał się, puścił swego pana przodem, a kiedy w ciemności

wynurzyła się wysoka, zwalista postać gambusina, cisnął mu pod nogi

162 paczkę z książkami. Potem popędził dalej. Gambusino potknął się o paczkę i upadł. Szybko się poderwał i chciał ruszyć dalej. Ale wtedy usłyszał przed sobą rozkazujący głos.

- Stać! Tli jest bra~ Jaguar ze swymi ludźmi. Kto się zbliży wbrew mojej woli, tego trafi kula! Zmusiło to gambusina do zatrzymania się. Czy chciano go zmylić, wymieniając imię tego człowieka? Skulił się i pomknął kilka kroków naprzód. Wtedy ujrzał przed sobą całą gromadę mężczyzn. Byli w skórzanej odzieży, mieli kapelusze o, szerokich rondach, co na pam-pasach i w przygt'anicznych okolicach było rzadkością. Po tym poznał, kogo ma przed sobą.

Do licha, to nie omyłka - pomy~łał. -To naprawdę ten przeklęty brat Jaguar. Jeśli pójdę dalej, każe strzelać, to pewne. Muszę się cofnąć, ale zapłaci mi za to!

Zawrócił, a kiedy jego ludzie, których w swej gorliwości wyprzedził, dołączyli do niego, rozkazał:

- Zawracajcie! Nic tu po nas.

- Nic? - zapytał Pellejo, który był wśród nich. - Dlaczego?

- Już ich nie ma, są dla nas straceni, przynajmniej dziś.

- Czemu?

- Wiecie, kim jest ten łotr, który ich uwolnił? To brat Jaguar!

- Niemożliwe! To chyba omyłka.

- Nie. Widziałem jego ludzi, słyszałem też jego głos. Wracajcie szybko. Musimy się naradzić i przedsięwziąć coś, by nas nie zaskoczyli, bo ten człowiek gotów jest jeszcze dziś na nas napaść.

- Chyba nie!

- Nie wierzy pan? Dlaczego nie?

- On chciał tylko uwolnić więźniów. Gdyby zamierzał na nas napaść, byłby to uczynił przedtem.

- Może i tak, ale ja mu nie ufam. Znam go' lepiej. A on... on także trochę mnie zna... z dawnych czasów. Jeśli poznał mnie po głosie, to na pewno mi nie popuści. Nie mamy czasu do stracenia.

## 163

Szybko udali się do obozu, gdzie gambusino wydał rozkaz, by osiodłać konie i zgasić ogniska, ponieważ muszą wyruszyć.

- Mamy odjechać? - zapytał Antonio Perillo. - Czy to konieczne?

- 'Pak, przynajmniej na taką odległość, by brat Jaguar nie mógł nas odnaleźć podczas tej nocy.

- Nie odważaj się nas zaskakiwać.

- Ależ tak! Powiadam panu, że to dla niego żadne ryzyko.

Wódz potwierdził jego słowa.

- Jeśli to brat Jaguar uwolnił więźniów, -trzeba stąd odjechać.

Tylko on mógł tego dokonać. Miał więcej ludzi ze sobą i kazał im rozniecić ogień. Podczas gdy my rozmawialiśmy i nie zwracaliśmy uwagi na więźniów, uprowadził ich. On wie, że poprzysiągłem sobie, iż go zabiję. Musimy jechać, bo tutaj nie zdołamy się obronić. Zatrzymamy się w dogodnym miejscu i tam się naradzimy. Wobec tego nikt się już nie sprzeciwiał. Osiodłali konie i wtedy dopiero spostrzegli; że brak im czterech wraz z siodłami, a także nie było obu paczek należących do więźniów. Na szczęście mieli konie zapasowe. Gdy ugasili ogniska, ruszyli i zgodnie ze zwyczajem Indian jechali gęsiego.

Droga prowadziła coraz głębiej w przesiekę, która powoli się rozszerzała. Gdyby tworzyła ślepy zaułek, cała grupa wpadłaby w ręce brat Jaguara. Lecz wódz Odważne Ramię znał tę okolicę zbyt dobrze by się pomylić. Po upływie dwóch godzin las cofnął się po obu stronach i wyjechali na rozległą łąkę. Jechali kwadrans, potem zatrzymali się na naradę. Jeźdźcy zsiadli z koni i utworzyli krąg, w którym zajęli miejsca biali i wódz. ~



- Nawet gdyby brat Jaguar gonił nas aż do lasu - rzekł Odważne Ramię - też by nas nie znalazł. Jest ciemno, nie mógł więc zobaczyć, w jakim kierunku pojechaliśmy. Seniores mogą się teraz naradzić, co robić dalej.

- Nie będziemy się naradzać powoli i tak długo jak wy - odparł 164 gambusino. - Zrobimy to szybko, zaraz ruszymy dalej, by odległość między nim a nami była jak największa.

- Wiec pan naprawdę uważa, że ten niebezpieczny człowiek będzie nas tropił?

- Na pewno, je~li tylko rozpoznał mnie po głosie.

- Rozpoznał pana.

- Demonio! Skąd ta pewność?

- Wcale nie ;tnusiał pana poznawać po głosie, on pana widział, kiedy uwalniał więźniów.

- Nie, bo jeśli dobrze pamiętam, miałem twarz zakrytą dużym kapeluszem.

- Czy on zna pańską postać?

- Owszem. Ale takich jest wielu, a teraz jestem inaczej ubrany niż wtedy, kiedyśmy się spotkali. Aby mnie rozpoznać, musiałby zobaczyć moją twarz albo usłyszeć mój głos.

- A sądzi pan, że nie usłyszał?

- Niestety, za gło~no krzyknąłem. Gdybym wiedział, że ten czło-wiek jest tu w pobliżu, milczałbym. Jestem przekonany, że będzie mnie tropił.

- A je~li nie będzie tropił pana, to nas, Abiponów.

- Jesteście jego wrogami?

- Urządziliśmy napad na szczep Camba, kiedy on u nich był.

Przyszedł do nas, by zaproponować pokój. Ale my nie chcieliśmy odda~ łupu, który zdobyliśmy, więc odesłaliśmy go z niczym. Wpadł w złość, a jeden z nas dmuchnął za nim zatrutą strzałę, która jednak utknęła w bluzie, bo jego skórzana odzież jest tak szczelna, że żadna strzała jej nie przebije. Potem zabiliśmy dwóch wodzów Camba i wielu ich poddanych. Zabiliśmy wszystkich starych ludzi, wszystkich męż~czyzn, dzieci i chłopców, zabraliśmy tylko kobiety. Wtedy on stanął na czele innych szczepów Camba i napadł na nas. .

- Kto zwyciężył?

- On. Jest niepokonany, kiedy sięgnie po broń. Jego gniew

165 kosztował życie wielu naszych ludzi, a Camba nie tylko odzyskali to; co im zabraliśmy, lecz dużo więcej. Tak więc stali~śmy się śmiertelnymi wrogami. Dlatego musicie nam dać strzelby i proch, abyśmy się mogli zemścić, bo wojownicy Abiponów aż się palą, by ukarać Camba. Jeśli spełnicie nasze żądanie, zyskacie w nas wiernych sojuszników.

- Otrzymacie, co wam obiecaliśmy. Przecież jesteśmy w drodze do naszych tajnych składów. Jeśli tak wyglądają sprawy między wami a nimi, to jestem przekonany, że brat Jaguar szybko będzie podążał naszym tropem.

- A gdyby nie tropił was, to tropiłby mnie - wtrącił się Antonio Perillo. - Przecież wiecie, co się stało w Buenos Aires. Zblamował nie tylko mnie, ale i innych espadas. Jeśli trafi w moje ręce, niech się nie spodziewa łaski, zwłaszcza że wiadomo, iż jest zwolennikiem Mitrego.

Wówczas~rzekł kapitan Pellejo.

- Dużo już o tym człowieku słyszałem, ale nigdy nie miałem z nim do czynienia: Mnie on nie prześladowa. Ale z tego, co usłyszałem od was, seniores, wnioskuje, że będzie chciał pójść waszym śladem. Sądzę jednak, że nie będzie to łatwe.

- Dlaczego? - zapytał gambusino.

- Bo ślady znikają.

- Ach tak! Widać, że niewiele pan wie o sztuce czytania śladów.

Powiadam panu, że człowiek taki jak brat Jaguar znajdzie każdy ślad, którego szuka i z całą pewnością go nie zgubi, chyba że ma do czynienia z równie doświadczoneym przeciwnikiem, na

przykład ze mną. Potrafię zrobić to, czego nie dokona żaden z was. Potrafię wyprowadzić w pole tego człowieka. .

- Będziemy jechali przez pustynię, lasy, bagna i rzeki. Tiopienie nas wszędzie tam, tak, aby nie gubić przy tym śladów, przekracza możliwości zwykłego człowieka.

- 'Iix potrzebna jedynie przebiegłość i doświadczenie. A i jedno, i drugie brat Jaguar opanował w najwyższym stopniu. Ale nie kłóćmy

166 się. Wcale nie musi nas tropić, bo wie dobrze, dokąd zmierzamy.

- To niemożliwe! Któż by mu to zdradził? Wśród przywódców nie ma zdrajców, a reszta nie wie nic o naszym planie.

- Zastanawiałem się nad tym i przypomniałem sobie, o czym seniores mówili tuż przed wybuchem ognia. Ja sam milczałem i nie brałem udziału w rozmowie, którą na pewno on podsłuchał.

- O czym mówiliśmy? Nie przypominam sobie, bym pisał słów-ko, ktdre mogłoby nas zdradzić.

- A jednal~! Mówił pan o naszych kryjówkach z bronią.

- Ale nie powiedziałem, gdzie się znajdują.

= Powiedział pan jednak, że wysłał gońców do miejscowości nad-grańicznych, by wezwać swoich żołnierzy do lago.

- Czy podałem nazwę tego lago?

- Nie.

- Istnieje bardzo wiele lagos. Niech zgaduje, które miałem na myśli.

- Zapomina pan, że nasi więźniowie są teraz u niego. Byliśmy niestety tak pewni siebie, że w-ich obecności mówiliśmy aż za dużo o rzeczach, które nie były p~'zeznaczone dla obcych uszu.

- Czy oni znają nazwę tego lago?

- Bardzo dobrze, sam pan im groził, że ich utopimy w wodzie tego jeziora. '

- Do licha! Ió istotnie przykre! Ale kto mógł wiedzieE, że oni już wkrótce nam umkną. 'I~raz brat Jaguar jak najszybciej uda się tam.

- 'Idk by uczynił, gdyby nie ja. Bo ja wprowadzę go w błąd.

Przybyliśmy z południa przez rzekę, by pojechać na północ czy też na północny zachód. Ale zawrócimy i przyjedziemy tutaj inną drogą.

- Znów dziefi jazdy, a więc dwa dni stracone.

- Cóż znaczy taka strata, jeśli w ten sposbb oddalimy się od brata Jaguara?

- Czy to się nam uda?

- Oczywiście. Brat Jaguar może podjąć swoje tropienie dopiero

## 167

jutro rano. A my będziemy wtedy już nad rzeką, dokąd on dotrze dopiero wieczorem, ponieważ musi jechać bardzo powoli, by skupić uwagę na tropieniu śladów. Następnego wieczora dotrze do miejsca, gdzie zawrócimy. Ale on go nie znajdzie, bo ślady tymczasem zostaną zawiane albo w jakiś inny sposób zatarte.

- 'Tak pan sądzi? Tb byłoby dla nas bardzo korzystne. Chętnie bym si.ę na to zgodził, gdybym wiedział, że to się uda.

- Uda się na pewno.

- Więc moglibyśmy pojechać do Fort Tio, by zaopatrzyć się w świeżą żywność.

- Owszem. Możemy. Zgadzam się.

Antonio Perillo nie mał nic przeciwko temu, a wódz oświadczył:

- Plan gambusina jest mądry. Wprowadzimy brata Jaguara w błąd i umkniemy mu. Ilu ludzi ma ze sobą?

- Nie wiem dokładnie. Tyle, co mogłem rozpoznać w mroku, to chyba około dwudziestu, trzydziestu.
- 1b mu wystarczy. My mamy co prawda dziesięć razy dziesięciu wojowników, ale jego ludzie są bardziej sprawni we władaniu bronią niż moi. Wobec tego lepiej będzie zetknąć się z nimi dopiero wtedy,
- kiedy przyłączą się do nas dalsi Abiponowie. Wyruszymy zaraz, aby go jak najprędzej zmylić, Znam inne przejścia w lesie, które nas doprowadzą do rzeki. Znów wsiedli na konie i pojechali pod kątem ostrym w dotychczasowym kierunku. Biedne konie czekał ogromny wysiłek.

## Pijawki don Parmesana

Człowiek, o którym z taką gorliwością rozmawiali, wcale nie za-wracał sobie nimi głowy, spał bowiem głębokim snem, jak gdyby znajdował się we własnym łóżku w Buenos Aires czy Montevideo. Gdy gambuszo się wycofał, brat Jaguar podszedł do przesieki i nasłuchiwał. Słyszał, że gambusino rozmawia z resztą towarzyszy, aie nie mógł zrozumieć słów. Jego bystre ucho usłyszało tylko, że się oddalili. Wobec tego wezwał swoich dwóch niezawodnych ludzi i wysłał ich sto kroków w głąb lasu. Mieli się tam ustawić po lewej i prawej stronie i pilnie nasłuchiwać, a przy najmniejszym ruchu wroga, wystrzelić.

Sądził, że uczynił wszystko, czego wymagały mądrość i przezorność. Nie miał zamiaru zaatakować wroga, przynajmniej nie dziś, a już wcale nie zamierzał pozbawiać swych ludzi snu, który był im tak potrzebny, aby nazajutrz obudzili się wypoczęci i gotowi podjąć nie-wątpliwe trudy następnego dnia.

Potem wrócił do swojej grupy, by zająć się doktorem Morgenster-nem i Fritzem. I~ozmawiał z nimi po hiszpańsku, by pozostali wszy-stko rozumieli.

- Senior, nie wiem, co mam panu powiedzieć - rzekł. - Na ogół

## 169

staram się być uprzejmy, zwłaszcza wobec człowieka tak wykształco-

nego i o takiej wiedzy jak pan, ale mimo to nie mogę ukryć, że postąpiłby pan o wiele rozsądniej, pozostając w Buenos Aires.

- Co miałem tam robić, senior? - zapytał mały uczony. - Chciałem zdobyć glyptodonta, megatherium albo mastodonta. Czy tego rodzaju stworzenia można wykopać w Buenos Aires?

- Mógłby pan udać się na pampasy.

- 'Idk też t~czyniłem.

- Wcale nie. A może sądzi pan, że znajduje się na pampasach?

-Tak, na pampasach pomiędzy rzeką a lasem, po łacinie fluvius i silva.

- Ale jak to się stało, że obrał pan ten sam kierunek, którym ja podążałem?

- Chciałem pana spotkae. ,

-Przecież panu powiedziałem, że nie mogę go ze sobą zabrać. Nie tylko dla mnie jest pan zawadą, ale i sam naraził się pan na wielkie

niebezpieczeństwo.

- 'Pak pan sądzi? Seniores, którzy mnie uwięzili, byli w błędzie i

wkrótce by się o tym przekonali.

- Niech pan tak nie myśli. Pafiskie życie wisiało na włosku.
- Moje życie, po łacinie vita? Nie sądzę.
- Bo z pana naiwny, dobroduszny człowiek. k^an~ nie ma pojęcia,

jakie pułapki na niego czyhają. Wszędzie indziej byi~y pan bardziej

na miejscu, tylko nie w Gran Chaco.

. - A ja jestem przekonany o czymś wręcz przeciwnym. Sam pan  
s  
wspominał, że tutaj można znaleźć pozostałości prehistorycznych  
~erząt.

-Jeśli pan zamierza szukać przedpotopowych zwierząt w kryjówkach, gdzie nasi wodzowie magazynują proch, to może się zdarzyć, że kiedyś wyleci pan w powietrze. Dowiedziałem się od poczciwego don Parmesana, że został pan uwięziony, jemu zawdzięcza pan ocalenie.

Proszę mi powiedzieć, co się potem wydarzyło.

## 17~

- Co się wydarzyło? Niewiele, senior Hammer. Dół, w którym tkwi mój żółw olbrzym, z powrotem zasypano po wyjęciu stamtąd zawartości. Potem posadzono nas na konie i przywiązano. Błagałem ich, by zabrali ze sobą pancierz grzbietowy Gigantochelonu, ale mi odmówili.
  - A więc pan wciąż wierzy, że tu chodzi o żółwia?
  - Jestem pewien, że był to okaz żółwia olbrzymia. A co do innych wydarzeń, to jechaliśmy przez las, potem przez mieliznę i rzekę i znów przez las, tam zatrzymaliśmy się u innych Indian. Ja i mój Fritz dostaliśmy po kawałku mięsa. Potem przywiązano nas do drzewa, ale nadszedł pan i nas uwolnił. To wszystko, co mogę opowiedzieć~, histo-ria prosta i prozaiczna.
  - Uważa pana że to proste i prozaiczne? - brat Jaguar roześmiał się mimo woli.
  - Oczywiście. Nie było w tym ani krzty poezji. Kilkakrotnie usiło-wałem nadać rozmowie jakiś miłszy ton, zacząłem mówić o dyluwium, o niedźwiedziach jaskiniowych, o mamutach i innych tak bliskich mi sprawach, ale oni mnie' nie słuchali. ,
  - Wcale się nie dziwię. Czy poproszono pana, aby pan zamilkł?
  - Właściwie nie poproszono. Powiedziano to raczej w sposób bardziej energiczny. ,
  - Teraz wiem już dość, senior. Skoficzmy więc z tym. O czym ci ludzie rozmawiali?
  - O niczym szczególnym. Dlatego też nie zwracałem na to uwagi. Mówili o rewolucji, o armatach, o napadach na Indian, słowem o rzeczach, które nas nie interesują.
  - Rewolucja, artyleria, napady? I to uważa pan za rzeczy bez znaczenia? Senior, ależ to wszystko jest ogromnie ważne!
  - Może dla pana, ale nie dla mnie. Ja nie zapamiętałem z tego ani słowa. Zresztą miałem głowę zaprzętą pancierzem mojego żółwia. Jeśli chce się pan dowiedzieć czegoś więcej na temat rozmów tych ludzi, niech pan się zwróci do Fritza. Ib laik, więc ma więcej zrozumienia dla drobiazgów.
- Fritz dotąd nie odezwał się ani słowem, ale teraz szybko zaczął mówić i to po niemiecku.
- To prawda, panie Hammer, ja słuchałem dokładnie i mogę panu wszystko powtórzyć. Ale proszę, aby mi pan pozwolił mówić w moim ojczystym języku. Jeśli muszę rozmawiać z rodakiem po hiszpańsku, czuję się, jakby mi ktoś wbijał nóż w serce.
  - Proszę bardzo, jeśli pan tak woli - roześmiał się brat Jaguar.

- Możemy potem powtórzyć to pozostałym po hiszpańsku. Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co robią ci biali wśród Indian.
- Służę uprzejmie odpowiedzią. I~ draby myślały, że my już im nie możemy zaszkodzić i gadały o swych sprawkach całkiem otwarcie. Jadą do Chaco, by zbuntować Abiponów przeciwko rządowi i namó-wić ich do napadu. Ale ich wódz ma głowę nie od parady i postawił warunki. Chce najpierw napaść na Indian Camba, których pan; panie kapitanie, poprowadził przeciwko nim i biali mają im w tym pomóc. Żąda broni i żołnierzy.
- Ach tak! I tamci im obiecali?
- Rozumie się! Żołnierzy zbierze do kupy kapitan Pellejo. Zdra~ dził swoich przełożonych, którzy mu ufają. Przecież posłali go na granicę, by skontrolował garnizony, które tam powstały. A on ani myśli tam jechać, tylko wysłał zaufanego człowieka z rozkazem, aby ci wojskowi ruszyli do Chaco i stawili się tam w określonym dniu i miejscu. Ci ludzie mają pomóc Abiponom pokonać Camba.
- ~::~: - Co za plan! W ten sposób żołnierze zostaną oddani pod rozkazy
- ?
- wodza. Ale jak chcą mu dostarczyć obiecaną broń
- I~ zostało już przygotowane. Już dawno założono tajne magazyny wypełnione bronią i amunicją. Nasza żółwia jama to był też taki magazyn. Otworzą te magazyny i w ten sposób Abiponi zostaną ~r...: uzbrojeni i poprowadzeni przeciwko Camba. A kiedy się na nich zemszczą, wtedy w sile kilku tysięcy chłopów przekroczą granicę i spokojnie poprą pronunciamiento.

## 172 ‘

- Muszę otwarcie stwierdzić, że to okropny plan. Sprowadzi~ tysiące czerwonoskórych, by rozpętać mordy i pożary, po to, by nieliczni z morza krwi swych współplemieniców wyłowili bogactwo i urzędy! Kto stoi na czele tego potwornego spisku?
- I~go nie wiem. Ale najważniejszy w tym towarzystwie jest gambusino. On jest admirałem całego szwadronu, wszyscy muszą mu być posłuszni. -
- Czy słyszał pan o nim coś więcej? Jak się nazywa, skąd pochodzi, jakiego jest stanu i co robił dotychczas?
- Tyle pytafi naraz. Ale spróbuję je rozplątać. Nazywa się Benito Pajaro, czyli Benedykt Ptak. Nie wiem, skąd pochodzi ani jakiego jest stanu.
- Czy xawiono coś o mnie?
- Jeszcze ile! Co drugie słowo to było brat Jaguar. Oni mają pana na muszce. Jeśli wpadnie pan w ręce tych drani, to będzie z panem źle.

Hammer patrzył przez chwilę w milczeniu przed siebie, a potem zapytał:

- Czy wie pan może, gdzie mają się zgromadzić żołnierze?
- Idk. Chodzi o Lago de los Carandayes, a więc Jezioro Palmowe.
- Gdzie ono się znajduje?
- I~go nie mówili.
- = Ja także go nie znam, ale się dowiem.

Brat Jaguar pytał swych towarzyszy, także starego Anciana, młodego Inkę, a nawet chirurga. Ale żaden z nich nie słyszał o takim jeziorze.

- Może jest położone w środku Chaco, może na pustyni? - zastanawiał się Fritz. - Bo kiedy była mowa o strzelbach w magazynach, to gadali, że wszystkie po kolei znajdują się na pustyni, a za ostatnim magazynem jest Jezioro Palmowe. Zapamiętałem nazwy tych magazynów.
- Tak? Więc jak się nazywają?

~As's...': ...

~Y', ...

- Muszę się zastałować. Były to same źródła, cztery sztuki, do każdego doczepione zwierzę, a do czwartego bliźniak. Jakże to były zwierzęta... o, już wiem. Pierwszy to był Fuente de los pescados, drugi Fuente de los sangui-juelas, trzeci Fuente de los crocodilos i czwarty Fuente gemela.

Brat Jaguar zerwał się radośnie i zawołał:

- Wspaniale, wspaniale! Znam wszystkie te nazwy i wszędzie tam byłem. Ale i pan zna jedno z tych źródeł. Tam, gdzie wykopywał pan żółwia, złowiliście tyle ryb. Było to Fuente de los pescados, Źródło Ryb. Drugie źródło znajduje się po drugiej stronie lasu. Basen, do którego wpływa, jest pełen pijawek, stąd nazwa Fuente de los sangui juelas:

'Ii~zecie źródło położone jest w pobliżu laguny Honda i wpływa do laguny pełnej krokodyli, czwarte zaś składa się z dwóch źródeł i stąd nazwa Źródło Bliźniaków.

Każde z tych źródeł jest oddalone od siebie o półtora dnia konnej jazdy i położone w prostej linii. Kiedy przedłuży się tę linię na północny zachód, dotrze się do Jeziora Palmowego, którego nie znamy i nad którym mogą gromadzić się żołnierze. I bardzo mądre założyć kryjówki przy tych źródłach! Można od jednej do drugiej dojechać przez pustynię, nie narażając zwierząt na brak wody. Mam już gotowy plan. Wyruszymy do tych źródeł przed czerwonoskórymi i opróżnimy gniazda, zanim oni tam dotrą. A potem pojedziemy do jeziora Palmowego, by ująć żołnierzy. 'R~miejsce zostało dobrze wybrane, bo mieszka tam wielu najbogatszych Camba. Gambusino wraz z Abiponami i białymi zdobyłby więc ogromne łupy. Ale nie dopuścimy do tego.

-Tak jest, utracimy ich - przytaknął Fritz wesoło. - Przyzna pan, panie Hammer, że taka Gigantochelonia też ma swoje dobre strony? Gdyby nie ten olbrzym, nie odkrylibyśmy ich tajemnicy. Nie chciał nas pan ze sobą zabrać. Ale teraz chyba da nam pan wygodne miejsce w swoim sercu?

-Tak, pojedziecie z nami i nie jestem bratem Jaguarem, jeśli nie 174 odkryjecie czegoś z dyluwium. Dostarczę wam największą ropuchę, jaka żyła za czasów Noego.

-A ja obiecał zachwycony Morgenstern-będę odtąd uważnie słuchał wszystkich rozmów dotyczących rewolucji i mordów, bo zrozumiałem, że w ten sposób można dojść do największych paleontologicznych osiągnięć.

-I o wspaniale! Ale teraz radzę panu położyć się spać, bo potrzebny panu odpoczynek. Jutro skoro świt wstajemy i czeka nas jazda, która będzie dla pana męcząca. Na dobranoc jednak chcę panu szczerze wyznać, że cięszę się, iż uratowaliśmy pańskie narzędzia. 'I~raz nam się bardzo przydadzą przy odkopywaniu magazynów. To wyznanie wprowadziło uczonego w taką dumę, że radośnie szepnął swemu słudze:

- Słyszałeś, Fritz? Jestem im potrzebny, ja i moje narzędzia.

Naprawdę słyszałeś? 'I~raz rozumiesz, że żaden człowiek nie może się obyć bez nauki, po łacinie scientia.

Zasnął zadowolony. 'Pakże pozostali zapadli w głęboki sen. 'Ij~lko co godzina budzono dwóch, aby zmienili czuwających. Ledwo się trochę rozwidniło, ostatni wartownicy zbudzili wszystkich, bo należało się liczyć z tym, że gambusino ze swymi Indianami jest jeszcze w przesieci i może uznać, że jest to odpowiednia pora na wypad. Nie tracono czasu na posiłek, brat Jaguar wydał rozkaz, by dosiedli koni i pomknęli w stronę przesieki. Co prawda był on niezbyt przekonany, że w ciągu nocy nieprzyjaciel opuścił przesiekę, ale uważał za wskazane zachować ostrożność i kazał kilku ludziom pójść przodem na piechotę.

Ludzie ci, wciąż pozostając w ukryciu, skierowali się do wczoraj-szego obozowiska Indian. Ifiedy ujrzeli, że jest puste, dali towarzyszy-szom znak, aby się zbliżyli i wszyscy ruszyli galopem, jeden za drugim, aż las się skończył.

'I~ ujrzano ślady Indian, które prowadziły na łąkę. Oznaczało to, że wróg już wczoraj wieczorem opuścił las. Czy udali się w kierunku,

jaki wskazywał ślad, czy też był to tylko wybieg, jednak należało się przygotować na jazdę przez suchą pustynię, gdzie potrzebna była woda. Na szczęście brat Jaguar znał niedaleko miejsce, gdzie mały strumyk wypływał na skraju lasu, by kilka kroków dalej znów zniknąć w ziemi. Ktoś, kto żyje na pustkowiu, dobrze zapamiętuje takie miejsca. Ugasili pragnienie; także konie napiły się do woli, po czym ruszyli dalej w przekonaniu, że przez półtorej doby nie ujrzą wody. Jechali widocznym jeszcze śladem Abiponów i wkrótce dotarli do miejsca, gdzie oddział obozował. Brat Jaguar kazał się zatrzymać, by zbadać dokładnie to miejsce.

Także Geronimo obejrzał uważnie przy-gniecioną trawę, po czym rzekł:

- Leżeli tu do świtu. A więc wyruszyli nie tak dawno, ale dziwna rzecz, z powrotem do lasu. Dlaczego tak zrobili?

- Są dwa powody - odparł brat Jaguar. - Albo ich powrót to podstęp, który ma na celu wprowadzenie nas w błąd, albo taktyczny

~ manewr, by się zrehabilitować za wczorajszą porażkę.

- Jaki to manewr?

- Może chcą na nas napaść od tyłu, przecinając nagle las w innym miejscu.

-To całkiem możliwe. Chcą wszcząć bunt, a jeśli wciąż jeszcze są na tyle głupi i sądzą, że twój rodak to pułkownik Glotino, to oczywiście uczynią wszystko, by go unieszkodliwić. Więc bardzo możliwe, że planują napad. Niech tylko się zjawią! Nasze kule porządnie ich przetrzebią.

- Jestem przekonany, że otwarcie nas nie zaatakują. Musimy co prawda liczyć się z taką możliwością, że teraz nas szukają, ale sądzę, że jest bardziej prawdopodobne, iż zawrócili, by nas odciągnąć od swojego tropu i przekonać, że zrezygnowali z udania się do Jeziora Palmowego. Ale nie uda im się nas oszukać.

- Sądzisz więc, że mamy jechać dalej i nie brać pod uwagę kierun-ku, który teraz obrali?

- Należy, ale nie w taki sposób, jak oni by chcieli. Muszę się

176 dowiedzieć, co zamierzają, więc pojedę tym tropem tak długo, aż się przekonam, o co im chodzi. Ty pojedziesz ze mną, reszta niech tu pozostanie i czeka.

Wyznaczył warty i odjechał z Geronimo śladem, jaki pozostawiły na trawie podkowy koni Abiponów. Obaj jeźdźcy dotarli do lasu i polanki, którą ich wrogowie przejechali przed nimi, pojechali dalej, aż znaleźli się na skraju lasu po drugiej stronie. 'Ii~taj znów różpocie-rała się przed nimi otwarta przestrzeź i wyraźnie było widać, że ślady przecinały łąkę i prowadziły do rzeki. Brat Jaguar zatrzymał konia i rzekł:

- Jest tak, jak myślałem. Gdyby chcieli jechać za nami, toby tutaj skręcili, aby skrajem lasu dotrzeć do miejsca, gdzie jak sądzili, my jesteśmy. Skoro pojechaliw stonę rzeki, należyprzypuszczać, że mają niedorzeczny zamiar wprowadzić nas w błąd.

- Wprowadzić nas w błąd! Jak to możliwe, skoro mamy cały czas przed sobą ich ślady.

- Nie cały czas. Właśnie przez to, że musimy bez przerwy kierować uwagę na te ślady, nie moglibyśmy jechać tak szybko jak oni. Wieczo-rem i w nocy nie widać śladów, musielibyśmy się zatrzymać, a naza-jutrz chyba trudno byłoby rozpoznać ślad. Jednak nie damy się zmylić.

Wiemy, że chcą udać się do Jeziora Palmowego i tam się skierujemy.

A więc zawracajmy.

Pojechali z powrotem do swoich, po czym wyruszyli do Lago de los Carandayes. Pierwszym etapem było Fuente de los sangui juelas, Źródło Pijawek, położone w kierunku północno-zachodnim, do któ-rego droga wynosiła półtorej doby.

Grunt był tu równy i początkowo porośnięty trawą. Im bardziej oddalali się od rzeki, tam rzadsza stawała się zieleń, aż wreszcie całkiem zanikła. Grunt stał się piaszczysty, podobny do pustyni, gdzie, jak się wydawało, nie było śladu życia organicznego. Na szczęście warstwa piasku była dość cienka i nie utrudniała szybkiej jazdy. Brat Jaguar początkowo obawiał się, że doktor Morgenstern, jako niezbyt dobry jeździec, będzie zwalniał tempo, ale obawa była zbyteczna. Mały uczony trzymał się dzielnie. Co prawda, nie prezen-tował się na koniu zbyt elegancko, ale całkiem znośnie i dopiero wieczorem zaczął narzekać na zmęczenie. Kiedy się zatrzymali po-środku pustyni na nocny odpoczynek, okazało się, jaki był wytrwały i ile niewygód znosił w milczeniu. Tak mianowicie zeszywniał, że trzeba go było zdjąć z siodła, a ponieważ nie mógł ustać na nogach, położono go na piasku.

Brata Jaguara radowała odwaga małego człowieka, rzekł do niego zyczliwie:

- Czemu mi pan nie powiedział; że czuje się taki zmęczony?  
Moglibyśmy jechać trochę wolniej.

- Dziękuję, panie Hammer - odparł mały uczony. - Zrozumia-łem, że im prędzej się jedzie, tym jest łatwiej, a że sobie postanowiłem nie być dla pana ciężarem, nie chciałem narzekać. Zresztą przyrzekł mi pan zdobyć przedpotopowe zwierzę, a im szybciej dotrzemy tam, gdzie można je znaleźć, tym lepiej. Co prawda nogi mi zeszywniały i straciłem w nich czucie, ale mam nadzieję, że nastąpi szybka poprawa

po łacinie emendatio.

„Pdk się też stało, więc Morgenstern mógł zrezygnować z propono-wanej mu przez chirurga pomocy.

Niestety, nie było tu pastwiska dla koni, nie było ich nawet czym napoić. Jeźdźcy zjedli po kawałku suszonego mięsa i ułożyli się do snu, ponieważ rniełi wyruszyć skoro ~wit. Nazajutrz jechali tak samo wciąż po piasku, aż około południa na horyzoncie ukazał się ciemny pas. Brat Jaguar wskazał na niego i oznajmił:

-Tam leży Źródło Pijawek. Nazwa nie brzmi zachęcająco, ale jest tam czysta woda zdatna do picia, a także zielone drzewa i krzewy. Widzicie, już jedziemy po trawie, która z każdym krokiem staje się bardziej gęsta i soczysta.

Miał rację. Gran Chaco miało dawniej złą sławę jako okolica jałowa. Rzeczywiście są tam znaczne przestrzenie podobne do pustyni piaskowej w Afyce, ale w miejscach, gdzie jest woda, rozwija się bujna roślinność. Rzeki w listopadzie wylewają i duże obszary pozostają pod wodą, a kiedy wracają do swoich koryt, pozostawiają tyle wilgoci, że roślinność może przetrwać jeszcze długo podczas suszy: Nad brzegami tych rzek są lasy, podobne do dziewiczych lasów Brazylii i nawet na pustyni można trafić na liczne stojące wody bogate dokoła w roślinność, przyciągającą różne zwierzęta. Takim zbiornikiem wodnym było Fuente de los sangui juelas. Po-środku piaszczyst-j pustyni znajdowała się gliniasta oaza, której śred-nica wynosiła kilka tysięcy kroków. Na terenie było małe jezioro ze słodką wodą, zasilane dość obficie przez źródło. Ponieważ wytryskało ono na skraju oazy, do jeziora musiało przebyć drogę łagodnie obniżającym się rowem. Ten rów był do połowy wypełniony butwieją-cymi resztkami roślinności tworzącymi bagnisty grunt, w którym zagnieździły się niezliczone pijawki. Stąd nazwa źródła. Pijawki te znajdowały się jedynie w rowie, w samym źródle ich nie było, tak więc jego woda nadawała się do picia. Pakże w jeziorze, niezbyt głębokim, nie było ich, były natomiast ryby, które stanowiły dla przemierzają-cych te okolice białych i czerwonoskórych pożądany posiłek. Dokoła jeziora i po obu brzegach rowu ciągnęły się



szerokie pasma drzew i krzewów, w których listowiu trzepotał rześko ptasi ludek. I jak daleko sięgała wilgoć, tam wyrastała trawa, która im dalej od źródła, tym stawała się rzadsza, ale w pobliżu drzew tworzyła soczystą zielen, stanowiącą obfite pożywienie dla koni.

Tiitaj jeźdźcy się zatrzymali. Najpierw sami napili się do syta, potem zaprowadzili konie do źródła, by ugasiły pragnienie. Don Parmesan, podobnie jak inni, mocno odczuwał brak wody, ale bardziej niż upragnioną wodą był zachwycony pijawkami, które zobaczył w rowie.

- Co za znalezisko! -zawołał, zwracając się do doktora Morgen-sterna. - T'u można by wyciągnąć krew tysiącu chorym w ciągu pdł godziny. Czy nie cieszy pana widok tych wspaniałych stworzonek?

## 179

- Gdyby to były mamuty albo mastodonty, to istotnie bym się cieszył - odparł uczony - ale pijawki, po łacinie hirudo, nie wpra-wiają mnie w zachwyt.

- Bo pan żyje bardziej przed niż po potopie.. Niech pan sobie wyobrazi jakikolwiek stan zapalny. Jakie to szczęście, kiedy się ma pod ręką pijawki! Każdy wrzód lub opuchliznę można zlikwidować, przykładając kilka tuzinów tych pożytecznych istot. Gdyby panu na przykład spuchł język albo dziąsła, z przyjemnością wsadziłbym panu zę trzydzieści pijawek do ust.

- Dziękuję bardzo, senior...

- Don, don Parmesan, nie senior - przerwał mu chirurg karzącym tonem.

- Dobrze, don Parmesan, nie senior! Dziękuję za gotowość wsa-dzenia ~xni trzydziestu pijawek do ust. Ale nigdy bym się na to nie zgodził. Nigdy!

- Nie? No to życzę panu z całego serca, aby spuchł panu j ęzyk tak, że będzie gruby jak ropucha. Wtedy na pewno weźmie pan do ust pijawki.

- Muszę stwierdzić, że nie jest to zbyt przyjazne życzenie, don Parmesan. Nie życzy się przyjacielowi ropuchy w ustach. Zresztą wcale nie jest powiedziane, że to są naprawdę lecznicze pijawki.

- Owszem, są. Zaraz to panu udowodnię:

Don Parmesan ułamał gałązkę, uderzył nią w wodę i wyłowił kape-luszem kilka podpływających pijawek. Gdy wzięljedną do ręki, ta od razu zwinęła się w kłębek.

- Widzi pan, że jest prawdziwa! - zawołał. -Jeśli pijawka zwija się w kłębek, to znaczy, że jest użyteczna. Udowodnię to panu. Proszę, niech pan wysunie język. Przystawię panu pijawkę. i zobaczy pan, że zaraz ukłuje.

- Dlaczego akurat język, don Parmesan?

- Bo jest najbardziej ukrwioną częścią pafiskiego ciała.

- Wobec tego niech pan zademonstruje ten eksperyment na własnym języku, po łacinie lingua: Odsunął się od chirurga. I~n rzekł potrząsając głową:

- Nie mogę pojąć, jak zoolog może czuć odrazę do tych czystych zwierzątek. Wykorzystam tę świetną sposobność~ i złowię kilka, aby je przechować na wszelki wypadek. Zauważyłem, że jeden z naszych ludzi ma kilka pustych butelek po winie. Chciał je napełnić wodą, ale mam nadzieję, że odstąpi od tego zamiaru dla dobra sprawy:

Porozmawiał chwilę z tym człowiekiem i ten spełnił jego prośbę. Potem don Parmesan zdjął buty i wsadził bosc nogi do wody. Od razu pokryły się pijawkami, które odrywał i wkładał do butelek. Podczas kiedy się tym zajmował, brat Jaguar przeszedł całą oazę, by dokładnie zbadać jej grunt. Inni pomagali mu przy tym. 'I~m, gdzie krzewy się koficzyły, zwróciło jego uwagę jedno miejsce, skąpo poroś-nięte trawą. Kiedy mocno tupnął nogą, rozległ się głuchy dźwięk.

- Jestem przel~onany, że to kryjówka, której szukam! - rzekł.

- Też tak uważam - odparł Fritz stojący obok - bo to miejsce wygląda dokładnie tak jak tamto, gdzie chcieliśmy wykopać Giganto-chelonię. ~'am również trawa była skąpa.

- Więc rozkopmy to miejsce. Panie Kiesewetter, niech pan przy-niesie narzędzia. Fritz przyniósł motykę i szpadel i chciał od razu zabrać się do pracy, lecz Hammer powstrzymał go, mówiąc:

- Nie! Nie w ten sposób! Nie powinniśmy postępować tak, jak pan to robił przy Źródle Ryb. Pan chyba przekopał wówczas całą po~'ę?

- No tak.

- I przy tym głęboko wzruszył ziemię?

- Oczywiście. Myśleliśmy, że dokopujemy się olbrzymiego zwierza.

Więc otwór musiał być jak największy.

- My tego nie zrobimy. W tej gliniastej glebie było jedno piaszczyste miejsce, prawda?

- 'Tak. To było zasypane wejście do tej jamy.

## 181

- Więc musimy tylko odkryć wejście, by się tam dostać. I uczynimy to tak ostrożnie, że później nikt nie zauważy, iż kryjówka była otwie-rana.

im - 'A potem, kiedy będą chcieli to wszystko zgarnąć, mina

zrzędzie!

piaszczyste

Brat Jaguar pochylił się, by zbadać grunt. Znalazł

Najpierw podkopa-

miejsce, na ktbrym rosło mniej trawy niż dokoła.

głęb. Ojciec

no ją łopata i darń odłożono na bok. Potem kopano w

ziemię, aby na

Jaguar kazał rozpostrzeć poncho, na które rzucano

obsunęła, tak

trawie nie pozostały znaki.

Hammer

Kiedy dokopano się głębokości kilku stóp, zieinia się

tej, przy

jak niedawno przy Źródle Ryb. Powiększono otwór tak, że

tak niemile

mógł tam zejść. Znalazł się w małej jaskini podobnej do

uczynili, ujrze-

której don Parmesan, doktor Morgenstern i Fritz zostali

prochem, które, by

zaskoczeni. Należało teraz usunąć stąd ziemię. Gdy to

Następnie strzelby,

li, co zawierała kryjówka. Były tam małe beczki z

dwa razy tyle

je zabezpieczyć przed wilgocią, zaszyto w skórę.

noże i dużo innej broni i sprzętu.

Wydobyto zawartość. Okazało się, że jest sto strzelb,

noży oraz koficówki strzał i oszczepów.

-To wszystko było przeznaczone dla Abiponów, ale dostaną to Camba, nasi przyjaciele - rzekł brat Jaguar uradowany. - 'T~;raz

zakopujemy dół z powrotem.

Ziemię z poncho wrzucono do środka, by nic nie pozostało na powierzchni, następnie wszystko przyklepano. Potem na wierzchu ułożono wyciętą darń i polano ją wodą, by uszkodzona trawa nie uschła. Na zakończenie złowiono w jeziorze mnóstwo ryb. Pampasy

nie są tak bogate w zwierzynę jak prerie Ameryki Północnej, ale wszędzie występują laguny i małe jeziora, w ktbrych żyją .ryby, je~li nie są one oczywiście słone. lbteż myśliwi na pampasach zawsze są zaopatrzeni w wędki i sieci.

By przyrządzić złowione ryby, rozpalono ogniska, lecz nie w oazie.

## 182

Zrobiono to na piasku, bo tam łatwiej można było zatrzeć ślady. Potem zaczęło się pieczenie i smażenie, a smakowity zapach rozcho-dził się po całej oazie. 'I~zeba było pomyśleć o zapasach,.gdyż naza-jutrz nie mogli liczyć na to, że upolują~jakaś zwierzynę, a przy źródle Krokodyli, dokąd droga wynosiła półtorej doby, nie należało się spodziewać ~ołowu.

Konie przez całe popołudnie pały się na trawie, a ićh właściciele-jedli aż do przesyty. Okazało się, że połów był tak obfity, iż zapas wystarczył chyba jeszcze na pięć posiłków. Przyrządzanie ryb było ;proste. Owijano je w suchą trawę, którą podpalano, a kiedy się spaliła, ryby były świetnie upieczone i to tak, że łatwo było usunąć z nich ości.

Zapał już wieczór, a oni wciąż siedzieli przy ogniskach i rozma-wiali. Niemcy skupili się razem, by móc rozmawiać w ojczystym języku. Wśród nich młody człowiek wyróżniał się gadatliwością i talentem do dowcipów, którymi bez przerwy sypał. Wystarczyło, że otworzył usta, a wszyscy się zaśmiewali. Dlatego nie nazywano go jego prawdziwym imieniem, tylko nadano mu przydomek Picaro, Dowci-pniś.

Wreszcie ułożono się do snu. Choć nie obawiano się napadu, wystawiono posterunki. Koni nie trzeba było pilnować ani przywią-zywać, ponieważ wiadomo było, że nie opuszczą oazy i nie pójda na suche piaski, pozbawione paszy.

Nazajutrz wszyscy pospiesznie zjedli posiłek. Zapas ryb starannie zawinięto w koce, a zdobycz wydobytą z kryjówki Hammer kazał tak rozdzielić, by żaden koń nie miał zbyt wielkiego ciężaru: Na koniec zatarto dokładnie ślady i wyruszono.

Dzisiaj jechali w tym samym kierunku co wczoraj, na północny zachód. Znów przez cały dzień przemierzali piaszczystą pustynię.

Kilkakrotnie mijali małe jeziora zawierające słoną wodę. Rosła nad nimi skąpa roślinność. W południe zrobili godzinną przerwę, wieczorem zaś rozbili obóz na pustyni. Nad ranem, kiedy było jeszcze ciemno, znów wyruszyli.

Ciekawe było obserwowanie chirurga, który tyle uwagi poświęcał swoim pijawkom. Nie wyjaśnił, dlaczego je zabrał. Po prostu były to pijawki lecznicze, a ponieważ uważał się za znakomitego lekarza; pragnął wyrzucić w ten sposób wrażenie na swoich towarzyszach podróży. Nie mógł szczelnie zamknąć buteiek, w których trzymał pijawki; bo by się podusiły. Dlatego oderwał końce chustki i owinał nimi szyjki butelek, a następnie wetknął butelki za pas, spod którego nieustannie.mu się wyslizgiwały. Musiał wciąż podsuwać je do góry, nie mógł więc zajmować się niczym innym. Tymczasem jego koń, bynajmniej nie najlepszy, nie czując na cuglach prowadzącej ręki, tak trząsał~chirurgiem, że ten przybył do Źródła Krokodyli straszliwie zmęczony. Zeskoczył z, siodła i od razu ustawił butelki na trawie, a sam położył się obok nich.

Źródło to całkiem słusznie nosiło swoją nazwę. Pośrodku piaszczy-stej pustyni znajdowała się duża laguna, a woda jej była mętna i mulista. Dookoła rbsł szeroki pas trzcín, dalej zaś tamaryszki i różne-go rodzaju kaktusy. Pasma trzcín od czasu do czasu przerywała trawa, która

stanowiła pożądaną paszę dla koni. W jednym z prześwitów tryskało z ziemi źródło, którego woda w niezbyt dużej odległości spływała do laguny, gdzie natychmiast mętniała. Działo się tak dlatego, że woda laguny nigdy nie stała spokojnie, tylko wciąż była poruszana przez krokodyle, które polowały na podobne do siebie, a także inne zwierzęta, rozgrzebując przy tym muł. Zwierząt tych było w lagunie bardzo dużo. Gdy doktor Morgenstern je ujrzał, zawołał przerażony:

- To okropne! Widzę tu naraz dwadzieścia, trzydzieści zwierząt, które na siebie napadają! Co ty na to, Fritz?

- Co ja na to? Nic. Rozdziawiłem gębę ze zdumienia. Ciekaw

## W

jestem tylko, czym te bestie się odżywiają.

- Jeśli się pan dobrze przyjrzy, będzie pan wiedział - rzekł brat Jaguar. - Jesteśmy w pobliżu Rio Salado, znajdujemy się w okolicy,

~:~ , . " : ' "

184 do której każdego roku dociera powódź. To najdogodniejsza pora dla tych zwierząt, mają wtedy pod dostatkiem jedzenia. Gdy powódź ustępuje, dla nich przychodzi pora postu. Najpierw żreją ryby i inną zwierzynę, która dostała się z rzeki do laguny. Gdy to się skończy, głód zmusza je do tego, że napadają na siebie, duże pożerają małe.

- A kiedy już nie ma małych, to co robią duże?

- Wtedy nie pozostaje im nic innego, jak tylko... Ale, ale - przerwał sam sobie - zaraz pan zobaczy.

Niech pan uważa! Niedaleko od nich w pobliżu brzegu walczyły ze sobą dwa potężne krokodyle. Rzuciły się na siebie, aż muł i woda pryskały wysoko w górę. Po krótkiej walce wpały w siebie nawzajem ostro uzbrojone szczęki tak mocno, że wydawało się, iż się już nie rozerwą. Wówczas podpłynął trzeci, odgryzł jednemu z walczących nogę i znikł w wodzie ze swoją zdobyczą. Ranna bestia wydała niesamowity ryk bólu i natychmiast zjawiły się inne krokodyle, by go ostatecznie pokonać, został rozszarpany na kawałki.

- Teraz pan widzi, czym one się żywią - rzekł Hammer. - Jeśli jeden z nich, choćby był największy i najsilniejszy, zostanie zraniony, to kornie z nim. Zostaje natychmiast pożarty przez inne, a przy tym te zwierzęta są ogromnie tchórzliwe. Zaraz to panu udowodnię. Zdjął strzelbę z ramienia i wystrzelił. Gdy rozległ się huk, wszystkie krokodyle natychmiast znikły. Woda marszczyła się przez kilka minut, a potem stała spokojnie, jakby nigdy nie było w niej życia. Z brzegu natomiast uniosło się z krzykiem kilka brodzieńców, które mimo obecności krokodyli szukały w mule łupu; a z gałęzi drzew wyfrunęła gromada papug.

Fritz przyłożył strzelbę do policzka i chciał wystrzelić, lecz Hammer odsunął go, pytając:

- Po co to panu? Po co niepotrzebnie marnować proch?

- Niepotrzebnie? Chciałem do naszych ryb ustrzelić pieczone z drobiu.

- Niech pan da spokój! Jeśli nie ma pan zębów jak krokodyle, nie

## 185

radzę panu. Papuga żyje bardzo długo i nawet kiedy jest młoda ma mięso tak twarde, że trudno je pogryźć.

- Może takie jak struś, którego chcieliśmy kiedyś upiec, jak to panu opowiadałem?

- Tak. Musimy zadowolić się naszymi rybami, a później, kiedy znów znajdziemy się w lesie u zaprzyjaźnionych Camba, będziemy się lepiej odżywiać.

Rozsiodłano konie, napojono je i puszczono na trawę. Jeźdźcy zjedli obiad, po czym

powtórzyło się dokładnie to samo, co było nad Źródłem Pijawek. Szukano kryjówek z

bronią, znaleziono ją, wydobyto zapasy i znów zasypiano. Podczas tej pracy zapadł zmierzch

i różpalono kilka ognisk, wystawiono warte. Tj~m razem miała ona od czasu do czasu podsycać ogień, ponieważ się ochłodziło i wreszcie udano się na spoczynek:

Zanim don Parmesan ułożył się do snu, owijając się w poncho, zajrzał jeszcze raz do swoich pijawek, którym już dwukrotnie dolewał wody. 'Ii~oskliwie ustawił butelki między sobą a Fritzem leżącym obok, po czym odwrócił się i zasnął.

Minęła noc i nie wydarzyło się nic szczególnego, jeśli nie liczyć tego, co nad ranem zrobił jeden z wartowników. Był nim Picaro.

Właśnie podsycił ogień, ale nie odszedł jak przedtem, tylko podkradł

się na palcach do miejsca, gdzie chirurg spokojnie chrapał. Nasłuchi-

wał przez chwilę, a ponieważ nikt się nie poruszył, sięgnął po butelki z pijawkami, odwiązał szmatki i usiłował odchylić koc, którym był owinięty don Parmesan. Udało mu się. Jak już wspomniano, chirurg miał na sobie długie buty, ale dziś nie podciągnął w górę cholew. Sięgały mu tylko do kolan i tworzyły lejki, do których Picaro wlał zawartość dwu butelek, po czym znów zakrył chirurga kocem. Z trzecią butelką poczołgał się do Fritza Kiesewettera i także pod jego poncho wlał jej zawartość, po czym zawiązał wszystkie trzy butelki i położył na miejscu, a następnie podkradł się do drugiego wartownika. ^

186

- No i co, udało się? - zapytał tamten.
  - 'hak - zachichotał wesołek.
  - Tb wspaniale! - roześmiał się ten drugi. - Ciekawe, co też on powie, kiedy spostrzeże, że ma pijawki na ciele, a nie w butelce!
  - Dopiero będzie zabawa, zwłaszcza że z powrotem zakryłem butelki. Nie będzie umiał sobie wytłumaczyć, jak one się wydostały.
  - Czy wszystkie mu wpuściłeś?
  - Nie, nie wszystkie, choć opróżniłem wszystkie butelki. Tb nie takie proste wysypać całe to czepliwe paskudztwo, kiedy odlałem wodę. Ten drugi też trochę dostał.
  - Ten drugi? Kto?
  - Ten Frederico z niemieckim nazwiskiem niemożliwym do wy-mówienia, służący uczonego.
  - On? Nie powinienes był tego robić, to porządny chłopak. A
  - Właściwie nie miałem takiego zamiaru, ale on tak spokojnie leżał obok, że coś mnie podkuśiło, aby i on dostał swoją dolę.
  - ~le czasu potrwa, zanim to robactwo się po nich rozejdzie?
  - Któż to wie? Nie jestem lekarzem i nigdy nie obserwowałem pijawek. Może godzinę. Wtedy już będzie ranek i dość widno, abyśmy sobie obejrzeni to przedstawienie.
- Poszeptali ze sobą jeszcze chwilę, pośmiali się i odeszli. Objęli posterunek jako ostatni, a więc do nich należało budzenie ludzi. Czas mijał i zaczęło świtać. Poszli w pobliże śpiących, by zza drzew obserwować ofiary swojego żartu. Pijawki poprzez odzież dostały się do skóry i tam się przyssały. Zaatakowani przez chwilę nie czuli co prawda tego ataku skierowanego na rozmaite części ciała, bo spali bardzo mocno. Drapali się po rękach i nogach, drapali się wszędzie i coś przy tym mamrotali, ale nie można było rozróżnić słów. 'I-raz dopiero Picaro i jego towarzysz zbudzili śpiących, którzy zerwali się na równe nogi. Gdy mały uczoney ujrzał swego sługę, zapytał zdziwiony:
- Fritz, co masz na twarzy? Myślałem, że jesteśmy przy Źródle Krokodyli, a nie Pijawek!
  - Bo tak jest - odparł Fritz.
  - Ale to nie krokodyl, tylko pijawka przyssała się do twojego policzka, po łacinie gena. A na nosie rozgniotłeś drugą! Sięgnij do swego prawego policzka! Wisi na nim jedna, i to jaka! Nassała się do pełna.

Fritz miał właśnie usłuchać i podniósł rękę. Popatrzył na nią przez chwilę osłupiały, wreszcie zawołał:

- A to co? Na mojej ręce wisi coś obcego, co wcale do mnie nie należy! Czy to polip, czy pieczona gruszka?

Spoglądał na pijawkę, która zwisała z jego dłoni podobna do gruszki. Potrząsnął ręką, ale pijawka się nie oderwała.

-To pijawka - oświadczył Morgenstern. - A ta na twojej twarzy jest jeszcze większa i grubsza. Fritz sięgnął do twarzy i poczuł pijawkę, chwycił ją, oderwał i odrzucił. Oczywiście miejsce to zaczęło od razu krwawić.

- Pijawki, to naprawdę pijawki? Dó licha, co za ohyda! -zawołał.

- Chyba zagarnąłem je przy ostatnim źródle.

Argentyńczycy wybuchnęli śmiechem; chociaż nie rozumieli jego słów. Miał na szyi jeszcze jedną pijawkę i drugą za uchem. Z boku za nim stał don Parmesan. Jemu dwie pijawki zwisały z podbródka. Nie ~ czuł ich. Zobaczył, o co chodzi, szybko wysunął się do przodu i rzekł do Fritza po hiszpańsku:

- Ma pan pijawki na twarzy, na szyi i przy uchu. Zaraz je panu zdejmę. Znam się na tym. Niech pan stoi spokojnie, nic nie będzie bolało.

Sięgnął po pijawkę na szyi Fritza, ten jednak odparł ze śmiechem:

- Niech pan najpierw sam siebie zoperuje, don Parmesan! Dwie sztuki zwisają panu z podbródka.

- Co? - zapytał chirurg zdziwiony. Sięgnął we wskazane miejsce i poczuł „wisiorki”. Zadowolony ciągnął dalej: - To nic. Oblazły mnie, kiedy siedziałem z nogami w wodzie. Zdejmę je, nie robiąc im

188 krzywdy i włożę do innych, które są w butelkach. Niech pan poczeka. Potem uwolnię pana.

Ostrożnie usiłował usunąć pijawki, ~ ponieważ były już pełne i napiły się do syta, udało mu się to bez trudu. Pochylił się do swoich butelek, podniósł jedną, zrobił zdziwioną minę, wziął drugą butelkę, a także trzecią, po czym zawołał zdumiony:

- Puste! Wszystkie trzy są puste! Gdzie są moje pijawki?

Odpowiedzią był ogólny śmiech. Picaro zdążył już dać potajemnie znak swym kolegom, wiedzieli więc, o co chodzi. Toteż Geronimo odpowiedział zc~~iwionemu chirurgowi:

- Gdzie one są? Musi pan je czuć, don Parmesan. Myślę, że ma je pan na swoim ciele. A nasz drogi senior Frederico powinien także sprawdzić, czy te pijawki, które widać, są jedynymi. Podszedł do Fritza, zdjął z niego pas, rozchylił koszulę i ciągnął dalej ze śmiechem.

- ‘Pak też myślałem. Cała kolonia pijawek, jedna przy drugiej.

Senior, te małe stworzonka czują najwidoczniej ogromną sympatię do pana.

- Dziękuję za taką sympatię - odparł Fritz gniewnie, sięgając do piersi, by oderwać pijawki. Ale Parmesan powstrzymał go, chwytając za ramiona i wołając z przerażeniem: ,

- Niech pan poczeka! Moje butelki są puste, a więc to moje pijawki, nie wolno panu robić im krzywdy! One mi się wymknęły, muszę je znów złapać, pojedynczo i ostrożnie; żeby żadnej nie uszkodzić.

- Co mnie obchodzi, czyje są te bestie! - odparł Kiesewetter wściekły. - Nie pozwolę, by mnie obsiadły i pożarły. Precz z nimi!

Chciał wykonać swój zamiar, lecz chirurg wciąż jeszcze trzymał go mocno i błagał:

- Nie, nie, senior! Niech pan mnie wysłucha! Uwolnię pana od . nich, choćby wszystkie na panu wisały!

- Wszystkie? Togo tylko brakowało! Mam dość tych, które widzę, 189 a jeśli...

Utwał i zrobił minę, jakby nasłuchiwał, potem zaczął się walić po ramionach, udach i innych częściach ciała, wymyślając ze złością.

- Rzeczywiście, wszystkie są na mnie. 'I-raz to czuję!

- Ja także, ja także! - zawołał don Parmesan, któreW u Fritz się wyrwał.

- Mam je na całym ciebie - ciągnął dalej Fritz. - Na ramionach, na nogach i na plecach. .

- Ja także, ja także!

- 'I- bestie, te wampiry! Zabiję je, zagniotę wszystkie, wszystkie!

Don Parmesan znów chwycił go za ramiona i zawołał:

- Niech pan stoi spokojnie. Zdejmę je z pana tak zręcznie, że . będzie to dla pana samą przyjemnością.

- Mam stać spokojnie? Ani mi się śni - odparł Fritz wyrывая się chirurgowi. - One muszą zginąć, muszą nędznie zdechnąć!

- Nie, nie, proszę pana! Niech się pan zlituje! Ja je wszystkie zdejmę. A jeśli jedna czy druga nie zechcą się oderVwać, to zostawimy je, niech się nasycą, a wtedy same odpadną.

- Aż się nasycą? I długo mam tak czekać? Mam się wykrwawić?

Mam z powodu pańskich robaków narażać swoje życie? Precz! Niech mnie pan puści!

- Senior, wasza miłość, proszę nie zapominać, że każda nauka wymaga o~ar. Niech pan będzie tak dobry...

- Precz, powiadam! Ofiary! Pan chyba zwariował! Dla pafiskiej pijawkowej nauki nie mam zamiaru się poświęcać.. Zaczęli się szarpaE, potknęli się o butelkę i upadli. Wkrótce wal-czyli ze sobą jak dwaj zapaśnicy. Fritz wymyślał przy tym, na czym świat stoi, chirurg zaś zaklinał go na wszystkie świętości, by ulitował się nad nauką i pijawkami. W wyniku bijatyki wszystkie pijawki zostały rozgniecione. Wreszcie kiedy obaj właśnie o mały włos nie potoczyli się do źródła, wtrącił się Hammer i rozdzielając ich, zawołał:

- Dość tego! Tó wszystko jest raczej zabawne!

## 190

, - Zabawne? Mam uważać za zabawne to, że ten senior, który wszystko ciacha, ciągnie ze sobą pięćset pijawek, by w nocy przystawić rni je do ciała?

- Pięćset? - zawołał don Parmesan. - Było ich dziewięćdziesiąt, nie więcej. W każdej butelce po trzydzieści.

- Czy to nie wystarczy? Te dziewięćdziesiąt siedzi mi na skórze, wysysa moją drogocenną krew, moje soki życiowe! Jeśli według moich obliczeń na każdą przypada pół funta, to w ciągu nocy straciłem czterdzieści pięć funtów krwi!

- Człowiek mnie ma więcej niż dziesięć funtów krwi, po łacinie sanguis -wtrącił Morgenstern pouczająco.

- ~'ak, dziesięć funtów - ciągnął Fritz gniewnie dalej. - Ale ja pochodzę znad Jeziora Rummelsburg, a tam krew ma całkiem inną wagę. Kto mi teraz zwróci tę krew, którą straciłem? Znów wtrącił się brat Jaguar.

- Chodźcie ze mną obaj tam za krzaki! Zobaczmy, jakie szkody wyrządziły te stworzenia.

- Dobrze, zobaczymy - zgodził się Fritz. - Przekona się pan, że wypróżniono mnie jak beczkę piwa, z której już nie da się więcej wytoczyć.

- 'Pak, zobaczymy-zgodził się chirurg. -Ale nie oceniamy, jakie szkody wyrządziły pijawki jemu, tylko jakich spustoszeffi on dokonał wśród nich.

Poszli za krzaki i wkrótce rozległy się okrzyki, potem Fritz z obnażoną górną częścią ciała wynurzył się nagle i zawołał ze złością: :

- Spójrzcie na mnie, seniores! Czy ja jestem jeszcze człowiekiem?

Czy też skórą, którą handlarz pijawek może pokazać jako dowód ich skuteczności?

Za nim wyskoczył chirurg również z obnażonym torsem, wołając:

- Wszystkie zginęły, wszystkie, wszystkie! Ani jedna nie pozostała przy życiu. Popatrzcie na mnie i na tego mordercę, seniores! Przecież zdjąłbym je z siebie i z niego z największą zęczością. Wystarczyło

## 191

tylko, aby pozwolił im nassać się do syta. Ale on je pozabijał, tak długo tarzał się po trawie, aż ostatnia została rozgnieciona. Kto mi teraz zwróci moje pijawki?

- A kto mi zwróci moją krew? - zapytał Fritz. - I kto mnie oczyści? Kto mnie obmyje? Kto mnie doprowadzi do ludzkiego wy-glądu?

- Don Parmesan - rzekł brat Jaguar.

- Niech będzie, to pierwsze rozsądne słowo, jakie w tej sprawie zostało powiedziane.

- A kto mnie oczyści? - zapytał chirurg.

- Ja - odezwał się Picaro - zrobię to z litości nad miłymi stworzonkami, które w czasie swej największej życiowej rozkoszy musiały zginąć.

- Uważaj, abym cię nie wyrwał z twojej życiowej rozkoszy - ostrzegł go brat Jaguar. -

Wydaje się, że nurzasz się teraz w pełni błogości.

Inni także wyrazili gotowość pomocy. Obaj Iposzkodowani stanęli

nad wodą, obmyto ich należycie. Nie okazywali przy tym swych uczuć, ale zdradzały to wystarczająco ich zbolale miny. Gdy ceremonia się skończyła, Fritz rzekł ze śmiechem:

- Don Parmesan, niech pan mi poda rękę. Obaj doznaliśmy cierpienia, ale teraz pogódźmy się. Gdyby pan mocniej zawiązał swoje butelki, zostałoby to nam oszczędzone.

- Nie mogłem ich lepiej obwiązać, niż to uczyniłem - odparł chirurg, ściskając mu dłoni. - Jak to się stało, że pijawki... Urwał. Przy tych słowach wzrok jego przypadkowo skierował się na butelki. Przedtem w pośpiechu tylko dostrzegł, że nie było w nich pijawek, teraz jednak zobaczył, że były obwiązane. Podniósł je, obejrzał i ciągnął dalej ze zdumieniem:

- Jak to możliwe? Przecież są tak samo mocno obwiązane jak przedtem? A może są w nich dziury?

Oglądał butelki ze wszystkich stron, potrząsał głową, nie widząc

## 192

w nich najmniejszej dziurki.

- Niech się pan nie dziwi, senior - rzekł Picaro. - Sprawa jest bardzo prosta. Pierwsza pijawka, która się wydostała, otworzyła bu-telkę, a ostatnia ją zawiązała.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Chirurg spoglądał na wesołka za-myślony. Potem na j ego twarzy pojawił się błysk zrozumienia i zapytał:

- Czy to pan był tą ostatnią pijawką? Mam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej o tej sprawie, a potem udzieli mi pan satysfakcji!

- Bardzo chętnie, don Parmesan, ale jeszcze nie teraz, bo jak widzę, brat Jaguar już osiodłał swego konia. Na wojennej ścieżce

I tym razem jazda przebiegała podobnie. Przenocowali w odludnej piaszczystej okolicy, a nazajutrz rano dotarli do Fuente gemela.

Miejsce to wzięło swą nazwę od dwóch bliźniaczych źródeł, położonych tuż obok siebie i łączących dalej swe wody. Źródło Bliźniąt tworzyło mały strumyk, spływający do jeziora o



cudownie czystej wodzie. Jezioro to o niemal okrągłym kształcie miało przeciętną średnicę około tysiąca kroków.

Widać było, że w czasie jazdy zbliżyli się o kilka stopni do równika, ^ gdyż otoczenie jeziora miało bardziej tropikalną roślinność. Brzegi były okolone trawą dochodzącą do dziesięciu metrów wysokości. Przylegał do niego las składający się z drzew laurelii, przedzielonych od czasu do czasu drzewami cribo. Rosły tu nawet palmy caranday, a dalej w tle, gdzie ziemia zawierała więcej wilgoci, można było dostrzec dziwaczne kształty wysokich jak drzewa aloesów: Rosła tu trawa tak wysoka i gęsta, że sięgała koniom do brzucha. Różne ptaki, zwł- szcza kolibry, zamieszkiwały gałęzie drzew. W trawie widać było ślady zwierząt, a wystarczyło tylko zbliżyć się do wody, by zobaczyć, że roi się tam od ryb.

- 'Ii~ nie będziemy skazani tylko na ryby - rzekł Geronimo, 194 wskazując na ślady jelenia. - Może uda nam się ustrzelić piecyste?

- Tbn trop wskazuje, że tutaj kończy się pustynia - odparł brat Jaguar-bo przecieźjelefi nigdy nie zapuszcza się na pustynne piaski, ale to nakazuje ostrożność. 'Tam, gdzie trafia się taka zwierzyna, można łatwo napotkać większe drapieżniki, których jednak się nie obawiamy. Od Buenos Aires nie widziałem ani jednego jaguara, a tamten na arenie był tchórzem.

Rozsiodłano konie i puszczono na popas. Potem utworzono dwa oddziały: większy miał łowić ryby, a mniejszy z Hammerem poszedł szukać magazynu z bronią dla buntowników. Obfitość roślinności ułatwiła jego odszukanie. Na kryjówce nic nie rosło, tak, że bardzo szybko ją odnaleziono, chociaż oaza wkoło jeziora była o wiele większa niż te, w których dotąd obozowano. Tajny skład broni odsło-nięto w sposób podobny jak poprzednie, wyjęto zapasy i znów zasy-pano. \_ Opróżniono trzy arsenały. Jednak broń i amunicja, jaką wskutek tego uzyskali, utrudniały dalszą drogę. Nie można już było myśleć o jeździe w dotychczasowym tempie.

Oddział zajmujący się połowem był w pełni usatysfakcjonowany.

Połów był tak obfity, że z sieci wyjęto tylko największe i najlepsze ryby. 'Resztę wrzucono z powrotem do jeziora, ponieważ odtąd można było liczyć także na innego rodzaju pożywienie.

- Fruwają tutaj liczne kolibry, - oświadczył brat Jaguar -zazwy-czaj kołysząc się nad kwiatami. Co prawda na jesieni i na wiosnę podejmują dalsze podróże, ale lecą tylko przez okolice, gdzie znajdu-ją pożywienie. Poza tymi ptakami są tu zwiet~żęta czworonożne, które rzadko albo wcale nie zaglądną na pustynię i przeważnie przebywają w lasach. Wobec tego należy się spodziewać, że jałow-ą, piaszczystą okolicę mamy za sobą. Jeśli nawet nie od razu trafimy na zalesiony teren, to w każdym razie możemy liczyć na kwitnące i porośnięte trawą łąki. Panowie Morgenstern i Kiesewetter słyszeli, jak nasi wrogowie mówili, że do Jeziora Palmowego dociera się mijając

## 195

źródła Ryb, Pijawek, Krokodyli i Bliźniąt. Należy się więc spodziewać, że wkrótce tam będziemy. Powinni~my zdwoić czujność.

- Dlaczego? - zapytał Geronimo.

- Przecież słyszałeś, że kapitan Pellejo wydał rozkaz, by sprowa-dzono nad Jezioro Palmowe żołnierzy. Może już tam będą, kiedy przyjdziemy. Jeśli nie odkryjemy ich zawczasu, mogą nas niespodzie-wanie napaść, chociaż jestem przekonany, że tam jeszcze nie dotarli.

- Skąd takie wnioski? ,

- Bo mają za daleką drogę.

- Nie sądzę. W każdym razie nie dalszą niż my. Od spotkania nad Źródłem Ryb minęło pięć dni. Wystarczająco dużo czasu, by z Matara, Cachipampa albo Miravilla dotrzeć do okolicy, gdzie według naszych przypuszczeń znajduje się Jezioro Palmowe.

- Słusznie. Ale weź pod uwagę, że nie są to jedyne miejscowości, ~...;;;. skąd należy oczekiwać żołnierzy. W Cruz Grande, a zwłaszcza w Candelaria stacjonują także, tylko że mają znacznie dłuższą drogę do przebycia. ,
- Więc ci może nadejdą później, ale reszta może już tam być.
- Nie, żaden oficer nie wyda takiego rozkazu. Do głowy by kapi-tanowi nie przyszło rozkazać, by jeden oddział czekał na drugi w tak odludnej okolicy, położonej w dodatku blisko granicy wroga. Oczywiście dał rozkaz wymarszu, ale tak, by poszczególne oddziały, które zresztą mogą się składać tylko z nielicznych żołnierzy, w tym samym czasie przybyły na miejsce zbiórki.
- Hm! A więc nie musimy jeszcze się martwić.
- O..., dotąd mówiliśmy tylko o żołnierzach, a tych obawiam się najmniej. Pod nazwą „garnizon” rozumiem coś zupełnie innego niż to, co rozumieją nad Rio Salado. Są tam miejscowości, których załoga liczy nie więcej niż dziesięć, a często tylko pięć osób. Możemy się spodziewać zaledwie trzydziestu ludzi, a z tyłoma na pewno damy sobie radę. Jednak myślę o Indianach. Skąd możemy wiedzieć, czy nie są już nad Jeziorem Palmowym? Jestem przekonany, że czekają na

196 białych, którzy mają dostarczyć im obiecane strzelby. Może nawet wyjadą im naprzeciw, by wcześniej przejąć od nich proch, ołów, noże, topory i strzelby.

- Carlosie, masz rację! Musimy być przygotowani, że lada chwila mogą nas tu odwiedzić. ~
  - W każdym razie musimy liczyć się z taką możliwością. Dlatego rozbiłem nasz obóz na brzegu północnym, chociaż południowy, o ile wiem, byłby o wiele lepszy. Nie wolno nam dziś wieczorem rozpalać ognisk, by nas nie zdradziły. Ryby można upiec już teraz i to na małych ogniskach, które nie dymią tak mocno.
  - A jednak wszystkie te środki ostrożności mogą być daremne, jeśli czerwonoskórzy mimo to tu przybędą i to dlatego właśnie, że źródła położone są po tej stronie. Wszyscy idą tam, gdzie jest woda i do picia.
  - Słusznie. Ale zapomniałem powiedzieć, że tam na drugim brzegu znajduje się o wiele większe źródło. Tam miejsce nosi co prawda nazwę Źródło Bliźniąt, ale tamto jest częściej odwiedzane, bo jest wygodniej położone, a nad jego brzegami rozciągają się łąki, na których może obozować o wiele więcej ludzi niż tutaj.
  - Zgoda, ale musimy przewidzieć wszystko. Tę, po naszej stronie, znajduje się miejsce, gdzie była ukryta broń, a więc czerwonoskórzy na pewno tu przybędą.
  - Nie. Biali ani myślą zdradzić im przedtem; gdzie mają magazyny z bronią i amunicją.
  - 'Iz może masz rację. Ale co to było? Słyszeliście?
- Usłyszeli krótkie, potrójne brzęczenie i w tej samej chwili wszyscy poczuli coś bardzo dziwnego, jakby lekkie drganie, które trwało nie dłużej niż sekundę.
- To aria - oświadczył brat Jaguar, chwytając się za kark i próbując przy tym wykręcić szyję i swobodnie poruszać głową.

Co to jest aria? Nikt nie potrafi dokładnie wyjaśnić. Dzieje się to przeważnie w ten sposób; człowiek siedzi przy szklance wina lub

197

filiżance herbaty, stoi przy tym butelka lub czajnik. Nagle zebranych ogarnia owo krótkie i wcale nie przykre drganie, jednocześnie dzwoni butelka i szklanka, czajnik i filiżanki. Kiedy się na nie spojrzy, okazuje się, że popękały, choć nikt ich nie dotykał. Zwierzętom, które przedtem się pociły, na dłuższy czas sztywnieją członki, również ludzie przez wiele dni mają zeszywniałe karki. Aria, wedle badaczy i podróżników to zjawisko elektryczne. Kto go dozna, zaraz sprawdza, czy może poruszać szyją.

Ale skąd pochodził ten ostry, krótki dźwięk? Zaczęli sprawdzać. f ...:-;.,

Don Parmesan nie oddał butelek, w których trzymał pijawki, lecz włożył je w swojej torbie u siodła. Siodło leżało obok niego, a kiedy otworzył torbę i sięgnął po butelki, okazało się, że popękały. Na szczęście była to jedyna szkoda, jaką aria wyrządziła, bo nikomu nie zeszywniał kark.

Doktor Morgenstern nigdy jeszcze nie słyszał o takim zjawisku i dlatego zaczął wypytywać brata Jaguara. 'In odparł, wzruszając ramionami:

- Niestety nie umiem panu tego wytłumaczyć. Dla mnie sprawa jest również niezrozumiała. Ale wiem z doświadczenia, że aria o tej

porze roku często przynosi ze sobą nagły i ulewny deszcz.

Przy tych słowach spojrział w niebo, które było całkiem jasne i bezchmurne. Nie odczuwało się najmniejszego powiewu, a powierzchnia jeziora była taka spokojna i nieruchoma jak kryształ.

Toraz rozpoczęli czynności niezbędne, by wieczór i noc spędzić bez ognisk. Najedli się do syta, po czym rozciągnęli na trawie, by wypocząć. Niektórzy siedzieli grupami, rozmawiając, a Picaro jak zwykle grał przy tym główną rolę.

Na uboczu siedzieli Anton Enhelhardt z młodym Inką. Obaj znali się dopiero kilka dni, ale od razu bardzo się polubili. Powodem była odmienność ich duchowych, uzupełniających się cech.

Anton był wybuchowy, łatwo się podniecał, był szybki i szczery.

Chętność jego zawsze wyrażała serdeczność i zadowolenie. Peruwiańczyk 198 był z natury cichy, poważny, spokojny i powściągliwy, a melancholia; która cechowała jego młodzieńcze rysy, nie zniknęła ani na chwilę. Zawsze jechali obok siebie, a także na obozowiskach trzymali się razem. Wiele ze sobą rozmawiali. Ale przeważnie mówił Anton. Opowiadał o wszystkim, co posiadał, co wiedział, znał i powoli całkowicie otworzył swoje serce. Haukaropora przeważnie słuchał w milczeniu i tylko od czasu do czasu zadawał krótkie pytanie albo udzielał zwięzłej odpowiedzi, ale kto go obserwował, ten widział, że często jego ciemne głębokie oczy zwracały się przyjaźnie ku młodemu towarzyszowi.

Głównym, wciąż powracającym tematem ich rozmów był brat Jaguar. Anton widział w nim niezrównanego bohatera i pragnął kiedyś stać się podobnym do niego. 'Pdkże Hauka mówił o nim z największym szacunkiem, ale nie mógł niestety zaspokoić ciekawości Antona, który tak chętnie by się czegoś dowiedział o dawnym życiu tego olbrzymiego mężczyzny.

- Ale przecież znałeś go dużo wcześniej - rzekł chłopiec do Hauki - więc chyba możesz coś o nim powiedzieć.

- Nie mogę = odparł Inka. - Kiedy przybywał, rozmawiał z ojcem, a nie ze mną. A kiedy starsze i doświadczone osoby rozmawiają, młodzi muszą trzymać się z daleka. 'Takie jest u nas prawo.

- U was? Do jakiego plemienia należysz?

- Do żadnego.

- Ale przecież musisz do kogoś należeć.

- Moje plemię wyginęło. Żyjemy z kilkoma ubogimi rodzinami wysoko w górach.

- Ale tam nie rosną drzewa ani krzaki. Jak możecie tam żyć?

- Pijemy wodę i jemy mięso dzikich zwierząt, na które polujemy, ryzykując życiem.

- Jesteście więc bohaterami. Opowiedz mi o waszym życiu i czynach. '

- O życiu i czynach moich ziomków? - Hauka przyłożył rękę do

199 czoła i ponuro spoglądał przed siebie, potem ciągnął dalej. - Może... nie... na pewno kiedyś ci o tym opowiem. Ale nie dziś, nie teraz. Przecież przyjdiesz wraz z nami w nasze góry. Wtedy nie tylko usłyszysz, ale i zobaczysz.

Wstał, oddalił się i zniknął wśród drzew. Pytania Antona zabolęły go. Wrócił dopiero wówczas, gdy zapadał zmierzch. Kiedy układano się do snu, wyciągnął się jak zwykle obok Antona. 'In długo się zastanawiał, czym mógł zranić przyjaciela i rozmyślając nad tym zasnął. Nie wiedział,

jak długo spał, kiedy zbudziła go czyjaś ręka, mocno nim potrząsająca. Był to Inka, który szepnął mu do ucha:

- Bądź cicho. Nie odzywaj się. Chciałeś być bohaterem jak brat Jaguar, dam ci do tego okazję. Czy chcesz iść ze mną?
  - Dokąd? .
  - Później się dowiesz. Zostaw broń, weź tylko nóż i bolas. Czołgaj się cicho za mną, ale tak, by nikt nas nie zauważył. Anton zobaczył, że Hauka na czworakaCh czołga się z obozowiska, i posuwał się za nim w taki sam sposób. W ciągu ostatnich nocy świeciły gwiazdy, dziś natomiast niebo było zaciemnione, ponieważ było już po nowiu. Na dole panowała prawie całkowita ciemność, nie widać było nic na dziesięć kroków i nawet jezioro, za dnia tak czyste i jasne, rozpościerało się teraz jak ponura tajemnica. Skradali się powoli i bezszelestnie wzdłuż trzcin, aż Hauka wyprostował się i cicho rzekł:
  - Teraz jesteście poza zasięgiem posterunków i możemy iść wyprostowani. Spójrz uważnie ponad jezioro. Czy coś widzisz?
  - Nie - odparł Anton, daremnie wyteżając wzrok.
  - A może czujesz jakiś zapach?
  - Pakże nie.
  - Anciano i ja żyjemy z kondorami w Kordylierach, dlatego też mamy zmysły orła. Tdm, po tamtej stronie jeziora obozują ludzie.
  - Skąd wiesz?
  - Czuję dym i widzę odblask ognia. Człowiek biały nie widzi tego i nie czuje. Właściwie powinienem to zameldować ludziom doświadczonym, ale ponieważ pragnąłeś dokonać bohaterskiego czynu, więc ich nie zbudziłem.
  - A co chcesz teraz zrobić?
  - Na razie chcę się tam dostać, by sprawdzić, co to za ludzie, co ich tu sprowadziło. Wtedy się okaże, czy mamy po cichu wrócić, czy też, podjąć jakieś działania. Podaj mi rękę, abym mógł cię prowadzić, bo mój wzrok jest ostrzejszy od twojego.
- Poszedł z nim powoli dalej. Nie było to łatwe, gdyż szli pomiędzy drzewami i krzewami. Potem nagle las się skończył. Przed nimi odsłonił się brzeg pozbawiony drzew. Haukaropora zatrzymał się, chwilę się zastanawiał, po czym rzekł:
- Tam jest luka w pasie leśnym otaczającym wodę. Jeśli w nią wejdziemy, znajdziemy się w mroku panującym pod drzewami, co nam będzie utrudniało dalszą drogę. Dlatego sądzę, że będzie lepiej trzymać się prawej strony i iść skrajem tego pasa. Wówczas będziemy mogli poruszać się o wiele szybciej i będziemy mieli nad sobą niebo, wprawdzie ciemne, ale nie tak jak wierzchołki drzew.
  - Nie sądzisz, że pójdziemy za daleko w prawo?
  - Nie za bardzo, ponieważ las nie jest szeroki. Zresztą ci ludzie będą obozować nad źródłem, o którym wspominał brat Jaguar. Jeśli do niego dojdziemy, wystarczy tylko trzymać się jego nurtu, by dojść do celu.
- Poruszali się prędzej niż dojad. Ich obozowisko znajdowało się pośrodku północnego brzegu jeziora. Wkrótce skręcili, a leśna prze-sieka skończyła się i znów były gęste drzewa. Tworzyły ciemne pasmo szerokości około kilkuset kroków. Pozostawili las po lewej stronie i podążyli jego skrajem w kierunku wschodnim. Nie zaszli jeszcze zbyt daleko, gdy zerwał się dość silny wiatr, który wiał im w twarz.
- Usłyszałeś coś? - zapytał Anton młodego Inkę.
  - Tak. Sądzę, że to był dzwonek.
  - Dzwonek? Przecież tu nie ma miasta i kościelnych dzwonów.

- Nie chodzi mi o takie dzwony. Podejdz jeszcze kawałek, to i ty usłyszysz.

Ruszyli dalej. Wkrótce rozległ się metaliczny dźwięk, niesiony przez wiatr.

- Uwaga! - rzekł Anton. - Tb brzmiało zupełnie jak dzwon madriny. „Madrina” to charakterystyczne słowo dla Ameryki Łacińskiej, oznacza klacz, która w stadach albo podczas podróży prowadzi inne zwierzęta. Ma na szyi dzwonek, za którego dźwiękiem podąża reszta zwierząt.

- Tak, to nie może być nic innego, tylko madrina - zgodził się młody Inka.

- Czyżby w Gran Chaco znajdowali się poganiacze mułów?

- Nie, na pewno nie. Przez tę okolicę nie ciągną żadne karawany handlowe. To chyba Indianie.

- Z jakiego szczepu?

- Nie wiem, ale się dowiem.

- Wobec tego ci ludzie są bardzo nieostrożni. Poszczególne ludy są przecież teraz wrogo do siebie nastawione. Nie powinni więc zawieszać zwierzętom dzwonek, aby nie zdradzały ich obecności.

- Ci ludzie widocznie czują się tak pewnie, że nie muszą zachowywać ostrożności. Poza tym muszą wypasać swoje stada, a zatem nie mogą ich przywiązywać. Gdyby nie mieli przy tym żadnej madriny, konie rozbiegłyby się na wszystkie strony.

- Jak to? Przecież nasze konie trzymają się razem.

- I to co innego. Indianin nie hoduje koni, on je rabuje w różnych okolicach, tak że zwierzęta się nie znają, a ponieważ nie są trzymane w stadach, nie mają poczucia wspólnoty. Kiedy więc na wyprawie wojennej spotykają się liczni jeźdźcy, muszą dać swym koniom mądre, bo każdy koni słucha dźwięku dzwonka. I to dla nas duże ułatwienie, bo dźwięk, który usłyszeliśmy, posłuży nam za drogowskaz.

Inka miał rację, im dalej się posuwali, tym wyraźniejszy był dźwięk

dzwonka. Wkrótce musieli zwolnić kroku, ponieważ dźwięk dobiegał z bardzo bliska. Jednocześnie po prawej stronie nakały się pnie drzew, a za nimi płonęły liczne ogniska.

-Popatrz, jak łatwo znaleźliśmy to obozowisko- szepnął Hauka.

- Przed nami dokoła lasu eiągnie się pas traw, a na nim pasą się konie. Na lewo od nas pas ten wdziera się w las i tworzy otwartą przestrzeń, gdzie znajduje się źródło. Przed sobą mamy więc konie, a za drzewami jeźdźców.

- Czy musimy iść w tym właśnie kierunku?
- 'I-k, ale nie od razu. Musimy być ostrożni, najpierw sprawdź, czy koni ktoś pilnuje. Poczeka tutaj, zaraz wrócę. Poczłogał się dalej i Anton został sam chyba przez ponad kwadrans. Nie obawiał się jednak o Inkę, bo z biegiem czasu przekonał się jaki to dzielny chłopak. Inka wyłonił się z mroku i szepnął:
- Nie ma tam ani jednego strażnika, Konie były tak oswojone, że
- ;
- pozwały się głaskać. Poruszały się swobodnie po trawie i tylko madrina miała przednie nogi lekko skrępowane, aby nie mogła sta-wiać zbyt dużych kroków.
- Ile tam jest koni?
- Bardzo,dużo... Zauważyłem, że wszystkie miały głowy zwrócone do madryny i bardzo się z tego ucieszyłem.
- Dlaczego?
- Bo to oznacza, że wszystkie za nią pójda, a jeśli to są wrogowie, czyli Abiponi, to zabiorę im konie. ,
- Mówisz to poważnie? 'Iyle zwierząt my dwaj nie zdołamy zabrać; to niemożliwe!
- Czemu nie? Jeśli zabierzemy madrinę, wszystkie inne podążą za nią.
- Ale Indianie usłyszą, że dźwięk dzwonka się oddala.
- Kiedy się śpi, nic się nie słyszy, a jestem przekonany, że oni śpią.
- No tak, ale na pewno wystawili posterunki.
- Chyba tak, ale ponieważ czują się tu bezpieczni, jest ich zapewne

## 203

niewiele. Postaramy się to sprawdzić. Chodź i trzymaj się tuż za mną!

Musimy się czołgać, by nas nie zauważono.

Położyli się na ziemi i posuwali z największą ostrożnością; tak; by dotrzeć do wspomnianych drzew. Kiedy się tam doczołgali, znaleźli się bardzo blisko skraju przesieli leśnej, gdzie jak sądził Inka było obozowisko. Prześwit nie był szeroki, a ogniska świeciły od jednego końca do drugiego. Widać było dokładnie całe obozowisko. Obaj młodzieńcy leżeli tuż za drzewami i obserwowali, co się tam działo.

Obozowisko rozbiła bardzo liczna grupa Indian. Tam, gdzie prze-świt otwierał się na wolną przestrzeń, tryskało z ziemi źródło, z którego płynęła woda do jeziora. Po obu stronach nurtu płonęło osiem ognisk, wokół których krzątało się około osiemdziesięciu czer-wonoskórych. Zajęci byli wyszukiwaniem sobie najdogodniejszych miejsc do spania. Pomiędzy dwoma ogniskami, palącymi się po tej stronie wody, leżało sześciu ludzi, którzy, jak się wydawało, byli związani. Pięciu z nich było ubranych jak Indianie, natomiast szósty, sądząc po odzieży, był biały. Ponieważ leżeli głowami w kierunku Inki i Antona; ci nie mogli rozpoznać ich twarzy.

Grupa była uzbrojona w broń indiańską. Łuki i kołczany powiesili na wbitych w ziemię oszczepach. Mieli rbnwiez rurki do wydmuchi-wana strzał, które jeśli były zatrute, powodowały natychmiastową śmierć. Pod jednym drzewem stał Indianin, któryjako jedyny posiadał strzelbę, leżała obok niego na poncho. Prawdopodobnie był to wódz, ponieważ wydawał rozkazy, które natychmiast wykonywano. Pqslugi-wał się przy tym śpiewŚmą mową. Anton nie rozumiał z tego ani słowa, zapytał więc cicho towarzysza: .

- Jakim językiem on mówi? Tb nie jest keczua ani nic innego, co

iy:.l.

4:'''':It;       rozumiem.

k.n:.,.,.,.,.

-To dialekt abipoiński. Rozumiem go do~ć dobrze, ich przywódca , mówi, jak mają obozować. Właśnie rozkazał, aby w nocy pilnowali na trzy zmiany. Każda warta ma się składać z dwóch osób, jedna ma pilnować koni, druga więźniów.

204

- A więc to jednak więźniowie. Kim mogą być?
  - Poczekaj. Prawdopodobnie się dowiemy. Nie znam tego wodza, ale ponieważ należy do Abiponów jest więc naszym wrogiem.
  - Z tego wniosek, że więźniowie to nasi przyjaciele.
  - Tak, bo kto jest przeciwko nim, jest z nami.
  - Gdybyśmy mogli ich uwolnić! Czy sądzisz, że to możliwe?
- Inka czekał chwilę, zamyślony obrzucił szybkim spojrzeniem teren,

po czym odpowiedział:

- Myślę, że to tnożliwe i jestem gotów spróbować. Co ty na to?
- Zgoda! -Anton niemal wykrzyknął z radości i dodał ciszej: - Ale jak się do tego zabierzemy? Jest nas tylko dwóch. Nie mamy ze . sobą nawet strzelb.
- 'Ij~lko by nam przeszkadzały. Słyszałeś, jak brat Jaguar często powtarza, że przemyślność jest przeważnie skuteczniejsza niż gwałt. Będziemy działać zgodnie z tą zasadą.
- Tak! Jestem gotów! Tylko jak?
- Poczekaj! Przede wszystkim Abiponi muszą zasnąć, do tego czasu nic nie da się zrobić. Potem się dowiemy, czy posterunki są bardzo czujne i czy ogniska zostaną zgaszone, czy nie. T~raz wódz przeszedł przez źródło, by osobiście zajrzeć do więźniów. Wygrażał im i kopał. W obronie zmieniali pozycje. Teraz można było rozpoznać jednego z nich. To nie był Indianin, tylko biały. Drugi poderwał się, by ująć przed kopniakiem. Przez chwilę był zwrbcony na bok, i to wystarczyło bystrookiemu Ince. Poznał go i szepnął do Antona:
- To był wódz szczepu Camba; którego biali nazywają 'liearda Czaszka, Cranco-duro. Słyszałeś już o nim?
- Nie.
- Nazwano go tak, ponieważ pewnego razu dostał kolbą w głowę osiem czy dziesięć razy i przeżył. Gdy wrogowie, którzy uznali go za martwego, odeszli, potarł sobie tylko głowę i skradając się, ruszył za nimi, by się zemścić. Byli to Abiponi, którzy później zginęli z jego 205 ręki.
- Tó twój znajomy?
- Nawet przyjaciel. Bywaliśmy u niego, a on często nas odwiedzał. Całe szczęście, że z naszego obozu dostrzegłem te ogniska i poczułem dym. Jestem gotów zaryzykować życie, by go uwolnić.
- Ja także! - szepnął Anton z przejęciem. - Powiedz tylko, co mam robić.
- Na razie nie masz nic innego do roboty niż być cicho i tak się ukryć za drzewami, by odbłask ognia nie padł na ciebie. Abiponi ułożyli się dokoła ogniska z nogami skierowanymi w ich stronę. Owinęli się w poncha, niektórzy mieli nawet po dwie sztuki. Wódz wrócił przez źródło i położył się w ten sam sposób. Wszyscy z wyjątkiem strażników ułożyli się. Jeden z nich poszedł do koni, a drugi powoli zaczął spacerować. Z powodu chłodnego wiatru otulił się w dwa koce. Jeden owinął sobie dokoła bioder, drugim osłonił głowę tak, że było widać tylko oczy. Przez pierwsze pół godziny strażnik kilkakrotnie podchodził do więźniów, by się przekonać, czy zasnęli. Las nie osłaniał dobrze obozu przed wiatrem, który dmuchał niekiedy tak mocno na ognisko, że iskry padały na koce śpiących ludzi. By ich nie poparzyło, strażnik chodził od ogniska do ogniska i zsuwał palące się gałęzie, tak, by płomień był jak najmniejszy. Nie dokładał do ognisk, więc należało sądzić, że wkrótce wygasną. Tylko do jednego, obok którego leżeli więźniowie, dołożył trochę gałęzi, by móc dalej pełnić swoją służbę. Minęła jeszcze godzina, odkąd czerwonoskórzy ułożyli się do snu. Antonowi tak doskwierało milczenie, że szepnął do

swego towarzysza, który przez cały czas nie uczynił najmniejszego ruchu. = Sądzę, że oni mocno śpią i nie powinniśmy dłużej czekać. Pomyśl, jak nasi będą się niepokoić, kiedy spostrzegą, że nas nie ma.

- 'Tylko na początku - odparł Inka - potem mój Anciano, który wie, jak jestem ostrożny, uspokoi ich. Ale zgadzam się z tobą, musimy działać. 'I~raz zwabię tutaj strażnika.

- Jak to zrobisz?

- Zaraz usłyszysz. Uważaj, czy któryś ze śpiących się nie poruszy, kiedy dam znać o sobie! Jeśli to, co planuję, ma się udać, nikt nie powinien się obudzić.

Przyłożył obie ręce do ust, wydał cichy skrzek, podobny chyba do skrzeku papugi, której zakłócono sen.

Nikt ze śpiących się nie poruszył ale strażnik przystanął, nasłuchując, skąd pochodzi ten dźwięk.

- Popatrz, nasłuchuje! - szepnął Inka. - Prawdopodobnie tu przyjdzie. Nie zauważyłeś, czy któryś ze śpiących się obudził?

- Nie.

- Ja także nie. Poczłógał się jeszcze kawałek i położył płasko na ziemi, bo inaczej zobaczy cię strażnik kiedy tu podeszł. Anton usłuchał, Inka zaś po raz drugi zaskrzeczał. Strażnik się zbliżył. Za trzecim razem wszedł pod drzewa, a kiedy skrzeczenie się powtórzyło; pochylił się i zaczął się skradać ostrożnie z oczami utk-wionymi w punkt, skąd dobiegały dźwięki. Inka ujął swoją ciężką maczugę i zaskrzeczał raz jeszcze, a kiedy strażnik prawie doszedł do pnia, za którym się znajdował, błyskawicznie wyskoczył..., jedno uderzenie i Indianin padł, by więcej się nie podnieść.

- O Boże, zabiłeś go! - szepnął Anton, przybiegając.

- Prawdopodobnie nie żyje, ale bardzo możliwe, że jest inaczej.

Pozostań przy nim. Jeśli się ocknie, zanim wrócę, pchnij go nożem w serce. Chyba masz odwagę to zrobić?

- W walce tak. Ale bezbronnego...

- Prowadzimy walkę, a kiedy on się ocknie, nie będzie bezbronny.

Jego głos stanie się dla nas najniebezpieczniejszą bronią. 'I~adam, abyś mnie słuchał!

Na ogół milczący Inka był podczas tej wyprawy niezwykle rozmowny, wciąż pouczał swego młodego towarzysza. 'I~raz pokazał się z jeszcze innej strony. Wystąpił jako dowódca i chociaż mówił cicho, to 207 jednak głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Szybko wzięli oba poncha, które wartownik miał na sobie i owinał się nimi w taki sam sposób jak tamten. Potem powoli wyszedł spod drzew i tak jak przedtem strażnik, zaczął chodzić po obozowisku. Kto~, kto nie wiedział, co zaszło, musiał brać go za wartownika.

Anton pozostał z wyciągniętym nożem przy Indianinie i obserwował to jęgp, to swego odważnego przyjaciela, którego zachowanie nie od razu pojął.

Haukaropora przez jakiś czas naśladował wartownika, potem ostrożnie zadkładał się od jednego ogniska do drugiego nie po to, by je podsycać, lecz by obserwować śpiących. Nikt się nie obudził. Wtedy Inka udał się do więźniów i przykucnął przy nich. Nie spali, bo w tej pozycji nie mogli zasnąć.

Oczwście sądzili, że to Indianin, który ich pilnował, ponieważ miał poncho owinięte dokoła głowy, tak że widać było tylko oczy. Ze względu na białego Hauka musiał mówić po hiszpańsku. Uchylił nieco ~ poncho, ale tak, by nie było widać twarzy, i odezwał się półgłosem:

- El Craneo duro jest smutny. Ale wkrótce będzie wesoły. Jeśli mi teraz będzie odpowiadał, niech mówi po cichu.



Wódz leżał odwrócony od niego plecami. Teraz spojrzął na niego i odparł po cichu, jak mu nakazano:

- Kto mówi? Czy szydzisz sobie ze mnie, udając przyjaciela?

- To nie szyderstwo. Nie mów nic, bo każdy dźwięk może mnie i was zdradzić. Jestem tutaj po to, by was uratować.

- Ty, Abipon?

- Nie jestem Abiponem, nazywam się Haukaropora i jestem synem twojego przyjaciela Anciana.

- Ty jesteś Haukaropora?...

Na dźwięk tego imienia wódz aż zaniemówił.

- ;'Tak, to ja - ciągnął młodzieniec. - Przekonaj się!

Uchylił poncho, tak że ukazała się jego twarz. Biały obserwował

bez ruchu to, co się działo. Indianie Camba poznali Inkę, który szybko znów zasłonił twarz. Zachowywali się cicho, ale ruchy ich związanych ciał zdradzały, jak radośnie są zaskoczeni.

- Poznaliście~mnie? - zapytał Inka.

- Tak... - wykrztusił wódz - jesteś synem mojego przyjaciela i sam jesteś naszym przyjacielem.

Zdarzył się wielki cud. Skąd się wzięłeś wśród Abiponów? Dotąd cię nie spostrzegłem.

- Nie należę do nich i nie byłem z nimi. Jestem dopiero od niedawna w lesie, by obserwować naszego wroga. Obozuję z Ancianem, bratem Jaguarem i przeszło dwudziestoma innymi białymi po tamtej stronie jeziora. Spostrzegłem wasze ogniska, więc się przyczoiłem-gałem tutaj z moim przyjacielem, by sprawdzić, kto rozpałił ogniska. Zobaczyłem Abiponów, poznałem ciebie i postanowiłem was uwolnić.

- Co za odwaga! A gdzie jest nasz strażnik?

- Leży pod drzewami. Owinąłem się jego kocami, by wzięto mnie za niego.

- Co za mądrość, co za przebiegłość. Przetnij nasze więzy, szybko!

- Przetnę je. Ale leżcie dalej tak jak dotąd.

Wyciągnął nóż i uwolnił ich z więzów w taki sposób, że Abipon, który by się w tej chwili obudził, nie zauważyłby, co się stało. Po czym mówił dalej:

- Ogniska gasną i tylko to jedno jeszcze się pali. Nie widzimy dokładnie naszych wrogów, ale oni mogą nas obserwować. Dlatego musimy zachować ostrożność. Tl;raz wstanę i znów będę chodził wokół, zajrzę także do śpiących. Jeśli stwierdzę, że żaden się nie obudził, cicho zakaszlę, a wy podejdziecie jeden za drugim do miejsca, gdzie się znajduję. Pam pod drzewami czeka mój przyjaciel~Antonio. Gdy dotrzemy do niego, pójdziemy po konie.

- Czy nie ma tam wartownika? - zapytał wódz.

- Owszem, jest jeden.

- Tego się nie obawiamy. Nie mam co prawda broni, ale zadam mu cios ręką. 209

- Tb pozostaw mnie.

- Nie! Chcę was uwolnić sam, bez waszego udziału. Otrzymacie broń. Jest tu dość oszczepów, łuków i strzał. Wtedy po raz pierwszy odezwał się biały.

- Co mi po łuku i strzałach! Pragnę odzyskać mój karabin, mój dobry karabin.

- Gdzie on jest?

- Wódz ma go przy sobie. Odebrał mi. Pójdę po niego.

- Nie znam cię i nie wiem, czy potrafisz być dość ostrożny. Sam po niego pójdę.

- Nie powinieneś się zwracać po imieniu do tego pana, - rzekł 'Iearda Czaszka -bo on jest oficerem, a jeśli idzie o życie w dżungli, to ma doświadczenie i potrafi sam odzyskać swój karabin.

- I naboje - uzupełnił biały, zgrzytając zębami. - 'I; n lotr odebrał mi także zegarek i kompas. Nie będzie miał z nich pożytku. Jego sen będzie bardzo długi! Odważył się kopać oficera! Inka z powrotem ukrył swój nóż, wstał i zaczął znów chodzić tam i z powrotem. Po pewnym czasie,

podchodząc po kolei do ognisk, przekonał się, że wszyscy śpią. Podeszedł także do wodza. 'In chrapał, przyciskając do siebie karabin razem z którym owinięty był w poncho. Inka udał się na drugą stronę, stanął na skraju przesieki i dał znak, na który przyczołgał się najpierw Tiwarda Czaszka, potem jego czterej Camba, wreszcie oficer. Inka wskazał tkwiące w ziemi oszczepy i rzekł do białego oficera, gdy Camba pospieszyli, by zabrać broń.

- Wódz owinał się w poncho razem z karabinem.

- Zabiorę go, nie będę pytał o pozwolenie.

Przesunął się bezszelestnie, a jednocześnie błyskawicznie przez plac. Widać było, jak rzucił się na wodza i przez chwilę na nim leżał. Nie rozległ się ani dźwięk. Potem wstał równie-zręcznie i wrócił z karabinem w ręce.

- Odebrałem wszystko, co mi zrabował! - rzekł gniewnie. - Karabin, nóż, zegarek, amunicję, wszystko. Tę człowieka już nigdy nie kopnie oficera. Ale co dalej? Dokąd teraz?

Inka szedł przodem pod drzewa do Antona. Powalony Abipon dotąd się nie poruszył. Pozostawili go. Zawrócili tam, skąd Hauka i Anton przyszedli, aż usłyszeli dzwonek mad~żny. Wtedy Inka się zatrzymał i rzekł:

- Poczekajcie tutaj, aż unieszkodliwię drugiego strażnika.

- Nie ty! 1b należy do mnie - odparł 'Iiwarda Czaszka.

- Nie, do mnie - wtrącił się oficer. - Te łotry zamierzały mnie jutro utopić w jeziorze. 'I~raz mogą tam wrzuci~ trupa swego wodza, a str.~ażnika koni także im dostarczę.

Hauka nie chciał się na to zgodzić, ale ten gniewny mężczyzna, mówiąc ostatnie słowa, już się oddalił. Reszta czekała i nasłuchiwała. Panowała cisza. Po niespełna dwóch minutach oficer zjawił się i oSwiadczył:

- W porządku; chłopak ani pisnął. 'h;raz weźmiemy konie, po jednym dla każdego. ~

- Nie - odparł Inka. - Weźmiemy wszystkie.

- Wszystkie? Jak to zrobimy?

- Przecież jest tam madrina, óne pójdą za nią.

- Que pensamiento! Tb prawda. Ten chłopak ma głowę nie od parady. A więc po taniej stronie jeziora obozuje brat Jaguar. Znaj-dziecie go?

-Tak - odparł Inka.

- Więc wsiądź na madrinę, by jechać przodem, a my pogonimy za tobą całe stado.

Oficer mówił tonem szorstkim i władcym, co mogło razić. Hauka przyjął jego słowa w milczeniu, odszukał madrinę, zdjął jej ramię z przednich nóg, wsiadł i powoli ruszył przodem. Gdy inne konie spostrzegły, że ich przewodniczka ruszyła, zaraz poszły za nią. Oficer i pięciu Camba skoczyli na ostatnie konie, by poganiać stado. Anton natomiast, który oczywiście także wsiadł na konia, trzymał się na 211 przedzie, obok Inki. Nie spodobał mu się oficer. W ten sposób mogli okrążyć połowę jeziora, ale nie mogli przedostać się przez gąszcz leśny, przez który obaj młodzieńcy z trudem się przedtem, przeczol-gali. Przy panujących ciemnościach gąszcz ten był dla koni nie do przebycia, postanowili go okrążyć, bo tylko w ten sposób można było dotrze~ do obozowiska.

Nie było tam tak spokojnie jak wówczas, gdy Hauka i Anton je opuszczali. Brat Jaguar kazał co godzinę zmieniać posterunki, a miał taki zwyczaj; że kiedy się budził, szedł sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. 'Idk też było i teraz. Pęknięcie butelki ostrzegło go przed nagłą zmianą pogody, a kiedy się kładł spać, niebo już było zachmu-rzone. Obudził go niepokój i poczuł, że zerwał się dziwnie ostry wiatr. Doświadczenie mówiło mu, że nadciąga orkan połączony z opadami deszczu, które w Gran Chaco są tak silne; że mogą człowieka zwalić z nóg. Co należało zrobić? 'Iitaj, pod drzewami, które ściągają pio-runy i podczas burzy mogą się zwalić, nie należało pozostawać. Ale przebywanie podczas nawalnicy na pustej łące lub na pustyni również było niebezpieczne. Brat Jaguar zbudził śpiących, by się z nimi nara-dzić. Okazało się przy tym, że nie

ma Inki i Antona. Wołano ich, ale nie przyszli i nie odpowiadali. Antona powierzono opiece brata Jaguara, nic więc dziwnego, że ogromnie zaniepokoił się jego niezrozumiałym zniknięciem. Snuto różne przypuszczenia, wreszcie brat Jaguar wpadł na śluszny pomysł, by za pomocą ognia szukać śladu chłopców. Wiedziano przecież, gdzie leżeli. Smolista gałąź poszłyła za pochodnię. Przy jej świetle ujrzano, że obaj chłopcy w tajemnicy wymknęli się do lasu. Pochodnia zgasła, a brata Jaguara, Geronima i Anciana, którzy wszczęli poszukiwania, ogarnęła ciemność. Kilkakrotnie wołali w głąb lasu, ale bezskutecznie.

- Co za nieostrożność - rzekł brat Jaguar niemal gniewnie. - Kiedy tu przybyliśmy, ostrzegałem, że mogą tu być jaguary. Co będzie, jeśli wpadną w jego szpony? Pozostawili tutaj strzelby, więc nie mogą strzelać.
  - 212
  - Nieostrożność? - rzekł Anciano. - Hauka jest ostrożny. On zawsze wie, co robi. A że nie zabrał ze sobą broni, dowodzi tylko, że uznał ją za zbyteczną.
  - Podczas takiej nocy broń nigdy nie jest zbyteczna - rzekł Geronimo.
  - Ale niewygodna - przerwał mu Anciano. - Przeszkadza podczas chodzenia w lesie, podczas czołgania się w pobliżu wroga, podczas...
  - Podczas czołgania się w pobliżu wroga? - przerwał mu brat Jaguar. - No, tak! Ci zuchwali chłopcy chcą przeżyć przygodę, którą mogą przypłacić życiem. Musimy natychmiast wyruszyć, by temu zapobiec.
  - Przypłacić życiem? Dlaczego? Jak pan sądzi, gdzie oni są?
  - Nie sądzę, ale wiem! Spójrzcie na prawo poprzez jezioro. Widać tam blask ogniska. Chłopcy je zobaczyli i w swej młodzieńczej porywczowości poczołgali się, by postąpić tak, jak powinni postąpić mężczyźni.
  - Tak, rzeczywiście tam pali się ogień - przyznał Anciano. - Całkiem możliwe, że oni tam poszli. Ale jeśli tak jest, to nie powinniśmy się niepokoić. Mój Hauka jest niezwykle ostrożny. Mogę całkownie na nim polegać.
  - Ja co prawda też o tym wiem. Jest doświadczony i ostrożniejszy niż nie jeden dorosły mężczyzna, ale dziś zabrał ze sobą Antona, za którego życie odpowiadamy i...
- Urwał. Podczas tej rozmowy wrócili znów do obozowiska i właśnie niedaleko rozległ się tupot końskich kopyt. Potem ujrzeni dwie postaci, które wyłoniły się z ciemności i szybkimi krokami zbliżyły do ogniska. Byli to obaj poszukiwani.
- Szukał nas pan? Oto jesteśmy! - zawołał Anton z roześmianą twarzą do brata Jaguara, podczas gdy Inka w milczeniu podszedł do swego Anciana, jak gdyby wcale nie zamierzał uznać się za głównego sprawcę ostatnich wydarzeń.
  - Dzięki Bogu, że jesteście! Ale gdzie byliście?

## 213

- U Abiponów.
  - U Abi... Więc tam są Abiponi?
  - Tak.
  - I odważyliście się bez mojego pozwolenia...
  - Uwolnić sześciu więźniów i przyprowadzić całe stado koni - wtrącił jakiś głos.
- Brat Jaguar odwrócił się i ujrzał mówiącego, który także teraz podszedł. Cofnął się o krok i zawołał lekko marszcząc czoło:
- Ty pan, poruczniku Verano? Jak pan się dostał nad Gródło Bliźniat?
- Tak jak wszędzie dotąd się dostawałem, pieszo albo w siodle, senior.
  - Wie pan; że oczekiwałem innej odpowiedzi, a dokąd się pan stąd udaje?

- Znów do Abiponów, by ich ukarać. Oczywiście będzie mi pan towarzyszył ze swoimi ludźmi. Żaden z tych zbirów nie powinien zostać przy życiu.

## F

- Uważa pan za oczywiste, że będę panu towarzyszył? Bo ja nie.

- Przecież to zrozumiałe, że musi mi pan pomóc.

- Zrozumiałe? Muszę? Oświadczam panu, że ja nigdy niczego nie muszę. Ale kogo tu jeszcze mamy?

‘I~warz brata Jaguara rozchmurzyła się. Zobaczył, że nadchodzi

, . ‘Iiwarda Czaszka, który zbliżając się, podał mu rękę i odparł z respektem:

- To ja, senior. Nie muszę panu mówić, jak się cieszę, widząc pana.

Ponieważ pan tu jest, nie musimy się już obawiać.

## F,,,’L’.:’

- Czego, lub kogo?

- Abiponów, którzy przygotowują się do natarcia na nas ze wszy-stkich stron. ‘I~n senior, ja i czterech moich ludzi, którzy znajdują się teraz pod lasem przy zdobycznych koniach, wpadliśmy dziś rano w ich ręce. Zawlekli nas nad Źródło Bliźniąt, by jutro utopić w jeziorze. Haukaropora i ten drugi chłopiec nas uratowali.

## 214

- Ci dwaj? Jak to...

Urwał, gdyż zobaczył, że na ciemnym niebie na południu pojawiła się jakby chmura o dziwnym siarkowym zabarwieniu. Potem pospiesznie ciągnął dalej:

- Ilu jest tych Abiponów?

- Siedem albo osiem razy po dziesięciu - odparł wódz. - I właśnie tyle kóni przyprowadziliśmy ze sobą, bo zabraliśmy wszy-stkie. Pobiegły za madriną.

-To przygoda, o której najchętniej posłuchałbym dokładniej, ale nie mamy na to czasu. Wodzu, czy widzisz tam na południu to żółte pasmo? Wiesz, co ono oznacza?

- Już od dawna je widzę, senior - odparł zapytany. - Zbliża się huragan, który łamie lasy i ciska duże kule ognia z nieba. Także konie to czują, są niespokojne i nie chcą stać w miejscu.

- Tak, jesteśmy w niebezpieczeństwie. Jeśli tutaj zostaniemy, to mogą nas zmiążyć drzewa, jeśli odejdziemy, orkan potoczy nas jak ziarenka piasku po ziemi. Nie znam tej okolicy. Za dwie godziny zerwie się burza. Musimy się szybko zdecydować.

- Ja znam tę okolicę, senior. Wyruszyxny i jeśli się pospieszymy, to przed nawałnicą znajdziemy się w bezpiecznym miejscu.

- Gdzie możemy się schronić?

- W Asiento de la mortandad, w Osiedlu Wymordowanych.

- Co za okropna nazwa! Nigdy jej nie słyzałem, ponieważ nigdy w tej okolicy nie zapuszczałem się dalej niż do Źródła Bliźniąt. Ale o tym później. Sądziš więc, że zdążymy przed burzą do tego osiedla?

-Tak.

- Ale czy znajdziesz je w tych ciemnościach?

- Nie zabłądzimy, senior. Przecież pan dobrze wie, że te ciemności nie potrwają już długo. Niebo zapłonie ogniem.

- Tb prawda. A więc przygotujmy się szybko do wymarszu. Uważajcie szczególnie na strzelby, aby im się nic nie stało.

Po tych słowach brat Jaguar poprosił, aby ‘Iiwarda Czaszka

zaprowadził go do uprowadzonych koni, które Camba z trudem mogli utrzymać w ryzach, ponieważ czuły zbliżającą się nawałnicę. Zdobyć tylu koni jak się później okazało, przechyliło szalę zwycięstwa na ich korzyść. W tej jednak chwili brat Jaguar uznał to za wielce niedogodne.

Konie były co prawda ujarzmione, ale nie osiodłane. Nie można więc było obciążyć ich sprzętem, toteż brat Jaguar zarządził:

- Weźmiemy je ze sobą, ale nie będziemy się nimi zajmowali. Jeśli dobrowolnie pójdą za nami, to dobrze, jeśli nie, to niech robią, co chcą.

Sześć z nich dosiedli Camba i porucznik Verano. Wyrazili oni ponadto gotowość wzięcia jeszcze po dwa konie na cugle. Gdy poru-cznik ujrzał strzelby, które ludzie brata Jaguara załadowali, zapytał, skąd je mają.

- Wykopaliśmy je - odparł Geronimo.

- Gdzie?

- Po drodze, w różnych miejscach.

- Tiempo tonitroso! 'R~ są te, których szukam! Konfiskuję je.

- Z jakiego powodu?

- Należą do nas. Zostały skradzione z arsenału.

- DQprawdy? Brzmi to jak bajeczka dla dzieci. Niech pan ją opowie bratu Jaguarowi, on udzieli panu właściwej odpowiedzi.

- Czyżby nie dawał pan wiary moim słowom, senior? Ale teraz mamy co innego do roboty.

Niech pan posłucha! Wskazał na jezioro. Rozlegały się tam dziwne ryki. Abiponi odkryli trupy, a także brak koni i więźniów. Brat Jaguar nie zważał na to, bo niebezpieczeństwo było blisko. Rozpoczęła się nocna jazda z pięcio-ma Camba na czele.

Przywódcy trzymali się dokładnie kierunku północnego, gdzie jak

\*

~ sądził brat Jaguar, ciągnęła się rozległa pustynia. Niejechali galopem, tylko kłusem i nie musieli się zajmować pozostałymi kofimi Abiponów, bo dobrowolnie podążały za nimi. Instykt podpowiadał im, że

yEy' . :

216 nawałnica nadciąga z południa, a więc ratunku należy szuka~ na północy.

Kiedy po upływie pół godziny zwolnili trochę tempo, by nie zmęczy~ zbyt koni, żółtawe pasmo na południowej stronie nieba znacznie się rozszerzyło tak, że nocny mrok nie był już taki gęsty jak przedtem. Po upływie dalszej pół godziny żółte pasmo rozszerzyło się na cały południowy horyzont i tworzyło teraz trójkąt; którego wierzchołek znajdował się w zenicie. W środku trójkąta ukazała się ciemna plama. Trójkąt był tak jasny, że na dole powstał półmrok, przy którym widać było na odległość kilkuset kroków.

- To jest ta dziura, z której nadejdzie orkan - rzekł brat Jaguar do doktora Morgensterna, wskazując na tę plamę.

- Czy to będzie niebezpieczne?

- Nie wiem, czy dla nas, ale na pewno wyrządzi szkody. Taka nawałnica spiętrza fale na ogromną wysokość, wyrwa drzewa z korzeniami i przewraca najmocniejsze domy.

- I my mamy schronić się przed nią w jakimś osiedlu, a więc w domach? Boże, zlituj się nad nami! Domy te zawał się nam na głowy i pod ich gruzami znajdziemy nieuchronny koniec, po łacinie exitium.

- Właściwie należałoby się nad tym zastanowić. Ale ja polegam na wodzu, który zna warunki w tym osiedlu.

- Co nam pomogą warunki, jeśli huragan wywróci domy do góry nogami - rzekł Fritz. - Ja już mam za sobą niejedno pampero, ale taki huragan to podobno coś całkiem innego. W tej chwili nie dałbym za swoje życie nawet złamanego grosza. Niech pan popatrzy na niebo. Czy to można jeszcze nazwać niebem? Nie, to wygląda jak prawdziwe piekło. Nie ma co mówić, piękny firmament, ale kiedy zaciąga się miedzią i siarką, to strach człowieka oblatuje. Nie mam też zaufania do tego osiedla. Osiedle Wymordowanych! Czego można się po nim spodziewać? W panującym półmroku widać było, że jechali po terenie porośniętym niską trawą, a tu i ówdzie wyrastały małe pagórki. Potem 217 pagórki stawały się coraz liczniejsze i wyższe. Miały przeważnie kształt z lekka zaokrąglony, ale na niektórych wznosiły się ostre skały.

-Tb mnie uspokaja-rzekł bart Jaguar.-Najlepsze schronienie możemy znaleźć po północnej stronie stromej skały. A, że każdy, kto się tu osiedla, musi się liczyć z warunkami jakie panują w tej okolicy, a więc i z niszczącymi nawałnicami, to należy się spodziewać, że schronienie, do którego zmierzamy, położone jest na takim zabezpieczonym terenie.

Wkrótce okazało się, że jego przypuszczenia były słuszne. Pomiedzy pagórkami dotarli do szerokiej doliny otoczonej od południa stromą wysoką skałą, a od północy łagodnie zaiesionymi wzgórzami. Na dnie doliny rosły niskie krzaki i obfita trawa, w pobliżu skał znajdowało się sześć domów, które kiedyś tworzyły osiedle. W Gran Chaco było dawniej dużo takich osiedli. Dziś jeszcze można natrafić na ich ruiny. Biali przybywali do krainy czerwonoskórych, tu się osiedlali i zachowywali jak legalni właściciele, ani myśląc o zapłacie czyjakimkolwiek odszkodowaniu. Wybierali sobie najlepsze i najbar-dziej żyzne miejsca, zabijali każdego czerwonoskórego, który się odważył zakwestionować ich samowolę. Ale ponieważ nie przybywały dalsze grupy białych, osadnicy byli zbyt słabi, by stawić opór coraz liczniejszym Indianom, więc albo zawężasu się wycofywali, albo zo-stali wymordowani, jeśli zbyt uparcie trzymali się ziemi. Ziemia zdziczała, wiatr nawiewał nasiona na budynki, wyrastały na nich krze-wy i drzewa. Pnącze czepiało się ścian i dachów, przykrywając je warstwą butwiejących liści.

Lecz Osiedle Wymordowanych nie wyglądało na ruinę. Zachowało się całkiem nieźle. Ściany domów zbudowane były z mocnych pni wpuszczonych głęboko w ziemię, dachy pokryte były grubą warstwą trzciny przymocowanej mocnymi sznurami z łyka. Zarówno sznury, jak i trzcina stawiały nawałnicom opór i nawet najdzikszy orkan nie mógł ich uszkodzić. Ściany z desek wykazywały również dużą odpo-rność. Były;co prawda całe porośnięte pnączem i innymi roślinami, 218 aie nie zostały naruszone, przeciwnie, roślinność utworzyła na nich grubą warstwę ochronną, przez którą nie przenikał ani wiatr, ani deszcz. Wokół domów rosły krzaki, z których wystrzelały wiekowe drzewa.

Gdy jeźdźcy skręcili za skały i ujrzeli te szare domy”wódz Camba zawołał:

- Jesteśmy na miejscu! Puście konie wolno, a sami skryjcie się szybko pod dachy. W środku huragan nic nam nie zrobi.

- Nie, tak nie można = rzekł brat Jaguar. - Nie możemy puścić koni, uciekną podczas huraganu. Muszą razem z nami wejść do domów, które należy przedtem oczyścić~.

- Z czego? - zapytał porucznik Verano.

- Nie wie pan z czego? No to zaraz pan zobaczy.

Wezwał na tyły każdego budynku po kilku swoich ludzi i kazał im tam krzyczeć, hałasować oraz oddać kilka strzałów. Gdy wykonali ten rozkaz, zrozumiano, co brat Jaguar miał na myśli, mówiąc o oczysz-czeniu. Było dość jasno i dało się rozpoznać rozmaite stworzenia, które zostały spłoszone krzykiem i strzałami, a teraz wyskakiwały na zewnątrz. Była wśród nich nawet puma.

-‘I~raz są tam najwyżej jeszcze węże, których należy się wystrze-gać - rzekł przezorny przywódca.

- Zapędźcie najpierw konie do czterech najbliższych domów. W dwóch pozostałych schronimy się sami. Potem trzeba nazbierać suchego drewna, byśmy mogli rozpalić ogień, ale szybko, bo za chwilę się zacznie!

Silny wiatr hulał w dolinie, niósł ze sobą ciężkie, na razie jeszcze pojedyncze krople deszczu. Mężczyźni gorączkowo pracowali i w niespełna dziesięć minut wykonano polecenia Hammera. Konie, które wędrowcy zdążyli nawet rozsiodłać, stały bezpiecznie pod dachem, a ludzie, którzy mieli ich pilnować, rozpalili ognie w pobliżu wejścia. Ogień palił się także w domach przeznaczonych dla pozostałych, a był już najwyższy czas, gdyż teraz rozpętała się burza z siłą, którą trudno sobie wyobrazić.

## 219

Naraz jasnożółte niebo zabarwiło się na czarno. Słychać było jęki, stękanie, huk i wycie, jakby tysiące diabłów wypełniło dolinę. Nadleciał orkan. Domy drżały pod jego naporem, ale wytrzymały. A potem nagle rozległ się trzask, jak gdyby zawaliła się góra. Lunęło

nagle, ale nie kroplami, lecz zwartą masą, z hukiem wodospadu. ~

Ulewę zagłuszały silne uderzenia piorunów. Błyskawice przecinały ciemną noc z taką częstotliwością, że wyglądało to jak słupy ognia, które spadały z chmur. Uderzenie następowało po uderzeniu, trzask za trzaskiem, ognista kula po ognistej kuli, trwało to kilka godzin. Ludzie nie mogli ze sobą rozmawiać, bo~ nie słyszeli nawet własnych słów. W milczeniu siedzieli na ziemi i porozumiewali się na migi.

W gorszym położeniu znaleźli się ci, którzy pozostali z końmi. Nie można było wszystkich uwiązać. Nie wystarczyło rzemieni, lin i sznurów, aby im wszystkim spętać nogi. Zwierzęta zaczęły parskać, rzeć, kopać i wierzgać, co stawało się niebezpieczne.

‘I~raz nastąpił jeszcze jeden potworny grzmot, najsilniejszy ze

wszystkich dotychczasowych, ale też i ostatni, potem zapadła cisza,

tak nagle, że aż niesamowita. Nikt nie ważył się odezwać. Większość

myślała, że ten bunt żywiołów ustał tylko na chwilę i zaraz na nowo wybuchnie ze zdwojoną siłą. Ale tak się nie stało. Brat Jaguar podniósł się ze swojego miejsca, minął ogień, podszedł do wejścia, gdzie z szumem przepływała woda szeroka jak rzeka, i oznajmił:

- Minęło. Niebo jest usiane gwiazdami. Bogu dzięki!

- ‘Pak, Bogu dzięki - westchnął doktor Morgenstern z ul

! gą,

ocierając rękami pobladałą twarz. - Czegoś takiego nigdy dotąd nie

przeżyłem. Nie potrafi aźć ak bardzo si bałem. Każdaka-  
ę ~ ,j

wica była jak pożoga po łacinie incydium, która groziła, że wszystko

dokoła pochłonie.

- Tak, to prawda - przytaknął Fritz. - Dziw, że nas nie zabiło, bo przy takich piorunach i błyskawicach jeszcze rozpaliliśmy sześć ognisk.

- Istotnie! Nauka dowiodła, że ogień przyciąga błyskawice. To 220 istny cud, że nas nie trafiło.

-‘I~go nie należało się chyba obawiać, ponieważ las jest dosko~nałym piorunochronem - rzekł brat Jaguar. - Ale teraz muszę zajrzeć do koni.

Wyszedł, brodził w wodzie po kolana. Konie co prawda były jeszcze trochę niespokojne, ale stały na swoich miejscach. Wprost trudno było uwierzyć, że wszystko tak pomyślnie się skończyło.

Kiedy brat Jaguar wrócił, porucznik Verano właśnie miał zamiar opowiedzieć o swojej przygodzie. Ujrzał Hammera i zwrócił się do niego ze słowami:

- Przychodzi pan w samą porę, by usłyszeć, jakie mam prawo do strzelb, które pan sobie przywłaszczył.
- Przywłaszczył? Nic o tym nie wiem. Wziąłem je tylko na przechowanie - odparł bardzo powściągliwie.
- Jakim prawem, jeśli wolno zapytać?
- Słusznie pan mówi, jeśli wolno zapytać? Jakim prawem pan mnie pyta?
- Jestem pełnomocnikiem generała Mitre.
- Byłbym gotów to uznać, gdyby mógł mi pan tego dowieść.
- Jakich dowodów pan żąda?
- Pisemnego pełnomocnictwa.
- Co pan sobie wyobraża! Sądzi pan, że takie dokumenty wozi się ze sobą w Gran Chaco?
- To jest niezbędne, jeśli chce pan być uznany za pełnomocnika.
- Daję panu moje słowo honoru. Chyba to wystarczy?! - wykrzyknął Verano gniewnie. - Jeśli nie, to... Zrobił groźny ruch, jakby sięgał po nóż.
- Niech pan go zostawi tam, gdzie jest! Kto mi pokaże ostrze, poczuje moją pięść. Oświadczam, że wystarczy mi pańskie słowo honoru, bo jest pan co prawda bardzo gwałtownym człowiekiem, ale nigdy dotąd nie słyszałem, by dopuścił się pan czynu niezgodnego z honorem. ‘

## 221

- A więc się zgadzamy.
- Tak, ale i nie. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Co prawda wystarczy mi pańskie słowo honoru, że jest pan pełnomocnikiem generała. Ale jakie otrzymał pan pełnomocnictwo?
- Na poszukiwanie skradzionych strzelb.
- No, a kiedy pan już znajdzie złodzieja?
- Mam złożyć raport.
- A potem?
- Potem... Generał rozkaże, co dalej.
- Pięknie. Tym razem się zgadzamy. Pan miał szukać skradzionych strzelb, a w razie ich znalezienia zdać z tego sprawę i czekać na dalsze rozkazy. Ja znalazłem strzelby. Czy są to te same, które...
- Oczywiście, senior! - przerwał mu porucznik - Kiedy pan wyszedł, obejrzałem je sobie: Są to te same, które skradziono ze zbrojowni. Generał odkrył tę kradzież i zanim jeszcze ktoś się czegoś dowiedział, kazał przeprowadzić szczegółowe śledztwo. Tę, co wyszło na jaw, było zaskakujące. Najprawdopodobniej dozorca zbrojowni dał się przekupić. Przekazał ludziom planującym rebelię kilkaset strzelb i dużo amunicji. Nie dowiedziano się jeszcze, kto stoi na ich czele. Jedno nie ulega wątpliwości, że zamieszany jest w to toreador; Antonio Perillo. ‘I~n człowiek wkrótce po tej kradzieży, a więc przed kilkoma miesiącami, przybył do Rio Salado z robotnikami, sprzętem, bronią oraz amunicją, a potem wrócił tylko z robotnikami i sprzętem. Zakopał broń. Bo niby po co zabierałby łopaty? ‘Ii~z~ba było się dowiedzieć, gdzie to ukryli. Ponieważ znam Chaco, otrzymałem rozkaz, by przejść przez Salado i zbadać sprawę. Abiponi są teraz wrogo~ nastawieni do rządu, nie mogłem się więc do nich zwrócić. Odnalazłem szczerp Camba i spotkałem wodza z czterema wojownikami, z których jeden widział białych ludzi nad Źródłem Bliźniąt. Craneo-duro od razu zgodził się pojechać ze mną do tego miejsca. Po drodze natrafiliśmy na grupę osiemdziesięciu Abiponów, którzy jak mi wódz powiedział, zdawali się wracać z jeziora Palmowego: Potrak~towali 222 nas wrogo. Broniełem się, kilku z nich nawet zastrzeliłem, ale pokonali mnie i moich towarzyszy, zabrali broń, obrabowali i zanieśli nad jezioro, gdzie mieli nas utopić. Ci chłopcy nas ocalili. Słyszałem, gdzie znaleźliście broń i jestem przekonany, że pan mi ją wyda.
- Nie, serior! Pan zda sprawę generałowi, a to, co on potem rozkaże, zostanie wykonane. Na razie nie może pan i tak wykorzystać strzelb i amunicji. Ja natomiast bardzo ich potrzebuję.



- Po co?
- By uzbroić. Camba i z ich pomocą pokonać wrogów generała. Wiem bowiem więcej niż pan i powiem to panu. ,

Opowiedział porucznikowi wszystko, co dotąd przeżyli. Po czym oficer, co prawda człowiek surowy i gwałtowny, ale szczerzy patriota, zrezygnował ze swoich żądań. Poprosił o pozwolenie przyłączenia się do nich, na co brat Jaguar chętnie się zgodził, ale pod warunkiem, że podporządkuje się jego rozkazom.

‘I~raz wreszcie brat Jaguar kazał sobie dokładnie opowiedzieć o bohaterskim wyczynie obu młodych przyjaciół. Zamiast małowmne-go, nieśmiałego Inki mówił Anton Engelhardt. Kiedy komentowano jeszcze tę przygodę, stary Anciano wziął swego wychowanka na bok, uściskał go i rzekł nieostrożnie, bo po hiszpańsku:

- Jesteś bohaterem, pokazałeś, kim jest el Hijo~del Inka!
- Hammer stał w pobliżu, usłyszał te słowa i pomyślał: Aha! Więc moje przeczucie mnie nie myliło, to jest potomek starych władców Peru... el Hijo del Inka, syn Inki!

## Opowieść -brata Jaguara

Po nocnej nawałnicy nastąpił pogodny ranek. Woda deszczowa spływała. Las parował, a w kotlinie pomiędzy krzewami kołysała się soczysta trawa wysoka jak zboże. Wypuszczono konie z chat, by mogły ~ rozkoszować się trawą. Nie można było ruszyć dalej, ponieważ zwierzęta musiały odpocząć po nocnym przeżyciu.

Mężczyźni zjedli śniadanie złożone z przywiezionych zapasów, po czym zasiedli, aby odbyć naradę. Widać przy tym było, że porucznik Verano spogląda uważnie na Anciana. Jego wzrok co chwila zwracał się ku niemu, wreszcie Indianin zapytał:

- Czy jest jakiś powód, że pan mi się tak przygląda?
- ‘Pak - odparł ońcer.
- Czy wolno zapytać, jaki? Możewydają się panu kimś znajomym? Czy sądzi pan, że już mnie kiedyś spotkał?
- Pana chyba nie. Moją uwagę zwróciły pafiskie długie siwe włosy. Przypominają mi skalp, który kiedyś widziałem:

- Skalp? Co to jest?
- Indianie z Ameryki Północnej mają zwyczaj ściągać skórę z głowy zabitego wroga i przechowywać ją jako znak zwycięstwa i odwagi. ‘Taka skóra to właśnie skalp, po hiszpańsku piel del craneo.

224

i

- A co ja mam wspólnego z tą skórą ściągniętą z głowy? ;
- Podobieństwo. Skalp, o którym mówię, miał takie same długie, gęste siwe włosy jak pan. Anciano się zainteresował. Na jego twarzy malował się wyraz napięcia, kiedy pytał:
- Takie same włosy? To dziwne. Nie sądzę, żeby jakiś biały człowiek nosił takie długie włosy jak ja.
- ‘I~n skalp należał do Indianina.
- Z jakiego szczepu?
- Nie wiem. Co prawda zapytałem, ale właściciel skalpu nie dał mi wyczerpującej odpowiedzi.
- Gdzie pan widział ten skalp?
- W Buenos Aires.
- U kogo?

- U toreadora Antonia Perilla. Byłem kiedyś u niego z przyjacie-lem. Ozdobił swój pokój rozmaitymi trofeami, wśród których znajdo-wał się 6w skalp. .
  - Antonio Perillo, espada! Tb z nim prawdopodobnie się zetknę= liśmy! Powiadają, że kilkakrotnie był, na Zachodzie. Czy zdradził panu, skąd ma tę skórę?
  - Tak. Podobno walczył z jakimś Indianinem na śmierć i życie, pokonał go, a na pamiątkę tej niebezpiecznej walki zabrał skalp wroga. .
  - Gdzie odbyła się ta walka?
  - Na południowych pampasach. Zb wszystko, czego się dowiedzia-łem.
  - ‘Tdm na dole? A więc nie tak, jak myślałem.
- Przy tych słowach Anciano odetchnął głośno, jakby z ulgą. ‘Iearz jego znów wyrażała obojętność, ale natychmiast się zmieniła, kiedy porucznik dodał:
- Włosy były naprawdę wspaniałe, ładniejsze niż pańskie. Przy-trzymywała je spinka, a ten, kto je nosił, był chyba bardzo starym i

## 225

ubogim człowiekiem.

- Spinka!. - zawołał Anciano zaskoczony. - Jak ta spinka wy-glądała? I dlaczego pan sądzi, że to był człowiek ubogi?
- Bo spinka była z żelaza, podczas gdy człowiek zamożny nosi podobną ozdobę ze szlachetnego metalu. Spinka miała kształt słońca z dwunastoma promieniami.
- Dwunastoma promieniami? - Anciano aż krzyknął, zrywając się z miejsca. - Senior, ta spinka nie była z żelaza, lecz z czystego

złota! Właściciel pomalował ją na czarno, by nie budzić chciwości ludzkiej.

- Skąd pan wie? Czy znał pan człowieka, do którego ta ozdoba należała?
- Czy go znałem? To był mój pan, władca nad...

Anciano był ogromnie podniecony. Oczy mu błyszczały, wyrwał nóż

zza pasa i wymachiwał nim, jak gdyby chciał zabić stojącego przed

, sobą wroga. Niewykluczone, że zdradziłby swoją tajemnicę, ale Hau-  
karopora także się zerwał, położył mu dłoń na ramieniu i przerwał  
ostrzegawczo:

- Uspokój się, ojczu! Tb był po prostu Indianin, to wszystko.

Więcej i tak musimy się dowiedzieć, chociażby to, czy został zabity w

. uczciwej walce. Jeśli nie, to biada jego mordercy! Mimo swego wieku  
był tak silny i sprawny, że nigdy nikt go nie pokonał. Czy mam  
uwierzyć, że dał mu radę ten Antonio Perillo? Nie, i jeszcze raz  
nie!

On został zamordowany.

- Na pewno - potwierdził Anciano. - Nie musimy szukać  
mordercy, Perillo sam przyznał, że go zabił. Wiemy, że jedzie za nami.

Wpadnie w moje ręce, a wtedy mi odpowie!

- Ja mu pokażę tym oto!

Inka wywinął maczugą dokoła głowy. Był chyba bardziej wzburzony

niż Anciano, ale szybko się opanował, kiedy zobaczył, że obecni spoglądają na niego ze  
zdziwieniem. Przybrał obojętną minę; usiadł i położył maczugę obok siebie.

i:‘;.....’...

## 226

Ale nie tylko ci dwaj byli tak głęboko poruszeni słowami porucz-nika. Jeszcze jeden mężczyzna był poruszony, choć zachował spokój. Był to brat Jaguar. Odkąd wspomniano o skalpie, aż do ostatniej chwili śledził rozmowę z wielkim napięciem. Siedział obok Inki i teraz wziął do ręki maczugę, aby ją obejrzeć. Broń była czarna, jakby pokryta ciemnym pokostem. Obejrzał ją dokładnie, potem odłożył z obojętną miną i rzekł:

- Nie uważam za konieczne przejmt~wać się sprawą skalpu. Nie wiecie jeszcze, czy to naprawdę jest skóra z głowy waszego znajomego. ‘ Później dowiemy się tego dokładnie.
- Nie, wiem to z całą pewnością - odparł Anciano. - Spinka dowodzi, że się nie mylę.
- Mimo to musimy teraz omówić sprawy pilniejsze - rzekł Hammer, dając staremu ukradkiem znak, by zamilkł. - Musimy się naradzić, dokąd mamy się skierować.
- W każdym razie nad Jezioro Palmowe - rzekł porucznik Vera-no. - Było ono już przedtem celem wasz~j wyprawy, a cóż dopiero teraz! Przecież mieli się tam zgromadzić spiskowcy.
- Co prawda nie sądzę, żeby któryś z nich już tam dotarł, ale mimo wszystko wolę ominąć to jezioro. Mogliby przypadkiem później wy-kryć, że tam byliśmy, a to pokrzyżowałoby mój plan.
- Masz już jakiś plan? - zapytał Geronimo.
- Prawie. Wiemy, że Abiponi chcą napaść na Camba. Może moglibyśmy już w zarodku udaremnić ten zamiar. Mówię umyślnie „może”, ponieważ obawiam się, że jesteśmy zbyt słabi.
- I ja jestem tego zdania. Ta draby są co prawda tchórzliwe i obawiają się otwartej walki, ale zawsze są gotowi do napadu w nocy i boją się bardzo ich zatrutych strzał. Musimy wzmocnić nasze siły; a w tym mogą nam pomóc tylko Camba.
- Słusznie. Pytanie tylko, czy wiedzą, co ich czeka.

Wówczas odezwał się Ziarda Czaszka:

- Nasi ludzie nic o tym nie wiedzą, Abiponi to nasi wrogowie, ale

## 227

że szykują wypra wę wojenną przeciwko nam, o tym nie mieliśmy pojęcia. Musimy możliwiejak najspieszniej wyruszyć, by ich zawiadomić i przygotować. Wyprawa będzie skierowana na naszą największą wioskę. ,

- Gdzie znajduje się ta wioska i jak daleko stąd do niej?

- Położona jest nad wodą, którą biali nazywają Arroyo-claro,

Czysty Strumień i jeśli będziemy szybko jechali, to w ciągu trzech dni tam dotrzemy.

- Jaka jest okolica, przez którą musimy jechać? Czy nie jest zaludniona?

- Jest tam las, otwarta przestrzeń, a także liczne wioski Abipo-nów, które jednak możemy ominąć, jeśli pojedziemy prosto. Jeśli jednak udamy się najpierw nad Jezioro Palmowe, będziemy musieli przez dłuższy czas przemieszczać się przez teren wroga.

- Hm! - mruknął brat Jaguar i zamyślony spoglądał przez chwilę przed siebie, po czym ciągnął dalej. -Mimo to uważam, że lepiej będzie najpierw skierować się nad Jezioro Palmowe..Przedtem chcia-łemje ominąć, ale skoro dowiedziałem się, dokąd zmierza przeciwnik, muszę poznać drogę, jaką obierze. Mam po temu jeszcze jeden po-wód; nasze zapasy mięsa się kończą, a nie mamy czasu, aby odżywiać się tym, co upolujemy. Przez takie przestoje droga wydłuży się nam ł do pięciu, a nawet sześciu dni. Abiponi natomiast, jak mi wiadomo, mają bydło, z którego ukradkiem uprowadzimy jedną albo nawet kilka sztuk. Wówczas bez straty czasu będziemy mieli mięso. Jak daleko stąd do Jeziora Palmowego?

- Pół dnia drogi.

- Wobec tego wyruszmy stąd około południa tak, że na wieczór tam przybędziemy. Wcale nie musimy dotrzeć do samego jeziora.

Nikt się nie sprzeciwił, jedynie doktor Morgenstern zauważył:

- Z całym szacunkiem dla pańskiego planu, ale ja także mam swoje plany i zamiary, o których muszę panu przypomnieć. W jakim kierunku położony jest ów Czysty Strumień, do którego chce pan

228

jechać?

- W kierunku północno-zachodnim - rzekł wódz.

?

- Czy tamta okolica jest równinna, czy górzysta

- Są tam góry.

- Wobec tego zgłaszam sprzeciw! Wiecie przecież, że przybyłem do tego kraju nie z powodu Camba, lecz by prowadzić wykopaliska. Zwierzęta, których szczątków poszukuję, nie żyły w górach, lecz na nizinach. Im bardziej oddalam się od nizin, tym mniejsza jest nadzieja, że cokolwiek znajdę. A więc zgłaszam sprzeciw, po łacinie con~ra-dictio albo repugnantia.

- Pański sprzeciw niestety nie pozostanie uwzględniony - odparł brat Jaguar. - Nie możemy z powodu pańskich wykopalisk skazywać Camba na zagładę.

- Ja zaś nie mogę z powodu tych ludzi rezygnować ze swoich mastodontów, które pragnę odnaleźć. Proszę więc o uwzględnienie interesu nauki.

‘Iwarda Czaszka słuchał z uwagą: Nie zrozumiał, co ma na myśli ten mały człowiek, ale coś mu zaświtało, więc zapytał:

- ‘I~n senior mówi o zwierzętach i wykopaliskach. Może należy do tych dziwnych białych ludzi, którzy kopią na pampasach, szukając kości, by je potem zabrać do wielkich miast?

- ‘Tak, on do nich należy - odparł Hammer z uśmiechem.

- Więc nie musi tu zostawać i narażać się na niebezpieczeństwo, że będzie ujęty lub nawet zabity przez Abiponów. Wiem, gdzie można znaleźć takie kości.

- Gdzie, gdzie? - spytał uczony pospiesznie.

- Znam wiele takich miejsc. Jedno z nich będziemy mijali. To jest Pantano de los Huesos, Bagno Kości. ‘Td nazwa wskazuje panu, że znajdzie pan to, czego szuka.

- Doprawdy? Bagno Kości? - dopytywał się Morgenstern. - A o jakiego zwierzęcia kości tu chodzi?

- ‘I~go nie wiem. Poza tym nie znam się na... - urwał na kilka

## 229

chwil, po czym ciągnął dalej. - Ci seniores przybyli, by pomóc nam w walce przeciw naszym wrogom, wobec tego z wdzięczności pokażę panu miejsce, gdzie w ziemi tkwi zwierzę.

Znaleźliśmy je przypadkowo i zamierzaliśmy sprzedać któremuś z białych ludzi, którzy poszukują takich kości. Ale ponieważ panowie chcą nam pomóc w walce z Abiponami, pokażę je panu.

- Co takiego? Czy to tak wielkie zwierzę, jakich już teraz nie ma?

- zapytał Morgenstern szybko. - Co to za zwierzę? Może glyptodont?

- Nie umiem tego powiedzieć. Nigdy tej nazwy nie słyszałem.

- Jakiej jest długości, jakiej wysokości?

- Tego także nie wiem, bo nie widzieliśmy go całego.

- Nie całego? Ojej! Może pozostały tylko pojedyncze kości?

- Nie, zwierzę jest w komplecie. Kopaliśmy dotąd, aż ukazały się wszystkie kości grzbietowe.

- A potem? Co zrobiliście potem?

- Nic, bo się dowiedzieliśmy, że zwierzę w kawałkach jest mniej warte niż całe. Dlatego pozostawiliśmy je na miejscu i dokładnie zasypaliśmy ziemią.

- Brawo! Brawo! Postąpiliście bardzo rozsądnie! Muszę mieć to zwierzę. Gdzie ono jest? Gdzie jest to miejsce? Kiedy tam dojedzie-my? Mam nadzieję, że niedługo.

- Miejsce to znajduje się o dzień jazdy za naszą wioską.
- Nie podoba mi się to. Proponuję, abyśmy zaraz wyruszyli. Do-prawdy nie rozumiem, czemu tkwimy tu tak długo!
- Powoli, powoli - roześmiał się brat Jaguar. - Najpierw chce pan tu pozostać, a teraz nie może się pan doczekać wymarszu. Mamy jeszcze sporo do zrobienia i przed południem stąd nie wyjedziemy.
- Co takiego do zrobienia? Doprawdy nie wiem, co tu jest jeszcze do zrobienia!
- Niech pan pomyśli o koniach i o naszym ładun~Cu. Musimy sporządzić siodła na ładunek.
- Przecież nie mamy skbry ani żadnych innych materiałów.

## 230

-r-Matesiału jest dość. 'Iizeba umieć dostosować się do okoliczno-ści. Siodła zrobimy z gałęzi, trzciny, i trawy, wytrzymają dłużej niż trzy dni. Z pnączy ukrećmy sznury, którymi powiążemy ze sobą konie. Wtedy jazda pójdzie o wiele sprawniej i szybciej. A więc bierzmy się do roboty. Kazał narwać trawy, trzciny i wkrótce wszyscy zabrali się do sporządzenia miękkich podkładów dla koni pod ładunek oraz uzd z pnączy. Gdy zwierzęta wypoczęły, nałożono na nie ładunki i powiąza-no ze sobą. Wówczas można było wyruszyć. Było właśnie południe, kiedy opuszczali osiedle o tak okropnej nazwie, a które dało im schronienie przed straszliwą nawałnicą.

Dzisiejszym celem było Jezioro Palmowe, położone w kierunku ' południowo-zachodnim od Osiedla Wymordowanych. 'Ii.varda Czasz-ka jako przewodnik jechał na czele ze swymi Camba. Dalej podążały konie w długich szeregach, trzymane w ryzach przez jeźdźców. Wzgó- ' rza, które mijali nocą, pozostały po lewej stronie, okolica, przez którą \_ jechali, przypominała łąkę. Tylko tu i ówdzie miękką trawę przecinały piaszczyste miejsca. Wreszcie po południu wkroczone do dzikiej okolicy, która, jak powiedział wódz, kończyła się dopiero przy Jezio-rze Palmowym.

Brat Jaguar jechał dziś na końcu. Dał znak Anciano i Ince, by trzymali się w pobliżu. Kiedy więc znaleźli się po obu jego bokach, rzekł do starszego:

- 'Iiwoje usta dziś rano omal nie stały się bardziej wymowne, niż to było twoim zamiarem. Omal nie zdradziłeś tajemnicy.
- Sądzi pan, że posiadam jakąś tajemnicę? Cóż by to mogło być?
- zapytał Anciano.
- Nie znam jej, ale przeczuwam. Haukaropora nie jest twoim synem ani wnukiem!
- Skąd to panu przyszło na myśl, senior? Przecież zawsze znał go , pan jako mojego wnuka.
- Już od dłuższego czasu podejrzewałem, że łączy was coś innego.

## 231

W swym podnieceniu powiedziałeś nam, że spinka, o której mówił porucznik, nie jest z żelaza, lecz ze złota. Są jeszcze inne przedmioty, które wydają się z żelaza, a przecież wykonano je ze złota.

- Jakże, senior?
- Na przykład maczuga, którą Hauka nosi u boku.
- . - Ońa ma być ze złota, senior? Bylibyśmy wówczas bogatymi ludźmi!
- Nie udawaj! Jestem waszytn przyjacielem i wiecie, że nie musicie się mnie obawiać. Nie chcę być natrętny. Ale jeśli chcecie zachować waszą tajemnicę, musicie być bardziej ostrożni. Hauka zabił wczoraj wrogiego Indianina maczugą. Brofi widocznie natrafiła na coś twar-dego, ostrego lub spiczastego, wskutek czego ciemna żywiczna pole-wa została uszkodzona. To małe miejsce błyszczący złociście. Spójrzcie na nie!

Haukaropora wziął maczugę do ręki, obejrzał ją i zarumieniony powiesił u pasa.

- No i co? - zapytał brat Jaguar z uśmiechem:

Nikt nie odpowiedział. Brat Jaguar ciągnął dalej:

- Kto jedynie miał prawo nosić złotą maczugę, czyli humanczuay? Władca Peru. I ta maczuga zdradza mi, że Hauka jest potomkiem Inków.

- Pan się myli, senior - wyrwało się staremu Anciano.

- Nie myślę się. Nie staraj się mnie zwodzić. Przechowam tę tajemnicę równie niezawodnie, jak ty przechowujesz ją w swojej piersi. A w ogóle nie musicie robić tajemnicy z pochodzenia tego młodzieńca.

- Musimy! Niech pan sobie przypomni, jak nas prześladowano!

- Was? Nic o tym nie wiem. Waszych przodków tępieno ogniem

mieczem i trucizną, to prawda. Ale od tamtej pory czasy się zmieniły i nikt nie będzie nastawał na wasze życie z powodu waszego pochodzenia.

- Tak pan tylko sądzi. My jednak jesteśmy przekonani o czymś 232 wręcz przeciwnym.

- Więc masz szczególny powód, by zachowywać ostrożność i milczenie. Okoliczność, że Hauka jest dzieckiem Inków, niczym mu nie zagraża, ale coś innego mogłoby się stać dla niego niebezpieczne.

- Co takiego, senior?

- Gdybyście w związku z jego pochodzeniem mieli pewne nadzieje, które nigdy nie mogą się ziścić.

- Nigdy, doprawdy nigdy?

- Nigdy, powiadam wam! Życie wspomnieniami, nie wiecie nic o współczesnym świecie, o życiu. Marzycie. Niech wasze marzenia pozostaną marzeniami, które nigdy się nie ziszcą. Nie mam prawa głębiej wnikać w wasze sprawy. Chciałem się dowiedzieć czegoś całkiem innego: Co to za sprawa z tą spinką? Jestem przekonany, że dobrze odgadłeś, iż zmarły, którego skalp znajduje się w posiadaniu Antonia Perilla, pochodzi z głowy twego znajomego. Kim był ów człowiek?

Anciano wahał się, wobec czego brat Jaguar dodał:

- Pytam w określonym zamiarze, nie z ciekawości. Odpowiadając, prawdopodobnie i ty byś na tym skorzystał.

- Gdybym odpowiedział, zdradziłbym tym samym naszą tajemnicę.

- To by wam nie zaszkodziło. Powiedz mi przynajmniej, gdzie ten człowiek został zabity.

- Nie wiem dokładnie.

- Nie wiesz także, w jakiej okolicy?

- Tb wiem, owszem, ale chyba pan jej nie zna.

- Jeśli o mnie chodzi, to więcej Świata zwiedziłem, niż myślisz.

- Więc proszę powiedzieć, czy zna pan miejsce o nazwie Barranca del Homicidio, czyli Wąwóz Morderców?

- Nie tylko znam nazwę, lecz byłem tam dwukrotnie. Wspinałem się tam z Salina del Condor.

- ~'ak, z Salina del Condor. Położona jest niedaleko wąwozu, 233 byłem tam wieie razy.

- I jesteś przekonany, że twój znajomy tam został zabity?

- Tak.

- Dlaczego tak myślisz?

- Towarzyszyłem mu w pobliże i musiałem pozostać, by na niego czekać, tak mi rozkazał.

- Aha, rozkazał ci? 'I~n; kto rozkazuje, jest panem, ten kto słucha jest poddanym, sługą. Czekałeś daremnie na jego powrót?

- Tak. Czekałem dwa pełne dni. Potem zacząłem się o niego obawiać. Poszedłem jego śladem do miejsca, do którego zmierzał. Nie znalazłem go. Przeszukałem wszystkie doliny i jary, byłem na wszystkich górach i wzniesieniach. Wróciłem do domu i zabrałem przyjaciół, aby pomogli mi

go szukać. Wszystko daremnie. Szukaliśmy całe tygodnie, nie znaleźliśmy po nim ani śladu. Widocznie coś się z nim stało. Dopiero dziś rano... Został zamordowany.

- Czy uważasz, że go zamordowano, bo był nie do pokonania? Czy masz może jeszcze jakiś inny powód, by tak sądzić?

- Tak. Miał przy sobie przedmioty, które mogły wzbudzić chęć rabunku.

-Jakiego rodzaju były to przedmioty?

-Tago nie wolno mi powiedzieć.

- Wcale nie musisz, bo i tak wiem; ten człowiek miał przy sobie przedmioty pochodzące z okresu Inków i sporządzone ze złota albo srebra.

- Skąd pan to wie, senior?

- Będę z tobą bardziej szczerzy niż ty ze mną i coś ci pokażę.

Uchylił swoją skózaną kurtkę i wyciągnął mały, błyszczący jak złoto przedmiot, który nosił na sznurku u szyi. Odwiązał go i podał Anciano. Był to mały pucharek, niezwykle kunsztownej roboty, który miał nie więcej niż trzy cale średnicy.

- Pucharek do rosy! - zawołał Anciano zaskoczony. - Do tego ~ puCharka zbierano rosę z kielichów kwiatówświątynnych i

234 przynoszono w ofierze Słońcu, by mogło z niego wypić tę rosę.

- Nie wiedziałem, jakie miał przeznaczenie - odparł brat Jaguar.

- Senior, to święte naczynie!

- Czy wiesz na pewno? Tym samym dowodzisz, że twoimi przodkami byli Peruwiańczycy.

- Owszem, byli - przyznał stary.

- Moi przodkowie byli władcami - dodał Haukaropora. - Je-stem jedynym ich potomkiem i tylko niewielu wiernych mi ludzi o tym wie.

-‘Tak sobie pomyślałem. I posiadasz ukryte skarby swoich przodków?

- Czemu pan o to pyta?

-‘I~n przedmiot mi to mówi.

- Skąd pan go ma? - zapytał Anciano. - W jaki sposób dostał się w pańskie ręce?

- Znalazłem go.

- Gdzie?

- Pomiędzy Salina del Condor a Barranca del Homicidio.

- A więc tam! Co za odkrycie! Kiedy to było?

- Przed pięcioma laty.

- O jakiej kwadrze księżyca? Czy pan pamięta?

- Pamiętam bardzo dokładnie. Było to w dziefi po pełni.

-Tak jest. Bo tylko podczas pełni mój władca schodził do jaru.

Ostatnie słowa skierowane były do Inki. ‘I~n poprosił o pucharek, oglądał go; pocałował, a potem rzekł ze zwilgotniałymi oczami:

-A więc ten pucharek ojciec mój; przedostatni z Inków, miał przy sobie w ostatnich godzinach swego życia. Senior, zatrzymam go. Dam panu w zamian coś o wiele większego i bardziej wartościowego.

- Zatrzymaj! Nie chcę nic za niego, bo tra~ł do prawowitego właściciela.

- Dziękuję. Ale czy znalazł pan tylko ten puchar, czy coś więcej?

## 235

- Znalazłem jeszcze coś. Ale coś przerażającego. Czy chcesz usłyszeć?

- Niech pan mówi, senior! Jestem silny i zawsze liczyłem się ze śmiercią ojca.

- Więc powiem. Znalazłem jego zwłoki!

Inka spoglądał długo przed siebie. Żaden mięsień nie drgnął w jego twarzy, ale zbladł. Stary Anciano przesunął kilkakrotnie dłonią po oczach i także milczał. Jechali tak przez chwilę obok siebie, wreszcie stary przerwał milczenie.

- Nie było już w nim żadnej oznaki życia?
- Był martwy.
- Ajak umarł? Czy mógł pan to stwierdzić? Został zamordowany, czy też poległ w honorowej walce?
- Nie było żadnej walki. To był mord, podstępny mord. 'In człowiek został trafiony kulą w plecy.
- A włosy, jego piękne, wspaniałe włosy?
- Nie było ich. 'In został oskalpowany.

Żaden z obu Indian nie okazał swego bólu. Zachowywali milczenie, podobnie jak przedtem. Potem stary znów się odezwał:

- Proszę nam opowiedzieć, jak do tego doszło. Musimy się wszytkiego dowiedzieć, nawet najmniejszy szczegół jest ważny.
- Niewiele mam do powiedzenia. Przybyłem wówczas do Salina del Condor, by wypocząć, a także by wypoczął mój muł, ponieważ jechaliśmy prawie przez całą noc. Podczas gdy muł pał się na skąpej trawie, ja, siedząc na ziemi, jadłem kawałek mięsa, usłyszałem za sobą tętent koni. Obejrzałem się i ujrzałem jeźdźca, który zjeżdżając ze wzgórza skręcał za skalny występ. Gdy mnie zobaczył, przez chwilę jakby osłupiał, potem spiął konia ostrogami i minął mnie pędem. Zwróciło moją uwagę, że mijając mnie odwrócił twarz, tak jakby chciał się przede mną ukryć.
- I pan go nie widział?
- Tylko przez parę sekund, kiedy skręcał. Spostrzegłem, że miał 236 na sobie odzież, jaką się tutaj nosi, oraz strzelbę. Do konia przytroczył derkę. Toból ten był tak gruby, że przypuszczalnie nie była to sama derka. Wydawało się, że zawiera w środku jakieś przedmioty.
- Czy przejeżdżał blisko pana?
- Nie. Odległość wynosiła chyba pięćdziesiąt długości konia. Wywarł na mnie tak niesamowite wrażenie, że byłem rad, kiedy znikł. Około południa, gdy muł wypoczął, pojechałem dalej do Barranca del Homicidio.. Odbiłem chyba połowę drogi, kiedy natrafiłem na trupa. Leżał w kałuży krwi i z oskalpowaną głową, wyglądał okropnie. Zbadałem go i od razu doszedłem do przekonania, że człowiek, którego widziałem, był mordercą.
- Jak ubrany był zmarły?
- Cały w skórze, tak jak wy i ja.
- To się zgadza. Zawsze nosimy taką odzież, bo lżejsza szybko się zdziera w gęstwinie leśnej. Co poza tym miał przy sobie?
- Nic. Był całkowicie obrabowany. Ale kiedy przesunąłem jego ciało, by je zbadać, ujrzałem, że błyszczy pod nim w kałuży krwi jakiś przedmiot. Był to ten pucharek ofiarny, który odtąd stale przy sobie nosiłem.
- Co zrobił pan z trupem?
- Przeniósłem do pobliskiej rozpadliny skalnej i zastawiłem kamieniami. Krew zasypałem piaskiem. Potem wyruszyłem, by tropić mordercę.
- Ale już go pan nie dogonił?
- Nie. Mimo najlepszej woli zdołałem w największym pośpiechu zawrócić tego dnia tylko do Saliny i mały kawałek dalej. Widziałem ślad jeźdźcy i jechałem jego tropem, póki było światło dzienne, przy świetle księżycy nie dało się już nic rozpoznać, bo okolica była piaszczysta, pełna kamieni i żwiru. Gdy tylko zaświtało, pojechałem dalej. Z całych sił pragnąłem dopędzić tego człowieka, ale wkrótce zdałem sobie sprawę, że to niemożliwe. On też na pewno zrozumiał, że znajdzie trupa, jechał więc przez całą noc, by jak najbardziej się oddalić. Obrat 237 przy tym drogę przez skalisty teren, by nie pozostawić po sobie śladu. Poświęciłem wiele uwagi, by ten



ślad wykryć. Ale to wymagało czasu. Musiałem setki razy zsiadać z muła, by oglądać kamienie, i dziesięć-krotnie zawracałem, bo obrałem zły kierunek. Wieczorem tego dnia stwierdziłem, że mam za sobą mniej niż pół dnia jazdy. Podczas następnej nocy skąpe ślady stały się całkowicie niewidoczne. Musiałem zrezygnować z pogoni.

- Szkoda, senior! Gdyby pan zatrzymał się w Salinie, spotkałby pan tam mnie i obaj odbylibyśmy sąd nad nim. Pan zatarł wszystkie ślady zbrodni, tak, że nie mogłem nic stwierdzić. Czy potrafiłby pan znaleźć rozpadlinę, w której pochował pan trupa?

- 'I~k.

- Słyszę, że chce pan jechać przez góry. Jaka drogę pan obierze?

- Właściwie chciałem jechać dalej w kierunku północnym, ale w tej sytuacji nadłożymy nieco drogi. Zaprowadzę was w to miejsce.

- Dziękujemy z całego serca, senior. Zmarły nie powinien tam pozostać. Należy go pochować wedle obyczaju naszych przodków..

- Więc przyznajesz, że to był Inka, potomek władców?

- Tak. Byłoby największą niewdzięcznością ukrywać to przed panem:

- A czy miał on jakiś ukryty skarb?

- Ihk. Gdy jego przodek z kilkoma wiernymi ludźmi uciekał przed Hiszpanami, udało im się zabrać ze sobą wiele cennych rzeczy. Ukryto je w Barranca del Homicidio. Uciekinierzy i ich potomkowie żyli samotnie w górach, a od czasu do czasu Inka szedł do kryjówki, by wyjąć trochę złota i sprzedać je, ponieważ on i jego bliscy nie mieliby z czego żyć. Działo się to zawsze podczas pełni księżyca. Mój pan nie

wrócił ze swej ostatniej wyprawy.

- Czy znasz tę kryjówkę?

- 'Tak.

- Czy byłeś tam od śmierci Inki?

- Byłem, ale jej nie otwierałem, bo nie mam do tego prawa.

## 238

- A Hauka ma to prawo?

- Jeszcze nie. Dopiero kiedy ziemia całkowicie okrąży słońce, wtedy wolno mu będzie objąć swoje dziedzictwo. Nastąpi to za dwa tygodnie.

- A jak to się stało, że posiada on tę cenną maczugę?

- Przejają ją od ojca, który pozostawił ją w domu; gdy po raz ostatni udał się, do Barranca. Mieliśmy jeszcze kilka innych drobnych przedmiotów, które sprzedaliśmy, by móc odbyć tę podróż. Nie wyobrażałem sobie, że w drodze powrotnej odkryjemy mordercę. Czy ma pan jakieś porachunki z tym Antonio Perillem?

- Nie.

- A może któryś z pafiskich towarzyszy?

- Najwyżej senior Morgenstern, na którego życie nastawał.

- Ten mały człowiek nie będzie pragnął jego krwi. Dlatego proszę, by pozostawił p'an nam mordercę, jeśli wpadnie w nasze ręce.

- Nie mam nic przeciwko temu, oczywiście jeśli się nie mylimy i on jest mordercą.

- Jeśli posiada włosy z głowy mego pana, to na pewno nim jest.

Ten porucznik Verano przecież nas nie okłamał.

- Na pewno nie. Zresztą byłem przekonany, jeszcze zanim dowiedziałem się o skalpie, że Perillo jest mordercą. Tam, w Salinie, widziałem go tylko kilka sekund, a od tamtej pory minęło pięć lat, ale kiedy przez przypadek ujrzałem go w Buenos Aires, ód razu go poznałem.

- Czy pan mu;co~ powiedział?

- Przypomniałem mu Salina del Condor, na co on drgnął.
- My także przypomnimy mu Salina del Condor! = rzekł Inka.

## Wśród Indian Camba

Jechali w ostrym tempie. Dlatego też już na dwie godziny przed zapadnięciem zmierzchu 'Iearda Czaszka oznajmił, że wkrótce ujrzą jezioro Palmowe.

- Nie dojedziemy do sam~go jeziora - zdecydował ojciec Jaguar.
- Mogą tam już być Abiponi, a nie chcę, by nas zobaczyli. Wróg nie powinien się domyślić, że przygotowujemy się na jego przyjęcie. Jak daleko stąd do pierwszej wioski Abiponów?
- Jeśli będziemy jechali z taką szybkością jak dotychczas, to dotrzemy tam wkrótce po zapadnięciu zmroku.

- Zb świetnie. Miniemy wioskę w ciemności i dopiero później rozbijemy obóz.

Jechali dalej, lecz teraz w kierunku północno-zachodnim. Jeszcze prze~ godzinę ciągnęła się piaszczysta pustynia, potem znów zaczęła się trawa, która stawała się coraz bardziej gęsta. Później po obu stronach ujrzeni wysokopienne ,lasy. Przywódca z podziwu godną pewnością siebie znajdował stworzone przez naturę przejścia: . Noc była gwiazdzista, co bardzo ułatwiało drogę~ Podczas całkowitej ciemności byłoby trudno utrzymać konie w ryzach. W jakieś trzy kwadransy po zachodzie słońca usłyszeli z prawej strony dziwne 240 dźwięki. Brzmiały jak krzyki kotów pomieszane z odgłosem trzepania dywanów.

- Co to może być? - zapytał Fritz swego pana. -To nie są głosy ludzkie.
- W każdym razie pochodzą od istot żywych - odparł Mrgenstern rzeczowo. - Pytanie tylko, do jakiego gatunku zwierząt należą. Jeśli właściwie oceniam niskie i wysokie tony, to raczej nie pochodzą one z ludzkich gardel.
- Myli się pan - pouczył go ojciec Jaguar, który teraz jechał w ich pobliżu. -To, co słyszemy, to wojenne pieśni Abiponów.
- A w co oni tłuką przy tej okazji?
- To bicie w wojenne bębny.
- Chciałbym kiedyś obejrzeć taki bęben.
- Mb najprostrze instrumenty, jakie można sobie wyobrazi~. Wy-drażone dynie, a na otwory naciągnięta skóra. Taraz wiemy, że przy-gotowują się do ataku, czyli zostali już zawiadomieni o nadejściu białych. To dla nas cenna informacja. Musimy zbadać, ilu wojowników znajduje się w tej wiosce.

Ojciec Jaguar nakazał wszystkim postój i posłał Geronima oraz el Picara na zwiady. Po lewej stronie ciągnęła się ciemna linia lasu, po prawej zaś otwarta przestrzeń poprzetykana krzewami, pomiędzy którymi widać było dalekie odbłaski ognia. Obu zwiadowców nie było prawie godzinę, potem wrócili z dwoma wołami. Nie tylko poszli na zwiad, ale także zatroszczyli się o poiywienie. Wioska nie była duża, miała najwyżej stu mieszkaficów, razem z kobietami i dziećmi, a jednak zwiadowcy doliczyli się có najmniej stu uzbrojonych wojow-ników. Widocznie zbierali się tu ludzie z sąsiednich wiosek.

- Dobrze! - powiedział ojciec Jaguar zadowolony. - Tb dowo-dzi, że jesteśmy na właściwym tropie. Oba woły będą nam bardzo przydatne. Nie martwię się, że za nie nie zapłaciliśmy, bo przecież Abiponi skradli je również. Ale teraz ruszajmy dalej! Minęło następne pół godziny, zatrzymali się za występem lasu 241 i rozbili obóz. Mogli rozniecić ogniska bez obawy, że zostaną spostrzeżeni. Woły zarżnięto i podzielono mięso. Każdy otrzymał porcję, która miała mu wystarczyć na wiele dni. Konie puszczono luzem. , Chociaż dzwonek madryny trzymał je w gromadzie, Hammer postawił przy nich dwóch strażników. Później, kiedy zaspokoili głód, wygaszo-no ogniska i wszyscy ułożyli się do snu.

Gdy tylko nastał świt, ruszyli dalej. Odtąd krajobraz był bardzo monotony, gęsty las z pojedynczymi prześwitami, potem znów wię-ksze i mniejsze płaszczyny, na których położone

były wioski. Wszystkie wioski składały się z jednoizbowych lepianek pokrytych . trawą, dokoła były małe poletka, na ktorych uprawiano kukurydzę, proso, fasolę, mandioca, quinoa, pomidory, orzeszki ziemne, melony i dynie.

‘Ii~zymali się z daleka od tych wsi. Szczęście im sprzyjało, gdyż nie spotkali żadnego Abipona. Niektóre z mijanych vsi wydawały się wyludnione, ale to dlatego, że mieszkańcy z powodu zaplanowanej wyprawy wojennej zgromadzili się w bardziej odległych miejscach. Wieczorem drugiego dnia przebyli obszar Abiponów i nazajutrz doiarli do pierwszej małej wioski szczepu Camba; ostrzegli jej miesz-kaficów przed grożącym im niebezpieczeństwem. Wódz rozesłał młodych ludzi we wszystkich kierunkach, by wezwali każdego zdolnego do noszenia broni, by stawił się w dużej wiosce nad Czystym Strumie-niem. Dalej położone wsie nie miały powodu obawiać się nieprzyja-ciała, w przeciwieństwie do wiosek leżących w pobliżu przypuszczal-nej trasy przemarszu Abiponów. Ta wsie należało opuścić i mieszkań-cy razem z wojownikami~wywędrowali nad Czysty Strumiefi, zabiera-jąc ze sobą swój ubogi dobytek.

~ Przed południem trzeciego dnia gromada jeźdźców dotarła do dużej, ale płytkiej wody, o bagnistych brzegach. ‘Tdm, gdzie grunt był nieco twardszy, wyrosły drzewa i krzaki, a poza tym tylko gęsta trzcina i sitowie wysokości pięciu metrów. Wódz zwrócił się do doktora Morgensterna i rzekł wskazując na wodę:

## 242

-To jest el Pantano de los Huesos, Bagno Kości, o którym panu mówiłem.

- Tb ono! - wykrzyknął radośnie uczony. - Czy można te kości zobaczyć?

- Wiele już zbutwiało, te natomiast, które znaleziono ostatnio, jeszcze tam leżą.

- Muszę tam pójść i je obejrzeć. Zatrzymajmy się!

Zatrzymał swego konia i ostatnie słowa wykrzyknął tak donośnie, że słycać go było aż na końcu pochodu.

- Tb niemożliwe - odparł ojciec Jaguar. - Nie możemy tracić cennego czasu z powodu pańskich zmurszałych kości.

-.Ale te kości są o wiele cenniejsze niż czas, o którym pan mówi.

Jeśli nie chcecie czeka~, to was dogonię. Muszę te kości obejrzeć i żadna siła ludzka mnie nie powstrzyma.

Hammer zrozumiał, że lepiej będzie ustąpić, więc odparł:

- Dobrze, niech pan zostanie, ale nie dł~żej niż pół godziny, potem musi pan podwoić tempo, by nas dogonić. Wódz da panu jednego ze swych ludzi jako przewodnika.

Mały uczony był zadowolony. Przydzielono mu jednego z młodych Camba, który znał bagno i wiedział, gdzie znajdują się kości. Fritz oczywiście towarzyszył swemu panu. Pochód odjechał, a ci trzej zostali sami.

Camba ruszył w stronę wody, omijając przy tym wszelkie niebez-pieczne miejsca. Gdy zsiadł z konia i przywiązał go do krzaka, dał pozostałym znak, by uczynili to samo. Ale oni go nie zrozumieli; ponieważ nie znali mowy, jaką się posługiwał. Okazało się teraz, że ten człowiek zna co prawda Bagno Kości, ale nie rozumie ani słowa po hiszpańsku.

-To dopiero heca - rzekł Fritz zeskakując z konia, by go przy-wiązać, a potem pomóc swemu panu.  
= Ibraz my nie rozumiemy jego chifiszczyzny, a on nie rozumie po turecku. Ciekaw jestem, co z tego wyniknie.

- Będziemy się porozumiewać na migi - pouczył go doktor. - W ten sposób można objechać cały świat. Często przeprowadzałem to doświadczenie, po łacinie peritia. Patrz na mnie; a przekonasz się, że ten poczciwy człowiek nie będzie musiał rozumieć naszej mowy ani my jego.

Kiedy Indianin zobaczył, że obaj uwiązali swoje konie, dał znak, by poszli za nim i wszedł w głąb sitowia, gdzie widać było wyraźnie, że bywali tam już inni ludzie. Wskazał na prawo i lewo w gąszcz sitowia i rzekł:

Kiedy Indianin zobaczył, że obaj uwiązali swoje konie, dał znak, by poszli za nim i wszedł w głąb sitowia, gdzie widać było wyraźnie, że bywali tam już inni ludzie. Wskazał na prawo i lewo w gąszcz sitowia i rzekł:

-Precaucion! Crocodilos!

- Co? 'Iii mają być krokodyle? - rzekł 'Ii~itz. - Przecież byśmy je widzieli! Mnie on nie nastraszy. Ledwo wyrz~kł te słowa, z okrzykiem przerażenia rzucił się na bok, bo tuż przy nim wyłoniła się z trzciny głowa tego zwierzęcia. Krokodyl patrzył na niego małymi oczami i zatrzasnął paszczę, co zabrzmiało tak, jakby dwie deski uderzyły o siebie.

- On naprawdę ma rację - ciągnął Fritz dalej, gdy poczuł się bezpieczny. - Żebyśmy tylko dla tych przedpotopowych kości nie musieli poświęcać własnych.

- Nie obawiaj się - rzekł uczoney, który gdy chodziło o jego ukochane dzieło nie znał strachu. - 'I-zwierzęta są zbyt leniwe, by nas atakować. Jedyna ich wada to to, że brzydko pachną.

- Ale ta paszcza z zębiskami też nie jsst przyjemna. Co do mnie to wolę, niech taka bestia śmierdzi, niżby miała mnie pożreć. Doszli przez sitowie do małego półwyspu wrzynającego się w wodę. Wydawało się, że jest to ład stały, bo rosły na nim drzewa i krzewy, tworząc ostro zakreślony i nie bagnisty brzeg. Pod drzewami ziemia była w kilku miejscach rozgrzebana. Thm leżało to, czego szukał mały 244 uczoney; wszelkiego rodzaju kości, duże i małe, częściowo całe, częściowo połamane, częściowo twarde, częściowo już zbutwiałe.

- Eureka! - zawołał doktor, rzucając się na te kości. - Oto one!

Fritz, chodź, obejrzyj sobie świadków czasów, kiedy nikomu nawet się jeszcze nie śniło o tobie!

- Uważam, że to bardzo rozsądne - odparł Fritz spokojnie. - Bo gdyby wtedy komuś się o mnie śniło, to dziś zbierałby pan moje szczątki i składał jako dawnego żółwia olbrzymia.

- Nie gadaj bzdur - rzekł Morgenstern, z zachwytem podnosząc po kolei kości, by się im przyjrzeć.

- 'Iii otwiera się cudowny widok na stopniowy rozwój form istnienia. Spójrz tylko na tę część czaszki! Założę się, że jest to oss occipitis jakiegoś megatherium. Zapakujemy wszystkie kości i zabierzemy ze sobą, abym mógł je zbadać jeszcze dziś, kiedy dojedziemy do Czystego Strumienia. Przyjacielu, czy te kości zawsze tu były, czy też sprowadzono je z innego miejsca? Pytanie to skierował uczoney do Indianina, którego jednak nie było już widać. Usłyszeli natomiast jego przywołujący głos.

- On chce, abyśmy przyszli. Niech pan idzie! - rzekł Fritz.

- Nie, jeszcze nie - bronił się Morgenstern. - Jeszcze nie wszystko widziałem.

- No to ja pójde i zobaczę, po co on nas woła.

Odszedł w kierunku, skąd dobiegało wołanie Camba. Doktor na-wet się nie odwrócił. 'Tak był zajęty swoim skarbem, że nie patrzył na nic innego. Grzebał w resztkach kości i porządkował je, aż wreszcie usłyszał za sobą głos Fritza.

-Niech pan zostawi te gnaty.'Tdm dalej jest całkiem inny gatunek.

Przyniosłem kawałec, niech pan popatrzy!

Gdy Morgenstern podniósł wzrok, ujrzał w rękach Fritza świetnie zachowaną olbrzymią kość udową. Skoczył z okrzykiem radości, po-rwał ją, po czym wykrzyknął z zachwytem:

- Fritz, czy wiesz, co to jest?

- No pewnie, że wiem. Jeśli się nie mylę to jest kość.

## 245

- Głupiec z ciebie! 'Tak, to jest kość, ale jaka kość? Pomyśl tylko, Fritz, mamy tutaj os femori glyptodonta! Co za odkrycie! 1~ kość jest o wiele cenniejsza niż wszystkie zgromadzone tutaj.

'-Tak? No to winszuję panu, bo tam jest dużo więcej takich kości.

- Doprawdy? Gdzie?

-Tdm, gdzie przed chwilą byłem.

Fr~tz wskazał ręką kierunek, a jego pan od razu tam popędził.

- Niech pan poczeka! - zawołał za nim Fritz. - Nie prosto przed siebie. Musi pan skrócić w lewo! Ale mały rozentuzjasmowany człowiek chciał jak najprędzej dostać się na tamto miejsce, wszedł więc prosto w gęste sitowie. W kilka chwil później dał się słyszeć szmer nie budzący żadnych wątpliwości, a potem rozległo się wołanie doktora o pomoc. Fritz zawrócił, i ujrzał uczzonego gorączkowo wymachującego rękami i wzywającego pomo-cy. Wierny sługa, nie bacząc na niebezpieczeństwo, skoczył szybko w sitowie. Kiedy zrobił pięć czy sześć kroków, ujrzał przerażający widok. Woda wdarła się tu w ląd, tworząc wąską zatoczkę, której Morgenstern nie zauważył, bo była porośnięta sitowiem. Wpadł tam i pograżył się po szyję w szlamie. Ale nie to było najgorsze, o wiele niebezpieczniejsze było coś innego. Przywołany odgłosem upadku przedzierał się do zatoli krokodyl. Na szczęście zatoka była wąska jak rów, tak że zwierzę mogło tylko bardzo powoli podchodzić do swej ofiary, ale z C chciwą gorliwością przysuwał się coraz bliżej i kiedy Fritz nadbiegł jli; 'Cu..'”4. , był koficem sweT paszczy oddalony od Morgensterna zaledwie o trzy , stopy. 'Iirn co prawda również poruszał rękami i nogami, aby uj~ć niebezpieczeństwu, ale pograżał się przy tym coraz bardziej w bagnie, które go więziło. Fritz ani na chwilę nie stracił przytomności umysłu. Na szczęście miał na ramieniu strzelbę. Zerwał ją i utorował sobie drogę do fatalnego miejsca, skierował lufę prosto w ślepią zwierzęcia i strzelił. Rozległ się huk, krokodyl skoczył do góry. potem znierucho-miał. Fritz wpakował w niego jeszcze cały ładunek drugiej lufy, po czym zawołał:

## 246

- Udało się! 1ó był ostatni moment! Wieloryb padł, a teraz wydobędziemy Jonasza. Niech się pan chwyci mojej strzelby. Wyciąg-nę pana z tej miłej kąpieli.

Morgenstern chwycił podaną mu strzelbę i Fritz ciągnął z całych sił, ale podstępne bagno nie zamierzało tak szybko wypuściE swojej ofiary. Pomógł im Indianin. Wspólnymi siłami uwolnili uczzonego. Ale jak on wyglądał, kiedy ociekając błotem i niezbyt pięknie pachnąc stanął przed Fritzem! 'I~n szybkim ruchem ściągnął z niego tak piękne przedtem poncho, by je wyżyć, zrzedzając przy tym z troską w głosie.

- Co też panu przyszło do głowy, żeby tam skakać! Przecież czasu było dość. Nie należy od razu korzystać z każdej okazji. Przecież wołałem za panem, aby nie szedł pan prosto, tylko skrócił w lewo.

- Ale Indianin do mnie machał - usprawiedliwiał się uczony, rozkładając ręce.

- On machał na „nie”, a nie na „tak”. Pan inyślał, że na migi można przejechać cały świat, i dokąd to pana zaprowadziło? 'I~raz muszę pana wyprać, opłukać, wyżyć, powiesić na słoficu i popryskać koloń-ską wodą, by przywrócić panu dawny wygląd i ludzki zapach! Wie pan, co panu proponuję?

- Co, mój drogi? - zapytał doktor zgnębiony.

- Mamy jednakową odzież i jesteśmy tego samego wzrostu. Pan mnie zaszczyca swoją szatą, a ja dam panu moją.

- Nie, Fritz, nie zgadzam się. Moja jest mokra i brudna, po łacińnie udus i limosus.

- No tak! A skoro pan jest mokry, to czy sługa może być suchy?

Tb by dopiero było ładnie! 'Pam; gdzie przedtem byliśmy, jest czysta woda. Szybko więc sobie poradzimy z błotem. Przedtem ja słuchałem pana; niech teraz pan posłucha mnie.

Pociągnął doktora do przesmyku, gdzie zamienili się odzieżą. Wkrótce Fritz miał na sobie czyste, ale jeszcze mokre ubranie, a Morgensten suche. Teraz dopiero uczoney miał czas, by w spokoju  
247

przyjrzeE się krokodylowi. Uścisnął dłofi swemu wybawicielowi i rzekł:

- Zawdzięczam ci życie, Fritz. Mam nadzieję, że będę mbgł ci się odwdziaczyć.

- Co tam! Kiedy mnie się zdarzy wpaść w błoto, pan mnie wyłowi i będziemy kwita: Ale co teraz będzie z tym wielkim gnatem, przez który wpadł pan w to bajoro?

- Będę... będę... oczywiście będę musiał go obejrzeć, nawet jeśli na pewien czas go tam zostawię.

Ostatnie słowa i ton zdradzały, że entuzjazm profesora znacznie osłabł. Bliskość paszczy krokodyla zrobiła swoje. Fritz poprowadził go do miejsca, gdzie znajdowały się kości. Ich widok spowodował chwilowe przygnębienie prof~ora. Mimo to zapytał:

- Jak sądzisz, czy tu są ludzie, którzy mogliby zawładnąć tymi kośćmi?

- Nie... Nie, są tylko Indianie, a co oni mieliby począć z tymi gnatami?

- Wobec tego nie zabiorę ich dzisiaj. Wrbcę tu, ale nie sam, lecz z wieloma ludźmi, którzy będą kopali i jednocześnie pilnowali, bym znów nie znalazł się w podobnym niebezpieczefistwie. Już dawno minęło pół godziny, które mogliśmy tu byE. Musimy jechać dalej. Wrócili z Indianinem do koni i popędzali je tak energicznie, że dogonili jadących przodem już po dwu godzinach. Morgenstern nie opowiedział o swoim upadku, a wierny sługa także milczał, aby nie urazić swego pana.

Było około południa, gdy zmienił się grunt, po którym jechali.

Niskie, lecz długie faliste wzgórza przecinały teraz równinę w rozma-

tych kierunkach, wzgórza porośnięte były krzakami, a w dolnych partiach rosła trawa. Za tym wszystkim ciągnął się niezmiernie długi las. ~am gdzie zmierzał przewodnik, las miał niewielki otwór. Gdy

ojciec Jaguar to ujrzał, zapytał wodza:

- Czy możemy przejść przez górę?

## 248

- 'Idk - odparł wódz. - Góra jest okrągła i wydrążona. Kryje w swoim wnętrzu dolinę zwaną Dolinę Wyschniętego Jeziora. Możemy tędy przejechać, natomiast las jest tak gęsty, a pnącze tak ze sobą splecione, że żaden jeździec, nie mówiąc już o całej gromadzie, tędy się nie przedostanie.

Nawet pieszy musiałby torować sobie drogę toporem lub nożem i w ciągu dnia pokonałby najwyżej taki odcinek, jaki my możerny przebyć w ciągu kwadransa.

- Czy nie można okrążyć lasu?

- Owszem, r~ożna, ale jest on po obu stronach tak dhigi, że musielibyśmy nałożyć drogi i trwałoby to cały dzień. Przez dolinę natomiast przejedziemy w niecałe pół godziny, a potem jeszcze przez całą szerokość lasu, za którym zaczyna się łąka.

- A jak daleko jest stamtąd do twojej wsi?

- Będziemy tam, zanim zapadnie zmierzch.

-A więc ktoś, kto chciałby się udać stąd do wsi, musiałby, nie chąc nakładać drogi, przeciąć tę Dolinę Wyschniętego Jeziora?

- Tak.

- Zb dobrze.

- Dlaczego? ,

- Potem ci powiem, kiedy zobaczę dolinę. Sądzę, że będziemy mogli wykorzystać jej położenie i właściwości przeciwko wrogowi. Z daleka wydawało się, jakby wspomniany otwór był rodzajem tunelu, gdyż po obu stronach drzewa pochylały ku sobie gałęzie, tworząc dach nad wejściem do doliny. Ale kiedy się podeszło bliżej, widać było, że otwór prowadzi do podłużnej kotliny. Gdy jeźdźcy tam dotarli, ojciec Jaguar zatrzymał swego konia i rozejrzał się. Wyglądało na to, że kiedyś było tu jezioro. Dziś jeszcze przepływał tamtędy mały strumyk, zasilając staw pośrodku doliny. Wody jeziora wystąpiły z brzegów w miejscu, gdzie teraz przedostali się jeźdźcy i rozlały się po równinie. Las, który otaczał jezioro; zaczął schodzić w dół i teraz porastał obie strony doliny tak gęsto, że tylko z trudem można się było wcisnąć pomiędzy drzewa.

## 249

Ojciec Jaguar rozkazał ludziom czekać i objechał dolinę, by do-

kładnie przyjrze się jej brzegom. Kiedy wrócił, rzekł zadowolony:

- To miejsce jest bardzo korzystnie położone. 'Ii z łatwością odniesiemy zwycięstwo.

- Jak to, senior? - zapytał porucznik Verano. - ~. Twą pan, że mamy tu czekać na wroga?

- ~k.

- To byłby największy błąd, jak byśmy popełnili.

Porucznik musiał co prawda przyznać, że ojciec Jaguar jest dziw-

nym człowiekiem i trudno mu było się podporządkować jego rozka-

zom. Jako oficer uważał, że stoi wyżej w hierarchii niż ten człowiek.

Co prawda przyrzekł, że będzie posłuszny, lecz jego gwałtowne, usposobienie ujawniało się przy niejednej sposobności.

- Czemu pan uważa, że to byłby błąd? - zapytał ojciec Jaguar.

- Bo tutaj nas zetrą na proch.

- Dlaczego?

- Pan się pyta? Każdy prosty człowiek to zrozumie.

- Wobec tego nie jestem prostym człowiekiem. Proszę więc, aby pan dopomógł mojemu błędnemu rozumowaniu.

Porucznik, który dostrzegł ironię w głosie ojca Jaguara, rzekł na

wpół gniewnie, na wpół z wyższością.

- Jeśli ustawimy się tutaj, w dolinie, będziemy ze wszystkich stron otoczeni wzgórzami, i jeśli wróg tu wtargnie, zostaniemy pobici.

- Tak pan sądzi? Zostaniemy pobici, jeśli wróg tu wtargnie?

Jeśli?! Proszę sobie zapamiętać; jeśli! A czy może się tutaj dostać?

Wejście do doliny jest tak wąskie, że najwyżej sześciu albo siedmiu

ludzi może tu iść obok siebie. Poza tym są tu drzewa, za którymi

możemy się ukryć, by nie trafiły nas kule czy strzały nieprzyjaciela. Jeśli wystawimy pięćdziesięciu dzielnych ludzi, to żaden wróg się tu nie przedostanie, nawet w sile tysiąca wojowników. Czy to do pana przemawia?

Oficer nie odpowiedział. Dlatego też ojciec Jaguar mówił dalej:

- Powiada pan, że jesteśmy zamknięci przez otaczające nas wzgó-rza. Czy one się rozstąpią, kiedy tu wejdzie wróg? Czy on także nie będzie tu otoczony tak jak my? W dodatku zawsze w lepszym poło-żeniu jest ten, kto zajął pozycję jako pierwszy. Czy wciąż jeszcze uważa pan, że konieczne są tu studia taktyki i strategii? ~ Verano wzruszył ramionami.
  - Poza tym - dodał ojciec Jaguar, - wcale nie mam zamiaru bronić wrogowi dostępu do tej doliny. Przeciwnie, chcę, aby tu wszedł:
  - Ale dlaczego! - zawołał oficer niecierpliwie. - Tb tak, jakby wydać nas w j ego ręce.
  - Nie, przeciwnie, jego w nasze. Czy wie pan może, kiedy Abiponi przybędą w tę okolicę?
  - Tego nikt nie może wiedzieć.
  - Czemu nie? Łatwo to odgadnąć. Biali, z którymi się zetknęliśmy, rozkazali żołnierzom stawić się nad jeziorem Palmowym. Przybędą tam nie wcześniej i nie później niż oni. By zatrzeć ślady, cofnęli się i pojechali przez Rio Salado. By wykonać swój zamiar, musieli stracić dwa dni. Jeśli jada równie szybko jak my, wygraliśmy dwa dni. Przypuścmy, że potrzebują jednego dnia na wypoczynek, zgromadzenie zbuntowanych Indian i odbycie narady, to daje trzeci dzień. My potrzebowaliśmy dotąd trzech dni, bo dobrze jechaliśmy i mieliśmy nadmiar koni. Abiponom natomiast brakuje koni. Ich oddział będzie się składał z kawalerii i piechoty, dlatego też droga ich tutaj potrwa co najmniej cztery dni. A więc licząc od dziś, możemy się spodziewać wroga najwcześniej za cztery dni. To dość czasu, by się przygotować i zapewnić sobie zwycięstwo.
  - Ale to żadne ułatwienie w walce ani pewność zwycięstwa, jeśli wpuścimy tu wroga.
  - Ależ, senior, czy pan nie zdaje sobie sprawy, że to pułapka?
  - Pułapka? - zdziwił się Verano. - I będzie pułapka, do której sami wpadniemy.
- Ojciec Jaguar chciał coś odpowiedzieć, ale wtedy wtrącił się doktor Morgenstern.
- Proszę nie wziąć mi za złe moich słów, senior Verano. Jest pan oficerem, a mimo to pan nie rozumie, co ojciec Jaguar ma na myśli? Podstęp, o jaki tu chodzi, po łacinie laqueus, bardzo łatwo pojąć.
  - Tak? Może pan to pojąć? - zapytał gniewnie. - Wobec tego proszę łaskawie mi wytłumaczyć.
  - Bardzo chętnie, senior. Przypuścmy, że ukryjemy się tu w lesie za drzewami, wpuścimy wroga, a potem obsadzimy wejście i wyjście z doliny. Wtedy on znajdzie się w środku i będzie zgubiony. Nie zaatakuje nas, bo będziemy w ukryciu, podczas gdy on będzie wystawiony, ~ na nasze kule. Mam nadzieję, że pan to zrozumiał, po łacinie perspi- :v cuus. i Porucznik był wściekły. Zawołał z oburzeniem:
  - Jak pan do mnie mówi! Czy pytałem pana o zdanie
  - Owszem, prosił pan, by mu wytłumaczyć. .
  - Miałem coś innego na myśli. Na przyszłość niech mi pan da spokój ze swymi tłumaczeniami. Wiem dokładnie, co mam robić. k
  - Niewidoczniej pan nie wie - zabrał teraz głos ojciec Jaguar. ‘
  - Nie mam ochoty kłócić się z panem, proponuję, byśmy ruszyli dalej.
- Musimy przede wszystkim postarać się, by przed zapadnięciem zmro- ‘ ku dotrze~ do Czystego Strumienia.

Po czym wyruszyli w drogę. Porucznik jechał z tyłu nadąsany: Był ~ zły, że on, pełnomocnik generała Mitre, doznał takiej porażki. Dotąd wciąż mieli po obu stronach las, który i teraz ciągnął się dalej : ‘j przez równinę. Nie był taki gęsty jak przedtem i można było przeje- ‘;’ chać między drzewami. Dalej rosła trawa. ‘Ii konie mogły biec szyb- ,, c~ej, więc wykorzystano to.

Początkowo jazda konna była dla małego uczonego uciążliwa, teraz v już się przyzwyczał i siedział mocno w siodle. Jechał obok Fritza ‘;

Kiesewettera, który starał się trzymać w jego pobliżu.



- Jak tam ubranie? - zapytał Morgenstern sługę. - Jest jeszcze ; , ; ,  
mokre, może się pan przeziębic.

252

- Nie, skądże! - odparł Fritz. - Już prawie całkiem wyschło, a przeziębienie mi nie grozi. Kiedy pan tak ładnie objechał porucznika, moje szaty z radości od razu wyschły.

- Na pewno jest na mnie zły.

- I b jasne, ale co tam! To przemądrzalec, który zajmuje się tylko grubym zwierzem, a nie dba o drobiazgi.

## **Doktor zamyślony spoglądał przed siebie, po czym rzekł: ‘**

- Fritz, chyba popełniłem błąd.

- Co, może z porucznikiem? ‘

- Nie, tylko z tymi kośćmi, które znaleźliśmy tam w bagnie.

Powinienem był je zabrać.

- Dlaczego?

- Bo mogą mi przepaść. Słyszałeś, że Abiponi jadą za nami. Na pewno zatrzymają się przy bagnie, a wtedy zagarną te piękne kości.

- T b niemożliwe. Co by z nimi robili?

- Oni nic, ale biali, którzy jadą z nimi.

- Hm. Tak pan sądzi?

- ‘Tak. Żołnierze wiedzą, że takie kości mają dla nauki ogromną wartość i zabiorą je.

- Nie, na pewno nie zrobią tego. Nawet gdyby mieli taki zamiar, musieliby je na razie zostawić i zabrać dopiero w powrotnej drodze.

- To na jedno wychodzi. Chyba powinniśmy obaj zawrócić po kości.

- Mowy nie ma!

- Dlaczego?

- Bo wpadlibyśmy w ręce wroga.

- Na pewno nie. Ojciec Jaguar przecież powiedział, że przed upływem czterech dni oni tam nie dojdą. Mieliby~my więc tyle czasu.

- Owszem. Ale mimo to nie można, ojciec Jaguar by nie pozwolił.

- Jego pozwolenie wcale nie jest konieczne, nie będę go o nie prosił. Fritz, pojedziesz ze mną?

- Hm! Wydaje mi się to trochę niesamowite.

## **253**

- Jedź ze mną, proszę cię.

- Prosi pan? Panie doktorze, gdyby mi pan rozkazał, wykonałbym rozkaz, a cóż dopiero, jeśli pan prosi. Nie potrafiłbym odmówić . pańskiej prośbie.

- Znakomicie. ~Oto prawdziwa wierność~, po łacinie fidelitas

- Ale niech mi pan przynajmniej powie, jak mamy te kości ze sobą zabrać?

- Skąd mam to wiedzieć? Liczę na twój spryt.

- Ba, gdyby mój spryt był wozem na kółka.ch albo frachtowcem, , to moglibyśmy je załadować. Ale tu w ogóle nie ma wozów. Można najwyżej użyć jucznych koni.

- Niestety, nie mamy koni.

- Nie mamy koni? Przecież zdobyliśmy przeszło osiemdziesiąt sztuk.

- Ale to nie są nasze konie.

- Nie? Kto tak twierdzi? Byliśmy wtedy razem z tymi, którzy je ‘ < zdobyli. Są dobrem ogólnym i właściwie należałoby je podzielić. ‘ Wtedy na nas dwóch wypadłoby co naj mniej po cztery sztuki. Nie będę ,.. miał wyrzutów sumienia, jeśli wezmę kilka koni. I b żadna kradzież, ‘ ; :. bo

przyprawimy je z powrotem. I mamy też juczne siodła, a więc .: ‘ wszystko, czego nam potrzeba. A znalazłby~ drogę, gdybyśmy zabłą-dzili?

- Nie zabłądzimy. ‘Idm, gdzie już raz byłem, czuję się pewnie. Jeśli ‘ się waham, to z całkiem innego powodu.

- Z j akiego?

- Z powodu krokodyli. Jak idzie o gnaty, to one bardzo żwawo zabierają się do roboty, a jak pan znów natrafi na taką bestię i nie będą mógł panu pomóc?

- Będę bardzo uważał. Przyrzekam ci!

- Dobrze! Więc załatwione. Niech pan tylko powie, kiedy wyru-szamy.

Podczas tej rozmowy przejechali duży kawał drogi. Łąkę 254 przerywały niekiedy małe zagajniki, widać było, że zasadziły je ręce ludzkie. W oddali ciągnęły się pola uprawne, a za nimi tu i ówdzie stały chaty. Jechali teraz pomiędzy niewielkimi osiedlami Camba. Pod wieczór przejeżdżali przez rzadki, niewielki las. Gdy go minęli, ujrzeli lśniąca lagunę, pod którą ciągnęły się szeregi chat. Zbudowane były po obu brzegach strumienia wypływającego z lasu. ‘Il;n strumiefi to byłaArrayo claro, Czysty Strumiefi. Znajdowali się u celu, naprzeciw głównej wioski szczepu Camba.

Po lagunie pływało kilka łodzi, ludzie siedzący w nich łowili ryby. Za chatami widać było ogrody i pola, pracowali tam mężczyźni, kobiety i dzieci. Przed chatami siedzieli lub stali ludzie, którzy skofi-czyli już swoją pracę. ‘I~n sielski widok wjednej chwili się zmienił, gdy ktoś spostrzegł przybyszów. Wydał natychmiast przeraźliwy okrzyk, który przekazywano sobie z ust do ust. Rybacy szybko przyplnęli do brzegu. Ludzie pracujący na polach i w ogródach przybiegli do wsi i wszyscy ukryli się w chatach, po kilku minutach wyszli uzbrojeni. Wtedy wódz wydał podobny okrzyk. Ludzie~ zaskoczeni, poznali teraz, kim jest przybysz, zanim jeszcze mogli go dokładnie zobaczyć. Rozległy się radosne okrzyki, ludzie wymachując bronią pobiegli na spotkanie przybyłym.

Zgodnie z tamtejszym obyczajem przybysze musieli się zatrzymać, by mogło się odbyć uroczyste powitanie. Nie zaczęło się ono jednak od razu, bo nie zgromadzili się jeszcze wszyscy mieszkańcy wioski. Wielu znajdowało się w lesie, trzeba ich było zawołać. Zrobiono to za pomocą instrumentu, kawałka bambusa, do którego w charakterze ustnika przymocowana była ciefisza wydrążona gałąź. Instrument ten wydawał potworny głuchy dźwięk, który niósł się bardzo daleko; gdyż krzyki, które rozlegały się w odpowiedzi, dobiegały wyraźnie z wielkiej odległości. Wkrótce ujrzano, jak ludzie pojedynczo lub grupami wy-biegają z lasu. Biegli tak prędko, jak tylko mogli, co dowodziło, że ten sposób nawoływania stosowano tylko wówczas, kiedy chodziło o duży pośpiech.

## 255

! Po pewnym czasie około trzystu ludzi zgromadziło się przed przy-byłymi, tworząc podwójny szereg. Z tyłu ustawiły się kobiety, a dzieci pozostały w tle jako widzowie.

Najpierw mężczyźni zaczęli taniec, polegający na ruchach rąk i głów, przy czym nogi nie odrywały się od ziemi. Druga część tafica polegała na przesuwaniu się do przodu i do tyłu; w tej części brały udział kobiety. W trzeciej części wymachiwano oszczepami i nożami, jednocześnie kobiety rozpoczęły nieopisany wrzask. Wreszcie taniec się skoficzył,, tak to w każdym razie wyglądało. Wówczas wódz wskazał na Hammera i zawołał głośno:

- Ojciec Jaguar!

Przez chwilę zapanowała cisza, zapewne wszyscy byli zdumieni, że ten słynny człowiek jest wśród nich. Potem rozległy się głośne, ogłu-szające okrzyki radości. Mężczyźni i kobiety skakali jak oszalali na wszystkie stXony, dzieci poszły za przykładem dorosłych. Wielu przy-biegało, by podać bohaterowi rękę lub tylko go dotknąć. Ojciec Jaguar nie był jeszcze nad Czystym Strumieniem, ale tutejsi ludzie dobrze wiedzieli, że przyszedł kiedyś z pomocą innym ~zczepom

Camba w walce z Abiponami. Gdy podniecenie ucichło, Indianie ustawili się, by ze swoim gościem pójść do wioski. Mężczyźni szli przodem, trójkami, za nimi podążały dzieci, po nich goście. Wódz stanął na czele pochodu.

Wieś składała się z około osiemdziesięciu lepianek pokrytych da- , chami z trzciny. W ogródkach rosły kwiaty; na polach obok zboża uprawiano rozmaite jarzyny, stanowiące w przeważającej części po-żywienie ludzi, którzy jadają mało mięsa. Za polami ciągnęły się lasy aż do wielkiej równiny, na której pasły się konie i bydło. Była było około sześćdziesięciu sztuk, koni zaledwie trzydzieści. Stanowiło to całe bogactwo wsi.

Wszyscy zsiadli z koni. Wódz wygłosił przemówienie, w którym opowiedział swym poddanym, co przeżył i że nadciągają Abiponi. Gdy skoficzył, zabrał głos ojciec Jaguar. Powiedział, że zamierza rozdzielić 256 przyprowadzone konie i częśćstrzelb jako dary. Oczywiściewzbudziło to ponownie ogólną radość. Porucznik Verano pozwolił sobie wów-czas co prawda na uwagę, że nikt nie ma prawa oddawać zagarniętych koni, bo czę-ć z nich należy także do niego, a cóż dopiero strzelb! Lecz Hammer na to nie zważał.

Zaczął zapadać zmierzch. Rozładowano konie, pozwolono im na-poić się w Czystym Strumieniu, po czym popędzono je na pastwisko, gdzie miały wypocząć. Stamtąd przyprowadzono kilka sztuk bydła, które zamierzano zarznąć, by przygotować ucztę dla gości. Rozpalono ogniska i przy ich blasku rozpoczęła się niezwykła krzątanina. Ludzie na razie jakby nie myśleli o grożącym im niebezpieczefi-stwie ze strony Abiponów. Słyszeli, że wróg jest jeszcze daleko i wiedzieli, że ojciec Jaguar jest wśród nich. Z tym człowiekiem czuli się bezpieczni.

Mięso przyrządzano tutaj i spożywano tak samojak u gauczów. Do tego Indianie pili sfermentowany napój przygotowany z owoców chanar, prosopis dultis i jedli ciasto, które kobiety piekły z mąki kukurydzianej albo innej w gorącym popiele.

Po uczcie odbyła się narada z udziałem wszystkich białych i wodza. l~raz ojciec Jaguar zdradził swój plan.

Nazajutrz rano mieli rozdzielić strzelby i pouczyć Indian, jak się nimi posługiwać. O właściwej porze mieli się udać do Doliny Wy-schniętego Jeziora, setka Camba miała się ukryć w lesie. Gdy zobaczą, że na~dchodzą Abiponi, mają czekać, aż ci również wejdą tu i znikną w dolinie. Wówczas wyskoczą ze swoich kryjówek i obsadzą wejście, aby Abiponi nie mogli się już wycofać.

Inni Indianie mieli się ukryć w samej dolinie, za drzewami, by w odpowiedniej chwili wyjść z tej bezpiecznej kryjówki i rozpocząć walkę. Szczegółów nie można było z góry przewidzieć. Camba trzy-mali się w pobliżu siebie, tak, by jeden mógł po cichu przekazywać następnemu rozkazy ojca Jaguara. Należało działać dokładnie według rozkazów.

## 257

Wszysey zaaprobowali ten plan, prócz porucznika Verano. ‘T~n rnilczał, a gdy wszyscy wyrazili zgodę, rzekł, zwracając się do ojca Jaguara:

- Pafiski plan byłby całkiem dobry, gdyby się powiódł. Tylko wątpię, czy tak się stanie.
- Poczekamy, zobaczymy - odparł Hammer obojętnie.
- Dlaczego czekać? Siła dzielnego żołnierza polega na tZiałaniu, a nie na czekaniu. Atakujący zawsze ma przewagę, o czym pan chyba nie wie.
- Wiem o tym równie dobrze jak pan.
- Więc dlaczego nie chce pan atakawać?
- Owszem, chcę. Ale dopiero kiedy zwabię wroga w pułapkę.

- Tb błąd. Nie powinien go pan tak blisko dopuszczać. Musi pan wyjść mu naprzeciw, by go pobić tam, gdzie go pan spotka. A może nie ma pan odwagi? Wówczas proszę mnie przekazać dowództwo, wiem jak wywalczyć zwycięstwo!
  - Oczywiście krwią, wielką ilością krwi, a tego właśnie pragnę uniknąć.
  - I robi pan błąd. Tych łotrów Abiponów należy zniszczyć~. Żeby ich jak najmniej uszło z życiem.
  - Dlaczego, senior?
  - Jeszcze pan pyta? Czyż nie są naszymi wrogami? Czy nas nie okradają?
  - A pan co robi? Czy choć piędziesiąt ziemi, na której pan się znajduje, należy do pana? Czy pan lub pańscy przodkowie uczciwie zapłacili Indianom za to, co im zabrano? Ale nie sprzecyjamy się, jeśli stanie się tak, jak tego pragnę, nie popłynie ani kropla krwi. Jeden rzut oka, albo tylko krótka chwila zastanowienia i wrogowie stwierdzą, że są straceni, jeśli tylko zechcą atakować. Przemówię do nich i postawię im ludzkie warunki. Po czym zawrzemy z nimi honorowy pokój.
  - Pokój? Pokój z tymi buntownikami? Pan chyba oszalał!
  - Pragnąłbym widzieć takiego, który by chciał pociągnąć~ mnie do 258 odpowiedzialności.
  - Generał! Prezydent!
  - Też coś! Znajdujemy się nie w Buenos Aires, lecz w Gran Chaco. Miejsce, gdzie pan siedzi, należy do szczepu Camba, tu prezydent nie ma nic do powiedzenia.
  - No to niech pan przyjmie do wiadomości, że ja się temu będę sprzeciwiał.
  - Czy to znaczy, że w pewnych okolicznościach może pan działać wbrew moim rozkazom?
  - Tak. Nie znam tu nikogo, kogo rozkazów musiałbym słuchać.
  - A zatem zapomni pan, że ocalilibyśmy pana od haniebnej śmierci przez utopienie! Powiem panu jeszcze coś. Niech pan dobrze słucha! Jeśli wbrew moim rozkazom zostanie przelana choć jedna kropla krwi, wpakuję panu kulę w głowę.
- Ojciec Jaguar wstał i odszedł. Porucznik zawołał za nim jeszcze kilka buficzuczych słów. Wówczas Geronimo wyciągnął nóż i rzekł do niego:
- Niech pan milczy! Jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo przeciwko naszemu przyjacielowi, wpakuję panu ten nóż aż po rękojęść, tak że od razu pan zamilknie.

## 259

Szedł nadal spokojnie, mimo, iż nie miał broni. Wyciągnął tylko nóż, by w odpowiedniej chwili mieć go w pogotowiu. Jego donośny głos dotarł z odległego pastwiska do uszu dwu mężczyzn, którzy nie spostrzegli dziwnego zachowania zwierząt.

Ci dwaj mężczyźni byli to Engelhardt i Inka. Anton opowiadał Ince o swojej ojczyźnie, nie o Peru, lecz o Niemczech, skąd pochodzili jego rodzice i o innych krajach, o ich mieszkawcach i warunkach; w jakich żyją. Chodził do dobrych szkół i bardzo wiele umiał. Dlatego też mógł przyjacielowi przekazać tyle wiadomości. Rozmawiali o religiach rozmaitych narodów, o ich formach rządzenia, ich władcach i zasadach władzy, o siłach zbrojnych i zniszczeniach, jakie współczesna broń jest w stanie spowodować. Im więcej słyszał młody Inka, tym stawał się

bardziej milczący i zamyślony. Zaczął sobie uświadamiać, że jego dotychczasowe marzenia są tylko marzeniami i nimi pozosta- : : : ż ną.

r

Dziś, kiedy rozpoczęła się narada, sądzili, że są za młodzi, by brać .....

w niej udział, poszli więc się przejść. Udali się na pastwisko i szli w , ~ niezbyt wielkiej odległości do jego skraju. Nie przyszło im do głowy, ~ by zabrać ze sobą strzelby. Anton miał nóż i rewolwer, Inka także nóż ; , , , u pasa, poza tym maczugę, z którą się nigdy nie rozstawał. Anton, jak' zawsze opowiadał, a Inka w milczeniu słuchał i od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie. Nagle usłyszeli grzmiący głos:

- Cuidado, seniores! Przynieście strzelby, tu jest jaguar!

- Ib głos ojca Jaguara - rzekł Anton zatrzymując się i wyciągaj~c rewolwer. - Czyżby do wsi wpadł tygrys?

- Nie - odpowiedział Haukaropora. - 'fbn głos nie dobiega ze-wsi, lecz z drugiej strony pastwiska. Odeszliśmy za daleko. Wracajmy! Poszli w kierunku wioski, mijając przy tym grupę wołów. Gdy Inka,,'. zobaczył, w jaki sposób zwierzęta stoją.

- Pospieszmy się. Woły stoją gotowe do obrony, a ponieważ' pochylili rogi, więc jaguar jest bardzo blisko. Podążyli dalej szybkimi krokami, tam gdzie sześć czy siedem koni ' 260 wypinając zady utworzyło krąg obronny. Parskały i wierzgały. Hauka-ropora minął ich z lewej strony, Anton okrążył je z prawej, sądząc, że będzie się mógł zbliżyć. Właśnie s'kręcił koło gromady koni, kiedy ujrzał coś w trawie. Nie mógł rozpoznać, co to jest, ponieważ noc była zbyt ciemna. Myślał, że to jakieś małe zwierzę, i chciał je minąć. Wtedy to coś uniosło się i Anton zobaczył, że ma przed sobą jaguara, który wprawdzie się zerwał, ale natychmiast przyciął się do skoku. Ucieczka w tej sytuacji byłaby najgorszym wyjściem. Anton zatrzymał się więc, skierował rewolwer na zwierzę i lewą ręką wyciągnął nóż.

- Hauka - zawołał - jaguar!

Inka właśnie przyszedł z drugiej strony koni. W tej samej chwili jaguar skoczył na Antona. 'I~n strzelił do niego, ale zwierzę go powa-liło. Anton poczuł ciężar bestii na sobie i jego smrodliwy dech. Był pewien, że teraz jaguar rozszarpie go pazurami, ale usłyszał nad sobą trzask, jakby siekiera uderzyła w pień drzewa. Jaguar uniósł się, potem nie wydając dźwięku, stoczył się na bok. Anton poczuł, że spadł z niego ciężar, ale jeszcze nie wierzył, że to prawda, więc się nie podnosił.

Wtedy pochylił się nad niin Inka i spytał troskliwie:

- Czy jeste~ ranny, Antonio? Czy nic ci się nie stało?

- Chyba nie - odparł Anton. - Nic mnie nie boli. A co ze zwierzęciem?

- Jest martwe. Utkłem je moją maczugą. Wstań, zobaczymy czy nie odniosłeś obrażeń.

Anton wstał. Nic mu się nie stało. Nawet ubranie było całe. Czy wystrzał tak zaskoczył zwierzę, że nie zdążyło użyć swej ostrej broni?

Ocalony serdecznie uściskał swego zbawcę i rzekł:

- Gdyby nie ty, już bym nie żył. Jak mam ci dziękować?

- Chciałbym, abyś zawsze był moim przyjacielem, tak jak teraz.

Ale wracajmy do naszych.

- A co będzie z jaguarem?

- Na razie go tu zostawimy. Niech Camba go zabiorą.

Nie odeszli jeszcze z miejsca; kiedy nadszedł ojciec Jaguar. Usłyszał 261 wołanie Antona, wystrzał i pospieszył z pomocą. A kiedy zobaczył, co się stało, pochylił się nad drapieżnikiem, zbadał go i rzekł:

- Samica, chyba pięcioletnia. Rzadko się zdarza taki wielki okaz.

Hauka, jesteś bohaterem! Co za potężny cios! Rozbiłeś mu czaszkę. W trójkę wrócili do wsi. Gdy Camba usłyszeli o tej przygodzie, wszyscy wyruszyli, by w triumfalnym pochodzie przynieść jaguara. Od razu ściągnięto z niego skórę, należała do Inki, ponieważ to on pokonał zwierzę. Podarował ją swemu przyjacielowi jako pamiątkę niebezpiecznej przygody.

Mieszkańcy wioski opróżnili kilka domów, by ich goście mogli choć raz przespać się pod dachem. Na rozkaz, jaki wódz wydał przez posłańców, w ciągu nocy i przed świtem przybyli liczni wojownicy z pobliskich wsi. W ciągu przedpołudnia nadciągnęli dalsi, a potem, ze swym dobytkiem, rodziny, które musiały uciec przed Abiponami

ponieważ ich domostwa położone były na zagrożonym szlaku.

‘Biali rozdzielili resztę zdobycznych strzelb pomiędzy wodzów, którzy także przybyli, a było ich wielu, ponieważ każda wieś ma swojego wodza. W wiosce zebrano się w koficu sześciuset młodych i silnych wojowników Camba. Ci ubodzy ludzie musieli oddać prawie całą żywność, jaką mieli w zapasie. Kiedy wojownicy wyruszali, trzeba ich było zaopatrzyć w żywność na wiele dni, ponieważ nie można było przewidzieć biegu wydarzeń. Ojciec Jaguar uspokoił ich i zapewnił

że pokonani będą musieli pokryć wszystkie koszty wojny. iM:’;

## Krokodylom na pożarcie

‘Ii~zeciego dnia brat Jaguar z Inką i starym Ancianem opuścili wieś, by wyjechać na zwiady naprzeciw wrogowi. Hammer zabrał ze sobą obu Indian, ponieważ wiedział, że znakomicie się spisują. Nazajutrz wojownicy Camba mieli przybyć do Doliny ~Vyschniętego Jeziora, by tam zająć stanowiska, które im dokładnie wyznaczył i opisał. Podczas nieobecności brata Jaguara dowództwo nad nimi miał sjarawować Geronimo. Była to okoliczność, która od nowa wzbudziła wściekłość porucznika Verana.

Gdy przywódca ze swymi towarzyszami odjechał, doktor Morgen-stern rzekł do Fritza.

- Toraz go nie ma. W jego obecności nie ważyłbym się wykonać swego planu. On ma wszędzie oczy i zaraz by spostrzegł nasze znik-nięcie. Rospieszylby za nami i nas zawrócił.
- To by go bardzo rozzłościło - rzekł Fritz. - Więc pan dalej myśli o swoim planie?
- Tak, i im dłużej się zastanawiam, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że inaczej nie zdobędę tych wspaniałych kości. Chyba nie pozostawisz mnie samego?
- Skądże! Przecież pan mnie zna. ,

## 263

- No to dobrze. Zatem zrealizujemy mój plan. Tylko kiedy? Za dnia to będzie niemożliwe.
- Nie, bo ten Geronimo z sępiim nosem nas nie puści. Możemy się wymknąć tylko w nocy. Wtedy nie zauważą, kiedy odprowadzimy na bok konie i zabierzemy niepostrzeżenie siodła, Zdobędę rzemienie do przytroczenia kości. Niech pan to spokojnie pozostawi na mojej głowie. Sprytny chłopak cały dzień zajmował się przygotowaniem. Wieczorem wszyscy bardzo wcześnie poszli spać, bo nazajutrz mieli z samego rana wyruszyć. Dlatego Fritz już o północy mógł poinformować swojego pana, że wszystko jest gotowe. W ciągu wieczora wyniósł do lasu trzy siodła juczne i dwa pod wierzch, a potem ukradkiem wyprowadził konie. ‘I~raz wzięli swoją broń i cichutko się wymknęli. Kiedy dotarli do koni, osiodłali je, połączyli ze sobą juczne zwierzęta, byje razem poprowadzić, następnie dosiedli koni i pojechali.
- Czy aby znajdziemy to bagno z kościami? - denerwował się uczoney.

- Z całą pewnością - uspakajał go Fritz.
- Księżyc jest taki cienki jak ostrze noża i prawie nie widać drogi.
- Ja nie, polegam na księżycu, lecz na swojej pamięci. Dokładnie pamiętam kierunek, jak gdybym dwadzieścia lat był tutaj listońszem. ;:~v,;

Owszem, Fritz znał kierunek i jechał do przodu, ale kiedy znaleźli się ~ pod lasem, nie mógł znaleźć miejsca, gdzie przed trzema dniami wyszli z niego na wolną przestrzeń. Musieli więc zsiąść z koni i czekać, aż wzejdzie słońce. Ale nawet wtedy różne miejsca wydawały im się tymi właściwymi i musieli wielokrotnie zawracać. Już od dwóch godzin było widno, kiedy przypadkiem natrafili na ślad brata Jaguara,

który mógł im teraz służyć za kierunkowskaz. 'Ii~op ten tak długo się zachował, ponieważ trawa była wysoka i gęsta, a jeźdźcy nie uznali za '.;~',.I konieczne, by zachować ostrożność. Jechali więc teraz tym śladem i ;,'.r.:. szczęśliwie przebyli las aż do małego strumyka, a potem kierując się '>:;ż~ nim, zjechali do Doliny Wyschniętego Jeziora.

## 264

'Ixtaj pozwolili koniom się napić i trochę wypocząć, po czym ruszyli w dalszą drogę. Widzieli teraz wyraźnie ślady brata Jaguara i jego obu towarzyszy. Gdy mieli już za sobą dolinę, Fritz, zamysłony, zatrzymał się, spojrzął z konia na ślad i rzekł:

- Wydaje mi się, że brat Jaguar zmylił drogę.
- Dlaczego? Co masz na myśli?
- Pojechał za daleko w lewo. Właściwa droga powinna prowadzić bardziej w prawo.
- Chyba się mylisz. Brat Jaguar nie mógł pojechać złą drogą.
- Ale jak zbiorę razem moje pięć rozumów, to dochodzę właśnie do takiego wniosku. Kiedy tu jechali~my, droga była prosta jak drut. A teraz widzę, że trop prowadzi za bardzo na lewo. Więc jak teraz pojedziemy?
- Właśnie tym śladem. Na pewno natrafimy na bagno.
- Posłucham pana. Niech tak będzie.

Jechali więc dalej. Minęło kilka godzin, zaczął się piaszczysty grunt i już nie było widać śladów. I3rzymali się dotychczasowego kierunku, choć okolica wydawała im się nieznaną. Znowu minął dłuższy czas, Fritz zatrzymał konia i rzekł:

- A jednak się nie omyliłem, pojechaliśmy źle. Powinniśmy już dawno dotrzeć do bagna.
- To prawda. Ale brat Jaguar nie mógł zmylić drogi.
- Więc miał jakiś powód, aby ominąć bagno.
- A my straciliśmy cenny czas. Co teraz zrobimy? Czy mamy zawrócić do Doliny Wyschniętego Jeziora?

- Tego nie zrobię za nic na świecie. Wyszliśmy się za bardzo do przodu, musimy więc zawrócić i kierować się w prawo. Jeśli i wtedy nie dojedziemy do bagna, to niech mnie usmażą na maśle i zjedzą! Ruszyli w proponowanym przez Fritza kierunku i rzeczywiście po pewnym czasie zobaczyli nadbrzeżne drzewa bagna. Niestety dzień miał się ku koficowi i słońce już prawie zaszło. Nad bagnem zsiadli z koni i poprowadzili je ostrożnie w pobliże 265 miejsca, gdzie pozostawili kości..

- 'I~raz trzeba się uwijać - rzekł Fritz. - Za godzinę zapadnie noc. Do tej pory musimy załadować kości na siodła. A potem w nogi!
- Nie pozostaniemy tutaj?
- Nie. Dziś jest ostatni dzień i mogliby przybyć tu Abiponi. To by dopiero mieli gratkę, gdyby tak zgarnęli pana i mnie! Zabierajmy się zżawo do roboty, ale niech się pan wystrzega krokodyli. Dziś dopiero widzę, ile ich tu jest.

Istotnie, kiedy się dokładnie przyjrzało powierzchni wody, zwłaszcza w pobliżu brzegu, widać było chyba całe setki tych gadów. Kości leżały tak, jak je zostawili. Obaj zaczęli je układać i obwiązywać sznurami. Ale nie posuwało się to tak szybko, jak tego chciał Fritz, ponieważ jego pan musiał mu to i owo pokazać, wytłumaczyć i setki razy prosić, by zachowywał jak największą ostrożność, aby nic nie uszkodzić. Tizeba było tu coś zdrapać, tam obmyć jakąś część wodą. Czas mijał i obaj nie zwracali uwagi na to, co dzieje się w pobliżu bagna. Nagle usłyszeli donośny głos. Przykucnięci w sitowiu teraz się zerwali, by sprawdzić, kto tak niespodziewanie się tu zjawił. Byli ukryci za krzakami, ale między gałązkami mogli coś zobaczyć. Widok ten ogromnie ich zaniepokoił. .

Przybył tam bowiem cały oddział wojska, konnica i piechota. Ludzie ci najwiśniozniej chcieli się zatrzymać niedaleko bagna. Mieli zamiar spędzić tu noc. Kilkunastu jeźdźców zbliżyło się, bo z daleka dojrzeli konie, przy których teraz przystanęli. Jeden z nich był Indianinem, pozostali to biali. Zsiadli z koni i zaczęli rozglądać się na wszystkie strony, szukając w sitowiu śladów. Znajdowali się w odległości najwyżej czterdziestu kroków od uczonego i Fritza, widać było ich twarze.

- O Boże, ale pasztet! - szepnął Fritz do swego pana. - Czemu pan tak długo marudził? Wiedziałem, że tak będzie. Zna pan tych drabów?

- Niestety tak - odparł doktor, który teraz poczuł się bardzo

266 nieswojo. - Jeśli się nie mylę, to był Antonio Perillo, ktoby do mnie strzelał, a także kapitan Pellejo, który zaskoczył nas przy żółtym olbrzymie.

- A także ten osiłek, którego zwał gambusino! Panie doktorze, niech pan spojrz dalej! Zebrało się tam co najmniej ośmiuset uzbrojonych ludzi. A wie pan, kim oni są? To Abiponi!

- Czy nie możemy stąd uciec?

- A dokąd? Tam do tych drani czy też do wody? 'Pam złapią nas czerwonoskórzy, a tu pożrą krokodyle.

- Więc pozostafimy tutaj za krzakami. Może nas nie znajdą. A kiedy będzie ciemno, uciekniemy.

- Też ma pan pomysły! Schwytają nas, zanim upłynie pięć minut.

-To byłoby chyba niebezpieczne, prawda?

- W każdym razie niezbyt przyjemne.

- Co powiemy, kiedy nas zapytają, co tu robimy?

- Dobrze, że wpadł pan na to pytanie. Nic pan nie odpowie. Ja będę gadał. W każdym razie nie powinni wiedzieć, że jest tu brat Jaguar, i że Camba wiezą o zamierzonym napadzie.

Przyjechaliśmy tu całkiem sami. I pozostaniemy przy tym, nawet gdyby nas mieli wbić na pal, następnie powiesić, potem otruć, a na koniec zamordować. Uwaga! Teraz wpadli na nasz ślad. Niech to diabli!

Szukający odróżnili wreszcie stare ślady od świeżych. Zbliżyli się i szybko weszli za krzaki. Gambusino szedł przodem. Kiedy ujrzął obu mężczyzn, zawołał zaskoczony: ,

-Ay maravilla -co za cud! Kogbż to widzimy? Nasi drodzy starzy znajomi! Witamy, seniores! Co tu porabiacie? Czyżbyście znów znaleźli żółtą olbrzymia? Macie tu do czynienia z naprawdę starymi gnatami. Wkrótce wasze będą też wyglądały tak jak te tutaj! - Wybuchnął szyderyczym śmiechem, inni mu zawtórowali. Schwyтали obu i powlekli do koni, gdzie grunt był twardy i suchy, a więc pewniej-szy i bezpieczniejszy niż tam nad wodą. Okrążono ich, po czym przeszukano im torby. Odebrano im po raz drugi wszystko to, co 267 zawierały.

Gambusino stanął przed nimi, szeroko rozstawivszy nogi i zapytał doktora Morgensterna szyderyczym tonem.

- No, drogi przyjacielu, co się dzieje z bratem Jaguarem?

- On jest na waszym tropie - odparł Fritz szybko, aby dalsze pytania kierowano do niego.



- A ty co masz tu do gadania, bezczelny drabie! Ale niech tam, , ~ może będziesz bardziej szczerzy niż twój pan, który i wtedy nie chciał nam nic powiedzieć. Ty także zmarnowałeś swoje życie, ale możesz je jeszcze ocalić, mówiąc mi prawdę. Czy brat Jaguar istotnie jechał wtedy za nami?
- 'I~k.
- Jak daleko?
- 'I~go nie wiemy, nie byliśmy przy tym.
- Czego chciał w Gran Chaco?
- Chciał ze swymi yerbaterami zbierać herbatę.
- W jakiej okolicy?
- 'I~go nie wiem. W ogóle nic przy nas nie mówił, dowiedzieliśmy się tylko tyle, że chce szybko za wami jechać, by się dowiedzieć, dokąd zdążacie.
- Ilu ludzi miał ze sobą?
- . - Może ze dwudziestu.
- A skąd macie konie i broń? Przecież wam wszystko zabraliśmy.
- Dał nam, bo sądził, że bankier Salido mu za to zapłaci.
- 'Ikk też sobie pomyślałem. A skąd się wzięliście w tej okolicy?
- Słyszeliśmy, że w Gran Chaco znajdują się szczątki starych zwierząt, pojechaliśmy więc na chybił trafił. I znaleźliśmy to, czego szukaliś' my.
- Czy spotkaliście gdzieś Camba?
- Nigdzie. Kiedy wczoraj mijaliśmy kilka wiosek, były puste.
- Dlaczego?
- Skąd mogę wiedzieć, senior?

## 268

Wtedy olbrzymigambusino położył mu ciężką pięść na ramieniu i rzekł gniewnie:

- Słuchaj, człowieku, albo z ciebie największy na świecie głupiec, albo jesteś ogromnie przebiegły. W obu wypadkach nie zaszkodzi, ; je~li podzielisz łoś swego pana. Wiemy teraz, że brat Jaguar jest za nami, a nikogo nie ma przed nami, jak zresztą myśleliśmy. Ib wystarczą. Przywiążcie tych drabów do drzew! Potem wam powiem, jak się z nimi zabawimy. ‘

Ostatnie słowa skierował do swych kamratów. Przywiązano obu jeficów do drzew, po czym gambusino rozmawiał po cichu z otaczają-cymi go ludźmi. Po obrzydliwym śmiechu, z jakim wyrażili zgodę, należało się spodziewać wszystkiego najgorszego. Gambusino pod-szedł znów do swych więźniów i rzekł:

- Wydałem na was podwójny wyrok śmierci, abyście nie mieli żadnej szansy znów się nam wymknąć. Zostaniecie powieszani, a zaraz potem pożarci przez krokodyle. Tylko diabeł może wam dać nadzieję na ocalenie.

Doktor chciał coś powiedzieć na swoją obronę, lecz Fritz rzekł:

- Niech pan nic nie mówi! Każde słowo byłoby daremne.
- Więc jesteśmy zgubieni, drogi Fritz!
- To się okaże. Jeśli nie zamordują nas w tej chwili, to zostaniemy uratowani.
- Kto nas uratuje?
- Brat Jaguar.
- Zó niemożliwe. Nie ma go tutaj. ~
- Owszem, jest. Właśnie kiedy ten łotr skończył swoją przemowę, przypadkiem spojrzałem na małą odnogę i ujrzałem, że jakaś postać pomachała do mnie z sitowia i znikła. 'R~ był brat Jaguar, poznałem go.
- Zapewne się omyliłeś. Słońce, po łacenie sol, już zaszło i nadchodzi zmrok.
- A jednak się nie omyliłem. Tb była jego wysoka, barczysta postać

269 i miał na sobie swoją skórzaną odzież. Pomachał do mnie i znów się ukrył.

Mężczyźni mogli bez przeszkód ze sobą rozmawiać, ponieważ ich wrogowie na krótki czas odeszli, by przywołać Abiponów na zaplano-wane widowisko. Czerwonoskórzy przerwali przygotowania do roz-bicia obozu i nadeszli, by się pogapić i pokpić sobie z obu więźniów. Benito Pajaro pozwolił im na to przez jakiś czas, po czym kazał się cofnąć.

- Zróbcie teraz dość miejsca, byśiny mogli zacząć zabawę. Roz-palcie tam pod drzewem ognisko!

Wtedy zobaczycie, jak te łotry będą podrygiwać.

Drzewo stało tuż nad wo,dą, tak, że połowa jego korony pochylała się tuż nad powierzchnią. Dolne gałęzie były tak mocne, że bez trudu mogły utrzymać ciężar dorosłego mężczyzny. Ludzie wykonali pole-cenie i rozpalili w pobliżu drzewa ognisko, które spłoszyło krokodyle 'leżące w wodzie tuż przy brzegu.

- One wróć! - zawołał gambusino do doktora. - Nic się nie bójcie - pocieszał go szyderczym tonem. - Wkrótce zawrzecie z nimi bliższą znajomo~ć. Jak sądzicie, co z wami zrobimy? Obaj więźniowie nic mu nie odpowiedzieli, więc ciągnął dalej:

- Powiesimy was na gałęzia~h nad wodą i tak wydłużymy rzemie-nie, by krokodyle mogły was dosięgnąć. W ten sposób zostaniecie ' powieszeni i pożarci jednocześnie.

Więźniom przeszły ciarki po plecach, a jednak ten rodzaj śmierci wydał się jednemu z ich wrogów nie dość okrutny, Był to Antonio Perillo. Stał obok gambusina i rzekł:

- Tb za mało dla tych arcyłotrów! 'I~n człowiek, który udaje ' Niemca, uszedł przed swoją kulą, potem udało mu się zbiec z naszej niewoli. A więc dwukrotnie zepsuł nam zabawę, pozbawił nas widoku „,': swojej śmierci. Dziś musi nam to wynagrodzić. Jeśli go powiesimy, za ~' chwilę nie będzie żył. A więc co nam z tego, kiedy pożrą go krokodyle. . Nie, oni muszą się pomęczyć znacznie dłużej, zanim skonają.

. i~

Y<)

270

- Więc co proponujesz?

- Powiesimy ich, owszem. Ale nie za szyję, lecz za ręce i spuścimy tak nisko, by krokodyle mogły ich niemal dosięgnąć, ale nie całkiem. Co za przyjemność będzie patrzeć, jak te łotry podrygują, kiedy zwierzęta zaczną po nich sięgać.

- Ale jeśli będą wisieli za wysoko, nie zostaną rozszarpani.

- Tylko tymczasem - roześmiał się toreador. - Najpierw prze-żyją strach przed śmiercią, a potem, kiedy zechcemy skoficzyć zabawę, opuścimy rzemienie niżej.

'Ta propozycja zyskała ogólne uznanie i zaczęto czynić odpowiednie przygotowania.

- Okropność - szepnął doktor do swego sługi. - Czy to są ludzie? Już wolałbym, żeby nas od razu rzucili krokodylom na pożar-cie.

- Nie - odparł Fritz - bo wtedy byłby z nami koniec, a tak zyskujemy na czasie. Odwagi, panre doktorze, odwagi! Jestem prze-konany, że brat Jaguar nie zostawi nas w biedzie. Właśnie to wyrafi-nowane okrucieństwo będzie dla nas ratunkiem.

Tymczasem zapadła ciemność i płonące ognisko rzucało pełzające cienie na krzaki i sitowie, a krwistoczerwone światło na, powierzchnię bagnistej wody, z której wyłaniały się łby lub paszcze krokodyli. Przyniesiono cztery lassa i związatio po dwa razem. Potem dwóch Indian wdrapało się na ,drzewo, każdy na inną gałąź i tak zawiesili lassa, że ślizgały się po gałęziach jak na rolkach. Po\_ tem zeszli na dół trzymając kofice rzemieni.

Więźniów odwiązano. Skrępówano im ręce na plecach, przeciąg- . nięto kofice lass pod pachami i umocowano na plecach. Potem kilku silnych ludzi chwyciło luźne kofice i kiedy więźniowie zawisli w po-wietrzu, owinęli je dokoła pnia drzewa.

Ponieważ obie gałęzie rozpościerały się nad wodą, więźniowie wiseli teraz tuż nad wodą. Kołysali się na lassach na wszystkie strony ; i wkrótce zwabili znajdujące się w pobliżu krokodyle, które głośnym 271 kłapaniem szczęk starały się ich pochwycić.

Zgodnie z propozycją toreadora lassa podciągnięto tak wysoko, że krokodyle nie mogły dosięgnąć nóg powieszonych. Mimo to obaj podkurczali je za każdym razem, kiedy paszcza pod nimi się rozwie-rała, nie wiseli więc spokojnie, lecz znajdowali się w nieustannym ruchu. Przecież któryś z gadów mógł się tak wysoko poderwać, by schwytać zębami nogę. Gdyby lasso się urwało, to z powieszonym byłby koniec, w jednej chwili zostałby rozszarpany. Nie da się opisać, co odczuwali obaj Niemcy. 'Itudno było stwierdzić, czy milczą, czy krzyczą, ponieważ Indianie tak głośno wrzeszczeli z radości, że zagłuszali wszystko, a biali wrzeszczeli razem z nimi.

Wrzask na chwilę cichł, ale podnosił się na nowo, kiedy jakiś krokodyl podrywał się, by chwycić ofiarę za nogę. 'Ik'wało to przeszło pół godziny, wszyscy ochrypli, wreszcie kilku mężczyzn zażądało, by zakoficzyć widowisko. Ale toreador zaprotestował, wołając: '

- Nie, jeszcze nie teraz! Niech pożyją jeszcze parę godzin w tym śmiertelnym strachu!
  - Ale nie mamy czasu tu stać i się gapić - wtrącił któryś z nich.
  - Musimy przygotować obóz i posiłek.
  - A kto każe nam tu 'stać? Oni wiszą całkiem mocno. Więc chodźmy do roboty. Kiedy wrócimy, zaczniemy zabawę od nowa.
- Zgodzono się z nim i wkrótce obaj więźniowie zostali sami. 'I-j okoliczności zawdzięczali swoje ocalenie.

Fritz bowiem się nie mylił, mówiąc, że zobaczył brata Zaguara. Jak już powiedzieliśmy, wyjechał on z dwójką towarzyszy, by obserwować Abiponów. Droga icli prowadziła do Doliny Wyschniętego Jeziora. Brat Jaguar był przekonany, że wróg skieruje się do tego miejsca. Gdyby pojechał im na spotkanie w prostej linii, to ryzykowałby, że na otwartej przestrzeni oni go spostrzegą. Dlatego skręcił trochę na lewo. Doktor Morgenstern jechał tym śladem i dlatego obaj nałożyli drogi.

Brat Jaguar wrócił znad granicy, która dzieliła teren Camba od

## 272

Abiponów, a potem dotarł na rozległą, pozbawioną drzew i zarośli łąkę. Stąd skręcił na prawo, by w ten sposób wyjść na tyły wroga i z ich śladów rozpoznać, jak wielka jest jego siła:

Jechali teraz lekkim kłusem na południe, by mieć czas na dokładną obserwację horyzontu. Przez dwie godziny. nie napotkali ludzi ani żadnych śladów. Potem jednak dojechali do bardzo wyraźnego śladu, biegnącego pod kątem prostym na ukos od ich kierunku jazdy. Widać było, że przeciągali tędy zarówno jeźdźcy, jak i piesi, ale ich liczbę można było określić tylko w przybliżeniu, bo ci, co jechali z tyłu, zadeptywali ślady tych z przodu.

- To Abiponi - rzekł Anciano. - Muszą c~uć się pewnie, jeśli idą tak szerokim pasem i pozostawili tak widoczny ślad. Nie potrafię jednak ustalić ich liczby.
- Bardzo bym chciał się tego dowiedzieć - rzekł brat Jaguar. - Jeśli pojedziemy za nimi, może znajdziemy jakieś znaki, które posłużą nam jako wskazówka. Widzę po trawie, że mamy przed sobą co najmniej cztery godziny jazdy. Ich szybkość nie dorównuje naszej, ale mimo to musimy się pospieszyć; ponieważ powinniśmy przed nimi dojechać do Doliny Wyschniętego Jeziora. W jakiś czas potem cała trójka dojechała do miejsca, gdzie obozowali Abiponi. Ponieważ puścili konie na położone z boku pastwisko, można było lepiej rozróżnić poszczególne wgłębienia. Młody Inka starał się zbadać miejsce. Brat Jaguar chciał mu dać sposobność wykazania się bystrością, więc zapytał:

- No eo, Hauka, ilu wrogów mamy przed sobą?
  - Może pięćdziesięciu jeźdźców. I piętnaście razy więcej ludzi bez koni - odparł młodzieniec stanowczo.
  - Dobrze to oszacowałeś, tak prawie jest.
  - Ga teraz zrobimy? - zapytał Anciano. - Pojedziemy dalej za nimi?
  - Nie! Wiemy teraz, jak sprawa wygląda, osiągnęliśmy cel i wracamy do naszych Camba. Teraz znów skierujemy się na północny
- 273 wschód jak tylko dotrzemy do naszego śladu, pojedziemy nim z powrotem.

Mijały godziny. Droga zabrała im prawie dwa dni, ponieważ wyruszyli wczoraj rano, a teraz już dawno minęło południe. Nagle ojciec Jaguar zatrzymał konia i zeskoczywszy, spojrzawszy na ziemię. Znajdowali się teraz w miejscu, gdzie Morgenstern i jego sługa stwierdzili, że zmienili kierunek.

- Dziwna rzecz - rzekł brat Jaguar. - Za nami jechało pięciu jeźdźców, którzy skręcili na zachód. , 4
  - Z Doliny Wyschniętego Jeziora - uzupełnił Anciano.
  - W każdym razie to nasi przyjaciele, bo tam nie mogą być Abiponi. Pojechali do Bagna Kości. Co to znaczy? Co za brak przezorności u tych Camba!
- Haukaropora poszedł kawałek tym śladem, a kiedy wrócił, rzekł:

- To nie Camba zachowali się tak nieostrożnie. Nie powinienem zabierać głosu, bo jestem młody, ale jeśli się nie mylę, jechał tędy mały uczonec i jego sługa.
- Tb byłyby dwie osoby, ja zaś widzę w trawie ślady pięciu koni.
- Nie obejrzał pan jeszcze dokładnie śladów. Kiedy pan je zbada, spostrzeże pan, że ci dwaj prowadzili ze sobą trzy konie. Gdy brat Jaguar zsiadł na ziemię, przekonał się, że młody Inka ma rację.

Dwaj jeźdźcy i trzy konie, to chyba konie juczne - pomyślał. - Bardzo prawdopodobne, że doktor nie myślał o niebezpieczeństwie, tylko o tych starych kościach! Zabrał ze sobą juczne konie, by załadować na nie kości.

- Dziwię się tylko, że senior Geronimo pozwolił im się oddali~.
- On? Na pewno nie! Oni mu się wymknęli po kryjomu, nocą, tak, . by nikt tego nie spostrzegł. Dlatego dopiero niedawno tu byli. Nie pozostaje nam nic innego, tylko jak najostrożniej wyruszyć do bagna, by stwierdzić, czy zdołamy jeszcze zapobiec niebezpieczeństwu tych lekkomyślnych ludzi.

## ~74

Pojechali teraz tropem tamtych dwóch. Musieli jechać galopem, ponieważ bagno było oddalone o dwie godziny, a właśnie tyle mieli czasu do zapadnięcia zmroku.

Kiedy tak pędzili przez równinę, wciąż mieli wzrok skierowany na okolicę, z której należało się spodziewać wroga. Minęła godzina i jeszcze pół, bagno musiało już być niedaleko. Wtedy Inka wskazał na południe i rzekł:

- 'Pam ukazują się jeźdźcy. Tworzą duży punkt, dlatego ich widzę, ale oni jeszcze nas nie widzą, bo jest nas tylko trzech.
- Musimy zatoczy~ łuk, by zejść z ich pola widzenia! - zawołał Hammer. - Jeśli między nami a nimi będzie bagno, to prawdopodobnie nas nie zobaczą.

Po kilku sekundach znikł punkt; który ujrzał Haukaropora. Zatoczyli szeroki łuk na północ, przedłużyli go do półkola, które poprowadziło ich znów na zachód. Wtedy ujrzeli w oddali drzewa, potern . także niskie zarośla i po kilku minutach zatrzymali się na północnym skraju bagna, które oddzielało ich teraz od nadejmujących Abiponów. Słońce zaczęło właśnie zachodzić:

Zsiedli z koni i przywiązali je. Brat Jaguar wyjął lunetę z torby i wdrapał się na drzewo. Zobaczył, że nadciągają Abiponi. Na czele podążali jeźdźcy, wydawało się, że byli to sami biali, za nimi

Indianie szli pieszo. Hammer przeszukiwał za pomocą lunety trzciny; ale nie mógł odkryć Morgensterna i Fritza, ponieważ tamci, przykucnięci, zajmowali się swym cennym znaleziskiem.

Młody Inka także wdrapał się na drzewo i po kilku chwilach zawołał do brat~ Jaguara:

- Pięć koni, senior! Widzę je.
- Gdzie?
- 'Tdm przy drzewach za zaroślami. Z pańskiego miejsca ich nie widać.
- Więc Abiponi musieli ich zauważyć.
- Tak. Jeźdźcy właśnie do nich galopują.

## 275

- O Boże! Zaraz znajdą tych nieszczęśników!

Niestety teraz zmrok zapadał tak prędko, że dalsza obserwacja była niemożliwa. Brat Jaguar zszedł z drzewa, Inka także i rzekł:

- Przemknę sę tam.
  - Tb niebezpieczne - ostrzegł Anciano.
  - Nie boję się Abiponów!
  - Nie ich mam na myśli, lecz krokodyle ukryte w sitowiu.
  - Toraz jeszcze można je dojrzeć. Posłuchajcie!
- Rozległy się stamtąd donośne głosy.

- Złapano ich - ciągnął Hammer dalej. - Muszę się dowiedzieć, co się z nimi dzieje.
- Idę z panem - rzekł Anciano.
- Ja 'także - powiedział Hauka.
- Jedęn musi zosta~ przy koniach. Niech idzie ze mną Anciano.

Hammer i stary odeszli pochyleni, skradając się prze~ sitowie. Póki były zarośla, za którymi mogli się ukryć, nie sprawiało to trudności, ale wkrótce musieli się położyć. Należało przy tym zważać, by nie poruszyć trzciny. Ostre źdźbła kaleczyły im ręce, na co jednak nie zważali. Często musieli się czołga~ przez cuchnącą kałużę, która sięgała im do ramion. Tak podchodzili coraz bliżej i znajdowali się już najwyżej o sześćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie Hauka widział uwiązane konie.

Dotąd byli tak ostrożni, że nie unosili głów ponad końce trzciny, teraz jednak trzeba było wykorzystać resztki światła dziennego. Brat Jaguar uniósł głowę na tyle, że mógł obserwować, sam nie będąc widziany.

Stał tam doktor ze swyrn sługą obok białych, którzy przybyli z Abiponami, a trochę dalej w tyle widać było kilka grup czerwonoskó-rych. Fritz miał twarz skierowaną właśnie w to miejsce, gdzie znajdowali się dwaj obserwatorzy, podczas gdy wszyscy inni spoglądali na obu jeńców. Wówczas brat Jaguar podniósł się, ale tylko na chwilę i dał Fritzowi znak, po czym znów szybko się pochylił.

## 276

- Co pan robi! - szepnął Anciano. - 'I~n ruch możemy przyplą- , cię życiem.
  - Nie, bo nikt tego nie zauważył, ale Fritz mnie zobaczył i powie swemu panu, żeby nie tracił nadziei na ratunek.
  - Co oni zrobią z tymi nieostrożnymi ludźmi?
  - Wkrótce zobaczymy, bo wydaje się, że odbywają naradę. Wyrwij parę trzciny i trzymaj przed sobą.
- W ten sposób będziesz mógł swo-bodnie obserwować, co się tam dzieje.

Anciano usłuchał rady. Obaj widzieli, że gagan:busino przemawia do swoich kamratów, ale nie mogli już dostrzec ich twarzy. Potem usły-szeli głośne okrzyki aprobaty, ale nie rozumieli poszczególnych słów. Zapadła ciemność i pod drzewem rozpalono ognisko. Obu mężczyzn

zawleczono w jego pobliże. Płomień rzucał blask na postacie i twarze. Wtedy brat Jaguar wydał krzyk, który z pewnością usłyszeli jego wrogowie, gdyby ich własne głosy nie były takie donośne.

- Co takiego, co się dzieje? - zapytał Anciano:

Hammer nie odpowiadał. Wzrok jego spoczywał z wściekłością na grupie mężczyzn stojących przy ognisku.

- Dlaczego pan krzyknął? - mówił Anciano dalej. - Co by była, gdyby oni pana usłyszeli? Co pan tam zobaczył?

Anciano słyszał, że brat Jaguar ciężko dyszy, i powtórzył swoje

ostatnie pytanie. Wreszcie usłyszał odpowiedź. ~

- Widzisz tego barczystego mężczyznę, który wyróżnia się spośród reszty olbrzymim wzrostem? Właśnie mówi coś do uwięzionych.

- Oczywiście widzę go aż za dobrze i nawet znam.

- Co takiego? Naprawdę? - wydusił z siebie Hammer. - Znasz go? Kto to jest?

- Benito Pajaro, którego zwą gambusinem.

- Ach! To on... on... on... 1b jego od lat poszukuję! ~ Przy tych słowach tak podniósł głos, że Anciano szybko wtrącił:

- Nie tak głośno, senior; nie tak głośno. Pan nas zdradzi. Co się z panem dzieje? Pan, najostrożniejszy człowiek, jakiego znam, naraża

nas na takie niebezpieczeństwo! Czy pan coś ma do tego gambusina?

- Czy ja coś do niego mam?

Powiedział tylko te słowa, wykrztusił je z zaciśniętych warg, a potem stary usłyszał, jak zgrzyta zębami. Wreszcie umilkł. Było to w tym czasie, kiedy związywano łąki. Później, jak już powiedzieliśmy, dwaj Indianie wdrapali się na drzewo. Kiedy Anciano to zobaczył, zapytał raczej siebie niż towarzysza.

- Co oni mają zamiar zrobić? Po co umocowują rzemienie na gałęziach?

- Chyba się domyślasz - rzekł brat Jaguar teraz już spokojniej.

- Czy chcą powiesić więźniów?

- 'Idk.

- Więc nie możemy ich uratować?

- Może się uda. Oni chcą powiesić ich nie za szyję. Gdyby mieli taki zamiar, byłoby to znacznie prostsze, nie potrzebowaliby wyszu-kiwa- gałęzi, które zwisają nad wodą. Uważaj!

Teraz nastąpiła już opisana scena. Kiedy obaj więźniowie wiseli na gałęziach i krokodyle podływały, Anciano szepnął:

- Co za okrucieństwo, senior! Proszę tylko popatrzeć, jak te ~, zwierzęta starają się ich dosięgnąć. Co robić?

- Teraz nic, musimy poczekać. Położenie tych biedaków jest co ~ prawda okropne, ale już nie śmiertelnie niebezpieczne. Rzemienie wokół piersi bardzo ich uciska, ale jest to do wytrzymania - : 'r ą nia.

- Najchętniej skoczyłbym w sam środek tych łotrów!

- To by nic nie pomogło, tylko przyniosło zgubę tym, których chcemy ocalić. A więc cierpliwie~ci!

Rozmawiali ze sobą głośno, ponieważ Abiponi wydawali diabel-

skie wrzaski. Powoli wrzaski osłabły, minęła chwila, po czym obaj ' ;z~

zobaczyli, że Abiponi ze swymi białymi sojusznikami odeszli i już nie w~

zajmowali się swymi ofiarami. ~s~

- 'I~raz, senior! - szepnął Anciano. - Czas działać.

Już miał się podnieść, ale Hammer pociągnął go na dół i rozkazał:

- Zostafi! Chcesz wszystko zepsuć? Czy widzisz, gdzie znajdują się nasi wrogowie?
  - Nie. Jest ciemno, ale już sobie poszli.
  - Może. Nawet prawdopodobnie. Zostawili tych biedaków na gałęziach, by możliwie jak najdłużej się męczyli i dopiero potem wydadzą ich na pastwę krokodylom. T~raz zapewne będą zbierać drzewo na ogniska. Są więc w pobliżu. Dopiero kiedy zapalą ogniska, będziemy mogli ich obserwować i wtedy ryzyko nasze nie będzie takie wielkie.
  - Zostawią strażę pod drzewem.
  - Załatwimy ich nożami. Właśnie ich okrutny zamiar przedłużenia tortury dowodzi, że czują się pewni. Mamy czas.
  - Jestem innego zdania. Wróg musi sobie zdawać sprawę, że jesteśmy blisko.
  - Kto wie, co ten Fritz im powiedział. Kiedy idzie o życzenie jego pana, popełni największe głupstwo. Ale poza tym to bardzo sprytny chłopak i nie sądzę, by cokolwiek zdradził.
- Teraz ujrzeni, jak na równinie rozbłyskają ogniska. Obóz był dość daleko, od bagna i brat Jaguar ujrzał ku swemu zadowoleniu, że drzewo, na którym wisieli więźniowie, zasłonięte było zaroślami, co mogło ogromnie ułatwić ich ratunek.

Indianie wciąż jeszcze zbierali drzewo i trzcinę do podsycania ognisk. Należało więc czekać, a ~o było niemal ponad siły starego Anciana.

- Senior, jeśli wkrótce nie wyruszymy, to gotów jestem popełnić głupstwo. Mógłbym tych łotrów udusić.
- Bądź cicho! We mnie gotuje się o wiele bardziej niż w tobie: Nie masz, pojęcia, co odczuwam od kwadransa. Na pewno mnie trudniej jest zmusić się do spokoju niż tobie. Ale widzę, że teraz rozdzielają mięso. Ib przyciągnie ludzi i długo zatrzyma.

Abiponi zgromadzili się w jednym miejscu. Ci, którzy jeszcze 279 zbierali opał, także tam pospieszyli. Skraj bagna ~nikt teraz nie obserwował. Ogniska pod drzewem nie podsycano i nie paliło się już dość jasno. 'Pak, że z obozu nie było bardzo widoczne. Brat Jaguar zerwał się i pobiegł do drzewa, za nim Anciano. Zarośla zasłaniały ich przed obozującymi przy ogniskach. 'I~raz należało działać szybko, ale ostrożnie.

Brat Jaguar schwycił swoje łąso, przygotował do rzutu i zawołał zduszonym głosem do wiszących:

- Nadeszła pomoc. Trzymajcie się sztywno i nieruchomo, póki nie staniecie na twardym gruncie! Rzucił łąso tak zręcznie, że jego koniec owinął się dokoła tułowia doktora. Potem nakazał Anciano:

- Odwiąż rzemień, na którym on wisi, ale trzymaj go. Niech się przesuwają po gałęzi tak, bym mdgł przyciągnąć doktora na swoim łąsio.

Anciano zrobił, jak mu kazano. Odwiązał łąso od pnia, ale mocno je trzymał, aby doktor nie wpadł do wody. Potem je puścił, a Hammer przyciągnął balansującego między niebem a ziemią doktora na brzeg. Jeden ruch nożem i ramiona uczonego były wolne. Chciał coś powiedzieć i zdjąć z siebie łąso. Lecz brat Jaguar rozkazał:

- Niech pan stoi spokojnie i nic nie mówi. łąso pozostanie na razie na pańskim cielem. Nie miał na myśli swojego łąsa, które już odwiązał, lecz to, na którym doktor wisiał. 'I~raz zarzucił łąso na Fritza i chłopak w taki sam sposób jak jego pan został przeniesiony na twardy grunt. Po czym powiedział:
- Oni powinni myśleć, że zerwały was i pożarły krokodylem. Dlatego nie mogę was ani odwiązać, ani odciąć, tylko urwać. Ponacinał rzemień tuż przy ciałach ocalonych, a następnie je

rozerwał. Lassa przerzucono na drzewach tak jak przedtem. Oderwane kofice zwisały z gałęzi nad wodą, jak gdyby ci, co na nich wisieli, zostali ściągęci przez żarłoczne zwierzęta.

## 280

Poszło to nadzwyczaj szybko. Podczas całej czynności brat Jaguar bacznie obserwował obóz. 'Iam nikt ani myślał zainteresować się więźniami. Wszyscy byli zajęci jedzeniem i dopiero po posiłku zauważyli, że ognisko pod drzewem wygasło. Gambusino posłał tam człowieka, by je na nowo rozpałił. Ledwie ten poszedł, zaraz przybiegł z powrotem meldując:

- Krokodyle pożarły naszych więźniów!

Nikt nie chciał w to uwierzyć. Wszyscy się zerwali, aby zobaczyć, czy to prawda. Przy świetle rozpalonego na nowo ogniska ujrzeli zwisające końce lassa. Pod nimi wylegiwały się krokodyle, wpatrując się nieruchomo w brzeg.

- Doprawdy, nie ma ich! - zawołał Antonio Perillo. - Kto by przypuszczał? Jak to się mogło stać?

- Krokodyle widocznie wysoko skoczyły i uchwyciły powieszonych

- odparł kapitan Pellejo.

- Wątpię - rzekł gambusino. - Wisieli tak wysoko, że żaden krokodyl nie mógłby ich dosięgnąć.

Czyżby znalazł się tu ktoś, kto ich odciął? Ściągnijcie lassa z drzewa. Zaraz zobaczymy, czy nie odcięto ich nożem.

Ściągnięto rzemienie, dokładnie je zbadano i stwierdzono, że były zerwane.

- Więc jednak skoczyły tak wysoko - rzekł gambusino. - Widocznie były bardzo wygłodzone. A smakowało im wyśmienicie, bo leżą tak, jakby czekały na więcej. W każdym razie pozbyliśmy się wrogów. Otrzymali swoją zapłatę.

- Jeśli o to chodzi - rzekł Perillo gniewnie - to jestem mocno zdziwiony, że tak prędko poszło. Mieli wisieć dłużej. O wiele dłużej. I chciałem być przy tym, jak ich rozszarpują. Gdyby ognisko nie wygasło, te bestie nie odważyłyby się na to. Powinienem był to przewidzieć.

Wybawcy Morgensterna i Fritza poprowadzili ich tymczasem koło bagna do miejsca, gdzie czekał Inka. Dotąd milczeli, ale teraz doktor 281 rzekł po niemiecku do brata Jaguara.

ř -To było okropne! Tb było jeszcze bardziej niż okropne! Jeszcze teraz drzę na całym ciele.

-Ja także-potwierdził Fritz. -Najpierw jeszcze byłojako tako, ale kiedy zawisłem na drzewie, a pod mną szczyrzyły zęby krokodyle, to dałeni za wygraną.

- Widział mnie pan? - zapytał brat Jaguar.

-Tak, poznałem pana i pomyślałem sobie, że pan nas nie zostawi w biedzie.

- Niech mi pan przede wszystkim powie, czy wypytywano was, skąd się wzięliście na bagnie?

- No pewnie, że nas wypytywano, ale ja pary z gęby nie puściłem.

Fritz opowiedział o przesłuchaniu. Po czym Hammer, dotąd mówiący gniewnym tonem, teraz rzekł trochę łagodniej:

- Na szczęście nie popełniliście samych głupstw. Ale jak wpadliście na ten fatalny pomysł, by wrócić do tego bagna?

- To moja wina - odparł uczoney. - Wciąż myślałem o tych kościach, siedziały mi w głowie, chciałem je mieć i dopóty męczyłem Fritza, aż się zgodził wrócić tu ze mną.

- Co za lekkomyślność! Później mi pan wszystko opowie. Teraz musimy ruszać. Nie macie już koni. Ponieważ jesteście wyczerpani, musicie jechać konno. Ja i Anciano pójdziemy pieszo obok was. Teraz dopiero brat Jaguar uwolnił doktora i Fritza od resztek lassa, które jednak przezornie schował do torby.

Należało przypuszczać, że wrogowie pojedą prosto w kierunku Doliny Wyschniętego Jeziora. Aby nie dostrzegli ich śladów, brat Jaguar uznał za wskazane trzymać się w odpowiedniej odległości, ale wciąż równoległe do tej linii. Wyruszyli, na przedzie szedł Anciano, aby wskazywać drogę.



Po pewnym czasie ukazał się sierp księżycy, zrobiło się widniej i wtedy stary Anciano spostrzegł, że brat Jaguar idzie obok niego przygarbiony i zatopiony w myślach. 'I-go zazwyczaj tak silnego i 282 dzielnego człowieka najwidoczniej coś gnębiło. Mijał kwadrans za kwadrans, a on nie odzywał się ani słowem, tylko od czasu do czasu słychać było, jak zgrzyta zębami. Wreszcie stary przerwał milczenie, pytając półgłosem:

- Widzę, że coś pana gnębi, czy powie mi pan, co to takiego?
- Powiem ci, Anciano - odparł. - Szukałem tego człowieka od wielu lat, lecz nigdy go nie spotkałem.
- Szkoda! Gdyby pan mi powiedział o swoim życzeniu, dawno byłoby spełnione.
- To by nic nie dało, bo nie wiedziałem, że gambusino jest tym człowiekiem, którego poszukuję. Ale teraz go rozpoznałem. I to nie dopiero dziś, kiedy go zobaczyłem, ale już wcześniej, kiedy go usłyszałem. Gdy spotkaliśmy się najpierw tam, nad Rio Salado i z rąk Abiponów uwolniliśmy tych dwóch, których i dziś ocaliliśmy od śmierci, usłyszałem donośny, rozkazujący głos. Jego brzmienie sprawiło, że mimo wielkiego pośpiechu zatrzymałem się, ale mieliśmy las po prawej i po lewej stronie, wskutek czego głos miał inną barwę. Ale teraz go rozpoznałem.
- Gzy to pański wróg?
- Mam z nim rachunek do wyrównania, a pokwitowanie wypiszę krwią, mam nadzieję, że już jutro.
- A więc krew za krew?
- Tak. Zamordował mojego brata tam na Północy. Nie chcę opowiadać, jak to się stało. Było to tak okropne, że aż osiwiiałem. Zacząłem go tropić i dowiedziałem się, że pojechał do Ameryki Południowej. Ojczyzną jego jest Argentyna. Przybyłem tu, by go odszukać. I dziś go znalazłem, teraz już mi nie ujdzie, dopóki... nie wypiszę pokwitowania.
- Więc pan weźmie jednego, a ja drugiego.
- Kogo?
- Tego toreadora. Zapytałem go o skalp, który pokazywał porucznikowi Verano. . Tajemnica toreadora  
Ogniska przy bagnach wygasły. Czerwonoskórzy i biali położyli się spać, bo jutro z samego rana mieli wyruszyć. Wartownik stał przy koniach. Ale nie on jeden czuwał, poza nim jeszcze trzech ludzi nie spało, mianowicie gambusino, toreador i kapitan Pellejo.

Pellejo odczuwał wobec tamtych dwóch to samo co porucznik Verano wobec brata Jaguara. Był oficerem, a tamci nie byli wojskowymi, więc uważał, że stoi wyżej od nich. Ostatnio często się z nimi sprzeczał i zawsze musiał ustępować, ponieważ wpływ gambusina na Abiponów był większy niż jego. Stał się więc podejrzliwy i zniechęcony.

Dziś, kiedy obaj więźniowie zniknęli; siedział z żołnierzami, którzy zgromadzili się nad Jeziorem Palmowym, a za których przywódcę się uważał. Gambusino podszedł do nich z Perillem i powiedział:

- Panie kapitanie, jutro dotrzemy do dużej wioski Camba i od razu na nich napadniemy, udzielię teraz panu instrukcji.
- Mnie?... Instrukcji? - zapytał Pellejo zdziwiony. - Przyjmuję je tylko od zwierzchnika.
- Więc według pana nie jestem jego zwierzchnikiem?
- Nie.

## 284

- Wiedziałem o tym, ale dotąd milczałem. Jeśli jednak jutro ma dojść do walki, muszę pana uświadomić. Proszę to przeczytać. Wyjął z torby małą blaszaną kapslę. Otworzył ją, wyjął papier, rozłożył i podał kapitanowi. 'I-n czytał przy świetle ogniska, po chwili zbladł i zwrócił rękawkę.
- No i co? - zapytał gambusino. - Kto tu jest zwierzchnikiem?
- Przekonał mnie pan, że mam mu się podporządkować.

- Nie tylko pan sam, lecz także wszyscy pafiscy podwładni. Proszę im to powiedzieć.  
 - Uczynię to, senior! - rzekł kapitan z trudem opanowując gniew.  
 Ruszył w głąb nocy, by uspokoić swój gniew, kiedy wrócił, ogień zgasł. Mimo to zauważył, że gambusino i toreador nie byli na swoich miejscach. Położył się obok swego kaprała i kiedy spostrzegł, że ten nie śpi, zapytał cicho: ,  
 - Gdzie jest nowy pułkownik, a może generał?  
 - Poszedł w stronę bagna, układają tam z Perillem plan.  
 - Co się tu działo, kiedy odszedłem?  
 - Nic poza tym, że mnie także pokazał swoje pełnomocnictwo.  
 - Czy jest prawdziwe?  
 - 'Pak, podpisane przez wiceprezydenta konfed~racji i ma jego pieczęć. Musimy go słuchać.  
 - To j~ już nie mogę wam rozkazywać?  
 - Panie kapitanie, powiedziałem, że musimy być posłuszni. Jeste-śmy żołnierzami i brak poshyszefistwa przypłacimy głową.  
 - To taka jest wasza wierność! Kto by przypuszczał!  
 Owinął się w derkę i usiłował zasnąć. Całkiem zapomniał, że sam jest rebeliantem, więc nie ma prawa gniewać się na swych podwład-nych. Chciał tu odegrać ważną rolę, by potem szybko awansować, a tu nagle go odstawiono. Nie dawało mu to spokoju. Myślał o gambusino i Peril.lu. Ci dwaj mieli coś przeciwko niemu. Czy można by się dowiedzieć, co? Czemu nie? Może przypadek będzie mu sprzyjał.

## 285

Podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Wszyscy spali. Wygramolił się z derki i poczołgał w stronę bagna. Długo trwało, nim ujrzał przybrzeż-ne drzewa w świetle księżyca. Po pewnym czasie usłyszał ciche głosy. Kilka metrów dalej ujrzał tamtych dwóch. Siędzili blisko siebie na suchej trawie, rozmawiali po cichu, ale tak, że kapitan wyteżając słuch mógł wszystko słyszeć.

- Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć - rzekł gambusino. - Lassa były co prawda urwane, ale taki pięćdziesiątkrotnie spleciony rzemiefi ! jest przecież bardzo wytrzymały. Krokodyl może chwycić i odgryźć nogę, ale wydaje mi się niemożliwe, by zerwał lasso.  
 - Ja tam przyjmuję to tak, jak jest, i nie zastanawiam się za wiele  
 - odparł Perillo. - Któż mógłby tych dwóch, uwolnić?  
 - Brat Jaguar!  
 - Przecież go tu nie ma. Mały tak powiedział.  
 - Nie wierzę w śmierć małego, tak samo jak nie dowierzam jego słowom. Jest pułkownikiem czy nie? Uważamy go za Glotina. Jeśli nim jest, to ma na tyle rozumu; by nas zwodzić. Powiedział, że brat Jaguar pojechał za nami. A jeśli pojechał przed nami?  
 - Tb by była paskudna sprawa. Musielibyśmy liczyć się z tym, że nie my na nich napadniemy, lecz oni nas zaatakują. Ten brat Jaguar j už kiedyś pomógł Camba w walce przeciwko Abiponom, choć w innej okolicy. Draby, których ma przy sobie, nie boją się nawet diabła.  
 - Musimy zachować ostrożność. Jeśli tak jest, jak przypuszczasz, to z pewnością zastawi na nas zasadzkę.  
 - Przecież widzielibyśmy jego ślady.  
 - Widzieliśmy wyludnione wsie i chaty, które napotkaliśmy po drodze.  
 - I to mają być ślady?  
 - Oczywiście! Mieszkaficy uciekli. Dlaczego? Z obawy przed nami. A więc musieli wiedzieć, że nadciągamy. A kto ich ostrzegł? Obawiam się, że brat Jaguar.  
 - Naprawdę tak myślisz?

## 286

- Tak. Poza tym dziwne jest, że wszystkie nasze magazyny broni są puste. Ponieważ sądziłem, że przypadkowo odkryli je Indianie, nie łączyłem tej okoliczności z bratem Jaguarem. Dziś, kiedy się nad tym zastanawiam, nie wierzę, że obaj nasi więźniowie zostali rozszarpani przez krokodyle. To, co tylko podejrzewałem, teraz uważam za nie-zbitą pewność~. Brat Jaguar jest tutaj!
- Ale jak on ich uwolnił? Rzemienie zwisały jeszcze z drzewa.
- Tego ja także nie rozumiem, ale ten człowiek potrafi dokonywać rzeczy, które dla innych są po prostu niemożliwe.
- Jeśli twoje przypuszczenia są słuszne, musimy liczyć się z tym, że już zwołał Camba i teraz gdzieś się z nimi ukrywa, by na nas napaść.
- 'I-go nie twierdzą, bo nie miał tyle czasu. Ale tak czy owak musimy się pospieszyć. Jeśli wyruszymy skoro świt, to wieczorem będziemy nad Czystym Strumieniem i jeszcze w nocy napadniemy na wioskę.
- A jeśli Camba są uzbrojeni?
- Wówczas nasza wyprawa wojenna weźmie w łeb.
- Demonio! Tyle kosztowała nas wysiłku i pieniędzy! Wróciliby-śmy jako nędzarze.
- Gramy va banque. Jeśli przegramy, nie pozostanie nam nic innego jak zaczynać od początku. Ja znów pójdę w góry, by szukać złota czy srebra, a ty powrócisz do swego zawodu toreadora.
- I ty pewnego pięknego dnia zginiesz w górach, a mnie czeka taki sam los na arenie. Stwierdziłem teraz w Buenos Aires, że już nie jestem tym samym toreadorem co kiedyś. Moje mięśnie zwiotczały, a członki zeszywniały. Nie, ani myślę wracać do dawnego zawodu.
- Więc co poćniesz? Może udasz się ze mną w góry?
- Aby kiedyś znaleziono mój szkielet w Kordylierach? Nie, maW lepszy pomysł.
- Jaki?
- Toreador przez chwilę się wahał. Potem odparł tajemniczo:
- Nikomu dotąd tego nie mówiłem i nikt miał o tym nie wiedzieć,

## 287

, ale może dojść do walki z Camba i mogę zostać ranny, a nawet zabity. . Więc szkoda by było, żeby ta tajemnica umarła wraz ze mną. Jesteś moim najlepszym kompanem, więc ci powiem.

- Aleś mnie zaciekawiał! Uroczysty ton, jakim przemawiasz, każe przypuszczać, że chodzi o coś zupełnie niezwykłego.
- Bo jest niezwykle! Mam bowiem na myśli skarb, który wydaje się po prostu niewyobrażalny.
- Skarb? Posłuchaj, czy ty przypadkiem nie bredzisz?
- Nie bredzę, to, co usłyszysz, jest szczerą prawdą. Dowiodę ci za pomocą jednej rzeczy, którą dokładnie znasz. , - Jaka to rzecz?
- Długie siwe włosy, które u mnie widziałeś.
- Ach, ten skalp Indianina, który chciał cię napaść, ale ty go zabiłeś?
- Ten sam. Ale sprawa przedstawiała się inaczej, niż dotąd mówi-łem. Tobie mogę wyznać prawdę, ponieważ sam często robiłeś podo-bne rzeczy. Nie Indianin na mnie napadł, lecz ja na niego.
- ? ,
- Demonzo Więc tak sprawa wygląda Otóż powiem ci szczerze że nie wierzyłem w twoją bajeczk . Nie miałeś wtedy ze sobą nic, co ę b wzbudziło chciwość Indianina. Awi c o na adleś a e o włos y ę n' g P , 1 g mają jakiś związek ze skarbem, o którym mówisz? Czy mam przypu-szczać, że tamten Indianin był posiadaczem skarbu ř -'l~k.
- ?
- e diablos! Mów wyraźniej! Czemu go nie zabrałeś

- Bo nie miał go przy sobie. Te kilka przedmiotów, które przy nim znalazłem, były częścią tego skarbu.
- Czy ci powiedział, gdzie znajduje się reszta?
- , - Nie.
- To nie wiesz, gdzie należy szukać owego skarbu?
- I tak i nie.
- Nie bądź taki tajemniczy.
- Znam co prawda okolicę, ale nie znam miejsca.

## 2~8

- Wobec tego nie masz co liczyć na ten skarb. Co ci po nim, jeśli go nie możesz znaleźć? Może istnieje on tylko w twojej wyobraźni?
- Istnieje naprawdę, mogę przysiąc.
- Gdzie?
- Tam, w górach, w kotlinie o nazwie Barranca del Homicidio.
- Znam to miejsce dokładnie. Krąży o nim legenda, że tam zostali wymordowani ostatni Inkowie.
- Tak jest. I przypuszczam, że Inkowie przed swą gwałtowną śmiercią tam ukryli swoje skarby.
- Hm! Często słyszałem, że Inkowie byli bardzo bogaci. Wszystko,

czego dotykał władca, było ze szczerego złota. Hiszpanie zawieźli podobno do swego kraju całe ładunki złota i srebra. Ale co tu gadać po prbźnicy, opowiadaj!

- Wszystkiego się dowiesz. Przybyłem wtedy z Chile, gdzie brałem udział w licznych walkach byków i zdobyłem kilka nagród, ale raż się wygrywa, raz przegrywa, wiesz; jak to jest... Straciłem wszystko i kiedy miałem wracać, musiałem zatrudnić się u kupca, który jechał do Salta. No więc powiem ci, że on tam nigdy nie dojechał, jak sobie możesz wyobrazić.

Wybuchnął złośliwym śmiechem. ~o krótkiej chwili ciągnął dalej:

- Byłem zupełnie sam, kiedy dotarłem do zbocza po tamtej stronie gór. Był wieczór, jak doszedłem do Barranca del Homicidio. Ponieważ tam był~, wiesz, że jest to rozległa, nieprzyjazna ok^lica. Pojechał-bym najchętniej dalej do Salina del Condor, ale było za daleko, a droga na dół jest tak zła, że nawet przy najjaśniejszym świetle księżyca łatwo można zablądzić, lub spaść. Schroniłem się pod skałą, przywiązałem muła do głazu i ułożyłem się do snu.
- I mogłeś zasnąć? - zapytał gambusino dziwnym głosem.
- A dlaczego nie?
- Z powodu kupca, który nigdy nie dojechał do Salty.
- Nie jestem starą babą. Kto umarł, nie wraca. Mimo to nie mogłem od razu zasnąć. Ale zamiast snu przyszedł ktoś inny.

## 289

- Aha, już wiem. 'Ibn Indianin!
- 'Tak. Była pełnia księżyca, na niebie riie było ani jednej chmurki. Usłyszałem kroki, nasłuchiwałem. Nadszedł jakiś człowiek, nie za-uważył ani iltnie, ani muła, minął skałę, za którą leżałem. Zatrzymał się i spojrzał na księżyc. Zobaczyłem wtedy jego twarz. Był to starzec, ale dobrze zbudowany i bardzo piękny. Miał na ramieniu łuk i koł-czan, a za pasem nóż. Innej broni nie posiadał i w ogóle wydawało się, że nic innego przy sobie nie ma. Zwracały uwagę jego siwe, bardzo , gęste, sięgające do bioder włosy. Jak później spostrzegłem, przytrzy- . mywane były spinką. Stał długo, nie ruszając się. Patrzył na księżyc, coś szeptał, jakby się modlił. Wydawało mi się, że czeka, aż księżyc dotrze do najwyższego punktu swego łuku, potem ruszył dalej.

- A ty skradałeś się za nim?  
- Chciałem, ale nie mogłem. Ostra krawędź rozpadliny była bo- = wiem niedaleko mnie. Ten człowiek tam poszedł i potem znikł, Po- :::~;~ wiadom ci, że na ten widok ciarki mnie przeszły. Sciana skalna opa r~ dała niemal pionowo, wydawało się, że nie ma tam kawałka mie~sca, gdzie można postawić stopę, a jednak ten siwy człowiek posuwał się';;;;'. z taką pewnością siebie, jak gdyby schodził po wygodnych schodach Włosy jego lśniły w świetle księżyca, potem nic już nie widziałem, tak ,~t głęboko zszedł. Kim był ten człowiek? Rysy twarzy wskazywały, że to ~ Indianin. Czego tu szukał? Dlaczego nie czekał, by ruszy~ w mebez ~~ pieczną drogę, aż będzie świtało? Gdzie miał swego muła? Czatowa::” lę na krawędzi rozpadliny, czekając na jego powrót. Leżałem tal~ całą noc, ale on nie wracał. Dopiero nad ranem, kiedy słońce wzeszło~r ~ nad wschodnią niziną, ujrzałem go jak powoli wspina się po tamtej,t,,. stronie. Miał na plecach tobolek. Kiedy wszedł na górę, wyc~gnął ramiona do słońca, jak gdyby je witał i potem ruszył dalej. Obsetw~ .. wałem go, ale tak, że on mnie nie widział. Z wysokości, gdae sy  
<  
znajdował ciągnęło się w dół skaliste zbocze. Zszedł tym zboczem ~ skręcił za drugą skałę, po czym znikł mi z oczu.

- Oczywiście podążyłeś za nim? - zapytał gambusino.

## 290

-Tak. Musiałem się dowiedzieć, kim jest ten człowiek i co wyjął w nocy z rozpadliny, albowiem węzełka, który teraz niósł, nie miał wieczorem przy sobie. Odwiązałem muła i pojechałem za nim. Nie musiałem nakładać drogi, bo jechał w kierunku Salina del Condor, dokąd i ja zmierzałem. Szybko zjechałem zboczem i skręciłem w miejscu, gdzie stromizna prowadziła do wąskiej doliny. Indianin już tam był. Wydawało się, że się bardzo spieszy, bo szedł prędzej niż mój muł. Pogoniłem więc zwierzę i tak się do niego zbliżyłem, że usłyszałem tętent kopyt muła. Zatrzymał się na chwilę, kiedy mnie zobaczył, przyspieszył kroku i chciał mi się wymknąć.  
- Zatrzymaj się, bo strzelam! - zawołałem - Nie usłuchał, toteż wystrzeliłem jedną kulę. Nie, trafiła go. W ogóle nie miałem wtedy zamiaru go zabić, usłyszał, jak kula uderzyła o skałę obok niego i chyba pomyślał, że lepiej zatrzymać się na mbj rozkaz. Gdy to uczynił, ja trzymając strzelbę w ręku, podszedłem do niego.  
- Co panu zrobiłem, że pan do mnie strzela? - zapytał wtedy.  
- Czemu uciekasz, kiedy każę ci się zatrzymać?

Wówczas starzec wyprostował się, potrząsnął swymi długimi siwy-mi włosami, jak lew grzywą, i odparł tonem władcy:

- i~to śmie mi tu rozkazywać? Może pan?

Przy tym oczy jego błysnęły wrogo. Ale nie tylko one błyszczały. Siatka bowiem, którą niósł, była upleciona z wyciętych i między oczkami prześwitywało złoto. Gdy nią poruszył, złoty ciężar wydał cichy brzęk. Nie wiem, jak to się stało, ale błyskawicznym ruchem skierowałem lufę na niego i wystrzeliłem. Strzał był celny, starzec upadł na ziemię.

- Przestrzeliłeś mu pierś?

- Nie, trafiłem go z tyłu, w serce. Kiedy skierowałem na niego lufę, zrobił szybko ruch w bok, abym go nie trafił, ale ja przejrzałem jego zamiar i trafiłem go od tyłu. Siatka ześliznęła mu się z pleców i upadła obok, otworzyła się przy tym. Wypadło z niej kilka przedmiotów. Były to małe złote naczynia i inne rzeczy, których przeznaczenia nie mogłem odgadnąć. Indianin był martwy, a przedmioty należały do mnie.

## 291

Zawinałem je w derkę i przytroczyłem do siodła.

- I oczywiście wróciłeś do Barranea?
- Nie. Przez dwa dni nie napotkałem wody, a muł musiał się napić, by nie padł. Dlatego przede wszystkim udałem się do Salina del Condor, bo jak wiesz, jest tam w pobliżu kilka źródeł. Potem dopiero zamierzałem wrócić do tej rozpadliny, by odszukać miejsce, skąd Indianin zabrał swoje kosztowności.
- Ale przedtem go oskalpowałeś?
- T~k. Nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy. Miałem w domu zbiór rozmaitych drobiazgów, pamiątek z moich dawniejszych wypraw. Kiedy stałem przed zabitym i spoglądałem na jego włosy, przy-pomniały mi się indiańskie skalpy, które widuje się w wielu zbiorach i pomyślałem sobie; że ta czupryna chyba warta jest tego, by ją zabrać. A więc odciąłem skórę z głowy i zawiązałem w derkę.
- Hm! A więc w ten sposób zdobyłeś skalp - rzekł gambusino przeciągle i w zamyśleniu. - Ja bym go chyba nie wziął.
- Dlaczego?
- Bo może cię zdradzić.
- Ciekawe jak?
- Właśnie dlatego, że jest taki wyjątkowy. Czy znasz wiele osób, które noszą takie włosy? W dodatku tak cudownie piękne, długie i siwe? I~n Indianin ma krewnych, znajomych, którzy na pewno go poszukują. A jeśli ktoś się dowie, że masz ten skalp? Może są ludzie, którzy znają tajemnicę skarbu. Nie mówiłbym nikomu o tym skalpie, a już na pewno bym go nie pokazywał.
- Ale od tego czasu minęło pięć lat. Nie mam się już czego obawiać.
- Mimo to ostrzegam cię, bądź ostrożny. Mam na myśli starego Indianina, który t~ak samo nosi włosy i mieszka w górach. Podobiefi-stwo fryzury daje do myślenia. Może on ma z tamtym Indianinem coś wspólnego? I~n człowiek mógłby na przykład przez przypadek dowie-dzieć się o tym skalpie, a wówczas, jeśli zna zabitego, byłby z tobą 292 koniec:
- Jak ten Indianin się nazywa?
- Ma przeszło sto lat i z tego powodu nazywają go stary Anciano. Mimo swego wieku jest jeszcze silny i sprawny jak czterdziestolatek, , a wsławił się odwagą i przebiegłością.
- Nie znam go i wcale mnie nie obchodzi. Jest biedny czy bogaty?
- Biedny.
- No to nic nie wie o tym skarbie, a twoje ostrzeżenie jest zbędne.
- Może. „Pak sobie tylko pomyślałem. Teraz opowiadaj dalej.
- Niestety, wszystko poszło inaczej, niż się spodziewałem. Chcia-łem w Salinie napić muła i sam się napić, by potem wrócić do Barranca. Ale kiedy tam przybyłem i skręciłem za róg, ujrzałem jakiegoś mężczyznę, który siedział i ze zdziwieniem na mnie spoglą-dał. Widocznie przyszedł z dołu i prawdopodobnie udawał się w góry. Pokrzyżował mi plan. Nie mogłem wrócić, bo by mnie na pewno śledził i zobaczyłby zabitego. Przysiąść się do niego też nie chciałem, bo zobaczyłby moją twarz i później mógłby mnie rozpoznać. Więc szybko go minąłem.
- Głupia sprawa! Dlaczego go nie zastrześliłeś?
- Pomyślałem o tym, ale kiedy on mnie zobaczył, sięgnął po strzelbę, a jego kula byłaby szybsza ‘od mojej. Byłem przez chwilę zaskoczony, ale zaraz potem odwróciłem od niego twarz. Popędziłem przez Salinę, po godzinie dotarłem do miejsca, gdzie była woda. ‘Idm się na krótko zatrzymałem, potem ruszyłem dalej. Przecucie mówiło mi, że ten człowiek będzie mnie śledził.
- Skąd to przecucie? Przecież z nim nie rozmawiałeś.
- Właśnie to musiało go zastanowić. Kiedy potem znalazł trupa, na pewno uznał mnie za mordercę.
- Jak on wyglądał? Oczywiście mu się przyjrzałeś?

- Nie, bo wówczas musiałbym się na dłużej zwrócić twarzą w jego stronę, a tego właśnie chciałem uniknąć. Nie widziałem dokładnie jego rysów, tyle tylko zauważyłem, że miał siwe włosy.

## 293

- A postać?
- Siedział na ziemi, więc nie widziałem, ale drobnej postury chyba nie był.
- Ha! Byłeś nierozważny. 'I~n człowiek może w każdej chwili się pojawi~ i cię oskarżyć. Powinieneś był przysiąc się do niego i w odpowiedniej chwili go zastrzelić.
- Później to samo pomyślałem i dziś żałuję, że tego nie zrobiłem, bo wydaje mi się, że ten człowiek przyjrzał mi się dokładniej, niż sądziłem.
- Dlaczego tak uważasz? Czyżbyś go później spotkał?
- Chyba tak. Rzucił mi w twarz pogroźkę, która mogła dotyczyć tylko tamtej sprawy.
- Kto to był?
- Brat Jaguar.
- Iialgame Dios! On? Więc ten człowiek jest w to zamieszany?

Perillo opowiedział o swym spotkaniu w gospodzie w Buenos Aires, gdzie brat Jaguar przypomniał mu Salina del Condor. Wtedy gambusino krzyknął tak głośno, że omal nie zbudził śpiących:

- Tb był on, na pewno on! Strzeż się go! 'Iirraz mamyjeszcze jeden powód, by jak najszybciej go sprzątnąć. Opowiadaj dalej!
- Jechałem wtedy cały dzień i całą noc, nie zatrzymując się dłużej niż na kilka minut i starałem się zatrzeć ślady. Ocz;zywiście aż się paliłem, by wrócić do Barranca i poszukać złota, ale musiałem w tej sytuacji całą sprawę przesunąć o kilka tygodni. Czas spędziłem w Chicoana, gdzie miałem szczęście spotkać handlarza starociami, któ-ry odkupił ode mnie cały złoty łup, nie pytając, skąd go mam. Suma, jaką otrzymałem, skusiła mnie i pojechałem do Salty. Tam zagrałem i znów straciłem prawie wszystko, tak że ledwie starczyło na podróż do Barranca.
- I nic nie znalazłeś?

- Niestety! Kiedy przybyłem na miejsce, gdzie zastrzeliłern India-nina, nie było po nim śladu. Kondory rozniosły jego kości. Potem,

294 w Barranca, przeszukałem dokładnie teren, ale nic nie znalazłem. Ilekroć później tam wracałem, poszukiwałem nadaremnie. Ale je-stem przekonany, że gdzieś tam są ukryte skarby, które kiedyś nale-żały do władców Peru.

- I b bardzo możliwe. Chyba nie dość dokładnie szukałeś. 'Iii potrzebna jest bystrość umysłu i duże doświadczenie, a tego tobie brakuje.
- To właśnie sobie powiedziałem i dlatego myślę, że w tobie znalazłem właściwego człowieka. Czy byłbyś gotów udać się ze mną do tamtej rozpadliny?
- 'I~k. Im wcześniej, tym lepiej. Nie należy się wahać; kiedy idzie o tak cenne rzeczy. Przypadek może skierować tam kogoś innego, kto odkryje to, czego ty mimo całego wysiłku nie zdołałeś znaleźć. Gdyby nasza wyprawa przeciwko Camba z jakiegoś powodu nam się nie powiodła, powinniśmy jak najszybciej pojechać w góry, by zagarnąć skarby zamordowanego przez ciebie Indianina.

- Sądzisz, że je znajdziemy?

- Mam nadzieję. A teraz zrobię rundę, by się przekonać, czy jesteśmy tu bezpieczni. Nie mogę pozbyć się my~li, że ten brat Jaguar jest tu w pobliżu i skrada się wokół nas.

Gdy kapitan usłyszał te słowa, szybko wycofał się do obozu i ułożył na swoim miejscu.

## Bitwa w dziewiczym lesie

Nazajutrz, ledwie zaświtało, zbudzono śpiących i przygotowywano się do wymarszu. Ponieważ spośród ośmiuset wojowników tylko pięć-i dziesięciu miało konie, było już prawie południe, zanim ukazała się gęstwina leśna otaczająca z obu stron Dolinę Wyschniętego Jeziora.

## Gdygambusino ujrzał tę okolicę, wezwał do siebie wodza Abiponów

Odważne Ramię, i zapytał:

- Czy ten las leży w dolinie, którą musimy przebyć?

- Tak, senior.

- I nie możemy go ominąć?

- Moglibyśmy, gdybyśmy okrążyli cały las, ale to zajęłoby nam dużo czasu.

- Nie mamy go zbyt wiele, bo dziś wieczorem musimy dojść do wioski Camba i w nocy na nich napasać. Czy w tej dolinie jest woda?

- Płynie tam strumyk, który wpada do małego jeziora.

- Więc tam się zatrzymamy, by wypocząć.

Słowa te usłyszał kapitan Pellejo, który przybył na czele pochodu i zamyślnym wzrokiem badał las. Jako żołnierz uznał za swój obowiązek ostrzec pozostałych.

- Senior, teren przed nami wymaga ostrożności. Nie możemy zbaczać ani na prawo, ani na lewo i musimy przejść przez dolinę, której ściany są dość wysokie. A jeśli wróg nas tam oczekuje?

- Byłbym bardzo rad z takiej lekkomyślności - odparł gambusino pogardliwie. - Wkrócimy do tej doliny i jeśli wróg tam na nas czyha, to go po prostu stratujemy.

- Ty łatwiej powiedzieć, niż wykonać... i radziłbym... .

- Nie pytam nikogo o radę, pana także nie - przerwał gambusino niegrzecznie. - Niech pan łaskawie zatrzyma swoje zdanie dla siebie, póki pana nie zapytam.

Kapitan odwrócił się oburzony, ale nie odezwał się więcej ani słowem i pochód ruszył dalej. Po pewnym czasie ujrzeli ślad ciągnący się z lewej strony i prowadzący prosto do doliny. Był to ślad brata Jaguara, który oczywiście musiał jechać do doliny. Gambusino zsiadł z konia, zbadał ślady i rzekł:

- Było tu kilka koni, a także jeden albo dwóch piechurów, ale to nie powód, byśmy się wahali.

Ludzie ci nadciągnęli z południowego wschodu, podczas gdy my idziemy z południa, tak więc oni nic o nas nie wiedzą.

Był tak pewny siebie, że kazał ruszać dalej, nie wysyłając zwiadowców. Kapitan Pellejo uznał to za wielki błąd, ale na razie milczał. Kiedy jednak zbliżyli się do lasu tak, że otwierało się przejście do doliny, nie mógł się powstrzymać i rzekł ostrzegawczo:

- Na pana miejscu wysłałbym kilku ludzi, by sprawdzili, czy dolina jest bezpieczna.

- Już panu powiedziałem, że życzyłbym sobie, aby tam było pełno Camba - odparł gambusino. -

Jeśli się pan boi, niech pan tu zostanie.

- Kto się boi, może zawrócić - zawtórował mu Antonio Perillo.

- Nie potrzeba nam tchórzy.

- Senior, czy o mnie pan mówi? - warknął oficer.

- Niech pan myśli, co pan chce.

- Dobrze, więc myślę tylko jedno, że tchórzostwem jest zastrzelić niewinnego człowieka, by obrabować go z kosztowności, a potem uciekać na widok pierwszego napotkanego człowieka w Salina del Condor.

Ledwo wyrwały mu się te gniewne słowa, już ich pożałował. Gambusino i Antonio Perillo spoglądali na niego z konsternacją. Gambusino oprzytomniał pierwszy i odparł ze śmiechem:

- Chyba się panu rozum pomieszało. Co to ma znaczyć?



- Później się pan dowie - odparł kapitan, zawracając konia. - Już nie usłyszysz pan ode mnie żadnej rady.

- 'I~n łotr na pewno podsłuchał nas wczoraj. Jak sądzisz, co mamy robić? - szepnął gambusino.

- Zmusić go do milczenia i to możł'iwie jak najprędzej, zanim będzie miał sposobność wypaplać to, co usłyszał.

, - Słusznie! Dziś jest ostatni dzień jego życia! Prawdę mówiąc, ma

on słusność ze swoją przestrogą, ale ja ani myślę służyć tych natar-

czywych rad. Osobiście nie wystawię się na niebezpieczeństwo. Zo-

staniemy przy wejściu do doliny i przepuścimy przodem naszych ludzi.

Wtedy się okaże, czy są tam Camba.

Tak też zrobili. Gambusino ruszył z Perillem i Odważnym Ramie-

;

niem przodem~ aż do wejścia i tam się zatrzymał, by przepuścić

wojsko. Odważne Ramię, odwracając się, uniósł rękę do góry, dając

znak, by gromada zaczekała, a sam pogalopował w głąb doliny. Gdy

wrócił, zameldował:

- Nie ma tam żywej duszy. Możemy śmiało jechać dalej.

- No to ruszam - rozkazał gambusino, odsuwając się z koniem

8

## C

na bok, by wraz z Perillem przepuścić pochód. Odważne Ramię jechał

na czele, za nim Abiponi, na koficu zaś biali żołnierze.

.. Odważne Ramię pomylił się, uznając, że dolina jest pusta i w

bardzo krótkim czasie zrozumiał swój błąd.

Gdy brat Jaguar dotarł do Doliny Wyschniętego

Jeziora, spostrzegł

ku swemu zaskoczeniu, że brzegi doliny jeszcze nie są obsadzone.

Zawołał więc z daleka do Geronima, który wyjechał mu na spotkanie.

## 298

- Mam nadzieję, że wojownicy są w komplecie?

- Wszyscy - odparł Geronimo.

- A gdzie?

- Tam ze mną nad rzeką.

- Czemu nie weszliście do doliny? '

- Bo twoi uczeni rodacy, których na nieszczęście przyprowadził~ś, uciekli nam. 'Obawiałem się, że zostaną ujęci przez Abiponów i wypaplają nasz plan. Dlatego uznałem, że lepiej będzie odczekać, aż wrócisz cały i dopiero potem obsadziE dolinę. Dobrze zrobiłem czy źle? '

- Dobrze, zasłużyłeś na pochwałę.

Brat Jaguar uściskał rękę Geronima. Biali skupili się dokoła nich, by powitać powracającego przywódcę. Morgenstern i Fritz zawstydzeni odeszli na bok. Woleli uniknąć przykrych pytań, ale znalazł się ktoś, kto nie miał nic lepszego do roboty, niż podejść do nich i zawołać ze śmiechem:

- Ależ, seniores, co wam przyszło do głowy opuścić nas bez pożegnania! 'Idk się o was martwiliśmy! Mógł was pożreć jakiś zółw olbrzym!
- To doktor Parmesan powitał ich w ten sposób. Morgenstern wołał milczee, Fritz przeciwnie.
- Nawet gdyby nas pożarł i tak byśmy się nie bali. Przecież pan by nas wypruł z brzucha tego zwierza.
  - Na pewno bym to zrobił, gdybym we właściwym czasie został zawiadomiony. Przecież wiecie; że żaden zabieg, żadna operacja nie jest dla rnnie zbyt trudna. Byliście nad bagnem?
  - Tak. Właściwie chcieliśmy pojechać na księżyc, ale jeszcze nie ma pełni, więc brak tam dla nas miejsca.
  - Z pańskiego wesołego nastroju wnioskuję, że wam się powiodło.
- A myśmy się obawiali, że wpadliście w ręce Abiponów. Ale jest tu pewna ciemna plama. Gdzie właściwie są konie, które zabraliście?
- L Pożarły je zółwie giganty. Jeśli zechce pan przeprowadzić jedną
- 299 ze swoich słynnych operacji, może będzie pan mógł uratować te biedne stworzenia.
- Z tymi słowami Fritz odwrócił się i poszedł w ślady swego pana, który usiadł pod drzewem.
- 'I~n chirurg chciał mi dokuczyć, ale sobie z nim poradziłem. Tb prawda, że straciliśmy konie, bardzo mi ich szkoda. Ale dziwi mnie, że brat Jaguar wcale nas nie zbeształ. Czy pan to zauważył?
  - Poczekaj! Jeszcze to zrobi, kiedy znajdzie czas.
  - Niestety, mam pan chyba rację. Ale niech pan się nie martwi.
- Biorę wszystko na siebie. Powiem, że to był mój pomysł. Wciąż mi te kości chodziły po głowie i nie spocząłem, aż pan się zgodził tam pojechać.
- Nie, Fritz, nic z tego. Nie przyjmę od ciebie takiej ' ofiary. Ib byłoby z mojej strony niehonorowe. Straciłbym szacunek dla saxńego siebie.
  - Co takiego? A kto żąda, aby pan sam siebie szanował? Nikt!
- Najważniejsze, że ja pana szanuję, i że inni też pana szanują.
- Daj spokój, drogi Fritz! I tak nikt by ci nie uwierzył. Co prawda gdybym wiedział, co się wydarzy; nigdy by do tego nie doszło: Popeł-niliśmy błąd, który chyba trudno będzie naprawić.
  - Wcale nie! Wiem, jak możemy odzyskać honor.
  - Jak?
  - Wykazując się odwagą.
  - Masz na myśl~i udział w walce, która ma nastąpić?
  - Oczywiście! A może woli pan wykazać odwagę, kiedyjuż będzie po walce?
  - I~m. Nie jestem tchórzem, ale człowiek odważny jest zarazem ~. człowiekiem żądnym krwi, a ja nie chciałbym przelewać krwi, po łacinie sangius.
  - Aha! Chce pan oszczędzić ludzi, ktrzy powiesili nas nad pasz-czami krokodyli? Nie przypominam sobie, bym był kiedykolwiek ludożercą, ale takich drani należy usuwać z tego świata. 300 podczas gdy Fritz usiłował obudzi~ w swym panu ducha wojowni~czości, biali zebrali się wraz z wodzami Carnba, by dowiedzieć się, co ojciec Jaguar odkrył podczas zwiadu. Opowiedział im wszystko.
  - Jestem przekonany, - dodał - że wpadną w nasze ręce. Wcale nie musimy się spieszyć, bo wedł'ug mnie nie dotrą tu przed pohzd-niem. Więc teraz stu waszych ludzi przejdzie przez dolinę i ukryje się przed wrogiem na skraju lasu. Poprowadzi ich Geronimo. W samej dolinie ja będę dowodził. Zajmę stanowisko pośrodku krawędzi. Oni rozbiją obóz, by wypocząć. Wówczas wyjdę z ukrycia, podejść do przywódców i zażadam,. by się pódдали.
  - A jeśli nie zechcą? - zapytał Geronimo.
  - To niech się wówczas dzieje, co się dzieć musi, ja swój obowiązek spełniłem.
  - Oni cię nie wypuszczą!

- Nie dam się tak łatwo ująć! Zastrzelę gambusina i Antonia Perilla, a strzały te będą sygnałem do rozpoczęcia walki.
  - Ale ty będziesz wśród nich. Nie, to zbyt ryzykowne.
  - Ja także jestem tego zdania - odezwał się porucznik Verano.
  - Już przedtem powiedziałem to bratu Jaguarowi, ale on nie chciał mnie słuchać. Po co oszczędzać tych drabów zwłaszcza, że jeden z nas musi się do nich udać, ponosząc śmiertelne ryzyko. Oni wszyscy nie są tego warci. Wystrzelajcie ich, jak tu przybędą, nie pozostawiajcie ani jednego przy życiu. Abiponi to dzikie bestie, a biali, którzy się do nich przyłączyli, to łajdaćy, a wobec łajdaków i dzikich bestii nie należy stosować łaski. Jeśli o mnie chodzi, to będę strzelał, kiedy oni nadejdą.
  - Nie, pan tu pozostanie! - odparł brat Jaguar surowym tonem.
  - Zna pan już moje zdanie. Mam nadzieję, że uda mi się pojednać oba wrogie dotąd szczepy. Poza tym chcę gambusina i Perilla ująć żywych, a to się nie uda, jeśli przed wydaniem rozkazu padną strzały.
  - A jeśli będę strzelał?  
Hammer ponuro ściągnął brwi.
- 301
- Wówczas poleje się pańska krew, bo wpakuję panu kulę w głowę.
  - Tb znaczy, że mnie pan zamorduje?
  - Nie, tylko ukarzę: Jeśli postąpi pan wbrew mojej woli, to będzie pan mordercą, a ja z czystym sumieniem zabiję pana. Porucznik odwrócił się i odszedł zagniewany. Kiedy był poza zasięgiem wzroku zebranych, zacisnął pięści i mruknął z wściekłością:
  - Że też muszę okazywać posłuszeństwo takiemu człowiekowi!
- Oni wszyscy go ubóstwiają, a on zachowuje się wobec mnie jak generał wobec rekruta. Ale ja mimo to zrobię, co zechcę. Należy ich powy-strzelać! Kiedy będzie już po wszystkim, te dobrodusze głupki nie będą miały nic do powiedzenia. Pierwszy strzał będzie sygnałem do rozpoczęcia walki, ten pierwszy strzał padnie z mojej strzelby. Brat Jaguar objaśnił dokładnie swój plan, a potem podszedł do drzewa, gdzie siedzieli doktor Morgenstern i Fritz.
- Czas zająć pozycje - rzekł do małego uczonego. - Wyznaczę wam wasze.
  - Świetnie - odparł Fritz zamiast swego pana. - Czy wie pan, gdzie byśmy chcieli zająć miejsce?
  - Gdzie?
  - 'Tdm, gdzie jest najniebezpieczniej.
  - Dlaczego? Skąd ta nagła odwaga?
  - Nagła? Przecież ja zawsze jestem śmiały i odważny. A dziś chcemy odplacić pięknym za nadobne. Powieszono nas nad krokodylami! Tizeba to pomścić. Wpadnę na nich jak kot na stado wróbli, a pan doktor mi przy tym pomoże.
  - Wpaść w sam środek wroga? Niech pan tego nie robi. Przydzielę wam miejsce, gdzie prawdopodobnie nie wyrządzicie szkody. Mówię, prawdopodobnie, bo wcale nie jest pewne, czy i teraz nie wpadnie panu do głowy jakiś zwariowany pomysł.
  - A gdzie znajduje się to miejsce?
  - Przy koniach, których nie zabierzemy do doliny. Będziecie ich 302 pilnowali:
  - Przy koniach! - zawołał Fritz rozczarowany. - Mamy być , pastuchami, nie bohaterami? Co pan na to, panie doktorze?
  - Tb, że bardzo niechętnie się podporządkuję - odparł uczony.
  - Chcemy walczyć i będziemy na pewno równie waleczni jak inni wojownicy.
  - Możliwe - rzekł brat Jaguar obojętnie, - ale po tym wszystkim, co dotąd z wami przeżyłem, uważam, że wasza odwaga mogłaby bardziej przyjaćiom niż wrogom zaszkodzić, i dlatego przydzielam wam takie spokojne zadanie.
  - Myśli pan, że we dwóch potrafimy utrzymać w ryzach takie stado koni? Nie wiem, czy mogę obiecać, że potrafię tego dokonać.

- Nie będziecie sami, taki sam rozkaz wydam jeszcze sześciu Camba. Mam nadzieję, że tym razem mogą panu zaufać, panie dokto-rze?

- 'Tak jest! Chociaż wolelibyśmy wziąć udział w walce. Jeśli jednak takie jest pana życzenie, spełnimy nasz obowiązek, po łacinie o,~cium.

- Dobrze! Nie macie nic więcej do roboty jak tylko uważać, żeby żaden koń nie uciekł do doliny. Tb nie będzie trudne, bo pomogą wam w tym Camba.

Brat Jaguar odszedł. Było jasne, że miał zamiar trzymać ich z daleka od placu boju. Obawiał się, że znów wymyślą coś szalonego. Fritz bardzo dobrze to czuł i był tak zirytowany, że musiał sobie ulżyć.

- Jak to możliwe, przecież pan studiował, panie doktorze i był na uniwersytecie? - zapytał.

- Nawet na trzech.

- A teraz ma pan pilnować koni! I pan się na to zgadza?

- A cóż mogę zrobić?

-Jak to co? Po prostu udamy, że on nam nic nie powiedział. Niech konie sobie robią, co chcą, my się wymkniemy i pójdziemy walczyć.

- Chętnie bym to zrobił, ale obiecałem bratu Jaguarowi, że zosta-nę przy koniach. 303

-To był tylko taki jego wybieg. Nie chodzi mu o konie, bo będą przy nich Camba. Chciał tylko odsunąć nas od bitwy. 'Idka hafiba! Co sobie ci czerwonoskórzy pomyślą o panu i o mnie!

- Do licha, masz rację! - rzekł Morgenstern z większym zapałem niż dotąd. - Indianie pomyślą, że z nas stare baby. Fritz, idę z tobą!

- To dobrze! Będziemy bić wroga jak lwy! Biada temu, kto znaj-dzie się na naszej drodze, wybiła jego ostatnia godzina! Mniej więcej na godzinę przed południem zajęli pozycje. Biali i osiemdziesięciu Camba wyruszyli pod dowództwem Geronima, by . ukryć się przed wejściem do doliny. Nie wolno było wejść przy tym na środek porośniętej trawą kotliny, aby Abiponi nie ujrzeli śladów. Wojownicy szli gęsiego skrajem doliny, pod drzewami, a kiedy ją opuszczali i zwrócili się na prawo w stronę lasu, cały czas pozostawali za krzakami. Dopiero kiedy ostatni z nich oddalił się o dwieście kroków od wejścia do doliny, zatrzymali się, by czekać na przybycie wroga, a następnie zamknąć zasadzkę.

Reszta wojowników . to czerwonoskórzy, którzy liczyli przeszło ięćset osób. Mieli obsadzić dokoła skraj doliny, połowa po prawej,

p

- połowa po lewej stronie. Musieli się rozdzielić na dwa oddziały. Brat Jaguar znajdował się po prawej stronie. Wobec tego Morgenstern i Fritz po kryjomu przyłączyli się do oddziału mającego zabezpieczać lewą stronę. ř W swym zapale wysforowali się obaj tak bardzo, że kiedy długa linia po pewnym czasie się rozciągnęła i każdy zajął swoją pozycję, znaleźli się na czele. Stali blisko wejścia do doliny. Brat Jaguar nie miał pojęcia ~ o ich obecności.

Poza nimi był tu jeszcze jeden biały, który nie wyruszył z Geroni-mem, mianowicie porucznik Verano. Kiedy wszyscy wyruszyli, brat Jaguar podszedł do niego i zapytał:

- Pamięta pan, co powiedziałem? Czy mimo to chce pan zająć z nani pozycję?

- ~k.

304

. :!ř.

- Wobec tego niech pan pozostanie u mego boku.

- Rozumiem, że chce mnie pan pozostawić pod swoim nadzorem, bo mi pan nie ufa. No cóż, nie będę się sprzeciwiał, pojedę z panem. Tiwał u boku brata Jaguara i kiedy ten dotarł do pozycji po prawej stronie, zatrzymał się przy nim. Miał obojętną minę, która mogła zmylić czujność, ale postanowił we właściwej chwili oddać fatalny strzał.

Fritz po drugiej stronie poprosił jednego Cambę, by dał mu swój nóż i wyciął z krzewu dwa mocne bicze, jeden dał swemu panu. Była to ich jedyna broń, ponieważ strzelby odebrano im nad bagnem.

- 'I~n, kto dostanie tym po łbie- rzekł z uśmiechem zadowolenia  
- na ~ęwno nie żdaży podziękować. ř

Czerwonoskórzy nie wiedzieli, jakie zadanie powierzono tym dwóm białym, wobec tego pozwolili im się przyłączyć. Fritz aż się palił do tego, by jak najszybciej zrobić użytek ze swej patykowej broni, także doktor pragnął dowieść swej odwagi. Dlatego też te nieliczne chwile, kiedy musieli czekać, wydawały im się niemal godzinami. Wreszcie Fritz rzekł, spoglądając na gęste zarośla, które wznosiły się za nimi.

- Czas mi się dłuży, a cierpliwo~ć skraca. Czy nie sądzi pan, że Abiponi mogliby się szybciej pojawić?

- Thk. To pełne napięcia czekanie jest przykre.

- Żeby tak człowiek wiedział, kiedy oni przyjdą! Ziiż koło nas jest wejście do doliny. Gdybyśmy mogli wspiąć się na górę, widzielibyśmy, jak wróg tiadciąga.

- To prawda. Ale zarośla są zbyt gęste.

- Możemy spróbować. Jesteśmy małego wzrostu i przedrzemy się iatwiej niż ci ludzie zbudowani jak żółwie olbrzymy.

- Nie zaczynaj znów o tym zwierzęciu, nie chcę o nim więcej słyszeć.

Fritz poczołgał się do przodu, by torować drogę, za nim jego pan.

Ti~udno było przedrzeć się przez tę gęstwinę. Ale po dłuższym wysiłku

305

dotarli obaj w całkiem poszarpanej odzieży na skałę stanowiącą jedną stronę wejścia do doliny. Na górze rosły drz~wa i krzewy, ale skała od strony równiny była naga. Ledwo obaj znaleźli się na górze i skierowali wzrok na wschód, ujrzeni, że wróg nadciąga powoli jak piechota, która nie chce się zbytnio przemęczać. .

- O już są! Dzięki Bogu, wreszcie są! - zawołał Fritz, klaskając z radości w ręce jak dziecko.

- No to zaraz się zacznie zabawa!

Z góry, gdzie obaj obserwatorzy leżeli za krzewami, widok rozpościerał się nie tylko na równinę, lecz także na wnętrze całej doliny. Była tak spokojna i opustoszała, jak gdyby w pobliżu nie było żadnej żywej istoty. Abiponi zbliżali się coraz bardziej, na czele pięćdziesięciu jeźdźców. Już można było rozpoznać poszczególne twarze. , - Widzi pan tych ludzi? - zapytał Fritz. - Widzi pan, kto jedzie na czele? Zna pan tego arcyłotra?

- Thk, to gambusino.

- A na prawo obok niego?

- Antonio Peril.lo. Ale mówmy ciszej, bo nas usłyszą, kiedy będą tam na dole.

Ostrzeżenie było jak najbardziej na miejscu, ponieważ skały two-rzące wejście do doliny miały najwyższą dwadzieścia metrów wysokość.

Jak już powiedzieliśmy, pochód zatrzymał się przed wejściem i wódz wjechał kawałek w głąb, by sprawdzić, czy nikogo tam nie ma. Rozejrzał się pobieżnie, zawrócił i zameldował, że dolina nie jest obsadzona. Potem poprowadził swych wojowników do wnętrza.

Poszli za nim do małego jeziora leżącego pośrodku i ulokowali się na jego brzegu. Żaden z nich nie przeczuwał, że znaleźli się w pułapce, z której nie da się już wymknąć. Kiedy ostatni czerwonoskórzy weszli do środka, podążyli na nim jeźdźcy.

- Gambusino chce wejść ostatni - szepnął Fritz. - Szkoda, że jesteśmy tak wysoko.

Chciałbym mu dać prztyczka w nos!

Zamachnął się swym biczem. I~rzak, za którym leżeli, zapuścił korzenie głęboko w grunt, który był popękany i kruchy od działań 306 atmosferycznych. Właśnie w tym miejscu Gambusir~o zatrzymał swe-go konia. Zwierzę przysunęło się bliżej skały i jeździec stał się niewi-doczny Morgenstern wysunął się trochę do przodu, pytając po cichu:

- Czy on już pojechał dalej?

Odpowiedź na to pytanie była inna, niżby sobie życzył. Wysunął się bowiem za bardzo do przodu i grunt nie wytrzymał ciężaru, zaczął się obsuwać i to tak prędko, że mowy nie było o cofnięciu się. Uczony zaczął się zsuwać.

- Uwaga! Na litość boską! - zawołał Fritz przerażony tak głośno, że słyhać go było daleko. -

Dokąd pan zjeżdża? Chyba nie na dół? Nie zgadzam się na to.

Chwytał swego pana za nogi, by go przytrzymać, ale obaj potoczyli się po skale, która na szczęście w tym miejscu nie była stroma, i wylądowali tuż przed koniem gambusina.

Stał tam z Antoniem Perillem i kapitanem Pellejem, podczas gdy reszta białych znikła wewnątrz doliny. Usłyszał okrzyk nad sobą, spoj rzał w górę i zobaczył obu pechowców, jak się staczają, a ponieważ mocno się przy tym poturbowali, nie od razu stanęli na nogach.

- A któż to jest? - zapytał zdumiony. - Chyba ich znam?

- Que sorpresa! - zawołał Antonio Perillo. - Niech mnie diabli porwą, jeśli to nie są jeficy, których wczoraj powiesiliśmy. Hej tam, wy łotry, żyjecie jeszcze, czy już jest po was? Siedząc na koniu, tak ich zdzielił kolbą, że obaj od razu oprzytomnieli. Fritz opanował się pierwszy.

Pómacał swoje kości, a kiedy stwierdził, że są całe, podniósł swego pana.

- No i jak tam? - zapytał nie zwracając uwagi na tamtych. - Pańskie ciało trzyma się kupy, czy też coś się połamało?

Doktor pQmacał się także, po czym odparł:

- Wydaje się, że niczego sobie nie złamałem, ale w głowie mi huczy.

- I b przejdzie. W jaki sposób się pan stoczył?

- W taki sam jak ty, bo też ty...

## 307

- Milczeć! - zagrmiał gambusino. - Toraz tylko ja mam z wami do pogadania! Dokąd uciekliście wczoraj wieczorem?

- liztaj - odparł Fritz.

- Tb widzę! Ale kto was odwiązał?

- Nikt. Sami się uwolniliśmy.

- 'Ij~, słuchaj, jeśli jesteś w nastroju do opowiadania bajek, to szybko ci ten nastrój przejdzie. Chcę wiedzieć, kto was uwolnił.

- A ja nie mogę powiedzieć nic innego niż to, co powiedziałem.

Sami się uwolniliśmy.

- W ja~ sposób?

- Ani myślę zdradzić. Jeśli powiem, a pan nas znów powiesi, to już się nie uwolnimy, bo pan będzie ostrożniejszy.

- Znowu zaczynasz sobie z nas kpić? Pytam, kto was uwolnił. Czy brat Jaguar?

- Nie bądźcie tacy ciekawscy. Później wam opowiemy.

Ujął swego pana za rękę i pociągnął w stronę bramy skalnej. Antonio Perillo wyciągnął pistolet, lecz gambusino rzekł z szyderyczym uśmiechem:

- Zostaw! Nie umkną nam. Najwidoczniej nie wiedzą, że są tam wojownicy, dopiero się przerażą na ich widok.

Pojechali za zbiegami. Kapitan Pellejo jako ostatni. Gdy znaleźli się za bramą, ujrzeli doktora i jego służbę, jak zniknęli z prawej strony w zaroślach. Jednocześnie jednak zobaczyli ku swej konsternacji innego wroga. Zza krzaków po lewej stronie wyszedł brat Jaguar.

- Todos diablos! - zawołał gambusino. - Tb brat Jaguar!

Mimo woli zatrzymał konia, tamci dwaj uczynili to samo: Wówczas spostrzegli za bratem Jaguarem lekki obłok dymu i zaraz potem rozległ się strzał. Tb, co teraz nastąpiło, nie da się opisać nawet w czasie dziesięciokrotnie dłuższym, niż się wydarzyło. . Brat Jaguar obserwował zza krzaków przybycie Abiponów. Ale właśnie te krzaki, które były tak gęste, że całkowicie go zasłaniały, uniemożliwiły mu dalszą obserwację. Nie mógł rozpoznać rysów 308 twarzy poszczególnych osób, a nawet ich postaci. Zobaczył, że przyszli czerwonoskórzy, po nich biali jeźdźcy, a kiedy pochód się zatrzymał, sądził, że wszyscy już się zgromadzili w dolinie. Nie wiedział, że gambusino, Perillo i Pellejo pozostali na zewnątrz. Dlatego też rzucając ostrzegawczy okrzyk porucznikowi Verano, wyszedł zza krzaków. Dopiero w tej chwili zobaczył gambusino i jego obu kamratów, ale nie mógł się już cofnąć. Verano natomiast uznał, że nadeszła pora jego działania. Uniósł strzelbę, wycelował w wodza Abiponów i wystrzelił. Rozległ się huk, wódz padł tyłami w głowę. Po chwili przeobrażenia Abiponi podnieśli taki krzyk, że odbijał się echem od ścian doliny. Na odgłos strzału brat Jaguar odwrócił się. Zobaczył porucznika z uniesioną jeszcze strzelbą i w kilku szybkich susach znalazł się przy nim.

- Łajdak, zdrajca, morderca! - wrzasnął na niego. - To tak wygląda posłuszeństwo, jakiego od ciebie wymagałem?

- Nie muszę nikogo słuchać, odpaxł porucznik z uporem.

- Czy Boga także nie, chociaż zabronił mordować? Nie jesteś zwykłym mordercą, tylko mordercą masowym!

- Zastrzeliłem tylko wodza.

- Tak, ale twój strzał to sygnał do dalszych sześciuset! Słyszysz?

Z obu stron doliny grzmiały teraz strzały Camba. Widać było, jak Abiponi padają, a z przodu u wejścia roziegł się donośny głos:

- Ratuj się, kto może! Jesteście zewsząd otoczeni!

Słowa te wykrzyknął gambusino. Potem zawrócił konia i pognął przed siebie, za nim pogalopował Antonio Perillo. Minęli przy tym kapitana Pelleja, który jako ostatni zamierzał wjechać do doliny. Szatafiski śmiech wydobył się z gardła toreadora. Wyrwał nóż zza pasa, uniósł się w siodle i wpakował ostrze w pierś oficera.

- I~raz już nic nie wypaplesz, ty szpiclu! - zawołał uciekając.

W tej samej chwili brat Jaguar krzyczał na porucznika Verana:

- Co najmniej stu już poległo, a tam uciekają ci, których muszę pojmać. Powiedziałem ci... 309 Przerwał. Porucznik pochylił się do przodu i padł. Brat Jaguar ujrzał ranę na jego czole. ~afiła go kula uciekającego Abipona. ~Vstrząśnięty rzucił ostatnie spojrzenie na tego człowieka, którego natychmiast po popełnieniu zbrodni dosięgnęła kara. Właśnie rozległa się nowa salwa, to strzelali Camba. Ich strzały były wielokrotnie groźniejsze, ponieważ strzelali z ukrycia, Abiponi padali jak muchy. Co zrobić? Pozwolić, by tamci mu się wymknęli, czy też pozostać tu, by zapobiec dalszej strzelaninie? Właśnie nadbiegł Geronimo ze swymi ludźmi, to zdecydowało. Brat Jaguar podbiegł do jednego z koni Abiponów, które przerażone strzelaniną biegały po dolinie i wskoczył na niego. Jednocześnie nadbiegł stary Anciano i wymachu-jąc strzelbą skoczył na drugiego konia, wołając:

- Senior, Antonio Perillo, morderca mojego Inki, ucieka! Muszę go dogonić, muszę go mieć!

- Jadę z tobą! - krzyknął brat Jaguar.

Obaj popędzili w stronę wejścia do doliny. 'Pam brat Jaguar zatrzymał na chwilę konia i zawołał do Geronima:

- Czy widziałeś dwóch uciekających jeźdźców?

- Tak. Nie mogli~my ich zatrzymać, bo nie mieliśmy broni.

- W którą stronę pojechali?

- Na lewo od doliny.

- Postaraj się zapobiec dalszemu rozlewowi krwi. Niech zaprzestaną walki aż do mojego powrotu.

Po2em wraz ze starym Ancianem popędził jak strzała pomiędzy ř skałami i szarpnął konia na lewo, gdzie dojrzałw trawie ślady ucieka-jących.

Od chwili gdygambusino po swym ostrzegawczym okrzyku opuścił dolinę, do chwili obecnej minęły najwyżej dwie mińuty, a jednak postacie obu jeźdźców stały się na wschodnim horyzoncie prawie niewidoczne.

- Nie dogonimy ich, bo mamy obce, niewiele warte konie -  
zgrzytał zębami stary Anciano.

310

ii .,

. ^;I.

- Dogonimy, bo musimy dogonić - krzyknął brat Jaguar.

Aby zmniejszyć ciężar, obaj stanęli pochyleni do przodu w strze-mionach i poganiali konie ostrogami, Dzieląca ich przestrzefi zmniej-szała się powoli. Nie tylko Anciano, ale także brat Jaguar, który nigdy nie zrobił krzywdy żadnemu zwierzęciu, wciskał teraz ostrogi w boki konia, aż ten z bólu stawał dęba. Jechali tak po gładkiej, porośniętej trawą płaszczyźnie, równolegle do skraju lasu, który od Doliriy Wy-schniętego Jeźiora ciągnął się na wschód. Odległość stawała się coraz mniejsza, uciekający wyraźnie tracili przewagę.

- Może by tak zastrzelić pod nimi konie? - zawołał Anciano, ciężko dysząc.

- To by im tylko ułatwiło ucieczkę. Pieszko ukryliby się w lesie, który jest tak gęsty, że musielibyśmy zaprzestać pościgu. W ogóle nie rozumiem, dlaczego oni już od dawna nie zeskoczyli z koni i nie szukają ratunku w lesie. Póki są w siodle, mamy szansę ich dogonić. Musimy więc postarać się odciągnąć ich od lasu i doprowadzić do otwartej walki.

Niestety, nie udało im się wykonać tego planu.

Gambusino miał lepszego konia, ale ponieważ był o wiele cięższy od Perilla, nie miał nad nim przewagi i oba konie biegły łeb w łeb. Uciekający spostrzegli z niepokojem, że przestrzefi pomiędzy nimi a prześladowcami coraz bardziej się kurczy. Daremnie wciskali ostrogi w boki biednych zwierząt, by zmusić je do wytężenia wszystkich sił. 'I~raz gambusino znów się obejrzał i przeraził.

- Cascaras! - zaklął z wściekłością. - Te łajdaki depczą nam po piętach, chcą~ nas odciąć od lasu.

Weź wszystko, co masz w torbie u siodła, zeskakuj z koriiia i pędź w zarośla!

Opróżnili torby przytroczone do siodła, skierowali konie na ukos do lasu. Kiedy byli blisko, zeskoczyli z koni i popędzili w gąszcz. Perillo chciał wedrzeć się głębiej, lecz gambusino chwycił go za ramię i nakazał:

- Zostafi! 'Iii jesteśmy bezpieczni jak na łonie Abrahama. Czy

311 wyobrażasz sobie, że brat Jaguar zechce się wystawiać na nasze kule? Stali więc za krzakami, które ich zasłaniały, trzymali strzelby goto-we do strzału i czekali, czy usłyszą lub zobaczą swych prześladowców. Ale nic nie zobaczyli, na zewnątrz panowała cisza i spokój.

- Widzisz, że mam rację - rzekł. - Oni nie wejdą w ten gąszcz.

- Więc chybajesteśmyocaleni. Możemy spokojnie tutaj odczekać, aż tamte draby się oddalą i pojechać dalej.

- Pojechać? Nic z tego.

- Dlaczego?

- Bo nie będziemy mieli koni.

-Przecież tam stoją! Widaćje stąd. Kiedyzeskoczyliśmy, pobiegł~ tylko mały kawałek dalej.

- Nie myśl, że brat Jaguar jest taki głupi i zostawi nam konie!



Będziemy musieli większość dalszej drogi do Barranca del Homicidio odbyć piechotą. Mądrze postąpiłeś, że ukatrupiłeś kapitana. 'I~raz ci dwaj nie mają pojęcia, dokąd zmierzamy. Posłuchaj! Przekonasz się, że miałem rację!

Rozległy się dwa strzały, po czym oba konie padły pod kulami Hammera. Gambusino przejrzał zamysł brata Jaguara. Gdy obaj zbiegowie zeskoczyli z koni i wpadli do lasu, stary Anciano zawołał zadowolony:

- Widzi pan, że ich dopadniemy, ukryli się w zaroślach. 'I~raz ich mamy. Szybko, trzeba ich złapać!

Chciał zmusić konia do szybszego biegu, by jak najprędzej dotrzeć do miejsca, gdzie tamci dwaj zniknęli, lecz Hammer, jadący tuż przy nim, ujął jego cugle i po chwili udało mu się poskromić konia.

- Co ci przyszło do głowy? - rzekł. - Chcesz jechać na pewną śmierć? Musimy się zatrzymać.

- Zatrzymać? - odparł stary ze zdziwieniem. - Przecież nam umkną! W tym leśnym gąszczu ukryją się tak głęboko, że nie zdołamy ich znaleźć.

- Nie, nie zagłębią się w las. Założę się, że zatrzymali się na skraju

312 i czekają na nas ze strzelbami w rękach. Jeśli się zbliżymy, będą do nas strzelać.

-Ma pan rację, o tym nie pomyślałem. Ale czy pozwolimy umknąć tym łajdakom?

Brat Jaguar przez chwilę patrzył ponuro przed siebie, po czym rzekł:

- Niepozostaje nam nic innego niż zawrócić.

- Ale ja ~ńszę schwycić tego mordercę.

-Ja też chcę ich dopaść, ale jeśli teraz damy się ponieść emocjom i zaniechamy ostrożności, to oni nas będą mieli, nie my ich.

- Czy nie ma żadnego sposobu, senior? Ma pan takie doświadczenie i wie zawsze, jak należy działać. Czyżby właśnie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko, zawiodła pana bystrość umysłu?

-Nie, nie tak całkiem, jak ci się wydaje~odparł Hammer, a twarz mu się trochę rozpuściła. -

Musimy ich puścić, ale tylko na razie. Znamy miejsce, gdzie się teraz znajdują i pójdziemy ich śladem.

- Ale teraz nie możemy, dopiero później.

- Owszem! Teraz musimy wrócić do doliny, gdzie moja obecność będzie bardziej potrzebna niż tutaj.

- Wtedy oba łotry wyjdą, dosiądą koni, które stoją na skraju i odjadą. W ten sposób wysforują się tak, że nie zdołamy ich dogonić.

-Będą musieli iść pieszo. Ja się tym zajmę.

Wziął swoją dubeltówkę i wycelował w miejsce, gdzie stały konie zbiegów. Obie kule trafiły tak celnie, że zwierzęta od razu padły. Brat Jaguar zawrócił konie, nie oglądając się. Anciano podążył za nim. Gdy przyjechali do Doliny Wyschniętego Jeziora, przywitała ich gromada Camba, którzy mieli pilnować wejścia do doliny. Dowodził nimi 'Iwarda Czaszka. Na pytanie brata Jaguara, co się dzieje w dolinie, odparł:

-Dzieje się tak, jak się spodziewali~my, senior. Jesteśmy zwycięzcami.

- Zb zrozumiałe, bo Abiponi nie mieli możliwości nas pokonać.

## 313

Czy po moim odjeździe więcej nie strzelaliście?

- Tylko kilka razy, senior.

- Dlaczego? - unibł się Hammer. -To istne morderstwo.

- Przecież to nasi wrogowie, gdyby zwyciężyli, wybiliby nas co do jednego. 0

- Więc zapewne prawie wszystkich zastrzeliliście! A przecież rozkazałem Geronimo, by położył kres temu mordowaniu. Chodźmy, Anciano, zobaczymy!

Obaj wjechali do doliny. Ujrzeni przed sobą smutny widok. Camba, ktrzy przedtem ukrywali się pod drzewami, opuścili kryjówki, by pokazać przeciwnikowi swoją przewagę. Teraz, siedząc pod drzewami i trzymając wciąż jeszcze broń w pogotowiu, zajęli całą krawędź doliny. Po prawej, gdzie był brat Jaguar, stał teraz Geronimo ze swymi białymi towarzyszami. Byli tam także doktor Morgenstern i Fritz. ~ Abiponi znajdowali się jeszcze nad brzegiem małego jeziora. Nie -odważyli się atakować i zbierali swoich poległych i rannych. Widać było, że zginęło ich więcej niż połowa. To wzbudziło na nowo gniew brata Jaguara. Pogałopował do Geronima, zeskoczył z siodła i zapytał ostro:

- Czemu widzę tu tyle trupów, nie mówiąc już o rannych? Przecież ci powiedziałem, żeby do mojego powrotu nie strzelano?

- Nie moja wina, że stało się inaczej - odpowiedział Geronimo. - Nie słuchano mnie. Musiałem grozić, by zaprzestano strzelania.

- Wobec tego nie będziemy tym, co przeżyli, stawiać zbyt ostrych warunków. Niestety porucznik Verano zabił wodza Abiponów. Będziemy więc prowadzić rokowania z wodzami niższego szczebla. Poślij po nich gońca. Niech do mnie przyjdą. Zapewnij im bezpieczną

eskortę. Ale muszą stawić się bez broni.

Gdy goniec odszedł, Hammer zwrócił się do Morgensterna po niemiecku:

- Przecież poleciłem panu pozostać przy koniach. Jakim więc sposobem znalazł się pan po przeciwnej stronie doliny i w dodatku 314 w rękach wroga? ą

- To sprawiła nasza odwaga, po łacinie fortitudo albo strenuitas.

- odparł uczone.

- A więc nieposłuszeństwo! Dziwna rzecz, że pańska odwaga w zawsze przynosi szkody. Widać cechuje was obu jakiś szczególnie niefortunny rodzaj fortitudo, czyli strenuitas. k~ Właśnie nadszedł jeden z jego towarzyszy, by poinformować, że . umierający kapitan Pellejo pragnie z nim rozmawiać. Brat Jaguar pospieszył wraz z Ancianem na miejsce, gdzie ułożono rannego i jako tako opatrzone. Bandaż był przesiąknięty krwią, kapitan przyciskał ręką ranę, jakby w ten sposób chciał powstrzymać ulatujące życie.

Brat Jaguar spojrzał na jego śmiertelnie bladą twarz i zamierzający

I

wzrok i choć wiedział, że już nic nie da się zrobić, pochylił się nad rannym, by go zbadać. ~'

- Proszę się nie fatygować, senior - rzekł Pellejo słabym głosem.

## **7.;F**

- Czuję, że umieram.

- Niestety, nie ma dla pana ratunku. Pozostało panu tylko parę minut życia. Czy chce pan ulżyć swemu sumieniu? Czy ma pan życzenie, które mógłbym spełnić?

- Życzenie... 'Tak! - odparł ranny i wzrok jego na kilka sekund nabrał życia. - Niech pan pomści moją śmierć..

- Uczynię to. I ja mam do załatwienia swoje porachunki ze zbiegłymi, doliczę więc do tego popełnione na panu morderstwo. Ale proszę mi pomóc.' Czy zna pan plany tych łotrów?

- Tak - odparł Pellejo, przyciskając rękę do rany. - Chwile mego życia są policzone, ale wystarczą, by powiedzieć panu, co podłuchałem. Ci dwaj pragnęli wzbogacić się na tej wyprawie wojennej. Spodziewali się zagarnąć łupy. 'I raz muszą z tego zrezygnować, ale za to postanowili zdobyć upragnione bogactwo w górach.

- Czy zna pan to miejsce?

- 'Tak. Położone jest w pobliżu Salina del Condor.
- Wie pan, jak się nazywa?

## 315

- Tak, ale jestem tak osłabiony, że muszę się dopiero zastanowić.

- Może to Barranca del Homicidio?

- Tak, tak, to jest to miejsce!

- I tam podobno są skarby?

- Wielkie bogactwa z czasów Inków.

- Skąd gambusino o tym wie?

- Opowiedział mu Antonio Perillo. 'I~n zaś podpatrzył pewnego Indianina, który podczas pełni księżyca wspiał się do Barranca, a nazajutrz wracał obładowany kosztownościami.

Podążył za tym India-ninem, zabił go i obrabował. Zabrał nawet jego skalp.

Stary Anciano rzucił kilka niezrozumiałych słów. Ojciec Jaguar pytał dalej:

- Czy Perillo był później w Barranca?

- Tak. Szukał skarbów, ale nic nie znalazł. Teraz chce się tam udać z gambusinem, ktbry ma większe doświadczenie...

Kapitan urywał co chwila, z trudem wypowiadał poszczególne

słowa. Jego słos stawał się coraz słabszy. 'I~raz przernwał w środku

zdania, poderwał się i opadł na ziemię. Oczy mu się zamknęły, rzęził

coraz ciszej, jego członki drgały kurczowo... skonał. ř

- Koniec - rzekł brat Jaguar wstając. - Był buntownikiem i zdrajcą. Otrzymał należną zapłatę, lecz jego ostatnie słowa są dla nas ogromnie waine.

- 'Idk - skinał Anciano z powagą. - Antonio Perillo dziś mi umknął, ale będę go tropił jak pies goliczy tak długo, aż go schwytam.

- 'I~raz nie musimy go tropić. Dowiedzieliśmy się, że celem morderców jest Barranca del Homicidio, pojedziemy więc tam i będziemy na nich czekali. .

Doktor Morgenstern

osiąga swój cel

'I~raz nadeszli wodzowie Abiponów, a od stony wejścia do doliny zbliżał się 'Ii.varda Czaszka.

Pora była zacząć pertraktacje, zwłaszcza że zbliżał się wieczór.

Pertraktacje prowadzili tylko biali i wodzowie. Brat Jaguar wypo-wiedział kilka łagodnych słów, które miały przekonad Camba do niestawiania zbyt wysokich żądań, Abiponom zaś miały dowieść, że ich przyjaźń z białymi buntownikami przyniosła im tylko nieszczęście i; że powinni żyć ze swymi czerwonoskórymi braćmi w zgodzie i pokoju. Słowa jego wywołały na obu stronach zamierzone wrażenie, po czym rozpoczęły się targi o wysokość odszkodowań wojennych, jakie Abiponi mieli zapłacić Camba. Po pewnym czasie brat Jaguar doprowadził do wzajemnej ugody.

Camba nie stracili tego dnia ani jednego człowieka, więc nie było powodu do stawiania zbyt wygórowanych żądań.

Abiponi ponieśli ciężkie straty, mieli dużo poległych i rannych. Musieli oddać całą posiadaną broń. Za namową brata Jaguara Camba rzekli się należnych im koni i wołów, ponieważ Abiponi musieliby 317 je ukraść białym osadnikom:

Camba głośno wyrażali swą radość i nie wiedzieli, jak okazać wdzięczność bratu Jaguarowi.

Abiponi zaś byli ogromnie zgnębieni. Siedzieli lamentując przy poległych albo orzeźwiali się

wodą i opatry-wali rannych. 'I~go dnia w dolinie pozostali wszyscy, zwycięzcy i pokonani.

Nazajutrz ci ostatni mieli odejść bez broni, oczywiście tylko zdrowi i lekko ranni, ciężko rannymi mieli się zaopiekować Camba. e ' Nikt tak nie cieszył się z przelanej krwi jak don Parmesan Rui el

Iberio, ponieważ sądził, że teraz będzie mógł olśnić wszystkich swoją wiedzą i umiejętnościami chirurgicznymi. Zwrócił się do wodzów Abiponbw, aby mu pozwolili zająć się rannymi, ale odprawiono go z niczym, ponieważ Indianie znają się na leczeniu ran o wiele lepiej niż niejeden biały lekarz. Zirytowany wrócił i rzekł do Morgensterna, z którym najchętniej przebywał:

- Czyż te głupty nie zasłużyły na chłostę, senior? Odprawili mnie, chociaż zaproponowałem im swoją pomoc. Czy pan nie sądzi, że mógłbym uratować wielu z ich rannych?
- Jestem o tym przekonany - odparł uczonec.
- Tak, wielu bym uratował! Leżą teraz wykrwawieni, z poszarpanymi członkami. Należy je usunąć, bo istnieje groźba zakażenia. A kto uczyniłby to lepiej ode mnie? Chyba jest pan przekonany, że potrafię wszystko ciachnąć?

- Wcale w to nie wątpię.

Zapadł wieczór, a wraz z nim zjawili się goście, kobiety i dzieci Camba. Wiedziały, kiedy miała się odbyć walka i teraz przyszły, aby dowiedzieć się, jaki jest jej wynik. Przyniosły ze sobą dużo jedzenia i napojów. Ponieważ zawarto pokój, pokonani mogli także wziąć udział w posiłku. Palily się ogniska, przy których w osobnych grupach zgromadzili się przyjaciele i wrogowie.

Choć już nie zagrażało niebezpieczeństwo, brat Jaguar wystawił przy wejściu do doliny podwójny posterunek. Był to raczej skutek 318 przyzwyczajenia niż konieczność. 'Idk też obaj Indianie potraktowali to polecenie, bo po jakimś czasie znudziło im się stanie i wrócili do ogniska. Brat Jaguar tego nie zauważył. Ten brak posłuszeństwa, pozornie tylko drobne zaniedbanie, miał potem poważne skutki. Gambusino i Antonio Perillo mianowicie pozostali w zaroślach chyba godzinę, zanim odważyli się wyjść.

- Nikogo nie widzę - rzekł Antonio. - Odjechali.
- Nie byłbym taki pewien. Może się schowali gdzieś w pobliżu w zaroślach, by zaczekać, aż wyjdziemy.
- Wówczas widzielibyśmy ich konie.
- Nie. Las jest co prawda gęsty, ale na brzegu są rzadkie zarośla, gdzie można ukryć konie.
- Jeśli będziesz taki przesadnie ostrożny, to możemy tu tkwić do dnia sądu ostatecznego!
- Tak długo to nie. 'I-raz jeszcze nie chcę wychodzić na otwartą przestrzeń, bo mógłbym dostać kulę w łeb. Ale kiedy się ściemni, nie będzie żadnego ryzyka. Może nawet wrócimy do doliny.
- Oszalałeś? Żeby nas złapali?
- Skądże! Tylko przyszła mi do głowy dobra myśl.
- Jaka? ^
- Nie mamy koni i przez wiele dni ich nie zdobędziemy. A w dolinie konie są.
- I chcesz sobie wziąć?
- Nie wszystkie, tylko dwa.
- To byłoby szaleństwo!
- Skądże! Wiemy, że zwyciężyli Camba i zapewne nasi sprzymierzeńcy zostali wybici do nogi. Po takim sukcesie Indianie południowo-amerykańscy są jak pijane dzieci. Będą hałasować, cieszyć się, jeść, pić i myśleć tylko o tym; że nas pokonali. Wówczas mogą zapomnieć o pilnowaniu wejścia do doliny. A jeśli nawet wystawili posterunki, to się je unieszkodliwi. Musielibyśmy mieć wyjątkowego pecha, gdybyśmy nie zdobyli dwóch koni.

## 319

- A jeśli nie są osiodłane?
- Głupiec z ciebie. Spójrz tam! Czy nie widzisz, że brat Jaguar co prawda zastrzelił nasze konie, ale zostawił siodła i uzdy. Jeśli znajdziemy dwa nie osiodłane konie, wrócimy tu i zabierzemy to, co nam potrzebne.

Perillo miał jeszcze jakieś zastrzeżenia, ale zamilkł. Tymczasem zapadł wieczór i obaj ostrożnie wyszli z ukrycia. Nie zawrócili na skraju lasu, bo mogliby wpaść w zasadzkę, lecz jaYciś czas czołgali się po łące i skręcili na prawo~ w kierunku doliny. Dopiero wtedy, kiedy nie było widać lasu zaczęli porusza~ się swobodniej. By dojść na miejsce, potrzebowali teraz czterokrotnie więcej czasu niż po południu, kiedy opuścili dolinę konno. Nie mogli zabłądzić, bo powoli zbliżyli się znów do lasu i szli jego skrajem. Zanim w ciemno~ści ujrzeli wejście do doliny, usłyszeli dobiegający z dołu hałas.

- Słyszysz - rzekł gambusino nasłuchując. - Cieszą się z odnie-sionego zwycięstwa. Moje przecucie, że brat Jaguar jest z nimi, nie zawiodło mnie.
- Więc trzeba było się nim kierować. Pellejo miał rację, wzywając nas do większej ostrożności.
- Nie mów mi o tym człowieku! Widać tak miało być i nie da się nic zmienić. Zostań tu. Ja się podczołgam dalej i zobaczę, co i jak. Oddalił się cichutko. rócił po dziesięciu minutach dość zadowolony.
- Jest tak, jak przypuszczałem. Nie ma żadnego posterunku. Możemy wejść niepostrzeżenie. Chodź!

Wziął kompana za rękę i pociągnął za sobą. Gdy doczołgali się do skalistego wejścia, blask ognisk ich oświetlił, tak że musieli trzymać się z boku w cieniu skały. Gambusino wskazał na skałę i rzekł:

- To stamtąd te karły spadły nam pod nogi. Pozwoliłem im uciec, bo myślałem, że mamy ich w garści.
- Ale i teraz nam się wymknęli.
- Nie szkodzi. 'I~raz się cieszę, że ich nie zabraliśmy.

## 320

- Dlaczego?
- Bo może naprawdę są tymi, za których się podają. Ilekroć ich spotykaliśmy, zachowywali się tak głupio i dziecinnie, że wydaje mi się niemożliwością, aby jeden z nich był pułkownikiem Glotinem. Im dłużej myślę o tym typie i jego wybrykach, tym bardziej jestem przekonany, że się pomyliliśmy. Zmyliło nas podobieństwo. Jeśli znów tę dwójkę spotkam, nie będę czyhał na ich życie. Mogą się ode mnie spodziewać najwyżej kilku siarczystych policzków za to, że wazyli się wchodzić mi w drogę. Ale teraz nie ma czasu na gadanie o tych pędrakach. Popatrz, jak dobrze nam się ułożyło! Wskazał na wnętrze doliny, gdzie w blasku ognisk widać było siedzących ludzi.
- Popatrz na lewo! Znasz go? - ciągnął dalej.
- To brat Jaguar!
- Tak: O, gdybym mógł mu wpakować kulę! Ale teraz się zwijajmy. Na szczęście jest tu cała masa koni.

Istotnie Camba początkowo zostawili konie przy strumyku pod dozorem kilku ludzi. 'I~raz było ciemno, a że bitwa się skończyła, wpuszczono konie do doliny, gdzie rozbiegły się na wszystkie strony. Brat Jaguar pozwolił na to w przekonaniu, że przed wejściem jest podwójny posterunek.

Obaj obserwatorzy przyglądali się koniom pasącym się w pobliżu.

W pewnej chwili Antonio Perillo rzekł:

- Przecież słyszeliśmy strzelanie, a mimo to wygląda, jakby w ogóle nie było bitwy.
- To niezrozumiałe. Przecież skierowano na Abiponów straszliwy ogień. Spójrz na trupy leżące nad jeziorem.
- A gdzie jest reszta Abiponów?
- Oczywiście uciekła.

- Tb niemożliwe! Brat Jaguar wystawił na zewnątrz zasadzkę liczącą chyba ze stu ludzi. Tylko nam udało się wymknąć. Obsadzili wejście. Więc jak Abiponi mogli uciec?

## 321

-Hm! To, co mówisz, jest słuszne. Może wszystkich wykoficzo? W takim razie widzielibyśmy więcej trupów.

- Może wrzucono je do wody,

- Co to, to nie. Camba nie przysłoby do głowy, aby w ten sposób pozbawiać się cennej wody, ponieważ...

Urwał, zasłonił dłonią oczy i przyglądał się jednemu z ognisk, po czym ciągnął dalej:

- Demonio! Dotąd nie starałem się odróżnić rysów twarzy. Ale teraz widzę, że Abiponi siedzą przy wspólnych ogniskach z Camba.

- Czy to możliwe?

- Przyjrzyj się!

Antonio Perillo przekonał się, że to prawda.

- Jak to możliwe? - zapytał. - Wprost trudno w to uwierzyć.

- Uwierzyć łatwo. Abiponi byli otoczeni. Straciliby wszystkich swoich ludzi. By ocalić życie, błagali o łaskę.

- Łaskę? To wcale tak nie wygląda. Oni nie są związani, jedzą i poruszają się jak wolni ludzie.

- Tempesta! To prawda! Tb sprawkabrata Jaguara. On spowodował, że Abiponi zawarli pokój z Camba.

- Który ich będzie dużo kosztował.

- Nie. To mądry człowiek. Gdyby Abiponi musieli płacić wysokie odszkodowania wojenne, spotęgowałyby to ich mściwość. Założę się, że im wszystko darowano. Na pewno powiedziano im, że ponosząc straty w ludziach i tak zostali dość ciężko ukarani.

- Nie wyobrażam sobie takiej łaski.

- A ja tak, ponieważ wiem, jak przebiegły jest ten człowiek.

~

Camba pozyskali sobie Abiponów i traktują ich jak przyjaciół. Od dziś mamy zamkniętą do nich drogę. Dobrze, że przyświeca nam nowy cel. Iii są dwa konie, chyba nie najgorsze. Bierzmyje, ja tego z prawej, ty z lewej. Ale ostrożnie! Pochyl się i przyciśnij do ziemi.

Położyli się na trawie i podczołgali do koni, które nie były co

prawda osriodłane, ale miały uzdy. Ujęli je i wycofali się, ciągnąc

## . . . . 322

~owoli konie za sobą. Za skalną bramą gambusinó rzekł, oddychając z ulgą:

- Widzisz, jak łatwo poszło. 'I~raz, mając konie, oszczędzamy sobie pieszej wędrowki, która trwałaby wiele dni. Chodźmy po siodła, potem okrążymy ten nieprzebyty las, a kiedy będziemy go mieli za sobą, pojedziemy do Salta, skąd dylizansem udamy się do Humahu-aca. Tak będzie prędzej niż w siodle, bo na każdyW przystanku jest zmiana koni.

- A z Humahuaca?

- Weźmiemy muły, bo w górach, w rozrzedzonym powietrzu, konie nie dadzą rady.

- Tb wiem, ale skąd weźmiemy pieniądze na muły? Nie możemy ich wynająć, tylko musimy kupić; a ja nie mam pieniędzy nawet na starego osła, a coś dopiero na muła.

- O to się nie martw. Co prawda nie mam wypchanej kiesy, ale ~ mój przyjaciel w Humahuaca zaopatrzy mnie we wszystko, co nie-zbędne.

- A kto to taki? Może go znam?
- Nazywa się Rodrigo Sereno.
- Czy to ten spedytor sprzed bramy miejskiej przy drodze prowadzącej do Potosi? ,
- Tak. Ma zarazem dużą gospodę, wynajmuje konie, muły i prowadzi jeszcze ze dwadzieścia innych interesów.
- Znam go. Jeśli to twój przyjaciel, to nie mamy się czego obawiać.
- Przecież powiadam, że on da nam wszystko. A teraz wsiadajmy.  
Musimy dziś w nocy odbyć kawał drogi.  
Wsiadli na konie i odjechali.

Później do wejścia podeszło dwóch Camba, by zmienić posterunek. Nie widząc dwóch niesumiennej wartowników, zajęli co prawda ich stanowiska, ale nie przyszło im do głowy, by zawiadomić brata Jagu-ara, że wejście do doliny przez jakiś czas nie było strzeżone. Hammer, gdy przyszedł zajrzeć do wartowników, uznał, że wszystko jest w porządku i nie przypuszczał, że zaszło coś, co miało zniweczyć cały jego plan. Nie zauważono nawet braku dwóch koni. Należało przecież do Abiponów, więc Camba nie orientowali się, ile ich było. Camba ucztowali do późnej nocy. Radość, że uszli tak wielkiemu nieszczęściu, nie pozwalała im zasnąć, a biali, którym zawdzięczali swoje ocalenie, musieli brać udział w ich świętowaniu. Doktor Morgenstern i Fritz siedzieli ponuro na uboczu w ciemności i rozgoryczeni rzadko zamieniali ze sobą kilka słów.

- Dlaczego? - szepnął teraz Fritz do swego pana. - Czy naprawdę popełniłszy takie głupstwo?
- Czy ja wiem - odparł uczony. - W kółku śpiewaczym w Jiiterbogku inaczej to ocenią.
- Może i tak. Ale tutaj; w Gran Chaco, wymagają czegoś więcej niż miłego barytonu. Tli trzeba mieć krzepę i sporą porcję odwagi.
- Czy nie wykazaliśmy odwagi? Nie tylko stanęliśmy na przedzie  
,  
ale wleźliśmy w dodatku na skałę, by jako pierwsi ująć wroga.

- Hm. Czy mogę być szczerzy?
- Oczywiście.
- Tb dobrze. Teraz wydaje mi się, że byliśmy zbyt pochopni.
- Pochopni, po łacinie praeproperus? Czemu, drogi Fritz?
- Bo zbyt szybko pospieszyliśmy naprzód, a nie mieliśmy na to pozwolenia.
- Nie potrzeba mi pozwolenia. Jestem wolnym człowiekiem.
- Ja także, ale to zależy od okoliczności. W Gran Chaco należy się zachowywać inaczej niż w Stralau nad Jeziolem Rummelsburg. 'Idm ja góruję nad bratem Jaguarem, ale tutaj on nade mną i dlatego uważam, że należy słuchać jego polecefi:
- Ale to ty proponowałaś, byśmy odeszli od koni i wrócili do doliny!
- ~ti myślę się tego wypierać. Miałem jak najlepsze chęci. Chciałem się odznaczyć, a także-panu dać sposobność zdobycia sławy i szacunku. Skąd mogłem wiedzieć, że skała tutaj jest taka krucha?

## 324

Skąd mogłem wiedzieć, że tak zdradziecko spuści mnie na dół akurat pod nogi tego łotra? Gdyby nie to, nigdy by nas nie spostrzegł, wjechałby do środka i został uwięziony. Muszę przyznać bratu Jagu-arowi całkowitą rację.

- Jeśli tak sprawę przedstawiasz, nie mogę zaprzeczyć. Naprawdę się zblamowaliśmy.
- ,- Wygłupiliśmy się mimo pięknych batów, jakie sobie sprawili-śmy, aby pokonać wroga: Pozostały na górze, kiedy my turlaliśmy się na dół. Byłoby lepiej, gdyby stało się na odwrót. My mogliśmy zostać na górze, a baty mogły spaść. Ale już przepadło, teraz nic się nie da zmienić.

- Zmienić nie, to prawda, ale to mnie boli. Czy nie moglibyśmy zmyć z siebie tej hałby? Czy nie moglibyśmy dokonać jakiegoś boha-terskiego czynu, który by oczyścił nasz honor, po łacinie dignitas? Wymień mi tylko jakiś bohaterski czyn, Fritz, a natychmiast go doko-nam.
- A ja panu w tym pomogę. Ta, w tej okolicy, bohaterskie czyny unoszą się w powietrzu, przychodzą same z siebie. Pochwycimy pier-wszy lepszy, jaki nam się nadarzy: Wtedy znów będą nas szanować.
- Dobrze, zgadzam się. A więc dokonamy pierwszego lepszego czynu, jaki nam się tra~.
- Tak, dokonamy, nawet gdyby przy tym jakaś Gigantochelonia przeszła nam koło nosa.
- Nie - wtrącił szybko Morgenstern. -Tak daleko nie posunął-bym się w swoim bohaterstwie. Przedpotopowy olbrzym jest dla mnie najważniejszy. Zresztą niedługo dotrzemy do tego radosnego celu. Wiesz przecież, że wódz obiecał mi jakiego~ olbrzyma.
- Czy spełni obietnicę?
- Na pewno. Gdyby nie zechciał, wyzwę go do śmiertelnej walki, a to będzie zarazem bóhaterski czyn, który ocali mój nadwątlony honor.
- Na pana miejscu zapytałbym wodza jeszcze raz, bo akurat do

## 325

nas idzie.

Istotnie 'Iiwarda Czaszka skierował się w ich stronę. Wstali obaj i Morgenstern zapytał, czy pamięta o swojej obietnicy.

- 'Tak - odparł. - Jeszcze nigdy nie okłamałem przyjaciela.
- A więc naprawdę istnieje takie zwierzę olbrzym?
- Tak. Zriaджуje się o godzinę jazdy od wioski nad Czystym Strumieniem. Przysięgam panu.
- I chce mi pan sprzedać to zwierzę?
- Nie sprzedać, lecz podarować, senior. Pańscy towarzysze okazali nam ogromną pomoc, ocalili życie i mienie wielu z nas. Jakżebym mógł żądać zapłaty za kości! Przeniesienie ich i tak będzie pana sporo kosztowało.
- A kiedy mi pan to zwierzę pokaże?
- Jeszcze nie teraz, bo mam wiele spraw do załatwienia, ale pojutrze chętnie tam z panem pojedę.
- A co to za zwierzę? Glyptodont, megatherium czy też masto-dont?
- Nigdy tych nazw nie słyszałem. Kiedy pan je zobaczy, będzie pan wiedział, jak się nazywa. Po tych słowach odszedł i usiadł obok brata Jaguara. Gdy ten dowiedział się o czym rozmawiali, rzekł z uśmiechem:
- Ten doktor żyje tylko dla tych olbrzymów. Tb dobry człowiek i chociaż mi w niejednym zaszкодził, pragnę sprawić mu miłą niespo-dziankę. Czy dużą część tego zwierzęcia wykopaliście?
- Tyle że widać łeb i kości grzbietowe aż do ogona. Potem z powrotem je zasypaliśmy.
- Jak głęboko?
- Nie, tylko trochę, bo przecież chcieliśmy je sprzedać.
- Ile czasu zajęłoby całkowite odkopanie szkieletu?
- Jeśli zajmie się tym ośmiu lub dziesięciu ludzi, to wystarczy kilka godzin, choć zwierzę tkwi w twardym wapniu.
- Czy macie odpowiednie narzędzia?

## 326

- 'Pak, naszego wyrobu, ale są równie dobre jak wasze.
- I pojutrze chcesz go zaprowadzić na to miejsce?



-Tak.

- Dobrze. Czy możesz jutro dać mi dziesięciu ludzi z odpowiednimi narzędziami? Chciałbym tam pojechać i odkopać zwierzę, aby sprawić doktorowi niespodziankę.

- Otrzyma pan wszystko, co jest potrzebne. 'Pakże przewodnika, który dokładnie zna miejsce, a także rzemienie, by powiązać poszcze-gólne kości. Na miejscu można też zrobić podpory, by ustawić szkie-let. Rośnie tam pełno bambusa i wysokich krzewów. Obietnica, że jutro ujrzy olbrzymie zwierzę, nie dała doktorowi zasnąć. Zresztą nie on jeden czuwał, Abiponi także nie spali, częściowo przybici poniesioną klęską, częściowo z bólu wskutek odniesionych ran.

Wielu zmarło jeszcze tej nocy.

Nazajutrz brat Jaguar wydał Geronimo odpowiednie zarządzenia, po czym wyruszył z dziesięcioma Camba, nie zdradzając, dokąd i kiedy wróci. Sądził, że nie jest w dolinie potrzebny; bo miał w Geronimo niezawodnego zastępcę.

Tymczasem należało zdecydować, gdzie i jak pochować trupy. Było ich tak dużo, że trzeba było do tego celu wielu ludzi, a także dużo czasu. Dlatego przystano na propozycję, by ich spalić przed wejściem do doliny. Wyniesiono zmarłych. Z ich ciał i suchego drewna ułożono wysokie stopy, które podpalono. Kiedy już było po wszystkim, min-ło południe, a zdrowi i lekko ranni Abiponi mieli odejść. Co prawda chętnie byjeszcze pozostali przy swych ciężko rannych, ale Camba nie ufali im całkowicie. Przyrzeczono Abi-onom, że ranni będą mieli dobrą opiekę. Odeszli, oczywiście pieszo, bo ich konie pozostały jako zdobycz wojenna. Oddano im tylko niezbędne w drodze noże.

'Il;raz Camba mieli powrócić do swych wiosek. Postanowiono, że część ich pozostanie w dolinie, by objąć opieką ciężko rannych, aż do chwili, gdy będą na tyle silni, by odejść. W tym celu miano zbudować szałas. Wszystkie te przygotowania i narady trwały aż do godzin

327

popołudniowych. Ponieważ późno wyruszyli, dotarli do Czystego Strumienia dopiero po zapadnięciu zmroku. Wojownicy wjechali tam jako zwycięzcy, powitano ich i uczczono. Radosna uczta trwała do późnej nocy. Nazajutrz wódz wezwał doktora na obiecaną wyprawę. Wszyscy biali mieli wziąć w niej udział, a także wielu Camba.

Droga prowadziła na północ przez lasy i pustynię, aż pod wieczór dojechali do słonego jeziora, położonego na gliniastej równinie i otoczonego lasami.

- Tb tutaj? - zapytał. Morgenstern wodza, drżąc z podniecenia.

- 'ldk, niedaleko.

- Więc proszę mnie zaprowadzić.

- Niech pan będzie cierpliwy. Dziś jest za późno, słońce zaszło już za drzewami i ~ kilka minut zrobi się ciemno. Wtedy nie będzie można kopać. Musimy poczekać do jutra.

- Ale ja nie mogę się już doczekać. Czy wie pan, że właśnie dziś powinienem zobaczyć to miejsce, nawet jeśli nie będzie czasu na kopanie.

- Dlaczego?~

- Bo dziś są moje urodziny, po łacinie dies natalis.

- Pańskie urodziny? Nie wiedziałem tego. Jeśli tak, to pokażę panu to miejsce jeszcze dziś. Ale nie tak zaraz, bo teraz wszyscy ludzie są potrzebni, aby przed zmrokiem zebrać drewno na ogniska. Potem,

kiedy wszystko będzie zrobione, zobaczy pan to miejsce przy świetle pochodni.

Zaczęto zbierać drewno, ale nie spieszo się przy tym, bo wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Wódz wszystkim, oprócz Morgensterna i Fritza, zdradził plan brata Jaguara. Chciano odczekać do całkowitych ciemności, aby niespodzianka byłaby tym większa.

Morgenstern gorliwie zbierał suche drewno, by przyspieszyć wy-

czekiwany moment. Nie spostrzegł przy tym, że dokoła obozowiska  
widnieją ślady kopyt i stóp, które nie były śladami ani jego, ani  
328

jego towarzyszy. Nie spostrzegł również, że wódz zniknął na dłuższy czas z Geronimem. Udali się do brata Jaguara, by mu powiedzieć, że właśnie dziś Morgenstern obchodzi urodziny. Wiadomość ta świetnie pasowała do ich przedsięwzięcia.

Wreszcie nazbierali dość drewna i rozpalili ogniska. Teraz dopiero Morgenstern spostrzegł, że Geronimo i wódz zniknęli.

- Chyba się -sprzysięgli przeciwko mnie - narzekał do swego sługi. - Teraz, kiedy wszystko załatwione, nie ma wodza, a przecież wie, że nie mogę się doczekać.

- Musi pan się uzbroić w cierpliwość- uspokajał go Fritz. - Im dłużej pan czeka, tym większe okaże się zwierzę, które pan niebawem ujrzy. Niech pan spojrzy, już tamci nadchodzą, zaraz będzie nagroda.

Wódz co prawda wrócił z Geronimem; ale ciekawość małego uczo-nego nie została jeszcze zaspokojona, ponieważ obaj oświadczyli, że najpierw trzeba się posilić. Propozycja ta wywołała u Morgensterna przerażenie. Nie wiedział przecież, że z okazji jego urodzin chciano jeszcze coś przygotować. Wszyscy się posilali, ale Morgenstern nie mógł przełknąć ani kęsa. Nagle z daleka rozległ się strzał. Morgenstern zerwał się na równe nogi i zawołał przerażony:

- Co to było? Kto strzelał? Może znbw w pobliżu są Abiponi?

- Nie, senior - odparł Geronimo. - 'I~n strzał to znak, że , nadszedł czas, by ujrzał pan to tajemnicze miejsce. Proszę podać mi ramię, poprowadzę pana.

Ujął doktora pod rękę i poszli przodem, inni podążyli ich śladem. 'Iakże Fritz ujął wodza pod ramię i szedł pełnym godności krokiem pomiędzy zaroślami; aż znaleźli się w ciemności, gdzie Geronimo się zatrzymał i wygłosił krótką mowę.

- Senior, dziś, w dniu pafiskich urodzin, znajduje się pan w miejscu, gdzie ulubieniec pana przed tysiącami lat złożył swe kości w ostatnim dniu swego życia, aby w pana czułych ramionach zbudzić się kiedyś na nowo. La enhora buena, La enhora buena!

-La enhora buena - życzymy szczęścia! - zawołałi wszyscy.

## 329

Jednocześnie zapłonął przed nimi mały płomyk. Przebiegł w górę i w dół. Potem ukazały się inne płomyki, w których świetle ujrzano szeroką drewnianą podporę, a na niej napis z suchego bambusa; „Serdeczne życzenia”. Litery podpalono i paliły się kilka minut, tak że słowa były wyraźnie widoczne.

- Co za niespodzianka! - zawołał doktor. - 'Iix, w Gran Chaco

urządzacie fajerwerki z okazji moich urodzin. Ale wolałbym obiecane zwierzę.

- Hm! - mruknął Fritz nieufnie. - Żeby to tylko nie był piknik, który skończy się tym, że pańską szanowną osobę okr~ykną zwierzęciem olbrzymem. A to co takiego?

Litery się wypaliły, podpora zniknęła. Potem z prawej i z lewej znów rozbłysły małe punkciki świetlne, które szybko się powiększały i wybuchały wysoko w górę. W odległości około szesnastu kroków od siebie paliły się dwa potężne ogniska, a między nimi widać było biały szkielet potężnego zwierzęcia, oparty na dwóch mocnych bambusach.

Z boku stał uśmiechając się brat Jaguar i dziesięciu Camba, którzy mu pomogli dokonać tego dzieła. Morgenstern jednak widział tylko ów szkielet. Dech mu zapało, wyciągnął ramiona i chciał coś powie-

dzieć, ale nie mógł wydobyć słowa. Wreszcie z trudem, zacinając się, wykrzyknął przeraźliwie: ~

-Me ga-the-rium! Le-ni-wiec-ol-brzym!

'I~raz jakby minęło odrętwienie, jakie go opanowało. Skoczył do szkieletu, objął potężne koficyny i całował kości, głaskał czaszkę jak główkę ukochanego dziecięcia, pochylił się, by pogłodzić potężne pazury, wykrzykiwał coś przy tym od,rzeczy, można było pomyśleć, że zwariował. Przyciągnął do siebie Fritza i pokazywał mu wspaniałQści szkieletu, piękną okrągłą czaszkę, cudowne cylindryczne zęby trzono-we, szerokie stopy, wspaniałe pazury, całość wielkości co najmniej cztery i pbl metra.

Nie zważając na oschłe, drastyczne uwagi Fritza, Morgenstern ciągnął dalej z entuzjazmem:

### ‘ ‘ 330

- I pomyśl tylko, że nie brak ani jednej kosteczki, podczas gdy żadne muzeum nie posiada kompletnego okazu.

-‘Pa kompletność wcale mnie tak nie zachwyca - wtrącił Fritz - to zdarza się i u innych stworzeń. Niech pan się dokładnie przyjrzy! Mnie też nic nie brakuje, ani najmniejszej kosteczki, a w dodatku jestem powleczoney ciałem i piękną skórą.

- Jesteś głupcem, Fritz! Można ci pokazywać cuda, a ty nic sobie z tego nie robisz. Nauka nie będzie miała z ciebie pociechy.

- Jeśli zajmuje się tylko leniwcami olbrzymami, to nic mi po niej.

I co pan zrobi z tym potworem?

- Co za pytanie? Zabiorę go do domu!

- Świetnie. Chce pan go pokazywać za opłatą?

- Nie, podaruję go jakiemuś uniwersytetowi, jakiemuś słynnemu muzeurn, gdzie do jego nazwy dołączą i moje nazwisko.

- Tylko niech pan łaskawie poprosi, aby nie dodawali mojego. Nie chcę przejść do historii wspólnie z takim leniwcem olbrzymem. Jeśli zamierza pan zabrać to bydlę do domu, to trzeba je wieźć statkiem. Ale jak pan je przetransportuje do morza? Gdyby jeszcze potrafiło chodzić!

- Rozłoży się je na części i każdą kość starannie się opakuje.

Musisz mi oczywiście przy tym pomóc.

- Bardzo chętnie: Kiedy zaczniemy?

- Najlepiej byłoby od razu, ale niestety to niemożliwe, bo przed-tem należy przygotować wiele rzeczy, które musimy sprówdzić z najbliższego miasta.

- To znaczy z Salta - powiedział brat Jaguar, który właśnie nadszedł. - Jestem do pafiskiej dyspozycji, panie doktorze. Pojutrze pojedziemy do Salta. Tam załatwimy, co najniezbędniejsze. Kilku Camba, których zabierzemy ze sobą, pomogą panu przetransporto-wać te rzeczy na miejsce.

- A czy pan się zna na takich zakupach?

- Chyba tak - uśmiechnął się pytany. - Niech pan się dokładnie

331 przyjrzy temu megatherium! Czy jakaś część jest źle umieszczona?

- Nie. Wszystko jest na właściwym miejscu, jakby potop był dopiero wczoraj.

- Więc powiem panu; że kiedy odkopaliśmy ten szkielet, była to tylko kupa kości. -

- Jak to? Więc pan to odkopał?

- Odkopałem i połączyłem. Chyba nie sądzi pan, że stał tu pomię-dzy krzakami od potopu.

- Więc... z pana jest... wspaniały geolog i paleontolog! - zawołał uczoney.

- Może nie, ale jeśli potrafię połączyć do kupy megatherium, to prawdopodobnie będę mógł w Salta zakupić wszystko, co potrzebne do opakowania tych kości.

- Co do tego jestem przekonany. A kiedy pan stąd wyrusza? Czy już pojutrze?

- 'Tak.
  - A dokąd?
  - W góry do Barranca del Homicidio:
  - Jakże chętnie pojechałbym z panem! Ale sam pan widzi, że to niemożliwe. Moja obecność~ tutaj jest niezbędna, a i Fritz musi tu pozostać.
  - Rozumiem to i polecę pana opiece Camba, na których przyjaźni może pan polegać.
- Po tych słowach oddalił się i dał znak reszcie, by zostawili uczonego i jego sługę samych.

W swej radości Morgenstern zapomniał podziękować bratu Jaguarowi, nie zapytał też, skąd mu przyszło do głowy odkopywa~ to drogocenne znalezisko. Na razie nie mógł myśleć o niczym innym. Oglądał i dotykał poszczególnych kości, kazał Fritzowi bez przerwy podsycać ogień, aby szkielet lśnił w najjaśniejszym~ blasku. Brat Jaguar rzekł do Geronima, kiedy wraz z innymi wrócili do obozowiska:

### 332

- Osiągnąłem to, czego chciałem. 'I~n uczony ze swym sługą nie wyrządzą nam już żadnej szkody. Możemy spokojnie wyruszyć w góry bez obawy, że znów nam zrobią jakiś kawał.
  - Nie chcesz jechać bezpośrednio do Humahuaca, tylko przez Salta?
  - 'Tak. Przez Humahuaca musielibyśmy jechać konno. Daleka droga zmęczyłaby konie, wskutek czego posuwalibyśmy się powoli. W Salta natomiast 'sprzedamy konie i pojedziemy dalej dylizansem. Ib pójdzie błaskawicznie, bo na trasie często zmienia się konie. W Humahuaca kupimy muły, które w górach są niezb~dne.
  - U kogo?
  - U Rodriga Sereny, który zawsze ma najlepiej utrzymane muły.
- W ten sposób będziemy w górach przed gambusino i wystarczy nam czasu na przygotowania, tak by ani Antonio Perillo, ani on sam nam się nie wywinęli.
- Czy zabierzesz ze sobą kilku Camba?
  - Skądże! Pójdą z nami tylko stary Anciano i Hauka.
  - Właściwie połowa z nas powinna pozosta~ w Chaco, by zbierać herbatę.
  - Ludzie później to nadrobią. T~raz są mi potrzebni, by ują~ tych dwóch morderców.
  - A co z don Parmesanem?
  - 'I~go człowieka nam nie potrzeba. Tak to urządzę, żeby pozostał z Morgensternem i Fritzem. Role zostały więc rozdzielone i wszyscy ułożyli się do snu, nazajutrz bardzo wcześnie mieli wrócić do wioski. Morgenstern na pewno nie zmrużyłby oka w swym podnieceniu, ale ponieważ poprzedniej nocy nie mógł zasnąć, więc dziś przez kilka godzin wypoczywał. Ale zanim weszło słońce, stał już przy swoim megatherium, by zmierzyć go dokładnie i wszystko zanotować.
- ~rzeraził się, kiedy usłyszał; że wszyscy już wyruszają: N~chętniej by tu został, ale że nie było to możliwe, musiał rozstać się ze swym 333 skarbem. Dopiął jednak tego, że nad szkieletem ustawiono daszek ochronny z bambusa i trzciny, aby nie ucierpiał wskutek wiatru i deszczu. Potem ruszono w powrotną drogę do wioski nad Czystym Strumieniem i wieczorem byli na miejscu.
- T~raz, kiedy Morgenstern nie miał przed sobą megatherium, mógł zająć się innymi sprawami. Przypomniawszy sobie, że Camba ofiarował mu cenny dar, i że bratu Jaguarowi zawdzięcza radosne zaskoczenie. 'I~raz nadrobił to, o czym wczoraj zapomniał i podziękował obu serdecznie. Brat Jaguar zapewnił go, że Camba przeniosą olbrzymia na inne miejsce, skąd łatwo będzie go przetransportować do portu. Kiedy mówiono o tym, że brat Jaguar ze swymi ludźmi wyrusza nazajutrz rano w Kordyliery, nie musiał on dawać don Parmesanowi do zrozumienia, że nie chce go mieć przy sobie, chirurg bowiem podszedł do Morgensterna i zapytał:
- A pan nie odjeżdża jutro z tamtymi?
  - Nie.

- Więc zostaje pan, by stąd wraz ze swym przedpotopowym zwierznięciem wyruszyć w cywilizowane okolice?
- ~k.
- Zdałem sobie sprawę, że mój kuriszt w Chaco i w górach cieszy się o wiele mniejszym uznaniem niż w miastach i na pampasach. Pan wie, że jestem znakomitym chirurgiem, potrafię wyleczyć każde zła-manie i każdą ranę, ale jeśli nikt nie chce skorzystać z mojej pomocy, to cała moja wiedza jest tu niepotrzebna. Dlatego postanowiłem pozbawić brata Jaguara mojego towarzystwa i razem z panem wrócić w okolice, gdzie żyją ludzie, którzy potrafią docenić naukę i jej adeptów. Czy nie ma pan nic przeciwko temu?
- Nie. Pana towarzystwo bardzo mi odpowiada, po łacinie pera-moenusus albo pergratus. Gdy nazajutrz grupa ludzi z bratem Jaguarem wyruszała, zebrali się wszyscy mieszkańcy wioski, by jeszcze raz podziękować za oca-lenie i pożegnać się z nimi. Oddział wojowników odprowadził ich . 334 w honorowej asyście pod dowództwem wodza. Dwaj Camba pojechali za nimi aż do Salta, by przywieźć przedmioty, które brat Jaguar miał zakupić dla Morgensterna.

Około południa eskorta honorowa wróciła i wówczas wódz pojechał do Doliny Wyschniętego Jeziora, by odwiedzić rannych Abiponów i ich opiekunów. Zabrał ze sobą kilku ludzi, a że Morgenstern nie miał nic do roboty i się nudził, poprosił, by wolno mu było wraz z Fritzem przyłączyć się do nich, na co chętnie się zgodzono. Znaleźli wszystko w najlepszym porządku, od czasu ich nieobecności nic się nie wydarzyło, co by mogło wzbudzić niepokój. Jedną rzecz tylko zaniepokoiła Cambę, który przewodził reszcie. Zapytał mia'nowicie wodza, ile koni zabrali biali Abiponom.

ii

- Brakuje dwóch - rzekł po namyśle. - Było pięćdziesięciu jeńców, mieli dwadzieścia pięć koni. Konie gambusina i Perilla za-strzelono, powinno więc być dwadzieścia trzy. A ty mówisz, że jest dwadzieścia jeden. Więc gdzie są dwa pozostałe? ^
- To chyba jakaś pomyłka - rzekł wódz.
- Nie, bo były dwadzieścia trzy siodła. Brak dwóch koni, które znikły wieczorem albo w nocy.
- Więc gdzie by mogły być?
- Gambusino je zabrał.
- Co ty mówisz! - zawołał Iiearda Czaszka z przestachem. --- W jaki sposób dostałby się do doliny? Przecież strzegł jej podwójny posterunek.
- Zapytaj ich, czy spełnili swbj obowiązek, czy też może siedzieli przy ognisku! Coś mi się przypomina, co każe przypuszczać, że gambusino potajemnie uprowadził dwa konie.
- Co takiego?
- Posłałem wczoraj kilku moich ludzi, by zabrali siodła zastrzelonych przez brata Jaguara koni. I okazało się, że siodła nie było. Czy to nie dziwne?
- Nie, bę tamci dwaj zdjęli je i zabrali ze sobą, by użyć ich, gdy 335 zdobędą inne konie.
- Wówczas zabraliby także uzdy.
- A były?
- Tak, moi ludzie je przynieśli.
- To rzeczywiście niezrozumiałe, bo kto bierze siodło, bierze też uzdę. Jest bardziej potrzebna, bo bez niej nie można jechać.
- Dla mnie to zrozumiałe. Konie, które zdobyliśmy, miały jeszcze uzdy, a brakuje dwóch. Gambusino zabrał dwa konie, a że miały uzdy, zdjął z zabitych koni tylko siodła.
- Ale jak dostał się do doliny, skoro strzegło jej dwóch naszych wojowników?
- Obawiam się, że opuścili posterunek. Posłuchaj dalej! Pojechałem sam i szukałem śladów. Znalazłem ślad, jaki zostawili obaj uciekający i ich tropiciele. Znalazłem także ślady, jakie pozostawili brat Jaguar i stary Anciano podczas drogi powrotnej. Prowadziły w pobliżu lasu.

Potem jednak ujrzałem ślady dwóch pieszych, które zaczęły się tam, gdzie, ukryli się uciekający. Jakiś czas prowadziły po łące, potem skierowały się do doliny. Dalej były już tylko ślady kopyt kofiskich prowadzące z doliny do miejsca, gdzie leżały oba zabite konie. Tam te ślady się urwały, po czym już podwójny ślad ciągnął się wzdłuż lasu na wschód. Jeźdźcy chcieli okrążyć las. I co ty na to? Teraz wódz się zaniepokoił. Zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

- Jeśli tak się sprawa przedstawia, to znaczy, że gambusino i Perillo byli w dolinie i zabrali konie.
- Ja też tak uważam. Poza tym obawiam się, że brat Jaguar jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Kiedy ojciec Jaguar wyruszył?

- Dziś rano.
- Więc tamci dwaj wyprzedzają ich o trzy dni, tyle brat Jaguar nie zdoh nadrobić.
- Może jednak, bo pojechał do Salta, by stamtąd udać się dalej dyliżansem, podczas gdy gambusino jedzie do Humahuaca przez lasy 336 i pustynie.
- Och, on też jest sprytny. A jeśli także pojechał do Salta?
- W taki wypadku brat Jaguar jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Muszę posłać za nim gofica. Ale przedtem muszę się dowiedzieć, kto miał być na posterunku przy wejściu do doliny.

Wsiadł na konia i pojechał szybko ze swymi ludźmi. Gdy minęli las, popędzili jak strzały. Jeśli zamierzał wysłać za bratem Jaguarem gofica, nie miał czasu do stracenia.

Wódz pędził ze swymi Indianami przodem, obaj Niemcy jechali za nim. To, co usłyszeli, nie dawało im spokoju.

- Fritz, jak sądzisz, ile czasu megatherium może stać bez szkody pod daszkiem? - spytał uczony.
- Chyba całe miesiące, a nawet lata.
- Naprawdę?
- Z całą pewnością. A dlaczego pan pyta?
- Bo mam pomysł, który nie chce mnie opuścić.
- Jaki?

- Jest okazja dokonania odważnego czynu: Pamiętaj, mówiliśmy o tym.

- Przypominam sobie. Jak tylko nadarzy się okazja, skorzystamy z niej, by zmasać naszą plamę na honorze.

- No więc nadarza się taka okazja. Brat Jaguar jest w niebezpieczeństwie, po łacinie peñcutum.

- To słyszałem, ale co my mamy z tym wspólnego?

Sprytny Fritz udawał Greka; bo nie chciał, by powiedziano, że znów on namówił swego pana do złego.

- Jeszcze się pytasz? - zdziwił się Morgenstern. - Mamy mu do zawdzięczenia tak wiele, nawet nasze życie, a ty pytasz, co mamy wspólnego z niebezpieczeństwem; na jakie być może jest narażony.

- Więc mamy jechać za nim?

- Oczywiście.

- Ale wódz chce posłać za nim gofica. Więc jesteśmy zbędni.

### 337

- Wcale nie. A jeśli goniec nie zastanie go w Salta? Wróci, bo pomyśli, że spełnił swój obowiązek.

- My natomiast podążylibyśmy dalej za bratem Jaguarem?

- Tak. Nie spoczniemy, póki go nie odnajdziemy i nie uwolnimy z rąk gamótsina. Co ty na to? ~ -

Hm. Chciałbym, gdyby nie...

- Gdyby nie co?

- Megatherium.

- To przecież ciebie nie dotyczy. To moja sprawa. Jeśli go na razie zostawię, nic się nie stanie. Nie ucieknie nam.
  - Oczywiście, że nie. Niech więc pan robi, jak pan uważa, ja się do pana dostosuję.
  - Ale czy wódz nas puści?
  - Powiemy, że zapomnieliśmy poprosić brata Jaguara o rozmaite rzeczy potrzebne do transportu. Dlatego chcemy pojechać z goficem, do Salta, by je dokupić. Nikt nie może mieć nic przeciwko temu.
  - To prawda! Spryciarz z ciebie. A więc załatwione, jedziemy do Salta.
  - 'Idk, jeśli się okaże, że niebezpieczeństwo naprawdę istnieje.
- Niestety, okazało się, że zastępca wodza w Dolinie Wyschniętego Jeziora nie pomylił się. Obaj strażnicy przyznali, że opuścili posterunek i dwie godziny spędzili przy ognisku z towarzyszami. Wódz nie miał powodu zatrzymywać obu Niemców, tak więc trzech jeźdźców przed północą wyruszyło z wioski w kierunku Salta. Doktor Parmesan ~ „, pozostał, by czekać na ich rychły, jak sądził, powrót.

## Goście seniora Sereno

Humahuaca jest co prawda małym miasteczkiem, ale uprawia ożywiony handel z Boliwią. Jednym z większych spedytorów tego miasta był senior Rodrigo Sereno, którego gospodarstwo, położone przy północnej bramie miasta, być może istnieje jeszcze dziś. Składało się ono z wielu stajni i składów. Na froncie, przy trakcie ciągnął się główny budynek, którego jedna strona stanowiła mieszkanie właściciela i jego rodziny, a druga służyła podróżnym i gościom. Był późny wieczór. Miejscowi goście już opuścili lokal, a podróżni i służba udali się na spoczynek. Senior Rodrigo siedział sam w pokoju i obliczał dzienny utarg. Nagle ną zewnątrz rozległy się kroki. Senior Rodrigo od razu przykrył pieniądze chustką i wstał od stołu, by nikt nie zauważył, co robi. W tej okolicy nigdy nie dość ostrożności. 'Iiwarz jego przybrała wyraz nieufny. Otworzyły się drzwi i weszło dwóch mężczyzn, na których widok mina mu się rozjaśniła.

- Buenos tardes - dobry wieczór! - przywitali się i podali ~ gospodarzowi dłonie, które ten mocno uściskał. Byli to Gmbusino i Antonio Perillo.

Gambusino badawczo obrzucił wzrokiem pomieszczenie, zatrzymał je na chustce, podszedł, uniósł ją i zapytał ze śmiechem:

### 339

- Chował pan przed nami pieniądze, które pan liczył? Odkąd to uważa mnie pan za ezłowieka, któremu nie można ufać?
- Ależ skąd? - odparł gospodarz. - Wiecie przecież, że nie o was chodzi. Ale kiedy usłyszałem kroki, nie wiedziałem, kto wejdzie. Wi\_tam was. Usiądźcie i powiedzcie, co mam wam podać!
- Coś do jedzenia i dwie butelki wina. Potem zgiromadźcie tyle

~ żywności, ile dwóch mężczyzn potrzebuje na przeszło tygodniowy pobyt w górach, bo nie wiadomo, czy sobie coś upolujemy:

Gospodarz wyszedł i wkrótce wrócił z jedzeniem i winem. Przysiadł się do nich. Jedli obaj i pili, nie odzywając się, on zaś im się przyglądał.

Ale nie lubił długiego milczenia, toteż zapytał po chwili:

- Skąd to, seniores?
- Z Salta - odparli.
- Dylizansem?
- Tak. Właśnie przyjechaliśmy.
- Pozostaniecie dziś u mnie?

- Tylko pół nocy, potem pojedziemy dalej. Chyba znajdziecie dla nas dwa dobre muły?
  - Oczywiście. Dla seniores zawsze mam wszystko, czego potrzeba.
  - Ile kosztuje jeden?
  - Zapłacicie tylko dwadzieścia peso.
- Była to bardzo niska cena.

- A jeśli nie mamy pieniędzy? - zaśmiał się gambusino bezczelnie.
- Tb i tak będzie, jakbyście mi zapłacili. Nigdy nie byliście mi nic \_ dłużni.
- W porządku! Zapłacimy po powrocie. Przygotujcie nam wygodne spanie, bo w dylizansie wytrzęsło nas okropnie, a przede wszystkim powiedzcie, gdzie można napotkać Indian Mojosów.
- Chcecie iść do nich? Tb ludzie odważni, przedsiębiorczy.. Ale ja bym się z nimi nie zadawał.
- Bo was nie znają, ale ja jestem z nimi zaprzyjaźniony. .

### 340

- Spotkacie ich w okolicy doliny Guanaco, tam teraz polują.
- To niedobrze, bo muszę tracić czas, a chciałem jechać w innym kierunku.
- Dokąd?
- , W góry. Niech tó wam wystarczy. Pieniądze wasze otrzymacie, nawet nie wiedząc, dokąd jedziemy.

- Wiem o ty~n. Przepraszam, senior, nie chciałem być wścibski.

Na tym skoficzyła się rozmowa. Goście zjedli i położyli się w kącie, gdzie gospodarz urządził im posłanie ze skór i koców. Skoficzył liczyć swoje pieniądze, wsypał je z brzękiem do głębokiej kieszerii i znikł, by także się położyć. W pokoju. zrobiło się ciemno. Śpiący chrapali, mijała godzina za godziną, nadeszła północ i wówczas gospodarz wszedł ze świecą, zbliżył się do obu śpiących i obudził ich.

- Seniores, zbudźcie się! Czas wyruszać!

Wstali, każdy otrzymał do picia małe naczynie z mate i ciepły placek. Potem poszli z gospodarzem na dwór, gdzie stały dwa muły. Miały dobrą uprząż, a w torbach przy siodłach zapas żywności na drogę. Gospodarz oświetlił oba muły ze wszystkich stron i zapytał:

- Jesteście zadowoleni, seniores? Uprząż wam pożyczam, zwróćcie mi, kiedy będziecie mogli.
- Muły są dobre, senior Rodrigo - odparł gambusino. - Uprząż zwrócimy za tydzień. Do widzenia.
- Do widzenia. Szczę~liwej drogi.

Odjechali. Sereno patrzył za nimi z taką miną, jak gdyby zrobił dobry interes. Już nieraz pożyczał gambusino konie lub muły oraz i zawsze otrzymywał zwrot z dobrymi procentami. Gdy stukot kopyt przebrzmiał w ciszy nocnej, wrócił do domu.

Nazajutrz powtórzyło się prawie to samo co poprzedniego dnia, tyle tylko, że nadeszło więcej niż dwóch gości. Sereno właśnie przeliczył pieniądze i schował je, kiedy usłyszał pod drzwiami tupot nóg. Drzwi się otworzyły i weszło dwudziestu sześciu dobrze uzbrojonych mężczyzn, wszyscy, wbrew tutejszym obyczajom, odziani od stóp do 341 głów w skórę i w kapeluszach z szerokim rondem. Tylko dwóch nie miało kapeluszy, a ich długie włosy opadały na plecy. Rysy twarzy zdradzały, że to Indianie. Jeden był młody, drugi bardzo stary. Gospodarz znał niektórych z tych ludzi i przywitał serdecznie, zwłaszcza brata Jaguara. T~n zamówił wino i zapytał, czy on i jego towarzysze mogliby w ciągu godziny otrzymać pieczone asado con cuero, czyli mięso pieczone we własnej krwi wraz ze skórą.

- Ile tylko pan zechce, senior.
- Potrzebuję tyle, ile zdoła zjeść dwudziestu sześciu głodnych mężczyzn. A potem niech pan wyprowadzi swoje muły na dwór, obejrzymy je i kupimy dwadzieścia sześć sztuk.



Dwudzieścia sześć sztuk! I to za gotówkę! Do tego dwadzieścia sześć porcji pieczonego i trzynaście butelek wina. Dobry interes! Rodrigo Sereno tak się nisko pokłonił, że wyglądał, jak gdyby się zmniejszył o łokieć. Potem pobiegł do kuchni, zbudził służbę i polecił, aby jak najszybciej przygotowała jedzenie, a muły wypucowała do czysta. Potem wrócił do gospody, by siedząc w pobliżu zsuniętych stołów czekać na zlecenia gości. Ci siedzieli w milczeniu, zadumani i żaden z nich się nie odzywał. Gadatliwy i wścibski gospodarz nie mógł się długo powstrzymać.

Wiercił się na krześle niecierpliwie, wreszcie zapytał:

- Czy wolno zapytać, senior Jaguar, skąd pan przybywa?
- Z Salta - padła powściągliwa odpowiedź.
- Ale chyba nie dylizansem?
- Nie, pocztowymi kofimi:
- Tak, bo dylizans był tu wczoraj. Przybyli nim dwaj słynni senior-  
res. Zdziwiłby się pan, gdybym wymienił nazwiska.  
~ Wszyscy milczeli, tylko wesołek Picaro, który zawsze lubił pożar-  
tować, odparł:
- Zdziwilibyśmy się, gdybyśmy usłyszeli te nazwiska, a nie gdybyśmy ich nie usłyszeli, bo jest pan najbardziej małomównym człowiekiem w Argentynie.

## 342

- Ach, wcale nie jestem taki małomówny, co prawda mówię niewiele, ale milczenie wobec takich seniores byłoby grubiaństwem. Dlatego też powiem panom, że jeden z tych seniores był to słynny toreador Antonio Perillo.

W swej naiwności gospodarz nie zauważył, jakie wrażenie wywarły jego słowa na gościach. Spojrzeli na siebie w milczeniu, po czym Hammer rzekł obojętnie:

- A ten drugi?
  - Tb był jeszcze bardziej słynny gambusino Benito Pajaro.
  - ~- 'Idk? Naprawdę? A skąd przybyli?
  - Z Salta, dylizansem. Właśnie o tej porze. Kupili dwa muły i zapas żywności na tydzień. Zbudziłem ich po północy, bo chcieli odjechać.
  - Dokąd?
  - Do Mojosów, którzy przebywają teraz w dolinie Guanaco.
- Gospodarza zawołano do kuchni; więc goście mogli nie skrupowa-ni omówić sprawę.
- Nie do wiary! Co ty na to, Geronimo? - rzekł brat Jaguar ściszoneg głosem.
  - Gambusino i Antonio Perillo musieli bardzo szybko zdobyć ' konie - odparł Geronimo. -To jedyne rozwiązanie tej zagadki.
  - I ja tak uważam. Dobrze, że tu wstąpiliśmy i dobrze, że nie czekaliśmy na następny dylizans, tylko wzięliśmy rozstawne konie. Gambusino ma dziefi przewagi nad nami, ale mimo to my wcześniej będziemy na miejscu, bo on chce jecha~ najpierw do Mojosów, a więc uda się okrężną drogą. Jest to dla nas bardzo dogodne, wiemy bo-wiem, skąd przybędzie. Musimy go oczekiwać od strony doliny Gu-anaco.
  - Czego on chce od Mojosów? - zapytał ktoś.
  - Dziwne pytanie - odparł Hammer. - Łatwo odgadnąć, czego chce. Ma zamiar wraz z Antoniem Perillem szuka~ skarbu w Wąwo-zie Morderców. Potrzeba mu na to dużo czasu, a przecież zapas żywności może się skończyć. 'I~zeba ją uzupełnić polowaniem i w tym

343 celu chce zwerbować Mojosów. Poza tym potrzebna mu dobra ochro-na, usunięcie wszelkich przeszkód, uniknięcie spotkań z myśliwymi i innymi ludźmi, którzy mogliby ich zaskoczyć i odgadnąć ich zamiary. Do tego mają im służyć ci Indianie.

- Ale oni też mogą odgadnąć, po co tu przybyli.
- Owszem, ale to im w niczym nie przeszkadza. Zastrzelą Indian, kiedy już nie będą potrzebni i na zawsze znikną ze skarbem, by nie narażać się na zemstę ich krewnych.
- Tb byłaby okropna podłość! Ten gambusino jest człowiekiem pozbawionym sumienia, ale do tego chyba nie jest zdolny.
- Nie? - zapytał brat Jaguar. - Dotąd o tym milczałem, lecz teraz wam powiem. 'Pak postąpił z moim bratem. Mój brat był także gambusinem albo prospektorem, jak w Stanach Zjednoczonych nazywają poszukiwaczy złota i odkrył bardzo bogate złoża. Wtedy przy-szedł ten właśnie gambusino, zamordował go w okrutny sposób i zniknął ze złotem. Wówczas osiwiiałem. Szukam tego człowieka. Ślad zaprowadził mnie do Argentyny, ale nie mogłem go dopaść. Dopiero . niedawno natknąłem się na niego: Poznałem go, a on mnie i teraz nadeszła godzina obrachunku. Będzie to ostatnia godzina życia, mo-jego lub jego.
- Jego, jego! - zawołali wszyscy i pięści ich z hukiem uderzyły w stół.
- Cicho! - rozkazał brat Jaguar. - Nie hałasujcie. Nikt nie powinien słyszeć, o czym mbwimy. Wszedł gospodarz, a za nim służcy, niosąc na półmiskach pachnące assado éon cuero. Goście jedli i pili w milczeniu, a mieli przy tym tak poważne miny, że gospodarz nie śmiał wszcząć rozmowy na nowo. Gdy skoficzyli posiłek, wszyscy wyszli na dwór, by obejrzeć muły.

Mułów i siodła miał Rodrigo Sereno pod dostatkiem. Przy blasku świec i latarni wybrano muły, po czym gospodarz znów podał niską cenę dwudziestu peso za sztukę. Potem zabrano siodła do gospody, ponieważ trzeba było napełnić torby żywnością. Po upływie 344 pół godziny wszystko było gotowe, brat Jaguar kazał gospodarzowi wystawić rachunek. Sięgnął do pasa, wyjął garść złotych monet i zapłacił należną sumę.

Wkrótce potem opuścili gospodę, wsiedli na muły i pojechali pomimo nocy, a senior Sereno został z podniosłym uczuciem, że zrobił dobry interes...

Nazajutrz rano przybyli znów nowi goście. Rodrigo Sereno właśnie sącył swoją matę przez srebrną rurkę, kiedy wszł dwóch mężczyzn, niskich, odzianych na czerwono i uzbrojonych aż po zęby. Jeden natychmiast zapytał, zamykając drzwi:

- Czy pan jest gospodarzem Rodrigem Serenem?
- 'Pak, seniores.
- A więc dobrze trańliśmy. Czy ma pan muły na sprzedaż?
- Ile tylko panowie zechcą.
- A czy poza tym można u pana dostać coś do jedzenia i picia?
- Wszystko, czego seniores sobie życzą. Proszę usiąś~ i wydać polecenia.

Przysunął dwa krzesła do stołu i ruchem ręki poprosił, by zajęli miejsca. W jego słowach brzmiała lekka ironia. Mimo broni nie mógł całkiem serio traktować obu przybyszów. Oni tego nie spostrzegli, zażądali gorącej maty oraz pieczywa i rozsiedli się na podsuniętych im krzesłach. ~ Kiedy przyniesiono zamówienie, gospodarz przysiadł się do nich, tak jak do ludzi, .których nie traktuje całkiem jak równych sobie.

Popatrzył na nich z góry, po czym rzekł:

- Czy seniores mają zamiar tu się zatrzymać?
- Kupujemy muły, to znaczy, że jedziemy dalej - odparł Fritz Kiesewetter.
- Skąd panowie przybywają?
- Z Salta.
- 'Także z Salta? I oczywiście także nie dylizansem?

- Nie. Przyjechaliśmy kofimi pocztowymi. Z pana pytafi wynika, 345 że jeszcze ktoś stamtąd przybył i również nie dylizanssem?
- Tak. Wczoraj wieczorem przyjechało tu całe fowarzystwo, a przedwczoraj także dwaj mężczyźni. Dokąd panowie zmierzają?
- Na razie do Salina del Condor. Ale nie znamy drogi~ Czy można tu wynająć godnego zaufania przewodnika?
- Czemu nie? Jeśli panowie mu dobrze zapłacą, zaraz panom takiego wskażę: Mam parobka, któty kiedyś był w górach i chyba zgodzi się pójs~ z panami jako przewodnik. Znajdziecie go przy mułach, które możecie sobie od razu obejrzeć, jeśli chcecie. Peon, o którym mówił gospodarz, nie był wcale godnym zaufania parobkiem, bo gospodarz by go tak chętnie nie puścił. Gdy obaj podróżni porozmawiali.z tym człowiekiem, oświadczył, że pojedzie z nimi i zażądał tak niewielkiej zapłaty, że obaj z miejsca na to przystali. 'I~m droższe, były muły, które kupili. Musieli za nie zapłacić po pięćdziesiąt peso, a więc o wiele drożej, niż zażądał gospodarz od poprzedników. Do tego doszły siodła i zapas żywności. Podczas gdy pakowano ją w izbie, doktor Morgenstern zapytał gospodarza:
- Mówił pan o ludziach, którzy tu przybyli z 'Salta wczoraj i przedwczoraj. Czy pan ieh zna?
- 'T~k jest. Przedwczoraj gościłem tu słynnego Benita Pajara i jeszcze jednego pana.
- Gambusina? A więc jesteśmy na właściwym tropie, po łacinie semita albo v~estigium. 'I~n drugi to na pewno był Antonio Perillo?
- 'lhk. Zna ich pan?
- Lepiej, niż pan sobie wyobraża. A kim byli panowie, którzy tu przyjechali wczoraj?
- Przyjechało tu ponad dv~~udziestu mężczyzn pod przewodnic-twem brata Jaguara. Ale tego chyba panowie nie znają. '
- Właśnie, że tak. Należymy do jego grupy.
- Co? Panowie należą do jego grupy, a przecież chcecie jechać śladem gambusina? Z tego należy sądzić, że brat Jaguar zamierza się z nim spotkać?

## 346

- Zgadł pan. Chodzi bowiem o sprawę ogromnej wagi. Mianowi-cie... Mały uczoney chciał nieopatrznie opowiedzieć gospodarzowi całą historię. Ale o wiele przeczorniejszy Fritz przerwał mu w pół słowa.
- Cho~zi o żyłę srebra, którą podobno wykryto w górach. Wszyscy ci seniores, a także my dwaj jedziemy tam, aby je wydobywać, jeśli okaże się, że to prawda.
- No to życzę panom szczęścia-rzekł gospodarz terazjuż głosem pełnym szacunku. - Przedsięwzięcie, w którym biorą udział brat Jaguar i gambusino, na pewno przyniesie zysk. Mam nadzieję, że panowie zajadą do mnie, ilekroć będą w tych stronach. Proszę pozdro-wić ode mnie brata Jaguara. Ponieważ panowie są z jego grupy, policzę panom taniej za muły, nie po pięćdziesiąt, tylko po trzydzieści peeso. Zwrócę panom nadpłatę.

## Niespodziewane spotkania

Ktokolwiek chce się wspiąć od wschodu na Cordilleras de losAndes, zwane także Kordylierami albo Andami, by dostać się od zachodu do Chile lub Peru, musi przemierzyć kilka stref górskich, które wskutek różnicy wysokości różnią się też klimatem.

Pienwsza strefa to zungas, dochodząca do 1600 metrów. Panuje tu

przepy ch tropików z rozległymi nieprzebytymi lasami, które przeci-nają niekiedy soczyste łąki, zwanepajonales. Medio zungas, jako druga strefa, sięga wysokości przeciętnie 2900 metrów. 'Iiztaj panuje jeszcze klimat stręfy umiarkowanej,.przechodzi się przez olbrzymie lasy, w których pełno jest chińskich drzew, ich kora stanowi cenny środek

lecniczy. Dalej ciągną się cabezeras de los valles, wyższe strefy, dochodzące do 3300 metrów. Są one osłonięte wysokimi górami, i występuje tutaj obfitość roślin. Do tej wysokości rośnie las, na wyższym zaś poziomie spotyka się już tylko pojedyncze drzewa i tylko w szczególnie osłoniętych miejscach. Następna strefa, puna, wznosi się do 3900 metrów. Oprócz pojedynczych drzew rosną tu tylko zioła i trawy, którymi żywią się zwierzęta, panuje zaś tutaj wielka susza, przerywana jedynie porami deszczowymi. Następna strefa, zwana

puna brava, obejmuje teren do najwyższych szczytów górskich, ten 348 powyżej 3900 metrów. Na tak znacznej wysokości znajdują się bogate pokłady kruszcu, a pomiędzy górskimi kolosami prowadzą przełęcze. 'Ititaj nawet w lecie deszcz często zamienia się w śnieg i grad, w zimie natomiast szaleją burze śnieżne, przynoszące często zgubę podróżnikom, którzy wąż się o tej porze roku przechodzi~ przez Andy. Tam, gdzie po drugiej stronie granicy argentyńskiej na terytorium boliwijskim puna graniczy z górną cabezerą, na wschodnich zboczach ciągnie się gęsty las chifiskich drzew. Na odsłoniętych miejscach pośród lasu znajdują się osady Indian Mojosów. 'I-ochę wyżej, poza granicą puny, leży dolina Guanaco, do której Mojosowie udali się na polowanie. Wyżej, prawie już w puna brava, na niewielkim płaskowyzu rozlewa swoje wody Salina del Condor, jeszcze wyżej leży Wąwóz 'Mordereów. W jego pobliżu odprz~łączy Iquique do Salina del Condor i dalej przez granicę argentyńską do Humahuaca prowadzi ścieżka, z którą łączy się druga, biegnąca od północy z Peru. Ścieżka nie jest tu właściwym określeniem, ho nie odpowiada temu, co rozumiemy na ogół pod tym słowem. Zwierzę juczne idzie po skałach czy odłamkach kamieni, przez doliny i jary, nie pozostawiając śladów, z których mogłaby powstać udeptana droga. Tylko doświadczony myśliwy lub przewodnik zna tę okolicę, zwykły podróżnik bardzo łatwo myli kierunek i może błąkać się całymi tygodniami, nie znajdując drogi czy przełęczy. Nawet znawca, jeśli nie skupi dostatecznie uwagi, może przeoczyć ślady i obrać zły kierunek.

Itk właśnie stało się z peonem z Humahuaca, który miał zaprowadzić obu Niemców do Salina del Condor. Był on kiedyś z pewnymi ludźmi w tych górach, ale nie zwracał uwagi na szczegóły okolicy i ~teraz zablądził.

Było południe i peon już od wczesnego rana zachowywał się bardzo dziwnie. Często zbacał z obranego kierunku, zwracał, kierował się na prawo albo na lewo, by potem znów wrócić na dawny szlak. Obrzucał okolicę niepewnym wzrokiem i starał się nie zdradzać wahania.

## 349

Doktor-tego nie spostrzegł, Fritz jednak był bystrzejszy i dobrze wszystko widział. Tizej jeźdźcy znajdowali się teraz w miejscu, gdzie otwierały się przed nimi dwie wąskie doliny, jedna prowadziła na lewo, druga prosto. Peon przystanął, by się zastanowić. Patrzył to na lewo, to przed siebie, najwidoczniej nie wiedział, w którą stronę jechać. Wreszcie Fritz stracił cierpliwość.

- Czemu pan się zatrzymał? Zdaje się, że zgubił pan drogę?
- Co panu przyszło do głowy? - odparł przewodnik obrażonym tonem. - Sądzi pan, że nie wiem, gdzie jestem?
- Wie pan z całą pewnością, że znajduje się w Andach, ale w jakim punkcie, tego niestety chyba pan nie wie.
- Czy chce mnie pan obrazić? Jeśli tak, to zostawię was tutaj i zawrócę! - zagroził peon.
- Zawróci pan? Chyba by pan tego nie zrobił - uśmiechnął się Fritz.
  - Dlaczego nie?
  - Bo muł, którego pan dosiada, należy do nas. Musiałby pan wracać pieszo.
  - A jeśli nie oddam muła?
  - Niech pan nie gada głupstw. Widzi pan, że jesteśmy uzbrojeni.

W tej okolicy strzela się do złodziei nie pytając, czy im to odpowiada. Gdy pan zawróci, wpakuję panu kulę w głowę. A teraz dalej, jeśli pan naprawdę zna drogę!

Peon nie wyglądał na bojaźliwego, ale zachowanie małego Niemca onieśmieliło go, więc zawrócił do doliny prowadzącej w lewo. 'Iamci dwaj pojechali za nim.

Dolina wiła się jak wąż i wydawała się nie mieć końca, wreszcie coraz bardziej się zwężała, aż stała się ciasną szczeliną podobną do północnoamerykańskiego kanionu.

Peon jechał teraz coraz wolniej. Nigdy nie widział tak długiej szczeliny. Wreszcie zatrzymał się i rzekł:

' - Pan mnie przedtem zmylił. Nie powinienem był skręcać na lewo, 350 tylko jechać prosto przed siebie. I była właściwa droga. Musimy zawrócić.

- Tak też sobie myślałem - mruknął Fritz. - 'I~raz musimy wracać taki kawał drogi! Ale czy pan na pewno wie, że ta droga jest , zła, a tamta dobra?

- T~k. Możemy śmiało zawracać. Pojechaliśmy za daleko w lewo, musimy skręcić bardziej w prawo.

- Jeśli tak będzie dobrze, to... - Fritz nagle urwał i zaczął nasłuchiwać.

- Co tam? - zapytał doktor. - Słyszysz coś? ~

- 'Tak. Wydawało mi się, że słyszę przed nami jakiś szmer.

Nie mylił się, szmer się powtórzył i powoli zbliżał. Brzmiało to jak tupot podków.

Czyżbym był na dobrej drodze? - zastanawiał się peon, przy czym jego zatroskana twarz się rozjaśniła.

Wąwóz znów zakręcał; a za zakrętem ukazało się trzech jeźdźców. Pierwszy~C to arriero, poganiacz mułów. Za nim podążało obładowane zwierzę juczne, a z tyłu jeździec, zapewne właściciel ładunku. Miał na sobie tutejszy strój, był wysoki i dobrze uzbrojony. Miał jasne włosy i brodę. Spoglądał teraz zaskoczony na trzech jeźdźców przed sobą. Na końcu jechał trzeci mężczyzna, zapewne także arriero. Zatrzymali się i obie grupy przez kilka sekund mierzyły się w milczeniu wzrokiem. Potem trzeci jeździec zawołał, zwracając się do peona.

- Czy to możliwe? To chyba Malzeso, peon Rodriga Serena?

- Owszem, to ja - odparł peon. - Skąd pan mnie zna?

- Z Humahuaca. Często zajeżdżam do pańskiego gospodarza i tam pana widziałem. Czy pan może jest przewodnikiem tych senio-res?

- 'Tak.

- Cielo! Jak pan ma odwagę prowadzić obcych podróżnych przez góry! Przecież to potrafi tylko doświadczony arriero?

351

- Znam góry lepiej, niż pan sądzi. Poza tym wcale nie chcemy przechodzić na tamtą stronę.

- Więc zostajecie po tej stronie? Tb co innego. Ale przekroczyli już panowie granicę puny, a ta droga prowadzi do puna brava, nie do zamieszkaney miejscowości. Czy wolno zapytać, dokąd panowie się udają?

- Tam, skąd pan jedzie, do Salina del Condor!

- Do Salina? Dios! Sądzi pan, że jedziemy stamtąd?

- 'Tak.

- Tb się pan grubo myli, senior. Przybywamy z Peru i zmierzamy do Salta. Są tylko dwie drogi. Jedna to ta, na której się znajdujemy i druga, która prowadzi z Iquique, przechodzi ona obok Salina del Condor i spotyka się z pierwszą w miejscu, które leży o pół dnia jazdy za wami.

- To ja także wiem.

- Chyba pan jednak nie wie, skoro pan źle pojechał. Ominął pan miejsce, gdzie obie drogi się łączą. Zamiast na lewo, pojechał pan prosto.
- 'lak też sobie myślałem! - zawołał Fritz do peona. - Powinniśmy skrócić w lewo, a pan dotąd twierdził, że należy się trzymać prawej ścieżki. Nałożyliśmy wobec tego drogi i straciliśmy chyba trzy czwarte dnia.
- Nie, tyle nie, senior - zwrócił się do niego arriero uprzejmie.
- Droga, którą należało obrać, ciągnie się stąd na zachód w góry.  
Jeśli od kofica tego wąwozu pojedziecie prosto, będziecie tam w ciągu trzech godzin.
- Hm! - mruknął Fritz zamyślony. - Jakie to szczęście, że spotkaliśmy panów. Bo z naszym przewodnikiem zapewne byśmy zginęli. Chciał tutaj zawrócić, a potem pojechać na prawo. Dzięki panom trańmy na właściwą drogę za trzy godziny, ale czy znajdziemy drogę do tej drogi? Bo zauważyłem, że niektóre przejścia są nie do przebycia.

## 352

- Tb prawda. Potrafi to tylko ktoś, kto się dobrze orientuje w tej okolicy. Nie pozostaje panom nic innego jak zawrócić i dojechać ze mną do miejsca, gdzie łączą się obie drogi. 'I-m wytłumaczę panom dokładnie, jak jechać dalej.
  - Nie jest to dla nas dobre wyjście. Straciliśmy dużo czasu, a jeśli zawrócimy, stracimy jeszcze więcej.
  - Ihk bardzo się spieszyacie?
  - Bardzo. Musimy się spotkać w Salina del Condor z ludźmi, spośród których kilku może pan zna. Należymy bowiem do grupy, której przewodzi brat Jaguar.
  - Brat Jaguar! Znam go. To najslawniejszy człowiek w górach, kilka razy się z nim zetknąłem. Tym bardziej jest mi przykro, że nie mogę panom pomóc. Zobowiązaliśmy się towarzyszyć temu panu do Salta, dlatego powtarzam to, co już mówiłem: najlepiej będzie, jeśli zawrócicie z nami. Jasnowłosy cudzoziemiec słuchał uważnie, badając wzrokiem do-ktora Morgensterna i Fritza. Teraz spojrzął na zegarek i zapytał arriero:
  - Czy zna pan tę okolicę tak dobrze, że mógłby pan naprowadzić tych seniores na właściwą drogę?
  - 'Idk.
  - I byłoby to możliwe do zmroku?
  - Tak.
  - Czy nasza droga spotyka się w górze z drogą do Salta?
  - I~k.
  - Więc możemy pomóc tym seniores i nie będzie pan musiał mnie zostawiać. Pan obejmie przewodnictwo, a ja pojedę z wami. Stracę tylko trzy godziny, które jutro nadrobimy, a ci panowie straciliby więcej niż jeden dzień. Jeśli do wieczora doprowadzimy ich do właściwej drogi, możemy z nimi przez najbliższą noc obozować, a jutro rano każdy pojedzie w swoją stronę. Pospieszmy się więc! Nie czekając zawrócił konie. Obaj jego przewodnicy ruszyli za nim, 353 a także obaj Niemcy. Rozpadlina była tak wąska, że nie mogli oni podjechać do przodu, by podziękować nieznanemu za jego uprzejmość. Pochód zamykał peon, który nie ważył się odezwać, a teraz miał minę pokutnika.
- W niespełna kwadrans minęli górną krawędź rozpadliny. Koficzyła się małą równiną, z której był widok na zachodnie góry. Teraz równina opadała do wąskiej doliny, rozszerzała się i prowadziła pomiędzy wysokie, ostro piętrzące się góry. Ich szczyty były nagie, na zboczach tu i ówdzie widać było porośnięte trawą miejsca, pozostałe jeszcze po porze deszczowej, ale wody nigdzie nie było. Tylko gdzieniegdzie rosły pojedyncze l~rzaki, przy których peon i arriero zatrzymali się, by nazbierać guchych gałęzi. . , 'I-raz wreszcie znalazła się sposobność, by się przedstawić uprzejmemu cudzoziemcowi i podziękować mu. Morgenstern podjechał do niego i rzekł po hiszpańsku:

- Senior, okazuje nam pan uprzejmość, o którą nie ważylibyśmy się prosić. Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem doktor Morgen-stern, przybyłem z Niemiec do Argentyny, by podjąć badania paleon-tologiczne. A to mój służący Fritz Kiesewetter. ,
  - Panowie są Niemcami - odparł cudzoziemiec serdecznie i najczystsza niemczyzną. - Jakże mi miło, że mogłem pomóc roda-kom.
  - Więc i pan jest Niemcem?
  - Tak.
  - Czy jest pan tu urodeony?
  - . - Nie, w ojczyźnie. Nazywam się Engelhardt. Dotąd mieszkałem w Limie, ale sprzedałem swoje przedsiębiorstwo i chcę wrócić do Niemiec. Na razie co prawda jadę przez Salta do Buenos Aires, gdzie mam krewnych.
  - My przybывamy z Buenos Aires - ódparł doktor. - Mieszkamy tam u bankiera Salida, może go pan zna?
  - Salido? Czy nie wymieniano tam mego nazwiska? - zapytał 354 z wyraźnym napięciem.
- Doktor odparł, namyślając się:
- Kiedy pan podał swoje nazwisko, wydało mi się; że już je kiedyś słyshałem, ale gdzie... kiedy... hm!
  - Panie doktorze, panie doktorze - wtrącił się Fritz radośnie podniecony. = Pewnie, że znamy to nazwisko! Czy pan nie rozumie, że ten pan jest męską częścią rodziców naszego Antona? Doktor otworzył usta, spojrział najpierw na Fritza, potem na En-gelhardta, wreszcie odparł, kręcąc głową:
  - Mylisz się, Fritz. Po co ojciec Antona jechałby z Peru przez Andy do Argentyny, jeśli wie, że jego syn, po łacinie filius, w tym samym czasie znajduje się w drodze do Peru?
  - Owszem, panie doktorze -- odparł Engelhardt - jestem ojcem Antona, którego pan poznał w domu pana Salida. Ale mój syn nie jedzie do Limy, bo wysłałem do Salida depeszę, że sam przyjadę po Antona.
  - Niestety, depesza przyszła za późno. Chłopak jest naprawdę w drodze do domu. Podróżowaliśmy razem z nim sporo dni. Ale nie rozumiem, dlaczego nie odpowiedział panu depeszą?
  - Nie rozumie pan? Chyba pan nie wie, że pomiędzy Peru a Chile wybuchła wojna?
  - Nie miałem pojęcia!
  - Chile odcięło Peru od wszelkiej łączności z Argentyną. Moja depesza, jak się teraz dowiaduję, była ostatnią, którą nadałem; lecz odpowiedź Salida już nie doszła do Limy. Tak więc dotąd byłem przekonany, że Anton jest jeszcze u niego. Co za przykra historia!
  - Powiada pan, że sprzedał swoje przedsiębiorstwo?
  - Jestem bankierem. Okoliczności sprawiły, że wskutek wojny mogłem stracić majątek, a ponieważ miałem okazję dobrze sprzedać firmę, skorzystałem z niej. Sprzedałem nie tylko firmę, lecz wszystko, co tam posiadałem, tak, że mogłem jak najszybciej opuścić kraj, w którym napięta sytuacja polityczna nie gwarantowała bezpiecznego
- 355 posiadania majątku i korzystania z niego. Zadepeszowałem do Salida, że przyjadę drogą lądową, przez Andy, ponieważ w Salta, 'Tiicuman i Cordobie musiałem jeszcze załatwić interesy. Moja żona i syn udali się drogą morską, na co się zgodziłem, bo znalazłem dobry nowy statek, którego kapitan jest moim przyjacielem. Spotkam się z nimi w Buenos Aires i tam też spodziewałem się zastać Antona. A teraz okazało się, że go nie ma. Co za nieszczęście! Nie znajdzie nas w Limie, zmuszą go, by wstąpił do wojska, bo jest dobrze rozwinięty jak na swój wiek, i..:
- Niech się pan nie martwi - przerwał mu Fritz. - Pański syn nie przejdzie przez granicę. Ludzie, z którymi podróżuje, są zbyt mądzy, by w tych warunkach pozwolili mu tam pójść.
  - Skąd pan wie?
  - Bo ich znam.

- Więc niech mi pan powie, kim oni są i gdzie ich mogę znaleźć.
- W Salina del Condor. Pana ukochany Anton jest z bratem Jaguarem, który ma przy sobie dwudziestu dzielnych ludzi. Widzi pan więc, że nie ma się czego obawiać.

Z twarzy Engelhardta znikł wyraz niepokoju, klasnął radośnie w dłonie i zawołał:

- Jest z bratem Jaguarem? A więc w Salina del Condor, które leży wcale nie tak daleko stąd?
- 'Idk. Tam na górze brat Jaguar miał go przetransportować przez granicę, ale teraz odda go w pańskie objęcia.
- Co za przypadek, co za szczęśliwy zbieg okoliczności.
- To nie przypadek - odezwał się doktor. - Zawdzięcza to pan dobroci swego serca. Gdyby pan. nas minął i nie dopomógł nam, byłby pan długo jeszcze rozdzielony z synem. Wszystko panu opowiemy. Poczciwy doktor miał zamiar zacząć długą przemowę, która zapewne zaczynałaby się od stworzenia świata, lecz rozsądny Fritz przyha-mował go.
- Nie teraz, moi panowie. Widzicie przecież, że pozostaliśmy 356 daleko w tyle. 'Idmci zatrzymali się i czekają na nas. Jedźmy dalej. W drodze możemy także rozmawiać, a kiedy rozbijemy obóz; będzie dość czasu na długie opowieści.

Obaj musieli przyznać mu rację i ruszyli za nim. Jechali teraz z podwójną szybkością. Słofice zaszło za górami i arriero, który teraz był przewodnikiem, bardzo naglił. W górze unosił się kondor. Arriero wskazał na niego~.

- Leci do swego gniazda, bo za niespełna pół godziny będzie ciemno.
  - Czy już niedługo natrafimy na właściwą drogę? - zapytał En-gelhardt.
  - Będziemy tam za kilka minut.
  - A miejsce, gdzie możemy przenocować?
  - Także jest niedaleko. Tylko niestety położone jest nie na połud-nie, gdzie jutro pojedziemy, lecz na północ, przez co znów stracimy czas. ,
  - A więc w kierunku Salina del Condor?
  - Tak.
  - Wobec tego nie stracimy czasu, bo jutro rano nie pojedę wprost dc! Salta, lecz do Salina. Proszę sobie wyobrazić, senior, że właśnie się dowiedziałem, iż mój syn znajduje się z bratem Jaguarem. W kilka minut później doszli do piaszczystej równiny i przewodnik rzekł:
  - Seniores, widzicie tu ślady w piasku? Są stare i już zatarte, ledwo dostrzegalne. I b droga do Salina. Pojedziemy tędy. Droga jest dobra, popędzimy nasze muły.
- Jechali szybko przez równinę, wreszcie arriero zatrzymał muła, wskazał szeroki, ale niezbyt wysoki otwór i rzekł:

- 'Iii możemy przenocować. Tb rodzaj jaskini, która ma dwa wejścia. Wiatr tu nie dociera, a kiedy rozpalimy ognisko i owiniemy się w koce, będziemy tak dobrze spali jak w ranczo. Zsiedli, by obejrzeć jaskinię. Miała długość około dwudziestu 357 kroków i kształt półkola. Przed wejściem rosła niska, ale gęsta trawa, znakomite pożywienie dla mułów. Rozsiodłano je i uwiązano tak, by nie mogły się zbyt oddalaE.

Krótki czas do zapadnięcia zmierzchu wykorzystano, by przygoto-wać posłania. Rozpalono ognisko, a zebrane po drodze gałęzie wy-starczyły na kilka godzin. - Po jednej stronie ogniska siedzieli obaj arrieros i peon, rozmawia-jąc po hiszpańsku, po drugiej trzech Niemców, którzy mówili w swym ojczystym języku. Fritz i doktor Morgenstern opowiadali bankierowi, co zaszło od owego dnia w Buenos Aires. Żaden z nich nie pomyślał o wystawieniu posterunku. Gdyby tu był brat Jaguar, na pewno by tego nie zaniedbał, ponieważ w takiej okolicy należy przestrzegać wszelkich reguł ostrożności.

Jak powiedzieliśmy, gambusino i Antonio Perillo pojechali w stro-, nę doliny Guanaco, by do swych celów zwerbować kilku Mojosów. Zabrali ze sobą co prawda z Salta zapas żywności, ale nie tyle, by starczyło im na dłuższy czas. Gambusino bowiem postanowił pozo-stać tam tak długo,



aż znajdzie kryjówkę ze skarbem. Gdyby się to przedzrzało, istniała możliwość wyczerpania się zapasów. Potrzebował więc ludzi, którzy by polowali, i do tego właśnie mieli sżyć Mojosi. Poza tym gambusino chciał wystawić dwa posterunki, by nikt ich przypadkiem nie zaskoczył. Jeden posterunek miał czuwać nad wąwozem, drugi na dole. Tę rolę również mieli spełniać Indianie. Rzecz jasna, że nie wolno im było wejść do wąwozu. Ale trzeba było podać jakiś powód, dlatego dwóch ludzi przebywa tak długo w rozpadlinie. Gambusino długo się na tym zastanawiał.

- Te czerwone łotry są zbyt sprytne, by uwierzyć w nasze bajeczki.

Musimy znaleźć jakiś powód związany z religią, tylko w ten sposób wprowadzimy ich w błąd. Co powiesz na śluby?

- Świetnie! Zawsze wymyślisz coś genialnego! Byliśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie i ślubowaliśmy złożyć Bogu ofiarę. Nie wiemy jeszcze jaką, to postanowimy dopiero w Wąwozie Morderców,

358 gdzie musimy pozostawać w całkowitej samotności. Czerwonoskórzy są ogromnie przesądni, to do nich przemówi i na pewno nie zechcą nas podglądać.

- Tak: A kiedy znajdziemy to, czego szukamy, po prostu ich zabijemy. To żadna fatyga, bo wystarczy nam sześciu, najwyżej ośmiu ludzi.

Obaj podli ludzie spotkali się z życzliwym przyjęciem u Mojosów. Wódz nie tylko zgodził się spełnić ich życzenie, lecz był nawet gotów, sam z nimi pojechać. Było to dla nich ogromnie niewygodne, ale że odmowę wódz uznałby za obrazę i nie pozwoliła y pójść swoim ludziom, więc chcąc nie chcąc musieli się zgodzić.

Wyruszyli wraz z siedmioma Mojosami z doliny Guanaco do Wąwozu Morderców, który był oddalony o przeszło dziesięć dni drogi. Pod wieczór pierwszego dnia dotarli do ścieżki prowadzącej w kierunku Salina del Condor. Jechali nią, aż się ściemniło, gambusino chciał przenocować gdziekolwiek, wówczas wódz Ostry Nóż rzekł:

- Zbudzi nas silny północny wiatr, lepiej będzie znaleźć się w miejscu, gdzie nas nie dosięgnie.

- Więc nas prowadź.

- Tu niedaleko jest jaskinia, która ma dwa wejścia.

Pojechali dalej, Ostry Nóż prowadził. Po pewnym czasie wódz nagle się zatrzymał i pochylił nad ziemią.

- Co tam? Zobaczyłeś coś podejrzanego? - zapytał Perillo po cichu. ‘

- Tak. Widzę odblask ogniska palącego się w jaskini.

- Więc tam są ludzie. Kto to może być?

- Zobaczą. Potrzymajcie mojego konia i zczekajcie, tylko zachowujcie się cicho.

Zszedł z siodła i poszedł szybko dalej. Reszta także zsiadła z koni.

Wódz wrócił po kwadransie.

- Przed jaskinią pasą się muły, a wewnątrz siedzi przy ognisku sześciu ludzi.

## 359

- Indianie? - zapytał gambusina.

- Biali.

- Dobrze uzbrojeni?

- Bardzo dobrze.

- Co robią?

- Rozmawiają. Tu zech mówi po hiszpańsku, a trzech nie wiem po jakim.

- To bardzo dziwne. Sam pójde zobaczyć.

Skinął na Perilla i obaj poczołgali się do jaskini. Światło ogniska shxżyło im za drogowskaz. 'li~afili z łatwością, mimo że nie znali drogi.

- Jeśli któryś z nich przypadkowo wyjdzie, zobaczy nas - szepnął Perillo.
  - Nie, chyba nam to nie grozi. Ta jest ciemno, a tam jasno, a to oślepia: Chodź, podejźmy bliżej. Przyczołgali się do samego wejścia. Ujrzeni dwóch arrieros i peona, pozostałych trzech słyszeli tylko głosy. Po chwili gambusino pociągnął kompana z powrotem, tak że mogli się wyprostować.
  - Poznałeś go? - zapytał Perillo.
  - Kogo?
  - Parobka gospodarza z Salto.
  - Tak.
  - Ale tamtych dwóch nie znam.
  - To arrieros, widać po ubiorze. Już ich gdzieś widziałem, ale nie znam ich imion. Czy nie wiesz, w jakim języku mówili tamci trzej? Nie był to francuski ani portugalski, ani angielski.
  - Chyba niemiecki. W Buenos Aires często słyszałem, jak rozma~ wiali Niemcy.
  - Demonio! Po niemiecku! Czyżby to byli...
  - Cicho bądź! Musimy się przekonać, co to za jedni. Jaskinia ma jeszcze jedno wejście. Z tamtej strońy na pewno: ich zobaczymy. Chodź.
- Poczłołgali się do drugiego otworu.

## 360

Przypuszczenie gambusina było trafne, ujrzeli trzech Niemców.

Engelhardt siedział twarzą do nich, doktora i Fritza widzieli z profilu. Gambusino chwycił Perilla za ramię. Ciężko dyszał, ale się opano-wał i dał znak, aby się wycofać.

Kiedy byli już daleko, zaczął urągać, zgrzytając zębami:

- Niech diabli porwą tamtych dwóch! Skąd się wzięli w tej jaskini?
  - Diabeł ich tu sprowadził!
  - Chyba tak. Zawsze stawia ich na naszej drodze. Co prawda omyliliśmy się, sądząc, że jeden z nich to Glotino, ale są dla nas niebezpieczni, bo zawsze napotykamy ich właśnie wtedy, kiedy mamy coś ważnego do załatwienia.
  - Nie to jest najgorsze, tylko to, że oni są zawsze tam, gdzie brat Jaguar.
  - Tb prawda! Ale mam nadzieję, że tyrn razem diabeł go tu nie sprowadził.
  - Jeśli o to chodzi, to po diable i bracie Jaguarze wszystkiego się można spodziewać.
  - Uspokaja mnie fakt, że w jaskini leży tylko sześć siodeł. Sądząc z tego, znajduje się tu tylko sześciu ludzi. Więc na razie nie musimy się obawiać brata Jaguara.
  - Co robić? Czy jechać dalej? Bardzo bym chciał dać małą nauczkę tym Niemcom.
- Gambusino spoglądał przez chwilę przed siebie, po czym rzekł:

- Mam pomysł.
- Jaki?
- 'Oni nie są dla nas groźni i choć nie jestem taki głupi; by mieE wyrzuty sumienia z powodu zabicia człowieka, to jednak uważam . zabicie tych dwóch za zbędne. Jeśli ich uwięzimy, będziemy mieli zakładników, na wypadek gdyby brat Jaguar rzeczywiście był tu gdzieś w pobliżu.
- Więc uważasz, że mamy ich ze sobą wlec?

## 361

-- Hm: Tb byłoby niewygodne. Ale mam powody, by to zrobić. Są bogaci.

- 'Tak. Ten, kto podejmuje taką podróż, musi być bogaty. Ale jest jeszcze jeden powód. Czy znasz tego trzeciego, który siedzi z nimi?
  - Nie.
  - Przecież byłeś w Peru?
  - Czy on jest stamtąd?
  - Tak. Nieraz go widziałem, ale on mnie nie zna. Czy słyszałeś już kiedyś nazwisko Engelhardt?
  - Masz na myśli tego bogatego bankiera z Limy?
  - ~k.
  - Czy to może on?
  - 'Pak, to on. Nie mam wątpliwości, bo dobrze go znam. Wyobraźasz sobie, jaki możemy wziąć okup?
  - To wspaniały pomysł! Jeśli nie znajdziemy skarbu, stratę powe-tuje nam okup za Engelhardta. Musi dać połowę majątku za swoje uwolnienie.
  - Uwolnienie? Żeby mógł nas wydać? Mowy nie ma! Zapłaci, a potem... zniknie. Zgoda? Jeśli nawet znajdziemy skarb, możemy tak-że zgarnąć okup za tego bogacza.
  - Masz rację. A więc bierzemy jego i obu mikrusów?
  - 'Idk.
  - A co z tamtymi?
  - Sprzątnie się ich. Kulą lub nożem.
  - Diabollo! Szybko się uwijasz, ale tak jest najlepiej. Tyl.ko czy Indianie się na to zgodzą?
  - Obiecamy im część łupu, ale zamiast łupu dostaną kulę w łeb.
- Poczekaj, aż wrócę!

Odszedł ostrożnie, a Perillo przywarł do ziemi. Gdy gambusino wrócił, nie był sam, lecz przyprowadził wodza i sześciu Indian. Siódmy został przy koniach.

- Zgodzili się - szepnął gambusino. - Bankier dla nas, tamtych 362 dwóch dla nich. Ale nie chcą nikogo zabić. Mus~my więc arrieros i peona wziąć na siebie. Dlatego przyniosłem ci strzelbę.
  - Dawaj! Czy padną od naszych kul, czy od czerwonoskórych, to obojętne. Kiedy zaczynamy?
  - Zaraz. My obaj podczołgamy się tam, gdzie siedzą arrieros, a Indianie przemkną do drugiego wejścia. Gdy rozlegną się nasze wy-str~ały, wpadną do jaskini i rzucą się na Niemców, rozbiją ich i zwiążą. Wszystko zostało omówione. Chodź!
- Zbliżyli się do wejścia tak, że widzieli swoje ońary.

- Ja biorę na siebie obu arrieros, a ty peona-szepnął gambusino.
- Strzelamy w głowy, to najpewniejsze. Kiedy powiem „trzy”, naci-skasz. Jesteś gotów?
- 'Tak - rzekł Perillo celując.
- 'I~lko dobrze wyceluj! A więc raz, dwa, trzy!

Ostatnie słowo zawołał głośno i nacisnął spust obu luf, Perillo wystrzelił równocześnie z nim. 'Ii~zech niczego nie przeczuwających ludzi padło trafionych. W tym samym czasie Indianie z dzikim wrza-skiem wpadli do jaskini. Wszystko to działo się w ciągu kilku minut. Niemców powalono na ziemię i związano, zanim mogli stawić opór. Potem Indianie rzucili się na trupy, wyciągnęli je na zewnątrz, gdzie całkowicie ich ograbili. .

Gambusino podsycił ogień, by jaśniej się palił, po czym stanął wraz z Perillem przed jeńcami, którzy byli jeszcze oszołomieni i nie widzieli dokładnie swych wrogów.

- Witajcie w górach, seniores! - rzekł szyderczo. - Jestem zachwycony, widząc was tutaj. Widać jest mi sążone wciąż od nowa rozkoszować się waszym widokiem. Jak się panowie miewają?
- Bardzo dobrze, senior - roześmiał się Fritz, który pierwszy oprzytomniał. - Gdyby w pa~skim sercu gościła taka radość jak w moim, byłby pan godny podziwu. i ,
- Pańskie serce obchodzi mnie znacznie mniej niż pafiski trzos.

Czy jest pan bogaty?

363

- Bardzo. -

- Może pan zapłacić okup?

- Oczywiście.

- Ale nie ma pan pieniędzy przy sobie?

- Niestety nie. Są u mojego bankiera.

- To nic nie szkodzi. Da mi pan tylko polecenie: A pafiski towa-rzysz?

Fritz odpowiedział:

- 'I~n biedak nie ma nic prócz tego, co znajduje się w jego torbie, gar~ć peso, to wszystko.

- Więc umrze. Mogę go uwolnić tylko za okup.

- On nie ma zamiaru umierać, bo wie, że ja za niego zapłacę. Ile wynosi okup?

- Dziesięć tysięcy peso za obu, to najmniejsza suma, jakiej mogę żądać.

- Świetnie! Otrzyma ją pan. Proszę o atrament, pióro i papier, to napiszę zlecenie.

- Powoli, powoli! Tb nie takie pilne. Muszę jeszcze porozmawiać z tamtym panem. ; Stał naprzeciw Engelhardta .

- Czy pan mnie zna? - zapytał.

- Nie = odparł Engelhardt z ulgą, że nie chodzi o jego życie tylko o okup.

- Nie? To nic; pozna mnie pan, a jeśli będzie pan równie gotów do płacenia jak pafiski towarzysz, to nasza znajomość możesz okazać miła dla nas obu.

- Ile pan żąda za uwolnienie mnie?

- Tb się okaże, kiedy się dowiem, ile wynosi pafiski majątek. Liczę bowiem procentowo i... ‘

Przerwał, bo wzdął szybkim krokiem i dał mu znak, by się zbliżył.

- Nie jesteśmy bezpieczni, - szepnął - ktoś nas obserwuje. Jeden z moich ludzi widział czołgającą się postać.

- Może to jakies zwierzę?

- Nie, senior, to był człowiek, bo kiedy zauważył, że go spostrzeżono, zerwał się i uciekł.

- Nie goniliście go?

- W takich ciemnościach? Człowiek znika w jednej chwili.

- Que disgusto! Musimy stąd uciekać. Kto wie, jacy ludzie się tutaj włóczą?

- To na pewno brat Jaguar - rzekł Perillo, który stał tak blisko, że słyszał rozmowę.

- Nie, to na pewno nie on, bo by nas natychmiast zaatakował, aby uwolnić więźniów. Ale ktokolwiek to jest, nic nam nie robi, wypro-wadzimy go w pole.

Podszedł do ogniska i wydał po cichu parę rozkazów. Kilku Indian wzięło muły zabitych i jeficów, inni wzięli Niemców i zanieśli na miejsce, gdzie jeden Indianin pilnował zwierząt. Wkrótce po małym zamieszaniu, grupa odjechała, ale nie w kierunku Salina del Condor, lecz w przeciwną stronę. W tak ożywionym przedtem miejscu panowała teraz cisza i spokój.

Ale czy naprawdę? Nie całkiem, bo niedaleko od jaskini uniosły się dwie ciemne postaci i jakiś głos szepnął:

- Oni cię widzieli, dlatego odjechali. A tak łatwo mogli cię ująć, o panie!

- Mnie? Nigdy, drogi Anciano - odparł Haukaropora, syn Inki:

- Obrali fałszywy kierunek, by nas zmylić, ale nic z tego. Nasze stopy są szybsze od kopyt ich koni.

Oni na pewno jadą do Salina del Condor. Biegnijmy tam, by uprzedzić brata Jaguara o ich nadejściu. Obaj potomkowie dawnych Peruwiańczyków zniknęli w ciemnościach. Brat Jaguar wysłał ich jako zwiadowców, by zameldowali mu o zbliżaniu się gembusina.

## Testament Inki

Nazwa Barranca del Homicidio, czyli Wąwóz Morderców, brzmiała niesamowicie, a otoczenie odpowiadało temu określeniu. Na zachodzie wznosiły się martwe nagie skały, na zboczach i w dolinach nie było śladu roślinności, Sam wąwóz opadał tak stromo w dół, że można tam było się dostać tylko pieszo. Także i tu nie było nigdzie roślinności, tylko na krawędzi, gdzie jeźdźcy zsiadli z mułdw, widać było kilka wyrwanych z ziemi korzeni. Ludzie, którzy tu uprzednio przebywali, zużyli część z nich jako opał. Skała była tak gładka, że nawet kopyta mułów nie pozostawiły na niej żadnych śladów. Niedaleko obozujących nad rozpadliną znajdował się wielki blok skalny, tworząc schronienie dla jednej osoby. Brat Jaguar rzekł do Anciana wskazując na tę skałę.

- Pod tym głazem tkwił zapewne Antonio Peritlo, czekając na Inkę, zanim go następnego ranka zamordował. Nie ma tu innego miejsca, gdzie by można się schować. A tam w głębi, w ukryciu, spoczywa tajemnica skarbu.

Obaj rozmawiali teraz o icjalnie w obecności wszystkich o skarbie, mówiąc przy tym również o Ince, ponieważ stary Anciano i Haukaro-pora podczas ostatnich dni pozbyli się swej powściągliwości.

### 366

- 'Tdm, po tamtej stronie przepaści jest miejsce, którego szukają te dwa łotry. - odparł Anciano.

- Znasz je?

- 'Tak:

- Hauka także?

- Nie. Dla niego było to do tej pory tajemnicą, niedawno dopiero osiągnął wiek, w którym zgodnie z wolą jego ojca miał osiąść całkowitą tajemnicę.

- Czy dowie się tego od ciebie?

- 'Idk.

- Więc ty znasz tę tajemnicę? '

- O tyle, o ile było to konieczne, by pokazać Haukaroporze drogę.

- Czy skarb jest zakopany w ziemi? Mam na myśli, czy trzeba wykopać jamę, a potem ją zasypać?

- Nie, znajduje się w pieczarze, w starej sztolni, którą wydrążyli nasi przodkowie w poszukiwaniu złota i srebra. Ale nic nie znaleźli, a kiedy dotarli do szerokiej podziemnej szczeliny, tak głębokiej, że nie było słychać rzuconego tam kamienia, przestali drążyć i zasypali wejście. Położenie sztolni było jednak znane i kiedy przodek Hauki uciekał wraz z wiernymi mu ludźmi, przybył tutaj, by ukryć wszystko, co ocalał ze swych skarbów. Później dopadli go wrogowie i zabili wszystkich prócz dwóch, którym udało się umknąć jednym z nich był Inka, drugim mój przodek. 'I-tajemnicę dziedziczyli potomkowie tam-tych dwóch aż do Haukaropory i ja. Wiem, gdzie jest pieczara, ale nigdy nie byłem w jej wnętrzu, ponieważ tylko mój władca, ojciec Hauki, miał prawo tam wchodzić. Dziś wskażę Haukaroporze wejście i jeśli on mi pozwoli, ujrzę po raz pierwszy przedmioty znajdujące się w pieczarze.

- Oczywiście, że ci pozwolę, mój stary, wierny Anciano! - zawołał Hauka. - Jesteś moim drugim ojcem i to, co należy do mnie; jest także twoją własnością.

- Dziękuję ci - rzekł stary z radością: - Jedyne, czego pragnę,

367 to żebyś mnie nadal obdarzał swoją miłością. Mam jednak jeszcze jedno pragnienie i proszę, byś je spełnił.

- Powiedz jakie?

- Wolno było ci wejść do tej jaskini dopiero wówczas, kiedy osiągniesz określony wiek, kiedy już porywczność młodości zostanie pokonana. Ma to swoje uzasadnienie, gdyż wejście do sztolni związa-ne jest z pewnym niebezpieczeństwem. Nie wiem, na czym ono polega. 'Iiwój ojciec, a mój dawny władca chciał mi to powiedzieć, ale przed ' nagłą śmiercią nie zdążył.

- I nie masz pojęcia, o co tu chodzi?
- Pojęcie mam, ale brak mi pewności. Wiesz, że nasi przodkowie potrafili stworzyć ogień, który mógł spoczywać całe wieki w ukryciu, ale gdyby bez odpowiednich umiejętności uwolnić go, mógł swą siłą zniszczyć wszystko, co ogarnął. Może jest on podobny do dzisiejszego prochu strzelniczego, o którym nasz naród nic nie wiedział, dopóki nie ujrzał go u Hiszpanów. Z pewnych słów twojego ojca wnioskowa-łem, że jaskini strzeże taki ogień, który zniszczy każdego, kto bezpra-wnie tam wejdzie.
- ‘To istotnie niebezpiecznie zbliżyć się do tego skarbu.
- Tak. I dlatego chciałbym cię prosić, byś zabrał ze sobą brata Jaguara. Jego wzrok jest tak.ostry i przenikliwy jak żaden inny i on prędziej niż my dwaj potrafi wykryć ten ogień.
- Niech więc idzie z nami. I tak bym go o to poprosił. Chciałbym też, aby mój drogi przyjaciel Antonio ujrzał ten skarb jako jeden z pierwszych. A może obawiasz się tego ukrytego ognia? Pytanie to Hauka skierował do Antona Engelhardta, który naty-chmiast odpowiedział:
- Ja się nie boję. Podobnie jak proch wasz ogień staje się niebez-pieczny dopiero wtedy, kiedy się go zapali, a do tego przecież nie dopuścimy.
- Jeśli zachowamy ostrożność, nie mamy się czego obawiać - przytaknął brat Jaguar. - Czy chcecie już dziś wejść do jaskini?

## 368

- ‘Tak - rzekł Anciano.
- Przed nadejściem naszych wrogów?
- Oczywiście.
- Ja radziłbym poczekać. Pozostawimy ślady, które zdradzą naszą obecność.
- Czy nie mamy dość czasu, by te ślady zatrzeć, senior? Gambusino nie dotrze tu wcześniej niż jutro wieczorem, a teraz jest dopiero południe. Należy sądzić, że jutro dojdzie do walki, a jeśli przy tym polegnę, nie pokażę mojemu młodemu władcy owego miejsca i całe dziedzictwo będzie stracone.
- Nie musisz brać udziału w walce.
- Senior, co pan sobie wyobraża! - zawołał starzec. - Musimy ująć mordercę mojego pana; a moje ramiona i moja broń miałyby nie brać w tym udziału? Może pan żądać ode mnie wszystkiego, tylko nie tego!
- Dobrze! Rozumiem, co myślisz i czujesz. Więc niech będzie, jak chcesz. Ale zanim wyruszymy do sztolni, musimy pomyśleć o czymś, co jest niezbędne. Może będziemy zmuszeni pozostać tu wiele dni. Mamy dość~ prowiantu, ale nie zapominajmy o naszych mułach. Woda i trawa są tylko na dole przy Salina del Condor, a tam niestety nie możemy obozować, ponieważ tamtędy nadejdą nasi przeciwnicy. Mu-simy więc szukać innego miejsca, nawet jeśli jest ono bardzo daleko stąd, gdzie nasze zwierzęta będą miały wodę i pastwisko.
- Jeśli o to chodzi, to nie ma zmartwienia, senior. O godzinę jazdy stąd znajduje się głęboka jama, w której zawsze jest woda, a na jej brzegu ro~nie tiawa. Chyba tylko ja i Hauka znamy to miejsce. Zaprowadzę tam pana.
- Głęboka jama w górze? Czy nasze zwierzęta będą mogły tam wejść?
- Konie nie dałyby rady, ale muły na pewno. Co prawda nie wiemy, czy nie będą nam tu potrzebne do pogoni za naszymi wrogami.
- Mamy czas, by się o tym przekonać. Na razie, kiedy trochę wypoczniemy, możesz poprowadzić muły do tej wody. Ja zostanę tu razem z Hauką i Antonem, poczekamy na twój powrót. Nietrudno sobie wyobrazić, że i reszta wędrowców chętnie przyłą-czyłaby się do poszukiwania skarbu, ale nic nie mówili i po chwili v~ryruszyli pod dowództwem Anciana, by odnaleźć ukrytą wodę i pastwisko. Brat Jaguar spoglądał w ślad za nimi, aż znikli mu z oczu, po czym zwrócił się do Hauki, który z Antonem Engelhardiem sie-dział na skraju przepaści i zarhyślony spoglądał przed siebie.

- Czy odważyłbyś się bez Anciana odnaleźć sztolnię?  
- Nie - odparł syn Inki. - Mój ojciec tak zamaskował wejście, że nikt go nie odnajdzie.  
- Zobaczymy! Ponieważ wiem, że w szczelinie jest coś ukryte, nie uważam za niemożliwe znalezienie tego miejsca. Zejdę tam i spróbuję. Na razie pozostać tutaj. Co prawda nie sądzę, żeby ktoś tu nadszedł, ale zawsze trzeba mieć oczy otwarte. Stąd macie widok na całą okolicę. Gdybyście ujrzeli, że ktoś się zbliża, zawołajcie mnie, usłyszycie wasze głosy.  
Zszedł zręcznie po stromej skale. Obaj młodzieńcy śledzili go wzrokiem, a gdy dotarł na dół Hauka rzekł kręcąc głową.

- On nie znajdzie tego miejsca. To sławny człowiek, najslawniejszy ze wszystkich, jakich znam, ale nawet on nie rozpozna tego miejsca.  
- Nie widziałeś jego uśmiechu, kiedy tak twierdziłeś? - zapytał Anton. - On chyba jest przekonany, że odkryje tę pieczarę i sądzę, że tak będzie. Dziś staniesz się bogaty, w każdym razie o wiele bogatszy ode mnie, a raczej od mojego ojca. Czy twoi przodkowie naprawdę posiadali tyle złota i srebra, jak opowiadają ludzie i piszą w książkach?  
- 'Idk. Kiedy Inkowie zostali napadnięci i obrabowani przez Hiszpanów, wielu bogatych ludzi tego kraju zakopało albo w inny sposób ukryło swoje skarby. Po ich śmierci nikt nie wiedział, gdzie się znajdują. Tak więc w ziemi drzemią miliony, które nie mogą już nikomu przynieść szkody...  
370

11

- Szkoły? Chyba chcesz powiedzieć „korzyści”?  
- Nie. Wielkie bogactwa mojego ludu ponoszą winę za to, że zginął. Gdyby był ubogi, Hiszpanie, którzy przybyli do Peru, odjechałby i więcej nie wrócili. Czy wiesz, jak został oszukany najbardziej nieszczęśliwy z moich przodków?  
- Nie.  
- Kiedy go uwięziono, zaprowadzono go do dużej sali i Pizarro, zwycięzca, kofiem miecza zrobił kreskę na ścianie tak wysoko, jak mógł dosięgnąć i przyrzekł mu wolność, jeśli wypełni salę do tego miejsca srebrem i złotem. Inka spełnił to żądanie, lecz Hiszpan nie, dotrzymał słowa. Był to chrześcijanin, który siłą kazał wśród nas szerzyć naukę o prawdzie i miłości. Widzisz więc, że bogactwo zgubiło mój lud.  
- Wielka sala pełna złota i srebra! Czy to możliwe?  
- Dziwisz się? Więc nie wiesz nic o skarbach, jakie zawierały obie świątynie boga Słofice w Kuzko i Czukitu, w świątyniach w Uanakauri, Kacza, Vilikanota i w wielu innych świętych miejscach, zwanych huakas. W świątyni boga Słofice w Kuzko było przeszło cztery tyciące kapłańców i sług. Wszystkie drzwi miały złote futryny, a otwory okien wysadzane były szmaragdami i innymi drogocennymi kamieniami. Ściany wykładane były złotymi płytami. Stały tam posągi bogów i bogiń ze szczerzego złota, a Inków ze srebra. Były tam niezliczone ~ ac~mia i przrzwały, wszystkie ze szlachetnych metali. Z pięciu źródeł utaczających świątynię gC~r złote rury doprowadzały wodę do złotych lub srebrnych pucharów. Służyła ona do picia, do mycia naczyń i kąpiei rytualnych. Czy mam dalej opowiadać? Czy znasz taką miarę, która by mogła określić rozmiar tych bogactw?  
- Nie, przestań. Dreszcze mnie przechodzą, kiedy słyszę o waszych budowlach, posągach i naczyńiach. Mieliście z pewnością Świetnych artystów?  
- Owszem, choć nasza sztuka jest zupełnie inna niż wasza.  
- A nauka?

## 371

- Jako chłopiec wyrastałem w samotności i nie mogę mówić o czymś, co wy nazywacie nauką. Ale mieliśmy też uczonych ludzi. Na pewno słyszałeś o kipu-kamayokach?

- Tak, to byli wasi uczeni pisarze. Ale wasze pismo nie składało się z liter i wyrazów jak nasze; lecz ze sznurków wiązanych w supły, Icr'pu. Jak jest możliwe czytanie takich supłów? 'Tak jak my czytamy nasze książki, gazety i inne pisma?
- To co prawda niełatwa sztuka i nie każdy z nas potrafi nauczyć się czytania i pisania. Takie supły mógł wiązać lub odczytywać jedynie uczonego w piśmie zwanego kamayakiem. Na In'pu-kamayoków wybierano tylko najbardziej niezawodnych ludzi i w każdej wsi żyły rodziny umiające pisać, które tylko swoim następcom przekazywały tę sztukę. Mój stary Anciano pochodzi z takiej rodziny i potrafiłby odczytać każdy supel.
- A ty także to potrafisz?
- Tak, bo jestem potomkiem władców, którzy przede wszystkim musieli opanować tę sztukę. Pokaż mi pęczek supłów, a odczytam ci go, tak jak ty czytasz słowa pisane na papierze. Mój ojciec nauczył mnie wszystkiego, co Inka powinien wiedzieć, ponieważ wierzył, że nasze państwo znów powstanie i ja...

Przerwał i spoglądał przed siebie w milczeniu. Jego poważna twarz przybrała ponury wyraz. Potem głęboko zaczerpnął powietrza i mówił dalej:

- Myślał tak początkowo, potem już nie, jak mi teraz powiedział Anciano. Ja także wciąż się spodziewałem, że zmały może zmartwy-chwstanie, ale teraz, odkąd ciebie znam, straciłem tę nadzieję..
- Odkąd mnie znasz? - zapytał Anton zaskoczony. - Więc to z mojej winy?
- Tak, choć nie miałeś takiego zamiaru. Znałem tylko góry i lasy, słyszałem tylko o swoim ludzie, ale nigdy o innych Tudach. A kiedy poznałem ciebie, opowiedziałeś mi o tych ludach i innych krajach. 'i~raz dopiero wiem, jak wielka jest Ziemia i jak mały wobec niej jest 3az człowiek, samotny chłopiec, chociaż jego przodkowie byli potężnymi synami Słońca. Byłem marzycielem, ale się zbudziłem i gdybym nawet odnalazł wszystkie bogactwa, już nie będę się więcej oddawał złudnym marzeniom. Historia mojego ludu skończyła się, przeszłość już mnie nie obchodzi, pragnę tylko spoglądać przed siebie. Chcę się nauczyć tego, czego ty się uczysz, chcę zostać człowiekiem takim jak ci, o których mi opowiadałeś. Dlatego opuszczę moje góry i udam się tam, gdzie będę mógł spełnić swe pragnienie. Brat Jaguar doradzi mi i uczynię tak, jak on mi powie. Nie mógłbym tego uczynić, gdybym był ubogi i dlatego cieszę się, że czeka na mnie majątek i testament mojego ojca. Gdybym nie miał tego celu, wzgardziłbym całym złotem i srebrnem, które na mnie czeka, bo może przyniosłoby mi tylko to, co przyniosło moim przodkom. Śmierć i zgubę.

Mówił'powoli, teraz wstał i odszedł, jak gdyby dalej pragnął się zastanawiać nad tym, co powiedział. Anton nie poszedł za nim. Mimo swego młodego wieku czuł, że przyjaciel znajduje się w punkcie zwrotnym swego życia i musi sam podjąć decyzję. Kiedy po jakim~ czasie Inka wrócił, twarz jego była pogodna. Podał rękę młodemu przyjacielowi i rzekł:

- Chcesz teraz udać się do Limy, a potem do kraju twych ojców, do Niemiec, by dalej się uczyć. Czy zabierzesz mnie ze sobą?
- Chętnie, bardzo chętnie - zawołał Anton. - Czy mówisz to poważnie?
- Tak. Ale przedtem muszę porozmawiać z bratem Jaguarem i Ancianem. Nie odszedłbym stąd bez mojego wiernego Anciana.
- On z tobą pojedzie, na pewno: Uważa cię za swego władcę i uczyni to, co mu każesz.
- Ale jest już stary i nie zna języka twego kraju, tak samo jak ja.
- Jest silny i sprawny jak młodzieniec, a podczas podróży statkiem będę was uczył niemieckiego, tak, że na początku umiejętność ta wam wystarczy .

W tej chwili nadszedł brat Jaguar i jednocześnie usłyszeli tętent 373 kopyt muła. Anciano wyjechał z najbliższej skały i zatrzymał się przy nich.

- Dobrze je umieściłem, a teraz zejdźmy, by otoczyć jaskinię. - rzekł zeskakując z muła.
- Brat Jaguar był już na dole, aby sprawdzić, czy bez ciebie jej nie znajdzie - rzekł Hauka.



- Doprawdy? - zapytał starzec, zwracając się do Hammera. - Szukał pan prawdopodobnie bez skutku?

- Jesteś tego pewny? ‘

- ‘Tak, senior.

- No to zobaczmy, czy się myłę! Wydaje mi się, że znalazłem wejście do sztolni.

- Gdzie?

- Na tyłach rozpadliny.

- Nie sztuka tak powiedzieć, ,bo słyszał pan, gdzie kryjówka się znajduje.

- No to zejdźmy na dół: Pokażę wam, gdzie jest to miejsce!

Uwiązali muły i zaczęli schodzić. Było to trudne, gdyż trzeba było iść po wielkich zwałach skalnych.

Brat Jaguar szedł przodem, nie oglądając się ani na lewo, ani na prawo, aż do tylnej ściany rozpadliny. Było tam miejsce, gdzie prawa ściana boczna wystawała o metr. Hammer podszedł do kąta, który ze ścianą skalną tworzył wierzchołek , wskazał na dół i rzekł pewny siebie:

- Tb jest to miejsce. Mam rację, Anciano, czy nie?

-?ak, to tu. Ale skąd pan to wie? Jak pan to odkrył? Czyjest pan wszechwiedzący?

- Do tego nie potrzeba być wszechwiedzącym.

- Nie? Wobec tego rozumiem pana wrogów, którzy twierdzą, że jest pan ogromnie groźnym przeciwnikiem. A co by było, gdyby pan bez naszej wiedzy przedtem odkrył i opróżnił tę kryjówkę?

- Nie było takiej obawy. Mógłbym tu przebywać całe godziny, 374 nic nie wiedząc. Jeśli znalazłem to miejsce, to tylko dlatego, że dowiedziałem się od ciebie, iż w rozpadlinie znajduje się skarb.

- Ale jak pan znalazł to miejsce?

- Pieczara nie mogła się znajdować w środku, a więc pod rozpad-liną i to z tyłu. Sztolnia była zapewne wykuta w skale. Zasypana i zamaskowana nie przez naturę, tylko ręką ludzką.

Szukałem więc miejsca, gdzie w przeciwieństwie do naturalnych zwałów były regular-ne ślady pracy,człowieka. I nie omyliłem się.

- Jak to?

Brat Jaguar wskazał na liczne głazy leżące obok skały,

- Czy te głazy nie stanowią kątów regularnego kwadratu? .

- Owszem.

- Czy nie są jednakowej wielkości i wagi, czy są nie za ciężkie dla silnego człowieka, ale też nie tak lekkie, by mogły być przypadkiem przesunięte lub przeniesione?

- Tb także prawda, senior.

- Dlaczego w kwadracie, który tworzą, znajdują się tylko lekkie kamienie, nie większe niż pięć mężczyzny? Gdyby były większe i cięższe, uciskałyby pokrywę szybu, którą podtrzymują cztery wielkie głazy po bokach.

Anciano z podziwem pokręcił głową. ,

- Jest dokładnie tak, jak pan mówi.

- Wiedziałem to. Wystarczyło tylko pomyśleć. Pieczarę należało zakryć. Nie nadawał się do tego wielki głaz skalny, bo pojedynczy człowiek nie mógłby go odsunąć. A więc położono na otwór skórę i

. ‘...i przykryto kamieniami, które człowiek może z łatwością odsunąć. Były one jednak do~ć ciężkie, by przytrzymać skórę, a drobne kamienie, położono na nią, aby nadać miejscu naturalny wygląd.

- Bardzo słusznie, senior! Z tą skórą też się zgadza. Dawniej jamę pod kamieniami zakrywały belki, ale z biegiem czasu zmurszały i mój pan stwierdził kiedyś, że przykrycie się zapadło. Musiał więc za-bić swego muła, by zabezpieczyć wejście jego skórą. Nasypał na to 375 drobnych, lekkich kamieni i to przykrycie wytrzymało długie lata i trzyma się do dziś. Można nawet na nim stanąć. Czy je teraz odkryje-my?

- Tak, teraz nic nas już nie powstrzymuje:

Przykucnęli w czwórkę, by usunąć warstwę drobnych kamieni. Wkrótce ukazała się ~kóra, która z biegiem lat zeszywniała jak blacha. Gdy usunięto cztery wspomniane głązy i skórę, odsłoniła się jama takiej wielkości, by dobrze zbudowany człowiek mógł się przez nią przedostać. Prowadziła pionowo w dół. Brat Jaguar rzekł:

-To nie sztolnia tylko szyb.

-‘I~lko wejście prowadzi pionowo -odparł Anciano, wrzucając do środka mały kamyk. - Słyszysz pan, że nie wpada głęboko. Jama jest wysokości człowieka, potem zakręca i prowadzi poziomo do środka skały. Zejdę tam.

- A co z oświetleniem?

- Mój pan zadbał o to. Leżą tam świece, które sami sporządziliśmy z łożu.

Powoli wszedł do jamy. Kiedy stanął na dnie, mógł wyciągniętymi ramionami dosięgnąć sklepienia. Hammer podał mu kilka zapalek i potem ujrzeni płomyk świecy. Hauka zszedł jako drugi, potem Anton, a jako ostatni brat Jaguar.

Hammer musiał się pochylić, by dostać się do poziomej sztolni, ale ta wkrótce stała się wyższa i tworzyła rodzaj małej izby, w której było akurat dość miejsca dla czterech osób. Rozejrzeli się, ale znaleźli tylko drewniany kłoc, na którym wryte było wgłębienie, zwisał z niego sznurek długości około trzydziestu centymetrów. Był trójkolorowy i miał liczne supły. Przywiązano do niego kilka krótszych i cieńszych sznurków, które także miały rozmaicie rozmieszczone supły.

-Kipu! -zawołał Anciano, biorąc mniejszy sznur z kłoca, oświetlił go i uważnie oglądał. Wyblakłe kolory można było jeszcze odróżnić.

- Czy potrafisz to odczytać? - zapytał brat Jaguar.

- ‘Tak, senior! To supły ostrzegają, by nie zapalać żadnej innej

## 376

Świecy, dopóki nic przeczytamy drugiego kipu. A więc jest jeszcze jeden, chyba gdzieś dalej. Chodźmy! ‘

Także Haukaropora zbadał kipu i potwierdził słowa starego. Poszli dalej, mocno pochyleni, ponieważ sztolnia obniżyła się. Było tu bar-dzo sucho. Po około pięćdziesięciu krokach pieczara zrobiła się nie tylko wyższa, ale też szersza. Izaorzyła pomieszczenie wysokości czterech łokci i szerokości siedmiu. W tle widać było ciemną szczelinę opadającą prostopadle w głąb. Lecz nie ta szczelina zwróciła na razie ich uwagę, lecz przedmioty, które się tutaj znajdowały.

Po prawej i lewej stronie lśniło szczerze złoto i srebro. Na kamiennych półkach stały rozmaite przedmioty, których wartość mogło oszacować nawet niewprawne oko. Były tam złote posążki bogów wielkości dziecka, pmsągi władców takiej samej wielkości z litego srebra

naczynia rozmaitych kształtów i wielkości, różne rodzaje broni, ozdoby, słońca, księżycy i gwiazdy. Było to bogactwo, które mogło należeć tylko do księcia, ponieważ w starożytnym Peru całe złoto było włas-nością władcy. Bez jego zezwolenia nikomu nie wolno było używać złota ani srebra.

Wywożenie tych krtxszców było zabronione pod karą śmierci. Wy-dobyte złoto i srebro należało dostarczyć do stolicy i złożyć u stóp króla. Były lata, kiedy to według niezbitych danych, ponad dwanaście tysięcy cetnarów srebra i ponad cztery tysiące cetnarów złota składano do skarbcza Inki. 'I~n szlachetny kruszec znajdował się bowiem w licznych żyłach górskich, a także w ogromnych ilościach w piasku rzeczonym, a wydobycie ich przez niewolników było tanie i nie kosztowało prawie nic.

Anton Engelhardt był wprost oślepiiony. Anciano i Haukaropora stali w nabożnym zdumieniu, ogarnięci podziwem wobec dawnych bogów i władcbw swego ludu. Brat Jaguar był najmniej zaskoczony. Wyjął z ręki starego świecę i przede wszystkim udał się na tyły skarbcza, by zajrzeć do groźnej i tajemniczej głębi. Przy słabym pełzającym Swiexle pod krawędzią widać było jakby demoniczne postacie duchów, 377 które fruując przywoływały człowieka do siebie. Kamiefi, ,który Hammer rzucił, wielokrotnie uderzył o ściany, ale nie dało się stwierdzić, jak głęboko spadł.

Brat Jaguar cofnął się od przepaści, by poszuka~ ukrytego ognia. Wkrótce go odkrył. Na dole blisko dna znajdowały się wąskie gliniane rowki wypełnione żółtobiałą masą podobną do wosku. W pewnej odległości od siebie wystawały stamtąd nitki podobne do knotów, przypominało to ogarki świec.

- Tb chyba jest ten niebezpieczny ogiefi, - rzekł brat Jaguar do Anciana, wskazując na rowki - o któryrn wspominał twój władca. A te wystające knoty to są owe świece, których nie należy zapalać, dopóki się nie przeczyta drugiego supła. Ale gdzie on jest? Musimy go znaleźć.

Nie szukali długo, wisiał bowiem na ścianie tuż przed wejściem. Był to kunsztowny splot służący jako klamkał zwisały z niego niczym frędzle liczne sznurki. Sznurki te były wielokolorowe, miały różną długośćE i powiązane były w setki supłów rozmaitej wielkości. Stary wyciągnął pospiesznie dłoń, by się przyjrzeć temu tajemniczemu pis-mu. Długi czas trwało, nirn się odezwał.

- 'I~n la'pu to jest list, którego tutaj nie mogę odczytać, bo kolory zbladły, a światło świecy jest za słabe.

- A na słońcu mógłbyś go odczytać? - zapytał brat Jaguar.

- Myślę, że tak.

- Więc musimy stąd wyjść.

- Już mamy wychodzić od tych skarbów, które pragnęlibyśmy podziwiać?

- 'Idk. Nie wolno nam dotknąć.niczego, dopóki nie poznamy treści tego listu. Nie wiemy, jakie niebezpieczeństwo związane jest z wydo-byciem tego skarbu . Każdy fałszywy ruch może przynieść nam śmierć. . Ostrzegam was. 'I~raz wychodzę i nie wrócę, dopóki nie poznam treści listu.

Stary Anciano, olśniony złotem i srebrem, jakby się zawahał i chciał 378 pozostać. Wtedy Hauka wyjął mu kcpu z rąk, zbadał go na tyle, na ile to w mroku było możliwe, i oświadczył:

- 'I~n la'pu zawiera testament mojego ojca: Jest mi droższy od wszystkiego, co tu się znajduje, niech więc skarby tu pozostaną, dopóki go nie odczytam. Idę na górę.

Ib rozstrzygnęto sprawę. Wszyscy opuścili.sztolnię i udali się na górę. Po drodze mijali liczne świece z łożu, które przygotował ojciec Hauki.

Na górze wszyscy czworo usiedli na kamieniach i Anciano wraz z młodym Inką zabrali się do odczytywania pisma. Nie szło to tak prędko jak poprzednio. Były tam supły większe i mniejsze, liczne odgałęzienia, a niektóre tak wyblakłe, że trudno je było odróżnić od siebie. Minęła godzina, potem druga, a Peruwiafiezycy wciąż nie wyjaśrili tajemniczy splotów.

- Jest już trzecia. - rzekł brat Jaguar. - Ió zbyt niebezpieczne dłużej tu pozostawać. Jeśli ktoś przypadkiem nadejdzie z góry, zoba-czy nas nad otwartyni szybem i wykryje naszą tajemnicę. Musimy zakry~ jamę i wejść na górę. Tam możemy dalej pracować nad odczy-tywaniem pisma, a ewentualnych przybyszzy zobaczymy z daleka. Rozpostarli ponownie skórę nad wejściem,

obłożyli głazami i za-sypali mniejszymi kamieniami. Wspięli się na górę do mułów, gdzie Hauka i Inka zabrali się znów do swej pracy. , Ich uwaga jakby się wyostrzyła, bo zaledwie pół godziny później oświadczyli, że uzgodnili już treść pisma.

- Czy mogę się dowiedzieć, co wyczytaliście?~- zapytał brat Jaguar?

- 'Tak, senior - odparł Hauka. - Jak powiedziałem, jest to testament mojego ojca, ale brzmi inaczej, niż pan się spodziewał, a ja przypuszczałem. Anciano, odczytaj go.

Stary Anciano ukląkł, przez szacunek dla ostatniej woli swego dawnego pana i przesuwając powoli palcami po sznurkach i supłach, odczytywał bardzo powoli.

r

379

Do Haukaropory, mojego syna, ostatniego Inki... Ki,edy ujrysz ten lapu, nie będzie mnie już wśród żywych... Także ludy wymierają... Nasz już nie żyje, tak jak ja... Nie spodziewaj się, że szybko znów powstanie... Nigdy nie zostaniesz władcą... Lud zginął pnez swoje złoto i srebro. Cry chcesz także zginąć pnez te skarby?... Gdyby lud był ubogi, dalej by żył i pracował... Pozostań ubogi, a będziesz dalej żył i pracował.~ .. Nie bogać się błyskotkami, bądź bogaty duchem i sercem, a będziesz szczęśliwszy niż wszyscy twoi pnodkowie... Proszę cię, nie roz-kazuję. To złoto należy do ciebie, weź je lub nie bien!.. Jeśli weźmiesz, zostaniesz jego niewolnikiem. Jeśli się go wynekniesz~ będziesz wolny. Masz złotą maczugę Inków Spnedaj ją, a będziesz miałość, bysię uczyć i zostać mężczyzną, którego honorem jest praca. IZozkoszowanie się próżniactwem to hańba... Jeśli chcesz, weź to złoto, ale wystnegaj się ognia w rowkach. Jeśli pragniesz honoru i prawdziwego szczęścia, zwróć ten metal ziemi, której go zabrano, wówczas osiągniesz prawdziwe bogactwo. Zapal wtedy pierwszą świecę uspionego ognia i uciekaj z jaskini... T~yberaj więc, ale wybien słusznie. Masz w sobie krew władców, a więc panuj nad sobą, wówczas ci się uda!.. Jestem i pozostanę z tobą. Uczyn tal~ by dusza moja była z ciebie rada! Wówczas mój duch z rozkoszą będzie na ciebie spogląda~ aż pójdiesz za mną tam, gdzie nie ma znaczenia ani złoto, ani srebro, lecz tylko skarby serca! Postąp jak mój syn, bo jestem twoim ojcem! Anciano czytał tak, że przerwy pomiędzy poszczególnymi zdaniem stawały się coraz dłuższe. 'I~raz spojrział pytającym wzrokiem na swego młodego pana. Tb samo uczynił Anton, którego treść testamen-tu głęboko wzruszyła. Brat Jaguar był pełen podziwu dla zmarłego, uważał jednak, że praktyczna natura władcy nie odpowiadała ofierze, jakiej spodziewał się od swego syna. Haukaropora stał wyprostowany i spoglądał na słofice. Jego przodkowie czcili je i wznosili do niego modły. Teraz miało zgasnąć za szczytami gór. 'Tak właśnie zgasł blask pafistwa Inków. Resztki tego blasku lśniły na dole w skalnym skarbcu, gdzie stały posągi bogów i władców. Czy i ten ostatni blask ma 380 zgasnąć? W pięknej, poważnej twarzy młodzieńca nic się nie poruszy-ło. Spoglądał w słońce, nie mrużąc oczu; aż zasłonił je najwyższy szczyt, Potem zwrócił się do Anciana, wziął z jego ręki pismo, ukrył je pod skórzaną koszulą i rzekł:

- Wstań, Anciano! Nie ma już Inków. Synowie Słońca odeszli wraz ze swym państwem, a ja będę posłuszny duchowi mego ojca, który wierzył, że jestem dość silny, by dokonać właściwego wyboru. Oddam złoto ziemi, bo przynosi ono błogosławieństwo tylko jako zapłata za pracę~ a swoją pracę mam dopiero rozpocząć. Wówczas starzec zerwał się, ujął jego obie ręce i zawołał z głębokim wzruszeniem:

- Chwała ci, mój synu, za tę decyzję, nie spodziewałem się niczego innego. Nie potrzeba ci cennych błyskotek, bo największy skarb tkwi w twojej piersi.

- Jak to? Chcesz zrezygnować z tego, co jest w sztolni? Czy to miałeś na myśli? ~- zapytał brat Jaguar.

- T~k.

-To skutek nastroju chwili. Pomyśl, co odrzucasz, jakie życie cię czeka, jeśli porzucisz dziedzictwo twego ojca.

- Jego testament jest nie w jaskini, lecz tu, na moim sercu. - Hauka wskazał na miejsce, gdzie schował kipu.
  - Więc chcesz zapalić na dole niszczący ogień i zniszczyć to całe bogactwo?
  - Tak.
  - To szaleństwo. Jeśli je odrzucasz, to weź pod uwagę to, że mógłbyś dzięki niemu zrobić dużo dobrego, uszczęśliwić wielu ludzi. Wolno ci ograbić samego siebie, ale nie innych.
  - Dziedzictwo należy do mnie, zrobię z nim, co zechcę. Zniszczę je, bo pragnę moim bliźnim przynieść inne, lepsze dary.
  - To przesada! Stanowczo się temu przeciwstawiam!
- Wówczas Haukaropora podniósł z ziemi swoją złotą maczugę, wyprostował się z dumą i odparł:

### 3sz

- Senior, szanuję i kocham pana, ale w tej sprawie istnieje tylko jedna wola, moja. Tę maczugę sprzedam, zgodnie z wolą ojca, by mieć na życie i naukę. Jeśli pan chciał mi się naprawdę przeciwstawić, musiałby mnie pan wyzwąć do walki.

Hammer odrzucił głowę do tyłu. Chciał coś odpowiedzieć, ale zaniechał tego i odparł łagodnie:

- Nie to było moim zamiarem, młody człowieku. Twoja decyzja byłaby bohaterką i godną podziwu, gdybyś znał wartość pieniądza. Wątpię jednak, czy tak jest. Zresztą jeszcze nie zrealizowałeś tego, co zamierzasz.
- Ale zaraz to zrobię! Zejdę teraz do sztolni i zapalę ogień.
- Zdradzisz więc naszą obecność i pozwolisz, by umknął morderca twojego ojca. Nie znam waszego ognia, ale obawiam się, że spowoduje wybuch. Skąła się rozpadnie. A kiedy nadejdą gambusino i Perillo, ulotnią się, zobaczywszy ślady.

Hauka przez chwilę spoglądał na brata Jaguara, po czym rzekł:

- Ma pan rację, muszę poczekać. Co prawda moglibyśmy ująć tych ludzi w inny sposób i w innym miejscu, ale Wąwóz Morderców jest najlepszą zasadzką dla nich. Nie będę się więc sprzeciwiał pafiskim planom.
- To dobrze - skinął mu Hammer zadówolony. - Musimy się przedtem dowiedzieć, kiedy oni nadejdą, potrzeba nam dzielnego zwiadowcy. Czy zechcesz nim być?
- Bardzo chętnie - odparł Hauka. Nie przypuszczał, że brat Jaguar chce go w ten sposób stąd oddalić, by nie mógł wykonać zbyt pochopnie swego postanowienia. Wobec tego Hammer ciągnął dalej:
- Powinieneś od razu wyruszyć, ponieważ musisz iść pieszo, a to bardzo daleka droga.
- Jestem gotów, senior. Proszę tylko powiedzieć, dokąd mam pójść.
- Przede wszystkim z powrotem do Salina del Condor, gdzie gajrcbusino może już dziś wieczorem przybyć. 382
- A jeśli nie przybędzie?
- Wobec tego należy przypuszczać, że obozujewjaskini położonej, w kierunku doliny Guanaco, stamtąd muszą nadejść Mojosi.
- Znam tę jaskinię i pojedę z Hauką - wtrącił Anciano. - Czy pan pozwoti?
- Oczywiście, bo dwie pary oczu widzą lepiej niż jedna.
- A gdzie znajdziemy pana po powrocie?
- Ponieważ przyjdziecie dopiero jutro, spędzę tę noc z towarzyszącymi, ale z raną znów tu będę, by posłuchać waszego sprawozdania. To będzie dla nas wskazówka. Przede wszystkim powinieneś się potajemnie porozumieć z twoimi przyjaciółmi Mojosarni i pozyskać ich dla nas.

Anciano opisał bratu Jaguarowi drogę do górskiej pieczary i odjechał razem z Antonem, zabierając ze sobą oba muły Peruwiańczyków. Anciano i Hauka zeszli w dolinę, obierając drogę do Salina del Condor.

Doszli tam, gdy zapadła noc, a ponieważ nikogo nie zastali, poszli dalej, by wejść do jaskini. Dotarli tam bardzo późno i przypadkiem stali się tam ~wiadkami zamordowania peona i obu arriero, po czym wrócili do Salina del Condor. Ich przypuszczenia okazały się sziszne, gambusino przybył tam z Indianami. Zachowywali się nadzwyczaj cicho i spokojnie, tak że Hauka i Anciano nie usłyszawszy nic szcze-gólnego, wczesnym rankiem wrócili do Wąwozu Morderców. Czekał tam już na nich brat Jaguar. Opowiedzieli mu wszystko, co zauważyli: o tym, że zastrzelono trzech mężczyzn, a trzech pozosta-wiono przy życiu, a także, że wśród tych ostatnich znajdowali się dwaj Niemcy, uczony ze swym służącym. Nie wiedzieli tylko, kim jest ten trzeci. Ponieważ przede wszystkim chcieli niepostrzeżenie porozma-wiać z nadeiagającymi Indianami, musieli ukry~ się za wzgórzem; by obserwować ich, kiedy przybędą. Hammer pojechał z powrotem, by wezwać towarzyszy i poinformować nh, że nisžnośny niemiecki uczo-ny i jego sługa znów pojechali za nim i znów znaleźli się w rękach 383 gambusino.

Tan przybył wczesnym przedpołudniem w towarzystwie Antonia Perilla, ośmiu Indian i że swymi więźniami. Zatrzymał się na skraju rozpadliny, gdzie kazał rozsiodłać muły. Poganiała go chciwość, chciał od razu rozpocząć badanie rozpadliny, więźniowie także stanowili dla niego wartość, a ponieważ nie chciał powierzyć ich Indianom, musiał zabrać ich ze sobą do rozpadliny. Rozwiązano im ręce i nogi, aby mogli zejść na dół. Na dole, lecz nieco dalej, znów ich skrupowano i przywiązano do głazów, by nie mogli ruszyć się z miejsca. Potem gambusino i Perillo odeszli, by rozpocząć poszukiwania. ;

Przez przypadek więźniów przywiązano do jednego z czterech wspomnianych głazów przy wej~ciu do sztolni. Doktor Morgenstern leżał na żwirze pokrywającym skórę muła. Gdy ich dręczyciele odeszli na tyle, że nie~mogli nic usłyszeć, Fritz Kiesewetter rzekł:

- Dotarliśmy do celu, ale jako więźniowie. Kiedy zjawi się brat Jaguar, znów będziemy wolni:
- Daj Boże! -westchnął Engelhardt. - Chodzi o nasze życie, bo jestem przekonany, że te łotry zamordują nas, kiedy otrzymają okup.

Wściekły szarpał swoje więzy i ocierał je o głaz, do którego był przymocowany, przy tym coraz bardziej przesunął go z miejsca.

- Nie sądzę - rzekł doktor. - Już nas kilkakrotnie mieli w rękach, ale nas nie zamordowali.
- Bo brat Jaguar zawsze nas zdążył wyratować - oświadczył

Fritz. -Jeśli teraz się nie zjawi, to koniec z nami.

- Być tu uwięzionym, podczas gdy mój syn jest w pobliżu - bankier zazgrzytał zębami. - Skrupowali mi nogi i jak dzikie zwierzę przywiązali do głazu!

Znów szarpał głazem, który koficem leżał na skórze i teraz posu~nął się dalej; tak, że skóra zaczęła opadać pod doktorem Morgenster-nem. Doktor rzekł:

- Chyba leżę na czym~ miękkim, chociaż podłóże jest z kamienia.

Zapadam się.

384

- Chciałbym również się zapaść głęboko w ziemię - ciągnął Engelhardt wściekły. - Gdybym miał jedną rękę wolną, pozbyłbym się więzów, a wtedy biada tym dwom!

Szarpał się tak bardzo, że głaz odsunął się dalej.

- Szkoda fatygi - rzekł Fritz. - Kogo gambusino zwiąże, ten się już nie uwolni. Prawda, panie doktorze. My coś o tym wiemy.
- Niestęty tak - odparł mały uczony. - Byliśmy nawet w gorszej sytuacji niż teraz. Już wisieliśmy na drzewie i...o Boże... Boże... co się dzieje?

Przeżony krzyknął, ponieważ głaz zsunął się całkowicie ze skóry; skóra ustąpiła i Morgenstern wpadł po pas w jamę.

- Co się dzieje! Chce pan stąd odjechać? -zapytał Fritz. - Czy to może odjazd do podziemnego przedpotopowego świata?
  - Głupie żarty - lamentował Morgenstern. - Tkwę w jakiejś okropnej studni, po łacinie puteus. Wiszę nad okropną głębią; po łacinie vorago albo barathrum, a jeśli sznur puści, jestem zgubiony. Ważył nie więcej niż dziewięćdziesiąt funtów, a że kamieci, do którego był przywiązany, ważył o wiele więcej niż cetnar, więc go utrzymywał. Mimo to Morgenstern wrzeszczał tak, że gambusino i Perillo go usłyszeli. Przybiegli i byli bardzo zdziwieni, widząc, że ich więzień wpadł do połowy w dół. Wyciągnęli go, a przy tym ukazał się kawałek skóry muła.
  - Co to jest? - zapytał Perillo. - Skóra przykrywa jamę? A może...
  - Milcz! - szepnął mu gambusino. - Jesteśmy u celu... przez szczęśliwy przypadek. Oby więźniowie nie zauważyli, co tu robimy. Usufimy ich stąd.
- Powlekli więźniów kawałek dalej, by ich nie obserwowali, po czym wrócili do jamy i odsunęli skórę. Rzucili kamienie w dół i przekonali się, że nie jest głęboki. Więc gambusino zszedł na dół.
- Udało się! - zawołał po chwili. - 'I'afiliśmy! Leżą tu świece.
- Zejdź szybko,na dół, ja tymczasem zapalę jedną.

### 3'85

Gdy Perillo skoczył na dół, świeca już się paliła. Nie zwracali na nic uwagi, także na to, że jedna świeca leżała na półwypalona i widać było, że dopiero niedawno była używana. Powoli wchodzili do poziomej sztolni. Po drodze dzielili się uwagami i nadziejami. Byli niezwykle podnieceni i omal nie oszaleli z wrażenia, gdy dotarli do tylnego pomieszczenia i ujrzeni jego zawartość. Stanęli jak urzeczeni, spoglądając błyszczącymi oczami na ten przepych. Wreszcie gambusino zawołał:

- Odkryliśmy skarbiec! 'Iiz leżą miliony: Mnie to zawdzięczasz!
- Nie, to ty mnie! - odparł Perillo. - Spróbujmy to oszacować.

W tych rowkach tkwi dużo świec, chyba po to,~ aby przy ich blasku można było lepiej widzieć te cuda. Czy mam je zapalić?

- Tak, bo przy tym ogarku nic nie widać:

Perillo wyrwał gambusino świecę z ręki i przytknął do jednego z knotów, który się zapalił jak zwykła świeca. Mały płomyk na razie palił się spokojnie, potem zaczął pełzać, przybierając jednocześnie barwę błękitną, nagle rozprysł się na wszystkie strony sypiąc iskrami i zapa-lając dalsze knoty, aż wreszcie w górę wystrzelił wielki płomień. Rozszedł się ostry, okropny zapach. W wyłobieniach paliło się już ponad dwadzieścia świec. Ogień pełzał, iskrzył się i głośno syczał.

- Co to jest? - zapytał Perillo zaskoczony. - Czy ktoś widział kiedy takie ognie?
- Co to jest? - odparł gambusino. - To nasza zguba, jeśli natychmiast nie uciekniemy. Te światła przeznaczone są dla włamy-waczy. A więc musimy...

Przerwał mu trzask, po czym ze świec wyskoczyły ogniste węże, które jak błyskawice okrążyły pomieszczenie i podpaliły odzież obu mężczyzn.

- Uciekajmy! - krzyczał gambusirzo i pobiegł d^ ~sztolni, by jak najszybciej wydostać się na zewnątrz.

Perillo biegł za nim. Odzież na nich płonęła. Obaj objęli się o ściany. Jeszeze nie doszli do wyjścia, gdy rozległ się głośny huk, od 386 którego zadrżała ziemia.

- Palę się, palę się! - ryczał Perillo.

-Ja też! -wołałgambusino pędząc naprzód. -Prędeej, prędeej, skała się rozstępuje!

Dobiegł do szybu i wydostał się na zewnątrz, Perillo tuż za nim. Na dole ich odzież ledwie się paliła, teraz jednak na powietrzu wybuchły niebieskie płomienie, które natychmiast zamknęły się nad nimi. Ry-cząc z przerażenia obaj padli na ziemię i tarzali się, by zdusić ogień. Wówczas

rozległ się drugi huk, potem trzeci; czwarty, piąty i szósty, każdy silniejszy od poprzedniego. Rozpadlina jakby się zakołysała, jak gdyby ściany skalne miały się zawalić. Z szybu buchnął gęsty ciemny dym, jakby ze stu lokomotyw, po czym nastąpił huk. Wreszcie zapadła cisza, lecz dym pokrył całą okolicę smrodliwymi obłokami, tak że nic nie było widać. Tym wyraźniej rozlegały się teraz okrzyki bólu obu tarzających się po ziemi mężczyzn.

A brat Jaguar i jego ludzie?

Dotarł z nimi do miejsca oddalonego tylko o dziesięć minut drogi od szybu, kiedy Anciano i Inka pobiegli mu na spotkanie. Anciano rzekł:

- Senior, to Ostry Nóż, wódz Mojosów, z siedmioma ludźmi. Mój dobry przyjaciel. Czy mam z nim porozmawiać?

-Tak. Czy sądzisz, że zechce?

- Jestem przekonany, że kiedy mnie zobaczy i w dodatku się dowie, że pan jest ze mną, od razu przejdzie na naszą stronę.

- Więc idź do niego.

Anciano pobiegł, reszta za nim, w przekonaniu, że dziś na pewno dotrą do celu. Zanim doszli do szybu, starzec już wracał. Prowadził za rękę wodza Mojosów i zawołał do brata Jaguara:

- Oto on, senior. Cieszy się, że może poznać słynnego Ojca Jaguara, i chętnie się do nas przyłączy.

- Czy masz tylko siedmiu mężczyzn ze sobą? - zapytał brat Jaguar. 387

- 'I-k, senior.

- Tych dwu więźniów znamy. Kim jest ten trzeci?

- Bogaty senior z Limy, nazywa się Engelhardt, jest bankierem.

- Tb mój ojciec! - zawołał Anton zeskakując z muła. - Ale to niemożliwe! Po co by tu przyjeżdżał?

- Chce odwiedzić swego syna w Buenos Aires.

- A więc to jednak on: Biegnijmy, by go uratować.

' Wymachując strzelbą, pospieszył do rozpadliny i zaraz znikł w jej wnętrzu. Reszta chciała biec za nim, lecz brat Jaguar ich powstrzymał.

- Czekać! Nie wszyscy naraz. Sześciu ludzi niech okrąży rozpadlinę i ustawi się tak, by nikt stamtąd nie mógł się wymknąć. Jeźdźcy ruszyli, reszta nie mogąc długo wytrzymać, zeskoczyła z siodła i zbiegła do rozpadliny. Jeszcze nie dotarli na dół, kiedy ujrzeli dwie płonące postacie wydostające się z szybu. Usłyszeli ich krzyki i poczuli ogromne wstrząsy.

- Te łotry odkryły sztolnię i zapaliły ogień! - zawołał brat Jaguar.

- 'I-raz skarb przepadł.

Wszyscy pobiegli do tylnej części rozpadliny wypełnionej dymem. ' Na przedzie biegł Anton, za nim Inka. Obaj chłopcy ujrzeli więźniów i skoczyli do nich.

- Ojcie, mój ojcie! - zawołał Anton rzucając się w stronę bankiera, by go uściskać i przeciąć więzy.

Nikt nie zwracał uwagi na tę scenę powitania, wszyscy spoglądali na dwie postacie, które z trudem, w bolesnych drgawkach, wdrapywały się na górę. Gambusino i Perillo dostrzegli zbliżających się ludzi i mimo oparzeń zamierzali uciekać w jedynym możliwym kierunku, a więc na górę. Ale tam ukazało się sześciu jeźdźców i brat Jaguar krzyknął zadowolony:

- Zatrzymajcie się! Niech te łajdaki wejdą na górę! 'Iam zostaną godnie powitani!

Zwrócił się do więźniów. Najpierw powitał Engelhardta, a potem 388 gniewnie zapytał pozostałych.

- Ki diabeł znów was do mnie przygnał? Źle wam było przy

waszym leniwcu?

- Nie - odparł bystry Fritz. - Ten łajdak, którego chcieliśmy pochwycić, był o wiele większy.



- Ale znów on was pochwycił, a nie wy jego!
  - My tylko tak udawaliśmy, by zwabić go do tej dziury, gdzie się zapadł. Proszę zapytać mojego pana! To on go wpakował do dołka.
  - 'I~k jest - przyznał uczony. - Ziemia się pode mną rozstała, straciłem grunt pod nogami, po łacinie solum...
  - Z pana to niepoprawny pleciuga - przerwał mu Hammer. - Ujmuje pan każdą rzecz, po łaciniie res, od fałszywego końca. Moja cierpliwość, po łacinie patientia, i moja dobroć, po łacinie placabilis, clementia, a także mansuencdo, się wyczerpały. Nie chcę już was znać!
- Morgenstern stał z rozdziawionymi ustami, kiedy tak nagle i nie-spodziewanie spadł na niego grad łacińskich terminów. Ostatnich słów Hammer nie mówił poważnie, odwrócił się ze śmiechem od skonsternowanego uczonego.

Gambusino i Perillo wdrapali się tymczasem na górę i ujrzeni ku swemu przerażeniu sześciu ludzi, którzy popędzili ich znów na dół. Na dole doprowadzono ich do brata Jaguara. Nie stawiali oporu, ponieważ potworny ból ich obezwładnił. Widok ich był przerażający. Spaliła się na nich prawie cała odzież, ciężkie rany pokrywały całe ciała. Widać było, że są to rany śmiertelne.

- Benito Pajaro, czy mnie poznajesz? - zapytał Hammer.
- 'Tak - jęknął tamten dręczony bólem. - Jestem mordercą twojego brata. Zabij mnie, i to jak najszybciej!
- Tb byłoby dla ciebie zbyt wielkim dobrodziejstwem. Ilu ludzi masz na sumieniu? Wczoraj znów trzech zabiłeś. Bóg odbył nad tobą sąd, zostałem, pomszczony i nie uczynię nic więcej. Jesteś wolny, możesz odejść, dokąd zechcesz.

### 389

- Zabij mnie! - powtórzył gambusino.  
Zrozumiał bowiem, że szybka śmierć będzie wybawieniem.

- Nie!
  - Więc sam także idź do piekła! Bądź przeklęty!
- Mówiąc te okrutne słowa chwycił leżącą obok Antona dubeltówkę, wycelował błyskawicznie w brata Jaguara i wystrzelił, po czym wpako-wał sobie drugą kulę w głowę. Padł martwy. Żył jak zbrodniarz i jako taki by skończył, ale w ostatniej chwili mu się udało. Hammer równie szybko się uchylił i uniknął kuli. Potem wskazując na Antonia Perilla rzekł do Haukaropory.

- Oto morderca twojego ojca. Należy do ciebie!  
Inka spojrział ponuro na wykrzywioną z bólu twarz toreadora.

- Będę dla niego łaskawy. Niech nie męczy się długo, lecz szybko umrze. - rzekł.  
Skierował strzelbę na mordercę. 'I~n padł przed nim na kolana błagając:

- Nie zabijaj mnie! Daruj mi życie!
  - Dobrze, więc żyj jeszcze, by zdechnąć jak pies po dwóch lub trzech dniach - rzekł Hauka opuszczając strzelbę i odwracając się od niego z pogardą.
- Nikt nie zatroszczył się o tchórza, który padł między kamienie i leżał tam jęcząc. Wszyscy byli ciekawi, jakie zniszczenia poczynił ogień w grocie. Rozsadził sufit, spowodował pęknięcia w skale, przez które wydobywał się jeszcze dym. Powstał w ten sposób przeciąg, który oczyścił powietrze od szkodliwych oparów, tak że za godzinę można było tam wejść. Do skarbcza nikt nie mógł się dostać, grunt znikł, a wskutek silnego wybuchu wszystko runęło w ziejącą przepaść. Haukaropora rzekł do brata Jaguara ze spokojnym uśmiechem:

- Widzi pan, że opatrność mnie przyznała rację. Diedzictwo przypadło, testament ojca natomiast mam cały i dobrze ukryty na piersi. Jego ostatnia wola została spełniona.

Szyb zasypano kamieniami, potem wszyscy weszli na górę, by 390 omówić całe wydarzenie. Najwięcej mieli sobie do powiedzenia An-ton i jego ojciec, którzy tak długo się nie widzieli. Gdy bankier usłyszał o planie Inki co do przyszłości, zaproponował, że odkupi od niego złotą maczugę i zapłaci tyle, że suma ta zapewni przyszłość~ potomko-wi synów Słowica.

Pozostali tam do następnego rana. W nocy słychać było jęki Anto-nia Perilla. Nad ranem znaleziono go martwego. Ciała obu łotrów pochowano pod kamieniami, potem jeźdźcy wyruszyli, by przez doli-nę Humahuaca i Salta wrócić do zaprzyjaźnionych Camba. Engel-hardt z synem mieli jechać inaczej, ale przyłączyli się do przyjaciół, którzy u Camba zostali radośnie powitani.

Czekał tam na nich doktor Parmesan Rui el Iberio. Kiedy się dowiedział, co zaszło, zawołał z żalem:

- Jaka szkoda, że nie pojechałem za obu niemieckimi uczonymi.

Poparzeni mordercy pozostaliby przy życiu, gdybym dokonał na nich jedynych w swoim rodzaju operacji, wiecie przecież, panowie, że wszystko potrafię. ~ Pobyt u Camba wykorzystano, by pomóc doktorowi Morgenster-nowi przy pakowaniu jego cennego znaleziska. Poszczególne części zamierzano transportować na jucznych koniach. Potem połowa od-działu brata Jaguara wyruszyła do lasu na zbiór herbaty paragwajskiej, a reszta pod przewodnictwem Hammera towarzyszyła Engelhardto-wi, jego synowi, Morgensternowi i Fritzowi do Buenos Aires. Inka też był z nimi ze swym Ancianem, ponieważ starzec zgodził się podjąć z nim podróż drogą morską do Niemiec.

Od tamtej pory minęły lata. Niestety, nie podaję nazwy miasta w Niemczech, gdzie doktor Morgenstern żyje i jest pogrążony w nauce. Zasłynął za sprawą swego megatherium i wraz ze swym wiernym Fritzem podejmuje czasem wyprawy do dalekich krajów w poszuki-waniu szkieletu prehistorycznego człowieka. Wkrótce ma wyjechać w tym celu na Syberię. Inka studiował w Akademii Myśliwskiej w Tha-randt i został myśliwym. Stary Anciano dzielnie mu pomaga.

## **391**

Engelhardt żyje jako rentier nad pięknym zielonym Renem, gdzie ~ Anton ze swym bratem założyli dobrze prosperujący handelwin. Brat Jaguar natouiaś wciąż jeszcze przemierza pampasy i Gran Chaco, które stały się jego drugą ojczyzną.

Wszyscy prowadzą między sobą ożywioną korespondencję. Zawsze jest w niej wzmianka o wspólnych przeżyciach, bo głównym i ulubio-nym tematem jest zawsze testament Inki.

**KONIEC**